...strowski

NA
...ROWIE
...RÓW

MARJAN OSTROWSKI
Sędzia Sądu Najwyższego w Warszawie.

NA PRZEŁOMIE WIEKÓW

TOM I

ZAPISKI Z LAT 1871—1928 NA TLE ÓWCZESNEJ DOBY DZIEJOWEJ MIAST BOCHNI, CZORTKOWA, GRUDZIĄDZA, HALICZA, JAROSŁAWIA, KOŁOMYI, KOPYCZYNIEC, LWOWA, POZNANIA, SAMBORA, STANISŁAWOWA I SOŁOTWINY

RĘKOPIS AUTORA.

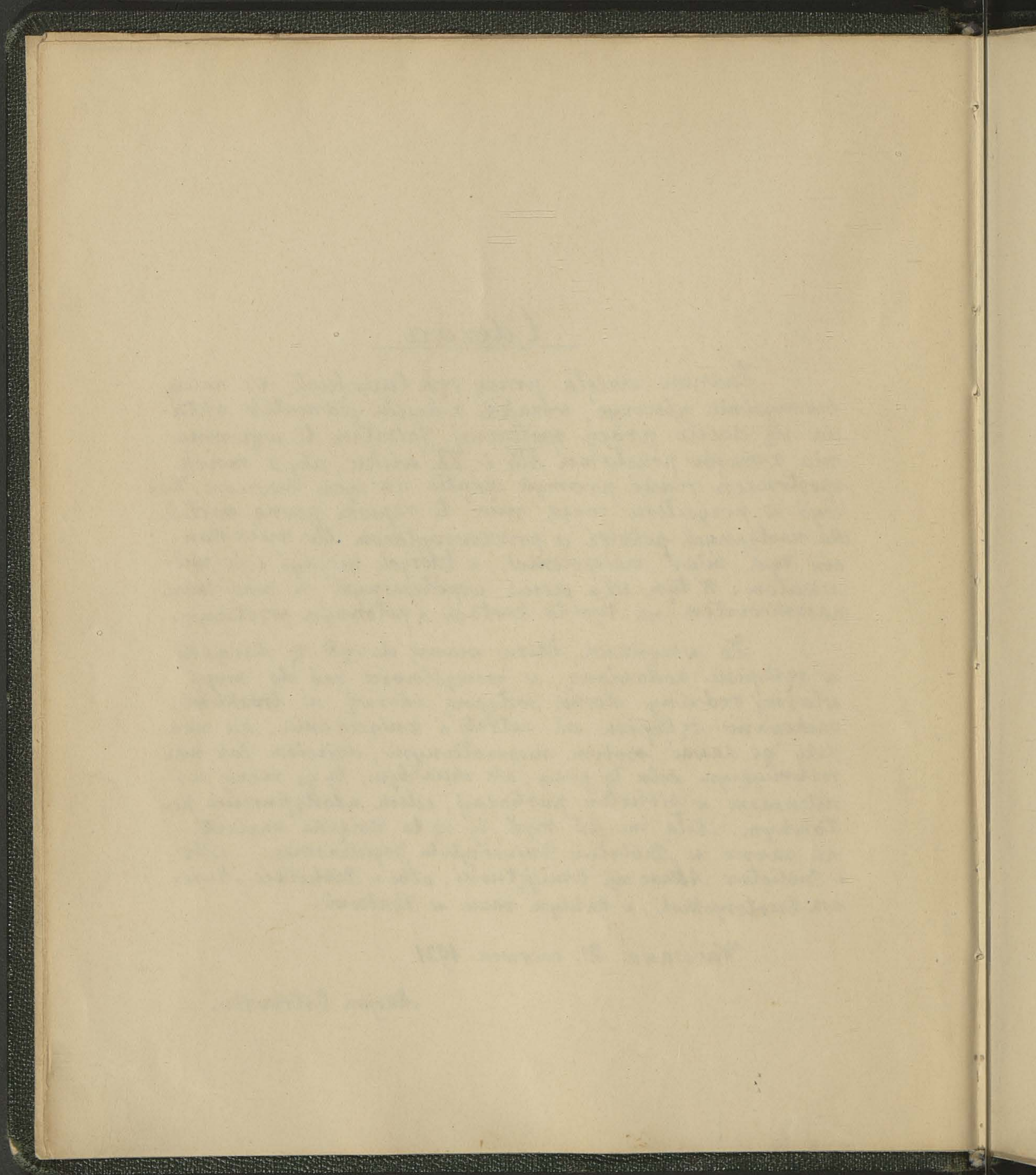
Odezwa.

Żadnego dzieła pracy rąk ludzkich nie należy bezmyślnie niszczyć, wszakże z dzieła jednostek składa się dzieło pracy społecznej. Spisałem te wspomnienia z czasów przełomu XIX i XX wieku, aby z moich spostrzeżeń rzucić promyk światła na życie ówczesne. Kiedyś w przyszłości mogą mieć te zapiski pewną wartość dla następnych pokoleń a przedewszystkiem dla mieszkańców tych miast małopolskich, w których niegdyś i ja mieszkałem. W tym celu cienie współczesnych ze mną ludzi naszkicowałem na tychto kartach i potomnym przekazuję.

Do wszystkich, którzy wezmą do rąk tę książkę w rękopisie zostawioną, w szczególności zaś do mojej własnej rodziny stosuję wstępną odezwę o troskliwe zachowanie rękopisu od zatraty i zniszczenia. Nie należy go dawać osobom niepowołanym, dzieciom lub nierozumiejącym celu tej pracy, ale chciałbym, by go raczej umieszczono w bibliotece publicznej, celem udostępnienia potomnym. Miłą mi jest myśl, by się ta książka znalazła na zawsze w Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, albo w Bibliotece Akademji Umiejętności, albo w Bibliotece Muzeum Czartoryskich, w każdym razie w Krakowie.

Warszawa 21. czerwca 1931.

Marjan Ostrowski.



Cztery tomy dzieła

zawierają treść następującą:

I

Myśl przewodnia.

Część I.

Myśl przewodnia.

Codziennie patrzymy własnemi oczyma na przejawy życia ludzkiego. Spostrzeżenia nasze wydają się nam tak naturalne, zrozumiałe, najczęściej monotonne, że nie ma się co nad niemi bliżej rozwodzić. Wszakże jak długo ludzkość istnieje, tak długo przeżywała ona i przeżywa raz dnie szczęścia, drugi raz goryczy, zawsze zmagała się walka o byt, wrzała usilna praca, tłoczyło się mrowie ludzkie wśród wzrastania jednych pokoleń a zamroku drugich. Jakże to bardzo zwykłe – powie niejeden – czyż warto o tem pisać! Prawda, że zwykłe i naturalne, lecz tak się właśnie dzieje ludzkości tworzyły i tworzą. Te to przejawy nie we wszystkich czasach były jednakie, szły bowiem różnemi ścieżynami i drogami, nim zdążyły dotąd, gdzie są dzisiaj. Poznanie tych dróg przebytych było zawsze pragnieniem pokoleń następnych. Z pietyzmem szukano dziejów ludzkości po jaskiniach pierwotnych, w porostych burzanem kurhanach, w zagadkowych grodziszczach, zmurszałych

pergaminach, w napisach, rzeźbach lub w przecudnej szkatule, zdobnej czarem i baśnią tj. w pieśni i opowieści ludowej, odbijającej się niegasnącem echem z pokolenia w pokolenie.

Ileżto razy jakiś niemy znak na cegle lub marny rysunek na popielnicy grobowej, lub niewielki zapisek na skrawku pergaminu stanowiły ważny przyczynek do dziejów postępu rodu ludzkiego. Ileż znów ludzi zeszło do grobu, unosząc ze sobą w zaświaty całą skarbnicę wiedzy dziejowej, nie przedzierzgnąwszy w pisane słowo swych wiadomości, odkryć i przeżyć, przez co uległo zatracie ważne ogniwo w łańcuchu badań dziejów ludzkości.

A czy tylko pożądanemby było, by ludzie tej miary jak Aleksander Macedoński, Cezar, Kolumb lub Napoleon podali nam myśli swoje i przebieg wypadków ze swego życia. Nie – stokrotnie nie! Równie dobrze czytalibyśmy dziś, gdyby je napisał jakikolwiek inny uczestnik pamiętnych wypraw, byleby napisał rozumnie, szczerze, dokładnie. Pocóż zresztą iść daleko! Prawie każde znaczniejsze i starsze miasto u nas czy za granicą wskaże jakiegoś kronikarza, który niegdyś spisał to co widział, opisał pokrótce co się wkoło niego rozgrywało, a co naonczas wydawało się proste, naturalne, niegodne szczególnej wzmianki. Z biegiem czasu jednak tworzą takie zapiski ważne i cenne pomniki historji miast, stanów i rozwoju cywilizacji. Ot weźmy bardzo bliski przykład, jeden zresztą z bardzo wielu. Na przełomie XVI i XVII wieku żył w Łowiczu aptekarz Andrzej Cebrowski i prowadził kronikę. Od rana do nocy ludzie różnych stanów odwie-

dzali aptekę. Każdy dorzucił słowo o zajściach w mieście, aptekarz to spisywał i tak powstała bardzo cenna Kronika miasta Łowicza do r. 1658 tj. do czasu śmierci aptekarza, który uległ szerzącej wtedy epidemji choler. Kronika ta jest fundamentem historji miasta Łowicza. Albo przykład inny, jaki mi się w tej chwili na myśl nasuwa. Za czasów pochodu Napoleona przez Wielkopolskę na wschód, żył w Gnieźnie przy przedmiejskim Kościółku św. Michała skromny proboszcz ks. Najgrakowski. Ontoż opisał dzieje swoich dni i dziś są one bardzo cennym materjałem nietylko dla dziejów miasta Gniezna, ale wgóle dla poznania nastrojów i losów ówczesnej doby. Czy takich Cebrowskich i Najgrakowskich nie może, a nawet czy nie powinno być więcej? Trochę dobrej woli, a można to stworzyć, co oni stworzyli.

Zresztą nie tylko ogół ludzkości ma swoje dzieje, mają je oddzielnie także poszczególne rodziny. Dla kogoż nie jest drogą pamięć o jego przodkach i któżby nie chciał znać dziejów życia swoich prapradziadów! Jakimże klejnotem i skarbem w rodzinie byłby znaleziony jakiś zwitek papieru z przed lat kilkaset, w którymby nasz daleki przodek opisał dzieje swojego życia i ~~s~~ swoich poprzedników. Czyż tych skarbów rodzinnych nie możemy stworzyć i my i zostawić swoim potomnym! Dnie nasze krótkie a ludzkość wieczna, pomnóżmy skarbnicę pisanego słowa dla tych, którzy po nas chodzić będą po tychsamych drożynach, jakiemi my dziś chodzimy, którzy zmagać się będą

z losem, jak my się dziś zmagamy, śledzić będą wypadki dziejów dawnych, jak i my je dziś śledzimy. Nasza opowieść dla nich nie przebrzmi bez echa.

Jednak spisywanie takich wspomnień przeszłości nie jest łatwe. Jak je spisać i dla kogo, jaki więc kierunek obrać? Można pisać dzieje własne, te będą zajmujące ale tylko dla jednej rodziny, będą dokumentem cennym i drogim i spoczną w bibliotece rodzinnej na zaszczytnem miejscu. Można zaś opisać zdarzenia współczesne z szerszej areny, którąto drogę i ja obrałem. Opis taki może w przyszłości zająć umysły szerszych kręgów. Trudno jednak, by ten, kto opisał dzieje innych współczesnych, nie wspomniał o przeżyciach własnych. Wszakże i on był cząstką swego społeczeństwa. Jak on żył i czuł, tak żyli i inni, tak żyły miljony współczesnych. Dlatego po części koniecznie wpleść się musi i własne przeżycia, zwłaszcza z lat najmłodszych, byleby nie natrętnie i nie z aktorską pozą. Nawet tak znakomity pamiętnikarz jak Niemcewicz z konieczności musiał swe pamiętniki zacząć od siebie, bo zresztą inaczej wcale ich zacząć nie mógł. Musi się więc mieć pewną dozę wyrozumiałości dla autora, zwłaszcza w pierwszych rozdziałach opowieści, kiedy areną życia był dom rodzinny, potem zaś ława szkolna, a na świat się patrzyło pacholęcem okiem. W miarę postępu dalszych rozdziałów rozszerzać się będzie krąg wrażeń, przeżyć ogólnych i dziejowych wypadków.

Podczas wielkiej wojny światowej w latach 1914 – 1919

byłem prokuratorem przy Trybunale sądowym w mieście Czortkowie na Podolu, przetrwałem na tym terenie wojennym z górą lat pięć, nie ruszając się z miejsca i obraz Czortkowa podczas czasów wojennych mam dotąd przed oczyma. Chciałem temu miastu zostawić pamiątkę i spisać dzieje tych zmiennych dni bądź cierpień, bądź radości, bo Czortków nie wydawał dziennika i gdy obecne pokolenie wymrze, pamięć o tych znamiennych wypadkach zaginie na zawsze. Chcąc więc temu zapobiedz, podjąłem się pracy spisania moich wspomnień z tego czasu. Ale następnie rozszerzyłem mój plan początkowy. Opiszę pokrótce to, co widziałem przez przeciąg mego życia nie tylko w Czortkowie ale i w szeregu innych miast i miasteczek w Polsce, w których żyłem i pracowałem. Niech to będzie przyczynkiem do ich dziejów a zarazem rzewnem wspomnieniem przeżytych lat i minionego życia.

Może praca moja nie będzie pozbawiona wszelkiej wartości, sąd ten zaś opieram na następującem porównaniu. Poszukując wszędzie źródeł dziejowych do przeszłości miasta Kopyczyniec, ze zadowoleniem a nawet z uciechą natknąłem się w Bibliografii Finkla na wskazówkę, że w r. 1823 pisał o Kopyczyńcach Aleksander Zawadzki w czasopiśmie „Miscellen." Miasto to ma ogromnie mało źródeł historycznych, zainteresowałem się więc tem bardzo, że przecież żył człowiek, który o tem rozległem, podolskiem miasteczku napisał jakieś

14

studjum i wiele sobie po niem obiecywałem. Z dużym trudem wydostałem wreszcie ową pracę Zawadzkiego, lecz o ironjo! Zawadzki w jakiejś marnej gazetce napisał po niemiecku, że w maju 1823, przejeżdżając przez Podole, przybył w nocy do Kopyczyniec, napił się wina, wyszedł z oberży i przez okno zobaczył żydowskie wesele, po powrocie do oberży wyspał się dobrze i pojechał dalej. I to ma być ów pomnik historyczny z przeszłości dziejowej miasta Kopyczyniec, o którym sądzono, że jest godny umieszczenia w słynnej Bibliografji historycznej. Jeżeli tak, to ja osobiście wiem tysiąc razy więcej o Kopyczyńcach niż Zawadzki, dlaczegoż więc ja nie mogę spisać tego, co na własne oczy widziałem i co w tem mieście z wszystkimi ludźmi przeżyłem. Może kiedyś moje zapiski o Kopyczyńcach stanowić będą pewniejsze źródło przeszłości tego miasta, niż wymieniony w Bibliografji artykuł Zawadzkiego.

Pojedyncze części tej pracy ujęte są pod nagłówkiem miejscowości, w których w swoim czasie żyłem. O pojedynczych zaś częściach takie mogę dać wyjaśnienie.

„Zaranie lat" (Cz. II.) jest niejako wstępem, przebłyskiem doby, w której dziecięcem okiem patrzyłem na łany podolskie, na pomniki przeszłości, na ludzkość szczęśliwą, bo i sam wtedy byłem tak szczęśliwym, jak szczęśliwe jest dziecko, nie znające cierni życia ni wichury losu.

Kopyczyńce (Cz. III.) są przedstawione w szerszym zarysie, niemal monograficznym. Były one rodzin-

nem miastem mojej niezapomnianej matki, z całym pietyzmem zbierałem do tej części moich wspomnień szczegóły i to z ogromnym trudem, zwłaszcza, że mieszkałem zdala od Lwowa, który w archiwach i bibliotekach zawiera całą skarbnicę dziejową naszych stron rodzinnych. Na wiele rzeczy w Kopyczyńcach patrzyłem własnemi oczyma jako chłopak szkolny i wiele pozostało mi z tego w pamięci, wiele wiem z opowiadania moich przodków, nieco szczegółów zebrałem od współczesnych mi osób lub wynalazłem w archiwach, poczem spisałem to wszystko w przeświadczeniu, że kiedyś znajdzie się historyk tego starego kresowego miasteczka, który mając dostęp do źródeł, dziś poza granicami Rzeczypospolitej pozostających, zestawi dzieje tej wiekowej miejscowości, a moje wspomnienia w niejednym kierunku będą dla niego tworzyć uzupełnienie materjału. Bo nikt dotąd nie wglądał bliżej w zamierzchłą przeszłość tej podolskiej mieściny.

Wspomnienia pod nagłówkiem: Stanisławów, Jarosław, Bochnia, Lwów (Cz. IV–VII) są pobieżnym opisem przeżyć studenta gimnazjalnego a następnie prawnika na Uniwersytecie lwowskim. Nie są one barwne i bujne, bo takiem nie było w tych czasach życie autora. Nie są obszerne, bo życie studenta w małych zamykało się ramkach, w zasadzie było monotonne i upływało na ślęczeniu nad książką. Dlategoteż te działy moich wspomnień są krótkie, a tylko ściśle ze szkołą związane.

Rozdział o Samborze (Cz. VIII.) jest przejściem

w życiu z ławy szkolnej do pracy zawodowej, mianowicie czasy praktycznej nauki na stanowisko sędziego, kiedy byłem — że tak powiem — na pół studentem, na pół urzędnikiem. Odnośny rozdział daje jednak zwięzły pogląd na ówczesne stosunki w tem mieście. —

Sołotwina (Cz. IX) to pierwsze moje miejsce sprawowania samodzielnego stanowiska sędziego. Młodość, myśl swobodna, wolność, zadowolenie — to cechy pobytu w tej górskiej mieścinie, zacisznej, skromnej a miłej. Spędziłem w niej cztery najpiękniejsze lata mego życia wśród zacnych i dobrych ludzi, których odtworzyłem w moich wspomnieniach jak mogłem najdokładniej.

Halicz i Kołomyja (Cz. X–XI) przedstawione są w krótkiem ujęciu ówczesnej doby (lata 1902–1911) z przesunięciem przed oczyma czytelnika głównych miejscowych postaci z tych czasów.

W Czortkowie (Cz. XII) bawiłem równo lat osiem. W książce niniejszej nie pomieściłem dawniejszej historji tego miasta, ująłem tylko w ramy opowiadania czas ściśle od r. 1911 do 1919, tak bardzo brzemienny w wypadki, jakie wogóle wstrząsały wówczas całym światem i odbijały się silnem echem o mury Czortkowa.

Wreszcie części o Poznaniu i Grudziądzu (XIII i XIV) nie są dziejami tych miast podczas mego pobytu w nich, ale raczej wspomnieniem małopola-

nina z przeżyć na gruncie dawnego zaboru pruskiego.

Choć nie brałem udziału w szerokiem życiu publicznem, to jednak jako sędzia przez lat kilkadziesiąt widziałem przed swoją zawodową trybuną przesuwające się wszystkie warstwy społeczeństwa moich czasów. W starciach przed sądem poznałem ich dobre i złe strony, zalety i wady, troski i cierpienia — toteż mogłem spisać wspomnienia spółczesne z licznych spostrzeżeń osobistych bezstronnie i o tyle dokładnie, ile tylko dało się zapamiętać. Spisywanie trwało lat dziewięć (1922-1931). Chciałem działy o Kopyczyńcach i Sołotwinie jeszcze bardziej rozszerzyć zdobyczami wiadomości z czasów przed moją dobą, ale muszę poprzestać na tem, co dotąd zebrałem, bo kto ma lat 60, ten musi już kończyć swoje poczynania życiowe.

Garść moich wspomnień spisuję tu w tej formie i w tych rozmiarach, na jakie pozwalały mi czas, pamięć i chęć najlepsza. —

*

II

Ze zarania lat.

Część II.

Ze zarania lat.

1871 – 1876.

W drugiej połowie XIX wieku nie było jeszcze tego tłoku ludzkiego, jaki dziś się kłębi, a jaki nadal w przyspieszonem tempie wzmagać się będzie coraz bardziej i bardziej. Nie było tej strasznej, bezwzględnej walki o byt, jaka dziś się rozgrywa. Mało kto jeszcze wówczas wiedział co znaczy homo homini lupus, nie było tyle stronnictw, warstw, wrogich sobie obozów, jak to jest dziś. Prawdą i pracą świat się przechodziło i nikt z głodu nie zginął. W pałacach mniejszy był przepych niż teraz, ale i w chacie kurnej mniejszy niedostatek. Mniej było ludzi z wyższem wykształceniem, ale też i wśród prostaczków silniejsze były szlachetne rysy duszy. Zbrodnia nie zapuściła była tak potężnych korzeni w ludzkość, jak to niestety obecnie się dzieje.

Było to kilkanaście lat po upadku powstania styczniowego z r. 1863., a bezpośrednio po wojnie prusko-

francuskiej. Naród polski pozostawał pod silnem wrażeniem ostatnich wypadków a pragnienie niepodległości przenikało wszystkie jego warstwy. Wówczesnej jednak sytuacji politycznej dalsza zbrojna walka o niepodległość Polski nie dawała się pomyśleć. Krzepił się więc jedynie duch polski a powoli zacierały różnice dawnych warstw i kast. Zrozumiano bowiem dokładnie, że w jedności siła i że w upragnionem odrodzeniu narodowem muszą wziąć udział wszyscy – od kmiecia do magnata. Stąd praca nad ludem i zbliżenie wzajemne wszystkich stanów.

Była to doba, kiedy pierwiastki okresu romantycznego literatury polskiej najznakomitsze wydawały owoce. Rzewne przywiązanie do motywów swojskich, ukochanie swojej ziemi, swojej pieśni, swoich podań i wierzeń, poczucie własnej siły i własnej wartości przenikało naród cały. Proroczy duch Mickiewicza był przewodnikiem myśli narodowej, mnogie powieści żyjącego współcześnie Kraszewskiego rozchwytywano u nas na Podolu, Matejko odtwarzał na płótnie najwspanialsze momenty dziejów polskich, polski język odzyskał swe prawa w szkole, urzędzie, sejmie, naród istotnie się odrodził, wzmógł i nabrał sił żywotnych.

W tych to właśnie czasach, wśród dworków wiejskich i chat wieśniaczych przyszedłem na świat w roku 1871 we Wasylkowcach pod Husiatynem, na Podolu galicyjskiem, należącem wówczas do Austrji. Dworki i chaty

jedną wtedy u nas na Podolu tworzyły rodzinę. Nie było zawiści ni nienfności, nie było podżegaczy ni siewców waśni, ludzie żyli pracą i słowem dobrem, tworząc jeden zespół społeczny. Dworki wiejskie były ostoją kultury i ofiarności publicznej, chaty wiejskie kryty pod słomianym dachem szlachetne choć proste dusze. Nasze urocze Podole było malowniczym obrazkiem i ukochaniem wszystkich, których ta ziemia wydała. Nieprzejrzanem okiem widziałeś żyzny czarnoziem, uprawny powolną lecz wytrwałą ręką rolnika, który wśród tęsknej dumki krajał długie skiby staroświeckim pługiem, popędzając przed sobą dwie lub trzy pary statecznie kroczących siwych, besarabskich wołów. Wśród sadów i opłotków rozsiadły się piękne, ciche, szerokie sioła nasze podolskie o chatach bielonych i cerkiewce drewnianej. A co mil kilka przestronne, staroświeckie miasteczko z rynkiem czworobocznym, sklepami, oberżami, pocztą i kościołem parafialnym było stolicą okolicy, punktem środkowym kultury, miejscem zjazdów, targów, zakupów, ślubów, procesów. Takiemi miasteczkami u nas w okolicy były Kopyczyńce, Husiatyn, Probużna, Chorostków, Budzanów, Czortków, Skała, Borszczów, Mielnica.

W mojej miejscowości rodzinnej Wasylkowcach główna część ziemi była własnością Rudolfa Horodyskiego, a inne części tej wsi rozległej (a było ich jeszcze

około dwanaście) należały do drobniejszej szlachty, która potem wydała na świat wielu ludzi pożytecznych. Byli to Bojarscy, Kuniccy, Grońscy i inni. Rudolf Horodyski bezżenny a światły ziemianin był człowiekiem dużej kultury i gołębiego serca. Kto go znał, kochał go jak brata. Jego życie upłynęło na uczynkach dobrych. Umarł około roku 1866 na tyfus, a cała ludność wasylkowiecka szczerze go żałowała i zachowała w serdecznej pamięci. Rodzinną siedzibą Horodyskich był sąsiedni Krogulec. O ile pamięć moja sięga był Krogulec własnością Antoniego Horodyskiego, zmarłego na cholerę, potem przeszedł na syna Tomasza, którego widziałem w r. 1882 jako wyniosłego, miłego staruszka. Po nim odziedziczył Krogulec syn ~~Tomasz~~, Bronisław lecz tak on jak i żona jego z Nierzabitowskich pomarli w młodym wieku, majątek przeszedł na dzieci, stosunki majątkowe poczęły się wikłać, parcelowano trochę tę posiadłość, ostatecznie ze zasobnego majątku pozostały tylko resztki, przechodzące szybko z rąk jednych do drugich.

Umarł w r. 1872 na niedomogę mięśnia sercowego

Jakie były poprzednie dzieje naszej rodziny, Bóg jeden wie. Były one niezawodnie takie, jak dzieje wszystkich rodzin polskich osiadłych na Podolu. Już od czasów Kazimierza Wielkiego osiadali Polacy na wschodnich krańcach, najpierw na Rusi Czerwonej a potem na Podolu. Szczególnie za Jagiełły przybywali tu Polacy licznie, przeważnie z Mazowsza. Podole było wtedy krajem wyludnionym, tatarskie zagony i niewola spustoszyły

i zniszczyły je zupełnie, tu i ówdzie tylko wśród lasów, poza oczeretami, w niedostępnych jarach lub debrach kryły się małe resztki zgnębionej ludności. Po uwolnieniu tych ziem z rąk tatarskich zaludnili je Polacy, uprawiali rolę i własną piersią tudzież warownymi zamkami zasłaniali je przed niszczycielskimi najazdami. Tak szli Polacy na wschód przez XIV, XV, XVI wiek, wytyczali „drogi polskie", budowali mosty, karczowali lasy, zakładali osady, ściągali ludność, pługiem ziemię krajali, kładli cerkwie i kościoły i zamki obronne, wykazując przytem znakomite zdolności organizacyjne. Naszym rozumem i naszą pracą przywiedliśmy te ziemie do świetności, kultury, rozkwitu i dobrobytu. Wystarczy sięgnąć do szematyzmu i sprawdzić, kiedy zakładano na Podolu parafie ruskie i polskie, a daty dowiodą, że początek ich sięga czasów Jagiełły i Warneńczyka. Tak, bo od tego dopiero czasu pulsuje tu regularne życie, wzmaga się rozwój i rozrost ludności, mającej oparcie o silną, ofiarną Polskę.

Wśród tychto drużyn polskich, niestrudzenie pracowitych, wytrwałych a hartownych, które szły na wschód z szablą u boku a z pługiem w dłoniach przybył kiedyś na Podole i mój przodek. Kiedy i skąd, nikt nie wie, nikt metryk nie prowadził, nikt pergaminów nie przechował, bo gdyby i jakie były, dawno legły w popiołach na tych ziemiach odwiecznych walk i zniszczenia. Sto razy zalewała dzicz Podole, znacząc krwią i pożogą ślady swego pochodu, sto razy ręce polskie z popiołów wskrzeszały

nowe życie, któż więc dziś stwierdzić może rodzinne dzieje i ślady dróg, któremi kroczyli jego przodkowie. Da się tylko ogólnie powiedzieć: z ziem rdzennie polskich przyszli na Podole z wiarą w duszy, z Polską w sercu, ze stepu uczynili przepiękny kobierzec wzorzysty, wnieśli tu tchnienie kultury i porządku, byli ostoją i puklerzem ochronnym dla narodu polskiego, a co uczynili dla miejscowej ludności, niech świadczą bogate, rozległe, wesołe sioła podolskie i ten charakterystyczny ruski krzyż na cerkwiach osadzony na półksiężycu. Tak, Polacy wyrwali tę ziemię z rąk tatarskich i nad półksiężycem Mahomeda zatknęli zwycięzki krzyż Chrystusa, uratowali ją od zagłady a zapewnili rozwój i rozkwit na długie wieki przyszłe.–

Z tylko niezliczonych drużyn polskich na Podolu osiadłych i my pochodzimy.

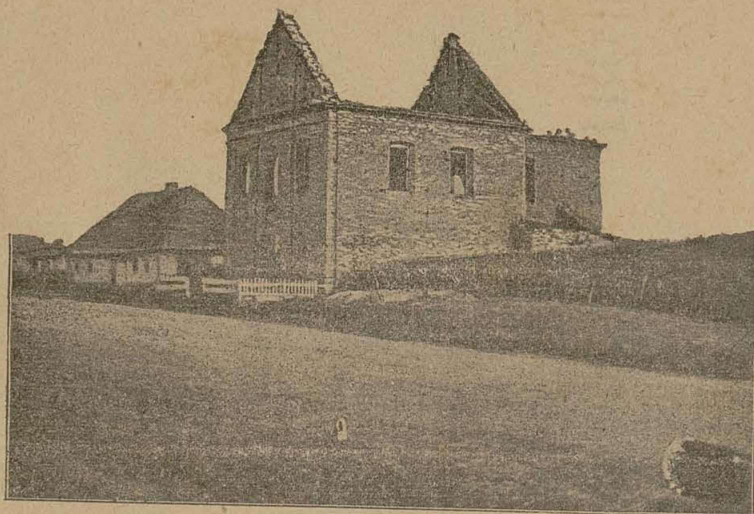
Z Wasylkowiec wyprowadził się mój ojciec i ja z nim najpierw do Lisiczyniec ‡ w powiecie zbarazkim, potem zaś do Borysykowiec w powiecie borszczowskim. Owe Borysykowce pamiętam już dobrze, bo byłem podrostym chłopcem. Niegdyś były one własnością Sadowskich, ci zaś z tego majątku utworzyli fundację posagową a zarząd oddano zakonnicom. Majątek był dzierżawiony. Właśnie w owym czasie ~~(około)~~ był dzierżawcą starszy ziemianin Winnicki, a po jego śmierci dzierżawił je syn Juljan Winnicki. Mój ojciec zaś był zarządcą tego majątku. Mieszkaliśmy w starem napół rozwalonem dworzyszczu Sadowskich, Winnicki zaś mieszkał w domu nowym. Ów stary dwór murowany był ze szarego podolskiego kamienia, obszerny lecz zimny, pamiętał niezawodnie jeszcze bardzo dawne czasy Polski przedrozbiorowej. W niektórych salach

widoczne były resztki malowidła, inne pokoje od dawna były już tylko bielone. Obok dworu był duży ogród owocowy, świadczył o tem, że kiedyś jakaś troskliwa ręka pielęgnowała starannie drzewa owocowe rzadkie a różnorodne. Już za ogrodem dworskim była cerkiew, a obok niej szkoła. Nauczycielem wówczas był pisarz gminny garbaty Natali, polak, bez studjów i bez kwalifikacji, pełnił swe obowiązki prowizorycznie. Umarł około r. 1880, a po nim przyszedł rzeczywisty nauczyciel Władysław Kwak, ostoriek młody, zdolny, rzutki. Mieszkał z matką, starszą owdowiałą osobą w budynku szkolnym, w którym po lewej ręce (tj. od strony cerkwi i dworu) była duża izba szkolna, zaś po prawej ręce od wschodu było mieszkanie nauczyciela, złożone z pokoju i kuchni. We wsi Boryszkowcach, leżącej w jarze nad Zbruczem przeważnie mieszkali włościanie ruskiej narodowości, Polaków zaś było mało. Zbrucz był wówczas granicą pomiędzy Austrją a Rosją, toteż po austrjackiej stronie strzegła granicy straż skarbowa, po rosyjskiej graniczna, wojskowo zorganizowana straż rosyjska konna i piesza. Naprzeciw Boryszkowiec po rosyjskiej stronie leżała wieś Wojtkowce. Właścicielem jej był starszy ostoriek Wołoszynowicz, córka zaś jego była żoną dzierżawcy Boryszkowiec Juljana Winnickiego. Stąd częste były stosunki sąsiedzkie pomiędzy obu spowinowaconemi rodzinami, choć przegradzała ich ~~p~~ nieprzebyta z powodu czujności straży granicznej dość, niezbyt przyjaznych względem siebie państw. Jeżeli jedni mieli co drugim do zakomunikowania, wychodził posłaniec z Wojtkowiec na wysoki brzeg nad Zbruczem i krzyczał z całych sił, tak, że go w Boryszkowcach słychać było na dzie-

dzińcu dworskim, położonym nisko po austryjackiej stronie Zbrucza. Juljan Wisnicki jednak na dzierżawie zbankrutował, bo musiał spłacać spadek rodzeństwu, co go zupełnie podcięło, wyprowadził się więc do Rosji, na Podole, gdzie gospodarzył na małym majątku, otrzymanym w posagu za żoną. Po nim przeszła dzierżawa do rąk ormian Raczyńskich, którzy długie lata się przy niej utrzymali.

Boryszkowce miały bardzo piękną i malowniczą okolicę, a przez pola boryszkowieckie, za przysiółkiem Wygodą ciągnął się sławny wał Trajana. Za wałem o kilka kilometrów dalej widniały drogie sercu polskiemu Okopy św. Trójcy. Czegoż ten tajemniczy wał nie widział! Przepuszczał przez swą bramę wędrówki narodów, za czasów polskich był świadkiem naszej chwały dziejowej, walk z muzułmaństwem, oneto bowiem rozgrywały się niemal u jego podnóża pod Żwańcem, Chocimem, Kamieńcem. Żwaniec widać było z Okopów dobrze, a Chocim tylko bardzo nieznacznie. Sam wał Okopów św. Trójcy był doskonale zachowany, kościół jednak był w ruinie, bo dopiero w r. 1904 odnowiono go i z wielką uroczystością poświęcono przy współudziale trzech arcybiskupów: Bilczewskiego, Hryniewieckiego i Teodorowicza. Zniszczenie jego datowało się od walk konfederatów barskich, którzy w tym kościele nawet byli pochowani i dopiero w obecnym wieku kościół odrestaurowano i do dawnej przywrócono chwały, jako jedną z naszych świętości narodowych.

Cały zakątek pomiędzy Dniestrem, Zbruczem a wałem starożytnym był ogromnie uroczy. Wał pokryty dębiną i krzewami zasłany był kobiercem długiej, wąskiej,



Ruiny kościółka w Okopach.

Kościół zbudowany około r. 1695, zniszczał w r. 1769 podczas walki Konfederatów Barskich, których część uszła stromą ścieżką nad Dniestrem, garstka zaś pozostała i broniła się w kościele, tu poległa i tu zosta-ła pochowana. Odnowiono kościół w r. 1904.

miękkiej trawy stepowej. Stąd rozciągał się przepiękny widok na Dniestr i Besarabię. Przez wał biegł znakomity gości-niec z Borszczowa i Mielnicy ku Okopom. Po lewej stronie go-ścińca za wałem zwały się pola Soroczanką, tam niegdyś mia-ła być osada ludzka. Na dole nad Dniestrem tuż pod wałem był okopany cmentarz, na środku którego wkopany był krzyż drewniany. To był cmentarz, gdzie dawnymi czasami pochowano



Brama wjazdowa do Okopów św. Trójcy w woj. tarnopolskiem.

pomarłych na dżumę. Jako mały chłopiec bałem się nawet postąpić na to miejsce, by na dżumę nie zachorować, choć już sto lat minęło od grasowania tej strasznej choroby w tych stronach. Całe sąsiednie Bielowce wymarły na dżumę, a wioskę tę odbudowano następnie na innem miejscu.

Czar wschodu wiał trwale na tym prześlicznym skrawku ziemi. Mówiły zeń wieki całe, odwieczne dęby na starożytnym wale szumiały rapsod przeszłości tak starej i dawnej, jak dawna jest ludzkość cała. Ojciec opowiadał mi nieraz w domu o starych dziejach, o bojach polskich, o rycerstwie, o zamkach, szańcach, kurhanach, a ja jako pięcioletni chłopak wchłaniałem w siebie każde słowo, nazajutrz biegłem na wał Trajana, na pola pod Okopami św. Trójcy,

31

oniemiały patrzyłem na wszystko, co mię tam otaczało, zdawało mi się, że widzę hufce żywe, że słyszę szczęk broni, że na czele uwija się Chodkiewicz, Sobieski, Czarniecki z buławą, tonałem we wspomnieniach przeszłości wielkiej, sławnej, ~~pod~~niosłej. Ukochałem odtąd szczerze tę ziemię, badanie dziejów ojczystych stało się od dzieciństwa mojem najmilszem zajęciem, a już co dotyczyło naszego rodzimego Podola czytałem zawsze z ogromnym pietyzmem. Głębokie przywiązanie do moich stron rodzinnych pozostało mi w duszy do schyłku lat.

Nieomal ~~w~~ między ~~d~~ Boryszkowiec we dworze w Dźwiniaczce u hrabiny Koziebrodzkiej mieszkał wtedy wielki patrjota polski, czczony przez naród cały, uwielbiany przez lud, podziwiany przez świat katolicki, ks. arcybiskup warszawski Feliński, który po powrocie z wygnania z Jarosławia rosyjskiego osiadł w podolskiej wiosce Dźwiniaczce, we dworze, gdzie była niewielka kapliczka, odprawiał tam nabożeństwa, spowiadał, kazania głosił a lud z całej okolicy garnął się do przezacnego kapłana, słuchał słów jego, jak się słucha proroka, korzył się przed Bogiem i z czcią głęboką całował ręce wielkiego Męża, którego historja Narodu polskiego zaliczyła do najbardziej zasłużonych synów i obrońców Polskiej Macierzy. Niezłomna postawa czcigodnego starca i arcykapłana, jego hart i cierpienie było symbolem cierpienia narodu. W całej naszej okolicy krzepił się duch polski przy aureoli tej świętości narodowej, jaką był dla nas ks. arcybiskup Feliński.

A starsza osoba hr. Koziebrodzka w największej

pokorze pełniła w kaplicy najniższe posługi, gdyż nawet sama kaplicę zamiatała. Podczas nabożeństwa grała na organkach.

Od północnej strony, nieopodal Boryszkowiec leżała wioska Zawale, rozpostarta po obu stronach Zbrucza. Z Zawala wyszedł czczony przez naród generał Dwernicki. Byłto człowiek kochany przez wszystkich a wszędzie śpiewana pieśń sławiła rycerskiego wodza:

Grzmią pod Stoczkiem armaty,
Błyszczą białe rabaty,
A Dwernicki na przedzie
Na Moskala sam jedzie!

Silnie biły serca polskie na szerokim promieniu wkrąg bastjonu narodowego Okopów św. Trójcy, wszak ziemia ta święta dla nas była, porywała swoją dawną przeszłością serca i dusze, umysły i uczucia. Tamto skończyły się moje dziecięce lata, o których śnię teraz i tęsknię, bo były mi baśnią i śpiewem, czarem i pieszczotą.

Z Boryszkowiec poszedłem do szkoły ludowej do Kopyczyniec. Wspomnienia z tego podolskiego miasteczka godne są opisania w osobnym rozdziale.



Kopyczyńce.

Wspomnienia z chłopięcych lat szkolnych.

Część III.

Kopyczyńce.

Lata 1877 – 1884.

Mało kto w Polsce wie, że na Podolu istnieje duże miasteczko Kopyczyńce. A przecież z wielu względów jest ono godne uwagi. Rzekłbym mógł, że było ono i jest dotąd typem miasteczek na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej. Bo przedewszystkiem i samo miasteczko było jakby małą rzeczpospolitą, miało za moich czasów swoją arystokrację małomieszczańską, miało pulchną (neutralną) plutokrację, miało plebejów rwących się do władzy, miało biurokratów patrzących zgóry na warstwy miejscowe, miało tłumy pobożnych, ale miało i motłoch karczemny, miało ludzi o znojnej, ciężkiej pracy, ale miało i nicponiów mielących językiem od rana do nocy – krótko mówiąc, gdyby zgasły niedawno

mistrz Reymont, po swoich genjalnych „Chłopach” chciał był napisać również rzecz wielką o małomieszczanach, musiałby koniecznie osiąść na jaki rok w Kopyczyńcach i patrzyć zbliska na życie tamtejsze, a stworzyłby rzecz epokową.

Kopyczyńce rozciągają się w środku dużej, żyznej równiny podolskiej, rozpostartej mniejwięcej na zbiegu dróg pomiędzy miastami Trembowlą, Husiatynem a Czortkowem. Od strony wiosek Jabłonowa i Krogulca, czyli od północy i południa otoczone były Kopyczyńce pięknemi lasami liściastemi o szumiących bukach i płaczących brzozach. Szczególnie las od Jabłonowa wyglądał jak gaj uroczy, wionął zawsze świeżością, a puszysty kobierzec miękkiej trawy stepowej na krańcach od strony miasta wabił przechodnia do wygodnego spoczynku. Wiem z opowiadania, że w lasach tych gnieździły się dawniej wilki, a nawet dziadkowi memu około r. 1850 na pastwisku na polach od strony Chorostkowa konia zajadły. Za moich czasów wilków już nie było, były natomiast liczne dziki, których jako mały chłopak tak się bałem, żem głębiej do lasu nigdy nie zaglądał.

Przez miasto przepływała niewielka rzeczka Niczława, zarosła po brzegach obfitym szuwarem. W niektórych miejscach rozszerzały się brzegi Niczławy w bagnisko. Pod tzw. folwarkiem Hetmańskim wpadał do Niczławy mniejszy dopływowy potok, a na nim rzucony był most drewniany na drodze wiodącej do Chorostkowa. Już pod dworem Baworowskich



Słynna kapliczka św. Jana Nepomucena, obok stawu, pod którą biło odwieczne źródło zdrowej wody. Niemal cała południowa część miasta czerpała stąd wodę i kapliczka była w wielkiem poszanowaniu.

*

(Fotogr. z r. 1931.)

ujęta była Niczława w odwieczny staw kilkudziesięcio morgowy, mocno zarosły szuwarem, sitowiem i liczną florą wodną. Był zaś wcale rybny, miał szczupaki, okonie i płocice, możliwie i inne gatunki, wymieniam jednak tylko te, o których wiem dokładnie. Zachodnim krańcem stawu szedł stary gościniec powiatowy do Husiatyna, na nim była grobla, z której woda niby wodospadem zlatywała do owalnego, o kilka metrów niżej położonego jaru, gdzie pierw-

szorzędni pływacy kąpali się, zażywając rzęsistego tuszu. Ponieważ jednak wodospad wybił głębię, kąpiel była w tem miejscu niebezpieczna i corocznie ktoś się tu topił, co wprawdzie na ten sezon kąpielowy było postrachem dla śmiałków, ale przez zimę wszystko szło w zapomnienie i na drugi rok znów inni skakali w głębię tak długo, aż któryś z nich życiem swoją brawurę przepłacił. Obok stawu nieco za groblą był młyn wodny, zawsze czynny a nieco dalej ku zachodowi za młynem był browar. Już nieopodal stawu i młyna wznosił się od strony południowej pagórek, na którym stała starożytna ruska cerkiew a pod pagórkiem od strony miasta biły dwa odrzeczne źródełka o odmiennej wodzie, które od niepamiętnych czasów dostarczały mieszkańcom Kopyczyniec zdrowej wody. Jedno z tych źródeł zawierać ma wodę żelazistą. Nad temi źródłami pobudowano dwie odrębne kapliczki, bo zawsze ludzie z cześcią żywiołów łączyli kult religijny. W jednej z kapliczek była figura Marji Panny, w drugiej św. Jana. Codziennie się widziało jak szły tam niewiasty kopyczynieckie rzędem po wodę, gwarzyły przy źródłach długo, a czasem i swarem się rozmowa skończyła, albo i gorzej jeszcze. Ileżto ten cierpliwy św. Jan nasłuchał się w ciągu tylu, tylu lat różnych zjadliwych plotek, zagadkowych szeptów, słów niedomówionych, wstrząsających pogłosek, wzajemnych obgadywań niewyrodnych cór Ewy! Ale św. Jan zawsze dobrotliwie ze swej kamiennej postaci patrzył na padół ludzki, jakby chciał powiedzieć: słyszałem co mówiły wasze babki i prababki, dziś was słucham,

będę słuchał i dalsze pokolenia[41], zawsze jesteście i będziecie tesame, niestrudzenie mowne, rozigrane, pomysłowe, dźgające kolcem ostrego języka bez opamiętania i miary.

Z śródmieścia zajeżdżały „telągi" tj. beczki na dwu kołach o jednym skrajnie nędznym koniu, których właścicielem był ubogi żyd i te telągi rozwoziły wodę po całem mieście, po cencie Konewka. Była jeszcze inna studnia,

brak — fotografii w momencie wpływu do B.J. 6.X.1951

Zabł

murowana, w rynku, głęboka, z kołowrotem, tam jednak telagi wody nie brały, bo zadługoby musiał przedsiębiorca wodny kołem kręcić, nimby napełnił swą beczkę. A może biedny woziwoda nie miał na tyle siły, by wodę kołowrotem wyciągnąć z głębi studni.

Przez Kopyczyńce przechodził murowany gościniec państwowy (popularnie zwany „cesarską drogą"), łączący Tarnopol z Zaleszczykami i Czerniowcami. Sławny to był gościniec i często uczęszczany, zanim w tych stronach nie było kolei. Wozy, bryki, wózki, powozy, dorożki, delizanse sunęły tędy dniem i nocą w jedną i drugą stronę. Ruch był wielce ożywiony a tętno życia tak silne, że tylko z ogromnym wysiłkiem można było utrzymać gościniec w stanie dobrym, sypiąc nań liczne stosy tłuczonego szarego kamienia, który jednak rychło się kruszył, tworząc tumany kurzu podczas pogody, a białawą, jak okiem w dal sięgniesz długą i szeroką taśmę rzadkiego, płynnego błota podczas słoty. Zanim zbudowano na Podolu kolej, a więc do r. 1884, miało każde miasto podolskie gromadę dorożkarzy dla szybkiego transportu osób, zaś brykarzy dla powolnego, towarowego przewozu towarów. Bryki byłyto duże silne wozy, żelazem kute, nakryte półkolistemi daszkami z szarego płótna lub z gęstej rogoży. Biedniejszy podróżny, którego nie stać było na dorożkę („fiakra") zadowalał się bryką. Podróżował w ten sposób, że na bryce kładł się na worki ze zbożem lub na paki z towarami i za marną cenę, powoli dojeżdżał do miejsca przeznaczenia. Zwykle przed

domami zajezdnemi czekało po kilku podróżnych na t.zw. okazję, aż się trafi dorożka lub bryka w pożądanym kierunku. Przedsiębiorcy brykarscy mieli gromadę wozów, szereg silnych koni i służbę do podróży przywykłą. Byłyż-to oryginalne typy woźniców brykarskich! Jadąc dzień i noc na bryce doprowadzał woźnica swój kunszt brykarski do takiej wprawy, że podczas jazdy drzemał siedząc na kobełce u kozła, a przytem w jednej ręce trzymał bicz potężny, a w drugiej lejce i półświadomie cmokał co pewien czas na konie, poszarpując cugle. W Kopyczyńcach był także taki właściciel karawanny brykarskiej, żydowin zamieszkały na początku drogi chorostkowskiej (prawie naprzeciw szkoły – plan p. 32.). Z chwilą pobudowania kolei wymarli brykarze. Ostatnim ich aktem zawodowym, jak na ironję, było właśnie wożenie w latach 1883. 1884. z Tarnopola do Kopyczyniec szyn na kolej, która ich stan i zawód miała bezpowrotnie pogrzebać. Bo gdy ostatni rok chodziłem w Kopyczyńcach do szkoły (1883/4) budowano już kolej Stanisławów – Husiatyn.

Już u wstępu do miasta od strony Jabłonowa była rogatka tj. drewniana rampa, obok niej zaś domek „rogatnika", który pobierał opłatę od przejeżdżających (plan p. 42). Ciężki to był zawód takiego rogatnika, skazanego na czujność we dnie i w nocy, przykutego ciągle do takiej rogatki. Dzierżawcą rogatki od rządu bywał zwykle bogaty żyd (mogący złożyć kaucję), który znów poddzierżawiał ją biednemu żydowinowi. Ten pilnował jej jak cerber przez sześć dni w tygodniu, a tylko

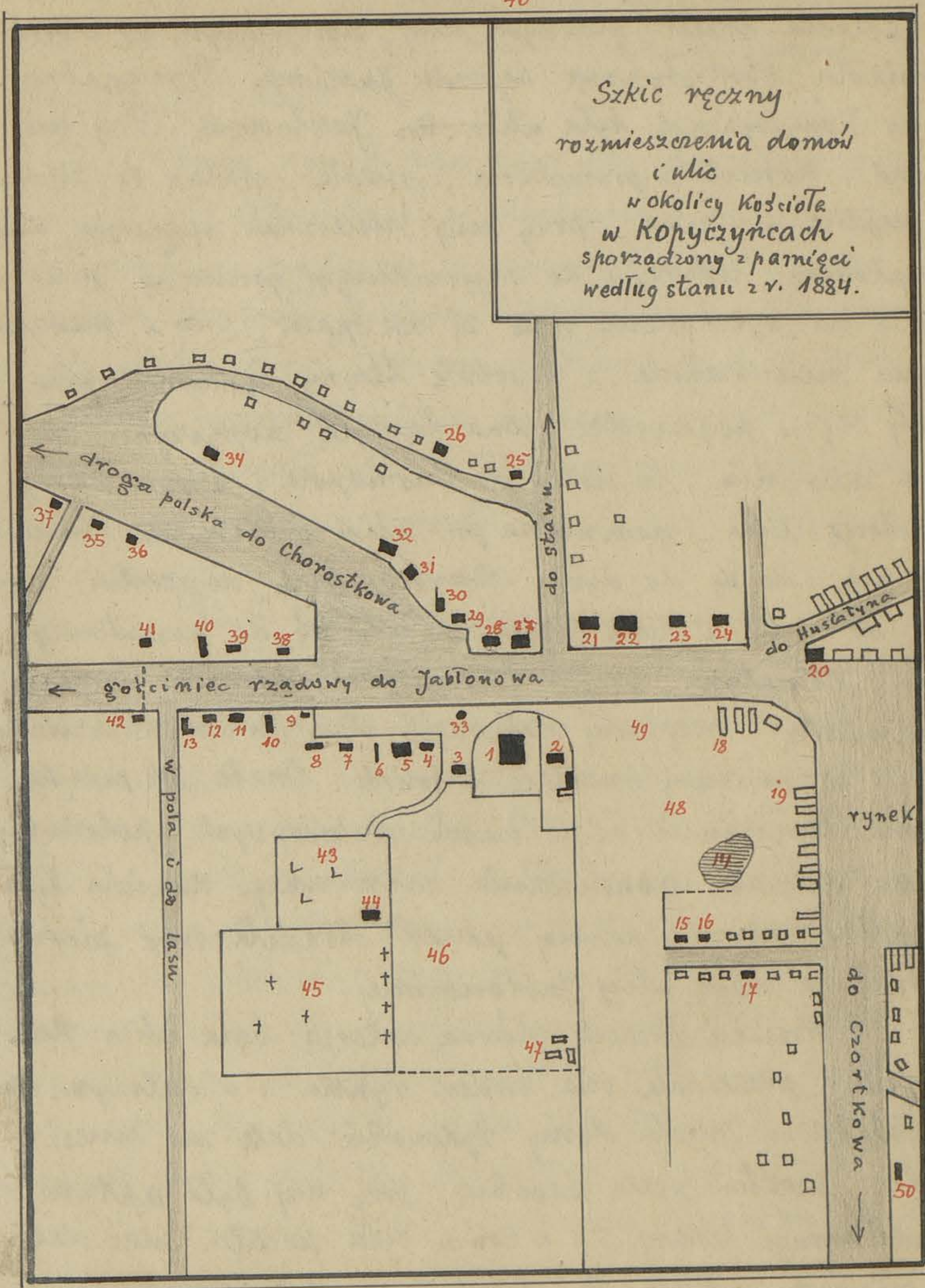
na sobotę powierzał swój urząd zaufanemu katolikowi (szabas-gojowi) ale i tak z pod oka zdala spoglądał czujnie, czy goj zaufania nie łamie.

Drugi murowany gościniec powiatowy szedł z Kopyczyniec do Husiatyna w odgałęzieniu od powyżej omawianego gościńca rządowego, a poczynał się w środku miasta naprzeciw zajazdu Jukima i przechodził właśnie przez groblę obok stawu i dworu. Później około r. 1888, przełożono ten początek gościńca na inne miejsce, bo niemal naprzeciw Kościoła, dawny zaś gościniec husiatyński przemienił się w obrębie miasta na dojazd kolejowy (mocno zaniedbany).

Była nadto niemurowana, szeroka droga, czyli jak się mówiło „polska droga" do miasteczka Chorostkowa, bardzo uczęszczana, szczególnie w poniedziałki na chorostkowskie tygodniowe targi, ciężka do przebycia podczas deszczów z powodu grząskiego, tłustego terenu. Gdy słota trwała czas dłuższy, nikt nie odważał się tędy jeździć, bo konie nie wyciągnęłyby wozu z błota, jechało się więc wtedy gościńcem murowanym na Jabłonów – Suchostaw do Chorostkowa, opłacając niesympatyczną dla podróżnych rogatkę. Owa droga „polska" odgałęziała się od gościńca rządowego naprzeciw szkoły i biegła ~~wdłu~~ wdół ku rzeczce, potem koło folwarku Hetmańskiego zdążała przez pola ku Chorostkowu. Była jeszcze inna szeroka, wygodna polska droga do Probużny, a jeszcze inna do Tudorowa, wszystkie żywiej uczęszczane podczas dni targowych.

Zawsze ożywiony ruch grupował się w Kopyczyńcach na przecięciu trzech głównych ulic, zbiegających się w środku miasta obok słynnego zajazdu Jukima. Pryncypalną ulicą w Kopyczyńcach była ulica ku Jabłonowu. Przy niej stał sąd, kościół z probostwem, szkoła, statua św. Rocha, nowa kaplica św. Jana, przy niej mieszkali sędziowie, urzędnicy, aptekarz, lekarz, i co najprzedniejsi godnością mieszczanie. Nią na wytchnienie szło się na spacer, nią w niedzielę młodzież mieszczańska a w sobotę tłumy żydowskie przechadzały się w pogawędce, ona łączyła Kopyczyńce ze światem szerokim, bo wiodła do Tarnopola i Lwowa. Drugą taką arterją była wspomniana już ulica w kierunku Husiatyna, nią szło się do dworu Baworowskich, do cerkwi, do młyna, do rzeki i stawu, nią zdążało się do powiatowego miasta Husiatyna, przy niej mieszkał burmistrz Tomasz Turczaniewicz; przy niej stał ongiś stary kościół drewniany i rozlegał się odwieczny cmentarz katolicki. Onato od początku istnienia Kopyczyniec aż do czasów rozbiorowych polskich, względnie do czasu zbudowania murowanego kościoła była pryncypalną ulicą, później jednak straciła swe pierwszeństwo na rzecz ulicy Jabłonowskiej.

Wreszcie trzecią główną arterją była ulica ku Czortkowu, przecinała ona środek rynku i w dalszym ciągu początkowo miała domy żydowskie, dalej zaś mieszczańskie, niektóre wcale zasobne, przy niej była apteka, mieszkał drugi lekarz, a w końcu była poczta. Idąc dalej tym gościńcem w kierunku Oryszkowiec i Czortkowa, wychodziło się tuż za miastem na wzgórze niewielkie, z któ-


Szkic ręczny
rozmieszczenia domów
i ulic
w okolicy Kościoła
w Kopyczyńcach
sporządzony z pamięci
według stanu z r. 1884.
droga polska do Chorostkowa
do stawu
do Husiatyna
gościniec rządowy do Jabłonowa
w pola i do lasu
rynek
do Czortkowa

Objaśnienia znaków do szkicu umieszczonego na poprzedniej stronie.

1. nowy Kościół
2. probostwo łacińskie
3. dom fundacyjny notarjusza Wszelaczyńskiego (powszechnie zwany szpitalem)
4. mieszkanie dyrektora szkoły
5 szkoła zbudowana za czasów dyrektora Halikowskiego, spłonęła około r. 1900.
6. budynek gospodarczy szkoły i mieszkanie nauczycielki
7. szewc Wolański
8. wdowa Kostrakiewiczowa
9. kaplica św. Jana
10. Petryccy
11. dom, w kt. mieszkał i umarł Bogusławski
12 dom Znamirowskiego (mieszkanie nacz. sądu Gronziewicza
13. dawna Krochmalnia
14. jeziorko zw. Katabania
15. Wojciechowska
16. Hilarko Turczaniewicz
17. Kupiec Markiewicz
18. zajazd Jukima
19. sklep, szynk i zajazd Anczla
20. sklep Posamenta
21. więzienie, 22. sąd powiatowy
23. 24. Leon i Wincenty Warszylewicze
25. ostatni mieszczanin Warszylewicz
26 Grabowicz, potem Zawadzki
27 Padewski
28 dom Persów (potem Krzyżanowskich, Czarneckich, Wysockich.
29 Wojciech i Mikołaj Domareccy
30 murarz Nieradka
31. Barański
32. Chaimka (jej syn ostatni brykarz w Kopycz).
33. św. Roch
34. Sozański
35 Wysoccy
36 Maciej N. olejnik, 37. Bażkiewicz
38 Komarniccy
39 Stanecki potem Poleszczuk
40 Szczepan Poleszczuk
41. Skrzeszewski (śpiewak)
42. rogatka jabłonowska
43. stary cmentarz żydowski
44. stróż Okopny
45. stary cmentarz Katolicki
46. ogród proboszcza
47. folwareczek proboszcza
48 pusta tłoka
49. podziemne piwnice
50. apteka Znamirowskiego

*

rego otwierał się piękny widok na całe Kopyczyńce, rozłożone poważnie na dużej, szerokiej, przestronnej płaszczyźnie. Widać, że nie żałowano miejsca na rozbudowę dla tych, którzy tu przed wiekami przybyli, by na tej ziemi żyć i pracować.

Oczywiście o bruku miejskim, o chodnikach lub oświetleniu nikt nie śnił wtedy. Ulice te, jako gościńce publiczne były dobrze szutrowane i to wystarczało.

Od tychto trzech głównych ulic rozciągały się w prawo i w lewo liczne boczne ulice i uliczki, które docierały do pojedynczych domostw. Centrum miasta stanowił duży czworoboczny rynek, wokół otoczony parterowemi drewnianemi domami o gontowem pokryciu. Domy te miały liczne kramy, szynki i zajazdy. Rynek był targowicą, ale był i miejscem pogawędek, zebrań, plotek, politykowania, kłótni a często i bójek. Na rynku stawały różne panoramy wędrowne zwane na miejscu „Komedjami" i te miały dobre zarobki w dnie świąteczne i targowe. W czasie deszczu błoto na rynku było niesłychane i gdyby nie wąska, drewniana kładka od gościńca czortkowskiego ku bożnicy żydowskiej, nie możnaby było bez obawy utonięcia z roztopach przejść z jednego końca rynku na drugi. Oryginalne były te domy w rynku. Przeważnie miały od frontu staroświeckie poddasza na słupkach, a pod niemi siedziały rzeźniczki kopyczynieckie, sprzedające wędzone, obficie czosnkiem zaprawiane kiełbasy, hyżki (nogi studzone), sadło, słoninę, skwarki, smalec i inne wyroby masarskie. Nieodłącznemi towarzyszkami rzeźniczek były olejniczki. Te siadywały

także pod poddaszami i sprzedawały olej bity z siemienia (nasienia konopi). Jedne i drugie handlarki kopyczynieckie miały pewne wspólne cechy, a to odznaczały się znakomitą wymową, okazalszą tuszą i ubraniem lśniącem od tłuszczu.

W południowej stronie rynku stała duża murowana bożnica żydowska, a żydzi z dumą przypominali, iż Adam hr. Baworowski przyczynił się znaczną sumą do jej wzniesienia. Według miejscowej tradycji stała dawniej na tem miejscu synagoga drewniana, przeniesiona tu kiedyś z miasteczka Podwyszyniec. Przez kilka lat z rzędu stałem wieczorem z chłopcami opodal murowanej bożnicy na „sądny dzień", pragnąc na własne oczy widzieć, jak jednego żyda „wyrwie", bo takie było miejscowe wierzenie ludowe, że na sądny dzień jednego żyda jakiś duch nieczysty wyrywa z pośród gromady żydowskiej. Starsi i doświadczeńsi nasi towarzysze, zapewniali nas młodszych, że już nawet w ubiegłych latach widzieli to zjawisko i twierdzili, że wyrywa żyda do góry, w powietrze, tak nagle, że tylko patenki (pantofle) po nim pozostają. Staliśmy do późnego wieczora, aby przecież tę niezwykłą osobliwość zobaczyć, i dopiero pora kolacyjna zmuszała nas do powrotu do domu. Wracaliśmy ze żalem, że przecież nie udało się nam widzieć tak zajmującego widowiska. Odchodząc, oglądaliśmy się coraz poza siebie, czy jeszcze gdzieś ponad domami nie pokaże się na horyzoncie widok unoszącego się wgórę żyda. Do samej bożnicy niktby z nas

nie był postąpił, bo silnie była naonczas rozpowszechniona przesądna wersja, jakoby żydzi z chrześcijan krew sączyli i używali jej do mac.

Stosunki sanitarne wewnątrz miasta były okropne. Gdyby nie stada świń wnikających w najciaśniejsze zakątki pomiędzy domami Izraela, dżuma nie wygasałaby nigdy w Kopyczyńcach.

Wokół śródmieścia czysto żydowskiego, szedł poza rynkiem, a głównie ku grobli szereg domów mieszczańskich. Byłyto zagrody rolniczo-rzemieślnicze dawnej Ludziczyzny. Domy mieszczańskie drewniane o 4 ubikacjach (uboższe tylko o 2 ubikacjach) z ganeczkami na filarach (drewnianych), kryte były bądź słomą, bądź gontem. Ilość i jakość budynków gospodarczych szła w parze ze zamożnością odnośnego mieszczanina. Krańce miasta zamieszkałe były przez chłopów. Domy ich byłyto lepianki schludne, białe, słomą kryte, obok nich zaś ciągnęły się zasobne budynki gospodarcze. Jak koło domów mieszczańskich, jak i koło zagród chłopskich rozciągały się rzęsiste większe lub mniejsze sady. Pielęgnowano je troskliwie, zdaje się, że było to tradycyjne jeszcze od Kopyczyńskich, Ludzickich, Kalinowskich, zapobiegliwych i dobroczynnych gospodarzy tej żyznej ziemi. Prowadzili też mieszczanie handel owocami, sprzedając je bądź miejscowym przekupniom, bądź odwożąc je na sprzedaż do sąsiednich miasteczek lub nawet do Tarnopola.

To jest pobieżny obraz zewnętrznego wyglądu miasta.

*



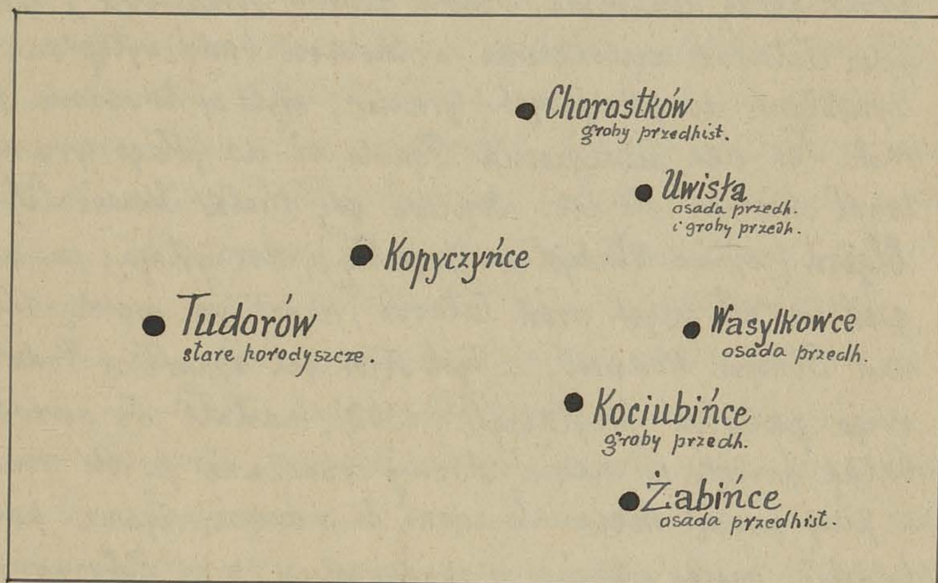
Widok powyższy pochodzi z czasu około r. 1908, a więc z czasu o 24 lat późniejszego, niż opowiadania niniejsze. Tylko więc częściowo odtwarza stan dawniejszy. Przedstawia dwa obrazki. Na obrazku na lewo widać następujące domy (idąc od prawej strony ku lewej): dom z ganeczkiem należał do Leona Warszylewicza, ojca kanonika i prałata lwowskiego ks. Albina Warszylewicza. Jestto typowy wygląd zamożniejszego domu mieszczańskiego. Dalej dom z oszkloną werandą pobudowany przez Baworowskich około r. 1900, w nim mieszkał zwykle naczelnik sądu. Z następnych domów, ów za czarną postacią kobiecą był później własnością lekarza Wilsona, pierwotnie zaś mieścił się tutaj pierwszy Kopyczyniecki sąd powiatowy (zob. plan p. 22). Dalszy dom w połowie zacieniowany (obok słupa telegr.), to dawne więzienie sądowe (pl. p. 21). Tuż za słupem telegr. bieleje dom Padewskich, za nim zacienione drzewami domostwo Persów, potem wójta Krzyżanowskiego, następnie Czarneckich i Wysockich (plan p. 29 Padewscy – 28 Pers).

Drugi obrazek po prawej stronie uwidacznia ów punkt centralny Kopyczyniec naprzeciw zajazdu Jukima a obok sklepu Posamenta. Ten słynny małomiasteczkowy sklep korzenno-galanteryjno-papierowy oddany jest wiernie w narożnym domu tak jak za moich czasów wyglądał. Za domem za sklepem widać własny dom Posamenta o 2 kominach tuż za słupem telegr., spalony podczas późniejszej wojny światowej. Za nim widoczny częściowo dom lekarza Safiana.

Miasteczko Kopyczyńce jest niezbyt starą osiedlą ludzką na Podolu. Stosunkowo jest o niej w starszych źródłach dziejowych niezmiernie mało wiadomości. Nie popadłbym w przesadę, gdybym nawet powiedział, że wcale niczego nie ma. Źródła średniowieczne i z wczesnej nowożytności są w Kijowie i Czernichowie nieuporządkowane i niedostępne, inne zaś w archiwum lwowskiem, z którego mało mogłem korzystać, gdyż zbyt daleko od Lwowa mieszkałem. Doświadczenie jednak pouczyło mię, że zwykle dawne źródła traktują o wielu innych osadach, ale nie o Kopyczyńcach. To więc, co mogłem znaleźć w Głównem Archiwum akt dawnych w Warszawie, co zdobyłem korespondencją, co wyczytałem w Archiwum Wojewódzkiem we Lwowie, co mi utkwiło w pamięci z tradycji rodzinnej i własnych spostrzeżeń lub co dało się wyczytać gdziekolwiek, będę się starał zebrać w szemat i opowiedzieć.

Od jak dawna ludzie zamieszkiwali dzisiejszą przestrzeń miasta Kopyczyniec, nie da się stwierdzić. Zdaje się, że ludzie niezbyt spieszyli się do zamieszkania na przestrzeni dzisiejszych Kopyczyniec, mając w okolicy lepsze tereny. Oto jeszcze dziś rzeczka Niczława na terenie Kopyczyniec jest rozlana w moczar i trzęsawisko, ludzie zaś niechętnie osiedlali się pośród moczarów lub w ich pobliżu, bo malarja byłaby ich doszczętnie wytępiła. Skoro zaś dziś jeszcze po niejakiem uregulowaniu Niczławy są mimoto mokradła, to przed kilku tysiącami lat musiały tu być znaczniejsze bagniska. Brak jakichkolwiek wykopalisk popiera zupełnie to przypuszczenie, bo choć inne miejscowości

niedaleko Kopyczyniec położone wykazują ślady osad przedhistorycznych, to brak takich pozostałości na gruncie Kopyczyniec świadczy, że w najdawniejszych czasach ludzie nie mieszkali na terenie dzisiejszego miasta.



Jakże więc wytłumaczyć sobie osiedlenie ludzi na gruncie Kopyczynieckim i do jakiego to odnieść czasu. Niezawodnie mieszkały w tych stronach szczepy słowiańskie od bardzo dawnych czasów, podbite prawdopodobnie przez Gotów, a następnie Hunów, po upadku zaś tychże były te szczepy w jakiejś luźnej zależności od Bułgarów (wiek VI po Chr.). Wschodnia Słowiańszczyzna jako zorganizowane państwo ruskie wystąpiła na widownię dziejową dopiero w X wieku i rządzili nią własni książęta. Choć Ruś a Podole miały oddzielne koleje losów, to jednak między Rusią a Podolem nie było

ścisłej granicy. Co do przestrzeni, na jakiej leżą dzisiejsze Kopyczyńce, to raz ją uważano za Ruś, drugi raz za Podole (choć raczej za Ruś, niż Podole).

W połowie XIII wieku Ruś i Podole zostały zagarnięte przez hordy tatarskie, Podole zostało straszliwie i całkowicie przez Tatarów zniszczone a ludność bądź wytępiona, bądź zgnębiona do skrajnych granic, kryła się trwożnie po debrach. Ten stan niszczenia Podola aż do gołego gruntu trwał niemal sto lat. Dopiero gdy Wielki Książe Litewski Olgerd (ojciec Władysława Jagiełły), korzystając ze zamieszek wewnętrznych wśród Tatarów, zadał im wielką klęskę nad Sinemi Wodami, z tych stron ich wyparł a Podole do swego państwa przyłączył (1362), nastała era odrodzenia. Odtąd poczęły się nasze strony rodzinne powoli rozwijać a pług począł śmielej orać tu i ówdzie żyzne pola podolskie, mając ochronę w zbudowanych przez Litwinów sąsiednich twierdzach. Zachodni skrawek Podola zajął następnie z Rusią Czerwieńską Kazimierz Wielki i do Polski przyłączył a po jego śmierci Ludwik Węgierski nadał te ziemie w lenno swemu siostrzeńcowi Władysławowi Opolczykowi. Opolczyk gorliwie sprowadzał na Ruś i Podole osadników (1372–1379) z Polski i Niemiec a ci werbowali ludzi do pracy z postronnych krajów. Ale po ustąpieniu Opolczyka Ludwik Węgierski zajął Ruś i nasze strony Podola, do Węgier przyłączył, obsadzając je Węgrami. Węgrów bardzo na Rusi nie lubiano z powodu ich nietolerancji religijnej. Po śmierci Ludwika, Jadwiga w r. 1387 znów te ziemie dla Polski odzyskała, Węgrów wyparła i dotarła aż do

Strypy i Zbrucza. Odtąd wśród 55 zmiennych kolei losu poczęło się Podole dźwigać i podnosić a coraz więcej łanów srebrzyć się poczęło żytem i złocić pszenicą. Aby zaludnić i zagospodarować żyzne pustkowia nadawała Jadwiga a potem Jagiełło i ich następcy wielkie obszary zasłużonym magnatom i szlachcie polskiej i ruskiej, z obowiązkiem zakładania na nich osad na prawie magdeburskim. Tem zachęcona poczęła się teraz przenosić tłumnie na Ruś ludność polska, zwłaszcza z Mazowsza. W ten sposób mieszał się na Rusi żywioł polski z krajowym, kraj zaludniał się i zagospodarowywał, otrzymując w tych osadnikach stałą obronę przeciw Tatarom. Do tychto czasów Opolczyka i Jadwigi, tj. do końca XIV wieku odnieść należy powstanie i zaczątek miasta Kopyczyniec, a przynajmniej stwierdzić należy fakt zupełnie pewny, że w tychto czasach przybyła w te strony rodzina, która Kopyczyńce założyła.

Zdawaćby się mogło, że sama nazwa Kopyczyniec dostatecznie rozwiązuje sposób i cel powstania tej miejscowości. Na pierwszy rzut oka wydaje się, iż stąd, że zamieszkali tu osadnicy rolni, którzy „kopy czynili", oczywiście powstała nazwa osady Kopyczyńce. Tak jednak nie jest. Nazwę Kopyczyniec wywieść należy od herbu Kopacz (mylnie Topacz), a łączy się powstanie Kopyczyniec ściśle z dziejami sąsiedniej osady Oryszkowiec.

Dzisiejsze Oryszkowce i Hadynkowce stanowiły od najdawniejszych czasów dobra królewskie, które wypuszczano w dzierżawę poszczególnym zasłużonym wojownikom.

Od czasu do czasu zjeżdżała na miejsce komisja lustracyjna, która badała stan gospodarczy tych dzierżawnych osad (najczęściej w perzynę obracanych przez hordy tatarskie). Otóż z dawnych aktów lustracyjnych wynika, że Oryszkowce nazywały się Stary Kopyczyn (akta lustr. Król. Tom 49. str. 214. rok 1664)

Te dwa wyrazy: stary i Kopyczyn same przez się wiele mówią. Skoro był <u>stary</u> Kopyczyn, widocznie nazwano go tak dla odróżnienia od jakiegoś <u>nowego</u> Kopyczyna, bo inaczej byłaby nazwa w brzmieniu „stary" nielogiczna i niezrozumiała. Zupełnie analogicznie zwały się pobliskie osady: Stary Niżborg i Nowy Niżborg, Stary Czortków i Czortków (nowy). Dosłownej nazwy Nowy Kopyczyn nie znajdujemy nigdzie, natomiast tuż w sąsiedztwie, niejako na końcu łanów Starego Kopyczyna (Oryszkowiec) znajdujemy osadę zwaną Kopyczyńce. Wyraz „Kopyczyńce" w zestawieniu z wyrazem Kopyczyn, oznacza pochodzenie pierwszego od drugiego. Zachodzi prawdopodobieństwo bliskie pewności, że dlatego Stary Kopyczyn dla dokładności nazwano starym, bo obok powstała osada nowa, ze starej wydzielona i nazwana Kopyczyńce. Znaczy to, że ludność, która obrabiała grunty dzisiejszych Oryszkowiec i Kopyczyniec, mieszkała pierwotnie w Oryszkowcach (Stary Kopyczyn), następnie część jej przesiedlono na inne miejsce i nazwano ich Kopyczyńcami, czyli ludźmi pochodzącymi z Kopyczyna. Dlaczego zaś i dla kogo ich tam przesiedlono, wyjaśnić nam może jedynie historja rodziny Kopyczyńskich z Bestwiny herbu Topacz czyli Kopacz. Chcąc więc poznać powstanie i najstarsze dzieje miasta Kopyczyniec, musimy się zapoznać bliżej z rodziną Kopyczyńskich, którzy pisali się także Kopycieńscy i Kopycińscy.

Onito bowiem byli najdawniejszymi piastunami Kopyczyniec, dalszymi ich budowniczymi i fundatorami. Ich zasługom, zapobiegliwości i pracy przypisać należy powstanie, rozwój i rozrost Kopyczyniec. Byli oni właścicielami tego miasta mniej więcej przez czas od r. 1400 do r. 1652.

Początek i dzieje szlachty herbu Topacz czyli Kopacz w najdawniejszych czasach różnie są podawane w różnych źródłach. Paprocki napisał, że około r. 1132 nadał ten herb szlachcie Bolesław III. Natomiast Długosz o szlachcie tego herbu pisze w ten sposób: są pochodzenia węgierskiego, sprowadził ich do Polski Kazimierz Wielki z powodu ich rycerskiej dzielności, byli to zaś mężowie silni, do walk przywykli a wywodzili swoje pochodzenie słowiańskie. O ile domyślać się mogę, byli Topacze z pochodzenia Kroatami. Dodać należy, że Kopyczyńscy czyli Kopycieńscy pisali się „Z Bestwiny“ stąd przyjąć należy, że rodzina ta z Węgier nie przybyła odrazu na Podole, ale najpierw osiedliła się w Bestwinie, poczem dopiero za jakieś zasługi otrzymała obszary na Podolu, co zresztą w wieku XIV było bardzo częste. Są trzy Bestwiny w Polsce. Odnosiłem się do proboszczów tych miejscowości, czy niema jakichkolwiek zabytków po szlachcie Topaczach lub Kopycieńskich, jednak nikt tam niczego o nich nie wie, a żadne inne źródła historyczne nie wskazują, w której Bestwinie przebywali, widocznie byli tam jedynie przelotnie. Najbardziej prawdopodobnem się wydaje, że Topaczowie (lub Kopaczowie) przebywali czasowo w Bestwinie w powiecie oświęcimskim, gdyż osada ta istniała już w r. 1100, czego o innych Bestwinach powiedzieć nie można.

58

Topaczowie czyli Hopaczowie z Bestwiny byliło rycerscy wojownicy bez znaczniejszego majątku i w czasie trwania Rzeczypospolitej Polskiej nie odegrali znaczniejszej roli, choć słynęli z rozwagi i męstwa, szczególnie jako niestrudzeni obrońcy Kresowi. Jak i kiedy Kopyczyńscy na Podole przybyli i za czyjem nadaniem otrzymali ziemię, nie da się obecnie całkiem dokładnie stwierdzić. Później wyjaśnię przy jakiej okoliczności zaginęły bezpowrotnie wszystkie dokumenty i nadania familijne rodziny Kopyczyńskich, które niestety dostały się w ręce człowieka burzliwego, ten je ze sobą zabrał na wojnę, gdzie też zaginęły ku wielkiej szkodzie dla wyśledzenia dziejów naszego miasta.

Mimo tej niepowrotnej straty, da się przecież nieco powiedzieć o pierwszych Kopyczyńskich. Oto w r. 1378 i 1401 Prandota Kopyczyński świadczył w Buczaczu. A więc już w r. 1378 był Prandota na Podolu i widać, że mieszkał w Kopyczyńcach, skoro go zwano Kopyczyńskim. Zdaje się, że miał on tylko lenno królewskie na Oryszkowcach czyli Kopyczyńcach, a nadanie to mógł otrzymać albo od Kazimierza Wielkiego, który zajął był Ruś aż po Zbrucz (r. 1340 i nast.) albo co może nawet bardziej prawdopodobnem się wydaje, od Władysława Opolczyka, któremu król Ludwik Węgierski te ziemie w zastaw oddał (1372–1379). Onto najwięcej sprowadził na wschód osadników z Polski i Niemiec.

Następny dokument historyczny stwierdza, że już w r. 1391 byli Kopyczyńscy na Podolu i posiadali tu ziemię i to właśnie na terenie dzisiejszych Oryszkowiec i Kopyczyniec.

58a

Wielmożny Panie
Prezesie!

Ponieważ od niedawna jestem proboszczem w Bĕstwinie i nie znam dokładnie tutejszych stosunków i historji tutejszego kościoła, musiałem dopiero przeglądnąć akta i informować się w sprawie, o którą Pan Prezes zapytuje.–

Parafja tutejsza Bĕstwina dawniej nazwana Bestwin, istnieje już od r. 1100 i jest najstarszą osadą w tutejszej okolicy; kościół kilkakrotnie zniszczony i przebudowany stoi na tem samem miejscu.

Niestety nie ma żadnych
pisemnych wiadomości
co do dawniejszych dziejów
Najdawniejsze zapiski
metrykalne sięgają r 1650,
kronika jest prowadzona
dopiero od r. 1772.
Kościół jest po kalwinach
rekonc. i kons. r 1632 przez
Tomasza Oborskiego, Biskupa
Laodycejskiego
R. 16/10 1770 Stanisław
Olukwicz, castellanus
Berensis wystawił kościołek
w Bestwinie-Dolnej.
Dziedzicami byli
w r. 1723 Franciszek
Czerny Schwarzenberg
Castellanus Voynicensis
de Witanowice.
Zachodzi także tutaj
familja Malachowska
Capit. Oświęcimensis

Bęstwina przechodziła
potem w drodze dzie-
dzictwa na Wielopolskich
potem z początkiem
19 wieku przeż kupno
na arcyks. Habsburgów,
w których rękach dotąd
pozostaje
O famílji Kopczyńskich
(Topacz), nie ma tutaj
ani tradycji ani żadnej
pisemnej wiadomości
Bardzo mi przykro, że
nie mogę bliższymi infor-
macjami służyć i wstydzę
się, że taka stara i
piękna Bęstwina niema
żadnych wiadomości
o swoich dawniejszych
dziejach.-

Natomiast bardzobym się cieszył, gdyby Pan Prezes przy swoich badaniach natrafił na jakie ślady, któreby były może w związku z historją tutejszej Bestwiny.

Bardzo uprzejmie proszę, żeby Pan Prezes był tak łaskaw i podał mi adres owych 2 Bestwin oprócz tutejszej Bestwiny, które się w Polsce znajdują; możeby się to przyczyniło do poznania samej nazwy „Bestwina" i związku jaki może pomiędzy tymi „Bestwinami" zachodzi.

Ośmielam się przesłać – zresztą bardzo ciekawą – monografję miasteczka Wilamowic, w której często zachodzi wspomnienie Bestwiny – i proszę o zwrot.

Załączam wyrazy głębokiego szacunku

Bestwina 26/9 1923. Ks. Józef Rączka
proboszcz i dziekan

+

JWielmożny Panie
Prezesie!

Bardzo dokładnie Wielmożny Pan Prezes bada historyę Kopy-czyńskich, pochodzących z Betwiny, skoro napisał do Pogwizdowa, dowiedziawszy się uprzednio o Bestwinach zaradzkich. Otóż nasze Bestwiny to tylko dawna karczma, a obok niej czworak dworski i chata niska ubogiego wyrobnika dworskiego. Zapytałem się starych ludzi, czemu nazywa

58

się Bestwiny, odpowiedziano mi: tak tu w tej karczmie ludzie dawniej pili, że jak bydlęta się bestwili." A więc nie ma tu żadnej wsi tej nazwy, ani żadnej dalszej historyi.

Z szacunkiem
i poważaniem
Ks. Siedlik
proboszcz

Pogwizdów 30/8 1925.

Wielce Szan. Pani Prezesie!

W sprawie Kopernickich z Biestrzyn. donoszę uprzejmie, że takiego nazwiska w tutejszych księgach metrycznych nie napotkałem.
Łączę wyrazy szczerego poważania

X. M. Skowiczny
proboszcz.

Bańków, dnia 9. IX. 25.



Obok umieszczona fotografia przedstawia kościół w Bestwinie koło Oświęcimia, zbudowany w r. 1630 na temsamem miejscu, na jakiem znajdowały się kościoły poprzednie od niepamiętnych czasów. Wprawdzie nie tento kościół, który tu na obrazku widnieje, ale poprzedni, inny stojący na tem miejscu był ośrodkiem kultu religijnego Topaczów czyli Kopaczów z Bestwiny, późniejszych założycieli Kopyczyniec na Podolu.

*

Oto Kwartalnik Historyczny, rocznik VIII (r. 1894) str. 643 i nast. przytacza ów dokument z r. 1391 w dosłownem brzmieniu a dotyczy on nadania, uskutecznionego przez Królowę Jadwigę na rzecz Piotra Dobka z Olewina, następnie przez króla Jagiełłę w obozie pod Horodłem w sierpniu 1391 potwierdzonego.

Była to nagroda Dobka (Dobkowica) za udział w wyprawach ~~przed~~ przedsiębranych przez Jadwigę w latach 1386–1390 celem odebrania od Węgrów Rusi z tej strony Dniestru. Dokument ów w przekładzie z łacińskiego na polskie brzmi:

Władysław z Łaski Bożej Król Polski, Wielki Książę Litewski a dziedzic Rusi, oznajmiamy wszystkim i każdemu, ktoby chciał mieć wiadomość w tejto sprawie i oświadczamy dla ciągłości biegu tego, co zaszło:

Wielce nam została zachwalana i miła służba dzielnego Piotrka Dobka z Olewina, naszego wojownika, która nam we wszystkich wyprawach wojennych a szczególnie niedawno w szeregach wojskowych, zaciągniętych pod auspicjami najdostojniejszej Jadwigi z Opatrzności Bożej Królowej Polski, małżonki naszej najdroższej a wyprowadzonych celem odzyskania posiadania w Ziemiach Ruskich z tej strony Tyru (Dniestru) położonych, wbrew treści przywilejów oderwanych, jaką wiernie i dzielnie świadczył i aż dotąd świadczyć nie przestaje. Przeto mając wzgląd na zasługi tegoż Dobka z Olewina i chcąc go skłonić do tem większego posłuszeństwa i uległości, sami, z pełną rozwagą i z naszej królewskiej łaski a za zgodą naszych doradców, wsie nasze Jabłonów, Celejów i Wistę, położone w Województwie Ruskiem, w Ziemi Halickiej w powiecie trembowelskim, niedawno przez wojska Najdostojniejszej Królowej, małżonki naszej, z nieprawnego używania i dzierżenia uzurpatorów odzyskane i do dzierżaw naszych zwrócone a temuż dzielnemu Dobkowi z Olewina oddane przez tę Najdojniejszą Królowę, małżonkę naszą na znak jej królewskiej hojności i naszej królewskiej szczodrobliwości, my także potwierdziliśmy, nadaliśmy, przydzieliliśmy, według tego też zatwierdzamy, nadajemy i przydzielamy.

A prócz tego, aby mógł mieć tem większy dowód obietnicy naszej łaski, postanowiliśmy, aby sama sto polskich grzywien monety i wagi, licząc 48 groszy na

każdą grzywnę, temuż dzielnemu Dobkowi z Olesina, w miarę tego jak gorąco od nas żądał do wzmiankowanych wyżej wsi Jabłonowa, Celejowa i Wisły były przywiązane, jak to wpisujemy i łączymy do obecnego aktu, póki rzeczone wsie sam dzielny Dobek z Olesina z wszystkimi i pojedynczymi plonami, wyrosłymi i zebranymi ~~plonami~~ pożytkami, według tego, jak w swoich granicach długo, szeroko i wokoło rozciągnięte głazami są oznaczone i zdawna w swoich granicach są zawarte, oczywiście zaczynając od rogu dóbr szlachetnych Czartkowskich, który jest przy potoku zwanym Kraszewy, koło granicy dóbr Kobylerki, całkiem prosto do kąta (dóbr) szlachetnych Kopycieskie, który jest w miejscu zwanem Czarne Łozy, a od tego miejsca Czarnych Łóz przez pola zwane Szwayce aż do drogi kobylerskiej, ciągnącej się ku Niżborgowi i aż do rogu dóbr Niżborg, który jest niedaleko od wspomnianej drogi, wreszcie od tego rogu koło domostwa zmarłego Miszka, koło pustkowia Jadźwing, przez łąki Rokitne do granicy szlachetnych Sieciechowskich, stąd zaś prosto do pagórka na górze ku Chorostkowi szlachetnych z Pomorzan, następnie schodząc ku rzece Tayszmie przez bród Kamienobród ku i koło domostwa pracownika Hrycia Nediłki z Chorostkowa i aż do kąta Kobylereck koło moczaru Ruda ku Popławom a stąd nareszcie prosto do lasu i mostu na Kraszewym do pagórka zwanego Dmytryn Horb — temuż dzielnemu Dobkowi jako nagrodę za wierną obowiązkowość podług łaskawości Królewskiej i według wrodzonej naszemu Majestatowi wspaniałomyślności dajemy, przekazujemy hojnie i darujemy aż do jego ostatecznego kresu życia. Także Dobek z Olesina ze wszystkimi ogółem i pojedynczymi tych wsi pożytkami, dochodami z ról, łąk, pól, lasów, gajów, zwierzyn łownych, pasiek,

rybołowstwa, stawów, ~~gajów~~ rzek, wód łącznych i przynależności do tych wiosek w jakikolwiek sposób z dawnych czasów pochodzących, ma on mieć, dzierżyć, użytkować i w spokojności po koniec dni swoich posiadać, wolny od poboru podatków, naturalnie i od uiszczania jakichkolwiek danin do stołu Królewskiego, od których mieszkańcy ziemi trembowelskiej są wolni. Z racji (posiadania) tych wiosek ów dzielny Dobek z Olewina z jednym zbrojnym we włócznię i z trzema zbrojnymi w miecze albo Tucznikami będzie miał obowiązek służyć nam do wyprawy wojennej i do naszych wojsk Królewskich się przyłączyć.

Już zaś po ostatecznym czasie jego życia, wspomniane dobra, po zapłaceniu jego dzieciom lub jego żyjącym dziedzicom sumy stu grzywien zapisanej, winny powrócić z pełnem prawem do nas lub do naszych sukcesorów. W dowód ~~czego~~ tego dokładamy pieczęć do tego dokumentu.

Dane w obozie Królewskim blisko Horodła w dzień niedzielny w uroczystość świętego Bartłomieja w r. 1391.

Jest to więc nowy dowód, że Kopyczyńscy byli już na tej ziemi przy końcu XIV wieku. Zachodzi teraz pytanie, czy przybyły wojownik herbu Topacz (Kopacz) z Bestwiny nadał istniejącej już starej osadzie nową nazwę Kopyczyn, czy też odwrotnie, on sam przybrał nazwisko dla siebie od istniejącej już osady Kopyczyn. Wydaje mi się to pierwsze bardziej prawdopodobne. Oto według nowszych wyników badań heraldycznych, herb odmiany mylnie zwą

Topacz, bo prawdziwe zwał się Kopacz, a po nadaniu tej ziemi rycerzowi z Bestwiny herbu Kopacz, on nazwał nadaną mu osadę według swojego herbu Kopaczyn lub Kopyczyn, podobnie jak Grzymałów pochodzi od nazwy herbu Grzymała, Nałęczów od herbu Nałęcz itp. Szeregując ostatecznie wszystkie dane w tym kierunku dochodzi się do następujących rezultatów. Oryszkowce lub Horyszkowce były starą osadą ruską, jak o tem świadczy samo brzmienie nazwy (osiedleńcy z gór, hor, stąd horyszkowce) i stanowiły własność książęcą, potem królewską, oddawaną tytułem lennym wojownikom kresowym. Przy końcu XIV wieku otrzymali je możliwie od Władysława Opolczyka tytułem lenna Kopaczowie z Bestwiny i ówczesnym zwyczajem nazwali Oryszkowce od swego herbu Kopaczyn lub Kopyczyn, poczem sami pisali się już Kopyczyńscy lub Kopycieńscy. W dalszym ciągu za zasługi prawdopodobnie poniesione później przy wypieraniu z tych stron Węgrów około lat 1387 – 1390 za czasów królowania Jadwigi, znaczniejszą część lennego obszaru oryszkowieckiego dano Kopyczyńskim na wieczystą własność, podobnie jak otrzymał Dobko z Olewina Uwisłę, Swyczko z Leczyna Żwaniec 1431 – Piotr Kaczorek Uście nad Smotryczem 1403, Fredro z Pleszowic osadę nazwaną od swego nazwiska Fredrowcami 1410, Chodko Kroata Jarmolińce 1407 itp. Z wydzielonego i rycerzom z Bestwiny na własność oddanego obszaru powstały Kopyczyńce jako osada pochodna od

dawniejszego „Starego” Kopyczyna. 64 Widocznie zaś Kopyczyńscy posiadali najpierw w lennie Kopyczyn, bo do końca istnienia przedrozbiorowej Polski nigdy Oryszkowce czyli Stary Kopyczyn nie był nikomu nadany na własność, lecz dawano go w lenno (przeważnie Potockim), a dopiero później otrzymali na własność Kopyczyńscy z dóbr królewskich oryszkowieckich obszar nad Niczławą, gdzie założyli około r. 1400 Kopyczyńce. Kiedy otrzymali Kopyczyńscy przywilej na założenie miasta, dokładnie nie jest wiadomem, ale skoro już w akcie erekcji kościoła i plebanji kopyczynieckiej w r. 1443 jest wzmianka o „oppidaneos” tj. o mieszczanach, przeto przyjąć wypada, że już w r. 1443 Kopyczyńce były miastem, bo miały mieszczan i wójta.

*

Wiadomości o samych Kopyczyńskich choć są skąpe, jednak przecież odtwarzają pobieżnie dzieje tej rodziny, związanej bardzo ściśle z dziejami miasta Kopyczyniec. Byli to ziemianie i wojownicy bez większego znaczenia. Ze starych aktów daje się stwierdzić, że zaledwie jeden Kopyczyński był posłem a inny starostą – i to już były najwyższe godności w tej rodzinie. Ale nie brakło im ludzi zasłużonych i dzielnych. Dominikanin O. Szymon Okolski w dziele swojem Orbis Poloniae pisze o Kopyczyńskich, że byli ciągłymi wojownikami i przebywali w obozach wojennych. Okolski umarł w r. 1654, był przeorem w Kamieńcu 1641, w Tyśmienicy 1646, w Jezupolu 1648, prowincjałem we Lwowie

1649, żył więc równocześnie [65] z Kopyczyńskimi i prawie pewnem się wydaje, że znał osobiście wówczas żyjących Kopyczyńskich, zatem to, co napisał, możemy uważać za autentyczne.

Wspomniałem już, że pozostaje niepewnem, jak się nazywał pierwszy wojownik piszący się z Bestwiny, któremu obszar ziemi dzisiejszych Kopyczyniec nadano, bo brak odnośnych dokumentów. To jednak jest stwierdzonem, że Prandota z Bestwiny herbu Kopacz (lub Topacz) już w latach 1378–1401 mieszkał w Kopyczynie lub może już i na Kopyczyńcach. Prandota miał prawdopodobnie dwóch synów: Jana i Szymona. Jan był posiadaczem Żarwanicy, Szymon pozostał na Kopyczyńcach i był dwa razy żonaty. Z pierwszej żony nieznanego imienia miał syna Stanisława, drugą zaś jego żoną była Offka z Orzka Orzecka, pochodząca z Ziemi Przemyskiej, gdzie rodzice jej mieli conajmniej wsie Sanoczany i Czeszki. Nieużywane dziś imię Offka jest zdrobniałem imieniem Eufemja. Od tejto Offki miał Szymon Kopyczyński syna Jakóba i kilka córek. Wizerunek Offki z Orzęckich i syna Jakóba można dotąd oglądać na alegorycznym obrazie w kościele kopyczynieckim. Rodzina Orzeckich zdaje się, żyje jeszcze dotąd, w każdym razie żyła jeszcze w r. 1858. Po śmierci Szymona K. (zwanego zwykle Szymkiem), posypały się przeciw synowi Jakóbowi procesy. Oto stryj Jan K. z Żarwanicy wszczął w r. 1443 przeciw bratankowi Jakóbowi proces o dział spadku, nadto brat przyrodni Stanisław pozwał tegosamego roku Jakóba o 200 grzywien posagu matki, zapisanego na Kopyczyńcach.

5

Ale widać Jakób Kopyczyński wyszedł ze wszystkiego obronną ręką, bo w r. 1443 ustanowił wraz z żyjącą jeszcze matką Offką wiekopomną fundację kościoła i parafii Kopyczynieckiej, o czem będzie jeszcze osobno mowa. Żył więc odtąd Jakób szczęśliwie na Kopyczyńcach i miał za żonę Katarzynę Fredrównę. Prawdopodobnie założył on pod Kopyczyńcami nową osadę, nazwaną od swego imienia Jakóbowce, później Kubowce, w końcu Kabowce. Jakób i Katarzyna mieli trzech synów: Jerzego, Mikołaja i Stanisława.

W okresie lat 1500 - 1560 jest wzmianka, że na Kopyczyńcach siedział dziedzic Mikołaj Kopyczyński. Miał za żonę Annę, córkę Andrzeja Sieciecha, dziedziczkę na Chodorowcach (w Ziemi Kamienieckiej). Ów Mikołaj miał trzech synów i trzy córki, a to Stanisława, który prawem lennem otrzymał w r. 1551 Hadyńkowce i Oryszkowce — Eustachego zwanego zwykle Ostafijem i Jędrzeja, który poświęcił się trwale służbie wojskowej i był rotmistrzem. Córka Katarzyna wyszła za mąż w r. 1550 za Macieja Siekierzyńskiego, córka Anna w r. 1554 za Andrzeja Krepskiego, a Barbara już po śmierci ojca w r. 1564 za Mikołaja Ludzickiego. Było więc wtedy w szlacheckim domu w Kopyczyńcach u Kopyczyńskich gwarnie i dostatnio, córki dziedzica jedna za drugą wychodziły zamąż a zapobiegliwy Mikołaj prócz Kopyczyniec posiadał także Kocimbińce i połowę Nowosiółki w powiecie halickim. To był ostatni Kopyczyński, który posiadał całe Kopyczyńce. Zdaje się, że za życia jeszcze wyposażył swoje dzieci i obmyślił podział Kopyczyniec. Syna Stanisława osadził na lennie Oryszkowiec i Hadyńkowiec, nadto

syn ten na własność dostał Kocinbińce i część Kopyczyniec, zwaną Barabaszówką. Syn Jędrzej poszedł w świat i jako rotmistrz wojował (a byłyto czasy ciągłych wojen) wreszcie syn Ostafij był zawołanym ziemianinem, posiadając część Niżniowa, Okniany i Kluwińce. Z pozostałych Kopyczyniec przeznaczył Mikołaj jakąś część ~~Ił~~ synowi Ostafiemu, a dalsza i to przeważna część dóbr Kopyczynieckich przypadła najmłodszej córce, sierocie Barbarze, która je wniosła w posagu Mikołajowi Ludzickiemu i odtąd Ludziccy a nie Kopyczyńscy byli przeważnymi panami na Kopyczyńcach. Część Kopyczyniec, jaka się wówczas dostała Ludzickim zwano kilka wieków Ludziczyzną, później zaś Hetmańszczyzną i Kalinowszczyzną. Już więc po śmierci Mikołaja Kopyczyńskiego podzielone były Kopyczyńce na trzy części, a to na część Stanisława Kopyczyńskiego (Barabaszówka) na część Ostafija Kopyczyńskiego i na część główną przypadłą Ludzickim. Ów patrjarchalny Mikołaj Kopyczyński umarł najpóźniej w r. 1562, bo w tym właśnie roku synowie Stanisław i Ostafij dopełnili ostatecznego działu dóbr ojcowskich, Stanisław dostał wtedy na własność Kocinbińce, Ostafij dostał część Kopyczyniec i Kaborce, będąc zarazem dziedzicem na części Niżniowa i Oknianach. Nadto Różyńska darowała mu Kluwińce.

Ostafij Kopyczyński jest jednym z tych dawnych dziedziców Kopyczynieckich, o którym nieco więcej wiemy. Byłto człowiek niezmiernie spokojny, bogobojny i nadewszystko zgodliwy, którato cnota w tych czasach była niemałą rzadkością. Szczególnie częste były podówczas spory graniczne.

Spokojny Ostafij, chcąc mieć pewność granic i zabezpieczyć niezamącone posiadanie dzieciom, pogodził się przy końcu życia w czasie od r. 1593 do ~~163~~ 1614 co do dóbr, granic i pretensji majątkowych z ówczesnym współwłaścicielem części Kopyczyniec Janem Kopyczyńskim i jego żoną Zofią Matyn, a drugą ugodę w tejsamej kwestji zawarł z Albertem Ludzickim, względnie z Mikołajem i Marcinem Ludzickimi synami Jana, współwłaścicielami dalszej części Kopyczyniec (1599). Na kilka lat przed śmiercią poczynił on legaty pobożne a później zdziałał testament na piśmie w Trembowli w poniedziałek po święcie Nawiedzenia Najśw. Marji Panny (a więc w pierwszych dniach lipca) roku 1619. Oto jak zaczyna dziedzic Kopyczyniec spisywać swoją ostatnią wolę:

W Imię Przenajświętszej Trójcy Jedynego Boga Ojca i Syna i Ducha świętego, Amen. Ponieważ na świecie nie masz nic pewniejszego nad śmierć a czasu y godziny żaden wiedzieć nie może, słuszna y przystojna rzecz jest, abyśmy zawsze nie tylko w sumieniu czystem do Pana Boga, uważając sobie przyszły Sąd Boży srogi, gotowymi byli, ale też rozrządzając domy i majętności nasze, jakoby po śmierci naszej między dziatkami pozostałemi swary żadne y rozterki nie powstawały — ja Ostafi Kopyczyński z Kopyczyniec, bacząc się w leciech podeszłych, zaczem złe zdrowie moje nastąpiło, jednak będąc na umyśle zdrowym i na pamięci nie zeszłym, jawnie, dobrowolnie, mając moc wedle prawa pospolitego majętnością swoją dysponować, tak ojczystą dziedziczną y zastawną, leżącą y ruchomą szafować y przed wiecznymi czasy zapisać, oznajmiam jawnie y dobrowolnie:

Z dalej treści testamentu widać,[69] że Ostafij Kopyczyński miał dwóch synów: Mikołaja wójta halickiego i Szymona rotmistrza i starostę petrykowskiego. Mikołajowi zapisał na własność Kluwińce, młodszemu <u>Szymonowi</u> miasteczko Kopyczyńce część i wieś Kaborce, zaś żonie Zofii na tym majątku dożywocie. Ciało swoje kazał Ostafij pochować w kościele kopyczynieckim („w moim kościele w Kopyczyńcach") a na obrzęd pogrzebowy mieli być wezwani kapłani i ubodzy. Ustanowił zapis 100 złp., aby ksiądz za to sprawił ornaty i kapę, nadto ufundował testator szpital na sześć osób, oddając zarząd tegoż proboszczowi i ufundował dziesięcinę snopową z Kluwiniec na utrzymanie przy kościele w Kopyczyńcach wikarego, organisty, bakałarza i ~~kanto~~ kantora. Wreszcie zlecił, by syn Szymon zaopiekował się małżeństwem Tuszowskich, których wnuczce Barbarze zapisał 1000 złp. Co byli za jedni ci Tuszowscy, nie zdołałem odnaleźć, ale sprawa wypłaty tego dużego legatu bardzo potem długo się wlokła, dochodziło do procesów, i jeszcze wnuk Ostafiego Aleksander w r. 1642 przyrzekał zapłacić Janowi i Katarzynie Tusowskim 8000 flor. pol. Jako świadkowie testamentu występowali ks. Wojciech Zygmunt Czarnotęcki komendarz kopyczyniecki, Jan z Polanowic Polanowski cześnik ziemi halickiej i Jakób Skrzelecki pisarz grodzki trembowelski.

Prócz tych synów miał Ostafij Kopyczyński dwie córki, a to Barbarę i Zofię. Nie stało się jednak zadość woli jego wyrażonej w testamencie, nie spoczął na wieki na ziemi kopyczynieckiej, ale zmarłszy we Lwowie, został tam pochowany

u dominikanów, którym zapisał 70 400 złp. Mimo to jednak było spokojnie, bo nadszedł czas, że wieczny spoczynek pochowanym w dominikańskim kościele najeźdźcy zamącili. Oto co pisze notatka dziennikarska z r. 1930.

Pod kościołem OO. Dominikanów znajdowała się kaplica Bożego Grobu, w której przy ścianach wielkiego przedsionka ustawione były grobowce rycerskie. Podziemna krypta przepełniona była trumnami. W roku 1831 pod pozorem cholery zostały one wszystkie wyniesione na cmentarz Łyczakowski. Podziemia straciły swoje świętobliwe przeznaczenie, zaniechano nabożeństw, a miejsce grobów zajęły zapasy jarzyn i beczki wina odnajemców piwnic kościelnych. O pomnikach zapomniano i nikt się o nie nie troszczył aż do chwili, kiedy uderzono na trwogę w dziennikach 1863 r. na skutek zabiegów St. Kunasiewicza.

„Wszystkie pomniki — czytamy w jednem z pism ówczesnych — przedstawiają rycerzy leżących w zbroi i ani jednego z nich nie uszanowano. Oderwane, wyskrobane, poryte całe członki albo części. Niektóre uszkodzenia są jeszcze świeże, jeszcze się szczerzą białością wewnętrzną marmuru czy alabastru. Kilka pomników, jak szabasowy stół, polanych jest łojem od świeczek, które do nich przylepiano, a wszystkie pokryte grubą warstwą pyłu brudnego, formalnie w strzępach wiszącego. Tym samym brudem i pyłem pokryte są sklepienia i ściany tego przecudnego ze struktury swojej podziemia, nie na piwnicę przeznaczonego. Kilka lat temu w jednym kącie był magazyn wódki jakiegoś żyda, dziś u ruin ołtarza i w innych kaplicach zesypywano właśnie kartofle, buraki, rzepę."

Zakonnicy pod naciskiem opinji zezwolili na wydobycie sześciu pomników z katakumb, jednak pod warunkiem przedłożenia wywodu historycznego pochodzenia tych zabytków. Wobec tego zajął się niemi gorliwie A. Sznajder i ogłosił z malarzem W. Leopolskim rozprawę o „Pomnikach w katakombach pod kościołem Bożego Ciała OO. Dominikanów".

—::—

Ostafi był ostatnim Kopyczyńskim, który szczerze się przywiązał do Kopyczyniec, tu mieszkał, okazał się dobroczyńcą ludności, dbając o ubogich i o służbę bożą. On to ufundował wikarego dla parafji Kopyczynieckiej, uposażając go aktem z r. 1613 dziesięciną snopową z Kluwiniec. Z biegiem czasu, a szczególnie z powodu częstego niszczenia tych stron Podola przez przeróżnych nieprzyjaciół i przez trudności dostania kapłanów na wyniszczone okolice,

fundacja ta zaczęła się zacierać i już kiedy nastały czasy normalne, posiadacze Kluwiniec ociągali się z uiszczeniem swej powinności. Tak było do r. 1776. Ówczesny dzielny proboszcz Kopyczyniecki X. Franciszek Szczepankiewicz wszedł w układ z właścicielami Kluwiniec sędzią apelacyjnym Michałem na Bobrowym Bobrowskim i jego żoną Krystyną z Worowskich Bobrowską. Doszło do zawarcia ugody w poniedziałek po św. Marcinie dnia 20 lutego 1776 wobec świadków Andrzeja Borzysławskiego i M. Baworowskiego, spisanej w rezydencji Ks. proboszcza, mocą której właściciele Kluwiniec zostali zwolnieni z uiszczania dziesięciny snopowej a płacić mieli na wikarego po 300 zł. pol. rocznie. Tejsamej sprawy dotyczył akt drugi z dn. 19 sierpnia 1776 o nieznanej bliżej treści, możliwie był to zapis kaucyjny tej fundacji na dobrach Kluwinieckich, za co proboszcz miał nieczęściej odprawiać co kwartał mszę na intencję darczyńców. Arcybiskup lwowski Wacław Sierakowski obie ugody zatwierdził dnia 4 grudnia 1776. Nadto Magdalena z Bobrowskich Hulewiczowa zapisała 500 zł. pol. na rzecz kościoła Kopyczynieckiego jako fundusz mszalny i za to miał proboszcz odprawiać rocznie po cztery msze za spokój duszy Heleny Puzinowskiej. Tę sumę ulokował Ks. Szczepankiewicz na dobrach Kluwinieckich. Później przeszły Kluwińce na Bogusckich i zczasem znów wypłata powyższych sum poszła bądź w odwłokę bądź nawet w niepamięć. Po rozbiorach Polski, pod naciskiem rządu austrjackiego sumy fundacyjne miały być kościołowi zapłacone, ale ze zapłatą szło bardzo opornie. W sprawozdaniu do „Czortkower-Kreisamt" z daty Ko-

pyczyńce 27 sierpnia 1823 żalił się proboszcz Kopyczyniecki ks. Jan Wojnarowski, że Dominjum Kluwińce nie zapłaciło dłużnego kapitału w sumach 375 f. i 125 f. na wikarego. Aż dopiero potrzeba było procesu, który Prokuratorja Skarbu we Lwowie wytoczyła imieniem Kościoła Kopyczynieckiego w r. 1863 Tomaszowi Bogackiemu o wspomniane sumy. Wyrok zapadł dnia 9. sierpnia 1864 skazujący pozwanego na zapłatę 1500 zł. pol. czyli 375 zł. wal. wied. albo 157 zł. 50 ct. wal. austr. z 5% od 26. lutego 1860. Po zmiennych kolejach losu tych zapisów pobożnych, spłacono dopiero dnia 15 czerwca 1898 wspomniane legaty w kwotach 157 zł. 50 ct. wal. austr. i 52 zł. 50 ct. tejże waluty. Za uzyskane pieniądze kupiono listy zastawne Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie, których odbiór poświadczył dnia 18 września 1899 ks. J. Stojak, administrator parafji Kopyczynieckiej. Na prośbę Władysława Bogackiego ówczesnego właściciela dóbr Kluwińce i Morawszczyzna sumy 1500 i 500 zł. pol. wpisane na rzecz kościoła Kopyczynieckiego, zostały z hipoteki tych dóbr wykreślone. Po wojnie światowej w latach 1914/22 wartość papierów lokacyjnych spadła niemal do kilkudziesięciu groszowej wartości. W ten to sposób pobożna a hojna fundacja Ostafiego Kopyczyńskiego rozpłynęła się i wypaczyła a do jej wypełnienia potrzeba było aż 279 lat.

Po Ostafim objął dziedzictwo rodzimej części Kopyczyniec i Kaboniec syn jego <u>Szymon</u> Kopyczyński, rotmistrz i starosta petrykowski. Miał za żonę Zofię ze Skotnickich. Był to najdzielniejszy z Kopyczyńskich rycerz kresowy. Współcześnie z nim żyjący Okolski pisał, że przez całe życie

był Szymon Kopyczyński znakomitym wojownikiem w licznych wyprawach wojennych, przysporzył chwały sobie, Ojczyźnie i swojej potomności. Inne źródło podaje, że Szymon K. odznaczył się jako rotmistrz królewski w wojnie r. 1621. Wysłany przez Stanisława Lubomirskiego, aby bronił przeprawy Turkom przez Dniestr, otoczony przez przeważającą siłę nieprzyjaciół, dzielny im stawiał opór, aż z niebezpieczeństwa uwolnił go Koniecpolski. O innym świętym czynie Szymona Kopyczyńskiego wspomina rzadka dziś książeczka "Djarjusz prawdziwego zwycięstwa nad Turkami, otrzymanego roku 1624 dnia 20 czerwca." Według treści tej książeczki w tymto dniu stanęło wojsko polskie na polach popławnickich pomiędzy Bołszowcami a Haliczem, mając przed sobą Turków. Ówczesnym zwyczajem rozpoczęły się najpierw wstępne harce, do których ze strony polskiej wystąpił Szymon K., został jednak w starciu silnie postrzelony. W młodym zaś jeszcze wieku brał Szymon K. udział w latach 1610/12 w wyprawie na Moskwę, prowadzonej przez Żółkiewskiego, niezawodnie więc uczestniczył w owej słynnej a zwycięskiej bitwie pod Kłuszynem, gdzie Polacy pokonali sześciokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela, a całkiem pewnie załogował potem w zajętej Moskwie, po osadzeniu królewicza na tronie carskim. Szymon K. zmarł w r. 1630, licząc lat 55, pochowany w Kościele Bożego Ciała we Lwowie. Na nim kończą się dobre czasy w dworku kopyczynieckim i w rodzinie Kopyczyńskich. Z nim razem zeszła do grobu szczęśliwa gwiazda Kopyczyńskich. Odtąd nieszczęśliwe wypadki sypały się na tę rodzinę i na całą ludność kopyczyniecką. Szymon zostawił dwóch synów i dwie

74

córki. Jak się dzieci podzieliły majątkiem, nie jest dokładnie znane. Synami dzielnego Szymona Kopyczyńskiego byli Aleksander i Piotr Kopyczyńscy. Według źródeł parafialnych obaj synowie mieli dziedziczyć na mocy testamentu Szymona, ale testamentu tego nie odpytałem.

Aleksander K. miał za żonę Elżbietę Drohojowską i posiadał znaczny majątek, był bowiem panem na Niżniowie, Oleszowie, Kutyszczu, Bratyszowie, Nowosiółkach i Okmianach. Będąc jednak popędliwym, zabił w r. 1640 swego szwagra Jana Makowieckiego, za co czekała go ciężka kara. Aby jej ujść, poprzedał szybko swój majątek i ukrywał się długi czas przed odpowiedzialnością sądową. Tymczasem starano się o złagodzenie całej sprawy. Aleksander na reszcie majątku zapisał na rzecz spadkobierców dożywocie, lecz niebawem potem wyruszył w pole dla odparcia najazdu nieprzyjacielskiego i zabity został przez kozaków w Paniowcach, gdzie też zatraciły się wszystkie przywileje i dokumenty Kopyczyńskich, ku wielkiej szkodzie tak rodzinnej, jak i ze względu na to, że stanowiły ważne źródło dziejowe dla miasta Kopyczyniec. Dopiero w r. 1660 siostry jego złożyły w grodzie trembowelskim sumarjusz tych dokumentów sporządzony w r. 1639, lecz to nie mogło zastąpić ubytku oryginałów.

Piotr Kopyczyński był drugim synem Szymona. Według śladu w aktach dziedziczył on część Kopyczyniec i Ostapjówkę. Był to ostatni męski dziedzic Kopyczyńskich, który posiadał kopyczyniecką ziemię. Za żonę miał Zofię z Broniewskich, która po jego śmierci wyszła zamąż za

Stanisława Poniatowskiego. Nie miał męskiego potomka, lecz tylko jedną córkę Barbarę, zamężną później za Marcinem Siekierzyńskim, miecznikiem podolskim. Niczem godnem nie zapisał się Piotr Kopyczyński w dziejach naszego miasta, ale też żył w ciężkich czasach wojen Kozackich za Chmielnickiego i wojen szwedzkich. Zostawił testament zdziałany w Kopyczyńcach 18 sierpnia 1652, którego świadkami byli Tomasz Zaptatyński dominikanin, Stanisław Krzeszowski, Szymon Gadnowski. Z treści testamentu jest widoczne, że kazał się pochować u OO. Dominikanów w Czortkowie i zapisał na ich klasztor złotych pol. 500. Żonie przeznaczył dożywocie na majątku, nie podano jednak, jaki majątek zostawił. Zdaje się, że żona niezbyt przejęta była żalem po zgonie męża, bo już w r. 1653 była ponownie zamężna za Stanisławem Poniatowskim. Nadto ustanowił zapisy służbie, na budynek kościoła Kopyczynieckiego zapisał 100 zł. pol. a na szpital 40 zł. Na opiekunów dla córki wyznaczył Mikołaja Borowskiego i Jana Brodowskiego. Niezasłużenie spoczął Piotr K. na wieki w kościele dominikańskim w Czortkowie, bo gdy w r. 1908 rozbierano tamtejszy stary kościół, aby na tem miejscu postawić nowy, znaleziono w podziemiach kilka trumien, niewiadomo czyje zwłoki kryjących. Sądzę, że jedna z nich zawierała szczątki Piotra Kopyczyńskiego.

Dobra Kopyczyńce i Ostapiówka przeszły na córkę Barbarę Siekierzyńską i ona była ostatnią z Kopyczyńskich, ~~którzy~~ która Kopyczyńce posiadała. O życiu jej niczego nie wiemy, niewiadomo nawet gdzie i kiedy zmarła. W każdym razie żyła jeszcze w r. 1694, a w r. 1693 sprzedała Niż-

niów Jabłonowskiemu. Była bezdzietną i w roku 1683 w Bełzie darowała dobra Kopyczyńce i Ostapiówkę swoim ciotecznym braciom Szymonowi i Wacławowi Baworowskim, synom Mikołaja Baworowskiego i Barbary z Kopyczyńskich. Wtedy jednak były Kopyczyńce całkowicie przez nieprzyjaciół zniszczone, Szymon Baworowski dostał się do niewoli tureckiej a Barbara Sieklerzyńska darowiznę odwołała. Doszło wolnutek tego do procesu, a gdy Szymon wrócił z niewoli, przywróciła też ona darowiznę w r. 1694. Odtąd właśnie Baworowscy posiedli część Kopyczyniec, a niemal w sto lat później nabyli resztę Kopyczyniec z rąk innych współwłaścicieli i stali się całkowitymi właścicielami dóbr Kopyczynieckich, o czem będzie mowa w dalszym ciągu tego opowiadania.

Tyle wiemy o synach Szymona Kopyczyńskiego. Dwie córki Szymona miały to nieszczęście, że coraz wdowiały. Starsza Zofia była trzykrotnie zamężną a to 1° v. jako Romerowa, 2° v. Iwańska 3° v. Porczyńska. Młodszą Barbarę, już po śmierci ojca Szymona wydała matka w r. 1631 Zofia ze Skotnickich za Andrzeja Kalinowskiego, syna Wojciecha, Towarzego podolskiego i Jadwigi z Lanckorońskich. Barbara wniosła swemu mężowi w posagu 16.000 flor. pol., o który to posag jeszcze po 125 latach procesował się prawnuk Ignacy Rzeszowski. Po śmierci Kalinowskiego wyszła Barbara ponownie zamąż za Jana Makowieckiego, którego zabił popędliwy szwagier Aleksander Kopyczyński. Wreszcie po raz trzeci wyszła zamąż za Mikołaja Baworowskiego (1647), sędziego kapturowego halickiego.

Nieliczna rodzina Kopyczyńskich[77] żyła w innych stronach, a o ile mogłem znaleźć żył jeszcze w r. 1857 Franciszek Kopyczyński, dawny major wojsk polskich (1829), później sędzia pokoju siennicki. Był właścicielem Zbrodzic i Krzywicy (na wschód od Warszawy), bezdzietny. Po jego śmierci żona sprzedała majątek ziemski, przeniosła się do Siennicy (koło Mińska Mazowieckiego), gdzie mieszkała w domku „po schodkach", tu też zmarła. Z czasem nazwisko Kopyczyński przemieniło się w Kopyciński. Franciszek Kopyciński pozostawił po sobie jak najlepszą pamięć, jako człowiek wielce dobry i zacny. Na cmentarzu parafialnym w Siennicy spoczywają obok siebie doczesne szczątki małżonków Kopycińskich. Na krzyżu żelaznym widnieje napis:

Franciszek Kopyciński
major b. W. P. sędzia pokoju zmarł 15 grudnia 1857.

Obok zaś na płycie z białego marmuru na grobie żony widać napis:

D. O. M.
Izabela z Kopycińskich Kopycińska
zm. 1871.

Groby ich znajdują się za pomnikiem Bogusławskich. Co za dziwny obieg okoliczności. Emigrant Bogusławski, zmarły około r. 1884 w Kopyczyńcach, spoczął na wieki na ziemi Kopyczyńskich w Kopyczyńcach obok popiołów dawnych Kopyczyńskich, zaś ostatni prawdopodobnie Kopyczyński spoczął na ziemi mazowieckiej obok grobów Bogusławskich. Nadto w ścianę kościoła parafialnego w Sien-

nicy wmurowana jest tablica żelazna ku pamięci Franciszka Kopyczyńskiego.

*

Starałem się dojść i zbadać, gdzie był dom mieszkalny Kopyczyńskich w Kopyczyńcach, ale poszukiwania moje nie odniosły dodatniego rezultatu. Podole było często niszczone, musiano dworek kopyczyniecki nieraz a może i kilkanaście razy odbudowywać, niewiadomo czy zawsze na temsamem miejscu. Ale o ile przypuścić można, stał on na tem miejscu nad stawem, gdzie dziś stoi dwór Baworowskich. Wskazują na to różne szczegóły topograficzne, a to centralne położenie, pobliże kościoła i cerkwi i sąsiedztwo dwu źródeł krynicznej zdrowej wody.

*

Zczasem więc rozdzieliły się Kopyczyńce na trzy części, których losy w ten sposób się ułożyły: pierwsza rodzinna część Kopyczyniec, jak to już wyżej opowiedziałem przeszła później drogą darowizny z Kopyczyńskich na Baworowskich. Drugą część Kopyczyniec z Barabaszówką darował w r. 1612 Jan (syn sędziego halickiego Stanisława) i Zofia Kopyczyńscy Pawłowi Krężelewskiemu, właścicielowi Podwyszyniec, Kociubiniec, Kręgulca, Żabiniec, części Niżborga, Kapuściniec i Myszkowiec. Paweł Krężelewski zmarł około r. 1620 i został pochowany w Podwyszyńcach w kościele, który sam ufundował i wyposażył, a który konsekrował

78a

dn. 24/IV 28 r.

Wielebny Księże Proboszczu!

Babcia oboje św. p. państwa Kopycińskich pamięta i zwłaszcza o nim wyraża się jako o nadzwyczajnie dobrym i zacnym człowieku. Pan Kopyciński był właścicielem Krzywicy i piastował urząd sędziego Pokoju w Liennicy.

Po jego śmierci żona sprzedała majątek i przeniosła się do Liennicy. Mieszkała w domku „Po schodkach" jak dziadzi wspominał. Oboje Kopyczyńscy zostali pochowani na cmentarzu w Liennicy. Groby ich znajdują się za pomnikiem Bogusławskich. Byli bezdzietni. Mie

78c

li podolno wychowankę, lecz co się z nią stało, babcia nie wie.

Wyrazy szacunku i poważania

łączy

W. Śliwowska

78e

Szanowny Panie
Sędzio!

W związku z listem z dnia 16/IV - b. r. przesyłam panu niniejszem parę notatek.

Na cmentarzu parafialnym Siennickim obok siebie spoczywają ciała małżonków Kopczyńskich. Na krzyżu żelaznym widnieje napis: Franciszek Kopczyński, major b. W. P., sędzia pokoju, zm. 15 grudnia 1857 r., - zaś na płycie białego marmuru, leżącego na grobie innym napis: D. O. M. Izabela z Kopczyńskich Kopczyńska, zm. 1871 roku /dnia nie notowano/.

Pamięci ś. p. Kopczyńskiego wmurowano w ścianę kościoła poprzednio OO. Reformatów, dzisiaj parafialnego w Siennicy tablicę z żelaza z napisem: pamięci Franciszka Kopczyńskiego, zmarłego dnia 15 grudnia 1857 r. Kochał Boga, służył krajowi, uszczęśliwiał żonę. (dzieci snać nie pozostawił, nigdzie o nich brak wzmianki)

verte

W miejscowych aktach śmierci notatki o zgonie ś.p. Kopycińskiego jakoteż jego małżonki brak. Czem ten brak tłumaczyć – nie wiem. Według mych przypuszczeń małżonkowie zmarli poza obrębem parafii lub rzeczywiście zaniedbano sporządzenia obowiązkowego aktu śmierci. To drugie przypuszczenie, zdaje się, będzie słuszniejsze.

Resztę wiadomości zaczerpnie łaskawy Pan [illegible] z załączonego listu, pisanego przez pannę Wandę Dłużewską pod dyktandem jej babci staruszki, wiekiem bodaj w okolicy najstarszej, obywatelki ziemskiej, liczącej przeszło 80 lat, pani Ludwiki z Carowskich Dłużewskiej.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Ks. [illegible]

biskup Kamieniecki Białobrzeski.[79] Parafia ta należała do Jezuitów w Kamieńcu. Po śmierci Krężelewskiego owa część Kopyczyniec przeszła w spadku na jego dwie córki, a to na Katarzynę 1° Kozietulską 2° Wolińską, żonę Marcina i na Agnieszkę 1° Ciąską 2° Stanisławską, żonę Adama, kasztelana Kamienieckiego. Z nich przeszła ta część na krewnego Michała Jordana, właściciela Kolędzian i połowy Kocinbiniec. Jordan zastawił w r. 1695 swoją część Kopyczyniec Szymonowi Bawor[o]wskiemu za 10.000 fl. pol. były potem o tę część po śmierci Jordana (1714) liczne procesy, Jordanówie je wygrali i następnie część ta przeszła na Sieniawskich.

Dzieje trzeciej części Kopyczyniec, zwanej Ludziczyzną były następujące. Barbara, najmłodsza córka Mikołaja Kopyczyńskiego wyszła w r. 1564 zamąż za Mikołaja Ludzickiego, wojskiego i komornika halickiego, któremu jako posag wniosła główną część Kopyczyniec, zwaną odtąd od rodziny Ludzickich Ludziczyzną. To był pierwszy rozdział Kopyczyniec, dokonany na rzecz obcej rodziny. Ludziccy byli herbu Grzymała, przenieśli się na Ruś Czerwoną z Kujaw (z Ludzic, dziś w powiecie Strzelno, wojew. poznańskie). Miasto Grzymałów na Podolu było odtąd ich ośrodkiem rodzinnym. Mąż Barbary Mikołaj Ludzicki był właścicielem Bucykowa i Leżanówki. Koleje jego życia mało są znane. W r. 1597 już nie żył, a pozostawił trzech synów i dwie córki: syna Macieja, którego losów nie znamy, syna Olbrachta wojskiego trembowelskiego, dziedzica Grzymałowa, Leżanówki,

Bucykowa i okna, który w r. 1615 dostał się z rodziną w jasyr tatarski, wreszcie Jana, dziedzica na części Kopyczyniec, Słobódce i Kabowcach. O Janie wiemy jeszcze mniej niż o jego ojcu. Synem Jana był Marcin Ludzicki i onto po ojcu tę część Kopyczyniec odziedziczył. Marcin Ludzicki był żonatym, bezdzietnym. Za żonę miał Zofię Kopyczyńską, córkę Stanisława, która męża przeżyła. Ten Ludzicki odznaczał się naturą samodzielną, czynną, pochopny był do wypitki i do wybitki. W r. 1632 jeździł z Kopyczyniec do Warszawy na elekcję króla i podpisał akt elekcyjny za królewiczem Władysławem. Uposażył ówczesny kościół kopyczyniecki, dobudował kaplicę i ufundował dotację na drugiego wikarego. Zrobił testament w r. 1638 a zmarł w r. 1640. Jako świadkowie testamentu widnieją ks. Marcin Czernesz proboszcz kopyczyniecki, Jan Juszowski, Mikołaj Skarzyński i Stanisław Gawarecki. Po śmierci Ludzickiego udał się zaraz ks. Czernesz w najbliższą sobotę do grodu trembowelskiego, gdzie testament okazał i do akt grodzkich wpisać polecił. Na kogo po Marcinie Ludzickim ta część Kopyczyniec przeszła, nie jest ściśle. Według źródeł z parafii kopyczynieckiej (które nie wspominają o pozostałej wdowie) przeszła ta część na Olbrachta a potem na synów Olbrachta Ludzickiego (brata a raczej stryja) a potem na synów Olbrachta Ludzickiego (brata a raczej stryja) i Prokopa (akademika krakowskiego, autora poematu „Księży: Prokopa (akademika krakowskiego, autora poematu „Księżyc płaczący po zgonie Alexandra Sieniawskiego") i Kaspra Ludzickich. Bądź oni obaj sprzedali, bądź może tylko sam Prokop jakąś część swej części Kopyczyniec sprzedał Stanisławskiemu, nabywca się (zięć Parta Kręzelewskiego) pomnożył swą część

Kopyczyniec, otrzymaną za żoną Agnieszką z Krezelewskich, o część kupną od Ludzickich. Nadto jest zupełnie pewne, że Kasper Ludzicki sprzedał jakąś niedużą cząstkę części Kopyczyniec około r. 1648 za 4000 flor. pol. Pawłowi i Annie Grabowskim. Z nich przeszła potem ta część na Andrzeja Grabowskiego. Jakąś bardzo małą cząstkę Ludziczyzny posiadał około roku 1717 Franciszek z Granowa Granowski, pozywany przez Józefa Baworowskiego i Jana Lenkiewicza do sądu o excesy dragonów. Cząstką tą administrował Stanisław Grabowski.

Część Kopyczyniec zwana Ludziczyzną była w posiadaniu rodziny Ludzickich zaledwie nieco ponad sto lat. Jak wspomniałem rozpadła się Ludziczyzna po bezdzietnym zgonie Marcina Ludzickiego pomiędzy dalszą rodzinę, a ta wyzbywała się pięknego kawała ziemi podolskiej na ludzi obcych. Główną część Ludziczyzny widzimy następnie w posiadaniu Mikołaja Wieniawskiego podczaszego przemyskiego i starosty mogielnickiego. Żoną jego była Alexandra z Odrzechowskich, wdowa po Stanisławie Boguszu, staroście mogielnickim. Wieniawski procesował się całe życie, umarł około r. 1728, poczem własność Ludziczyzny przeszła na jego małoletnie dzieci: Tomasza, Józefa, Jana, Michała, Antoniego i Anielę Wieniawskich, dożywocie zaś pozostało przy wdowie Alexandrze, która długie lata przeżyła. Zarządcą Kopyczynieckiej Ludziczyzny był wtedy Szyszkowski. Opiekunami sierot byli Ks. Franciszek Wieniawski kanonik lwowski i Marcin Wieniawski, chorąży przemyski. Starościna Wieniawska odbyła

podróż z Kopyczyniec do Rzymu, co na owe czasy było niesłychanie uciążliwą wyprawą. Stamtąd przywiozła w darze kościołowi Kopyczynieckiemu krucyfiks srebrny z ewangielistami i relikwią z drzewa Chrystusowego, tudzież srebrny pacyfikał z relikwiami świętych. Obie te pamiątki przechowane są dotąd w obecnym nowym kościele. Nie ma śladu, by po śmierci wdowy dzieci gospodarzyły na Ludziczyźnie, z czego wnosić można, że ją sprzedano, gdyż następnie widzimy tę część Kopyczyniec w rękach najmożniejszego w Polsce magnata Adama Mikołaja Sieniawskiego, hetmana wielkiego koronnego, starosty lwowskiego i rohatyńskiego, który żył za czasów Augusta II a umarł w r. 1726. Od tegoto hetmana część Kopyczyniec dawniej zwana Ludziczyzną przybrała nową nazwę Hetmańszczyzna, a folwark od strony Chorostkowa przybrał nazwę „hetmański". Nazwa Ludziczyzna poszła zupełnie w zapomnienie, utrzymała się jednak dotąd nazwa Hetmańszczyzna. Wojewoda Sieniawski aktem działowym zawartym w roku 1722 ustalił podział dóbr Kopyczyńce i Ludziczyzna między sobą a współdziedzicem Józefem Baworowskim, podczaszym trembowelskim. Sieniawski, choć pan możny i bogaty, choć wsławił się tem, że 200.000 czerwonych złotych wydał na wykup z niewoli tureckiej wojowników polskich, niczem a niczem pamięci swojej w Kopyczyńcach nie ugruntował, chyba bardzo licznemi procesami i sporami sąsiedzkiemi. Toteż pamięć po nim wszelka w Kopyczyńcach zanikła, wielu zaś przypisuje mylnie nazwę Hetmańszczyzny innemu ~~het~~ hetmanowi, bo

Marcinowi Kalinowskiemu, poległemu w chwale w r. 1652 w bitwie pod Batohem. Hetman Kalinowski jednak niczego wspólnego z Kopyczyńcami nie miał.

Z hetmana Sieniawskiego ta część Kopyczyniec, tak jak ją on miał prawo na mocy aktu działu z r. 1722 posiadać i posiadał, przeszła po jego śmierci na własność jego jedynej córki Zofii 1° Denhoffowej 2° Czartoryskiej, potem nabył tę ziemię niedaleki sąsiad z Sidorowa Ludwik Kalinowski, starosta winnicki i dobrzyniecki, znany z fundacji kościołów i instytucji dobroczynnych. Był on bowiem fundatorem klasztoru Kapucynów w Winnicy (1745) zakładu ubogich w Sidorowie (1760) i murowanego kościoła w Kopyczyńcach (1762). Ludwik Kalinowski był synem Marcina, kasztelana kamienieckiego i posiadał bardzo liczne włości, a to: Sidorów, Zieloną, Krzywenkie, z Oparszczyzną, Wasylków, Suchodół z Trojanówką, Dobrowody, Hańsk, Kowalówkę, Hrehorów, Milatycze, Olsze, Jawałówkę, wreszcie część Kopyczyniec. Był dwa razy żonaty, a to z Zofią Potocką a potem z Elżbietą Ponińską. Synów nie miał, lecz trzy córki, a to Barbarę zam. za Augustem Ulińskim, Teklę zam. za Antonim Bielskim i Marję zam. za Józefem Ponińskim. Kalinowski wielce się rozmiłował w swej nowo nabytej majętności Kopyczyńce Hetmańszczyzna, chciał ~~dążył~~ dążyć do jej szczególniejszego rozkwitu i utworzyć z niej osobne, obok Kopyczyniec Baworowskiego położone drugie miasto. Uzyskał więc od króla Augusta III w r. 1757 przywilej na założenie nowego miasta na Kalinowszczyźnie i

proklamowania jarmarków. Akt ten wpisał Kalinowski do aktów grodzkich w Trembowli w r. 1758. Przywilej ten jednak zagrażał egzystencji miasta Kopyczyniec i osłabiał materjalnie drugiego właściciela Baworowskiego. Do założenia nowego miasta jednak nie doszło z następujących przyczyn. Ludwik Kalinowski postanowił zbudować w Kopyczyńcach nowy kościół murowany na gruncie, który był wspólną własnością tak Kalinowskiego jak i Józefa Baworowskiego. W tym celu oznaczył nawet Kalinowski na owym wspólnym gruncie miejsce, gdzie miał nowy kościół stanąć, a że to oznaczenie miejsca nastąpiło bez zgody Baworowskiego, przeto Baworowski wniósł w r. 1762 do grodu trembowelskiego manifest przeciw temu obraniu miejsca przez Kalinowskiego. Chcąc zjednać przychylenie Józefa Baworowskiego jako współwłaściciela, zrzekł się Kalinowski założenia przez siebie drugiego miasta, które też z tego powodu nigdy nie powstało. Zamiast miasta widnieje dziś w Kopyczyńcach obszerny, murowany kościół.

Ludwik Kalinowski umarł 20 lutego 1765 roku. Po jego śmierci nastąpił dział spadku, dokonany dnia 27 lipca 1770 przez superarbitra Leona Szeptyckiego, biskupa i administratora Metropolii lwowskiej. Mocą tego działu część Kopyczyniec dawniej Ludwika Kalinowskiego własna przeszła na córkę — Teklę Bielską, z niej następnie przeszła na jej córkę Elżbietę z Bielskich Bielską, żonę hr. Ignacego, ta zaś kontraktem z 24 stycznia 1791 sprzedała swoją część Kopyczyniec Mateuszowi Baworowskiemu za cenę 130.334 zł. pol. Prócz innych szczegółów zawierał kontrakt postanowienie, że cegielnie mają być w ruchu celem palenia cegły

Dnia 27 maja 1928 Sidorów

Proboszcz w Sidorowie zapytany, czy Ludwik Kalinowski nie spoczywa w kościele tamtejszym — odpowiedział, co następuje:

Łaskawy Panie!

Pismo z 16/4 br. i kartę z 18/5 br. otrzymałem. W sprawie zapytywanej nic konkretnego napisać nie mogę. Jestem novus homo. Zapytywałem tu i ówdzie oraz rozpytywałem miejscowych starych ludzi, jakie są ustne podania: otóż Marcin Kalinowski ufundował Dominikanów w Sidorowie i kościół parafialny i jest pochowany w lochach zakrystyi, jest jeszcze trumna z resztkami kości, ale nie ma żadnych napisów, tablic, któreby

prok
akt
zagr
nię
nia
Kali
mar
now
naw
mi
nast
w r.
obra
lenie
się
ktor
nidu
świ
177
mi
pycz
córk
córk
zaś
pycz
pol.
nie

Stwierdzały autentyczności faktu.
Fundacja domu ubogich w Sidorowic-
im. Ludwika Kalinowskiego - List
gdzie sam pochowany Ludwik
nic z opowiadań ludzi dowiedzieć
się nie można.

Powtórzenie: tablic ani w Kościele
ani przy trumnie niema..

Pozostaję z szacunkiem
Ksiądz Józef Sadowski.

na kościół i szopy na ten cel winny być nadal zachowane, zaś ekonomów Sobolewskiego i Dąbrowskiego ma nabywca do końca życia utrzymywać. Jako świadkowie kontraktu figurują Ignacy Bielski i Ignacy Pietruski. W ten sposób częściowo drogą darowizny, częściowo drogą kupna stali się Baworowscy od r. 1791 właścicielami całych Kopyczyniec a z biegiem czasu zatarły się zupełnie granice dawnych części i pamięć po dawnych współwłaścicielach, z wyjątkiem Ludwika Kalinowskiego, całkowicie zaginęła.

Rodzina Baworowskich pochodzi z Czech, a osiedliła się w Polsce w XVI wieku. Z tejto rodziny pochodził w Czechach słynny kaznodzieja Tomasz Baworowski (Bavorinus), od r. 1546 proboszcz w mieście Pilznie Czeskiem. Wacław Baworowski, pisarz polny koronny żył za czasów Zygmunta I i był założycielem Baworowa i Ostrowa na Podolu. Miał troje dzieci: Annę, Jana i Mikołaja. Ten ostatni żył około roku 1593 miał córkę Annę i syna Wacława. Synem (lub może wnukiem) Wacława był Mikołaj Baworowski, którego losy złączyły się z Kopyczyńskimi, bo jegoto trzecią żoną była Barbara Kopyczyńska, córka Szymona, starosty petryzkowskiego. Była ona wdową po Andrzeju Kalinowskim, zmarłym w r. 1635 i po Janie Makowieckim, zabitym przez szwagra w r. 1640. Mikołaj Baworowski umarł w r. 1697. Oboje Baworowscy nie mieszkali prawdopodobnie w Kopyczyńcach, lecz w Baworowie, w każdym razie tam ich córki wychodziły zamąż a nie w Kopyczyńcach. Akta pro=

cesowe dawnego Trybunału Lubelskiego świadczą, że Mikołaj i Barbara z Kopyczyńskich Baworowscy prowadzili dużo procesów, a to z Kurdmanowskim, Potockim, Boguckim, Porczyńskim, z Makowieckimi i Lwowskimi Karmelitami.

Synami Mikołaja byli Szymon i Wacław Baworowscy. Szymon, podczaszy halicki otrzymał od krewnej swej Barbary z Kopyczyńskich Sierkierzyńskiej część Kopyczyniec w darze. Upamiętnił się tem, że pobudował w Kopyczyńcach nad groblą nowy Kościół drewniany i budynki plebańskie, czem się hojnie dla swej nowej posiadłości przysłużył. Kiedy zmarł, tego pewnie podać nie mogę. Żył jednak jeszcze w r. 1710. Po nim odziedziczył Kopyczyńce Józef Baworowski, podczaszy trembowelski i pisał się jako pan na Kopyczyńcach, Kotówce, Krogulcu, Kujdańcach, Żabińcach, Kociubińcach, Poznance i Sorocku. Był to więc człowiek wielce zamożny. Za żonę miał Elżbietę z Lenkiewiczów. Administrował z jego ramienia Kopyczyńcami zarządca Józef Smarski, ale miał tylko ogólny nadzór, bo część Kopyczyniec, która była podówczas własnością Baworowskich, dzierżawili: Wierzbicki podstoli żytomirski, Płoński subdelegat trembowelski i Mądzelowski. Na drugiej części Kopyczyniec siedzieli wtedy Wieniawscy. Józef Baworowski umarł w r. 1762, a więc w tymsamym roku, w którym Kalinowski ufundował murowany kościół w Kopyczyńcach. Pozostawił trzech synów Alojzego, Mateusza i Wiktora. Spadkobiercy przeprowadzili dnia 20 stycznia 1773 r. dział spadku na podstawie którego połowa Kopyczyniec z Kotówką przeszła

na własność Mateusza Baworowskiego. Nowy dziedzic zobowiązał się płacić kościołowi Kopyczynieckiemu po 40 zł. pol. rocznie. Podczas kiedy on Kopyczyńce posiadał, przeszła ta część Podola w r. 1772 po rozbiorze Polski do Austrji. Od nowego państwa otrzymał Mateusz Baworowski tytuł hrabiowski w r. 1779. Żoną jego była Tekla Ryszczewska z Koszlak. Mateusz B. był dobrym i zapobiegliwym gospodarzem, pomnożył bowiem swoją część dziedzictwa przez dokupienie w r. 1791 drugiej części Kopyczyniec od spadkobierców Ludwika Kalinowskiego. Ale zawsze jeszcze w aktach spotyka się stare nazwy dawniej ~~rod~~ rozdzielonych Kopyczyniec, tak, iż na dzisiejsze, zjednoczone w rękach Baworowskich Kopyczyńce składają się: Kopyczyńce miasto, Kopyczyńce wieś, Kopyczyńce część, Kaborce czyli Słobódka Kopyczyniecka z Hetmańszczyzną, Kotówka czyli Ostapiówka i Barabaszówka. Mateusz Baworowski umarł dnia 6. stycznia 1814, licząc lat 66, pochowany w podziemiach murowanego kościoła Kopyczynieckiego, a w prawej nawie tejże świątyni jest jego nagrobek z czarnego marmuru.

Miał troje dzieci: Mikołaja prowincjała Jezuitów w Galicji, Marję Grocholską i Adama, który odziedziczył Kopyczyńce, a ożeniony był z Emilją Lewicką z Chorostkowa. Ich dziećmi byli: Marja Gołuchowska, Paulina Łosiowa i Józef Baworowski. Adam umarł dnia 29 marca 1852, licząc lat 70 i spoczął obok ojca w podziemiach murowanego kościoła Kopyczynieckiego.

Z tychto czasów, kiedy na Kopyczyńcach gospodarzył Adam Baworowski, znalazłem według wskazówek bibliografii Finkla wzmiankę podróżną o ówczesnym

wyglądzie Kopyczyniec. Z ogromnem zainteresowaniem czekałem na nadejście książki z opisem, bo wiele sobie po niej obiecywałem. Ale jakże srodze się zawiodłem. Tylko jako ironję opisu, po przetłómaczeniu odnośnego artykułu z niemieckiego na polskie podaję tu ten artykuł w całej rozciągłości.

Miscellen № 36.

Środa 6. maja 1823.

Spostrzeżenia podróżne Aleksandra Zawadzkiego.

. . . . . . Po północy byliśmy w małem miasteczku Kopyczyńcach które składa się z jakich 60–70 domów. Brama małej, ale dość czystej oberży otwarta się, i do wnętrza weszli czterej spragnieni i zgłodniali podróżni. Zanim przygotowano nam wieczerzę, poszedłem pomiędzy posępne chaty i obejrzałem najbliższe otoczenie miasteczka w jasnych promieniach księżyca. Z pewnego oświetlonego domu doleciały mię tony muzyki, poszedłem bliżej i zobaczyłem ochoczą zabawę wesela żydowskiego, gdzie śpiewano i tańczono. Następnie powróciłem do strwożonych o mnie towarzyszów podróży i opowiedziałem moje przygody przy szklaneczce znośnego wina, które nam wszystkim doskonale smakowało. Wkrótce potem nadeszli wszyscy muzykanci z wesela i urządzili nam serenadę (co za uprzejmość względem obcych), poczem odegrali całkiem udatnie kilka starych lwowskich tańców weselnych. Następnie zasnęliśmy po uciążliwej i prawdziwie oryginalnej podróży. Gdy zaświtał piękny a świeży poranek, pobudził nas woźnica i wezwał do dalszej drogi.

Tyle podaje artykuł o Kopyczyńcach z r. 1823. Widocznie autor w podróży po kraju na nic innego nie zwracał uwagi, jak tylko na jedzenie i picie, to też artykuł jego jałowy i bezmyślny nie ma zgoła żadnej wartości a wprowadza czytelnika w błąd, jakoby Kopyczyńce miały jedynie najwyżej 70 domów.

Po śmierci Adama Baworowskiego na podstawie aktu działu z 26 kwietnia 1853 odziedziczył Kopyczyńce syn jego Józef, założyciel fideikomisu Niżborg-Czabarówka. Urodził się w roku 1822 a zaślubił we Wiedniu 2 czerwca 1863 młodziutką, bo zaledwie 19 letnią piękną niemiecką hrabiankę Franciszkę Hardegg-Glatz. Mieli pięcioro dzieci: Emila, Rudolfa, Franciszkę zamężną hr. Ostrowską, Marję zamężną za hr. Mitrowskym na Morawach, Zofię zamężną za hr. Haugwitzem na Morawach. Józef Baworowski umarł w Kopyczyńcach 21 lipca 1885, licząc lat 63 i tu został pochowany.

*

Właśnie gdy byłem chłopakiem szkolnym w Kopyczyńcach, był ~~wł~~ właścicielem tego miasteczka ów Józef Baworowski, którego bardzo dobrze pamiętam. Był to jasny blondyn, średniego wzrostu, włosy rzadkie, na środku rozdziałkiem na dwie części starannie rozdzielone, twarz ściągła, mała, dość mizerna, poznaczona licznemi zmarszczkami, broda golona, wąsik mały płowy, oczy jasne. Józef Baworowski był flegmatykiem, domatorem, miłośnikiem piękna i sztuki. W życiu publicznem udziału nie brał, w zasadzie był człowiekiem dobrym, ale lubiał wygodę, nie zajmował się zbytnio agendami dnia powszedniego, toteż domem, służbą i niemal wszystkiem rządziła żona niemka, wysoka brunetka, o pięknej postawie, przystojna, energiczna, absolutna i niezmordzona. Była honorową damą dworu cesarzowej austrjackiej. Pamiętne to było w Kopyczyńcach, że gdy w r. 1863 hr. Józef B. ożenił się w Wiedniu i po podróży poślubnej powrócił do kraju, przyjechał od strony Tarnopola powozem

z młodziutką małżonką, powóz zatrzymał się przed kościołem, małżonkowie weszli do jego wnętrza na modlitwę. Proboszcz ks. Białkowski urządził krótkie nabożeństwo i pobłogosławił młodą parę. Tymczasem przed kościołem zebrał się tłum ludzi, chcących okazać młodym państwu swą sympatję. Rzucili się co silniejsi z młodzieży mieszczańskiej do powozu, odprzęgli konie, poczem powóz zawieźli sami z nowożeńcami do pałacu obok stawu. Dziękował hr. Baworowski serdecznie i wśród wiwatów weszła młoda para do domu. Ale nie łączyły nigdy więzy silniejsze dworu Kopyczynieckiego z mieszkańcami miasta. Hrabina sprowadziła służbę niemiecką z niemieckich prowincji, język niemiecki zapanował wszechwładnie we dworze dawniej polskim, na dawnej ziemi dzielnych polskich obrońców kresowych przeistaczać się poczęło wszystko na sposób niemiecki, poczem rodzina ta niemal zupełnie za moich czasów się wynarodowiła. Żyła jeszcze Emilja Baworowska wdowa po Adamie, matka hr. Józefa, zgrzybiała staruszka, niskiego wzrostu, pochylona, zawsze czarno ubrana, kobieta zacna i dobrego serca, ale po ożenieniu się syna nie miała już głosu we dworze, dożywała tylko swoich lat. A doczekała się późnego wieku, umarła bowiem 10 października 1885, w 85 tym roku życia. W ostatnich kilku latach zdziecinniała zupełnie. Józefowie Baworowscy wyjeżdżali zwykle na zimę bądź do Lwowa (początkowo), bądź przeważnie do Wiednia i powracali do Kopyczyniec aż w rozkwicie pięknej, ciepłej, pogodnej podolskiej wiosny.

Co niedzieli i święta zajeżdżali Baworowscy kilku powozami do kościoła na sumę, roztaczając przytem przepych magnacki. W pierwszym powozie jechał ~~[illegible]~~ hrabia Józef

z żoną i najstarszym synem Emilem. Dziarskie gniade konie gnały jak wicher stepowy, a pamiętny i niezrównany Dubicki (rodowity kopyczyńianin, zamieszkały koło folwarku hetmańskiego) był zawołanym stangretem, godnym powozić kwadrygą na wyścigach olimpijskich. W drugim powozie jechała staruszka matka Emilja z resztą wnucząt. Zwykle ksiądz czekał z rozpoczęciem sumy, aż hrabstwo przybędą. Zawsze szli przez zakrystję i pierwszy do kościoła wchodził hrabia Józef B. z żoną i synem Emilem i zasiadali w ławce obok wielkiego ołtarza po stronie ewangelji, zaś matka z innymi wnukami i ewentualnie z guwernantką po stronie epistoły. Obok hrabiego koło ławki stawał lokaj w liberji i białych rękawiczkach. Średnia córka Baworowskich Marja, później zamężna na Morawach za hr. Mitrowskym była przedziwnej urody.

Po śmierci hr. Józefa Baworowskiego poczęła się ruina majątku rodzinnego, tak skrzętnie gromadzonego przez kilka poprzednich pokoleń. Z ruiny tej już się Baworowscy nie podźwignęli, ale też i czasy wogóle znacznie się pogorszyły. Dziedzictwo objął najstarszy syn Emil, który był chlubą i umiłowaniem swoich rodziców. Jednakże jego ciągłe ciążenie do Wiednia i do hucznego życia w wielkim świecie przyniosło w rezultacie upadek majątkowy. Emil Baworowski otrzymawszy swobodę i duży majątek, począł we Wiedniu żyć na szeroką skalę, czynił niebywałe wydatki, w rezultacie obciążył majątek rodzinny beznadziejnie, pożyczając skryptem z daty Lwów 11 sierpnia 1897 w Banku Krajowym we Lwowie olbrzymią na ówczas sumę miljona koron na spłatę w 57 latach $4\frac{1}{2}$% odsetkami

i intabulując ten dług na dobrach Kopyczyńce i Kotówka. Wdał się w to Sąd, odebrano Emilowi zarząd majątku, poczem niebawem w bezżennym stanie umarł a posiadanie ordynacji przeszło na drugiego syna Rudolfa Baworowskiego, ożenionego z czeską niemką. Rudolf miał pięcioro dzieci i podjął się ciężkiego zadania spłaty długów aż po rok 1954. Zredukowano wszystko na każdym kroku, zaprowadzono najdalej idące oszczędności i tylko przy najwyższym wysiłku jako tako majątek uratowano. Rudolf od urodzenia lekko na jedną nogę utykał, jakby ją miał mniejszą. W Kopyczyńcach rzadko przebywał, mieszkając przeważnie we Wiedniu. Do kraju od czasu do czasu przyjeżdżał, dla załatwienia interesów, a majątkiem Kopyczynieckim rządził wszechwładny dyrektor Smalawski. Po odnowieniu Polski (1918) groziła dobrom Kopyczynieckim przymusowa parcelacja, jako nie administrowanym osobiście przez właściciela. Rudolf przygnieciony wiekiem i będąc słabego zdrowia nie mógł już sam gospodarzyć, przysłał więc do zarządu majątkiem syna również Rudolfa, liczącego lat dwadzieścia kilka. Młodzieniec pogodził się z losem, opuścił piękny Wiedeń i oddał się szczerze pracy na roli w Kopyczyńcach. Uczył się przytem polskiego języka, czynił szybko doskonałe postępy i zjednał sobie sympatję ogółu. Nieszczęście jednak chciało, że został zamordowany dnia 28 stycznia 1931 wśród okoliczności podanych w dołączonym obok artykule dziennikarskim. Ojciec Rudolf nie odczuł już ciężkiego nieszczęścia, jakie go spotkało, skleroza czyniła w jego organizmie szybkie postępy, leżał na pół sparaliżowany, nie mając pamięci i nie zdając sobie sprawy z tego, co się koło niego dzieje.



RUDOLF EMIL Hr. BAWOROWSKI

zmarł w Kopyczyńcach dnia 28 stycznia 1931 roku po krótkich i ciężkich cierpieniach, zaopatrzony św. Sakramentami, przeżywszy lat 24.

Pogrzeb odbędzie się do grobowca rodzinnego w Kopyczyńcach w niedzielę, dnia 1 lutego b. r. po południu, o czem zawiadamiają w głębokim smutku pozostali

185L **Rodzice i Rodzina.**

Szczegóły zamordowania Rudolfa hr. Baworowskiego.

1931. *(Telefonem od naszego korespondenta).*

Czortków, 30 stycznia. *(ufa)*. W ślad za naszą wczorajszą wiadomością o zamordowaniu hr. Baworowskiego, podajemy bliższe szczegóły.

We środę o godz. 14-tej Rudolf hr. Baworowski udał się do lasu na polowanie. Woźnicy kazał czekać przed lasem. sam zaś poszedł wgłąb. Po kilku minutach **usłyszał woźnica szereg strzałów, które go nie zdziwiły.**

Dopiero po upływie trzech godzin, gdy hr. Baworowski nie wracał, zaniepokojony woźnica **wraz z gajowym udał się na poszukiwanie.** Po **pewnym czasie znalazł zabitą sarnę, a obok przysypane śniegiem obrabowane zwłoki hr. Baworowskiego.**

Zawezwane przez policję w Kopyczyńcach władze śledcze w Czortkowie udały się we czwartek rano na miejsce zbrodni.

Pies policyjny zaprowadził st. posterunkowego Schmidta w kierunku Horyszkowic w pow. kopyczyńskim, **do mieszkania znanych kłusowników Władysława Seniuty i Semena Stecyka.** Stecyk, mający jak najgorszą opinję, jeszcze w r. 1929 przebywał w areszcie śledczym przez kilka **miesięcy, jako podejrzany o zamordowanie gajowego. Z braku dowodów konkretnych został wówczas** zwolniony.

Zgon tragicznie zamordowanego **22-letniego hr.** Rudolfa Baworowskiego wywołał wielkie poruszenie i żal. Hr. Baworowski zaskarbił sobie bowiem wielką życzliwość u wszystkich, którzy go znali, nie wyłączając chłopów w jego posiadłościach, których materjalnie wspomagał. **Pogrzeb jego odbędzie się jutro.**

Śledztwo trwa.

Tragiczna fatum nad rodziną hr. Baworowskich.

Lwów, 30 stycznia. *(C)*. **Jakieś fatum prześladuje w ostatnich czasach rodzinę hr. Baworowskich. Po tragicznej śmierci dwóch młodych hr. Baworowskich, 16-letniego Stefana, który zmarł** wskutek ataku serca w łazience i ostatnio **Rudolfa, zamordowanego w lesie przez kłusowników koło Kopyczyniec, miał miejsce we Lwowie usiłowany** zamach rewolwerowy człowieka prawdopodobnie obłąkanego na Michała hr. Baworowskiego, zamieszkałego we własnej willi przy ul. ks. Issakowicza.

W ręce policji dostał się **list Romualda Ilińskiego,** cukiernika z zawodu, **w którym żąda on od Michała hr. Baworowskiego złożenia kwoty 100 do 200 złotych pod groźbą pozbawienia go życia.** List ten znalazł hr. Baworowski w skrzynce na drzwiach. „Będąc zdrowym i pracowitym — pisze autor listu — i nie mogąc znaleźć pracy, **postanowiłem popełnić samobójstwo. Nie chce jednakowoż ginąć sam (!). Jako człowiek towarzyski (!),** postanowiłem. by **nasycony** (to jest pan) **z głodnym poszedł razem na drugi świat. Przyjacielem naszym jest browning.** Proszę o złożenie na adres mych rodziców, zamieszkałych przy ul. Łokietka, 100 lub 200 zł, które oddam, jak zarobię".

Uwiadomiona o pogróżkach policja **aresztowała Ilińskiego, który nie wypierał się autorstwa listu,** oświadczając, iż hr. Baworowskiego nie zna, a list, adresowany „Wielmożny panie", bez podania nazwiska, rzucił do skrzynki listowej w willowej dzielnicy, zamieszkałej przez arystokrację.

Ilińskiego osadzono w aresztach. Dochodzenie w toku.

94

Po pogrzebie młodego Rudolfa B. przybył z Wiednia drugi syn Rudolfa, Emil i objął zarząd majętności w Kopyczyńcach, a idąc śladami zmarłego tragicznie brata począł się wdrażać w prawidłowe gospodarzenie na roli i uczyć polskiego języka. Tegosamego roku zmarł we Wiedniu ojciec Rudolf Baworowski i zwłoki jego sprowadzono do Kopyczyniec, aby spoczęły na wieki w tej ziemi, która zawsze była dla Baworowskich najlepszą matką. Chowano ich już jednak nie w Kościele lecz w grobowcu za miastem przy czortkowskim ~~gośc~~ gościńcu.

Ś. P.

RUDOLF hr. BAWOROWSKI

ur. 30 listopada 1865 r., zmarł po krótkich a ciężkich cierpieniach, zaopatrzony św. Sakramentami we Wiedniu 20 września 1931 r.

Złożenie zwłok do grobowca rodzinnego w Kopyczyńcach, odbędzie się w sobotę, 26 września 1931 r. o godz. 10-tej przed południem, na który-to smutny obrzęd zaprasza Krewnych i Znajomych w smutku pogrążona

1555L Rodzina.

*

Baworowscy mieszkali w pałacu, malowniczo położonym obok stawu. Dochował się obrazek z r. 1910 budynku głównego, który następnie uległ barbarzyńskiemu zniszczeniu i spaleniu podczas pamiętnej krwawej ruchawki ukraińskiej w r. 1919. Do dworu zajeżdżało się od strony zachodniej przez bramę żelazną, wprawioną w wysokie murowane słupy. Przy bramie był mały domek odźwiernego, a był nim za moich czasów stary wiarus Jesiński, o sumiastym wąsie, bezżenny, kaleka, gdyż we wojnie utracił jedną nogę i posługiwał się szczudłem. Przed pałacem był dziedziniec z murawą i kępkami drzew, za pałacem nieduży park i ogród warzywny. Na lewo od pałacu nad brzegiem stawu była jakaś stara baszta, możliwie pozostałość obronnego zamku.

Z sali sądowej. Październik 1931. 94a

Mordercy R. E. hr. Baworowskiego przed sądem.

(ufa). W dniu 7 bm. rozpoczęła się przed Sądem przysięgłych w Czortkowie rozprawa przeciw Władysławowi Seniucie z Oryszkowiec pow. Kopyczyńce o **zbrodnię morderstwa na osobie śp. hr. Rudolfa Emila Baworowskiego** z Kopyczyniec, **Demianowi Stecykowi i Ilkowi Pukowi** z Oryszkowiec, jako współwinnym w powyższej zbrodni, oraz **Marji Seniucie** o ukrywanie rzeczy, pochodzących z kradzieży.

Co mówi akt oskarżenia?

Oskarżeni Seniuta i Stecyk są **mieszkańcami** wsi Oryszkowce w pobliżu Kopyczyniec. Tak w swej wsi, jakoteż w całym powiecie, znani są jako **zawodowi kłusownicy i złodzieje**. Oskarżeni byli karani za kradzież, jak stwierdzono w śledztwie, popełnili cały szereg kradzieży tak w Oryszkowcach jakoteż w okolicy Czortkowa. Oprócz tego oskarżeni zawodowo trudnili się kłusownictwem w **lasach Kopyczyńce**, będące własnością śp. Rudolfa Emila hr. Baworowskiego. Mieszkając blisko lasu, w rozmaitych porach roku i dnia chodzili obaj do lasu i tam **polowali bądź na dziki bądź na sarny.**

Dnia 28 stycznia 1931 oskarżeni umówili się **pójść wieczorem na zasadzkę na kozły** do lasu kopyczynieckiego. W tym też celu **zamówili trzeciego oskarżonego Puka**, który odwiózł ich pod sam las.

Seniuta i Stecyk przeszli przez zrąb na linję główną, gdzie umieszczona była karma dla sarn oraz żer dla dzików i stanęli zaraz za dębami. W kilka minut **wyszła na oskarżonego Seniutę** sarna, którą tenże jednym strzałem **zabił.**

Przebieg morderstwa.

W tym mniej więcej czasie **wybrał się na polowanie na dziki śp. hr. Baworowski, zam. w Kopyczyńcach.** Woźnicy swemu kazał czekać przed lasem, a sam udał się w kierunku miejsca, gdzie pozostawiano dla dzików ścierwo końskie i **począł tam tropić dziki** wzgl. ślady dzików. Usłyszawszy strzał, zaprzestał tropienia śladów dzika **i skierował się w kierunku strzału.** Będąc oddalony o jakich 60 metrów od stanowiska Seniuty, został przez niego zauważony, nie widząc równocześnie Seniuty, który schowany był za dębem.

Seniuta **dopuścił do siebie śp. Baworowskiego na 6—4 kroków** i wtedy wyskoczył nagle z ukrycia i **srzelił z odległości 4 kroków**, mierząc w głowę.

Strzał był śmiertelny. Po strzale **mordercy obszukali ciało, zabrali naboje i drobne pieniądze, a zwłoki wrzucili do pobliskiego rowu.** Ślady krwi zatarli nogami i przysypali miejsce śniegiem.

Fabrykowane „alibi"

Po usunięciu śladów i zabraniu rzeczy mordercy zaczęli zastanawiać się nad **stworzeniem dla siebie „alibi"** W tym celu **udali się do Majdanu**, gdzie Stecyk **zgodził muzykę na swoje wesele**, a następnie poszli do szynku, gdzie **przepili pieniądze, zabrane śp. Baworowskiemu.**

W śledztwie osk. **Seniuta i Stecyk przyznali się do zbrodni. Osk. Puk i Marja Seniuta wypierają się winy.**

Dziwne przeczucia.

Warto zaznaczyć, że wybierając się do lasu hr. Baworowski **chciał koniecznie kogoś mieć ze sobą.** Chciał zabrać lokaja, lecz ten właśnie był chory, następnie po drodze **wstąpił hrabia do dyrektora szkoły**, prosząc go, by z nim pojechał, lecz ten był zajęty, później **chciał zabrać ze sobą** lesniczego, nie zastał go jednak w domu i tak się fatalnie wszystko ułożyło, że **ostatecznie sam pojechał do lasu.**

Rozprawa ta budzi w całej okolicy wielkie zainteresowanie.

Rozprawie przewodniczy S. S. O. Mironowicz, wotują S. S. O. Gąsiorowski i Kuczkiewicz, bronią adwokaci Bleicher, Krokowski i Zuckerman, zaś powództwo cywilne zastępuje adw. Dr Granicki. (wyników gazety nie podały)

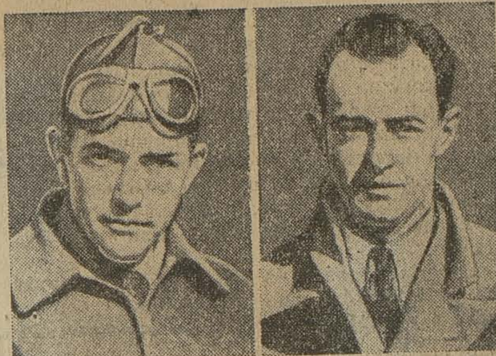
34.05—
Paryż
Szwaj
Akc
wice
Poży
5% ko
Lwó
Bank
i pół
ty w
tem n
akcje
Dolar
Zur
N. Jo
45.75,
Oslo
Warsz
Bukar
War
21—22,
23—23,
21—21,
słonec
uspos
Lwó
obrot
żytni
sobie
mąka
Lwó
serow
kuche
mlecz
sło z
dukcj
Poz
30 to
22.25,
jadal
Czy

Wedle relacyj policji w Kopenhadze, na brzeg wyspy Bornholm wyrzuciły fale morskie nagie zwłoki kobiety w wieku od 30 do 35 lat, liczącej 160 cm. wysokości o włosach ciemno-blond, lub czarnych. Sądząc z wyglądu zębów i palców u … dni, popełnionej na tle seksualnem. Nieznany sprawca po zamordowaniu kobiety w czasie jaz… dy okrętem rzucił zwłoki do morza.

Rysów twarzy denatki rozpoznać nie można z powodu długiego przebywania zwłok w wo… dzie morskiej.

946

Zdobywcy Oceanu Spokojnego.



Dwaj amerykańscy lotnicy, Pangborn (na lewo) i Herndon (obok), którzy w ostatnich dniach przelecieli ocean Spokojny z Japonji do Ameryki w rekordowym czasie 41.10 godzin.

NAUCZYCIEL, BIJĄCY UCZNIA PO TWARZY. W Warszawie wydarzył się wczoraj niebywały wypadek pobicia po twarzy ucznia szkoły powszechnej nr. VI. przy ul. Chłodnej. Uczeń wspomnianej szkoły Ireneusz Jankowski zgłosił się na stacji pogotowia ratunkowego i opowiedział, że gdy przybył na lekcję z opóźnieniem, nauczyciel p. Jabłonowski, najpierw bardzo go skrzyczał, a następnie z całej siły uderzył go w twarz!! Lekarz dyżurny stwierdził istotnie obrzęk lewego policzka u chłopca. Sprawą zająć się muszą władze szkolne warszawkie.

NOWY GMACH UNIWERSYTECKI W WARSZAWIE. W nadchodzącą niedzielę 11 bm odbędzie się w Warszawie poświęcenie gmachu uniwersyteckiego. Gmach ten zbudowano przy ul.

TRZY OFIARY WYBUCHU GRANATU. W miejscowości Irzola, pow. baranowickiego, w do… mu braci Pietkiewiczów nastąpił wybuch poci… sku artyleryjskiego. Odłamkami granatu zostal… ciężko ranni K. i P. Pietkiewicze. Również ranny został Piotr Pietkiewicz, który w czasie wybu… chu przechodził przez podwórko. Rannych od… wieziono do szpitala w Baranowiczach.

(Jog). **TRAGICZNA ŚMIERĆ KOLEJARZA.** W czasie ładowania piasku do wagonu na Wilko… szynie pod Jaworznem pow. Chrzanów, zajęty przy tem hamulczy Franciszek Cygan, lat 23 … Jaworzna, wszedł pod wagon i począł smarowa… osie smarem, nie uprzedzając o tem pozostałyc… robotników. W czasie smarowania, kołeba wag… nu, nie zamkniętego szczelnie, opadła, przygnia… tając szyję nieszczęśliwego do żelaznego podw… zia wagonu. Cygan poniósł śmierć na miejsc… wskutek przecięcia tchawicy. Zwłogi jego prze… wieziono do kostnicy cmentarnej w Jaworzni… Dochodzenia wykazały, że wypadek ten zasze… jedynie z powodu nieostrożności śp. Cygana.

CIĘŻKI WYPADEK AUTOBUSOWY PO… WILNEM. Z Wilna donosi (Hr): We środę 7 b… na szlaku Grodno—Wilno na odcinku Zaścia… ków—Liwonka wskutek pęknięcia resorów aut… bus pasażerski stoczył się z wysokiego nasy… do rowu, przygniatając 12 pasażerów, którzy o… nieśli kontuzje i rany.

(C) **ODROCZENIE ROZPRAWY PRZECI… WYWROTOWCOM WE LWOWIE.** Tocząca s… od czwartku w sądzie okr. we Lwowie rozpr… wa karna przeciwko 4 komunistom, wśród ni… dwom słuchaczom politechniki lwowskiej, He… szowi Standorferowi i Saulowi Eisensteinowi. z… stała w piątek odroczona z powodu choroby j… dnego z sędziów przysięgłych.

ZE ŚWIATA.

W PRUSACH ZAMKNIĘTO 23 SZKOŁY PO…

KOMUNIKAT METEOROLOGICZNY.

(Si) **CIEPŁO W DALSZYM CIĄGU.** W środkowych okolicach Polski zachmurzenie wczoraj znacznie wzrosło i pokrywało prawie całkowicie niebo, zaś w Lubelskiem notowano nawet przelotne deszcze. Pozostałe okolice miały zachmurzenie umiarkowane. O godz. 7 rano temperatura wynosiła niemal w całym kraju od 8—14 stopni, tylko na Polesiu, Wołyniu i Pokuciu notowano 4—8. Temperatura najwyższa w dniu poprzednim



Pałac Baworowskich w Kopyczyńcach z pięknym empirowym gankiem, był murowany, gontem kryty, obszerny i wygodny. Tak jak widnieje na obrazku istniał w czasie od około r. 1840 do r. 1919 tj: do czasu zniszczenia przez watahy ukraińskie. Tu przychodziły na świat całe pokolenia Baworowskich, tu też przeważnie na wieki zamykały oczy.

Długie czasy był rządcą dóbr Baworowskich, mniej więcej do r. 1883 Bogusławski, człowiek starszy, dobrotliwy, wcale okrągłej tuszy, o ogorzałem od słońca obliczu. Jeździł z folwarku do folwarku w staroświeckiej, czarnej, silnie zakurzonej bryczce, o dużych, kabłąkowato wzwyż wysuniętych resorach. Mieszkał obok dworu, gdy jednak przygnieciony już był wiekiem, nie pełnił służby, lecz zamieszkał w najętym domu obok rogatki jabłonowskiej.

Tam też zmarł w r. 1884. Pamiętam 96. jego wspaniały (jak na Kopyczynieckie stosunki) pogrzeb. Szkoły wyruszyły na czele konduktu, a ponieważ Bogusławski za młodu brał udział w ruchu narodowym i był powstańcem, szkoła sprawiła wieniec, który niósł jeden uczeń i jedna uczennica tj. Izydor Hołubowicz i Karwowska (córka powstańca).

Po folwarkach byli oficjaliści Polacy, a to dlatego, że niemiec nie umiałby się z ludnością miejscową rozmówić. Także i po lasach byli leśniczy Polacy. Znaną we dworze Kopyczynieckim postacią był Sauszek. Mieszkał przy drodze husiatyńskiej przed stawem naprzeciw domu burmistrza Turczaniewicza. Sauszek zwał się powszechnie marszałkiem dworu, a było to urząd totumfackiego Baworowskich, pozostałość jeszcze z dawnych, lepszych czasów.

Tyle pokrótce umiem powiedzieć o właścicielach majętności Kopyczyńce od czasów jak ich historja zapamiętała, aż do czasu kiedy to piszę, tj. po rok 1931.

*

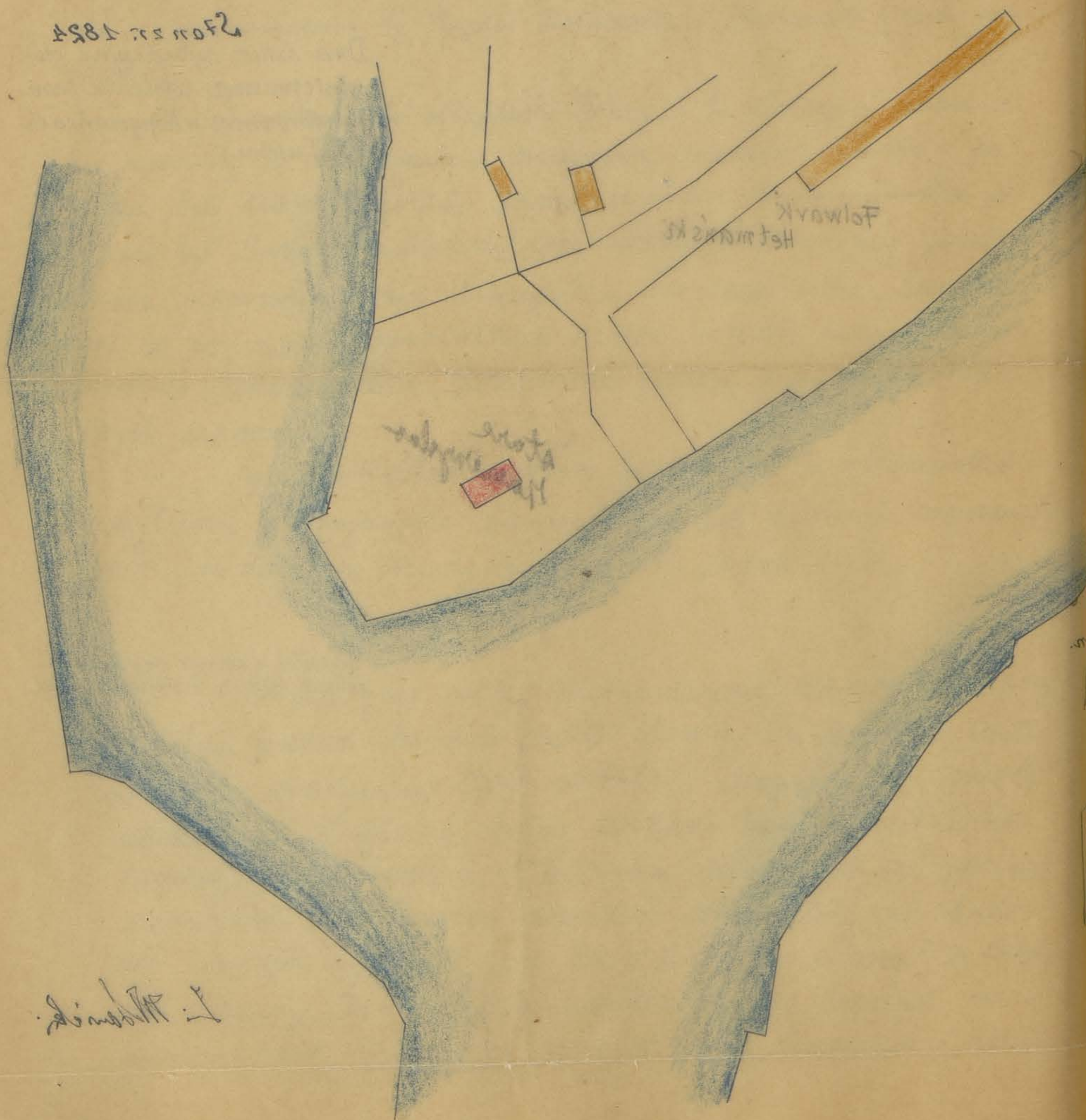
Kopyczyńce miały kiedyś dawniej zamek obronny, o którym jednak bardzo mało wiemy. Tu i ówdzie czyta się tylko mniejwięcej taką notatkę: Kopyczyńce miały zamek na Nikławie, który kilkakrotnie stawił skuteczny opór Turkom i Tatarom. Więcej nie spotykałem wzmianek. Nie mogłem odnaleźć kto i kiedy go zbudował, ani jak wyglądał, ani kto i kiedy go obronił a kiedy legł w gruzy. Faktem jest, że wskutek bardzo częstych najazdów hord tatarskich, wskutek wojen tureckich i rebelji

ad 96. a

Dwa szkice sytuacyjne domniemanego położenia zamku obronnego w Kopyczyńcach z XVII wieku.

Odrysował z starych map katastralnych inżynier Władysław Sawicki


Stan z r. 1824
Folwark Hetmański
stare

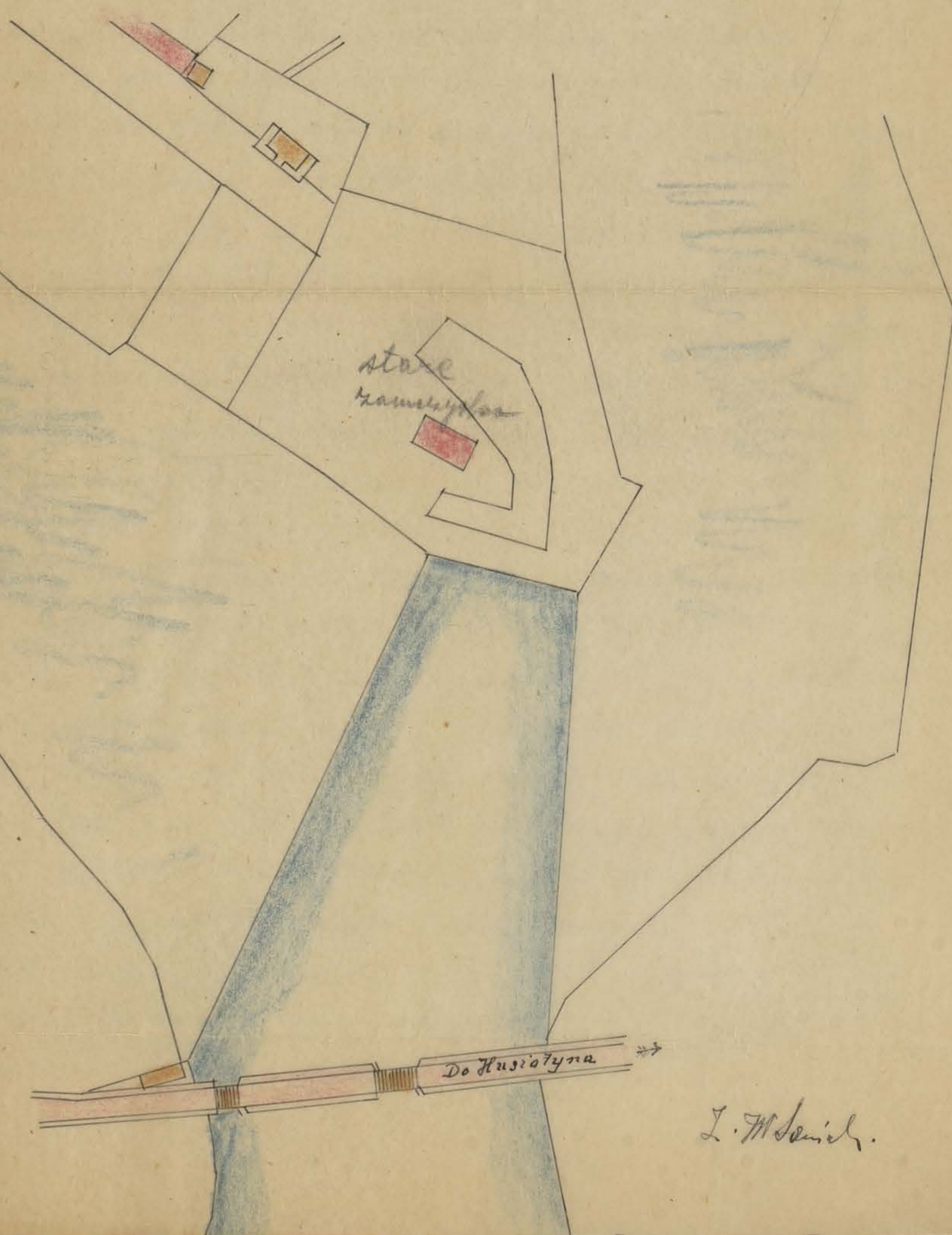

Folwark
Hetmański

f. 2c

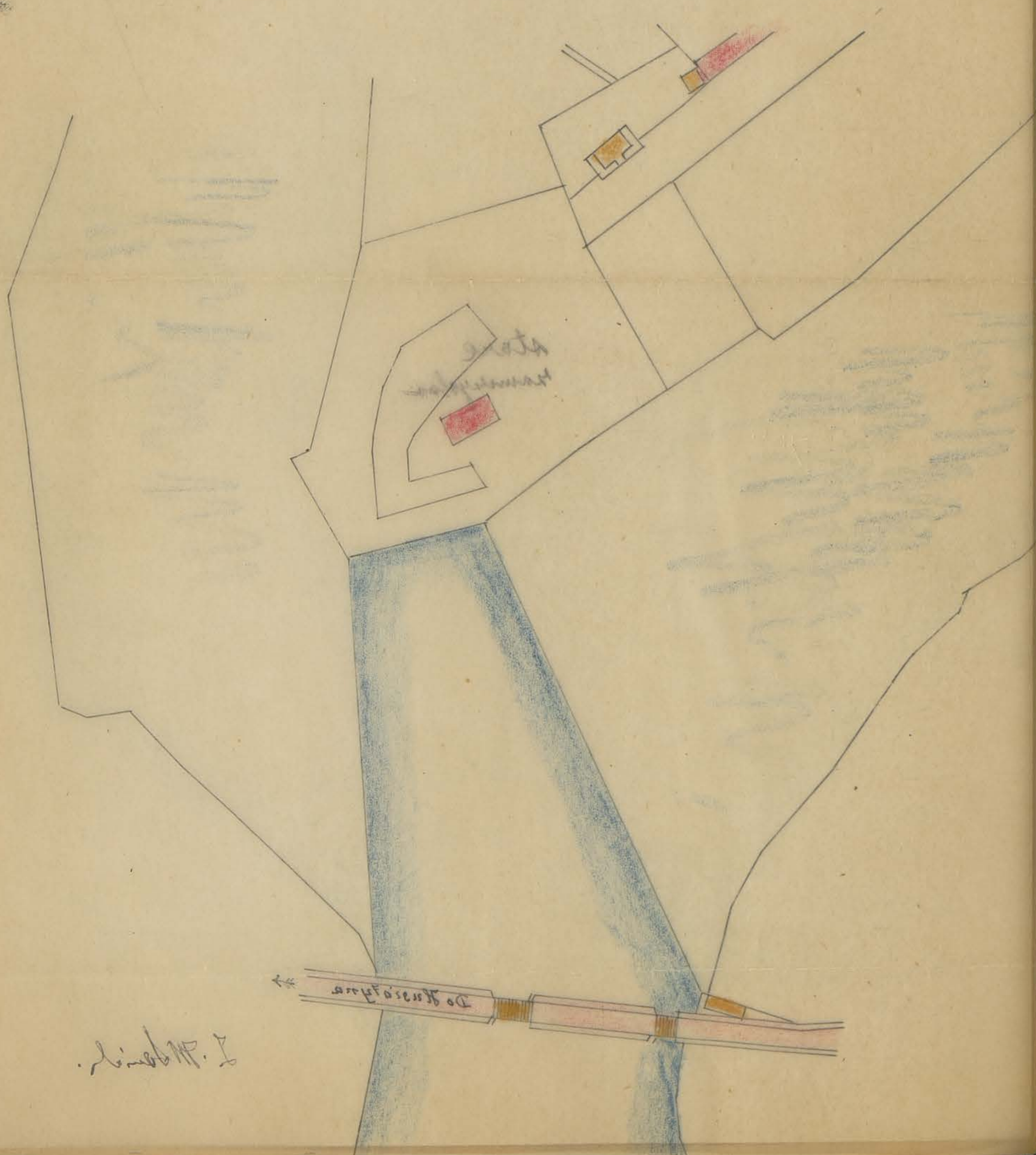
96 e

nowy stan

Stan z r. 1926.



Z. Wolski.


Stan z r. 1926.

kozackich zbudowano w XVII wieku[97] w naszych stronach zameczki obronne w Borszczowie, Czarnokońcach, Kocinbińcach, Koledzianach, Kopyczyńcach, Krzywczu i Kudryńcach. Były one czynne do r. 1699, potem po pokoju karłowickim ustała ich racja bytu, niszczały więc i rozsypywały się w gruzy, a tylko tu i ówdzie sterczą do dziś ruiny. W Kopyczyńcach prawdopodobnie nie trwał zamek dłużej niż jakich 50-60 lat. Wogóle bardzo mało kto dziś wie, że był tu zamek obronny, nie przechowała się o nim dokładniejsza tradycja ustna, a nawet nie jest całkiem pewne, gdzie ten zamek stał. Zdaje się, że miejsca tego szukać należy poniżej folwarku hetmańskiego, na co wskazują stare piwnice ceglane. Po upadku zamku, gdy właściciele Kopyczyniec potrzebowali cegły, stali tam robotników i ci rozbierali resztki pamiątkowych sklepień. Pamiętam, gdy byłem chłopcem krążyła po Kopyczyńcach około r. 1882 wieść, że przy takiej właśnie rozbiórce znaleziono w lochach flaszkę starego wina i opowiadano, że było tak zgęstniałe, jak galareta. Jak zawsze i wszędzie, gdzie są resztki starego zamczyska, tak i tu krążyły tajemnicze wersje o skarbach tam zakopanych, o tem, że pieniądze w ciemną noc tam płoną, że lochy biegną daleko, daleko, gdzieś aż pod staw itp. Zależało mi bardzo na tem, by dowiedzieć się cokolwiek pewniejszego o naszym zamku, o jego obrońcach, o jego przejściach i upadku około r. 1662, bo w tych czasach Kopyczyńce były niemal doszczętnie zniszczone. Jaksamo w aktach lubelskich jest ślad, że w r. 1684 Kopyczyńce stanowiły jedną wielką ruinę.

Dołączam do wspomnień o [98] Kopyczyńcach dwa szkice geometryczne miejsca poniżej folwarku hetmańskiego, a to według stanu na miejscu z r. 1824 i stanu nowego z r. 1926. z domniemanego miejsca starego zamczyska. Widać, że było to miejsce dobrze obmyślane, bo pobudowano zamek na półwyspie, otoczonym z trzech stron niedostępnym moczarem i Niczławą.

Zwykle ciekawe są miejscowe podania o starych zamkach, które zawierają jądro prawdy osłonięte fantastyczną opowieścią i dodatkami. Dowiadywałem się, co w Kopyczyńcach o starym, nieistniejącym już zamku ludzie opowiadają. Odniosłem się do Jana Turczaniewicza, obecnie komisarza rządowego w Kopyczyńcach, syna zmarłego burmistrza Tomasza, a on, rozpytawszy starych ludzi, tak mi streścił tradycję o zamku kopyczynieckim. „Był niegdyś w Kopyczyńcach dziedzic Kalinowski, pan na folwarku, od którego część Kopyczyniec nazywa się dotąd jeszcze Kalinowszczyzną. Miał on zamek oblany ze wszech stron wodą Niczławy. Miały tam być wielkie lochy i podziemne tunele, które się ciągnęły aż do Kociubiniec, do tamtejszego zamku. Przy budowie nowej gorzelni na folwarku na Kalinowszczyźnie lochy te zostały zniszczone i po części zasypane. Parę lat temu znów na Kalinowszczyźnie w jednem miejscu zapadła się ziemia tak głęboko, iż cała jabłoń poszła w przepaść. Więc są tam podziemia i prowadzą w różnych kierunkach." List z tą informacją pochodził z r. 1928.

Inne podanie o zamku, udzielone mi w r. 1931 przez Emila Gottlieba, drogerzystę z Kopyczyniec brzmi

tak: „Na Kalinowszczyźnie przy Niczławie są pagórki, pochodzące z czasów tatarskich. Miał tam stać zamek Kalinowskiego Andrzeja, który ożeniwszy się z Barbarą Kopyczyńską, nabył ten grunt. Zamek uległ zniszczeniu mimo, że na obronę przybył Tarnowski z Tarnopola".



Miejsce pagórkowate pod Folwarkiem Hetmańskim (obok sitowia doliny Niczławy), jako domniemane resztki fortyfikacji i zamku obronnego w Kopyczyńcach. (Fotogr. Gottlieb w Kopycz. 1931.)

Tyle umiało powiedzieć podanie miejscowe o zamku, a przyznać trzeba, że w tem podaniu zachowały się szczegóły prawdziwe: o zamku oblanym wodą i o tem, że był zamek także w Kociubińcach, choć z tego ostatniego szczątków już nie ma.

Najciekawsze jest jednak opowiadanie o zamku kopyczy-nieckim człowieka, który ten zamek na własne widział oczy. Jestto wzmianka krótka, ale bardzo dla nas dziś cenna. Oto cudzoziemiec z Fryzji Ulryk Werdum przejeżdżał przez Podole od północy ku południowi i dnia 26 lipca 1671 r. był w Kopyczyńcach, poczem stąd odjechał do Czarnokoniec. Odnośny ustęp pamiętnika przez Werduma napisanego brzmi tak: „Przez Janów, Jabłonów, przy których usypano mały szaniec, przybyliśmy do Kopi=nice (tj. Kopyczyniec). Jestto otwarte miasteczko na trzech pagórkach położone, które otacza i przedziela jezioro. Zamek leży na boku i jest zupełnie opustoszały. Grunty tu na ogół nie są urodzajne. Potem przez krzaczyste i kamieniste wzgórza, dalej przez żyzną równinę są do Czernichowa (Czarnokoniec) dwie mile. Tutaj spotkaliśmy polską armję, stojącą w polu – rozłożono się tu obozem na pochyłości. Czernichow jestto wieś z zamkiem, który codopiero w ubiegłych dniach po walecznej obronie Tatarzy wzięli szturmem i wymordowali wszystkich ludzi, nie wyłączając kobiet i wielu dzieci, które się tu schroniły. Ludzie nasi widzieli ciała ich jeszcze nie pochowane".
Z Czarnokoniec udał się Werdum dalej w drogę do Zbrzyzia. Pamiętnik jego stanowi zupełnie pewny dowód, że zamek w Kopyczyńcach istniał w XVII. wieku, ale wzmianka tak o samem mieście jak i o zamku jest niezmiernie skąpa i dziś trudno sobie przedstawić, gdzie ów zamek był zbudowany. Widać, że Werdum tylko przejeżdżał przez nasze miasto i w niem się nie zatrzymywał. Byłyto właśnie czasy,

kiedy Kopyczyńce były wojną 101 zniszczone, zamek już dawniej zrujnowany a kościół stary, pochodzący z fundacji Kopyczyńskich znikł z powierzchni ziemi.

Nie jest wyjaśnione, że w Kopyczyńcach były dwa zamki murowane, bądź istniejące równocześnie, bądź jeden po drugim. Co wskazuje na istnienie zamku pod Hetmańskim folwarkiem, podałem powyżej, drugi zaś zamek mógł stać na miejscu, gdzie później był zbudowany pałac Baworowskich, a wskazuje na to tradycyjna nazwa owego pałacu „zamkiem" a nadto stara zegarkowa wieża stojąca obok pałacu tuż nad stawem, czyniąca wrażenie baszty obronnej. Później, za czasów sprawowania jurysdykcji karnej przez mandataryjuszy (w pierwszej połowie XIX w.) baszta ta służyła za więzienie.

*

Kościół w naszem mieście był od najdawniejszych czasów aż po ostatnie lata ośrodkiem wiary i kultury. Kreowanie parafii Kopyczynieckiej zawdzięczyć należy dziedzicom Kopyczyńskim. Dochował się starodawny dokument, świadczący o erekcji domu bożego i parafii. Treść tego łacińskiego dokumentu w przekładzie polskim, brzmi następująco:

W Imię Pańskie Amen. Ponieważ pamięć ludzka nie może się mierzyć z wiecznością, wskazanem jest wogóle, aby to co się dzieje wśród ludzkich czynności utrwalone zostało jako dowód ze siłą świadectwa i umocnieniem pieczęci. My Jakób dziedzic na Kopyczyńcach, pospół z najdroższą matką Offką podajemy

do wiadomości wszystkich tak obecnych, jak i przyszłych za pomocą tego pisma, że pragnąc uprzedzić dzień sądu ostatecznego pobożnemi dziełami i tem błogiem pismem zamienić dzieła ziemskie na niebieskie a znikome na wieczne, dla zbawienia dusz naszych i naszych przodków jakoteż krewnych naszych:

tamże w Kopyczyńcach za wolą i zezwoleniem Najprzewielebniejszego Pana i Ojca w Chrystusie Jana, z Bożej łaski arcybiskupa Lwowskiego kościół parafjalny od nowego ufundowaliśmy, zbudowaliśmy i wykończyli na chwałę Boga Wszechmocnego i na cześć Niepokalanego Poczęcia Panny Marji i św. Katarzyny, jakoteż apostołów Szymona i Judy, Męczenników świętych Stanisława, Wojciecha i Klemensa, wyznawców świętych Mikołaja i Leonarda — dla któregoto kościoła naszego i dla każdoczesnych jego zawiadowców daliśmy, wyświadczyliśmy, wyznaczyliśmy i obecnym dajemy i wyznaczamy, po pierwsze: jako uposażenie wolny staw za domem i w pobliżu leżący i dwie karczmy postawić na swoim gruncie i na swem prawie i każdy następca w wyposażeniu plebańskiem posiadać będzie ziemię w rozciągłości (zaorane) aż do rzeki za tym małym stawem i może sobie taką ilość ludzi osadzać, ile chce, i swoich ludzi sądzić własnem prawem, jak mu się podoba, my zaś i następcy nasi do tego wtrącać się nie możemy. Podobnież przeznaczamy wspomnianemu Kościołowi dwa łany z łąką w Kopyczyńcach, które mieć będzie także każdy następca (zawiadowca kościoła). Taksamo dajemy dla naszego wspomnianego Kościoła dziesięcinę snopową po naszej orce w każdym roku ze wszystkiego ziarna i nasienia w rolę wysianego, którato dziesięcina ma być wiecznie oddawana i uiszczana rzetelnie

przez nas i naszych następców. Tosamo z młyna naszego będzie on sam i każdoczesny jego następca miał jedną miarę i duży staw rybny powyżej potoka, który bieży od Jabłonowa, którego stawu spuszczenie i zapuszczenie na nowo zależne będzie w zupełności od każdoczesnego rektora. Tosamo co do trzech stawów rybnych, położonych tu w Kopyczyńcach, gdyby ktoś je spuszczał, od każdego dajemy wieczną dziesiątą markę a kiedykolwiek będą chwytać ryby, obowiązujemy się dawać w tejże ilości ryb dla stołu każdoczesnemu rektorowi naszego probostwa. Podobnież łąkę (tu oddarte) będzie mieć każdoczesny rektor Kościoła. Wreszcie ustanawiamy włodarza naszemu Kościołowi i chcemy, ażeby każdy nasz mieszczanin w Kopyczyńcach rektorowi Kościoła corocznie uiszczał stołowe trzy grosze małe. Aby zaś to uposażenie Kościoła naszego bądź przez nas, bądź przez naszych następców bezzasadnie nie było zmniejszone, na umocnienie tego wszystkiego i na tem pełniejsze zadokumentowanie i zaświadczenie pieczęć naszą specjalną się zawiesza.

Zdziałano w Kopyczyńcach w obecności szlachetnych Prandoty z Czortkowa, Piotra Wyrownicza, burmistrza naszego Partowskiego, Piotra Sorbicza, Mikołaja Gliczy i bardzo wielu innych wiarogodnych świadków specjalnie do tego aktu zaproszonych i przysłanych.

Dano pod rokiem Narodzenia Pańskiego 1443 a to we środę w przeddzień Wniebowzięcia Chwalebnej Marji Panny.

Tento akt erekcyjny wpisany został dnia 3 września 1707 r. w aktach Konsystorjalnych lwowskich, a w piątek przed świętem św. Apostoła Macieja 1727 oblatowany został przez

Jerzego Łanowskiego w aktach grodzkich trembowelskich. Wizerunek fundatorów znajduje się dotąd w kościele kopyczynieckim, a napis na portrecie opiewa: „Jakób syn i matka Offka z Bestwiny Kopyczyńscy, fundatorowie kościoła i plebanji w Kopyczyńcach, w dobrach swoich R.P. 1443."

Byłoby rzeczą niezmiernie zajmującą, byśmy mogli bliżej poznać dzieje nowozałożonej w r. 1443 parafii kopyczynieckiej i jej duszpasterzy. Niestety prawie niczego o tem nie wiemy a to głównie z tego powodu, że wiek XVII zniszczył Podole do gruntu, stało się ono wtedy wielkiem cmentarzyskiem, wszędzie sterczały ruiny i wiatr roznosił po ugorach i jarach popioły spalonych siedzib ludzkich, zamków i kościołów. A ludzie? Jedni poginęli na miejscu i nie było komu ich pochować, innych zabrano w jasyr a jeszcze inni porozbiegali się po całym świecie. Możemy być pewni że i Kopyczyńce ulegały nieraz temusamemu losowi, w łunie pożarnej niszczały budowle, a ludzie bądź we własnej krwi tonęli, bądź pierzchali w bory i wertepy, gdzie ich oczy niosły, by w ten sposób własne ratować życie. Toteż nie dziw, że tak mało wiemy z dawniejszych dziejów naszego miasta, wszystkie miejscowe źródła zatraciły się niepowrotnie a tradycji z XVII w. prawie niema żadnej, bo zdaje się po wytraceniu dawnej ludności napłynęła ludność osadnicza nowa, nie związana żadnemi węzłami z dawniejszą. Toteż o prastarym, pierwszym kościele bardzo mało da się powiedzieć. Pierwsze pytanie, jakie się tu nasuwa, to na jakiem miejscu mógł ten kościół stać. W tym przedmiocie nikt niczego pewnego powiedzieć nie może. Powszechnie się mówi, że stary kościół stał na wzgórzu nad groblą.

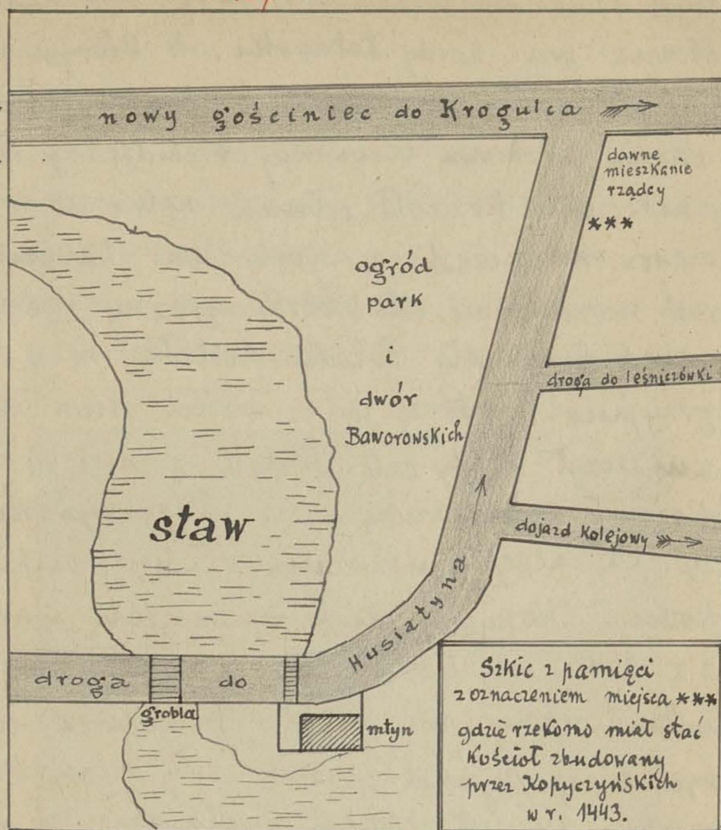
Wiemy pewnie, że tam stał kościół do r. 1804 (a może i kilka lat później), ale to nie był on pierwszy, najdawniejszy. Być może, że Kopyczyńscy w XV wieku tu właśnie ów pierwszy kościół postawili, jednak nie tylko nie jest to pewnem, ale są twierdzenia wręcz przeciwne. Przytoczę tu kilka podań, które usiłują wskazać na miejsce przy drodze husiatyńskiej, obok obecnego domu rządcy, ~~jako~~ gdzie miał być najdawniejszy kościół Kopyczyniecki pobudowany. Oto dyrektor dóbr Kopyczynieckich Smalawski (ojciec) w rozmowie ze mną w r. 1919 twierdził stanowczo, że najstarszy kościół był niedaleko jego mieszkania za dworem, gdzie jeszcze dotąd ma być krzyż. Nadto rodowity Kopyczyńczanin, inspektor szkolny Bronisław Krukiewicz z Czortkowa, wzrosły w Kopyczyńcach od małego dziecka pisał mi w liście z 14 września 1927: „Najstarszy kościół stał obok mieszkania obecnego rządcy, widocznie że był tam i cmentarz, gdyż i ja pamiętam tam kilka krzyżów kamiennych, tudzież obraz Matki Boskiej w lipie. Na tem miejscu miał dom stolarz Moszyński, a obok mieszkał ogrodnik Rydet." Rodzina Rydetów przeniosła się do Buczacza, z niej pochodzi żyjący obecnie (1928) adwokat dr. Ferdynand Rydet, który przyszedł na świat na tejże to realności, lecz mając lat około 10, opuścił Kopyczyńce. Ontto powiada, że przypomina sobie jak przez mgłę zaledwie o jakiejś figurze w ogrodzie obok domu za dworem, gdzie mieszkali rodzice, ale nie ma żadnych bliższych wiadomości ani co do tej figury, ani co do dawnego kościoła, ani wogóle co do przeszłości Kopyczyniec.



Figura Matki Boskiej postawiona obok dawnego domostwa Rydetów w Kopyczyńcach. Fogr. z r. 1931.

Figura ta nie może jednak sama przez się być dostatecznym dowodem, że na tem miejscu stał kościół. Jest bowiem stosunkowo nową i ma lat niespełna sto, jak na to wskazuje napis na niej, z trudem dający się odczytać: „Na cześć na chwałę Boga w Trójcy jedynego y Niepokal. Poczętej N P. Marji. Dnia 6 Oktobra 1834. Fundatorowie Grzegorz i Tekla Karwaski.

Przytoczę jeszcze trzecie źródło o domniemanem położeniu najstarszego kościoła. Oto również rodowity Kopyczynianin, wspomniany już Jan Jurczakiewicz w liście z 21. stycznia 1928 tak na tę rzecz przedstawił: „Gdzie był najstarszy kościół niczego pewnego nie wiem, pytałem więc ludzi starych, a ci opowiedzieli, że koło domu Rydeta był cmentarz i tam miała być kapliczka, ale czy to może był ten właśnie pierwszy kościół, nikt powiedzieć nie umie. Jest tam do dziś dnia kilka figur i stara lipa, w lipie jest wydrążona



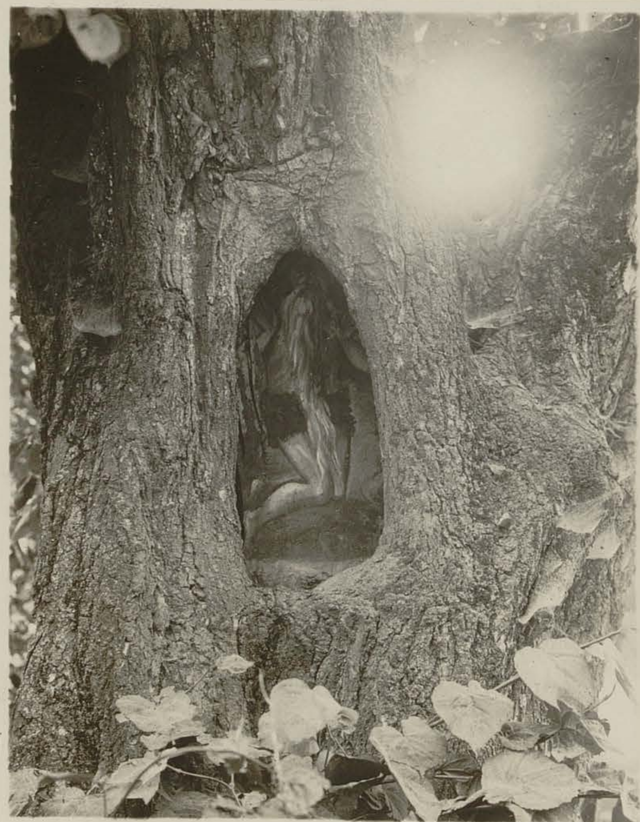
jakby kapliczka – ołtarzyk i tam widnieje malowidło św. Onufry, doskonale zakonserwowane, ale z jakich to czasów, tego nikt nie pamięta. Mówią, że to bardzo stare. Tam miał być pierwszy cmentarz, a że tam gdzie był kościół, był zawsze i cmentarz, więc według tego tam koło domu Rydeta był pewnie kościół."

Na obrazie przedstawiającym Jakóba i Offkę Kopyczyńskich, fundatorów parafii i pierwszego kościoła Kopyczynieckiego, widnieje kościół murowany, okrągły, zdawałoby się więc, że tak właśnie ów pierwszy kościół wyglądał. Ale wydaje się być rzeczą najzupełniej niewątpliwą, że obraz ten nie pochodzi z czasów, do jakich się odnosi, lecz jest późniejszym, malowanym z wyobraźni. Dlatego może mieć jedynie znaczenie przypomnienia pierwszych fundatorów, ale nie może być uważanym ani za portret fundatorów, ani też rysunek kościoła nie jest dowodem, że właśnie tak wyglądał, a bardzo jest wątpliwe, by tak wyglądał. Kościół Kopyczyńskich przetrwał zwyż 200 lat, bo do połowy XVII wieku. W Kaź-

dym razie był jeszcze w r. 1647, lecz następnie uległ zniszczeniu przez hordy tatarskie. W którym roku to się stało, nie jest pewnem, a rzecz da się bliżej wyjaśnić po uporządkowaniu archiwum Łacińskiej Archidyecezji we Lwowie. Możliwie zniszczenie kościoła odnieść należy do r. 1655. Byłoto za czasów nieszczęśliwego króla Jana Kazimierza, a byłto rok niezmiernie dla Polski groźny, gdyż po najeździe szwedzkim cała Polska dostała się w ręce kilku nieprzyjaciół, którzy ją ze wszech stron naszli. Buturlin zniszczył wtedy całe Podole i zdaje się wówczas właśnie kościół pobudowany przez Kopyczyńskich poszedł w gruzy. Czy uległ zniszczeniu właśnie ów pierwotny prastary kościół Kopyczyńskich, wspomniany w akcie fundacyjnym z r. 1443, czy też był już przebudowany, a może na nowo odbudowany, nic pewnego powiedzieć się nie da, bo w onych niespokojnych czasach szły domy boże często w perzynę. Nie jest jednak wykluczone, że przez całych lat dwieście, choćby z przeróbkami trwał ów najstarszy kościół Kopyczyńskich, bo nawet i drewniany budynek mógł więcej jak 200 lat istnieć. O tym kościele mamy dwukrotną wzmiankę w testamentach ówczesnych właścicieli Kopyczyniec. I tak Ostafi Kopyczyński w testamencie z r. 1619 rozporządził, aby go „w jego kościele" w Kopyczyńcach pochowano, coby wskazywać mogło na to, że były pod kościołem groboce rodzinne. Druga wzmianka jest w testamencie ~~Ludwika~~ Marcina Ludzickiego z r. 1638, gdzie jest powiedziane, że na cześć Boga i Najświętszej Jego Matki „altare in ecclesia nostra parochiali Kopyczyncense in capella a nobis noviter

instructa fundavimus et donavimus... ad quod altare presbiter serviens tenebitur, tres missas legere..." Z tego jest widoczne, że Kościół ten miał kaplicę przez Ludzickiego zbudowaną, w której on ołtarz ufundował i ustanowił kapłana. Bardzo prawdopodobne, że Ludzicki jako fundator kaplicy, spoczął po swej śmierci w tym kościele.

Jacy duchowni byli czynni przy tym pierwotnym kościele, Bóg jeden wie. Nikt nie zna ich imion, a to co się dochowało, jest bardzo nieznaczne. To jest pewnem, że w r. 1619 pełnił obowiązki proboszcze przy kościele Kopyczynieckim Ks. Wojciech Zygmunt Czarnotecki, komendarz, zaś w latach co najmniej 1638 do 1647 był proboszczem Ks. Marcin Czernesz (zwany także Czerneckim), który po śmierci Marcina Ludzickiego



Starodawny obraz w lipie za dworem w Kopyczyńcach nieznanego pochodzenia.

miał bardzo wiele kłopotów z jego spadkobiercami Olbrachtem, Prokopem i Kasprem Ludzickimi o majątek kościelny, a to procesował się o młyny, o las „Brzeźniak" należący niegdyś do plebana i o stawy. Niemal pewnem jest, że ów ks. Czernesz był ostatnim proboszczem przy tym najstarszym kościele kopyczynieckim i według niepewnych zapisków parafialnych został równocześnie ze zniszczeniem kościoła albo przez hordy zamordowany, albo w niewolę zagnany w odległe kraje, z których już nie wrócił.

Pierwotnie przez 176 lat od początku założenia parafii kopyczynieckiej był przy kościele tutejszym tylko jeden duchowny, a był nim proboszcz, dostatnio przez pierwotnych fundatorów Jakóba i Offkę Kopyczyńskich uposażony. Dopiero w r. 1619 Ostafi Kopyczyński, dziedzic i właściciel Kopyczyniec, testamentem spisanym w Trembowli w poniedziałek po Nawiedzeniu Panny Marji roku 1619 ufundował miejsce wikarego, a to obdarzył kościół funduszem na sprawienie ornatów i kapy i zlecił trzymać przy kościele wikarego, bakałarza, kantora i organistę, na co przeznaczył fundusz z dziesięciny snopowej z Kluwiniec. Jak już wyżej rzekłem, niedługo potem, bo w r. 1638 współwłaściciel Kopyczyniec Marcin Ludzicki ufundował drugie miejsce wikarego i na ten cel przywilejem erekcyjnym zdziałanym w dzień św. Macieja roku 1638, oblatowanym w aktach grodzkich trembowelskich w sobotę w przededniu święta Młodzianków roku 1640 asygnował kościołowi w Kopyczyńcach: 1) roczny czynsz 120 zł. pol., 2) ośm miar żyta, 3) cztery miary pszenicy 4) dwie miary grochu, tyleż prosa, jęczmienia i owczenicy, 5) jedną faskę masła, 60 serów, 6) jedną cielicę, dwa wieprze i tyleż baranów, łudzież

dozwolił na prawo wolnego wrębu w lasach swej części dóbr Kopyczynieckich. Ów nowoustanowiony kapłan miał odprawiać msze i pomagać proboszczowi we wszystkich funkcjach religijnych. Od tego czasu było dwóch wikarych przy kościele kopyczynieckim, zmiana zaś zaszła dopiero w r. 1852, gdy Chorostków odłączono od tutejszej parafii i zmieniono w osobną ekspozyturę. Jakiś czas potem było wprawdzie czasem dwóch wikarych, czasem jeden, lecz od r. 1861 stale był przy proboszczu kopyczynieckim już tylko jeden wikary.

Tyle zdołałem znaleźć o pierwotnym, najstarszym kościele kopyczynieckim.

Po jego zniszczeniu zbudowano zdaje się w r. 1655 na miejscu nieistniejącego już kościoła małą, drewnianą kapliczkę. Kto ją wzniósł, nie da się oznaczyć. W r. 1667 wysłani przez Arcybiskupa lwowskiego dwaj wizytatorowie i dziekani, celem przekonania się naocznie o stanie kościołów i parafii na Podolu po ustąpieniu hord, wspominają o tej kapliczce, która znajdowała się w bardzo nędznym stanie. Niewiadomo nawet, czy był przy niej ksiądz. W każdym jednak razie był to drugi z rzędu dom boży, choć marny, lecz przecież istniał. W Kopyczyńcach przynajmniej tę tymczasową kapliczkę zbudowano, w sąsiednich jednak Podwyszyńcach (dzisiejszych Kociubińcach) zniszczony podówczas kościół już nigdy nie został odbudowany.

Dopiero około r. 1699 Szymon Baworowski, podczaszy halicki, współdziedzic Kopyczyniec pobudował obszerny (jak na owe czasy) kościół drewniany na wzgórzu nad groblą, po prawej ręce, idąc z miasta drogą ku Husiatynowi.

Bliższych szczegółów tej budowy nie znamy a jedynie domniemywać się możemy, jaka była geneza powstania tego trzeciego z rzędu domu bożego w Kopyczyńcach. Oto Szymon ~~Kopyczyński~~ Baworowski otrzymał w r. 1683 rodzimą część Kopyczyniec z Ostapiórką w darze od bezdzietnej krewnej chorążyny Barbary Siekierzyńskiej. Ale potem dostał się do niewoli tureckiej, skąd powrócił dopiero w r. 1694 i Kopyczyńce objął w posiadanie. Być może, że na chwałę bożą w podziękowaniu za szczęśliwy powrót z niewoli wzniósł ów kościół drewniany.

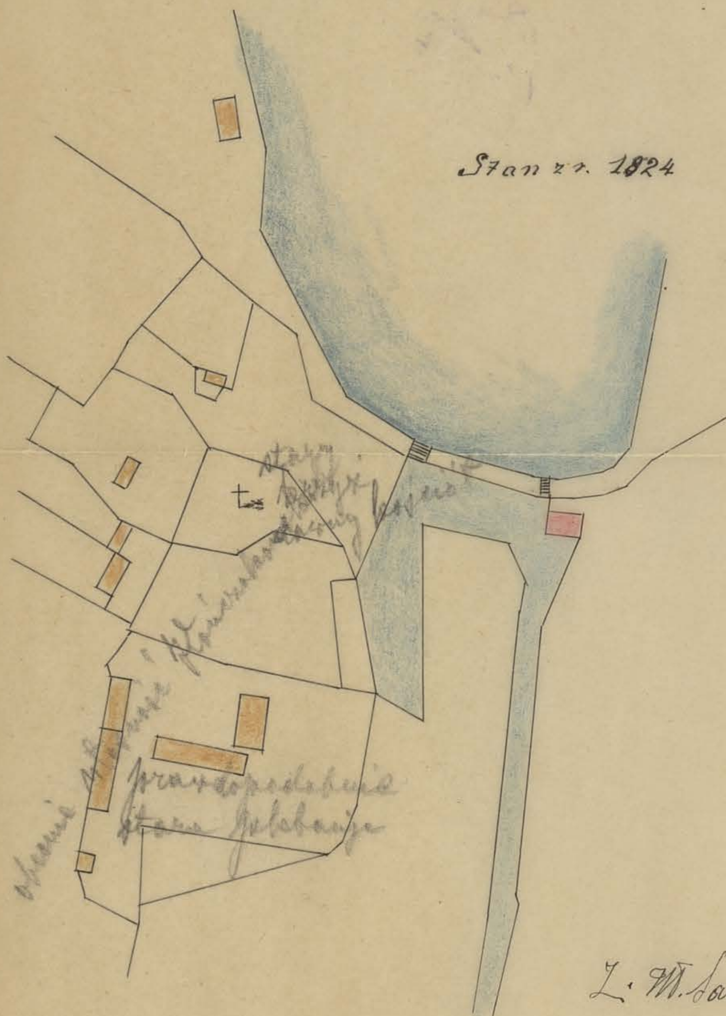
Za moich chłopięcych czasów żyli jeszcze w Kopyczyńcach ludzie, którzy w tym drewnianym kościele się modlili, ale czyż mnie chłopcu małemu przez myśl przejść mogło zasięgać wiadomości o szczegółach. Dziś nikt już nie wie, jak kościół wyglądał, którędy był frontem zwrócony, jakie miał ołtarze, czy była dzwonnica — wszystko przeszło w zupełną i bezpowrotną niepamięć, po stuletnim istnieniu znikł ów kościół z powierzchni ziemi, bo go rozebrano, skoro tylko stanął pod dachem nowy kościół murowany i już mapa katastralna z r. 1824 nie oznacza odnośnej parceli budowlanej, czyli, że go już nie było. W liście z daty Kopyczyńce 30 września 1864 pisał późniejszy proboszcz kopyczyniecki ks. Białkowski o tym kościele tak: „dawny kościół przez Szymona Baworowskiego w r. 1699 zbudowany był z drzewa, blisko stawu, przy drodze wiodącej do zamku. Pod tym kościołem miały się znajdować grobowce, w których zwłoki pierwszych i późniejszych fundatorów i dobrodziejów kościoła były pochowane." Choć Białkowski przybył do Kopyczyniec w r. 1851, a więc w 46 lat po przeniesieniu stolicy bożej ze starego kościoła do nowego, jednak mógł mieć

ad 112. a

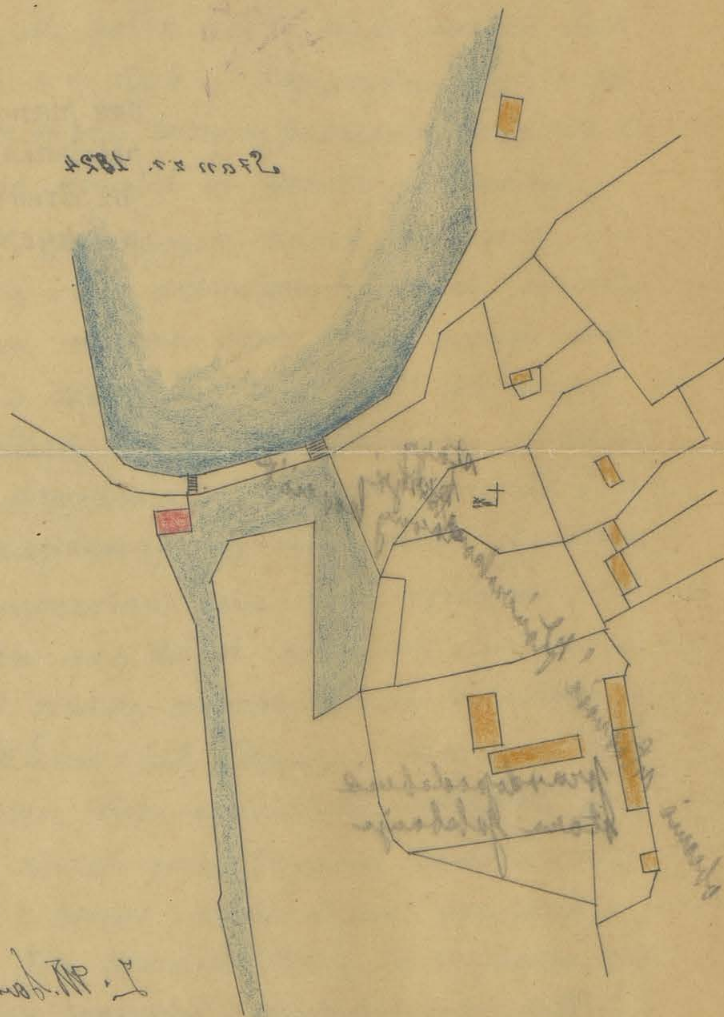
Dwa plany geometryczne
położenia nieistniejącego
już drewnianego Kościoła
w Kopyczyńcach.

Plany z map katastralnych odrysował w r. 1926
inżynier Władysław Sawicki.



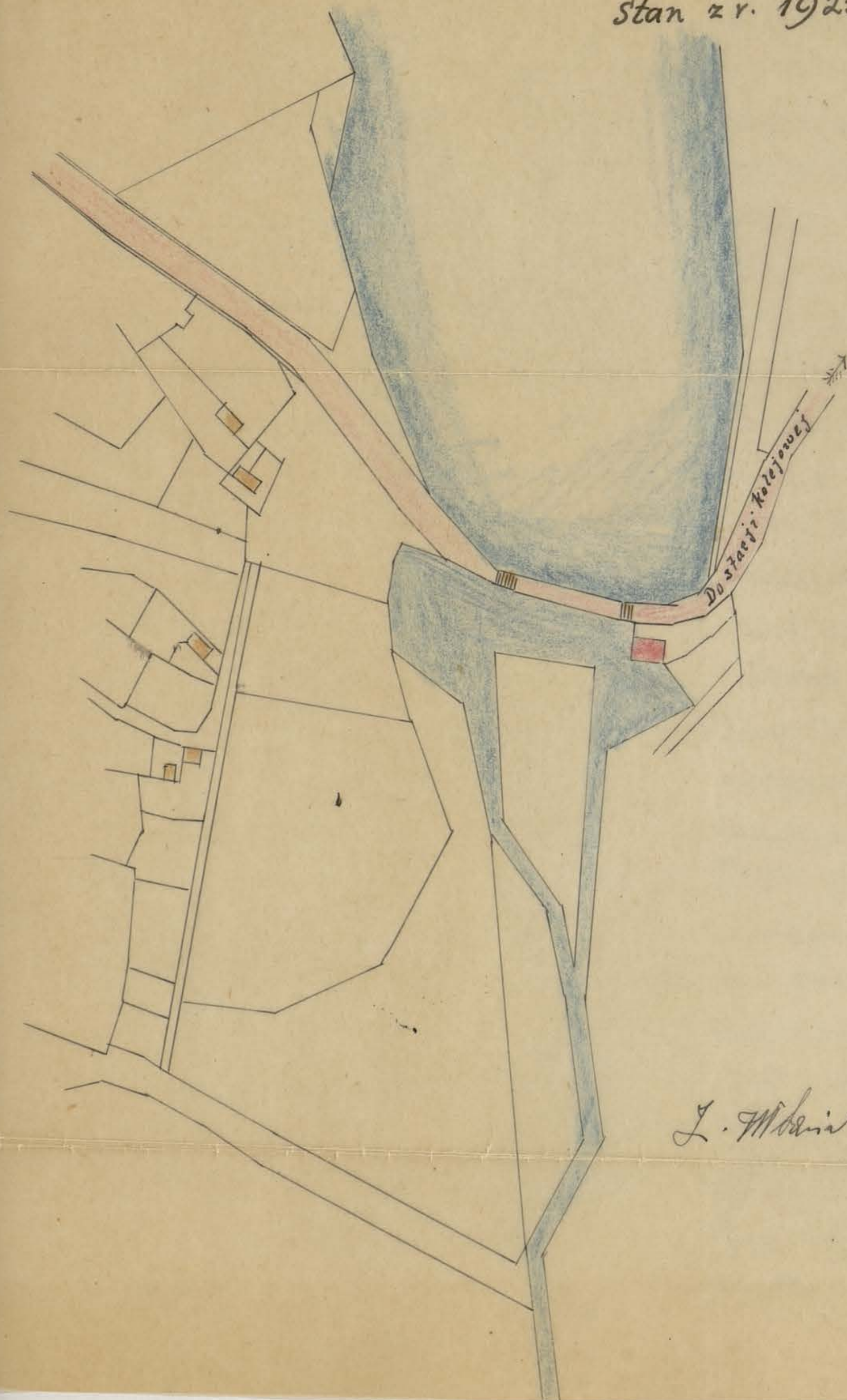


Stan z r. 1824

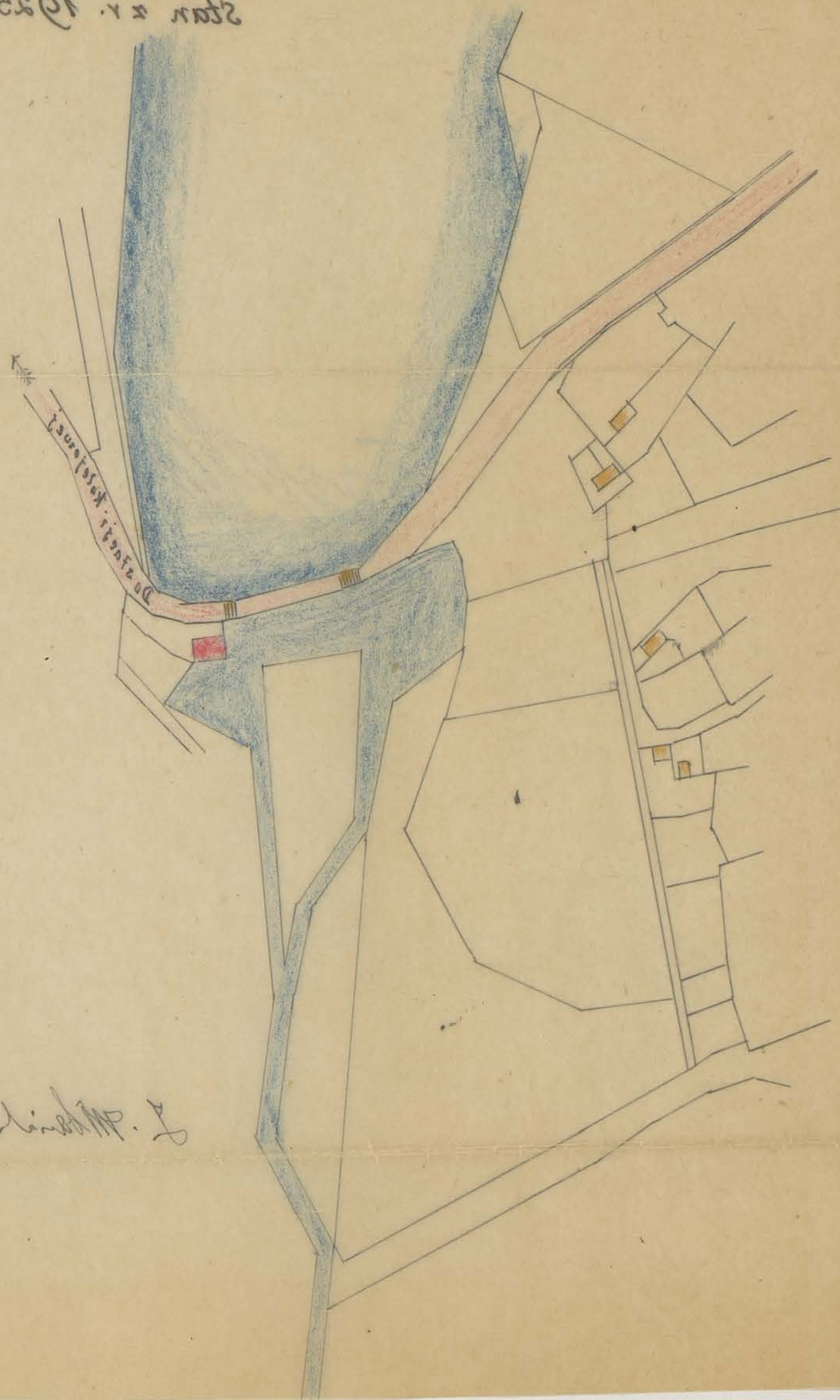




Stan z r. 1925.



J. [illegible]


Stan z r. 1925.

pewniejsze wiadomości od ludzi starszych, którzy ten kościół dobrze znali, jednakże notatka jego jest tak lakoniczna i tak na domysłach raczej, niż na pewniejszych podstawach oparta, że zgoła nie dorzuca jaśniejszego promienia światła nad to, co każdy w Kopyczyńcach i bez tego wie. Inne ogólne wiadomości o starym drewnianym kościele widoczne są z aktu ugody Kalinowskiego z Baworowskim z dnia 9 sierpnia 1762. Powiedziano tam o tym kościele, że postawiono go na miejscu niesposobnem i podlegającem „wszelkim kazusom". Nadto musiała to być budowa na prędce wykończona i z niewytrzymałego materjału, skoro już w 50 kilka lat po jego wzniesieniu walił się i był do reparacji niesposobny. Mamy do dziś niektóre sprzęty kościelne, które są niemymi świadkami kultu religijnego na historycznem wzgórzu nad groblą. Oto najbardziej wymowną pamiątką ze starego kościoła jest dzwon dotąd w użyciu będący, a napis na nim głosi jego pochodzenie: Campana haec comparata sumptibus A. R. D. F. Szczepankiewicz parochi Kopyczyncensis et Casim. A. G. Elisabethae Paszyńskich a D. 1748. Do dziś zawieszony jest ów dzwon pamiątkowy na dzwonnicy murowanego kościoła i zwołuje wiernych na wspólne modły, jak poprzednio zwoływał minione pokolenia z drewnianego kościoła nad groblą. Podczas wojny światowej w r. 1916 zabrali go Rosjanie wraz z innymi dzwonami jako łup wojenny, jednak szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało się Ks. proboszczowi Kopyczynieckiemu Majewskiemu ten jeden dzwon odzyskać, inne zaś przepadły. Drugą cenną pamiątką ze starego ko-

114

ściota jest niewielki obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, w złoconych ramach. Zapisek proboszcza Białkowskiego podaje: „lud ten obraz ma w wielkiem poszanowaniu i co dnia, a szczególnie w sobotę każdą i w uroczystości widzi się pełno pobożnych, modlących się przed tym obrazem, do którego przybywają różne datki i wota. Dotychczas ofiarowano 10 sznurów korali wartości 30 zł. reń., medaljon srebrny, łańcuch złoty wartości 40 zł. reń. i kilka jeszcze srebrnych wot. W nowym kościele został ten obraz postawiony poniżej innego, większego obrazu w pierwszym bocznym ołtarzu na lewo. Nadto z dawnego kościoła pochodzi pięć obrazów malowanych na płótnie, przedstawiających apostołów. Obrazy te czynią wrażenie bardzo starych, zczerniałych malowideł i możnaby je uważać nawet za starsze od kościoła drewnianego. Są ujęte w proste ośmioboczne ramy. Dalej ze starego kościoła pochodzi krzyż srebrny z ewangelistami i pacyfikał srebrny z relikwijami świętych (jak wspomniałem dar starościny Wieniawskiej). Niezawodnie ze starego kościoła podchodzą niektóre stare ornaty, stare lawki i sprzęty kościelne, kilka moszałów i starego typu chorągwie.

Obok kościoła nad groblą był cmentarz i to jest całkiem pewne, bo woda z rzeczki Niczławy od kilkudziesięciu lat podrywa to pamiątkowe wzgórze, co roku lub co kilka lat spada kawał wyniosłego urwiska ku wodzie i wtedy wraz z ziemią spadają kości pogrzebanych przodków kopyczynieckich. Ludzie je zbierają, odwożą na nowy cmentarz pod lasem i tam grzebią.



Wzgórze nad groblą, na którem do roku 1805 był Kościół, plebanja i cmentarz. (Fot. z r. 1931.)

Za moich czasów (lata 1877–1884) na wzgórzu nad groblą nie było już żadnych budowli, ani starego kościoła, ani nagrobków ani innego widomego znaku dawnego kultu religijnego. Tylko pobożna mieszczanka Franciszka Jurczaniewiczowa postawiła wyniosły, duży drewniany krzyż na miejscu, gdzie był wielki ołtarz zburzonego kościoła. Krzyż widniał zdala, a stokolnierek przechodził drogą przez śluzy, zdejmował kapelusz i oddawał cześć Bogu a darzył wspomnieniem licznych zmarłych, śpiących na wieki w setnych mogiłach czczonego wzgórza.

Miejsce to po rozebraniu kościoła i budynków plebańskich przeszło z powrotem na własność Baworowskich, a ci sprzedali je leśniczemu Konczakowskiemu. Krzyż ufundowany przez Turczaniewiczową, spróchniał, zniszczał i padł na ziemię, a nowego nikt już nie postawił. Na dawnym cmentarzu i na miejscu kościelnem, na grobowcach pobożnych fundatorów szumią dziś liściaste kukurydze lub zielenieje zagon kartofel, a pamięć o dawnym kościele coraz się zaciera i zanika. Pod orną glebą roli Konczakowskiego spoczywają dawne pokolenia ludności Kopyczynieckiej, zapomniane ich imiona, ich stan i dostojeństwa, wszakże na świecie wszystko jest marne i doczesne. Od inżyniera Sawickiego otrzymałem plan sytuacyjny miejsca dawnego kościoła i probostwa według stanu z r. 1824, który tu dołączam. Widzimy na planie dokładnie krzyż, a więc orjentujemy się, gdzie stał kościół, dalej zaś ku południowi były budynki folwarku plebańskiego. Choć to nie tak dawno jak probostwo taciańskie było przy grobli, trudno właściwie oznaczyć, gdzie mieszkał proboszcz i wikarzy. Plan zdjęcia geometrycznego z r. 1824 zdaje się przemawiać za tem, że probostwo było na południe od drewnianego kościoła, tam też był folwareczek proboszcza i to niezawodnie był on tu wtedy, kiedy probostwo już przeniosło się do nowej rezydencji przy murowanym kościele. Jak prawie zawsze bywało, że proboszcz mieszkał tuż obok kościoła, niezawodnie więc dom proboszcza był na wzgórzu nad groblą. Według dokumentu z r. 1743 (ugoda proboszcza z Wiemawskimi) proboszcz posiadał „grunt kościelny przy plebanji z kilkoma chatupami poddanych

i sadzawką małą za Kościołem[117]. Według inwentarza z r. 1808 (lub kilka lat późniejszego) stary dom mieszkalny proboszcza miał cztery ubikacje (nie podano czy był drewniany, czy murowany), nadto na folwarku nad groblą były następujące budynki: dom służby folwarcznej, stajnia na konie, dwa spichrze (zdaje się spichrz i stodoła), wołownia i krowiarnia, wszystko drewniane, słomą kryte. Niedaleko probostwa mieszkali poddani proboszcza, których wówczas było dziesięciu. Nadto do probostwa należał dom Mądzelewskich, a jak dom ten probostwo uzyskało, pewnem nie jest. Natomiast akta archiwalne zawierają wzmiankę, że w r. 1760 Jędrzej Mądzelewski (prawdopodobnie dzierżawca części dóbr Kopyczynieckich Baworowskiego) zapragnął w pobliżu Kościoła parafialnego pobudować dworek. W tym celu kontraktem sprzedaży z daty Kopyczyńce 27 marca 1760 sprzedał Ludwik Kalinowski za 1000 zł. pol. Mądzelewskiemu swoją chałupę z podwórzem, w której mieszkał dotąd Hawryło Zacharyn. Nabywca miał prawo z lasu Kopyczynieckiego wyciąć sobie drzewo na budowę. Niezawodnie Mądzelewski dom ten pobudował, lecz która to jest posiadłość, dziś oznaczyć się nie da. Skoro około 50 lat później probostwo posiadało „domus Mądzelewskiana vocata”, możliwe Mądzelewski dom ten darował na cele parafialne. Może jeszcze dom później stanowiący własność Jurczaniewiczów, bo według zasięgniętych od tej rodziny wiadomości, takie miały być dzieje ich posiadłości, niedaleko dawnego Kościoła położonej. Po zbudowaniu nowego probostwa na Kalinowszczyźnie — opowiada w r. 1928 Jan Jurczaniewicz — dawne probostwo nad stawem wróciło na własność Baworow-

skich a ci sprzedali je notarjuszowi Wszelaczyńskiemu. Sądzę, że odnosić się to mogło chyba do owego domu Mądzelewskiego, ale nie do probostwa samego, którego grunt po rozebraniu budynków przeszedł na własność Konczakowskiego. Wszelaczyński — jak powiada Jurczaniewicz — ufundował dom murowany dla starców, stojący dotąd na północ od murowanego kościoła i Jan Jurczaniewicz (dziadek informatora) około r. 1850 ów dom dla starców na zlecenie Wszelaczyńskiego swoim kosztem zbudował, a że to i możliwe za dalszą zapłatą nabył Jurczaniewicz od Wszelaczyńskiego dom dawnego probostwa i w ten sposób przeszedł on na własność rodziny Jurczaniewiczów. Po Janie Jurczaniewiczu odziedziczył go syn Tomasz, późniejszy burmistrz Kopyczyniec, po nim zaś wnuk Jan Jurczaniewicz, który go dotąd (1931) posiada. Dom uległ przeróbkom i gruntownym poprawkom.

Budowa kościoła drewnianego nad groblą i budynków parafialnych nie szła zdaje się zbyt raźnie, bo trwała od r. 1699 prawdopodobnie do r. 1705, gdyż dopiero dnia 26 października 1705 "na zniszczone przez hordy tatarskie probostwo i kościół w Kopyczyńcach niedawno co odbudowany" podpisał Szymon Baworowski prezentę ks. Tomaszowi Franciszkowi Paciszewskiemu i on to był pierwszym proboszczem przy nowym drewnianym kościele nad groblą. Nie długo jednak sprawował duszpasterstwo, bo już w r. 1709 umarł. Dnia 7 sierp-

nia 1709 tensam dziedzic Szymon 119 Baworowski podpisał prezentę na probostwo ks. Kazimierzowi Byczkowskiemu. Byczkowscy byli szlachtą w ziemi halickiej i pochodzili z Byczkowiec w powiecie trembowelskim. Jak długo ks. Byczkowski był proboszczem Kopyczynieckim, nie da się oznaczyć. Według śladu w aktach Trybunału Lubelskiego piastował godność proboszcza ks. Byczkowski napewno w r. 1718. Zdaje się, że był proboszczem długo, możliwie nawet do r. 1740 (miałby wtedy lat około 62).

Po nim został w r. 1741 proboszczem Kopyczynieckim ks. Franciszek Szczepankiewicz, kustosz Kamieniecki, którego portret dotąd jest w zakrystji kościoła w Kopyczyńcach. Był to najświatlejszy i najdzielniejszy proboszcz, jakiego Kopyczyńce kiedykolwiek miały. Proboszczem był długie lata a w pamiątce po nim pozostał dzwon wspólnie z Paszyńskimi ufundowany. Warto o tym człowieku i o jego pochodzeniu wspomnieć bliżej. Wywodził się z rycerskiej rodziny litewskiej. Pisał się Dziryt Szczepankiewicz herbu Jelita. Przodkiem tej rodziny był Dachna Jezbutt, mąż znany z nadzwyczajnej odwagi, który w r. 1290 poległ w walce z Krzyżakami. Spadkobiercy jego mieli posiadłość ziemską w Dżyrytkach w Ks. Siewierskiem, a gdy ta odpadła potem od Polski do Moskwy, jedni z nich przy Moskwie, inni przy Polsce zostali. W szczególności zaś został przy Polsce Stefan, Szczepankiem nazwany, który przybrał herb Jelita i służył we wojsku ks. Dymitra Wiśniowieckiego. Miał troje dzieci, którychl

od ojca Szczepanka nazywano Szczepankiewiczami. Najstarszy Georgij zabity od Wołoszy, córka Hapka umarła w panieństwie, drugi syn Fedor mężnie walczył z ks. Jaremą Wiśniowieckim i poległ w roku 1644 w walce ~~z Turkami.~~ z Tatarami. Dwaj jego synowie również położyli życie w walkach z wrogami. Jędrzej, dziadek naszego proboszcza dostał się do niewoli do Ordy, z której nie wyszedł, Wojciech poległ chlubnie w r. 1683 na wyprawie wiedeńskiej. Z żony Anny Sarneckiej miał Jędrzej syna Piotra, długoletniego wojownika w pułkach Lubomirskiego i Józefa Potockiego. W r. 1711. Piotr Szczepankiewicz ożenił się z Justyną Brzeską (córką Józefa Żegoty Brzeskiego i Heleny z Borakowskich). Z tychto rodziców pochodził nasz proboszcz. Piotr i Justyna Szczepankiewicze mieli sześcioro dzieci; a byli to: ks. Franciszek proboszcz Kopyczyniecki, Konstanty oddał się palestrze, ks. Jan Jezuita, ks. Jakób dominikanin (imię klasztorne Dominik), córka Marjanna 1° Podgórska 2° Bieńkiewiczowa zamieszkała w powiecie Lidzkim, wreszcie córka Krystyna zamężna Kolenda. Najstarszy syn Franciszek pierwotnie był we Lwowie mansjonarzem przy fundacji Milewjańskiej przy lwowskiej archikatedrze, tu też ukończył teologię, był rektorem Marianae Academiae i kilka razy z filozofii i teologii publicznie defendował. Plebanem Kopyczynieckim został w r. 1741, gdy zaś objął ten swój nowy urząd duchowny, wnet poznał się biskup Kamieniecki, jak mądrego człowieka do swej

dyecezji dostał, wnet więc Ks. Szczepankiewicz został kanoni-
kiem katedralnym Kamienieckim, potem notarjuszem apo-
stolskim, kustoszem i sędzią duchownym (surogatem). Trzy-
mał przy sobie na probostwie Kopyczynieckiem matkę Justynę,
a gdy ta zmarła tu dnia 29. sierpnia 1751, pochował ją
albo w Kościele nad groblą, albo obok tegoż Kościoła (źródła
mówią: sepultura Ecclesiae Parochialis Kopyczynensis).
Tenże proboszcz napisał Kronikę Kościelną pod nagłówkiem
Meritum Ecclesiae, której obecnie odszukać nie można.
Za jegoto czasów powstał akt fundacyjny Ludwika Kali-
nowskiego o budowie nowego Kościoła i nie pomylę się,
gdy wyrażę przekonanie, że na zamysł tego fundatora
musiał mieć niemały wpływ światły proboszcz Ks. Szcze-
pankiewicz. Ale ani fundator ani proboszcz nie do-
czekali tej chwili, aby na własne oczy oglądać nową
świątynię pańską, gdyż fundator umarł w r. 1765,
zaś proboszcz w trzy lata po nim. Wszystko wskazuje na to,
że Ks. Szczepankiewicz był człowiekiem czynnym i energicz-
nym. Gdy został proboszczem, sprawdził że wola fundato-
rów, którzy Kościół i plebana Kopyczynieckiego wcale dostat-
nio wyposażyli, nie była w całości przestrzegana. Kto mógł,
wolę tę wypaczał i starał się świadczyć na Kościół jak naj-
mniej lub wcale nic. Zabrał się więc do uregulowania tej
sprawy i do przywrócenia i umocnienia dotacji, jakie
się Kościołowi należały. Najcięższy orzech miał do zgry-
zienia, o ile chodziło o skłonienie głównych właścicieli
Kopyczyniec Wieniawskich do wykonywania i spełniania
aktu fundacyjnego Jakóba i Offki Kopyczyńskich z r. 1443.

Przeważna część Kopyczyniec należała wtedy do małoletnich sierot Tomasza, Józefa, Jana, Michała, Antoniego i Amieli Wieniawskich pod opieką podczaszyny przemyskiej i starościny Mogielnickiej Aleksandry z Odrzechowskich Wieniawskiej, dożywotniczki Kopyczyniec i pod opieką stryjów, ks. Franciszka Wieniawskiego kanonika archikatedralnego lwowskiego i scholastyka kolegjaty jarosławskiej tudzież Marcina Wieniawskiego, chorążego przemyskiego pozostających. Proboszcz ks. Szczepankiewicz skarżył owych spadkobierców Wieniawskich o łany, las Szczyszczyznę, sianożęci, grunty, dziesięciny snopowe, o rybne ze stawów, o stołowe od poddanych, miarki z młynów, o palenie bartów saletrzanych, wolny wrąb do lasów o sadzawkę i inne drobne pretensje. Konsystorz lwowski wysłał komisję do Kopyczyniec celem rozpoznania i rozpatrzenia tej sprawy. Po pertraktacjach i dłuższych rokowaniach doszło ostatecznie dnia 13. maja 1743 do ugody, czyli jak odnośny akt opiewa „stanęła pewna i nieodmienna komplanacja." Ks. Szczepankiewicz w niejednem ustąpił ze starszych swoich praw, byleby osiągnąć porozumienie. Ugodę spisano i podpisano, komisja odjechała, ale zatargi nie ustawały, bo Wieniawscy znów nie wypełniali swoich obowiązków względem Kościoła, czemu zdaje się należy głównie przypisać winę zarządcy Kopyczyniec z ramienia Wieniawskich Gryszkowskiemu.

Następnie uregulował ks. Szczepankiewicz sprawę dotacji na Kościół z właścicielem innej części Ko-

pyczyniec i Kotówki Józefem Baworowskim. Ta część była w dzierżawnem posiadaniu Wierzbickiego, Płońskiego i Madzelowskiego. Doszło do ugody pisemnej z datą Kopyczyńce 11. października 1749 wobec ówczesnego dziekana ks. Grzegorza Pakoszewskiego.

Wreszcie aktem z 20 lutego 1776 uregulował ks. Szczepankiewicz wykonanie zapisu Ostafiego Kopyczyńskiego z r. 1619, mocą którego w myśl woli fundatora właściciele Kluwiniec mieli dawać dziesięcinę snopową na utrzymanie wikarego w Kopyczyńcach. Proboszcz Szczepankiewicz zgodził się z ówczesnymi właścicielami sędzią Bobrowskim i Krystyną z Nowowskich Bobrowską, iż ci i ich następcy zamiast tej dziesięciny, mieli płacić kościołowi kopyczynieckiemu po 300 zł. pol. rocznie.

Ks. Szczepankiewicz dorobił się w Kopyczyńcach pięknego majątku, był bowiem proboszczem 37 lat, a probostwo to było jedno z lepszych. Miał jednak przy sobie rodzinę bliższą i dalszą, którą wspomagał. Pisał się proboszczem kopyczynieckim i żuchowskim. Dnia 7 listopada 1778 sporządził testament, w którym mianował dziedzicami Jana Strzemeckiego, Jana Batowskiego, Annę Bieńkiewiczową i ks. Gabrjela Kolendę. Ten ostatni był też wykonawcą testamentu. W tym testamencie zapisał ks. Szczepankiewicz na fundusz mszalny przy kościele kopyczynieckim 1500 zł. pol., na szpital 500 zł. pol. na misje w Kopyczyńcach 1000 złp, na statuę św. Jana Nepomucena 400 zł. p. – Umarł 24. listopada 1778. Choć pozostawił majątek w gotówce, choć miał dom w Kamieńcu

i 30.000 zł. pol. jako wierzytelność na dobrach Sadowskich Studenicy, to jednak zapisów jego nie można było wykonać, bo po zaspokojeniu kosztów pogrzebu i drobnych długów, wszystko co było na probostwie Kopyczynieckiem zagarnęli jak najrychlej sukcesorowie i odjechali nie troszcząc się o wolę testatora w testamencie wyrażoną. A ponieważ pociągnięto podówczas granice zaborcze, sukcesorowie zaś byli poza granicą w innym zaborze, nie można było od nich ściągnąć fundaszów na zapisy pobożne.

Po śmierci ks. Szczepankiewicza przez sześć lat nie było proboszcza w Kopyczyńcach, lecz tylko tymczasowi administratorowie. W szczególności zaś od 24. listopada 1778 do 20 grudnia 1779 był administratorem ks. Gabrjel Kolenda, siostrzeniec zmarłego proboszcza, on też miał nadzieję otrzymać to probostwo, co się jednak nie ziściło, ks. Kolenda został proboszczem w Samborze a odjeżdżając z Kopyczyniec zabrał ze sobą wszystkie papiery i dokumenty z tutejszego probostwa, czem wyrządził ogromną szkodę. W Samborze nie długo był proboszczem, zmarł w r. 1792, papierów Kopyczynieckich nie odszukano, podobno miały być w Koziowie koło Złoczowa, ale dalsze ich losy są nieznane.

Następnie od 21. grudnia 1779 do 6 stycznia 1781 był administratorem ks. Krzysztof Marchocki później kanonik katedralny we Lwowie, po nim zaś w czasie od 6. stycznia 1781 do 1. października 1784 był administratorem ks. Kazimierz Dankowski, późniejszy proboszcz w Skałacie.

Dopiero dnia 1. października 1784 został instalowany na probostwo Kopyczynieckie ks. Adam Obarzankowski. O jego pochodzeniu i poprzednich kolejach życia zgoła nic nie jest wiadomem. Pierwszem dziełem nowego proboszcza było zaprowadzenie ksiąg metrykalnych przy parafii Kopyczynieckiej. Był proboszczem przez lat trzynaście. Zaraz na początku swego urzędowania miał dość kłopotu z ks. Dankowskim, który z racji administrowania parafią Kopyczyniecką, przez półczwarta roku gwałtownie domagał się remuneracji. Sprawa oparła się o Gubernjum we Lwowie, które po wysłuchaniu stron orzekło, że nie tylko Dankowskiemu nic się nie należy, ale jeszcze z pobranych z probostwa Kopyczynieckiego dochodów ma zapłacić ks. Obarzankowskiemu 86 fl. 5½ kr. Zjechali się w Tarnopolu ks. Dankowski i ks. Obarzankowski dnia 8 lipca 1788, omówili sprawę, i spisali dokument ugodowy. Z aktów, jakie z tych czasów pochodzą, widoczne jest, że ks. Obarzankowski był człowiekiem niezmiernie zgodliwym, spokojnym i skromnym. Właśnie kiedy on był proboszczem, ukończono budowę murów nowego Kościoła, do którego, gdy tylko stanął pod dachem, przeniósł ks. Obarzankowski służbę bożą ze starego drewnianego Kościoła a równocześnie rezydencję swoją przeniósł do nowego murowanego domu probostwa, choć ten nie był jeszcze zupełnie ukończony. Jak to uczyniono, którego dnia i wśród jakich uroczystości odbyło się to przeniesienie, dojść dziś niepodobna. Zdaje się stało się to w r. 1805.

Co do osób innych księży czynnych podówczas w Kopyczyńcach (a było przecież po dwóch wikarych przy proboszczu) jest tylko to widoczne z papierów familijnych Baworowskich, że w r. 1794 był wikarym ks. Nepomucen Kinderman, który – jak z rachunków dworskich wynika – dawał we dworze Baworowskich lekcje na klawikordzie przez niedziel cztery i otrzymał za to 14, 7, 12, 7 – razem 40 zł. pol.

Z imieniem ks. proboszcza Obarzankowskiego, który przestał być proboszczem w r. 1807 lub 1808 (prawdopodobnie umarł) łączą się dzieje budowy nowego murowanego kościoła Kopyczynieckiego. Jak wspomniałem starosta Ludwik Kalinowski, właściciel części Kopyczyniec zwanej Kalinowszczyzną ufundował w r. 1762 (w dodatku do swego testamentu) murowany kościół w Kopyczyńcach pod wezwaniem Wniebowzięcia Panny Marji, wraz z takąż plebanją. Według miejscowego ustnego podania taka miała być geneza myśli fundacji tego nowego kościoła. Pan Kalinowski miał spory z panami na Kopyczyńcach i jeździł łódką do kościoła nad groblą. Panowie na Kopyczyńcach nie pozwolili mu jeździć przez swój staw, co tak rozgniewało Kalinowskiego, że zaczął budować swój kościół murowany, ale wybudowawszy do połowy, zmarł. Tylko dla całości opowiadania naprowadziłem legendę miejscową, zasłyszaną w r. 1928 w Kopyczyńcach.

Fundacja Kalinowskiego pierwotnie, zanim żył fundator Kalinowski i proboszcz ks. Szczepankiewicz, prędko się w czyn przeoblekać poczęła, a o ile ze źró-

dek bardziej pewnych da się dziś odtworzyć, historja powstania ~~powstania~~ i budowy murowanego kościoła przy drodze jabłonowskiej w Kopyczyńcach była następująca. Już około r. 1750 drewniany kościół na wzgórzu nad groblą zbudowany przez Szymona Baworowskiego począł się rozpadać. Naprawiać go, znaczyłoby całkiem na nowo go przerobić. Gdy się pod rozwagę wzięło, że położenie tego kościoła było niedogodne ze względu na rozwój i rozszerzanie miasta w kierunku północnym, tj. w stronę Kr. Jabłonowa, nadto wzgórze na którem stał ten kościół, coraz się ku rzeczce Niczławie rozpadało, zachodziła konieczność zbudowania innego kościoła z trwalszego materjału tj. murowanego i na innem dogodniejszem, bezpieczniem i bardziej przystępnem miejscu. Nosił się z tą myślą ówczesny proboszcz Ks. Szczepankiewicz, a że na szczęście podówczas współwłaścicielem Kopyczyniec był hojny a wielce bogaty pan Ludwik Kalinowski, starosta winnicki, przeto wszedł z nim proboszcz w porozumienie i obaj myśleli nad tem, jakby i gdzie wznieść nowy, okazały murowany dom boży. Kalinowski tem bardziej mógł łatwo zbudować kościół, że do swego ogromnego majątku otrzymał właśnie jeszcze nadto piękny spadek po swoim stryju Antonim.

Za miasteczkiem Kopyczyńcami było szerokie, równe pastwisko przy drodze jabłonowskiej, które na podstawie aktu działu z r. 1722 stanowiło wspólną własność Józefa Baworowskiego i Ludwika Kalinowskiego.

Na tem miejscu, według wspomnianego aktu działu ani nie wolno było nikomu wznosić żadnych budynków, ani gruntu tego orać. Na pastwisku tem, jak akt stwierdza, pasło się bydło „tak żydów jak i pospólstwa kopyczynieckiego". Starosta Kalinowski zdecydował się ufundować murowany kościół własnym kosztem i w tym celu w dodatku do testamentu postanowił, że ze spadku przypadłego mu po stryju Antonim Kalinowskim podkomorzym inflandzkim, zmarłym w r. 1760, ma być przez 12 lat ~~ma być~~ na budowę kościoła w Kopyczyńcach płacona do rąk proboszcza suma po 7000 zł rocznie, drzewo zaś miało być nadto dostarczane z lasów Kopyczynieckich. Zapis ten zabezpieczył Kalinowski na dobrach Turka i innych rodzinnych posiadłościach, a to na Kowalówce, Lubczu i Sidorowie cum attentis. Otrzymawszy przyzwolenie ówczesnego arcybiskupa lwowskiego ks. Wacława Hieronima Sierakowskiego obrał Kalinowski owo pastwisko za miastem na miejsce na przyszły kościół, plebanję i cmentarz. Udał się więc wraz z proboszczem ks. Szczepankiewiczem na owo pastwisko przy drodze jabłonowskiej i – jak akt powiada – za instynktem Ducha Świętego wybrał i oznaczył miejsce na przyszłą świątynię pańską wdłuż łokci 168 a wszerz łokci 100. Gdy się o tem dowiedział współwłaściciel tego pastwiska podczaszy Józef Baworowski, czuł się tem dotkniętym, że bez jego zgody Kalinowski wspólną własnością się rozrządza, przeto zaprotestował przeciw temu w grodzie trembowelskim. Po wyjaśnieniach i pertraktacjach, z których niezawodnie decydującą rolę odegrał proboszcz ks. Szczepankiewicz i arcybiskup ks. Sierakowski przyszło do

ugody pisemnej w Kopyczyńcach 9 sierpnia 1762, według której Ludwik Kalinowski dla zjednania Józefa Baworowskiego wyrzekł się prawa założenia miasta Kalinowszczyzny, na co miał przywilej z r. 1757 od króla Augusta III, nadto wyrzekł się prawa propinacji, arendy szynków i budowy karczem, wszystko to „szukając bardziej pomnożenia nieustającej chwały boskiej y dobro wieczne nad dobra doczesne przekładając". Akt tej ugody podpisali Ludwik Kalinowski, Józef Baworowski i ks. Franciszek Dzyryt Szczepankiewicz. Na akcie tym umieścił arcybiskup Sierakowski dopisek: Jako pasterz i przyjaciel obojej strony, aby Pan Bóg do dzieła świątobliwie, szczęśliwie i zgodnie zaczętego dać raczył swoje błogosławieństwo i stateczne utwierdzenie, podpisuję się X. Wacław Hieronim Sierakowski Arcybiskup Lwowski.

Zaraz następnego roku 15 kwietnia 1763 rozpoczęto budowę. W akcie ugody wyrażono nadzieję, że budowa trwać będzie 6–10 lat „lubo się strony po Opatrzności Pana Boga mocno spodziewają, że się ta pobożna fabryka prędzej nad czas zamieszczony skończy". Ale niestety, nie tylko nie skończyła się tak rychło, lecz ciągnęła się niepomiernie długo i dopiero procesem zmuszono następców fundatora, by kościół dokończyli i gdyby nie ten proces, możeby do dnia dzisiejszego nikt budowy nie skończył. Widział więc Kalinowski pierwsze początki budowy, lecz niebawem zmarł w r. 1765 a budowa utknęła. Bo i któż miał o nią dbać, fundator syna nie miał, córki daleko od Kopyczyniec mieszkały, majątek został zresztą

sprzedany, nie dziw więc, że 130 budowa samych tylko murów ciągnęła się 41 lat, nim zaś kościół zaopatrzony był we wszystkie sprzęty i ołtarze i jakotako pomalowany, potrwało to do roku 1865, czyli nim kościół wzniesiono i wewnątrz urządzono, ~~potrwało to do~~ przeciągnęło się to 102 lata. Cegieł do budowy dostarczały dwie cegielnie na części Kalinowskich w tym celu postawione i przy sprzedaży tej części Kopyczyniec przez wnuczkę fundatora Elżbietę Bielską Mateuszowi Baworowskiemu w r. 1791 postawiono ten warunek, że obie cegielnie z budynkami pomocniczemi mają być nadal utrzymane celem palenia cegieł na budowę kościoła.

Akta archiwalne wykazują, jak bardzo opieszale szła budowa i jak następcy fundatora nie chcieli się do jego woli zastosować. Jak długo żyła jego córka Tekla Bielska, doprowadziła budowę kościoła do sklepienia, po jej śmierci jednak o budowie zapomniano. Wskutek tego zostali dnia 29 grudnia 1787 spadkobiercy Ludwika Kalinowskiego (trzy córki) zaskarżeni do sądu we Lwowie (Ad Forum Nobilium Leopoliense) o dalszą budowę kościoła, ołtarzy, ławek i o całe urządzenie. Spadkobiercy wobec sądu podnosili, że nie mają obowiązku dalej budowy kościoła prowadzić, bo majątek jaki z Antoniego Kalinowskiego przeszedł przez głowę Ludwika Kalinowskiego na córki, nie jest tak wielki, by z dochodów można kościół budować. Ostatecznie doszło do ugody, mocą której adwokat Żurakowski imieniem sukcesorów Ludwika Kalinowskiego ugodził się dnia 3 lutego 1794

z ówczesnym właścicielem Kopyczyniec Mateuszem Baworowskim, że Baworowski dokończy budować kościół a córka Kalinowskiego Marianna Ponińska wypłaci mu sumę 34.000 zł. pol. w czterech rocznych ratach do roku 1797, o czem ówczesny proboszcz ks. Adam Obarzankowski się zgodził. Gubernium Lwowskie energicznie zajęło się sprawą wypełnienia legatu i pilnowało dokończenia budowy kościoła. W piśmie z 11. lipca 1794 Gubernium wytyka, że przez 32 lata nie uczyniono niczego

Kościoł w Kopyczyńcach fundowany w r. 1762 przez Ludwika Kalinowskiego, starostę winnickiego i dobrzynieckiego, według stanu z września 1925.

Zbyt gęste drzewa przysłaniają linie kontur świątyni. Wokół niema już ozdobnego barokowego parkanu, lecz tylko resztki marnych sztachetek przez wojnę światową 1914/18 przerzedzonych.



więcej, jak tylko zbudowano boczne ściany, że spadkobiercy Ludwika Kalinowskiego pod każdym pozorem starają się uchylić od swoich obowiązków a także hr. Baworowski dotąd nawet nie zwiózł materjałów budowlanych. Dlatego Gubernium nie bardzo przychylnie patrzyło na ową ugodę z roku 1794 i nakazało Urzędowi Fiskalnemu trzymać się spadkobierców Ludwika Kalinowskiego, a nie Baworowskiego, gdyż tylko ci spadkobiercy są ze zapisu zobowiązani. Zleciło Gubernium, aby Urząd Fiskalny ściśle nakazał Żurakowskiemu, iż budowa musi iść raźnie, tak by do końca września 1795 kościół był zasklepiony i pod dachem, w przeciwnym razie należy sukcesorów dalej skarżyć.

Dopiero pod tym naciskiem przyspieszono budowę ale i tak aż w dziesięć lat później, bo w latach 1802/3 dokończono budowy a dopiero w r. 1805 można było rozpocząć w kościele służbę bożą. Konsekrowano też kościół w r. 1824.

W czasie mego pobytu w Kopyczyńcach (1877-1884) kościół był już całkowicie ukończony. Miał obszerną nawę główną i dwie nawy boczne o połowę niższe od nawy głównej. Długość kościoła wynosiła 40 łokci, szerokość 20 łokci, wysokość 25 łokci. Front zwrócony na wschód. Styl jego niezbyt wyrazisty, jestto barok, jednak z wpływem stylu cesarstwa. Bardzo długo stał kościół zewnątrz nieotynkowany i widniały nagie czerwone cegły. Tynk zewnętrzny pokrył go dopiero w r. 1860. Wewnątrz był prędzej otynkowany, a tymczasowe wewnętrzne malowidło ścian i sklepienia ufundował proboszcz ks. Białkowski około r. 1863. Malował malarz Ziółkowski z po-

mocnikami, których brali parafianie na wikt kolejno. Obraz Wniebowzięcia N. M. P. na froncie kościoła wymalowano około r. 1882. Kto je wykonał, nie wiem, jestto zresztą malowidło szablonowe. Malowidło wewnętrzne było liche i rychło spełzło. Obok presbiterjum po stronie miasta była zakrystja, z drugiej zaś strony (od Jabłonowa) był skarbiec, tj. skład przyborów i sprzętów kościelnych. Było siedem ołtarzy, gustownie imitowanym marmurem zdobionych. Wykonał je Korkowski, a ponieważ tego rodzaju imitację na miejscu niewłaściwie nazywano „mozaiką", przeto mistrza, który to wykonywał popularnie zwano „mazajko" a mało kto znał jego prawdziwe nazwisko. Presbiterjum kościoła jest stosunkowo dość płytkie. ~~Du~~ Duży ołtarz był gustowny i harmonja linij pięknie utrzymana. Zdobiły go jasne, białe kolumny, między któremi stały gipsowe posągi apostołów Piotra i Pawła. Duży ołtarz pobudował własnym kosztem w r. 1847 Adam Baworowski. W środku zawieszono obraz 7 łokci wysoki 3½ łokcia szeroki, przedstawiający Matkę Bożą z dzieciątkiem Jezus, podającą pasek z różańcem św. Teresie klęczącej i św. Bernardowi, klęczącemu obok w kapie z książką i piórem w ręce. Obraz ten kupił Adam Baworowski we Włoszech, kazał go oprawić w ramy złocone i kościołowi ofiarował. Stała się przytem rzecz oryginalna. Oto gdzieindziej kupiono obraz a gdzieindziej ramy, które były nieco za szerokie. Zwęzić je było niemożliwe. Dlatego do obrazu po prawej stronie na szerokość 15-20cm dodano pas, stosownie do treści i tła obrazu domalowany, co dotąd jest widoczne. Nadto w presbiterjum wisiały luźnie na ścianach dwa duże obrazy, a to nad drzwiami skarbca

(po stronie epistuły) widniał duży obraz Chrystusa ukrzyżowanego, pędzla malarza Maszkowskiego, zaś nad drzwiami zakrystji (po str. ewang.) duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, malarza Raczyńskiego. Każdy z obrazów miał 4½ łokcia wysokości a 2½ łokcia szerokości. W presbiterjum po prawej i lewej stronie stały po jednej, długiej ławce dębowej, skromnie lecz gustownie rzeźbionej, z herbami, zamykane na drzwiczki. Były to ławki kolatorskie hr. Baworowskich, którzy zasiadali tu, zjechawszy z dworu na sumę do kościoła.

W nawie głównej tuż u wstępu z presbiterjum zbudowano w r. 1858 ze składek dwa ołtarze, nie harmonizujące co do stylu z całością architektury kościelnej, bo w duchu łagodnego gotyku, dokończono zaś je dopiero w r. 1862 kosztem bractwa ~~[illegible]~~ kościelnego. Po prawej ręce (od Jabłon.) był ołtarz Ukrzyżowanego Chrystusa, z dużym pięknym obrazem, o którym ówczesny proboszcz ks. Białkowski pisał, iż „lud otacza go szacunkiem, doświadczając łask i cudów, jak o tem świadczą liczne wota, w różnych czasach ofiarowane a na obrazie zawieszone". Skąd ten obraz pochodzi, kto i gdzie go kupił, zapiski kościelne milczą. Na tymto ołtarzu stał stale krzyż drewniany wysokości około 40 cm. Był to dar ks. Polickiego, rodowitego obywatela Kopyczynieckiego, o którym wspomnę dokładnie na innem miejscu. Krzyż ten przywiózł ks. Policki z Ziemi świętej. Po lewej ręce u wstępu do nawy głównej (a więc od str. miasta) był ołtarz Matki Bożej. Przy budowie kościoła nie było w tem miejscu przewidzianego ołtarza, lecz miała być i pierwotnie była kazalnica, na którą

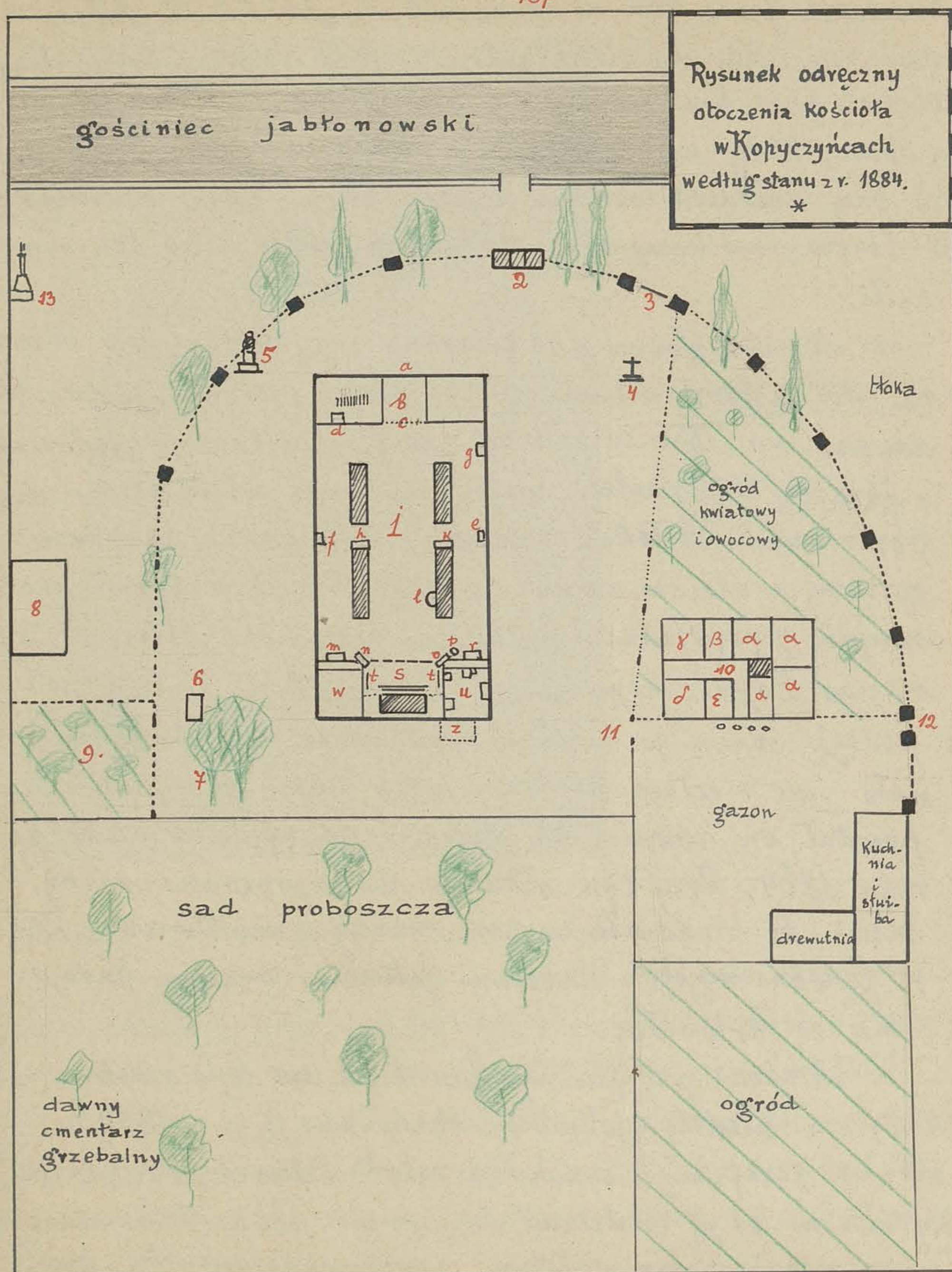
135

wychodziło się ze zakrystji schodami, dotąd istniejącemi. Później dopiero pobudowano inną ambonę przy filarze, a wylot w murze przeznaczony pierwotnie na kazalnicę zamurowano od strony nawy kościelnej i postawiono w tem miejscu ołtarz Matki Boskiej. Widnieje tu pokaźny obraz 3¼ łokcia wysokości a 2 łokcie szerokości w pięknych złoconych ramach, przedstawiający św. Hieronima, Matkę Boską z Jezusem i św. Magdalenę klęczącą i całującą nogi dzieciątka Jezus. Obraz ten wygrał we Wiedniu w r. 1853 na wystawie sztuk pięknych hr. Józef Baworowski i darował kościołowi. Poniżej tego dużego obrazu umieszczony jest w ramie złoconej stary obraz niezbyt wielki Matki Boskiej Częstochowskiej, pochodzący z dawnego kościoła drewnianego, będący we wielkiej czci u ludności i obdarowany wotami.

W nawach bocznych były dwa ołtarze, gustownie zbudowane z imitowanego marmuru i gipsowych ornamentów. Ołtarze te ufundowali rządca dóbr Kopyczynieckich Jakób Przybyłowicz i jego małżonka Marjanna z Rewackich Przybyłowiczowa ofiarowując na ten cel 638 srebrnych rubli. Ołtarze te zbudowano w r. 1864. W ołtarzu w prawej nawie był obraz Jana Nepomucena, w lewej obraz św. Józefa. Oba te obrazy sprawili Baworowscy we Wiedniu. Zapiski ówczesne (bardzo lakoniczne) podają, że „Jaśnie Wielmożna Pani Hr. Baworowska kazała je we Wiedniu wymalować." Mogła to być albo Emilja Baworowska wdowa po Adamie, albo bardzo młoda jeszcze Franciszka Baworowska żona Józefa, licząca lat dwadzieścia. Obraz św. Józefa, dzierżącego na ręku

Wyjaśnienie znaków rysunku obok.

1. Kościoł.
   a, drzwi wchodowe.
   b, babiniec - na górze chór i organ
   c. drzwi o łamanych skrzydłach
   d. wchód na chór,
   e. konfesjonał proboszcza Białkowskiego
   f. " wikarego, g. konfesjonał zapasowy
   h. ołtarz św. Antoniego k. ołtarz św. Ignacego
   l. Kazalnica. m. ołtarz św. Jana
   n. ołtarz Chrystusa. o. ołtarz M. Boskiej
   p. chrzcielnica r. ołtarz św. Józefa
   s. wieczna lampa i wielki ołtarz
   t. ławki dębowe rodziny Baworowskich
   u. zakrystja w. skarbiec
   z. przedsionek tymczasowy z desek jodłowych
2. dzwonnica o 3 dzwonach, wewnątrz z furtką wchodową
3. brama wjazdowa
4. żelazny krzyż misyjny
5 nagrobek Biadowskiego
6. głęboka jama, obok wapniarka
7. kilka wspaniałych kasztanów
8. część przytułku dla starców tzw. szpital.
9. sad Kościelnego Antoniego
10. dom proboszcza α) jego pomieszkanie β. kancelarja γ. mieszkanie czynnego wikarego δ. pusty pokój po nieobsadzonym drugim wikarym. ε. mały pokoik służby.
11 furtka na probostwo.
12. brama z probostwa na tłokę
13. statua św. Rocha


Rysunek odręczny
otoczenia kościoła
w Kopyczyńcach
według stanu z r. 1884.
*
gościniec jabłonowski
1
2
3
4
5
6
7
8
9.
10
11
12
13
a
b
c
d
e
f
g
h
i
k
l
m
n
o
p
r
s
t
t
u
w
z
γ
β
α
α
δ
ε
α
α
Łoka
ogród
kwiatowy
i owocowy
gazon
Kuch-
nia
i
służ-
ba
drewutnia
sad proboszcza
dawny
cmentarz
grzebalny
ogród

Dzieciątko Jezus tem się odznaczał, że gdziekolwiek stałeś, zawsze Dzieciątko na ciebie patrzyło. Stąd liczni pobożni długo klęczeli przed tym ołtarzem i przy modlitwie wpatrywali się w obraz, który uważano prawie za cudowny. Jaka szkoda, że przy zmodernizowaniu kościoła około r. 1900 usunięto go z ołtarza, nie licząc się z pietyzmem, jakim wierni ten obraz czcili.

W nawie głównej pod filarami były jeszcze dwa skromne, lecz gustowne ołtarze. Oto po prawej ręce przy filarze zbudowano w r. 1856 ze składek parafian ołtarz św. Antoniego z obrazem tego świętego, malowanym przez artystę Raczyńskiego. Obraz miał 2½ łokcia wysokości a 1¼ łokcia szerokości, oprawny w złocone ramy. Po lewej stronie w symetrycznem miejscu z poprzednim ołtarzem postawiono ołtarz św. Ignacego Lojoli, najpóźniejszy ze wszystkich. Zapiski nie podają, czyim go kosztem postawiono, ani kiedy to się stało, ale z całego przebiegu spraw zdaje się wynikać, że powstał on również ze składek parafian w czasie po roku 1864. Przy tym ołtarzu nie odprawiano nigdy mszy, bo brakowało w nim menzy z relikwiami, którą podobno wyjęto i darowano jakiemuś innemu budującemu się kościołowi. Owszem – bywały tam może – [illegible] do nich w r. 1879/80 – Mensę dano do Nidborga, gdy tam zbudowano kościołek (Deyk)

Ambona przy pierwszym filarze na lewo była ozdobna, w stylu – niestety – gotyckim. Zbudowano ją w r. 1859 ze składek parafian, a wykonał ją artysta Edward Krokowski, wykończono zaś ją ostatecznie dopiero w r. 1863. Utrzymana w ornamencie białym i złotym, z godłami ewangelistów, miała u dołu imitowane drewniane frendzle, nieruchome, głowami



Front kościoła w Kopyczyńcach według fotografii Gottlieba z r. 1931. Górna część fasady jest wyraźnie barokowa. Dolna jednak wykazuje marny styl cesarstwa. —

*

wiernych z czasem silnie ponadszczerbiane.

Po prawej ręce od wschodu do kościoła były dwa murowane nagrobki, a to jeden ozdobny Mateusza Baworowskiego, zmarłego w r. 1814, drugi zaś Adama Baworowskiego, zmarłego 1852.

Organy kościelne niewielkie, ale o dobrych głosach z rzeźbionemi ornamentami, ufundował w r. 1804 dziedzic z Krogulca Antoni Horodyski, dlatego na tarczy na chórze widnieje jego herb Korczak.

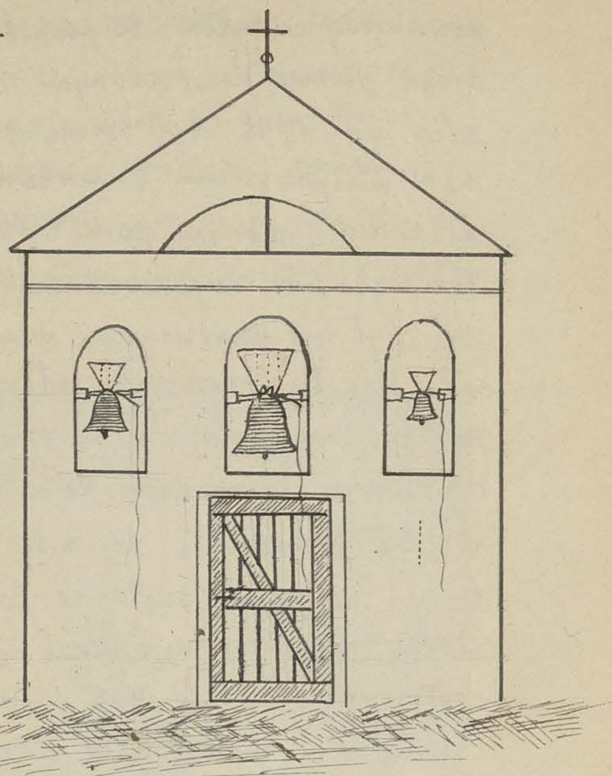
(drewniany)

140

Duży złocony pająk o 36 lichtarzach z kryształowemi ozdobami ufundował w r. 1858 starszy brat bractwa kościelnego, pobożny i zamożny mieszczanin Jan Turczaniewicz.

Posadzka kościoła wyłożona była kwadratowemi płytami z piaskowca trembowelskiego, przejmowała wilgotnym chłodem w lecie a srodze mroziła stopy w zimie. Kościół miał liczne nowsze i starsze ławki dębowe, przy nich umieszczano chorągwie piękne, z trwałej materji, doskonale zachowane. Sprawiły je w r. 1863 pojedyncze cechy rzemieślnicze, a nadto dziewczęta kopyczynieckie miały swoją chorągiew. Na procesjach najsilniejszy czeladnik danego cechu niósł jego chorągiew.

Przed kościołem stała murowana dzwonnica, zbudowana w stylu cesarstwa w r. 1824 przez Mikołaja Baworowskiego, późniejszego prowincjała Jezuitów. Stanowiła ona zarazem furtkę do kościoła. W dzwonnicy były zawieszone 3 dzwony. Największy dzwon wisiał w środku, nim dzwoniono na Anioł Pański w dnie niedzielne i świąteczne, tudzież we wigilję tychże. Miał głos ogromnie miły a donośny. Słychać go było na całą okolicę Kopyczyniec po wszystkich polach. Aż ku lasom okolicznym leciał jego głos potężny i wspaniały. Był on prawdziwą chlubą kościoła. Podczas pożaru uderzano weń tylko z jednej strony, co oznaczało trwogę. Na taki dźwięk nienormalny leciał każdy kto żył do pożogi, znaczonej nadto w nocy łuną trwożną a w dzień wyniosłą strugą dymu. Dzwon ten zwał się Piotr i Paweł, bo w tę uroczystość był poświęcony w nieznanym już dziś roku (praw-



Najstarszy wygląd dzwon-
nicy z furtką na dziedzi-
niec kościelny. Rysunek
z pamięci (po 47 latach wi-
dzenia jej) przedstawia widok
od strony kościoła. Były tylko
3 dzwony. Furtka otwierała
się ku dziedzińcowi kościoła
i była drewniana, malowana
ciemno bronzową farbą. Za-
mykała się na zaszczepkę że-
lazną i trwale była bądź o-
twarta, bądź przymknięta,
ale nigdy zamknięta. Ludzie
wchodzili i wychodzili z kościo-
ła albo tą furtką albo bramą
naprzeciw żelaznego krzyża
misyjnego. Wprost drzwi ko-
ścioła był parkan i rosły drze-
wa, wchodu tędy nie było. Pod małym dzwonem na tynku muru kreska kropkowana ozna-
cza pionową rysę, którą w r. 1883 wyrył wikary ks. Kubaszek. Gdy słońce tak się wzniosło, iż
cień sznura od dzwonka padał na rysę, oznaczało, że jest 12 godzina w południe i wtedy
można było dzwonić na południowy Anioł Pański.

dopodobnie w r. 1848.). Był odlewany w sadzie probostwa. Mie-
szczanie podówczas jeszcze majętni wrzucali wiele srebra
i szlachetnych metali na jego stop, dlatego dźwięk jego tak
był potężny i miły. Drugi po wielkości biorąc był dzwon
od strony Jabłonowa, prawie o połowę mniejszy od po-
przedniego, małe miał zastosowanie wskutek odbitego
ucha. Potem dorobiono mu ucho żelazne, a że był uszkodzony,

dźwięczał słabo, jakby zbity garczek. Ale przecież było najszanowniejszy zabytek, bo pochodził ze starego Kościoła i stanowił drogą pamiątkę z dawnych czasów. Sprawił go Ks. Szczepankiewicz w r. 1748. Ile mogę przypuścić właśnie przy nieumiejętnem zdejmowaniu z dzwonnicy starego Kościoła musiano go uszkodzić, możliwie padł z dzwonnicy nadół i o jakiś głaz odbił ucho, bo niepodobna uwierzyć, by Ks. Szczepankiewicz przyjął był od dzwoniarza dzwon w stanie uszkodzonym. Dzwonił więc ten okaleczały weteran dawnego drewnianego Kościoła niezawodnie praojcom naszym a za moich czasów na owej murowanej dzwonnicy koło nowego Kościoła dzwoniono nim w dnie powszednie na mszę poranną około 1/28 rano, nadto zaś na mniej wystawne pogrzeby. Wreszcie dzon trzeci od strony miasta, najmniejszy, o ostrym tonie, miał największe zastosowanie. Ktoś nim dzwonić i małe dziecko, dzwoniło ci nim lato i mito. Onto wzywał codziennie wiernych trzy razy na Pozdrowienie Anielskie. Mieszkałem prawie naprzeciw kościoła, ileżto razy ja w te dzwony dzwoniłem! Gdy byłem mały, urzędowałem tylko tym małym dzwonkiem, potem awansowałem do owego Szczepankiewicza, wreszcie mając lat około 11 dzwoniłem dużym dzwonem i cieszyło mię, gdy ciężki dzwon, rozkołysany podrywał mię za sznur w górę. Raz jednak omal nie ściągnąłem na siebie wielkiej bury za dzwonienie. Oto około r. 1882 we wielką sobotę, słysząc przy mszy, że od „Gloria" dalej już się w Kościele dzwoniło, po skończonej mszy o godzinie 12[tej] w południe, pochwyciłem sznur małego dzwonka i zacząłem

dzwonić na Anioł Pański. Widząc, że ten i ów z oddali coś do kogoś rękami wymachuje, inni jakby mi jakieś znaki dawali, oglądnąłem się wstecz i zobaczyłem proboszcza Białkowskiego w oknie probostwa, który książką machał i wołał, by dać spokój dzwonom. Opuściłem sznur i uciekłem, proboszcz mnie nie poznał, więc z tych skutków to nie pociągnęło. Niebawem posłyszałem, jak kołatki klekotały

Fotografia obok (zdjęcie 28 sierpn. 1927) przedstawia empirową dzwonnicę Kościoła Kopyczynieckiego po jej przekształceniu około roku 1926 tj. po zamurowaniu furtki. Trzy widoczne dzwony są nowe, powojenne, sprawione za czasów proboszcza Ks. Majewskiego. Parkan z betonu i żelaza jest już trzeci z rzędu od założenia kościoła licząc. Zamyka bramę i furtkę naprzeciw wejścia do kościoła. Krzyż drewniany tuż za furtką jest nowy, poprzednio go tu nie było, podobny jednak był tuż przy figurze św. Rocha, ale uległ zniszczeniu około r. 1900.



koło kościoła przepisowo na Anioł Pański.

Historja dalszych dzwonów związana jest z losami wojny światowej. Oto w latach 1915–1917 Rosjanie ustępując z Galicji zabierali z kościołów i cerkwi dzwony, mając na oku zapotrzebowanie metalu do wyrobu amunicji. Zabrano wtedy także wszystkie trzy dzwony z dzwonnicy Kopyczynieckiego kościoła. Po ukończeniu wojny Rosjanie oddali dużo dzwonów, ale ze zabranych z tutejszego kościoła powrócił jedynie dzwon Szczepankiewicza, dwa zaś inne, ów duży dzwon o pięknym tonie i ów mały, ku nieporetowanej szkodzie przepadły na zawsze. Po wojnie sprawiono trzy nowe dzwony kosztem parafian, staraniem proboszcza ks. Majewskiego i wikarego ks. Golenia Wojciecha. Odlewano je w odlewarni braci Felczyńskich w Kałuszu w r. 1921. Pierwsze dwa dzwony kosztowały gotówką 475.840 Marek pol., nie licząc wartości zebranych metali, mosiądzu, żelaza i cynku do odlewu. Jeden dzwon waży 100 Kilogr., drugi 60 Kilogr. Trzeci dzwon pochodzi z r. 1923, waży 40 Kilogr. i kosztuje 449.340 Mar. pol., w tem koszto na zakupno metalu 49.340 Mar. pol. Są więc obecnie z odzyskanym dzwonem Szczepankiewicza cztery fungujące dzwony.

aby Niemcy nie mieli metali. Rosjanie sami nie potrzebowali

W czasie mego pobytu w Kopyczyńcach (do r. 1884) był kościół wraz z probostwem otoczony półkolistym, ozdobnym, barok przypominającym parkanem. Miał murowane czworoboczne słupy wysokości około 2½ metra, biało bielone, na wierzchu opatrzone urną glinianą, również pobielaną. W słupy były wpuszczone listwy dębowe, a w te włożone czworograniaste,

ad 144 a

Dwa plany sytuacyjne otoczenia murowanego kościoła w Kopyczyńcach według stanu z r. 1824 i 1925.

Z map katastr. odrysował inż. Wł. Sawicki.

144c

← Do Trembowli

Stan z r. 1824

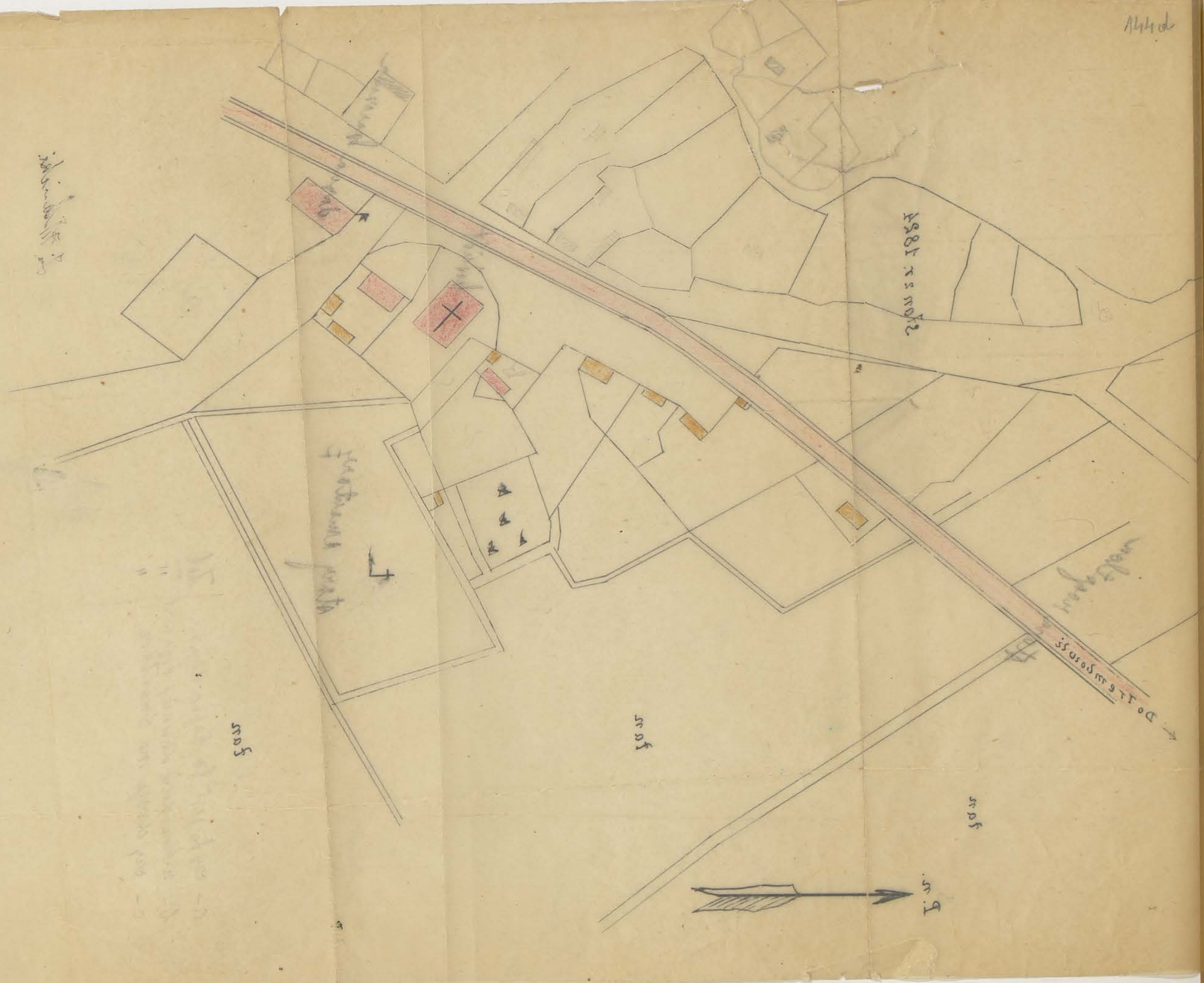
P. n.

łan

łan

łan

stary cmentarz


1144d

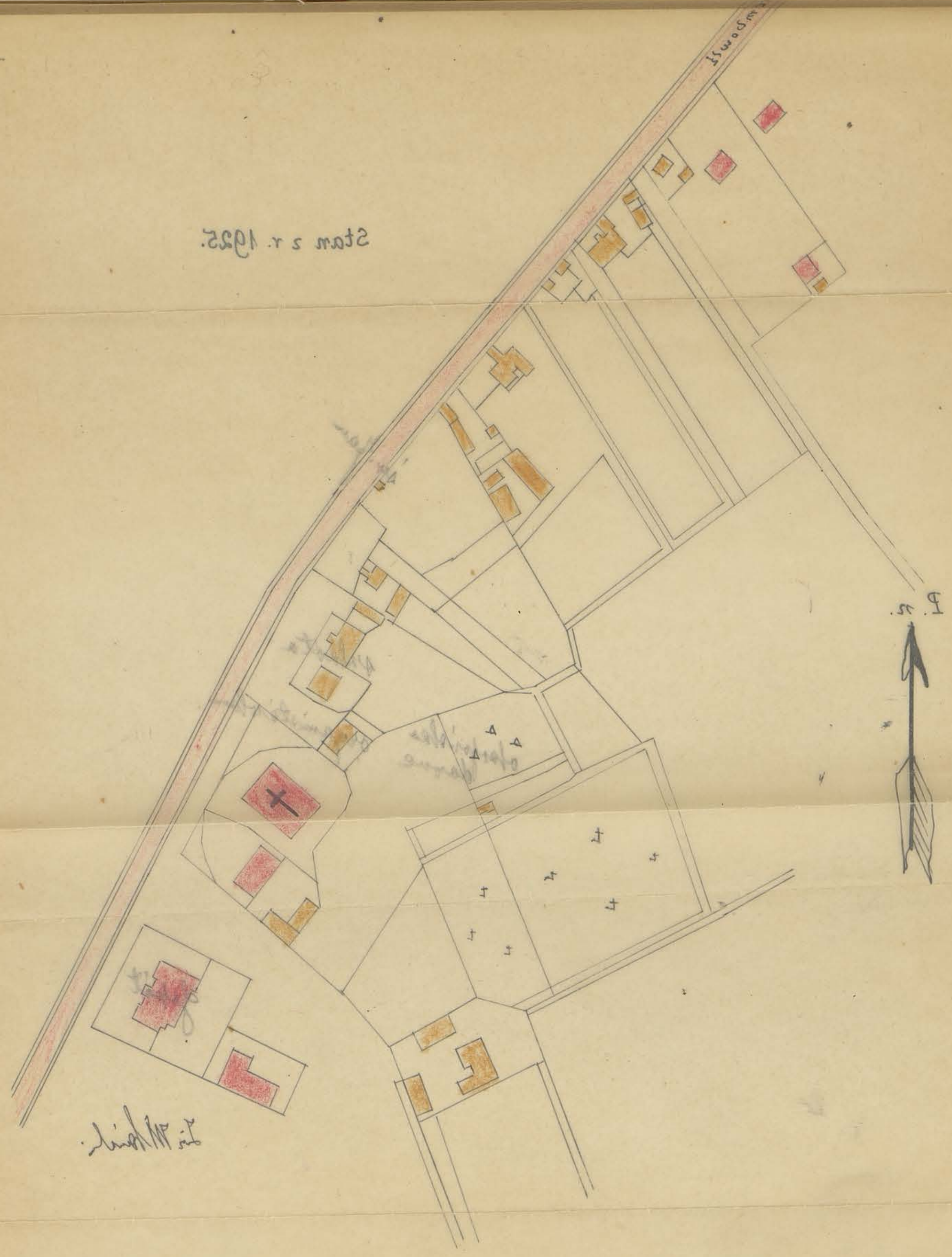
Stan z r. 1925.

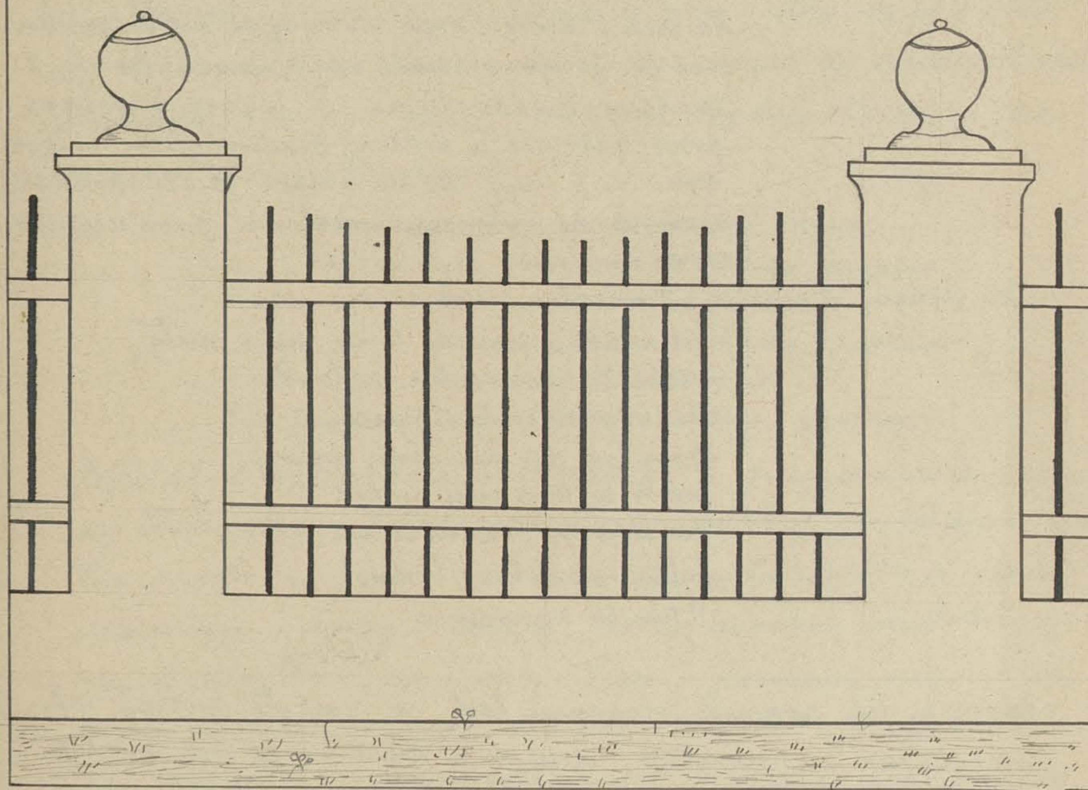
Trembowli

← Do Trem…



P. n.


Stan z r. 1925.
P. n.



Jeden odcinek pierwszego parkanu wokoł kościoła i probostwa, rozebrany później około r. 1900. Rysunek z pamięci sporządzony w r. 1931.

bronzowo malowane dębowe sztachety, kantem do frontu zwrócone. Słup od słupa był oddalony o jakie 4–5 metrów. Wszystkich słupów mogło być około 12–15, bo od strony szpitala były nie murowane, ale cienkie słupy dębowe. Tuż przy parkanie zasadzone były włoskie topole, a że one w naszym klimacie nie szczególnie się udawały i prędko starzały się, przeto częściowo zastąpiono je akacjami.

176

Na dziedzińcu kościelnym niedaleko frontowego narożnika kościoła od strony Jabłonowa stała na postumencie kamiennym statua z piaskowca przedstawiająca św. Józefa a na niej widniał napis na frontowej ścianie postumentu:

D. O. M.

Na cześć i chwałę Boga w Trójcy św. Jedynego, ku czci św. Józefa w dowód wdzięczności ku ś.p. Józefowi Biadowskiemu. Ta figura budowana przez Gabryela i Wiktoryę Budwińskich małżonków. Ś.p. żył lat 89, umarł 24 listopada 1829. Spoczywa na tutejszym cmentarzu, prosi o pozdrowienie anielskie.

Na drugiej stronie postumentu umieszczono wiersz:

Na wieczną pamięć Ojcze nasz miły,
Dzieci Ci kamień ten postawiły.
Chociaż zamknięty w podziemne doły
Drogie są dla nas Twoje popioły.
Jakim się nam cieniom Ojca
Zawdzięczyć wspomnieniem
Tylko modlitwą, łzami
I tym tu kamieniem.

Wiktorja.

Możnaby ten pomnik rozumieć tak, że zmarły spoczął na cmentarzu za kościołem, dzieci w kilka lat po jego śmierci chciały mu postawić nagrobek, gdy jednak cmentarz już zamknięto, przeznaczono na skasowanie i barbarzyńskie pomiszczenie nagrobków, dlatego dzieci już tylko obok kościoła mogły ułożyć nagrobek, a nie na cmentarzu. Nikt już za moich czasów ani o Biadowskim ani o Budwińskich nie słyszał i żadnej nie miał wiadomości. Na Boże Ciało i w oktawę podczas procesji tu pod tą statuą stawiało się jeden z czterech ołtarzy.

Po drugiej stronie czyli niedaleko narożnika kościelnego od miasta stał na dziedzińcu kościelnym tuż u wylotu bramy wjazdowej nieopodal parkanu ogrodu ks. towego proboszcza krzyż żelazny wprawiony w nieduży graniastosłup, okolony kilku schodkami. Stanowił on pamiątkę misji z r. 1856. Tamto w lecie (zdaje mi się w czerwcu) wieczorem po zmierzchu gromadziła się młodzież rzemieślnicza, palono świece, klękano dookoła krzyża i śpiewano staroświecką pieśń:

Dobranoc głowo święta Jezusa mojego,
Któraś była zraniona do mózgu samego!
Dobranoc kwiecie różany,
dobranoc Jezu kochany, dobranoc,
dobranoc śliczna lilija
Jezus, Józef i Marija, dobranoc.

Było w tym śpiewie coś mistycznego a przypominało śpiewy chrześcian w katakombach przy nikłych światełkach. Stałem zwykle w furtce dzwonnicy i przysłuchiwałem się pieśni, rozważając w duszy chłopięcej, jak to śpiewaną modlitwą życzy się Chrystusowi dobrej nocy. Pieśń w mrocznym wieczorze odbijała się echem o mury kościelne, o drzewa olbrzymie otaczające kościół i rozbrzmiewała w dal hen aż po krańce pustej tłoki i starego cmentarza. Słuchałem tego długo, bo zwrotek było kilka i podziwiałem poezję pobożną:

Dobranoc krzyżu święty, pod którym upada
Jezus Chrystus, Bóg i Człowiek, gdy sobą nie włada.
Dobranoc kwiecie różany, itd...

Ostatnia zwrotka brzmiała:

Ach dobranoc śliczny Jezu, me wdzięczne kochanie,
Przyjmij sobie za sen smaczny, me szczere wzdychanie
Dobranoc kwiecie różany ... itd...

Gdy pieśń skończono, gasły świece, młodzież powstawała, chwilę gwarzono i wszyscy rozchodzili się do domów w różnych kierunkach.

Za kościołem w pobliżu parkanu sadu proboszcza, od strony jabłonowskiej rosły dwa wspaniałe kasztany, pod którymi ustawiano ołtarz w oktawę Bożego Ciała, obok zaś były niezasypane jeszcze jamy z resztami wapna, używanego niegdyś do budowy ołtarzy. Na probostwo szło się od kościoła furtką, proboszcz z wikarym mieszkali w obszernym murowanym domu. Przed domem proboszcza od strony gościńca był ogród kwiatowy, który założył w r. 1826 proboszcz Wojnarowski.

Porządek nabożeństw w kościele Kopyczynieckim był mi dokładnie znany, a datował się od niepamiętnych czasów. Księży stale było dwóch, proboszcz i wikary, ten ostatni pełnił zarazem obowiązki katechety w szkole.

W dnie powszednie odprawiano dwie msze, pierwszą miał wikary o 7^mej^ rano i ta była czytana przy jednym z bocznych ołtarzy, drugą o godzinie 7½ miał proboszcz Białkowski, ta wprawdzie była także czytana, ale podczas niej organy grały. Mówiło się, że taka msza jest „grana". W niedzielę rano o 8^mej^ była jutrznia, odprawiał ją wikary, intonując na wstępie: „Deus in adjutorium meum intende", poczem siadał na krześle a organista grał i śpiewał łacińskie psalmy na chórze. Dopiero przy końcu powracał ksiądz do ołtarza, śpiewał kilkakrotnie a kończył jutrznię słowami: „divinum auxilium maneat semper vobiscum". Po jutrzni około

godziny 9. następowała tzw. ranna msza, odprawiał ją zawsze ten z księży, który miał potem podczas sumy kazanie. Po tej mszy była przerwa, bractwa śpiewały godzinki, poczem około 1/2 XI zaczynało się uroczyste dzwonienie na sumę. Najpierw jeden z najbieglejszych w dzwonieniu chłopaków szkolnych szedł na środek kościoła i dzwonił w sygnaturkę, umieszczoną na wieżyczce nad kościołem. Z biegiem lat i ja do tej godności doszedłem. Potrzeba było umieć dobrze długi sznur trzymać w rękach, by się nie rozkołysał i regulować dzwonieniem, by sygnaturka wydawała odgłos przez ~~pół~~ potrójne uderzenie: raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy itd. Kto pokpił w dzwonieniu, był od tego urzędu na długo odsunięty. Pewnego dnia w r. 1883 dzwoniłem na majowe nieszpory, sygnaturka dzwoniła według wszelkich wymogów sztuki dzwonniczej, z czego byłem dumny — nagle lekko mi się w rękach zrobiło, a cały sznur spadł na moją głowę, urwawszy się na wieży przy rączce sygnaturki. Skamieniałem ze strachu, bo w zarządzie kościoła był rygor strasznie surowy. Ostatecznie jednak uznano to za niezawiniony przypadek, a nawet następnego dnia popołudniu poszedłem z kościelnym na strych kościoła przywiązywać sznur do sygnaturki. Pamiętna to była wyprawa. Poszliśmy na chór, przecisnęli popod miechy organowe, potem krytym kurytarzem wewnątrz muru kościelnego (od strony miasta) przeszli na strych. Gdy przechodziłem w poprzek górnego okna kościelnego i gdy spojrzałem

wdół nawy kościelnej, mrowie strachu mną ogarnęło. Czuję do dziś ten lęk przed upadkiem ze znacznej wysokości na kamienną posadzkę kościoła.. Na samym strychu pamiętam czerwone cegły beczkowego sklepienia. Kościelny spiął się po stromych, stale tam umieszczonych a mocno skrzypiących drabinach aż ku sygnaturce i po umocnieniu sznura do rączki dzwonu wyszukaliśmy otwór w sklepieniu, przez który sznur spuściliśmy do wnętrza kościoła. Sygnaturka spełniała odtąd swoje zadanie bez zarzutu. Na sumę więc po przedzwonieniu sygnaturką dzwoniło się kilka minut we wielki dzwon, potem ten milkł a odzywał się dzwon średniej wielkości, ów uszkodzony, potem i on milkł a dzwonił mały ulubiony dzwonek umieszczony w dzwonnicy od strony miasta, wkońcu wszystkie trzy dzwony naraz całą siłą swego dźwięku zwoływały wiernych na na uroczystą sumę. Nie zaraz się jednak po dzwonieniu suma zaczynała. Przez jakiś kwadrans napływały leniwie rzesze wiernych z różnych stron miasta, inni zsiadali z licznych fur, przyjechawszy z siół okolicznych, poprawiali zmięte drogą ubrania, witali się ze znajomymi i powoli zdążali do świątyni pańskiej. Byłażbo ta suma największą uroczystością w parafii w całym tygodniu. I pomodlił się każdy Bogu i od ludzi odebrał honor jaki mu się należy i z tym i owym pod kościołem pogadał. Siedzenie w ławkach szło w miarę godności. W pierwszych dwu rzędach ławek obok ambony siadały zakonnice z Jabłonowa, które przyjeżdżały dużym dworskim wozem o koszykowo plecionych drabinach.

Za niemi w dalszych ławkach siadały co przedniejsze i starsze mieszczanki a i niektóre bardziej zamożne gospodynie wiejskie. Po prawej stronie przed ołtarzem Chrystusa Ukrzyżowanego zasiadały w pierwszych rzędach panie z inteligencji miejscowej tj. ze świata urzędniczego i oficjalistów dworskich, w dalszych zaś mieszczanie i mieszczanki. Wolne miejsca w nawach kościelnych zajmowała młodzież miejska obojga płci, włościaństwo i mężczyźni nie mogący znaleźć miejsca w ławkach. Dorosłe i mające pretensje do zamążpójścia dziewczęta mieszczańskie zajmowały specjalnie miejsce obok balasek, dzielących presbiterjum od nawy głównej. Sumę poprzedzała asperzja, potem szła procesja zawsze wewnątrz kościoła. Na sumę zjeżdżali hrabstwo Baworowscy z dworu i zasiadali ławki tzw. „kolatorskie" obok wielkiego ołtarza. Gdy się spóźnili, czekał ksiądz ze sumą. Do sumy paliło się przed wielkim ołtarzem sześć świec, ksiądz przywdziewał zdobniejszy ornat, chłopcy służący do mszy ubierali się w komże (czego się w zwykłe dnie dla oszczędności bielizny nie stosowało), a do sumy służyć, to był dla chłopaków szkolnych duży honor. Jedna była tylko rzecz przykra z tym honorem połączona, że podczas długiego kazania wprawdzie celebrans siedział na wygodnym fotelu, ministranci jednak musieli stać obok po jego obu stronach, zmęczeni tem niemal do omdlenia. Ale honor nakazywał wytrwać dzielnie do końca. Po sumie następowały wspólne pacierze, potem suplikacje, a lud na klęczkach jednym potężnym, z głębi piersi płynącym głosem śpiewał stary, rzewny a niezrównany hymn do Stwórcy: Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny,

zmiłuj się nad nami! Organy uroczyście wtórowały, a cały kościół rozbrzmiewał chwałą pańską. Zdawało się, że i mury kościelne w suplikacjach uczestniczą, że okna brzęczą, a pospół z ludem anioły zdobnicze wydobywają głos ze siebie. Śpiewano tak „Święty Boże” że istotnie niebo ze ziemią się łączyło, Bóg i lud wierny zespalali się w jedno jestestwo. Nie zapomnę nigdy tej cotygodniowej uroczystości kościelnej, wpoiła mi się ona głęboko w duszę i umysł a większą i potężniejszą mi się wydała, niż wszystkie inne, jakie w życiu słyszałem. Po suplikacjach następowało błogosławienie i na zakończenie intonowano najczęściej pieśń „Pobłogosław lud Twój Panie”. Kościół począł się opróżniać, niejeden wychodząc jeszcze za progiem kościelnym kończył daną zwrotkę tej pieśni religijnej, fala parafian Koprzywnickich płynęła z kościoła do domów, fury i furki zalegające placyk pomiędzy parkanem kościelnym a św. Rochem zaczęły się rozjeżdżać ku rodzinnym wioskom. Była już godzina XII a wielki dzwon dzwonił trzykrotnie na Pozdrowienie Anielskie. W opustoszałym kościele panowała cisza, a tylko woń kadzidła świadczyła, że dopieroco skończyła się uroczysta służba boża. Po domach zasiadali ludzie do objadów, w dnie świąteczne mięsnych. Po posiłku około godziny 2 popołudniu młodzież śpiewała różaniec a następnie odprawiał ksiądz wikary nieszpory, poprzedzone katechizacją.

Bardziej uroczystemi świętami były: Boże Narodzenie, Wielkanoc, Boże Ciało, odpust 15 sierpnia i dzień Wszystkich Świętych.

Na Boże Narodzenie kościół przybierał odświętną szatę. Pasterkę odprawiano wczesnym rankiem przy bogatem oświetleniu, a lud był zadowolony z mnogości mszy, bo każdy z obu księży odprawiał ich po trzy. Gdy podczas pasterki organ zagrał nutę „W żłobie leży", wyrywał się ze wszystkich piersi potężny zespolony akord starodawnej prześlicznej pieśni. Drugą ulubioną pieśnią było „Lulajże Jezuniu moja perełko". Śpiewano także „Anioł Pasterzom mówił", „Gdy się Chrystus rodzi", „A cóż z tą dzieciną będziem czynili", „W dzień Bożego Narodzenia, radość wszelkiego stworzenia" – najulubieńszą jednak pieśnią ks. proboszcza Piątkowskiego była kolenda: „Hej w dzień Narodzenia Syna jedynego. Z temi świętami łączyło się ściśle chodzenie chłopców po domach z gwiazdami, szopkami i Herodem. Najbiedniejsi i najmniejsi chłopcy, rozporządzający skromnemi środkami robili sobie gwiazdę. Brało się stare sito, umieszczało je na osi (służyła do tego celu zwykle jakaś stara laska), dno sita lepiło się przejrzystemi, natłuszczonemi, kolorowemi papierami, potem wewnątrz umieszczało się świecę, zapalało się ją, sito kręciło się naokoło swej osi, migocąc barwnemi papierami, i to już była gwiazda. Szli z nią wieczorem chłopcy po dwóch, trzech, lub czterech, od domu do domu pod okna, puszczali w ruch sito, mieniły się kolory, było jakieś złudzenie gwiazdy betleemskiej, śpiewali przytem jedną z kolend, najczęściej „A wczoraj z wieczora z niebieskiego dwora", na końcu wypowiadał jeden chłopiec orację z powinszowaniem świąt i czekali. Wynosiło się im z domu drobną monetę, dziękowali i szli dalej. Nieco starsi chłopcy robili szopki klejone z tektury i barwnych papierów,

nalepianych obrazkami i figurkami. Oświetlało się je rzęsiście wewnątrz, chodzili z niemi chłopcy po domach i śpiewali kolendy. Wreszcie były przedstawienia Heroda. Do tego potrzeba było kilkunastu starszych chłopców i ci stroili się w koszule nalepiane złotemi galonami, na głowę wdziewali klejone hełmy, korony i czapki, do boku przypasywali drewniane miecze, srebrnym papierem oklejone, w ręce brali takież włócznie. Chodzili rojno od domu do domu, Herod zasiadał na krześle, poczynały się śpiewy i przemawiania do niego, że Chrystus się rodzi i będzie królować, jego to niepokoiło i martwiło, wydawał rozkaz wymordowania dzieci, wreszcie przychodziła biała śmierć i kosą pociągnąwszy po szyi Heroda, skracała jego życie. Wyskakiwał wtedy djabeł ze sieni i zabierał duszę Heroda, czyli jego samego dźwigał za drzwi. Na tem kończyło się przedstawienie Heroda. Bieda, jeśli jedna partja Heroda, spotkała się partją konkurencyjną drugiego Heroda. Przychodziło do bójki uliczno-nej, miecze i lance były w robocie i niejedna korona Heroda leżała pohańbiona w błocie a słabsza trupa teatralna pierzchała w popłochu przez opłotki i ogrody, bo na placu boju pozostawała trupa zwycięska i ta już potem miała monopol na powodzenie. Epilogi bywały często w sądzie.

Wielkanoc poprzedzana była nabożeństwami wielkopostnemi i wielkotygodniowemi. Podczas wielkiego postu piątki miały nabożeństwa małoco mniejsze niż niedziele a kościół był prawie przepełniony. We wielki tydzień odprawiano odpowiednie ceremonje z całą okazałością. We wielką sobotę popołudniu jechał ks. proboszcz Białkowski święcić

„paschę" do dworu Baworowskich. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że byłto jedyny dzień w roku, w którem Białkowski wydalał się poza probostwo, chyba że wyjątkowo uczestniczył w jakim wystawniejszym pogrzebie. Równocześnie ksiądz wikary chodził po domach parafian i święcił jajko wielkanocne. Trwało to do późnego wieczora, obierał zaś wikary ten dom jako ostatni, gdzie mu było najmilej pozostać i po trudach wypocząć. Ks. wikary Kubaszek zawsze zostawał u dyrektora szkoły) Szarka. Jednego roku (zdaje mi się 1883) poszedłem jako chłopak szkolny z tymto moim katechetą na taką wędrówkę święceniową. Chodziliśmy po całem mieście, po ulicach i uliczkach, coraz wstępowaliśmy do domów, ~~sz~~ wszędzie panował nastrój podniosły, świąteczny, często izby były jałowcem wykadzone, witano księdza mile, odprawiał niedługą ceremonję po kilkadziesiąt razy, poczem życzył wesołego Aleluja i szliśmy dalej. Utkwiło mi z tej wędrówki w pamięci następujące zdarzenie. W części Kopyczyniec pomiędzy gościńcem czortkowskim a nowym cmentarzem mieszkał chłop polski Stodoła. Miał syna, którego kształcił i ku radości i dumie jego syn został księdzem. Jednak nieubłagana gruźlica złamała jego młode życie. Gdyśmy (w r. 1878) przyszli z księdzem Kubaszkiem do domu Stodołów, Stodołowa zalała się łzami na widok księdza, przypominawszy sobie widocznie, że i jej syn niedawno temu takąsamą funkcję spełniał. Stary Stodoła stał z pochyloną głową. Matka zdjęła ze ściany zbiorową fotografię kleryków, wskazując na niej księdza swego zmarłego syna. Wikaremu przykro się zrobiło na widok złamanej kobiety, ucałował ją w ramię i rzekł:

nie płaczcie matko – nie płaczcie, wszystko od Boga pochodzi i do Boga wraca! Niedługo po świętach zamówił Stodoła piękne nabożeństwo żałobne za duszę syna, bo czynił to corocznie. Pamiętam, że podczas nabożeństwa siedział w przedostatniej ławie po lewej ręce od wschodu Kościoła i był wielce przygnębiony. Może w jakiś miesiąc lub dwa potem nadszedł jakiś pogrzeb, jęknęły nasze dzwonki na dzwonnicy, nieduży orszak żałobny wkroczył do kościoła. Zapytałem kogoś, czyj to pogrzeb, dowiedziałem się, że to starego Stodołę chowano. Odszedł rychło za synem, aby się z nim na zawsze połączyć.

We Wielkanocną niedzielę rankiem odbywała się resurekcja. Odprawiał ją zawsze sam proboszcz Białkowski a asystował wikary. Były koło dużego ołtarza trzy insygnia wielkanocne: potężna świeca obłożona woskowemi zdobnemi gruszkami, duży czerwono malowany krzyż ze stułą fioletową [czerwoną], wreszcie gipsowa postać Chrystusa Zmartwychwstałego. Na rezurekcję w niedzielę rano po wszystkich modłach przed grobem Chrystusowym (ustawionym w presbiterjum} przed wielkim ołtarzem) ruszała procesja z kościoła i obchodziła trzykrotnie naokoło tegoż murów. Chłopcy szkolni nieśli przed baldachimem owe trzy insygnia, a to najmłodszy niósł świecę, starszy krzyż wcale ciężki, wreszcie najstarszy niósł postać Chrystusa. Był między chłopcami szkolnymi awans, zaczynało się od świecy a z biegiem lat postępowało się aż do posążka Chrystusowego. Awansowałem i ja taksamo. Pamiętam, że rok jeden nosiłem świecę, potem kilka lat krzyż a w r. 1884 już cały wielki post cieszyłem się, że niechno Wielkanoc przyjdzie, będę ze starszeństwa nosił ów posąg, co naprzód napawało

nię dumą. Jakoż na resurekcji na procesji, ująwszy we-
dług regut obnośnej sztuki lewą ręką posążek Chrystusa
i oparłszy go na lewe ramię, podtrzymywałem go prawą rę-
ką, krocząc wspaniale przed baldachimem. Ale figura była
za ciężka dla mnie, po jednorazowem obejściu zewnątrz
murów kościoła, ręka drzeć mi poczęła, czułem że kata-
strofą to grozi, aby więc nie dopuścić do gorzkich na-
stępstw, poprosiłem obok idącego mieszczanina, by ~~ode~~ ode-
brał odemnie ciężar, co też on uczynił i niósł do końca pro-
cesji. Podczas gdy procesja trzykrotnie obchodziła kościół
zewnątrz, służba kościelna pospiesznie rozbierała wew-
nątrz kościoła grób pański w presbiterjum, a gdy procesja
wróciła do wnętrza i celebrans u wnijścia zaintonował:

Rex Christe ~~Pr~~ Primogenite
Angelle dei mystice
Virtutum fons vita
Mundi caro viva,

jaśniał już od świateł piękny, przystrojony wielki ołtarz,
szedł ksiądz proboszcz Białkowski do zakrystji, wdziewał
najpiękniejszy ornat biało złocisty, brał ozdobny, osobno
zwykle przechowywany we futerale w szafie kielich złoty,
osobny był mszał o złoconych brzegach z pięknemi zło-
conemi klamrami, wysadzany kamieniami (dar ks. Józefa Ba-
worowskiego z r. 1861), nawet były dnie w uroczystości tylko
używane srebrne wewnątrz wyzłacane ampułki świąteczne
z literami V. A. (vinum, aqua) na górnych nakryciach, spra-
wione przez tegoż Baworowskiego w r. 1858. Czterech mini-
strantów ustrojonych w czerwone i niebieskie sukienki
pokryte komżami kroczyło naprzód, dzwoniło się godnie

trzy razy w dzwonek przy odrzwiach zakrystji i wychodziła uroczysta wielkanocna suma. Brzmiał organ z całej siły, jakby chciał odrobić swoje kilkudniowe milczenie w dniach wielkotygodniowych, kościół był przepełniony po brzegi, wszyscy odświętnie ubrani, ołtarze dostawały świąteczne złocone lichtarze, zakonnice z Jabłonowa dostarczały nowych sztucznych kwiatów, wszędzie panował podniosły nastrój i radość powszechna napełniała dusze. A gdy ks. proboszcz Białkowski zaintonował: Gloria in excelsis Deo — zdawało się, że chwała pańska zeszła z niebios, by podzielić radość ludzką. Na chórze grał organista Czarnecki przepięknie, z uczuciem i przejęciem się tą podniosłą chwilą, zaś wypróbowani śpiewacy przy pulpicie na chórze śpiewali pieśni wielkanocne, za nimi zaś tłum w nawie kościelnej potężnym chórem chwalił Zmartwychwstanie Pańskie. Takim głównym śpiewakiem był mieszczanin Skrzeszewski, około 50 lat liczący, zamieszkały w okolicy rogatki jabłonowskiej, a po jego śmierci młody Rostanowski, potem Popławski. Śpiewano pieśni: Wesoły nam dziś dzień nastał, nadto drugą pieśń: Chrystus zmartwychwstan jest, wreszcie małą pieśń Wstał Pan Chrystus z martwych ninie. Pieśni wielkanocnych było o wiele mniej niż kolend. Po uroczystej sumie zdążali wszyscy do domów, życzono sobie wiele, jedzono, pito, śpiewano, odwiedzano się i cieszono dożyciem tej dorocznej uroczystości. I ja podówczas szczerze się radowałem, porwany ogólnym nastrojem, patrzyłem dziecięcym niemal wzrokiem na te podniosłe ceremonje kościelne a wrażliwą duszą odczuwałem górny nastrój, jaki wtedy w Kopyczyńcach

panował. Po wyjeździe z tego miasta nigdy już potem nie przeżywałem tej serdecznej i na zawsze pamiętnej radości świątecznej.

Podniosłą uroczystością był odpust na 15. sierpnia. Przybywało kilku księży z okolicy, widziało się liczny zjazd wiernych, obie łoki obok Kościoła pełne były fur, tłum skrzył się od barw, ludzie witali się wzajemnie, zapraszali, częstowali i przypominali jedni drugim dawniejsze czasy. W Kościele był nastrój uroczysty a nowością dnia było kazanie któregoś z obcych księży. Kilku obraźników rozkładało swoje obrazy i obrazki koło parkanu Kościoła, zjeżdżały karuzele, cyrk, tzw. komedje (panoptika), katarynki z papugami i losami — a nadewszystko ściągali się z okolicy żebracy, którzy jednak w obawie przed konkurencyjną paczką żebraków miejscowych trzymali się nieco w oddali, najczęściej aż za bramą (obok ogródka proboszcza) wiodącą na dziedziniec kościelny. Przy kościele samym zarobkowali żebracy domorośli, na kopyczynieckim gruncie zasiedziali.

Szczególniejszą uroczystością kościelną było Boże Ciało. Mieszczanie Kopyczynieccy występowali w tym dniu strojnie i z przejęciem spełniali swe funkcje w procesji. Była wtedy uroczysta suma celebrowana zawsze przez samego proboszcza Białkowskiego, po niej zaś wychodziła z Kościoła tradycyjna procesja. Przed wielki ołtarz przynosili baldachim co najprzedniejsi mieszczanie, śpiewał ks. proboszcz: „Twoja cześć chwała", tłum wiernych podchwytywał dalsze słowa... „nasz wieczny Panie"... i procesja wyruszała

z Kościoła do czterech ołtarzy prowizorycznych. Układano je nie zawsze na temsamem miejscu. Pierwszy stawiano zwykle w gank starego sądu (szkic na str. 46. punkt 22), drugi przed gankiem domu Paderskich (szkic p. 27), trzeci w Kaplicy św. Jana przy drodze jabłonowskiej (szkic p. 9.), czwarty przed statuą św. Rocha (szkic p. 33), poczem procesja wracała do Kościoła. W oktawę Bożego Ciała była po nieszporach również procesja i cztery ołtarze urządzało się już tylko na dziedzińcu Kościelnym, a to pierwszy przy żelaznym Krzyżu misyjnym, drugi na zewnętrznej stronie muru Kościelnego tuż za wielkim ołtarzem, trzeci pod rozłożystemi Kasztanami w narożniku dziedzińca Kościelnego od szpitala, wreszcie czwarty pod nagrobkową figurą św. Józefa. Do tych oktawowych ołtarzy używano prastarych obrazów o ramach ośmiobocznych, pozostałych z niepamiętnych czasów ze starego Kościoła nad groblą. Opowiadano w naszej rodzinie, że jeszcze kiedy burmistrzem bywał Maciej Krzyżanowski i mieszkał w domu naprzeciw statuy św. Rocha (szkic p. 28), robiono jeden ołtarz przed domem tego burmistrza, a to pod topolą przy ogromnym Krzaku rozkwitłej róży. Później, gdy burmistrz zmarł (r. 1844), a obok powstał okazały dworek Paderskich, stawiano już ołtarz przy tym sąsiednim dworku.

pradziad autora

Bywały w Kopyczyńcach także procesje inne. Oto gdy długi czas nie było deszczu lub odwrotnie, gdy ciągłe były opady a kultura rolna wymagała już pogody, wtedy urządzano po Kościele procesję i śpiewano znaną powszechnie pieśń: Króla Boże Abrahama, w Tobie moc i dobroć sama, spojrzyj na to ludzkie plemię, ześlij nam

deszczu (pogody) na ziemię. Pamiętam jak gdzieś około roku 1882. długi czas nie było deszczu, ziemia zakamieniała ze skwaru i popękała, trawy schnąć poczęły, bydło nie miało co paść na łąkach a widoki na urodzaj były fatalne. Wyschła „Kalebania" na Słoce zupełnie, staw mało miał wody i wonieć począł bagnem, a młyn to klekotał powoli, to coraz ustawał w ruchu. Wtedy ks. proboszcz Białkowski pewnej niedzieli po nieszporach urządził procesję błagalną z Kościoła do Kaplicy św. Jana przy drodze jabłonowskiej. Wyniesiono wszystkie chorągwie, wielki tłum ludzi towarzyszył tej pobożnej uroczystości, przez całą drogę śpiewano po kilkakroć Królu Boży Abrahama, przed Kaplicą była krótka modlitwa, poczem pochód wszedł z powrotem do Kościoła przy biciu wszystkich dzwonów. Po skończonem nabożeństwie zrobiło się parno wieczorem. Jako nieduży chłopak coraz wychodziłem z domu nadwór, by patrzeć czy jest już widomy skutek tej procesji. Ale deszcz nie padał, co mię zniecierpliwiło, więc pobiegłem aż za rogatkę jabłonowską, by spojrzeć dokoła na otwartym widnokręgu, czy nie gromadzą się chmury. I – o dziwotwi nad lasem po stronie zachodniej zarysowała się nieznaczna chmurka. W nocy padł deszcz rzęsisty. Cóż to była za radość w Kopyczyńcach a zarazem podziw dla ks. Białkowskiego. Popatrzcie, popatrzcie – mawiały mieszczanki – nie było deszczu aż rozpacz brała, dopiero jak polski Kanonik zrobił procesję do św. Jana, jak zaczęli w dzwony bić i śpiewać o Abrahamie, skruszyły się nieba i zaraz deszcz lunął jak z cebra. Nasz Kanonik to głowa jakich mało,

dużo jest kanoników na Podolu, ale żaden nie wyprosił deszczu, aż Kopyczyniecki.

Mieszkając niemal naprzeciw kościoła, byłem w nim codziennie. Tysiąc razy byłem przy obrzędach religijnych, a będąc bardzo często przy chrztach, znałem całą jego formułę niemal napamięć. Odbywały się one zawsze w zakrystji, sprawował je zwykle wikary, tylko w jego braku chrzcił sam proboszcz.

Śluby szły co do wystawności zgodnie z pozycją społeczną nowożeńców. Odbywały się zawsze przed wielkim ołtarzem, zawsze organ grał Veni Creator i nawet najuboższy ślub był przecież wcale podniosły i uroczysty. Zdarzało się często, że przybywający ze wsi włościanie zapomnieli zaopatrzyć się w obrączki ślubne. Goniło się więc wtedy po kościele i proszono kogokolwiek, by na chwilę pożyczył obrączki. Nie każdy chciał to uczynić, ledwie się gdzieś wyproszono kilka blaszanych pierścieni. W samych Kopyczyńcach wesela mieszczańskie były huczne i gościnne. Muzyka grała, aż szyby drżały, goście się tłoczyli, raczyli, częstowali, przemawiali, byli wszyscy w znakomitych humorach, w ochoczym nastroju, zapominając o codziennych swoich kłopotach. Wstępną częścią wesela był pochód nowożeńców z domu do kościoła. Orszak weselny, składający się ze 100–200 osób (bo towarzyszył duży tłum ciekawych) w pieszym pochodzie zdążał z domu do kościoła. Na czele pochodu szła muzyka, za nią panna młoda prowadzona pod ręce przez dwóch drużbów, za nimi znowu pan młody prowadzony w takiż sposób przez dwie drużki, a dalej szli rodzice, krewni, goście i honorowi dygni-

163

tarze weselni. Dalej toczyła się hurmą gawiedź przygodna. Niedaleko Kościoła, na jakie 200–300 kroków przestawała muzyka grać, by skoczną nutą nie profanować pobliskiego miejsca świętego. Pochód wchodził do Kościoła, paliło się cztery świece przed wielkim ołtarzem, organ grzmiał Veni Creator, poczem odbywała się ceremonja ślubna według rytuału, a różne kumoszki, świekry i swachy wpatrywały się w płomyki jarzących się świec to po stronie młodego, to po stronie młodej i z siły światła i ze sposobu migotania wróżyły, czy małżeństwo będzie szczęśliwe i który z drugich małżonków będzie dłużej żyć. Po ślubie Czarnecki grał na organach piękny marsz, orszak wychodził z Kościoła, szedł środkiem gościńca do domu przy dźwiękach muzyki, w skład której wchodziło kilka skrzypiec, flet lub klarnet i cymbały.

Obywatel Kopyczyniecki także uroczyście żegnał się z tym padołem. Innych trumien nie znano, jak tylko drewniane. Robił je z reszty Stach zwany Okopnym (o którym jeszcze poniżej wspomnę), a nim robotę rozpoczął, szedł z łokciem w ręce do nieboszczyka, aby wziąć miarę długości. Stąd więc, gdy się Stach pokazał na ulicy z łokciem, mówiło się, oho, już ktoś umarł, poszedł Stach brać miarę. Ludzie po drodze co krok go pytali, kto się przeniósł w lepsze krainy. Niemal każdy pogrzeb był uroczysty. Tylko najbardziej ubogich, prawie bezdomnych przynoszono przed główne drzwi Kościoła, wychodził Ks. wikary w komży, odczytywał psalmy pogrzebowe, pokropił, zmówił Ojcze nasz i biedaka odwożono na cmentarz. Ale tak skromne ceremonje były wyjątkowe. Zmarłego prawie

zawsze wnoszono do kościoła, ustawiano na środku nawy głównej katafalk i na nim składano trumnę. Z domu do kościoła i potem na cmentarz nieśli trumnę ze zwłokami czterej dorośli mężczyźni na ramionach, stąd poważnie to wyglądało, jak trumna całą drogę górowała nad pogrzebowym tłumem głów ludzkich. Katafalk w kościele składał się z trzech stopni. Dla dzieci składało się tylko jeden stopień, dla mniej wystawnych pogrzebów dwa stopnie, dla więcej uroczystych trzy stopnie. Libera me Domine śpiewano z uczniem. Ks. proboszcz Białkowski był mistrzem w tym śpiewie. Wtórował mu organista i niezapomnianej pamięci mieszczanin Skrzeszewski. Ten stawał obok ławek po prawej ręce od wschodu, opierał się nieco łokciem o nie i swym niezrównanym głosem wywodził pieśń żałobną, pożegnalną, rzewną a tęskną. Ale niestety, przyszedł czas, że i Skrzeszewskiego sprowadzono w skromnej trumnie, zaśpiewano pieśń ostatnią, ale nie było już komu wywodzić jej tak wzniośle, jak to on umiał i potrafił. Po śmierci Skrzeszewskiego stypy pogrzebowe były już ciche i mniej uroczyste, gdyż ożywiał on je swoim rezonem i zwiecie podczas styp krzepił swoje gardło, strudzone pieniami pogrzebowemi.

*

Cmentarz grzebalny dla wszystkich chrześcijan był za moich czasów pod lasem na zachód od kościoła w dość dalekiem odeń położeniu. Prowadzenie konduktu pogrzebowego było uciążliwe już nie tylko z powodu odległości ale i z powodu ogromnie błotnej drogi. Szczególnie za księżym ogrodem w dole obok studni było prawie trzęsawisko, a od tej roztopy wzgórz ku cmentarzowi tłoczyć się było potrzeba

w rozdeptanej grząskiej glinie. 165 Toteż częstokroć tylko najbliżsi szli tą uciążliwą drogą, odprowadzając krewnych i znajomych na wieczne odpoczywanie, a inni podczas pory słotnej zdążali na cmentarz dłuższą lecz wygodniejszą drogą, a to szli do rogatki jabłonowskiej, pocem zbaczali drogą polną na zachód i łączyli się z konduktem u bramy cmentarnej. To był cmentarz nowy, czynny może jakich lat 50, były jednak w Kopyczyńcach także i cmentarze starsze. O ileby dało się stwierdzić, że najstarszy kościół był koło domu rzędcy, tamby należało szukać pierwszego i najstarszego cmentarza. O ile mnie wiadomo, dotąd nie natrafiono tam na kości, więc prócz wersji, że tam był cmentarz, nic konkretnego na to nie wskazuje.

Natomiast całkiem pewnie przyjąć należy, że obok kościoła drewnianego nad groblą był cmentarz przez jakie sto lat. Równocześnie z pobudowaniem nowego kościoła przy drodze jabłonowskiej, przeniesiono grzebanie obok nowej świątyni. i dopiero stąd zaniechano ~~ta~~ (nad groblą) grzebać. Cmentarz wyciągał się na zachód od grobli i początek jego sięgał co najmniej roku 1699, możliwie jednak tu był jeszcze kościół Kopyczyńskich, a w takim razie cmentarz początkiem swym sięgałby roku 1440. Wzgórze, na którem jest cmentarz ciągle usuwało się ku rzeczce Niczłanie a kości ludzkie bielały się zdaleka. Pobożni mieszczanie zbierali te szczątki swoich przodków i grzebali na nowym cmentarzu pod lasem.

Cmentarz ~~obok~~ kościoła murowanego widzimy dokładnie na planie geometrycznym z r. 1824. Geometra zdejmując pomiary oznaczył go na mapie jak najdokładniej. Byłto dość kawał ziemi

w kształcie nieforemnego romboidu. Główne wejście było w rogu dziedzińca kościelnego (za kościołem, gdzie dziś rosną kasztany) zaś inne uboczne było wprost z Łoki, na południowo-wschodnim cyplu cmentarza. Od kiedy zaczęto tu grzebać i kiedy zaprzestano tu ludzi chować, pewnem nie jest. Najprawdopodobniej chowano tutaj jeszcze wówczas, kiedy kościół był nad groblą, a ponieważ miejsce na cmentarz było tam ograniczone pomiędzy rzeką a zabudowaniami gospodarczemi probostwa i nie można było cmentarza rozszerzyć, nadto Austrya po zaborze tego kraju zakazała grzebać wśród osad ludzkich, dlatego zdaje się już około roku 1775 (a może jeszcze wcześniej) poczęto grzebać na cmentarzu koło drogi jabłonowskiej, gdzie już od r. 1763 poczęto murować nowy kościół. Nie dziw zaś, że tu właśnie nowy cmentarz ~~w~~ założono, bo właśnie w tej stronie, tuż obok był już cmentarz żydowski najmniej od r. 1711, bo najstarszy odnaleziony tam nagrobek, z tego właśnie roku pochodzi. Kiedy zaprzestano grzebać na cmentarzu przy kościele murowanym, nie mogłem dojść, ale chowano tu co najmniej do r. 1821, bo ostatni kamienny nagrobek, jaki stał tutaj jeszcze w r. 1926 miał napis:

D. O. M.

Tu leży W. JMĆ. Pan Bartłomiej Giezek Żalchocki, który przeżywszy lat 77 skończył życie dnia 13. Septembra 1821 roku. Prosi o pozdrowienie anielskie.

Nadto to mi jest wiadomem, że zmarły w r. 1844. długoletni burmistrz Kopyczyniecki Maciej Krzyżanowski pochowany już został na najnowszym cmentarzu pod lasem, a z poło-

ziemia grobu rozpoznać było można, że tam już chowano około 10–15 lat przedtem. Mniejwięcej przyjąć można, że na cmentarzu obok murowanego kościoła chowano w czasie lat około 1775–1830. Jak szkic geometryczny z r. 1925 wykazuje, cmentarz ten podzielono w czasie mniejwięcej około lat 1850–1860 na dwie części, zachodnią dostał do używania nauczyciel, wschodnią proboszcz łaciński. Dziś na pierwszej jest ogród, na drugiej sad. Pamiętam dobrze, że w r. 1884 na części nauczyciela zbierało się w jesieni siano, kopać nie było można, bo mogiły grobowe były dość wyraźne, nadto było jeszcze tu i ówdzie kilka dużych krzyżów drewnianych, a wzdłuż linji podziałowej cmentarza (tj. granicy między częścią proboszcza a nauczyciela), na części nauczycielskiej widniało jeszcze z jakie 6 do 10 nagrobków z małego kamienia w formie bądź obelisków, bądź krzyży. Kilka obelisków było nawet wcale okazałych. Naturalnie nie interesowałem się naonczas napisami, dziś pamiątki te, prócz nagrobka Załoskckiego poznikały, ogród jest uprawny i pamięć się zaciera, że to dawniejszy cmentarz. Na tej części cmentarza, który przypadł proboszczowi, założono sad i za moich czasów rosły tam piękne drzewa owocowe (przeważnie jabłonie). Nagrobków nie było tam najmniejszego śladu. Możliwie tylko ks. Białkowski wiedzieć mógł, czy na tymto cmentarzu nie spoczywali ks. Szczepankiewicz i ks. Obarzankowski, nie napisał jednak w tym względzie niczego, a z jego śmiercią poszły do grobu wszystkie wiadomości z przeszłości Kopyczyniec. Dookoła cmentarza przy kościele szedł zwyczajem ówczesnym duży wykop,

częściowo jeszcze od zachodniej i północnej strony za moich czasów dobrze widoczny. Ale już i wtedy nie chodził nikt z krewnych odwiedzać grobów na tym cmentarzu, widać uważano zmarłych krewnych za zbyt odległych. W naszej rodzinie mówiło się tylko jako o rzeczy bardzo dawnej, że pierwsza żona Macieja Krzyżanowskiego, Marcjanna Persówna spoczywa na cmentarzu nieopodal kościoła, a zmarła w r. 1814. Nikt nie znał miejsca jej grobu.

Najnowszy cmentarz katolicki na zachód od miasta rozciągał się tuż pod lasem na dość znacznej przestrzeni i rozszerzano go potem kosztem tegoż lasu. Za moich czasów nie były w zwyczaju groby murowane. Chowano wszystkich w grobach kopanych, a tylko zamożniejsi ludzie mieli okazalsze nagrobki, inni mniej zamożni mieli skromne nagrobki z piaskowca lub krzyże kamienne, najczęściej jednak widniał na grobie krzyż drewniany.

*

Kościół był głównym ośrodkiem kultu religijnego w Kopyczyńcach. Były jednak i inne miejsca, gdzie ten kult sprawowano i odprawiano wspólne modlitwy. I tak miejscami kultu religijnego były dwie kapliczki św. Jana Nepomucena, jedna przy gościńcu jabłonowskim przy ogrodzie Kostrakiewiczów, druga pod górką niedaleko stawu i młyna. Od 16 maja począwszy przez cały tydzień wieczorami paliły się przy tych kapliczkach świece w gliniane lichtarzyki włożone, zbierali się wierni obojga płci i śpiewali pieśń „Witaj Janie z Bolesława".

Drewniana kapliczka przy ul. Jabłonowskiej w Kopyczyńcach. Wewnątrz był ołtarzyk murowany a na nim kamienna polakierowana postać św. Jana Nepomucena. Przed nią nie było jeszcze dawniej chodnika, lecz skrawek gruntu murawą zarosły i rów przydrożny.



Dalszem miejscem kultu religijnego była piękna kamienna statua św. Rocha na wyniosłym obelisku postawiona, prawdziwa ozdoba miasteczka Kopyczyniec. Tem czem dla Warszawy jest słynna kolumna Zygmunta, tem dla Kopyczyniec była kolumna św. Rocha. Niezbyt starzy ludzie pamiętali, jak się tę figurę stawiało. Pierwotnie miała ona stanąć na pustej tłoce pomiędzy probostwem a miastem, gdyż był tam plac wolny i ani jednego na nim nie było budynku. Poczęto więc tam kopać ziemię pod

fundamenty figury, wtem niespodziewanie okazały się tajemnicze głębokie piwnice, zleciało się zbiegowisko ludzi, szeptano na ucho różne fantastyczne wersje, ks. Białkowski kazał nadkopane miejsce zasypać a fundamenty kopać na małej tłoce obok szkoły tj. tam, gdzie figura św. Rocha obecnie się znajduje. O tych podziemiach wspomnę jeszcze na innem miejscu. Było to w pamiętnym roku 1863. Wyruszyła wtedy z kościoła procesja dla postawienia kamienia węgielnego, a pod fundamenty rzucali ludzie na poświęcone miejsce drobne monety obiegowe na wieczną tych czasów pamiątkę. Napis na podnóżu figury w dwuwierszu brzmi:

Święty Rochu módl się za nami do Boga,
Żeby nas minęła choroba. 1863.

Geneza postawienia tejże figury była ta, że chciano przez św. Rocha, jako patrona cierpienia uprosić u Boga odwrócenie trapiącej w owe czasy ludzkość epidemji cholery. Corocznie w dniu 16. sierpnia i przez następną oktawę zbierali się ludzie wieczorem, palono świece na gzymsie statuy, klękali wszyscy na murawie i czytano jakąś starodawną litanję, potem śpiewano nieznaną mi bliżej pieśń. Mieszkałem naprzeciw tej figury św. Rocha. Ileż to godzin jeszcze mały chłopak przesiedziałem na cokole pomnika, przyglądając się ożywionemu ruchowi na rojnym natenczas gościńcu tarnopolskim. Niezapomniane widowisko miałem, gdy w jesieni 1883 cały czortkowski 95^{ty} pułk piechoty wracał tędy z okupacji Bośni przez Kopyczyńce do Czortkowa.-

Chcę teraz skreślić to, co wiem o proboszczach kopyczynieckich, czynnych przy nowym kościele. Jak wspomniałem był pierwszym proboszczem tej nowej świątyni ks. Adam Obarzankowski, zmarły prawdopodobnie około r. 1807. O nim nie dochowała się żadna tradycja. Gdy byłem chłopcem w latach 1870 – 1884 nikt już nie wspominał tego zasłużonego proboszcza, choć starzy ludzie mogli



Mało udana fotografia figury św. Rocha w Kopyczyńcach. W nasadzie jest podstawa figury znacznie uszkodzona. Obrazek oddaje prawie tylko kontury pięknej statuy. Sama postać św. Rocha bardzo mało daje się z fotografii rozpoznać. Jest on przedstawiony z kijem podróżnym, prawą ręką okazuje na nodze swoje rany. U stóp jego siedzi wierny pies. Niemal taką samą figura jest w Poznaniu przy drewnianym kościele za mostem św. Rocha.

Za figurą widać niski dom. Był to tak zw. szpital a właściwie przytułek dla starców. Na prawo widać obszerny nowy budynek szkolny. Dawniej stał na tem miejscu parterowy domek mieszkalny dyrektora szkoły, który około r. 1900 zgorzał wraz z dalszym budynkiem szkolnym.

Fot. Gottlieb na wiosnę 1931.

go jeszcze z lat dziecięcych pamiętać. Nikt nie mógł powiedzieć, gdzie ciało jego złożono na wieczny spoczynek.

Po nim w maju 1808 został proboszczem ks. Jan Wojnarowski, legendarna w Kopyczyńcach postać. Skąd pochodził, nie wiem, jednak urodził się w r. 1779, ordynowany w r. 1804. Jako młody ksiądz, bo mając zaledwie lat 29 został proboszczem w tak dużej parafii, jak Kopyczyńce. Należało bowiem do tutejszego kościoła 23 wsi (a dopiero za zezwoleniem Ministerstwa wyznań i oświecenia we Wiedniu z dnia 18 maja 1858 Chorostków odłączono jako odrębną parafię). Do pomocy miał proboszcz dwóch wikarych. Do roku 1815 tj. do czasu, kiedy parafia Kopyczyniecka należała do dyecezji kamienieckiej, nazwiska tych księży są mi nieznane, od roku 1816 zaś pracowali w Kopyczyńcach przez czas probostwa ks. Wojnarowskiego, zmieniając się co lat kilka następujący wikarzy (lista nie jest jednak kompletna):

Marcin Andruskiewicz ur. 1740, ord. 1770
Dominik Kasprowicz ur. 1791 ord. 1816
Mikołaj Rejowski ur. 1792. ord. 1817
Wincenty Wdówka ur. 1798. ord. 1821
Jan Filgosz ur. 1800 ord. 1825
Jakób Kordasiewicz ur. 1793. ord. 1825.
Józef Galicki ur. 1800 ord. 1825
Jan Guth ur. 1801 ord. 1825
Jan Krasowski ur. 1804 ord. 1828 (później proboszcz w Stanisławowie)
Tomasz Kincel ur. 1806 ord. 1831
Franciszek Dydakiewicz ur. 1805 ord. 1831

Hipolit Winnicki ur. 1807 ord. 1830 (późn. prob. w Sołotwinie)
Stefan Piwowarniczyk ur. 1806. ord. 1833
Jan Obrochciński ur. 1804 ord. 1834
Jan Strzeszkowski ur. 1812. ord. 1835
Antoni Pestendorfer ur. 1810 ord. 1836.
Józef Volkert ur. 1815 ord. 1838
Antoni Duszeńko ur. 1802. ord. 1831
Michał Budzyński ur. 1814 ord. 1839 (dwoma nawrotami)
Józef Szabo ur. 1797. ord. 1824
Andrzej Kowalski ur. 1812. ord. 1836
Michał Skawiński ur. 1810 ord. 1833
Michał Miernicki ur. 1806. ord. 1830
Wincenty Szamocki ur. 1823 ord. 1846 (późn. prob. w Husiatynie)

Chciano za czasów (następcy) ks. Wojnarowskiego poprzeinaczać parafie i inaczej gminy poprzedzielać. Jak podałem utworzono nową parafię w Chorostkowie i przyłączono do niej gminy: Chorostków, Uwisłę, Chłopówkę, Howiłów, Wierzchowce, Peremiłów, Howiłówek, Karaszyńce, Kluwińce i Mszaniec. W zamian parafia Kopyczyniecka miała otrzymać z parafji czortkowskiej Szwajkowce i Majdan, a z Sidorowa gminy Probużnę, lecz tego nie dostała, bo pierwsze dwie gminy były za odległe, a w Probużnie miała niebawem powstać kaplica. (Zdaje się powstała w Żabińcach).

Podczas probostwa ks. Jana Wojnarowskiego ustalał się porządek w nowym Kościele. Sam proboszcz należał do ludzi niezmiernie czynnych, światłych, pracowitych. Pamięć o nim przetrwała długo w Kopyczyńcach, i to pamięć jak najlepsza, jako o kimś, kto był wybitnym autorytetem i elementem twórczym.

Poznano się na tym światłym kapłanie i spotkały go różne zaszczyty i dostojeństwa. W r. 1818 został dziekanem jazłowieckim, a w r. 1829 honorowym kanonikiem kapituły metropolitalnej lwowskiej, nadto w r. 1843 dziekanem czortkowskim, tytularnym radcą Konsystorza i powiatowym inspektorem szkolnym. Za jego czasów wzrastała parafia łacińska w Kopyczyńcach, jak o tem świadczy tych oto kilka cyfr:

W r. 1818 w całej parafji było Polaków	5779	z tego w Kopyczyńcach	947
" 1823 " " " "	6542	" "	1169
" 1829 " " " "	6526	" "	1332
" 1834 " " " "	7345	" "	1383
" 1840 " " " "	7336	" "	1450
" 1846 " " " "	7462	" "	1343

Podczas kiedy proboszczem był ks. Wojnarowski, toczył się oryginalny proces pomiędzy Kościołem kopyczynieckim (zastąpionym przez Prokuratorję Skarbu we Lwowie) a Adamem Baworowskim, dziedzicem Kopyczyniec. Oto według aktu fundacyjnego Kopyczyńskich z r. 1443 należała się proboszczowi kopyczynieckiemu wieczyście coroczna dziesięcina snopowa z pola ornego ze wszystkiego ziarna i nasienia w rolę wysianego. W r. 1443 nie były jeszcze w Europie znane kartofle, które pojawiły się dopiero w latach 1560–1570 i przez Hiszpanję rozprzestrzeniły się do Italji i Burgundji, następnie zaś do Irlandji. W dalszej Europie zaczęto je uprawiać dopiero około r. 1750., wtedy też niezawodnie dostały się także do Polski. W roku 1829 zasadzono w Kopyczyńcach na przeważnej części dóbr Adama Baworowskiego kartofle i nie chciano z tego dawać proboszczowi dziesięciny tłumacząc, że akt fundacyjny takiej niesnopowej

dziesięciny nie przewiduje. Ponieważ dochody proboszcza przez to znacznie zmalały a Baworowski nie chciał dobrowolnie dawać dziesięciny kartoflanej, doszło do procesu przed sądem lwowskim. Kościół wygrał proces, bo wyrokiem pierwszej instancji z 5 lutego 1846 i wyrokiem drugiej instancji z 30 września 1846 nakazano Baworowskiemu złożyć rachunek ze zbioru kartofel od roku 1837 począwszy i wpisano to w hipotece dóbr Kopyczynieckich.

Na tychto dobrach, a to na Kopyczyńcach, Kotówce, Kabowcach i Barabaszówce był także zapisany obowiązek właściciela wybudowania murowanego kościoła, zgodnie z ugodą Mateusza Baworowskiego z Marją Anną Ponińską z 3 lutego 1794. Ponieważ w r. 1851 był już kościół wymurowany, żądał Adam Baworowski wykreślenia tego ciężaru. Zapytany ks. proboszcz Wojnarowski, czy nic nie stoi na przeszkodzie zwolnieniu dóbr Kopyczynieckich, wystosował dnia 3 lipca 1851 do Czortkowskiego Kreisamtu pismo następujące: „Kościół dla rzym. kat. służby bożej w Kopyczyńcach został na mocy fundacji Ludwika Kalinowskiego ze solidnych murów przez Mateusza Baworowskiego wybudowany, w roku 1802/3 ukończony i znajduje się do dzisiejszego dnia w dobrym stanie, choć ma być według kosztorysu Starostwa Obwodowego z 7 marca 1848 naprawiony. Czy jednakże kościół ten został wybudowany zgodnie z ugodą z 3. lutego 1794 zawartą z Marją Anną z Kalinowskich Ponińską, to jest kwestją inną, której nie da się rozwiązać na podstawie aktów parafialnych." Po tej relacji proboszcza

Gubernjum Lwowskie zgodziło się na skreślenie obowiązku wystawienia kościoła, uważając że Baworowscy wynęzali się już ze swego obowiązku.

Umarł ks. dziekan i proboszcz Jan Wojnarowski w Kopyczyńcach w niedzielę 2 stycznia 1853 w 74 tym roku życia a 49 tym roku kapłaństwa, z czego w Kopyczyńcach jako proboszcz przetrwał lat 45. Jego uniwersalną spadkobierczynią była Magdalena Wojnarowska, zamieszkała w Majdanie, pow. Czortków.

Po Wojnarowskim został proboszczem ks. Aleksander Grądzki (zwany powszechnie Groński), ur. w r. 1817 ord. 1840, a miał za sobą 13 lat pracy duszpasterskiej, zanim stanął na probostwie Kopyczynieckiem. Pochodził z Właszkowiec, lub z okolic tego miasteczka. Przedtem był wikarym w Jagielnicy w r. 1845, zaś przez lata 1846 do r. 1853 był proboszczem w Narolu. Na probostwo Kopyczynieckie został instytuowany w piątek 24. czerwca 1853. Był wysokiego wzrostu, włosy naczesywał z tyłu ku przodowi, aby zakryć łysinę, chorowity, często nie mógł mszy dokończyć, odchodząc od ołtarza. Człowiek cichy a skromny, przystępny i miły. Niedługo był w Kopyczyńcach proboszczem a pozostawił po sobie pamięć najlepszą. Miał niemało kłopotów, broniąc uposażenia kościoła. Już od r. 1700 proboszczowie łacińscy w Kopyczyńcach walczyli o dotację parafialną, która choć na papierze czy pergaminie była hojna i dostatnia, to jednak w istocie kto tylko mógł uchylał się od powinności na rzecz proboszcza. I tak na podstawie ugody z r.

1743 należała się proboszczowi danina zwana quartualia lub stołowe. Na podstawie dalszego aktu z r. 1749 ówczesny posiadacz Kopyczyniec zgodził się, by polscy, ruscy i żydowscy mieszkańcy Kopyczyniec i Kotówki zamiast uiszczania stołowego pracowali dla proboszcza, a to każdy gospodarz i chałupnik rocznie przez jeden dzień, zaś każdy żydowski mieszkaniec zapłacił odpowiednią sumę. To wykonywali i płacili jakotako do r. 1846, potem jednak obowiązków tych dla proboszcza nie spełniano. Po śmierci Ks. Wojnarowskiego upominała się o zaległe należytości spadkobierczyni Magdalena Wojnarowska za czas do końca życia zmarłego proboszcza. Władze zaczęły tej sprawy dochodzić. Chodziło o to, czy proboszczowie Kopyczyniecy przez lat 40 od r. 1846 wstecz to stołowe nieprzerwanie pobierali. Słuchano w r. 1858 „starych ludzi" w Kopyczyńcach, a byli nimi Kazimierz Horwat, Łukasz Ziemiankiewicz i Damian Demko. Ale zeznania ich nie miały znaczenia, bo w 40 lat wstecz, tj. w r. 1806 żaden z nich nie miał lat 18. Oświadczył się także w tej sprawie Ks. Grądzki i był zdania, by skarżyć gminę. Prokuratorja Skarbu nie chciała jednak nikogo skarżyć, Namiestnictwo we Lwowie zwolniło ją od zastępstwa probostwa, a „stołowe" proboszcza raz na zawsze przepadło. Skończyło się na tem, że 15 grudnia 1859 zwrócono proboszczowi zbędne 3 stemple po 30 krajcarów, jakby na pamiątkę rozpłynięcia się woli dawnych fundatorów.

Ale życie proboszcza Grądzkiego było już wtedy na schyłku. Dobiło go następujące zajście. Gdy się przeniósł

z Narola do Kopyczyniec rozeszła się po okolicy wieść, że to człowiek bogaty. Pewnej nocy wdarł się na probostwo jakiś złodziej, by zagrabić domniemany majątek. Z jakim łupem uszedł, nie wiem, jednak ks. Grądzki tak był tym napadem wstrząśnięty, że rozchorował się na dobre, i to raz dłużej pozostawał w łóżku, to znów dźwigał się z wysiłkiem po to, aby po pewnym czasie znów ulec niemocy. Będąc człowiekiem dobrym przywiązywał do siebie ludzi słodyczą swego charakteru. Toteż odjeżdżając z Narola uległ prośbie tamtejszego organisty i zabrał go ze sobą do Kopyczyniec. A może miał względem niego jakieś specjalne obowiązki. Wskutek tego poprzedni organista kopyczyniecki Czarnecki pozostał bez miejsca. Przykro to było ks. Grądzkiemu, wynagradzał więc Czarneckiego względami osobistemi. Wzywał go do siebie na pogawędkę, zwłaszcza że Czarnecki potrafił wiele opowiadać o dawnych czasach i dawnych ludziach. Stąd polubił go proboszcz wielce. Szczególnie podczas choroby proboszcza musiał być Czarnecki codziennie na probostwie i monotonność chorego rozwiewał opowiadaniami. Pewnego wieczora czuł się ks. Grądzki źle, posłał po Czarneckiego, tego jednak nie było w domu, bo właśnie pojechał w pole z końmi, celem strzeżenia zebranego ~~zb~~ zboża. Przesyłał proboszcz kilka razy posłańca, czy Czarnecki już wrócił, lecz bezskutecznie, bo Czarnecki był na polu do rana. Było to z 25 na 26 lipca 1860 i tejże nocy ks. Grądzki umarł. Dziś i Czarnecki nie żyje a zapewne w zaświatach opowiada proboszczowi dawne przejścia

i dzieje. Grądzki miał ubogą rodzinę, której świadczył wiele dobrodziejstw. Po śmierci przyjechali krewni na probostwo Kopyczynieckie i serdecznie opłakiwali zgon swego darczyńcy. „Zgasło to słońce, które nam przyświecało" wołali załamując ręce i słowa te długo utrzymały się w pamięci. Zmarł licząc lat 43. Dla całości dodam, że na pogrzeb tego zacnego proboszcza zjechało się 30 księży, a to 14 obrz. łacińskiego, 16 obrz. greckiego.

Dopiero po śmierci ks. Grądzkiego rozwiała się legenda o jego wielkim majątku, bo w istocie był to człowiek ubogi. Trudno dziś z całą dokładnością powiedzieć, jakie były przyczyny jego niepomyślnych warunków materjalnych. Osobiście nie gospodarzył na majątku probostwa, lecz prawie wszystko dzierżawił. Na folwarku plebańskim były zaledwie trzy krowy. Pola i łąki probostwa w rozmiarze 77 morgów dzierżawił wówczas Kazimierz Pastawski, który przybrał sobie na wspólników Markusa Drekslera i Szloma Rabla. Czynsza rocznego płacili proboszczowi 400 zł. wal. austr. Ogród w części był zasadzony tytoniem do spółki z Panem Wolańskim, resztę zaś tytoniu sadził proboszcz sam, gdy zaś umarł przed zbiorami zebrał plon Ignacy Stanecki (może raczej Stański). Dzierżawcy Pastawski i spólnicy mieli dość kłopotu po śmierci ks. Grądzkiego, bo zapłacili zgóry cały czynsz za rok dzierżawny do 24 marca 1861, proboszcz umarł w lipcu 1860, dochody od lipca należały już nie do zmarłego, ale do nowego proboszcza. Dlatego Namiestnictwo kazało im do rąk prawowitych płacić ponownie odnośną część czynszu

dzierżawnego, co też z konieczności uczynili a masę spadkową po proboszczu Gradzkim skarżyli o nadebraną sumę 266 zł. 67 ct., o 87 zł. 20 ct. i o 30 zł.

Nie tylko oni jedni zresztą zaskarżyli masę spadkową. Posypało się dość skarg innych. I tak skarżył Łazarz Kaźmin o 69 zł., Romanowski o 16 zł. 69 ct., Adam Bieńkowski o 1050 zł (które ks. Gradzki darował, czy też zobowiązał się zapłacić z niewiadomego dziś tytułu Walentemu Wodyńskiemu, (zdaje się przywiezionemu ze sobą z Narola organiście) – a ten cesją z 22 września 1864 pretensję tę ustąpił Bieńkowskiemu), skarżył także nadleśniczy Franciszek Saŭszek (w maju 1866) o „pieńkowe" za czas od r. 1853 do kwietnia 1860 w sumie 42 zł. 35 ct. wal. austr. Skarżyła wreszcie Julja Kisielewska o 105 zł. 34 ct. wal. austr., lecz proces przegrała. W jakiś czas po śmierci ks. Gradzkiego sprzedano pozostałe po nim ruchomości przez publiczną licytację na dziedzińcu kościelnym.

Za czasów probostwa ks. Gradzkiego czynni byli jako wikarzy następujący księża:

Mikołaj Białkowski ur. 1825 ord. 1851.
Grzegorz Mucha ur. 1828 ord. 1851
Michał Falkiewicz ur. 1814. ord. 1840.

Dnia 26 lipca 1860 r. znalazła się więc parafia Kopyczyniecka bez proboszcza. Tymczasowo ustanowiony został administratorem excurrendo (od 27 lipca do 1 wrześn. 1860) proboszcz budzanowski ks. Michał Kulczycki. Po nim ~~zaś~~ zaś (od 1. września 1860) mianowany został przez Konsystorz Lwowski administratorem tej parafii ks. Mikołaj Białkowski, kooperator z Milatyna. Przychodził ks. Białkowski do Kopyczyniec już trzecim nawrotem.

Był tu bowiem krótko wikarym za czasów ks. proboszcza Wojnarowskiego (zdaje się było to pierwsze miejsce duszpasterskie młodego wikarego), potem przeniesiono go do Zaleszczyk. Po kilku latach stamtąd przeniesiono go z powrotem do Kopyczyniec, podróż odbył dnia 24 września 1855 a już nazajutrz 25 września 1855 spełniał funkcje wikarego w Kopyczyńcach, podczas kiedy starszym wikarym był Grzegorz Mucha. Z Kopyczyniec na krótko przed zgonem ks. Gradzkiego przeniesiono ks. Białkowskiego do Milatyna, skąd jednak powrócił we wrześniu 1860 znów do Kopyczyniec, aby tu przez zrządzeniem losu kierować służbą bożą przez lat 38 i głowę swą położyć na wieki w kopyczynieckiej ziemi.

Wiadomości o poprzednich proboszczach zaczerpnąłem bądź ze starych aktów, bądź z opowieści moich przodków, to zaś co o Białkowskim napiszę, pochodzi przeważnie z moich własnych spostrzeżeń, żył bowiem za czasów mego uczęszczania do szkoły w Kopyczyńcach i osoba jego silnie mi utkwiła w pamięci, zwłaszcza że w latach 1882–1884 jako chłopak szkolny niemal codziennie służyłem mu do mszy. Była to postać niezmiernie znamienna i charakterystyczna. Wysoki, barczysty, twarz o kształcie księżyca w pełni, włosy płowe, bujne i gęste, w górę czesane, tuż nad czołem nieco wirem wrodzonym na bok wywrócone. Miał głos silny, surowy, męski, stanowczy, niemal zawsze imperatywny. Gdy czytał, brał na oczy okulary o dużych, silnie dwuwypukłych soczewkach. Niemal całe życie cierpiał na dokuczliwą newralgię w twarzy, doprowadzającą go do rozpaczy (raz mszę przerwał i odszedł od ołtarza św. Józefa), toteż idąc z pro-

bostwa do kościoła i z powrotem, owijał głowę w duży gruby pled bronzowy, by się uchronić od przeciągów. W zimie siadywał w konfesjonale (zawsze obok ołtarza św. Ignacego) także w pled otulony. On jeden w Kopyczyńcach nosił polską rogatywkę czarną z barankiem dookoła. Natura absolutna, dumna i harda, w sobie zamknięta, nieprzystępna, mało - o nawet bardzo mało uczynna. Pochodził z Buczacza, syn mieszczański, szedł w szkołach własnemi siłami, stąd zahartowany, doświadczony i świadomy ludzkiej niedoli, dla której zresztą nie wiele miał współczucia. Będąc za dwoma nawrotami wikarym w Kopyczyńcach zjednał sobie uznanie mieszczan swemi kazaniami, które były przystępne, popularne, wnikały w treść życia mieszczańskiego, a ks. Białkowski jako rodowity mieszczanin, znał doskonale dobre i złe strony obyczajów mieszczańskich. Jako wikary był gorliwym kapłanem, jeździł po wsiach, zbierał dzieci polskie do jednej chaty i uczył je pacierza, zaznajamiał z artykułami wiary - jednem słowem był na owczas nieocenionym kapłanem na kresach wschodnich. O probostwo po śmierci ks. Gradzkiego ubiegali się różni księża, ale mieszczanie kopyczynieccy pojechali do Arcybiskupa we Lwowie ks. Wierzchleyskiego, przedstawili zasługi ks. Białkowskiego i prosili o jego nominację na proboszcza. Prezentowali na probostwo Baworowscy z Kopyczyniec, ks. Białkowski uzyskał ich poparcie i te wszystkie zabiegi sprawiły, że ks. Białkowski został proboszczem w Kopyczyńcach. Radość zapanowała pomiędzy mieszczaństwem, a to

temberdziej, że swoim własnie zabiegom ono przypisywało uzyskanie tak dzielnego proboszcza. Dnia 26 stycznia 1861 odbyła się instalacja nowego duszpasterza Ks. Białkowskiego na stare probostwo Kopyczynieckie. Wyszedł więc nowy proboszcz na kazalnicę i rozpoczął kazanie podziękowaniem najpierw Bogu, potem Ks. Arcybiskupowi, potem hr. Baworowskiemu za nominację. Nie wspomniał jednak niczego, że także dzięki zabiegom mieszczan Kopyczynieckich wyniesiony został na tę godność. Po opuszczeniu Kościoła poczęli mieszczanie szemrać na niewdzięczność nowego proboszcza, który ni słowa nie wspomniał, o ich staraniach. Przekonali się niebawem, że nie jest to dawny przystępny, przyjacielski, skromny wikary, ale hardy, opryskliwy, zgóry na mieszczan patrzący proboszcz. Zrzedły ich miny, a natomiast czoło proboszcza coraz się wyżej wynosiło. Ks. Białkowski wikary, a Ks. Białkowski proboszcz, to były dwie zupełnie odmienne postacie. Jako proboszcz trzymał się zdala od wszystkich i od wszystkiego. W Kościele spełniał jednak obowiązki swoje starannie i gorliwie. Znane były jego kazania, grzmiał z ambony niby Skarga jaki, obierał kazania w przystępną formę, karcił nawyczki mieszczan, ganił w dosadnych słowach pijaństwo, nieróbstwo i przywary swoich parafian i z tych kazań słynął szeroko. Nie mniej wytrwale siadywał w konfesjonale i słuchał spowiedzi. Miał głos wspaniały, donośny, silny, męski baryton, pięknie śpiewał mszę całą, a najrzewniej wypadała prefacja. Vere dignum et iustum est śpiewał prześlicznie a organista

Czarnecki z przejęciem akompanjował na organach. Szczególnie z uczuciem śpiewał ks. Białkowski hymny pogrzebowe Libera me Domine de morte aeterna. Biła z tej pieśni rzewna tęsknota za utraconem życiem doczesnem i płynęła w dal poza grób na wieczną wędrówkę za duszą odeszłą w zaświaty. Zdaje mi się, że jeszcze dotąd słyszę i widzę ks. Białkowskiego w żałobnej kapie stojącego za katafalkiem w nawie głównej pomiędzy ołtarzami św. Ignacego i św. Antoniego, wywodzącego te pienia niezrównanie tęskne, smutne, w zaświaty płynące.

Gdy w Kopyczyńcach chodziłem do szkoły był ks. Białkowski jeszcze mężczyzną w sile wieku, choć głowa znacznie już była siwizną przyprószona. Gdzieś około r. 1896 byłem raz przypadkowo w Kopyczyńcach i wstąpiłem do kościoła. Była to niedziela, po aspersji przed sumą postępowała procesja wewnątrz kościoła. Szedł na jej czele siwy, pochylony starzec ks. Białkowski, posuwając charakterystycznie nogami po posadzce, szedł z trudem, śpiewał gorliwie wraz z ludem pieśń: Boże w dobroci nigdy nie przebrany, ale już nie tym gromkim głosem, górującym ponad wszystkie inne, widać że płuca i serce nie miały już dawnej siły. Wiek wyrył na nim swe dobitne znamię. Niezbyt długo potem, bo dnia 4 czerwca 1898 zakończył życie, osiągnąwszy lat 73. Choć funkcje duchowne spełniał doskonale i bez zarzutu, o kościół dbał i na jego dokończenie i upiększenie z własnej łożył kieszeni, to jednak zasług obywatelskich nie miał żadnych. Nigdy nie dał nikomu jednej książki polskiej, nie szerzył idei

polskiej, żył jakby odgrodzony od parafian murem chiń-
skim, mrukliwy, samotny, wyniosły, a dla charakterystyki
podam, że gdy przez trzy lata codziennie służyłem mu do
mszy, nigdy do mnie jednem słowem się nie odezwał.
Gospodarzył na majątku parafialnym dobrze i zapobiegliwie,
dorabiając się znacznego majątku. Bratu swemu kupił
folwark w Muchawce pod Czortkowem.

Ks. Białkowski zawsze okazywał wielki szacunek
domowi hr. Baworowskich. Niezawodnie cenił bardzo hr.
Józefa zato, że przyczynił się wiele do sprawienia
urządzenia w nowym kościele. Dopiero po śmierci hr.
Józefa Baworowskiego popsuły się te dobre stosunki probo-
szcza z dworem, jak to widoczne jest z pisma ks. Biał-
kowskiego do Prokuratoryi Skarbu we Lwowie z dnia 15
i 25 lipca 1896. Pisze w nich proboszcz, że każdy pleban
miał wolne pastwisko na polach dworskich i tego żadne-
mu proboszczowi nie zaprzeczano. „A teraz 14 lipca 1896
wypędzono moje bydło z pola dworskiego. Tym sposobem pra-
wo paszenia bydła długoletnie pogwałcone zostało. Wola daw-
nych fundatorów złamana. Dotacja probostwa uszczuplona.
Moi poprzednicy ks. Jan Wojnarowski i ks. Aleksander Grądz-
ki, u których byłem wikarym używali tego prawa bez na-
ruszenia przez cały czas swego pobytu, tj. pierwszy przez lat
45, drugi przez lat 7. Nikt ze strony dworu nigdy nie
zaprzeczał prawa paszenia bydła na obszarach dworskich
tak w Kopyczyńcach jak i Kotówce. Dopiero teraz dopuś-
cił się naruszenia tego prawa dyrektor dóbr Kopyczyńce

Zygmunt Smalawski, który z polecenia Emila hr. Dzwonowskiego, właściciela Kopyczyniec i Kotówki kazał spędzić bydło plebańskie dnia 13 lipca z lasu grubego (z rewiru od Jabłonowa) zaś dnia 14 lipca z pastwiska dworskiego, oznaczonego l.kat. 788 w Kopyczyńcach."

Prokuratorja stanęła w obronie praw proboszcza i wniosła przeciw Emilowi Dzwonowskiemu pozew prowizorjalny. Za poradą Prokuratorji Skarbu zawarł ks. dat. proboszcz w Kopyczyńcach dnia 23 września 1896 ugodę, mocą której uznano prawo proboszcza paszenia czterech sztuk bydła i jednej jałówki.

Za czasów probostwa ks. Białkowskiego powstało sporo niezczystych fundacji mszalnych przy kościele Kopyczynieckim. Najciekawszy był przebieg przeprowadzenia fundacji mszalnej Kazimierza Horwata (o którym już wspominałem poprzednio, jako o jednym z najstarszych ludzi w Kopyczyńcach). Był on właścicielem gospodarstwa składającego się z domu i 4 morgów gruntu. Będąc już w podeszłym wieku sporządził Horwat dnia 1. lipca 1871 testament, którym zapisał całą tę swoją posiadłość Kościołowi Kopyczynieckiemu, jako podkład fundacji mszalnej. Miał jedyną córkę Franciszkę 1° Jezieniecką, 2° Baranowską i dla niej ustanowił na tej realności dożywocie. Horwat umarł dnia 25. października 1877, córce żal było odstępować własność kościołowi rodzimej realności, zataiła więc testament

i stała się na mocy dekretu dziedzictwa z 22. listopada 1881 nieograniczoną właścicielką realności. Znaczną część tejto posiadłości darowała swemu drugiemu mężowi Baranowskiemu, a gdy niebawem sama umarła, także resztę gruntu zapisała mężowi, tak że on stał się nieograniczonym właścicielem posiadłości Horwata. Tymczasem sprawa testamentu się wyjaśniła. Uznano, że Horwat pokrzywdził swą jedyną córkę Franciszkę, bo w myśl prawa powinien był jej zostawić połowę majątku, a tylko drugą połową mógł swobodnie dysponować. Żądano więc od Baranowskiego, by połowę realności oddał na fundację mszalną przy kościele Kopyczynieckim. Zakłopotał się wielce Baranowski, bo nie był zamożnym, a miał troje małych dzieci na utrzymaniu. Celem wypełnienia fundacji mszalnej zobowiązał się zapłacić 500 zł. wal. austr. w rocznych ratach po 100 zł. Potem jednak cofnął swoje pierwotne zobowiązanie i dawał tylko 300 zł. wal. austr., motywując to tem, że cały spadek po żonie oceniono na 277 zł. Było to na wiosnę r. 1899. Prokuratorja skarbu nalegała jednak na zapłatę 500 zł. i wdrożono nawet licytację spadkowej realności, wypisując termin licytacyjny na 12. stycznia 1903. Przyciśnięty do muru zapłacił Baranowski więcej i licytację zastanowiono. Ostatecznie zapłacił 300 zł. w. a. i 400 Koron austr. na fundację mszalną, a realność przy nim pozostała.

Tyle więc zdołałem zebrać wiadomości o proboszczu Kopyczynieckim Ks. Białkowskim. Żył zasklepiony na

pobożnie poza swem społeczeństwem a pod koniec życia przeszedł na filozofię mądrego króla Salomona. Po śmierci pochowano go w murowanym grobie na cmentarzu pod lasem. Gdy około 15 lat później umarł w Kopyczyńcach młody wikary, postanowiono go pochować w murowanym grobie wraz z Ks. Białkowskim. Po otwarciu grobu ciężary który otwarł trumnę Ks. Białkowskiego. Zobaczono tylko resztki szat liturgicznych, a z dawnego wyniosłego proboszcza same kości.

Stoi Kościół Kopyczyniecki jakby na niewzruszonej opoce Piotrowej zbudowany, coraz nowi i coraz inni kapłani sprawują w nim codziennie służbę bożą, ale nie zaśpiewa w nim już nigdy swym wspaniałym głosem Ks. Białkowski, ani Skrzeszewski mu nie zawtóruje, ani Czarnecki do śpiewu nie zagra, wszyscy już spoczęli na cmentarzu za miastem i umilkli na wieki. Tylko wieść gminna w Kopyczyńcach głosiła, że w uroczystość Wszystkich Świętych, po nieszporach, gdy rozejdą się żyjący do domów, w kościele zaś zapanują ciemność i cisza, gromadzą w tym domu bożym dusze pomarłych parafian. Ostatni zmarły proboszcz odprawia nabożeństwo i egzekwie, ostatni zmarły organista gra na organach, jarzą się wszystkie świece światłem dla żyjących niewidzialnem, dzwonią rzewnie wszystkie dzwony przez żyjących niesłyszane, procesja kroczy po kościele, a wszystkie dusze śpiewają pieśni żałobne. Ale nikt z żyjących nabożeństwa tego ani widzieć ani słyszeć nie może, choćby wtedy nawet był w kościele.

Będąc małym chłopcem w dniu tym wpatrywałem się wieczorem w kościół zamknięty, może przecież coś zobaczę lub posłyszę — ale nadarmo! Otóż tylko jeszcze w tem wierzeniu ludowem jakiś czas występował Ks. Białkowski raz do roku w całej okazałości w kościele kopyczynieckim w godności proboszcza i odprawiał modły żałobne, ale jedynie dla świata umarłych, bo dla żywych stał się już tylko mitem.

Za czasów tego proboszcza pracowali w Kopyczyńcach jako wikarzy następujący księża:

Mikołaj Hulewicz ur. 1827. ord. 1859
Zygmunt Pawłowski ur. 1837 ord. 1862 (późn. prob. w Kołomyi)
Tomasz Zakorczemny ur. 1836. ord. 1863
Jan Emanuel Słowikowski ur. 1825 ord. 1851
Leon Humiński ur. 1834 ord. 1857
Emil Zauderer ur. 1848 ord. 1871
Alfred Białogłowski ur. 1847 ord. 1872
Franciszek Łabaj ur. 1846 ord. 1872
Antoni Ulanowski ur. 1844 ord. 1869
Antoni Niziołek ur. 1846 ord. 1874
Jan Kubaszek ur. 1842 ord. 1872
Tomasz Rzeźnik ur. 1855 ord. 1882
Władysław Mścisz ur. 1861 ord. 1884
Wincenty Czyżewski ur. 1856 ord. 1880
Jan Wojtowicz ur. 1860 ord. 1885
Juljan Świątkowski ur. 1856 ord. 1882 (expoz. w Niżbork)
Franciszek Sochowicz ur. 1866. ord. 1893

Wojciech Kostkiewicz ur. 1853 ord. 1883 (expos. w Niżborgu)
Jan Stojak ur. 1863 ord. 1890, administrator po zgonie
ks. Białkowskiego.

Za moich czasów był wikarym a zarazem naszym katechetą w szkole ks. Jan Kubaszek. Człowiek światowych manier, wytworny w ubiorze, władający kilku językami, dobry kaznodzieja, miły w obejściu, nie bez urody ale i nie obojętny na urodę niewieścią. Obowiązki swoje kościelne wypełniał skrupulatnie, pozatem chętnie gościł po domach inteligencji miejscowej. Zgodnie z miejscowym ówczesnym zwyczajem nie oddawał się żadnej pracy społecznej. Zdaje się, że pochodził z mięszanej narodowościowo rodziny, bo coś było w jego wymowie niepolskiego, np. nigdy nie mówił my, lecz w jego wymowie brzmiało to „mi". Został około roku 1886 proboszczem na Bukowinie (możliwie w Kimpolungu).

Po Białkowskim przyszedł na probostwo kopyczynieckie dopiero w r. 1900 ks. Władysław Librewski, dotychczasowy proboszcz w Chocimierzu. Parafia przez dwa lata miała administratora, bo spadkobiercy Józefa Baworowskiego długo nie mogli się namyśleć, komu dać tzw. prezentę. — Ks. Librewskiego nie znałem, nie nie mogę o nim niczego napisać, to tylko wiem, że gruntownie zmienił wewnętrzną fizjognomję kościoła. (ach jakże nie według mojego gustu i wbrew prośbom parafian!). Zniósł ozdobny parkan pobudowany jeszcze równocześnie z kościołem wkrąg kościoła i pro-

bostwa a zastąpił go (czy może musiał zastąpić z woli Kolatorów) prostym, niskim, brzydkim parkanem. Wtedy także żelazny krzyż misyjny włączono parkanem do ogrodu księdza. Proboszcz Librowski przeniósł się w r. 1910 na probostwo św. Anny we Lwowie. Za czasów tego proboszcza pracowali w parafii Kopyczynieckiej jako wikarzy:

dr. Tadeusz Widacki ur. 1873 ord. 1899
Stanisław Wałęga ur. 1874. ord. 1897
Ignacy Nadolski ur. 1869 ord. 1896
Zygmunt Bielski ur. 1872 ord. 1896
Mateusz Sroka ur. 1867 ord. 1892 expozyt w Jabłonowie
Marcin Prugar ur. 1867 ord. 1892
Józef Kała ur. 1880 ord. 1903
Bronisław Skulicz ur. 1877. ord. 1902

Po odejściu ks. Librowskiego do Lwowa był administratorem parafii Kopyczynieckiej ks. Jakób Skałuba, kapłan obrz. orm. katol., a wikarym był ks. Józef Procner ur. 1879. ord. 1907. Naten czas (po wyłączeniu expozytur w Nizborgu i Jabłonowie zostały przy parafii tylko Kopyczyńce, Kotówka z Teklówka, Krogulec i Oryszkowce, a tak zmniejszona parafia liczyła w całości 3635 dusz, z tego miejscowych 2431.

Od roku 1911 był proboszczem Kopyczynieckim ks. Ferdynand Majewski. Urodził się w r. 1846 w Monasterzyskach, gimnazjum ukończył we Lwowie, święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1869 z rąk arcybiskupa Wierzchleyskiego. Poprzednio

był proboszczem w Tłumaczu, gdzie dla zasług jego cichej a wydatnej pracy mianowano go honorowym obywatelem miasta Tłumacza. Nadto został honorowym kanonikiem i honorowym radcą Kurji Metropolitalnej Lwowskiej. Kapłan bogobojny i wzorowy, życie swoje poświęcił służbie bożej i dobrym uczynkom. Gdy przybył do Kopyczyniec zastał kościół w opłakanym stanie a ponieważ tak zw. Konkurencja nie rychłoby zaradziła nagłej potrzebie naprawy, zaczął własnym funduszem restauracją, bo gontowy dach był podziurawiony i deszcze niszczyły sufit. Wtem wybuchła długa wojna światowa w r. 1914, o Konkurencji nie było już mowy, wyłożył więc proboszcz z własnej kieszeni ogromną naówczas sumę 20.000 Koron, aby czemprędzej zapobiedz ruinie kościoła. Jegoto staraniom i zabiegom zawdzięczyć należy, że kościół zewnątrz został odrestaurowany, wewnątrz dotem pomalowany a organy gruntownie naprawione. Żaden proboszcz nie miał tak ciężkiego zadania do spełnienia jak ten właśnie. Przez lata 1914 do 1919 strony te nawiedzone były srogą wojną światową, potem krwawą ruchawką ukraińską, miastem wstrząsały coraz nowe nieszczęścia, ale kapłan ten wytrwał na stanowisku godnie i dzierżył krzyż Chrystusowy ponad odmęty nieprawości. Gdy Kopyczyńce po 150 letnim zaborze powróciły na łono Macierzy Polskiej, onto wzniósł do Stwórcy w kościele Kopyczynieckim hymn dziękczynny „Te deum laudamus". Ale powojenne czasy przyniosły ogólny upadek wiary, zatarcie pojęć etycznych, nowatorstwa wschodnie — z tem

wszystkiem przypisać należy staraniom kościoła Kopyczynieckiego. Toteż praca tego właśnie proboszcza na tem więk-sze zasługuje uznanie. Umarł ks. Majewski przy końcu r. 1927, chorując na astmę. Na kilka dni przed zgonem czuł się niedobrze, pozostał się w domu i nie wychodził poza probostwo. Pewnego wieczora począł pisać testament, ale poczuwszy, że choroba go bardziej męczy, przerwał pisanie obiecując, że jutro dokończy. Ale go już nie dokończył, bo nazajutrz umarł. Żałowano za nim w parafii bardzo, bo byłto człowiek zacny, prawy, rozumny. Po nim przyszedł na probostwo Kopyczynieckie ks. Stanisław Jenerowicz, poprzednio proboszcz w Kołodziejówce. Za czasów probostwa ks. Majewskiego byli do r. 1925 wikaryuszami przy kościele Kopyczynieckim następujący księża: Artur Andler (ur. 1879 ord. 1904.), Jan Dąbrowski (ur. 1886 ord. 1909), Jan Krokowski (ur. 1882 ord. 1909), Antoni Mróz, (ur. 1885 ord. 1910), Wojciech Goleń (ur. 1883 ord. 1908) i Józef Tomaszewski (ur. 1893 ord. 1918).

Tyle o kościołach Kopyczynieckich, o ich kapłanach, o nabożeństwach i o kulcie religijnym. A teraz wspomnień kilka o służbie kościelnej.

Przy kościele Kopyczynieckim był zawsze czynny organista a nadto kościelny. O ile pamięć za moich czasów wstecz sięgała, był kiedyś dawno, dawno temu organista Stanecki, możliwie od pobudowania nowego kościoła, co najmniej jednak w latach 1820–1840. Nie byłto przeciętny organista małomiasteczkowy, ale człowiek wyjątkowo inteligentny i zdolny. Szlachcic o wyniosłej postawie, w okularach,

na bok czesany, rozmowny, stateczny i powszechnie szanowany. Udzielał nauki gry na fortepianie i stroił w okolicy po dworach fortepiany. Miał się majątkowo bardzo dobrze, kupił dom przy ulicy Jabłonowskiej, trzymał dwie sługi i żył dostatnio. Umarł w Kopyczyńcach, pozostawiając wdowę i trzech synów: Władysława, Karola i Jana. Karol poświęcił się scenie i jako artysta poszedł w świat, wdowa zaś, sprzedawszy dom sąsiadowi Szczepanowi Poleszczukowi wyprowadziła się ze synami Władysławem i Janem do Lwowa. ~~Sługa~~ Potem spadkobiercy Poleszczuka (sprzedali) ten dom notarjuszowi Polańskiemu, spadkobiercy tegoż sprzedali go dalej urzędnikowi Kotcanowi (wnukowi znanego za moich czasów wybitnego mieszczanina Safiana) a podczas wojny światowej 1914-18 zgorzała owa siedziba Staneckich doszczętnie.

Stanecki wyuczył organistostwa dwóch młodych ludzi w Kopyczyńcach, Tabarkiewicza i Czarneckiego. Tabarkiewicz pochodził z miejscowej rodziny mieszczańskiej. Dom ich był naprzeciw dzisiejszego Kościoła (tuż przed dzwonnicą), później kupił tę posiadłość Grabowicz i pobudował tam dworek dla życia Padewskiego. Po skończonej nauce odbył Tabarkiewicz służbę wojskową, ożenił się, pełnił przy różnych kościołach obowiązki organisty, a gdy owdowiał i czuł się samotnym, uzyskał pomieszczenie w wojskowym Domu Inwalidów we Lwowie (pod Wysokim Zamkiem od strony Kleparowa). Bawił tam kilka lat, ale ostatecznie sprzykrzyło się mu bezczynne życie, zgłosił wystąpienie i około r. 1883 pojawił się w Kopyczyńcach w uniformie szarosinawym, jakie nosili inwalidzi wojskowi. Widziałem go wtedy. Starzec jak gołąb siwy, ruchliwy, wielce mowny,

odnalazł jeszcze kilku starych znajomych, gwarzył z nimi długie godziny, zatęsknił za organami i po staraniach uzyskał miejsce organisty w Husiatynie, tam bowiem był proboszczem dawny wikary Kopyczyniecki Szamocki i pamiętał Jabarkiewicza z młodszych czasów. Ale miły staruszek przeliczył się ze swojemi siłami, obowiązki swe pełnił z trudem, a około r. 1886 umarł na rodzimej podolskiej ziemi.

Drugim uczniem Staneckiego był Wojciech Czarnecki. Pochodził z Krzywcza górnego, ze znanej tam zdrobniałej szlachty. Ojciec Czarneckiego był człowiekiem jeszcze wcale zamożnym, mieszkał niedaleko dworu Golejewskich (w uliczce wdół od cerkwi) a że Golejewscy w ciągłych byli kłopotach materjalnych, nieraz u Czarneckiego się zapożyczali. Miał jednak ojciec Czarneckiego zbyt wiele dzieci, tak iż majątek jego się rozdrobił, a już wnukowie i prawnukowie jego stali się wcale biednymi mieszczanami Krzywieckimi. Wojciech Czarnecki uczył się muzyki u Staneckiego i wyuczył się u niego gry na organach. Po śmierci swego nauczyciela sam Czarnecki był organistą za czasów proboszcza Wojnarowskiego, następny zaś proboszcz ks. Grządzki przywiózł ze sobą organistę Wodyńskiego a Czarnecki miejsce utracił. Po odejściu Wodyńskiego był organistą Jabarkiewicz, który przeżył ks. Grądzkiego i był początkowo organistą jeszcze za czasów ks. Bietkowskiego. Gdy odszedł, krótki czas był organistą Czternastek, po nim zaś został ponownie przyjęty Wojciech Czarnecki.

Miał on dużą technikę muzyczną, miękkość i łagodność symfonji tudzież poczucie piękna w ujęciu harmonji tonów. Ożenił się z Agnieszką, córką burmistrza Macieja Krzyżanowskiego, mieszkał na jej domostwie naprzeciw figury św. Rocha. Umarł w r. 1897 jako 83-letni starzec. Przez ostatnie lata życia już nie pełnił obowiązków organisty, a następcą jego był młody, rumiany na twarzy, wesoły z usposobienia Banach, pochodzący z Czortkowa, który pełnił ten zawód na miejscu jakie 30 lat i zmarł około roku 1920. Nie było to jednak już za moich czasów, szczegół więc ten tylko dla całości naprowadzam.

Oryginalną osobistością przy kościele Kopyczynieckim w latach około 1870–1882 był kościelny Antoni. Człowiek starszy, żonaty, mieszkał tuż obok kościoła w domu fundacyjnym Wszelaczyńskiego w jednej izbie od północno zachodniej strony. Średniego wzrostu, czuper siwiejący rozczochrany, brodę w straszliwym nieładzie, odzież zniszczona, buty długie i długie czasy nieczyszczone, był Antoni dziwakiem i mrukiem, ociężale się poruszał, mało mówił, ciągle był pochmurny i zaspiony. Wiele docinków i psot znosił od chłopaków służących do mszy, zawsze groził, że poskarży ojcu, ale nigdy gróźb nie spełniał. Lubiał siadywać na małej brackiej skrzynce w zakrystji, wmyśleć się w odrętwieniu i pięciu palcami prawej ręki zawzięcie skrobać dolną szczękę, obrosłą

strzępiastą brodą. W kościele podrzędne spełniał zadanie. Dzwonił dzwonami, nadzorował babki z przytułku, gdy kościół zamiatały, przynosił z kuchni probostwa do zakrystji węgle i wodę, palił świece przedemszą, trzepał kościelne dywany, a zresztą stale na chórze kalekował przy organach, do czego dobrze się nadawał z powodu swej ociężałości. Tylko w niedziele i święta był wolny od tej gimnastyki, bo zastępowali go w tem mieszczańscy chłopcy, a Antoni miał wówczas dość innego zajęcia. Oto po podniesieniu chodził podczas sumy z blaszaną puszką po kościele i zbierał datki na ubogich, a że z biegiem czasu Antoni bardzo zbiedniał, i w tak obszarpanem chodził ubraniu, iż to uwłaczało służbie bożej, równocześnie odprawianej, mątego z funduszów bractwa sprawiono mu długi granatowy płaszcz z pelerynką i z krzyżem przeszytym z czerwonego sukna na lewym boku. W tento płaszcz ubierał się Antoni tylko w czasie kwesty po kościele. Po skończonem nabożeństwie i po zamknięciu kościoła szedł Antoni wzdłuż parkanu kościelnego powoli a ciężko do domu i tu tuż za domem przytułku miał wielki ogród warzywno owocowy, gdzie z ogromnem zamiłowaniem pielęgnował szczepy, ciesząc się pod jesień osiągniętemi owocami. Gdy ludzie do chrztu dziecko przynieśli, gdy pogrzeb nadszedł lub z innych przyczyn potrzeba było znaleźć kościelnego, wystarczało w porze letniej zawołać koło tego ogródka: Antoni! a z pomiędzy krzewów i łodyg podnosiła się postać pustelnicza tego dziwacznego człowieka, który częściej się z ludźmi porozu-

mniej gestem rąk, niż słowami. Pewnego razu około r. 1883 nie przyszedł Antoni o oznaczonej godzinie do kościoła, trwała ta jego nieobecność może tydzień, zmogła go choroba i umarł na zapalenie płuc. Kolega mój Jan Jurczaniewicz poszedł popatrzyć na Antoniego po śmierci, niebawem powrócił do zakrystji twierdząc, że choć Antoni leży martwy w swej izbie, to jednak poruszył ręką. Ilu nas było w zakrystji ruszyliśmy wszyscy do „szpitala", bo tak powszechnie zwał się dom przytułku. Leżał biedny Antoni bez ruchu, ubrany w odświętny swój surdut, po izbie krzątała się sama jedna strapiona staruszka żona, patrzyliśmy długo, czy Antoni nie ruszy ręką, ale oczywiście bez rezultatu odeszliśmy, bo naszemu koledze odruch się przewidział. Choć to był biedak, jednak pogrzeb miał wcale pokaźny, zadzwoniły mu wszystkie trzy dzwony, katafalk w kościele ustawiono na dwa stopnie, zaś kondukt pogrzebowy odprowadził aż na cmentarz pod lasem ~~[illegible]~~ wikary ks. Kubaszek z kilkaset uczestnikami.

Po Antonim objął ten urząd jeden ze Stańskich, mieszczanin kopyczyniecki, ale nie długo go piastował z powodu niezmiernie marnej płacy. Stański był przedtem nocnym stróżem kościoła i niejako awanzował na kościelnego, wnet jednak żałował, że zamienił służbę nocną na dzienną. Do wprowadzenia zaś nocnej straży widział się zarząd kościoła skłoniony dwukrotnym wypadkiem kradzieży, jakie się zdarzyły w tymto kościele.

Oto w nocy z 11. na 12. września 1863 jakiś chłop ze Suchostawu pokradł wota z obrazu Chrystusa Ukrzyżowanego, przy bocznym prawym ołtarzu, niemniej skradł srebrną puszkę do przechowywania Sanctissimum i inne drobiazgi. Świętokradztwo uczyniło piorunujące wrażenie na mieszkańcach Kopyczyniec, poszukiwania za złoczyńcą trwały długo, zdawało się, że nie da się już go odszukać, aż sprawca sam się zdradził, bo nie mając co począć ze skradzionemi świecami, które bał się świecić w domu, by na siebie nie zwrócić podejrzenia, wrzucił więc je do pobliskiej studni, tam je odnaleziono i stąd przyszło do wykrycia i ukarania winowajcy. Drugą kradzież w czasie około r. 1875-1880 popełniła kobieta. Dała się wieczorem zamknąć w kościele, pokradła wota z obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, tudzież korale z dukatami i okrycie do Komunji przy balustradzie przed wielkim ołtarzem, tj. białą i czerwoną materję płócienną. Wyszedłszy z kościoła udała się gościńcem ku Jabłonowu. Tam pomiędzy Kopyczyńcami a lasem „Szrajczyzną" był murowany tunel poprzeczny pod gościńcem, gdyż dawniej płynął tam potoczek, dziś już wyschły. Otóż złodziejka usiadła w tunelu pod gościńcem i zaczęła szyć ze skradzionego płótna spódniczkę dla swej dziewczynki. Zaraz tegosamego dnia popołudniu schwytano ją, odprowadzono do miasta, odebrano pokradzione rzeczy, nieco poturbowano i odstawiono do sądu.

*

Przejdźmy teraz do drugiego obrządku katolickiego w Kopyczyńcach. Za moich czasów ruska parafia miała dwie cerkwie, główną i filjalną i dwóch księży, proboszcza i wikarego.

Od jak dawna istniała w Kopyczyńcach parafia ruska, niepodobna dziś dociec. Zdaje się, że Kopyczyńscy jednego i tegosamego roku fundowali i kościół i cerkiew, a choć na to niema bliższego dowodu, ani żadnego dokumentu, to jednak przypuszczenie to opieram na następującej zasiągniętej przezemnie wiadomości. Zapytałem pisemnie obecnego gr. kat. proboszcza ks. Piotra Szankowskiego o początkach starej, nie istniejącej dziś cerkwi drewnianej i otrzymałem odpowiedź, że w tamtejszym inwentarzu zanotowano, jakoby starą małą cerkiew pobudowano „der Sage nach" w r. 1143, ale w tej liczbie jedynka w środku jest zatarta, tylko jest punkt nad tą zatartą jedynką. Otóż twierdzę, że data ta jest stanowczo zawczesną, a uważam niemal za pewne, że w r. 1143 Kopyczyńce wogóle jeszcze nie istniały na świecie. A już aby w tym czasie tak miasto było wzniesione i zabudowane, iżby mogło pobudować cerkiew, trwającą zgórą 700 lat, jest nie do pomyślenia. Nic łatwiejszego jak domysł, że owa zatarta liczba była czwórką, czyli wskazuje na rok 1443, którąto datę odnośnie do pierwszego kościoła uważamy za pewną i dokumentem stwierdzoną. Stąd konkluzja, że niezawodnie pobożni Kopyczyńscy odrazu postawili w Kopyczyńcach i kościół i

cerkiew, oba domy boże drewniane, możliwie czasami sprowadzeni budowniczy jednym zachodem obie świątynie wznieśli.

Główna cerkiew stała na wzgórzu nad stawem przy drodze wiodącej do Probużny, na temsamem prawie miejscu, na którem jest dziś zbudowana nowa cerkiew ~~drewniana~~ murowana. Pamiętam jeszcze tę starą cerkiewkę drewnianą, sczerniałą, w ziemię wrostą, nie odróżniającą się w niczem od innych cerkwi wiejskich. Staruszka z odległych czasów miłą była w prostocie, pojedynczą w strukturze, szanowną jak relikwja. Jestem niemal pewnym, że była ona siostrzycą i rówieśnicą pierwszego kościoła Kopyczynieckiego. Przetrwała do roku 1903, została rozebrana, by ustąpić miejsca nowej cerkwi murowanej.



Nowa cerkiew murowana z r. 1903 za czasów probostwa Ks. Piotra Szankowskiego.

*

Dawnymi czasami budowano zwykle kilka cerkwi w miejscowościach rozleglejszych i to przeważnie dlatego, że

pojedyncze części tych miejscowości należały do oddzielnych panów, a każdy budował oddzielną cerkiew dla swoich poddanych i swego własnego, skoro pozwolnego chciał mieć duchownego. Ile cerkwi było w dawnych Kopyczyńcach, nie mogłem sprawdzić. Ograniczam się więc do wzmianki w liście Ks. Białkowskiego z datą Kopyczyńce 30 września 1864 pisanego do hr. Borowskiego w Myszkowcach, który w tej kwestji podaje tyle: „Niegdyś były trzy cerkwie w Kopyczyńcach, z których jedna drewniana na przedmieściu Hetmańszczyźnie przez Ludwika Ludzickiego z drzewa była fundowana. Na Przedmieściu Borowszczyzna znajdowały się dwie cerkwie drewniane, kiedy i przez kogo zbudowane, już JWielmożnemu Panu Hrabiemu wiadome. W teraźniejszych cerkwiach nie ma niczego, o czemby warto było wspominać." Notatka ta mówi bardzo mało, to chyba da się z niej wyrozumieć, że dziś są dwie cerkwie a kiedyś dawniej były trzy. Imię Ludzickiego Ludwik, jest oczywiście mylne.

Proboszczem ruskim za moich czasów był staruszek ks. Szankowski, o pooranej zmarszczkami twarzy, wysoki, brunet, ciężko słyszący ze starości, jednak czynny, ruchliwy, wszystkiem się interesujący. Urodzony w r. 1802, był proboszczem Kopyczynieckim od 14 lutego 1829, zmarł dnia 12 lutego 1890, a więc proboszczem był przez całych lat 61, a aż do ostatnich dni swego życia pełnił wszystkie funkcje duchowne. Oryginalnym jego zwyczajem było pytać na ulicy dzieci: a czyj ty.

Jak raz idąc ulicą ku dworowi spotkałem ruski kondukt pogrzebowy prowadzony przez ks. Szankowskiego. Gdym księdza pozdrowił, zatrzymał się, a zarazem cały kondukt i na pytanie czyj ja, musiałem mu opowiedzieć moją geneologię, poczem kondukt ruszył dalej. Był to człowiek szlachetny, dobry o wysokiej kulturze i należał do gasnącego pokolenia Rusinów, żyjącego w złotej zgodzie z Polakami.



Cerkiew filjalna w Kopyczyńcach na przedmieściu czort. Kowskiem.

(fotogr. z r. 1931.)

Po śmierci tego zacnego kapłana proboszczem unickim w Kopyczyńcach został syn jego Piotr, który co do charakteru wstępował w ślady swego ojca.

Drugą cerkwią i to filjalną była drewniana cerkiew na Przedmieściu Czortkowskiem, zwanem „Kątek" (po rusku Kutec). Ufundował ją w r. 1636 Marcin Ładzicki. Według miejscowego podania miał to być pierwotnie kościołek, przemieniony później na cerkiew. Dziś jednak nie da się ta wersja sprawdzić. Jedynie struktura tej cerkwi wskazuje, iż nie odpowiada ona zwykle przyjętym formom zewnętrznym podolskich cerkwi, ponadto jednak nic innego. Przy tejto filjalnej cerkwi za moich czasów był wikarym słynny ks. Siczyński. Byłto człowiek popędliwy, zadzierzysty i zawzięty, grający na instynktach tłumu. Onto był ojcem owego mordercy Mirosława Siczyńskiego, który w r. 1910 zamordował namiestnika hr. Potockiego we Lwowie. Za moich czasów większość ruska w powiecie husiatyńskim wybrała ks. Siczyńskiego posłem do Sejmu Galicyjskiego. Od czasu pobytu ks. Siczyńskiego w Kopyczyńcach datuje się wzburzenie ludności ruskiej w tem mieście i roznamiętnienie narodowościowe nieznane dotąd w tem cichem miasteczku. Był on także katechetą szkolnym i od czasu do czasu przychodził do naszej szkoły uczyć katechizmu uczniów greckiego obrządku. Mieliśmy w IV klasie kolegę Izydora Hołubowicza, syna pomniejszego właściciela ziemskiego ze wsi Tłusteńkiego. Był on greckiego obrządku, jednak chowany w domu po polsku a w Kopyczyńcach był

na stancji również w polskim domu u dyrektora szkoły Szareka. Ponieważ kościół był obok szkoły a cerkiew w oddali, przeto Hołubowicz chodził co niedzieli na nabożeństwa do kościoła a nie do cerkwi. To tak zirytowało ks. Sieczyńskie-go, że chociaż Hołubowicz był jednym z najlepszych uczniów

204a

GAZETA WARSZAWSKA dnia 17 kwietnia 1928 roku.

Afera b. premjera b. rządu „ukraińskiego"

PO MALWERSACJACH I OSZUSTWACH ULOTNIŁ SIĘ ZE LWOWA

W sferach politycznych ruskich wywołała sensację wiadomość o wniosku prokuratury, skierowanym przeciw b. prez. ministrów b. rządu „ukraińskiego" p. Hołubowiczowi. Dr. Izydor Hołubowicz po proklamacji przez Petruszewicza w r. 1918 „Republiki Zachodnio Ukraińskiej" będąc zwolennikiem „wodza" uzyskał tytuł i władzę prezesa rady ministrów. Po upadku Petruszewicza „premjer" wyjechał do Czechosłowacji. Po kilku latach pobytu w Pradze, powrócił do Polski i usunąwszy się zupełnie od działalności politycznej, zaczął prowadzić interesy przemysłowo-handlowe, wyjeżdżając z Polski dr. Hołubowicz był średnio zamożnym obywatelem, po powrocie do kraju natomiast został właścicielem znacznej fortuny i kupił dwa majątki w przemyskiem. W nowym charakterze dał się Hołubowicz poznać jako wybitny przemysłowiec i obrotny kupiec, który prowadził szerokie interesy naftowe, drzewne, lasowe i t. p. W czasie tych operacyj finansowych, z niewiadomych przyczyn zaciągnął szereg długów, które ostatnio wyniosły poważną kwotę 120 tys. dolarów. Aby uratować się od bankructwa, mając szeroki kredyt i zaufanie, począł brać na weksle towary, które następnie sprzedawał niżej ceny kosztu, chcąc za wszelką cenę dojść do większej gotówki.

Onegdaj wieczorem 26 kupców i przemysłowców złożyło w sądzie skargę na Hołubowicza, domagając się otwarcia postępowania konkursowego, jednocześnie zaś oskarżając H. o szereg oszukańczych malwersacyj. W związku z tem, prokurator rozpoczął dochodzenie karne przeciw b. premjerowi. Okazało się, że dr. Hołubowicz naraził na poważne straty, nietylko sfery przemysłowo - kupieckie, ale i cały szereg instytucyj finansowych „ukraińskich" jak „Dnister", „Zemelnyj Bank" „Krajewyj Sojuz Kooperatiw", Fundusz wdów i sierot po żołnierzach „ukraińskich" i t. d. Podczas dochodzenia dr. Hołubowicz nagle znikł ze Lwowa bez wieści. Wdrożono poszukiwania.

*

204

Po śmierci tego zacnego kapłana proboszczem unickim w Kopyczyńcach został syn jego Piotr, który co do charakteru wstępował w ślady swego ojca.

Drugą cerkwią i to filjalną była drewniana cerkiew na [illegible]

(po

Wei

cio

da

wsk

mo

in

Ka

zac

Ont

któ

w L

hus

Gal

czy

nu

dot

tą

nac

obrz

204 b

GAZETA WARSZAWSKA dnia 17 kwietnia 1928 roku.

Wykup cukrowni polskich przez Niemców

DOTYCHCZAS 9 CUKROWNI I 15—25 PROC. AKCYJ WARSZ. TOW. FABRYK CUKRU

W sprawie wykupu cukrowni polskich przez kapitalistów zagranicznych znajdujemy ciekawe i niewątpliwie ścisłe dane w „Przeglądzie Gospodarczym". Dowiadujemy się z nich przedewszystkiem, że dotychczas przeszły w ręce kapitalistów zagranicznych następujące cukrownie: Opianica, Środa, Tuczna, Jankowo, Pakość, Wierzchosławice i Września w województwie poznańskiem oraz Gosławice w woj. łódzkiem, nabyte przez konsorcjum niemiecko - holenderskie, które pozatem wykupiło na giełdzie 15 — 25 proc. akcyj Warszawskiego Tow. Fabryk Cukru, koncernu, który reprezentuje 20 proc. produkcji cukru w Polsce. Nadto przeszły w ręce kapitalistów zagranicznych cukrownie: „Borowiczki" w województwie warszaw-

cy ci reprezentują wyłącznie kapitał „holenderski", powyższa zaś niewątpliwie wiarogodna informacja „Przeglądu Gospodarczego" stwierdza, że jest to konsorcjum „niemiecko - holenderskie", a więc w pierwszej mierze niemiecki kapitał, któremu oczywiście nie wypada występować całkiem otwarcie, szczególnej z taką akcją na terenie polskim. Ciekawa jest również uwaga organu powyższego, który oczywiście stoi na stanowisku dopływu do Polski kapitału zagranicznego, w tym jednak wypadku pisze:

„Nie można jednak każdego przypływu kapitału zagranicznego uważać za zjawisko dodatnie, a szczególnie w tych przypadkach, gdzie wchodzi on na miejsce kapitału polskiego, już istniejącego, nie wnosi nowej inicjatywy i wchodzi tylko dlatego, że może

Łubowicza, syna ponniejszego właściciela ziemskiego ze wsi Tłusteńkiego. Był on greckiego obrządku, jednak chowany w domu po polsku a w Kopyczyńcach był

na stancji również w polskim domu u dyrektora szkoły Szareka. Ponieważ kościół był obok szkoły a cerkiew w oddali, przeto Hołubowicz chodził co niedzieli na nabożeństwa do kościoła a nie do cerkwi. To tak zirytowało ks. Siczyńskiego, że chociaż Hołubowicz był jednym z najlepszych uczniów i miał niemal same bardzo dobre noty, dał mu na pierwszy kurs roku szkolnego 1883/4 z religii notę niedostateczną. Odlewał gorzkiemi łzami tę notę Hołubowicz, chodził odtąd do cerkwi i w rezultacie otrzymał na drugi kurs cenzurę bardzo dobrą z religji. I któż wówczas mógł przewidzieć, że tensam Izydor Hołubowicz, wśród Polaków wzrosły, polską kulturą przejęty, będzie kiedyś stał na czele rządów ukraińskich wrogich narodowi polskiemu i przyłoży rąk do tępienia żywiołu polskiego na Podolu. A jednak tak się stało. Po ukończeniu szkoły w Kopyczyńcach chodził Hołubowicz do polskiego gimnazjum w Tarnopolu, tu też po ukończeniu praw był adwokatem. Kiedy w r. 1918 rozpadła się Austrja i wydała broń Ukraińcom na Polaków, stanął na czele tej austrjackiej Ukrainy adwokat Petruszewicz, a szefem rządu był Hołubowicz. Ile rządy te szkody przyniosły narodowi polskiemu, niech powie historja tych czasów. Dalsze losy Hołubowicza widoczne są z dołączonej notatki Gazety Warszawskiej z 17 kwietnia 1928. Od lat chłopięcych nigdy się z nim potem w życiu nie zetknąłem.

*

Wspomnę z kolei nieco o społeczeństwie, urzędach i instytucjach publicznych kopyczynieckich.

Zastęp inteligencji w Kopyczyńcach był niewielki, i ta warstwa cieszyła się dużem poważaniem. Wśród niej, prócz wspomnianego powyż duchowieństwa na pierwsze miejsce wybijali się sędziowie.

Sądownictwo państwowe w Kopyczyńcach trwało od niezbyt dawna. Za czasów polskich przedrozbiorowych był inny ustrój sądownictwa. Pan na Kopyczyńcach sądził swoich poddanych jak chciał, a pana sądził sąd grodzki w Trembowli. Gdy ta część Polski dostała się w r. 1772 pod władztwo Austrji, unormowano sądownictwo nieco inaczej i pan sam nie sądził, lecz jurysdykcję wykonywał w jego imieniu Mandatarjusz, a tylko ważniejsze sprawy załatwiał w imieniu rządu zawodowy prawnik Justcjarjusz. Kopyczyńcom nie dano takiego justicjarjusza, bo ośrodkiem władzy w początkowych czasach zaborczych był w naszych stronach Chorostków. Otóż od roku 1786 był dla powiatu justicjarjuszem w Chorostkowie Tadeusz Bobrowski, urząd zaś jego w pełnej nazwie brzmiał: Judicial Kreisgrenzkammer. Po krótkim przydziale tych ziem do Rosji powróciły one znów do Austrji, poczem w r. 1821 był justicjarjuszem w Chorostkowie Michał Wszelaczyński a w r. 1829 urząd ten przeniesiono z Chorostkowa do Kopyczyniec i tu tenżsam

Wszelaczyński urzędował do roku 1837. Po nim przez lata 1837 – 1842 był justicjarjuszem Tomasz Wszelaczyński, a przez lata 1843 – 1855 urząd ten pełnił Marceli Wizstocki.

W r. 1850 otwarto w Kopyczyńcach Urząd Podatkowy (Steueramt). Poborcą był Aleksander Lenczewski, kontrolorem Antoni Gromnicki, oficjałami zmieniając się od r. 1851 do ~~185~~ 1855 byli Jan Werner, Wacław Boggia, Ludwik Lindes i Wincenty Amirowicz.

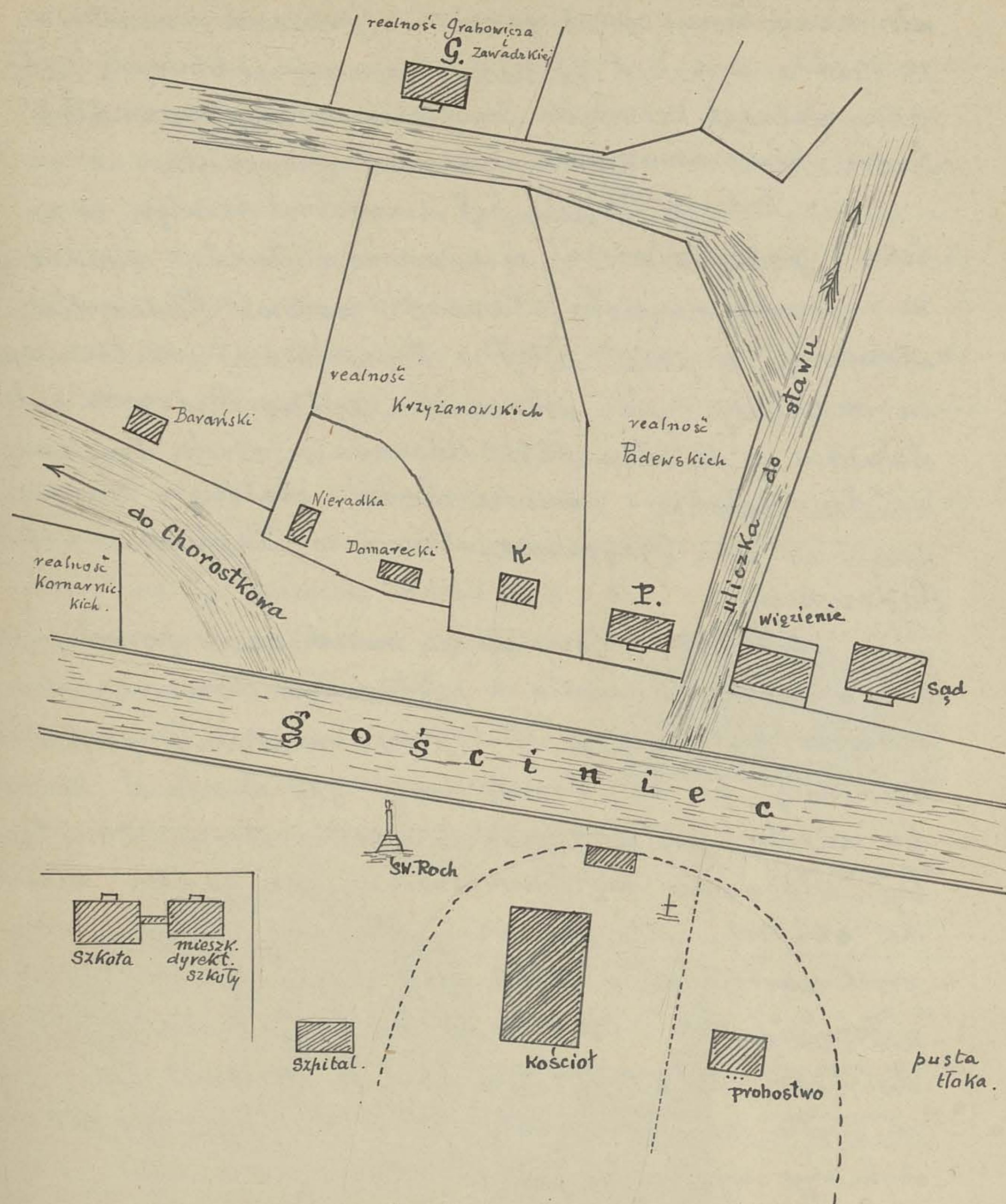
W r. 1856 otwarto w Kopyczyńcach Starostwo (Bezirksamt), które zarazem łączyło władzę sądowniczą. Pierwszym starostą był poprzedni poborca Aleksander Lenczewski, adjunktem do wykonywania sądownictwa mianowano Edmunda Wesołowskiego, innymi urzędnikami w Starostwie w czasie od r. 1856 do r. 1866 byli Feliks Sieklacki, Michał Mojsiewicz, Leon Zawadzki, Jan Wandyński, Kajetan Paderski, Józef Rybicki, Juljasz Piątkowski i Leon Czernikowski. W r. 1867 przeniesiono Starostwo i Urząd Podatkowy z Kopyczyniec do Husiatyna. Natomiast w Kopyczyńcach otwarto w r. 1869 Sąd Powiatowy. Naczelnikiem tegoż był w latach 1869 – 1873 Edmund Wesołowski, adjunktem Jan Szankowski, kancelistą Kajetan Paderski. W r. 1873 był naczelnikiem sądu Michał Klusik, w latach 1874 – 1876 Faustyn Jahner a od r. 1877 Emil Gronziewicz. Właśnie w tymto roku jako sześcioletni chłopak zacząłem chodzić do szkoły powszechnej w Kopyczyńcach i przez cały czas mojego pobytu w szkółce kopyczynieckiej był

Gronziewicz naczelnikiem sądu. Nie nazywał go jednak nikt naczelnikiem, jak brzmiała jego urzędowa nazwa, ale prezesem. Był to człowiek skromny, poważny i cichy. Średniego wzrostu, blondyn, twarz pogodna, postawa nieco naprzód pochylona, starannie ubrany, w lecie zawsze nosił biały, ryżowy, nieduży kapelusz. Mieszkał w dworku nieopodal rogatki jabłonowskiej. Był to schludny domek parterowy z oszkloną werandą a przed nim ciągnął się od ulicy niski, biało lakierowany, we wzorce ujęty parkan. Codziennie cztery razy przechodził Gronziewicz obok kolumny św. Rocha i kościoła do sądu i ze sądu. Zdaje się, że to był jego jedyny spacer, bo zresztą nigdzie się prezesa nie widziało. W sądzie był jego głos stanowczy i jedynie miarodajny. Co prezes powiedział, było święte. Żona jego wysokiego wzrostu, trzymająca się zawsze na wyżynie swego stanowiska, pochodziła z aptekarskiej rodziny Nossów z Czortkowa. Pamiętam, że prezesowa siadała w kościele w nawie głównej w pierwszej ławce po prawej stronie (tj. naprzeciw ołtarza Ukrzyżowanego Chrystusa). Była kobietą pobożną i dobrą. W zimie chodziła w astrachanowem futerku, co niemałą budziło w Kopyczyńcach sensację, bo tu nie rozumiano, jak może być człowiek ogrzanym przez futro na wierzch włosem obrócone. Gronziewicz wysłużył długie lata w Kopyczyńcach, potem przeniósł się do Czortkowa i tu na emeryturze zmarł, pochowany w dużym grobowcu familijnym Nossów, na głównym cmentarzu niedaleko gościńca jagielnickiego. Żona długo go przeżyła,

kiedy opuszczałem Czortków w r. 1919, żyła jeszcze jako staruszka i mieszkała we własnym domu na Starym Czortkowie. Mieli dwoje dzieci, syna Zygmunta, późniejszego starostę w Śniatynie, Czortkowie i Złoczowie a potem wicewojewodę w Poznaniu i Warszawie i córkę zamężną za inżynierem Orłowiczem.

Prócz naczelnika sądu był jeszcze sędzia młodszy, zwany adjunktem sądowym. Młodsi sędziowie ciągle się zmieniali, a byli przeważnie kawalerami. Z urzędników sądowych znany był doskonale w całym powiecie a w Kopyczyńcach nawet każdemu małemu dziecku kancelista Kajetan Padewski, człowiek starszy, obyty ze światem, powagi dodawały mu długie włosy jak u Paderewskiego. Było w domu kilka osób, prócz najbliższej rodziny mieszkała z nimi razem panna Eleonora, krewna pani Padewskiej. Padewscy mieli sześcioro dzieci, z których dotąd żyje syn Józef, dyrektor jednego z banków lwowskich. Kancelista Padewski mieszkał naprzeciw kościoła w ładnym domku, a dzieje całej tej realności były następujące. Około roku 1850 żył w Kopyczyńcach mandataryjusz Jan Grabowicz. Był to człowiek niezmiernie zapobiegliwy i czynny. Mieszkał w uliczce za domostwem burmistrza Krzyżanowskiego (jak to na poniżej podanym szkicu uwidoczniono, znacząc jego realność literą G.). Kupował grunty gdzie tylko się dało i skupił około 40 morgów, co wystarczyło, aby już prowadzić mały folwareczek. Miał dwie córki: Antoninę i Teklę i obie wydał za kancelistów sądowych a to Teklę za Kajetana Padewskiego, Antoninę zaś za Leona Zawadzkiego, dobrze je wyposażając. Na Zawadzkiej

przeznaczył rodzinną realność G. zaś dla Paderskich skupił grunty przy gościńcu, a mianowicie nabył dwie realności naprzeciw kościoła od Lewandowskiego i Tabarkiewicza, zjednoczył je i pobudował na tych gruntach piękny dom mieszkalny (P.) wraz z wygodnemi budynkami gospodarczemi. Kto wjeżdżał do Kopyczyniec od strony Tarnopola, zwracał uwagę na ten parterowy dom Paderskich z gankiem, okrytym szczelnie zielenią dzikiego wina. Przed domem ciągnął się niski parkan w rombowy wzorzec ujęty, biało lakierowany. Pomiędzy parkanem a domem był niedaży ogródek kwiatowy. Dom ten jednak był kryty słomą, prócz ganku i krawędzi dachu przy okapie, krytych gontami. Pomiędzy realnością Grabowicza i nowonabytemi gruntami dla Paderskich ciągnęła się realność Krzyżanowskiego. Długo Grabowicz określał wdowę po burmistrzu Macieju Krzyżanowskim, aby realność tę (na planie obok pod lit. K.) jemu sprzedała, jednakże wdowa mimo usilnych nalegań nie chciała tego uczynić. Zawodzący pomarli bezdzietnie, ich realność (S.) przeszła w spadku na Paderskich, ci ją sprzedali Stöcklowi, budynki się spaliły, grunt nabył najpierw „Sokół Polski" za prezesury Soleckiego, a następnie kupiło ~~je~~ to TSL. (Towarzystwo Szkoły Ludowej) na bursę i zbudowało tam obszerny dom. Po śmierci Paderskiego, zaszłej dnia 2 marca 1891 sprzedała rodzina dom „P." z polem w r. 1896 emerytowanemu nauczycielowi z Mogielnicy Karolowi Gerbrandowi, bezdzietnemu, gderliwemu człowiekowi bez energii, mało rozumiejącemu się na gospodarstwie i wielce nieporadnemu.


realność Grabowicza i Zawadzkiej
G.
realność Krzyżanowskich
Barański
realność Padewskich
Nieradka
Domarecki
K.
P.
uliczka do stawu
do Chorostkowa
realność Komarnickich.
więzienie
Sąd
gościniec
Św. Roch
Szkoła
mieszk. dyrekt. szkoły
Szpital.
Kościół
probostwo
pusta tłoka.

Majątek w jego rękach ciągle upadał a nadto dwukrotnie nawiedzony został pożarem. Gerbrand umarł w r. ~~18~~ 1920 a o spadek po nim procesuje się obecnie cały szereg dalszych krewnych. Kwitnąca niegdyś posiadłość Padewskich zmarniała i bardzo podupadła.

Padewski Kajetan był dwukrotnie żonatym, bo po Tekli z Grabowiczów ożenił się ponownie z Anielą, nieznanego mi rodowego nazwiska. Pamięć o rodzinie Padewskich utrzymuje się jeszcze dotąd w Kopyczyńcach wskutek zapisu mszalnego, jaki ustanowił Kajetan Padewski w testamencie z 18 lutego 1891. Odprawia się corocznie trzy nabożeństwa żałobne: jedno za Leona i Antoninę Zawadzkich, drugie za Jana Grabowicza, trzecie za Kajetana i Teklę Padewskich.

Sąd powiatowy był za moich czasów pomieszczony przy drodze jabłonowskiej w parterowym domu z ganeczkiem na dwu słupkach. Stał prawie naprzeciw probostwa łacińskiego, po lewej stronie drogi, gdy się szło od kościoła ku miastu (jak na planie na odwrotnej stronie). Dom ten był własnością hr. Baworowskiego. Na ganku wisiał na owalnej, żółto malowanej blaszanej tarczy czarny orzeł austrjacki a wkoło biegł napis: „Ck. Sąd Powiatowy w Kopyczyńcach." Obok sądu na rogu uliczki wiodącej do stawu stał drugi dom, byłoto więzienie, czyli – jak się zwykle mówiło – areszty. Przed i za tym budynkiem było ~~wyso~~ wysokie na jakie 3 metry oparkanienie, aby się aresztowani nie mogli znosić z osobami postronnemi.

Więzienia dozorował jeden z woźnych sądowych, zwany jeszcze od niemieckich czasów Kerkermajstrem. Często się widziało, jak przed ten dom więzienny zajeżdżała fura chłopska (podwoda), wyprowadzano winowajców skutych w łańcuchy, sadzano na wóz, niebezpieczniejszych osobnym łańcuchem przywiązywano do drabiny wozu i to zawsze siadywali plecami do woźnicy a na tylnem siedzeniu siadał żandarm z nabitą bronią twarzą ku złoczyńcom zwrócony i odwoził ich do Tarnopola do Sądu Okręgowego. Byli to przeważnie złodzieje, koniokradzi, podpalacze lub zabójcy. Za mniejsze przewinienia odbywało się karę w areszcie Kopyczynieckim.

Gdy w r. 1918 wprowadzono w Austrji nową, ustną 1898
procedurę cywilną, dom zajmowany dotąd na Sąd powiatowy okazał się za małym na pomieszczenie zwiększonego personalu sądu. Dlatego hr. Baworowski pobudował większy wygodny budynek naprzeciw starego





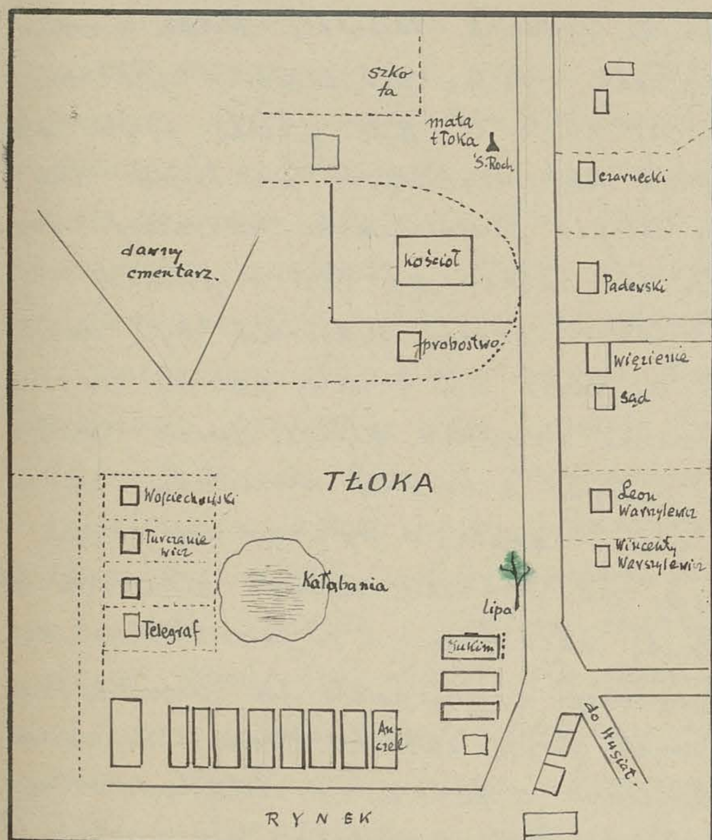
U góry drugi budynek sądowy – obok na lewo trzeci i ostatni budynek na sąd – oba postawione na tzw. Tłoce, a to drugi na miejscu dawnej austeryi, trzeci obok tzw. Katakumi. Na prawo w oddali widać tyły domów zajezdnych.

może 1898 sądu i do budynku tego wprowadził się w r. ~~1918~~ Sąd i Urząd podatkowy. (Obrazek tego drugiego pomieszczenia sądu pomieszczony jest na poprzedniej stronie.) Niebawem jednak i ten drugi budynek okazał się nieodpowiednim. Rząd austryjacki przystąpił do budowy własnego gmachu na Sąd i na tyłowej Tłoce tuż obok „Katabani" powstał około r. 1905–8 piętrowy budynek (uwidoczniony na obrazku powyżej). Było to już trzecie pomieszczenie sądu w Kopyczyńcach. Po powstaniu Polski od r. 1918 w tymże budynku mieściło się także Starostwo z Husiatyna tu przeniesione.

Oba pierwsze pomieszczenia sądowe, tj. dom parterowy obok więzienia i drugi murowany budynek na Tłoce przeszły z czasem na własność prywatną. Ten ostatni budynek kupił „Sokół" polski i dobudował na nim piętro.

Wspomniałem, że budynki sądowe pobudowano na Tłoce. Tłoką nazywano dziś pusty plac, porosły murawą. Miała ona swoje różne czasy i przejścia i o tem pokrótce opowiem. Od niepamiętnych czasów stanowiła ona pastwisko za miasteczkiem, na którem mieszkańcy Kopyczyniec paśli bydło i gęsi, a Tłoka ta była niegdyś o wiele większa i sięgała nierazwodnie aż do miejsca, gdzie dziś jest Kaplica św. Jana. Po podziale Kopyczyniec na mocy ugody z r. 1722 pomiędzy hetmana Sieniawskiego a podczaszego Józefa Baworowskiego, była ta Tłoka wspólną własnością obu współwłaścicieli, gdy zaś część hetmana kupił później starosta Ludwik Kalinowski, porozumiał się ~~z Kalinowskim~~ z Baworowskim i pośród spólnej Tłoki pobudował kościół dzisiejszy, reszta zaś Tłoki była dalej pastwiskiem. Gdy później Baworowscy z czasem wykupili część Kalinowskich

i stali się nieograniczonymi właścicielami Kopyczyniec, dysponowali tym gruntem, jak chcieli. Pamiętam w Kopyczyńcach lata 1877 do 1884.



W tymto czasie pomiędzy kościołem względnie pomiędzy łacińskiem probostwem a pierwszym z ~~krają~~ domem miejskim tj. zajazdem Jukima, ten pusty plac zwany powszechnie tłoką był zupełnie niezabudowany. Kto stał na gościńcu jabłonowskim i patrzył ku zachodowi, miał przed sobą równą płaszczyznę, aż w oddali majaczył się parkan grunta probostwa po prawej (północnej) stronie, a domy mieszczańskie po lewej stronie, a to pierwszy był dom pobożnej mieszczanki Wojciechowskiej, drugi wdowy Turczaniewiczowej (~~która~~ miała znanego na całe miasto synka Hilarka, nie tęgiego na umyśle). Dalej po lewej ręce ciągnęły się domy żydowskie. Na Tłoce zwykle pasły się gęsi izraelskie i świnie mieszczańskie, czasami stały tu postojem całe tabory

wozów, wiozących podolskie zboże na kolej do Tarnopola, czasem stada opasowych wołów tu odpoczywały w przechodzie do kolei w Tarnopolu, czasem cyrk jakiś rozbił tu swoje namioty, albo cygańska drużyna zajechała kilku wozami i rozpostarła swe płachty brudne a kradzionem płótnem łatane. Ale najczęściej pusto tu było i cicho, chyba jakiś pogrzeb się przesunął ku cmentarzowi pod lasem lub przemknął się bosy chłopak mieszczański, zawracając rozpierzchłe prosięta lub zaganiając gęsi w gromadę.
W kącie tej tłoki, niedaleko domów żydowskich było duże, owalne zagłębienie na jakie 3 do 4 metry poniżej płaszczyzny ziemi, byłato znana wszystkim kałuża zwana „katabanią", tj. niejako jeziorko o brudnej niezmiernie wodzie, po której pływały gęsi i kaczki, a było ono wylęgarnią kilkutysiącznej rzeszy żab. Podczas ciepłych wieczorów letnich grzechotały żaby hałaśliwie, a od niedalekiego dużego stawu Kopyczynieckiego odpowiadały im niezliczone masy takichsamych głosów żabich. Woda z katabani była zupełnie nieużyteczna a podczas przeciągłych skwarów nawet niekiedy zupełnie wysychała. Jak powstało to zagłębienie, nikt nie umiał powiedzieć, zdaje się jednak byłoto dawne glinisko, skąd glinę wybrano na budowę sąsiednich licznych domów żydowskich. Najnowszy rządowy budynek sądowy zbudowano mniejwięcej na miejscu dawnej katabani. Na obrazku tego budynku (na poprzedniej kartce) widać jeszcze resztki zasypanej katabani, na prawo tuż obok parkanu domostwa mieszczańskiego.

Na całej przestrzeni tłoki nie rosło żadne drzewo, tylko jedna jedyna stara lipa, mocno pogruchotana, częściowo uschła, ledwie wegetowała nędznie na krańcu koło gościńca, nieopodal zajazdu Jukima. Niemy świadek dawnych czasów dogorywał już prawie i słaby cień dawał. Ale przecież i ten mały cień stanowił często zachętę dla pieszych podróżnych do wypoczynku. Na tejże tłoce stała do czasu około r. 1830 duża oberża, zwana powszechnie austerją. Trudno dziś stwierdzić, kiedy ta austerja powstała. Możliwie zbudowano ją równocześnie ze zaczęciem stawiania nowego kościoła, aby ludzie zamiejscowi, pracujący tam, mieli tymczasowy nocleg i wikt. Do pewnego stopnia przypuszczenie to znajduje podstawę w akcie ugody Baworowskiego z Kalinowskim z r. 1762, gdzie powiedziano, że Kalinowskiemu wolno będzie „w której chałupie bliżej nowej fabryki kościelnej kazać dla samych tylko kościelnych rzemieślników i pomocników szynk prowadzić, który szynk ma zaraz skończyć się i ustać, jak się fabryka skończy i nabożeństwo do nowego kościoła wprowadzone będzie." Nim jednak kościół budować skończono, umarł Kalinowski, a szynku nie tylko nie zniesiono, lecz go jeszcze rozszerzono, bo okazał się równie dobrze potrzebny dla licznie zjeżdżających do parafji z 23 wiosek parafjan. Na dołączonym do tych zapisków szkicu Kopyczyniec z r. 1824 widzimy dokładnie ową austerję, jako duży budynek, zdaje się murowany, tuż przy gościńcu, położony bliżej ogrodu proboszcza, niż domów miejskich.

Długość całej austerji wynosiła 34 metrów, szerokość 17 metrów. Tradycja nam przekazała, że austerja była własnością dworską, dzierżawioną żydom a stanowiła bardzo ważny dla miasta punkt ruchu miejscowych i przyjezdnych. Zawsze w niej było gwarno, rojno, wesoło, austerja była miejscem zebrań, poczęstunków, zjazdów, traktamentów i pogawędek ludzi wszystkich stanów, zawodów i wieku. Była to szynkownia, restauracja, kasyno, hotel, zajazd, sala zebrań i wszystko, co kto chce. Tu zajeżdżały podróżne powozy, fiakry, wozy, bryki, tu czekało się na okazję do podróży, tu się każdy dowiadywał światowych wiadomości, tu werbowano do wojska, tu zjeżdżały różne komisje, a nadewszystko każdy tu wedle swego stanu, wieku i zawodu jadł, pił i puszczał pieniądze (liczono wtedy na „mangiery"). Jaki był koniec tej austerji, nie mogłem się niczego pewniejszego dowiedzieć. Prawdopodobnie około lat 1830–1840 zgorzała. Za moich czasów najmniejszego z niej nie było śladu, murawa na tem miejscu porosła, a równy grunt nie zdradzał dawnego dużego, zasobnego budynku. Znikły nawet potężne jasiony i klony, które niegdyś miały tę austerję otaczać, a właśnie owa dogorywająca lipa była jeszcze pozostałością dawnej kępy bujnych drzew.

Dopiero około r. 1863 kiedy na tem pustem miejscu zamierzał ks. proboszcz Białkowski postawić kolumnę św. Rocha i poczęto kopać pod figurę fundamenty, natrafiono na pomiszczone, lecz częściowo zachowane piwnice dawnej austerji, które

utrudniały budowę fundamentów, dlatego je zasypano a kolumnę zbudowano na dzisiejszem miejscu po drugiej stronie kościoła, na mniejszej Błoce.

Owe tajemnicze fundamenty na dużej Błoce dworskiej jeszcze po raz drugi ujrzały światło dzienne około roku 1890. Oto wtedy postanowiono na tem miejscu wznieść budynek murowany na pomieszczenie sądu. Zwieziono wiele cegieł i ustawiono w stosy. Wtedy pod ich ciężarem zapadła się murawa na Błoce i załamały się podziemne sklepienia piwnic. Było ~~wtedy~~ wtedy zbiegowisko ludzkie i zaglądanie, czy niema tam czegoś ciekawego, ale prócz wszystkich sklepień niczego innego nie natrafiono. Stanął więc na miejscu dawnej austerji budynek sądu, później zaś, po zbudowaniu rządowego budynku, ów budynek powstały na gruzach staroświeckiej austerji przeszedł w posiadanie towarzystwa gimnastycznego „Sokół", który tam aż do obecnych czasów (r. 1928) pozostaje.

*

W parze ze sądownictwem szedł notarjat i adwokatura. Za moich czasów nie było żadnego adwokata w Kopyczyńcach. Byli tylko domorośli doradcy katolicy lub żydzi, ci doradzali jak przed Sądem praw dochodzić i pognębić przeciwnika i w miarę zapłaty pisali dłuższe lub krótsze, ostrzejsze lub łagodniejsze pisma do sądu i do innych władz. Notarjuszem był podówczas Polański, obrządku greckiego,

jednak polak, mieszkał w domu dawniej Staneckiego, później Poleszczuków, niedaleko rogatki jabłonowskiej. Był to człowiek zdolny, pracowity, z wejrzenia wcale niepokaźny. Chodził prawie zawsze w długim czarnym surducie i w czarnym, miękkim, filcowym kapeluszu. Niemal codziennie widziało się notarjusza Polańskiego, jak z mniejszą lub większą grupką chłopów szedł ścieżką koło gościńca od strony rogatki jabłonowskiej popod kolumnę św. Rocha i kościół do sądu i tąsamą drogą powracał w temsamem towarzystwie. Po czynnościach urzędowych lubiał pójść do miasta i ze znajomymi posiedzieć przy szklaneczce piwa lub miodu i pogawędzić. Często tak siadywał z dyrektorem szkoły Szarskiem. Miał jakieś nieprzyjemności służbowe, o jakie zresztą nietrudno na tak odpowiedzialnem stanowisku, dlatego jakiś czas był suspendowany, ale wnet przyszedł z powrotem do urzędu i znaczenia, jak mówiono w Kopyczyńcach powszechnie zdolną obroną zmazał swoje przewinienia, przyczem głowacze kopyczynieccy poufnie mawiali: niepokaźny ten nasz notarjusz Polański, to prawda, ale co głowa, to głowa!

pił dobrze

*

Starą już wówczas instytucją była poczta w Kopyczyńcach. Jak odbywał się ruch listowy w tych stronach za czasów polskich przedrozbiorowych, nikt nie wie

dokładnie, ale domyśleć się łatwo. Prawie nie istniał, bo szlachcic do szlachcica posyłał kozaka na koniu z pismem, a zresztą tylko ksiądz proboszcz pisywał do sąsiada zaproszenie na odpust lub do dziedzica o zaległą dziesięcinę. Wtedy pisma nosił dziadek kościelny lub kandydat na organistę. Taksamo szła kurenda od dziekana lub inne wiadomości. Pocztę w tych stronach wprowadziła dopiero zaborcza Austrja. Jak najdalsze wiadomości stwierdzają, to w latach 1786 – 1850 poczta do Kopyczyniec przychodziła przez Tarnopol i Chorostków. W Chorostkowie w r. 1823 był poczmistrzem Jerzy Fiedler, w Kopyczyńcach zaś dopiero od r. 1851 był prawidłowy Urząd pocztowy, a jego poczmistrzem był Wincenty Fiederer, widocznie z tejsamej pocztowej rodziny pochodzący, jaka urzędowała w Chorostkowie. Onto był poczmistrzem przez cały czas mojego pobytu w Kopyczyńcach. Poczta była w jego własnym domu przy ulicy Czortkowskiej, niemal na końcu miasta po prawej ręce, idąc ku Czortkowu. Byłato duża piękna realność, dom mieszkalny a zarazem urzędowy obszerny, z gankiem na słupkach, podmurowany, obok duże podwórze ze stajniami dla koni pocztowych, od strony miasta zaś ciągnął się rozległy ogród owocowy. Wyglądała ta realność na jakiś dawny folwareczek zamożny. Fiederer nieduży człowieczek siedział wiecznie w biurze pocztowem, nikt go nigdzie

nie widywał, ciągle był zajęty swoimi obowiązkami. Często odwiedzał go wikary ks. Kubaszek. Miał liczną rodzinę i pamiętam jak umarł mu syn (około r. 1882), co ciężko odczuli rodzice. Pogrzeb odbył się późnym wieczorem przy licznem oświetleniu, tak iż pochód z kościoła przez Stokę na cmentarz pod lasem wyglądał jakby starożytny pochód w katakombach.

Początkowo Urząd telegraficzny był oddzielony od poczty, a mieścił się w ulicy za opisaną poprzednio Katabanią. Ostatnim telegrafistą był Dobrowolski. Około r. 1883 telegraf połączono z pocztą, Fiederer przyjął młodego telegrafistę i jeden pokój ze swego pomieszkania odstąpił na telegraf, Dobrowolski zaś otrzymał jakieś inne miejsce i z Kopyczyniec się wyprowadził.

*

Kopyczyńce miały aptekę dobrze prosperującą. Aptekarz Znamirowski to był istny alchemik średniowieczny. Czupryna bujna, broda na pół siwa, rozwiana, strój niedbały, miał w sobie dużo ekscentryczności; pracował w aptece od dnia do nocy, bardzo rzadko go się na ulicy widziało. Był człowiekiem zacnym i spokojnym. Apteka była w domu niby piętrowym przy ulicy czortkowskiej, który o tyle był oryginalnym, że ciągnący się przed domem gościniec czortkowski zbudowany był na kilkumetrowym nasypie i z tego nasypu był mostek, prowadzący wprost do apteki na piętrze. Sam aptekarz mieszkał jednak przy rogatce jabłonowskiej. Aptekę

wydzierżawił później Rederowi. Obecnie (1928) ma ją córka Znamirowskiego.

*

O lekarzach niejedno dałoby się napisać. Był w Kopyczyńcach tzw. chirurg Siebner, tj. lekarz praktyczny, jakich w Austrji w latach 1840 do 1860 było dużo. Byli to ludzie, mający część gimnazjum ukończonego, potem kończyli dwuletni praktyczny kurs głównych nauk lekarskich we Lwowie i wskutek wielkiego braku doktorów medycyny, oni rozproszeni po całym kraju naród leczyli i wzywani byli przez sądy do sekcji zwłok. Takim był właśnie Siebner. Przybywszy do Kopyczyniec ożenił się z córką cyrulika Mesity. Żydowin Mesita mieszkał przy ulicy husiatyńskiej, strzygł i golił, ale więcej miał pociągu do sztuki lekarskiej niż do golarskiej. Stawiał bańki, puszczał krew, kładł pijawki, radził chętnie jak umiał każdemu w chorobie i dolegliwościach. Kiedy jednak dostał zięcia lekarza, pozabierał od niego książki lekarskie, wczytywał się w nie ze zamiłowaniem i niebawem począł na cierpienia ludzkie patrzeć innem okiem. Teraz rozumiał istotę choroby rozpoznawał jej przebieg i począł leczyć umiejętnie. Mesita porzucił golarstwo, ujął w ręce termometr i stał się lekarzem amatorem. Od dawna

[bardzo uzdolniony na lekarza – „medicus natus"]

miał zaufanie ludności, obecnie i do jego domu chorzy częściej się schodzili i do swych domów zapraszali go do łoża boleści. Pamiętam dobrze, jak wysoki, barczysty Mesita, o rumianem zdrowem obliczu, dużej rudo-szpakowatej zaokrąglonej brodzie, w długim chałacie, zarzuciwszy na plecy nieodłączny ciemno bronzowy pled, chodził po domach i leczył. Leczył i mnie, gdy byłem chory na szkarlatynę. Wiem, że zalecał djetę i dał jakąś gorzką wodę do płukania gardła. Płaciło mu się za konsultację 20 centów (tj. tyle, ile wynosiło poczwórne porto zwykłego listu, albo całodzienne wynagrodzenie dorosłego robotnika rolnego). Taki stan obsługi lekarskiej trwał lat kilkanaście. Ale sprowadził się do Kopyczyniec prawdziwy lekarz dr. Nilson, i ten zareagował na mięszanie się Mesity do nieswoich rzeczy. Poszły skargi do sądu na cyrulika Kopyczynieckiego, że bezprawnie zajmuje się praktyką lekarską. W Kopyczyńcach był Mesita powszechnie lubiany i popularny, proces karny wygrał, gdyż został od zarzutu partactwa lekarskiego uwolniony. Poszło jednak zażalenie od tego wyroku do Tarnopola. Tam wyrok uwalniający uchylono i przekazano sprawę innemu, obcemu sądowi, bo w Trembowli. ~~Tam~~ Na terenie, gdzie Mesity nie znano sprawa poszła gorzej. Sędzia Werbowy w Trembowli zasądził Mesitę na kilkutygodniowy areszt. Nie pomogły dalsze odwołania, Mesita musiał odsiedzieć karę w Trembowli. Tymczasem stała się rzecz nieoczekiwana. Ciężko

zachorowała na zapalenie płuc żona jednego z urzędników sądowych. Przywołani lekarze trembowelscy nie czynili nadziei wyjścia, oczekiwać więc należało bliskiego końca biednej kobiety. Zrozpaczony mąż udał się do sędziego, by pozwolił Mesicie pójść ~~do aut~~ z aresztu zbadać chorobę żony i możliwie zaradzić. Ówczesne prawo zabraniało przerywania kary, sędzia więc odmówił. Wtedy urzędnik wszedł w tajne porozumienie z dozorcą aresztu, wyprowadził wśród ciemnej nocy Mesitę na godzinę z więzienia, Mesita zbadał stan zdrowia chorej i — jak głoszono — poradził tak skutecznie, że kobieta wyzdrowiała. Tajemnica nie zdołała się utrzymać, a choć Mesita karę aresztu odcierpiał, sława jego wprost wyolbrzymiała. Nie chcąc jednak wchodzić w kolizję z prawem, Mesita bądź przestał leczyć, bądź czynił to ukradkiem i tylko na prośbę bliskich i zaufanych znajomych.



Obrazek obok jest cennym unikatem z r. 1908 przedstawiającym ulicę husiatyńską przed wojną światową. Ulica ta stanowiła odnogę od gościńca czortkowskiego i ciągnęła się ku stawu i cerkwi. To jest górna jej część, niemal początek. Obecnie (r. 1931) ani śladu nie pozostało z dawniejszych budowli, które jeszcze są widoczne na tym obrazku i charakteryzują, jak wyglądało śródmieście kopyczynieckie. Widać na lewo domy ze słupkami i otwartemi werandami. Na prawo 5ty dom o wyniosłym gontowym dachu to dom słynnego Mesity.

W tychto właśnie czasach osiadł w Kopyczyńcach drugi rzeczywisty lekarz, rodowity Kopyczyńczanin. Był w Kopyczyńcach drobnym rolnym dzierżawcą żydowin Gang, człowiek spokojny, pracowity, prawy. Syna swego posyłał do gimnazjum, co wówczas było rzadkością. Syn uczył się dobrze, po maturze poświęcił się medycynie, a po uzyskaniu doktoratu osiadł około r. 1880 przy ojcu w Kopyczyńcach i praktykował. Mieszkali w domu Polerczaków niedaleko rogatki jabłonowskiej (dom dawniej Staneckiego, gdzie także mieszkał notarjusz Polański). Pamiętam młodego Ganga dobrze, szczupły, brunet, czarno ubrany, zdążał zawsze energicznie, wielkiemi krokami środkiem drogi poprzy kolumnę św. Rocha do miasta do chorych. Znany był z tego, że chodził zawsze z parasolem, który mu czynił także usługi laski. Po kilku latach praktyki jednak, nabawiwszy się tyfusu od chorego, sam około r. 1882 uległ tej chorobie. Z całego miasta żydzi wylegli na drogę jabłonowską na pogrzeb. Żydowski pogrzeb zawsze był smutny, ten jednak smutniejszy był jeszcze od innych. Powszechnie żałowano za doktorem Gangiem. Najcięższej odczuł stratę stary ojciec, którego życie odtąd było złamane. Dzierżawa niosła coraz mniej, a niedostatek zagościł do jego domu na podeszłe lata.

Nie zawsze jednak chorzy w Kopyczyńcach używali pomocy lekarza lub choćby owego sławnego Mesity. Była jeszcze silna wiara w leczenie sposobem średniowiecznym,

tudzież wierzono w zabobon lania wosku i przemawiania. Żyła w Kopyczyńcach w okolicy cerkwi parafialnej kobieta Kseńka. Lat miała około 40, niezbyt wysoka, przysadkowata, okrągława, dobrze odżywiona, wcale miłej powierzchowności, roztropna i stateczna osoba. Nosiła się dostatnio, ale po chłopsku, gdyż do tego stanu należała. Ona to posiadała ową tajemniczą znajomość wylewania wosku. Gdy kto w domu był chory i nie było wiadomem, jak temu zaradzić, by choroby się pozbyć, względnie by się dowiedzieć o dalszym losie chorego i gdy tylko w odnośnym domu hołdowano zasadzie: cóż ci doktorzy wiedzą! gdyby naprawdę umieli leczyć, samiby nie umierali — wtedy dla pewności ~~[illegible]~~ wzywało się Ksenkę, aby wosk wylała. Kseńka przychodziła wieczorem, oglądała chorego i dowiadywała się najpierw od posłańca a następnie od samej rodziny, co mu jest, jak długo choruje, co mu się we śnie objawia itp. Paliło się wtedy w piecu wielki ogień, a gdy węgle były już rozżarzone, Kseńka brała największą w domu misę, napełniała ją zimną wodą i kładła to na ławie, poczem w jakim czerpie topiła na węglach wosk i płyn wylewała na wodę w misie, przemawiając przytem. Treść tej przemowy była taka, że życzyła chorobie, by szła na oczerety, na sine jeziora, na lasy zapadłe, jary, pustkowia itd. Przemawianie kończyło się po chrześcijańsku krótką modlitwą: Bohorodycy Diwo. Wosk wylany na wodę układał się przypadkiem w fantastycznie pogięte formy. Gdy

ostygł, wyjmowała go Kseńka z wody i zaczynało się wróżenie z owych popałdowanych form. Domownicy ze zapartym oddechem wpatrywali się to we fałdy wosku, to w oblicze wróżki. Ta badawczym wzrokiem przebiegała po woskowym zwitku fałdów i rysów, śledziła je, kombinowała, szukała w ich formach wyroczni, wreszcie padało z jej ust owo tajemnicze orzeczenie o losach chorego. Najczęściej było ono korzystne, chory krzepił się na duchu, poweselał, nabierał otuchy, znikała depresja, jednem słowem suggestja święciła tryumf. Późno wieczorem i ~~ona~~ Kseńka zadowolona wracała do domu, niosąc pod pachą niezgorszy połeć słoniny, białą pszenną mąkę we woreczku a białą srebrną monetę w garści.

Przygodnem i swoistem leczeniem zajmowała się zresztą nietylko Kseńka. Była jakaś kobieta, która spalała różę a był także i domorosły chirurg, mieszczanin Kozłowski. Młody mężczyzna, lat może 40, z płowym wąsem, miły w obejściu, jowijalny, chętnie szedł na ratunek, gdy chodziło o złamanie lub zwichnięcie czyto ręki, czy nogi. Na złamanie składał jak mógł uszkodzone odnóże, biorąc je w deseczki, na zwichnięcie zas stosował „naciąganie". Przykry to był zabieg, Kozłowski ciągnął a ciągnął rękę czy nogę, aż dech w piersiach zapierał, a chory krzyczał z bólu w niebogłosy. Gdy ostatecznie się to skończyło, pacjent znękany bólem wodził wzrokiem na wpół obłąkanym po ścianach i z ulgą ciężko oddechał, a Kozłowski siadał do poczęstunku.

Posyłało się do Anczla w rynku po wódkę. Anczel doświadczony żydowin z długą, rudawą, siwiejącą brodą, brał zatkaną kukurudzianym kaczanem flaszeczkę w rękę i wpatrywał się w nią, jakby chciał poznać od kogo pochodzi — wszak nie tylko znał wszystkich do jednego w Kopyczyńcach, ale wiedział nawet do jakiej flaszeczki i jaką każdy wódkę bądź arak kupuje. Jednakże, by naocznia taka nigdy nie zawodziła, dla pewności pytał nadto posłańca, od kogo to! Na otrzymaną odpowiedź kiwał głową na znak, że już wie jakiej dać wódki, znał bowiem gusty doskonale, a właściwie stosował proporcjonalną a prostą zasadę: im kto większą w mieście piastuje godność, tem silniejszą mu się wódkę sprzedaje. Miły Boże — któż w Kopyczyńcach był bez godności! Potrzeba było ciągle dawać mocnej okowity, czyli, jak się mówiło, takiej, że od niej „oko bieleje." Dość, że Kozłowski zasiadał do poczęstunku, pił wcale pokaźny kieliszeczek, krajał porządną kromkę chleba, ciął na plastry wędzoną słoninę, maczał ją w soli i jadł opowiadając o swoich sukcesach leczniczych, o podróżach na wieś do chorych, o podziękowaniach i uznaniach — nalewało mu się drugi kieliszeczek, znów krajał biały, gruby plaster słoniny, jadł a jadł, bo się przecież srodze strudził, znów pił, znowu jadł, znowu gadał a gadał. Im zaś po dalszym był kieliszku, tem o większych swoich tryumfach opowiadał, aż się wreszcie dno flaszeczki pokazało. Wtedy żegnał pacjenta obiecując,

że za dwa tygodnie będzie tańczył na weselu (o ile chodziło o naciągniętą nogę) lub że będzie z łatwością drzewo rąbać (o ile chodziło o naciągniętą rękę). Zapłaty zręgnty nie brał w mieście, bo to co czynił uważał za towarzyską przysługę. Brał ją natomiast po wioskach, zwłaszcza od zamożniejszych gospodarzy. Był Kozłowski lubiany i wobec braku szpitala i innej pomocy, jak umiał zapobiegał często skutecznie kalectwu. W każdym razie był jednostką pożyteczną.

Zęby rwał cyrulik, jego także wzywano często do stawiania baniek i do kładzenia pijawek. O tych zabiegach tylko słyszałem, lecz operacji tych nie widziałem naocznie.

Jak wspomniałem, wiele w Kopyczyńcach przy leczeniu znaczył jeszcze przesąd a wiele także i tradycja. I tak np. reumatyzm leczyło się ogrzewaniem miejsc chorych przez morskie świnki. Tu i ówdzie po domach trzymano te miłe zwierzątka. Otóż, gdy komu dolegał reumatyzm lub podagra, a nie pomagało smarowanie spirytusem, wtedy pożyczało się od kogoś morską świnkę i na noc układało się to zwierzątko koło chorej nogi wierząc, że reumatyzm z człowieka przejdzie na to biedne stworzenie. Tyle chyba w tem było ulgi, że przez ogrzanie bolejącego miejsca chory doznawał chwilowej ulgi.

Oryginalnem leczeniem w Kopyczyńcach było wypalanie pryszcza. Pamiętam wypadek u służącej

mojego dziadka, zażywnej kobiety chłopskiej z Jabłonowa. Pewnego dnia, gdy rano wstała, zaniepokoiło ją, że ma pryszcz pod językiem. Nawinęła się kobieta zwana Okopna (o której osobno poniżej będę jeszcze pisał), oglądnęła pryszcz i zawyrokowała tajemniczo: biały pryszcz, bardzo niebezpieczny, trzeba go jak najprędzej wypalić, bo inaczej rzuci się „dzikie mięso". Poszły więc obie z domu do kogoś, który trudnił się operacją wypalania pryszczów. Po jakiej godzinie wróciła sługa zadowolona i opowiadała, że odnośny wypalacz rozgrzał żelazny drut do czerwoności, podniósł język i tym drutem biały pryszcz wypalił. Zapłaciła za to cztery centy. Jako mały chłopak chciwie uchem łowiłem całą tę historję i odetchnąłem swobodnie, że już w domu nie będziemy mieli kobiety z dzikiem mięsem.

Także oryginalnym sposobem leczono w Kopyczyńcach liszaje. Oto smarowano zapalne miejsce mazią, jaka się wytwarza w cybuchu fajki lub cygarniczy przy przesączaniu się dymu tytoniowego. Maź ta cuchnąca a niemiła, piekła niemiłosiernie i biednego pacjenta doprowadzała do rozpaczy. Operację taką powtarzało się kilka razy w ciągu 3–4 dni, z jakim jednak skutkiem, nie umiem powiedzieć.

Zresztą radził sobie każdy jak mógł na wszystkie choroby wewnętrzne herbatą z arakiem, na zewnętrzne spirytusem kamforowym. Czegoż się

tym spirytusem się leczyło! Komu twarz spuchła z bólu zębów, smarował ją spirytusem kamforowym, komu reumatyzm dolegał, czynił tosamo, kto miał postrzał w krzyżach, nacierał mu przywołany sąsiad krzyże pełną szklankę spirytusu kamforowego. Gdy osa ukąsiła lub sińca kto sobie nabił lub obrzęk zauważył, biegł wprost do apteki po spirytus kamforowy, generalny i genjalny środek leczniczy na wszystkie zewnętrzne boleści. Aptekarz Znamirowski konewkami ten artykuł sprzedawał. A gdy kilka i kilkanaście osób ze zacnych mieszczan się zeszło, czuć było silnie przynajmniej od jednego kamforę. Byłoto – rzekłbym – jakaś oznaka dobrego tonu, tak jak na przykład dziś miły zapach wody kolońskiej. Ale na miejscu świat nie stoi, wszystko idzie z postępem. Docierał ten postęp i do Kopyczyniec. Około roku 1880 pojawił się nowy generalny środek leczniczy i to tak na choroby zewnętrzne, jak zarówno na choroby wewnętrzne, a był nim cudowny „Expeller." W pudełeczku tekturowem o ładnym popielatym ornamencie była płaska flaszeczka, zatkana gumowym czopkiem. Obok niej leżała broszurka wyjaśniająca cudowne wprost skutki używania Expelleru na wszystkie możliwe do pomyślenia choroby. Rwali się ludzie do kupna tego opatrznościowego środka, ale że był dość drogi, na razie był przystępny przeważnie tylko bogatszym i tylko w ciężkich chorobach nim się nacierali, pili go i czytali pilnie broszurkę o jego cudownych skutkach. Zdaje się, że najwięcej chyba ta lektura była pomocna.

Zawsze jednak spirytus kamforowy nie przestawał być obok Expelleru ulubionym środkiem leczniczym na cierpienia ludności Kopyczynieckiej.

A jeszcze także inne leczenie w Kopyczyńcach utkwiło mi żywo w pamięci. Było to przywracanie równowagi psychicznej, czyli — jak się wówczas mówiło — spędzanie uroków. Komu się niedobrze zrobiło, albo gdy kto nagle zbladł, albo gdy kto uczuł bez widocznej przyczyny nagły ból głowy, nazywało się, że ktoś go urzekł. Cyganka szła popod dom, rzuciła wzrokiem na tego lub owego, oho, już go urzekła! Gadatliwa sąsiadka przyszła i w miłej rozmowie rzuciła znaczącem okiem na kogoś z domowników, już go urzekła! Ktoś przyszedł, spoglądnął na ładne dziecko (a któreż dziecko w Kopyczyńcach nie było ładne) już je urzekł! Bywalcy w świecie i nie bici w ciemnię umieli odrazu sparaliżować taki zły wzrok. Potrzeba było w stosownym momencie lekko splunąć na gołą ziemię i powiedzieć: na psa uroki! W takim razie urok nie imał się człowieka, lecz psa. Biada, kto tego nie zrobił, zaraz się rozchorował na uroki. Ale jeszcze i w tym wypadku takiego lekkomyślnego zaniedbania, obywatel Kopyczyniecki mógł znaleść deskę ratunku, było jeszcze szczęście w nieszczęściu. Oto można było spędzić uroki w sposób następujący. O ile nie było gotowego ognia na przypiecku, kładło się suchy chrust, rozpalało czym prędzej i dążyło do najszybszego uzyskania

żarzących węgli. Do kubka lub do szklanki nabierało się wody zimnej i do niej wrzucało się kilka np. 5 do 8 żarzących się węgli. Jeżeli choć jeden węgiel poszedł na spód, (a zwykle tak bywało) był to nieomylny znak, że chorego ktoś urzekł. Wtedy spędzało się uroki, a polegało to na tem, że ceremonjant (zawsze kobieta) odmawiał jedno Zdrowaś Marja, dawał napić się choremu węglowej wody z kubka, nacierał go nią w okolicy dołka na piersiach, a resztę wody wylewał na drewniany zawias drzwi. Jeżeli w domu były już same modne zawiasy żelazne, musiał iść do stodoły lub do wrót, byleby koniecznie wylać wodę na drewniany a nie inny zawias. Na tem się ceremonja kończyła, chory oczywiście pod wpływem napicia się zimnej wody stawał się zdrowszy, uroki ulatywały a pogoda ducha wracała w progi domowe. Czasami nie było w domu nikogo, ktoby umiał uroki spędzać (a chorobę tę miano za dokuczliwą, jakby opętanie przez złego ducha), wtedy posyłało się np. chłopaka, by zawołał doświadczoną Okopną. Chłopak gnał jak jeleń spłoszony krętemi ścieżynami na stary, nieczynny już cmentarz żydowski tuż za szkołą. Tam mieszkał Stach, młody, duży, ospą poszpecony cieśla, żonaty a bezdzietny, pijanica i awanturnik pierwszej klasy, wieloletni i wyćwiczony mistrz w robieniu trumien różnego rodzaju i okazałości (a w każdej wieko do dolnej części musiało być przymocowane osikowemi kołkami, wyraźnie osikowemi a nie innemi,

bo inaczej zmarły nie miałby spokoju w grobie). Otóż jegoto matka, zwana krótko Okopna, bo w domku grabarza na okopisku żydowskiem zamieszkała, dawna olejniczka a potem na łasce syna żyjąca i silnie przez niego od czasu do czasu kijem okładana, trwała zwolenniczka mocnej gorzałki lub rumu z herbatą, posiadała tę niespożytą moc duchową, że gładko pewnie a szybko spędzała uroki i na każde wezwanie biegła gasić węgle, ratując ludzi w mniemanem nieszczęściu. W gaszeniu węgli i łaniu wosku tkwiły jeszcze, zdaniem mojem, zabytki zwyczajów pogańskich.

Rany zewnętrzne i wrzody goiło się w sposób dwojaki, lżejsze moczyło się w serwatce, okładało listkami babki i zawiązywało ciasno czystą szmatką. Natomiast cięższe goiło się skrumem, a pod tą nazwą rozumiało się smalec zajęczy. Jakażto nieraz za nim bywała gonitwa, bo tylko we dworze i u leśniczych można go było po długich staraniach otrzymać! Ale na wrzody modny był także djachel. Kupowało go się w aptece w Laseczce na palec długiej a grubej jak ołówek, owiniętej w biały papierek. Szczypało się go kawałek, rozpłaszczało na szmatek i kładło na ranę. Były dwa gatunki djachlu, a mianowicie ciągnący tj. wyciągający na zewnątrz ropę z wrzodu, albo gojący tj. zabliźniający ranę. Z wyglądu były one zupełnie do siebie podobne. W każdym lepszym domu mieszczańskim w Kopyczyńcach znalazła się w szufladzie pomiędzy innem rupieciem nadszczuplona

nieco laseczka djachlu. Nieraz spory był kłopot, gdy sąsiad przystał pożyczyć tego ulubionego środka leczniczego a z biegiem czasu zapomniano się, czy to ciągnący, czy gojący. Dopiero zwoływano domowników i ci odgrzebywali w pamięci, kiedy się go kupiło i przy jakiej sposobności i w ten sposób pryskała obawa, by djachel zamiast sąsiadowi ropę ciągnąć z czyraka, nie zagoił go radykalnie i nie zmienił w twardy guz.

Tacy byli za moich czasów w Kopyczyńcach lekarze naukowi i domorośli, tak się leczyło wszelkie dolegliwości i urojenia, takich używało zabiegów leczniczych i takich stosowało czarów.

*

Na czele Kopyczyniec stał burmistrz, poprzednio wójtem zwany. Niegdyś, około lat 1815-1844 przez prawie 30 letni okres czasu był burmistrzem mój pradziad Maciej Krzyżanowski, zmarły dnia 24. lutego 1844. Jeszcze gdzieś na strychu starego domu Krzyżanowskich po kątach były szczątki szpargałów urzędowych po pradziadku i jakieś resztki starodawnych ubrań. Krzyżanowski pochodził prawdopodobnie z Buczacza. Mieszkał w domu nieomal naprzeciw kościoła (plan p. 28). Było to dom z gliny, słomą kryty o 4 ubikacjach, pochodzący z bardzo dawnych czasów. Obok domu były wygodne zabudowania gospodarcze

a dalej sad dobowowy i ogród warzywny, sięgający drugim frontem ku bocznej uliczce. W swoim czasie przed stu laty rojno było w tym domu, do burmistrza mieli liczni ludzie sprawy, drzwi się nie zamykały całymi dniami a i w nocy niejednokrotnie burmistrza wzywano do czynności w mieście. Dziś już nikt w Kopyczyńcach z pewnością nie wie, że Maciej Krzyżanowski do swej śmierci kilkadziesiąt lat miastem rządził — ba, nawet zatarł się ślad, gdzie jest położony jego grób na cmentarzu pod lasem. Sięgając jakie 150 lat wstecz, historja tego domu była następująca. Mieszkał w nim około r. 1750 zamożny rolnik Pers, mając za żonę Marcjannę. Pers nie pochodził prawdopodobnie z Kopyczyniec, bo na miejscu tych nazwisk nie było i nie ma, widocznie więc skądś przybył. Czy to był prawdziwy pers, przybyły z jaką drużyną kupiecką, czy tylko pochodził z rodziny niegdyś perskiej, dziś powiedzieć trudno. Jednak nazwiska miejscowe, jak Turczaniewicze, Wołoszynowie itp. wskazują na to, że osiedleli się ongiś w mieście naszem także cudzoziemcy, lub też mogli to być osadzani na roli jeńcy wojenni. Przy końcu XVII wieku, gdy po pokoju Karłowickim Turcy wycofywali się z naszych stron i oddawali je Polsce z powrotem, mogło wtedy także wielu cudzoziemców zostać, gdyż przez pobyt tutaj prawie przez lat trzydzieści (od upadku Kamieńca) zżyli się z Podolem, możliwie mieli tu już swoje rodziny i nie chcieli wracać na daleki wschód. Tak jeńcy jak i pozostali członkowie armii tureckiej szybko się zżywali z nową ojczyzną i zlewali

z miejscową ludnością. Persowie mieli jedyną córkę równego imienia jak matka, Marcjannę urodzoną w r. 1781. Pers umarł w Kopyczyńcach dnia 21. maja 1812, a około roku 1800 wyszła młoda Persówna zamąż za Macieja Krzyżanowskiego. Krzyżanowscy mieli czworo dzieci, a to trzech synów i jedną córkę. Marcjanna Krzyżanowska umarła ~~umarł~~ w trzy lata po ojcu tj. 29 stycznia 1815, matka przeżyła swą córkę o jakieś kilka lub kilkanaście lat. Wobec zasobnego gospodarstwa i kilkoro dzieci musiał Maciej Krzyżanowski żenić się ponownie. Miał wówczas lat 43 i ożenił się w lutym 1815 z młodą 18$\frac{to}{2}$ letnią szlachcianką z Chłopówki pod Chorostkowem Marcelą Jastrzębską córką Wojciecha. Marcjanna Persowa przepisała majątek na zięcia. Z tego drugiego małżeństwa miał Maciej Krzyżanowski dwoje dzieci: Agnieszkę zamężną Czarnecką i syna Piotra, oficjalistę, pełniącego swój zawód po różnych miejscowościach Podola (umarł w Ciężowie pod Stanisławowem około r. 1895). Po spłacie Piotra majątek przeszedł na Agnieszkę Czarnecką, żonę Wojciecha. Czarneccy mieli dwóch synów i trzy córki. Syn Jan zginął na wojnie pruskiej w r. 1866 (jest wypisany na obelisku pamiątkowym przed kościołem w Tarnopolu), drugi syn Franciszek był dyrektorem szkoły w Bursztynie (umarł w rodzinnem mieście Czarneckich w Krzywczu około r. 1920), córki wyszły zamąż: Marja za Teofila Szumskiego do Niżborga Nowego, druga

Michalina za Franciszka Ostrowskiego do Krogulca była moją matką, trzecia Karolina wyszła zamąż za Józefa Wysockiego w Kopyczyńcach i po podziałach i spłatach na tę najmłodszą córkę przeszła własność rodzinnej realności. W r. 1904 podupadł ogromnie staruszek dom po Persach pozostały, Wysocka postawiła na miejscu starego rozebranego domu inny, murowany dom nowy. Agnieszka Czarnecka umarła w r. 1896, mąż jej



Murowany dom wystawiony przez Wysockich na realności niegdyś Persów, potem Krzyżanowskich, potem Czarneckich. Przed domem stoi Karolina Wysocka, obok syn Franciszek Wysocki radca sądowy, dalej syn Leopold Wysocki.

Wojciech w rok po niej, owdowiała także córka Karolina, która obecnie prowadzi gospodarstwo na tejże realności

z najmłodszym synem Leopoldem.

Od Marceli Jastrzebskiej zam. Krzyżanowskiej która żyła lat 78 (1797 - 1875) dochowały się w rodzinie różne tradycje i opowiadania z dawnych czasów. Chłopówka była zaściankiem szlacheckim szlachty zagonowej, rdzennie polskiej. Na zapadłej podolskiej wsi, niemal każde dziecko polskie czytać i pisać umiało, bo jeszcze z polskich czasów zwyczajem było, że kilka rodzin brało nauczyciela i ten dzieci (prawie wyłącznie chłopców) uczył. Stąd wyrobił się nawet zawód nauczycieli domowych. Była więc szlachta, choć uboga, ale pełna swej godności. Od Marceli Krzyżanowskiej wiemy z opowiadania, jak i gdzie się kryli ludzie przed Tatarami i ona opowiadała, jakto szlachta kresowa, chłop w chłopa jak dęby szli do szeregów wojskowych, ile razy potrzeba było bronić Rzeczypospolitej. Rzewna była jej opowieść o starszej siostrze, której dwaj synowie poszli z Chłopówki w szeregi Konfederatów Barskich, zapewniając matkę, że po rozgromieniu Moskali zaraz powrócą do domu. Tęskniła biedna matka za synami, ale mijał rok po roku, a nie wracali. Minęło kilkanaście lat bezskutecznie, a tylko jeden Bóg wiedział, jaki ich los spotkał. Matka wyczekiwała ciągle ich nadejścia ze łzami w oczach a życie jej płynęło w tęsknocie. Na stare już lata kazała się wyprowadzać za wieś na wzgórek i wypatrywała gasnącemi źrenicami, czy synowie nie nadchodzą. Nie nadeszli dzielni

Konfederaci kresowi, staruszka zeszła do grobu i nie zobaczyła więcej swoich dzieci!

Za moich czasów gmina Kopyczyńce nie miała własnego budynku na Urząd gminny. Najmowało się jakiś dom na przedmieściu czortkowskiem i tam się rozkładał Urząd, a zwykła piwnica na kartofle pod domem, służyła jako tymczasowy areszt na włóczęgów, pijaków i awanturników. Burmistrzem był podczas moich lat szkolnych najpierw Sołtys, potem Turczaniewicz. Piękna to była i pamiętna postać tego Sołtysa. Mężczyzna okazały, rosły, twarz pełna, rumiana, golona, wąs gruby, potężny, siwiejący zwisał na dwie strony, mina pewna siebie, głowa w górę podniesiona, na głowie kapelusz filcowy miękki o dużych krysach a w ręku nigdy nieodstępna laska z rączką w półkole zgiętą, którą bądź dzierżył w prawicy, bądź zakładał wisząco na lewicę. Mieszkał za rogatką jabłonowską i niemal codziennie widziałem go idącego do kancelarji gminnej poprzed kolumną św. Rocha i poprzy nasze pomieszkanie. Zawsze zdejmował kapelusz przed św. Rochem, potem przed kościołem, a zwracając twarz w ich stronę, pobożnie się żegnał. Był żonaty, bezdzietny. Żona poważna kobieta, mową zdradzała mazur*skie pochodzenie, postać wyniosła, twarz pogodna i miła, miała w sobie i powagę burmistrzowej i urok więcej niż średniego wieku. Sołtysowie byli lubiani i Sołtys długo cieszył się swoim urzędem. Ale i w Kopyczyńcach nie wszystko było wieczne. Przyszła nowa rada

* Sołtys służył w wojsku austr. i z tej służby sprowadził z sobą do domu jakąś Czeszkę służącą na żonę.

miejska z młodszych elementów złożona, Sołtys przestał być burmistrzem. Zdaje mi się było to w r. 1883. Niebawem po złożeniu przez niego urzędu, widziałem pewnego dnia Sołtysa idącego z miasta ku domowi, niosącego pod pachą skórę na buty. Pochylił głowę, szedł zadumany i zatroskany, patrzył przed siebie w drogę, jakby szukał nowego sposobu życia. Mówiono, że po utracie burmistrzostwa zabrał się na nowo do dawnego szewskiego rzemiosła. Kilkanaście lat potem słyszałem, że Sołtys umarł, a żona jego dokonała żywota w przytułku dla starców obok kościoła. Rychło minęły ich lata zaszczytne, twarde życie nielitościwie się potem z nimi obeszło.

Spadek dostała dalsza rodzina, a żonę wypędzili z domu

Po nim został wybrany burmistrzem Tomasz Turczaniewicz, mieszkający przy ul. Husiatyńskiej, tuż nad stawem (po lewej ręce, idąc z miasta ku kolei). Mieszczanin młody, inteligentny, mowny, miły w obejściu, z rodu patrycjuszów kopyczynieckich. Średniego wzrostu, szczupły, twarz golona, nieco zapadła, z małym jasnym wąsem. Zaczęły się podówczas tarcia narodowe polsko-ruskie, bo ruski wikary Liczyński burzył pospólstwo ruskie i łamał na każdym kroku zgodliwe dotąd pożycie obu narodów. Tomasz Turczaniewicz był gorliwym obrońcą dawnej zgody narodowościowej, stąd był nieraz wystawiony na ataki. Był burmistrzem przez jedną lub dwie kadencje, a niemal do końca życia był starszym bratem w kościele.

(był obrz. gr.-katol.)

Umarł około r. 1898 na gruźlicę gardła. Żonę miał miłą a cichą kobietę, z domu Warszylewiczównę. Starszy syn burmistrza Michał był nauczycielem a potem inspektorem szkolnym w Zbarażu, młodszy syn Jan był moim szkolnym kolegą, oddał się przemysłowi i kupiectwu w Kopyczyńcach, piekarz jednak wojna światowa 1914-19 zniszczyła jego warsztat pracy, pracował więc potem jako urzędnik w miejscowej instytucji bankowej. W r. 1931 mianowany został komisarzem rządowym pełniącym obowiązki burmistrza w Kopyczyńcach i tego też roku bawił w Warszawie w delegacji, wysłanej do ministra spraw wewnętrznych z memorjałem o cofnięcie zamierzonego przez rząd zniesienia starostwa kopyczynieckiego.

*

W łączności z opowiadaniem o przedmiejszych osobistościach z Kopyczyniec, wspomnieć muszę o dwóch naszych ziomkach, których osoby żywo mi się zarysowały w pamięci. Pierwszy, o którym powiem, to pielgrzym ksiądz Jan Policki, drugim muzyk i darwinista Juljan Szpakowski.

W połowie wieku XIX prawie nikt z Kopyczyniec nie osiągnął wyższego wykształcenia. Toteż niejako dumą naszą było, że z kopyczynieckiej rzeszy mieszczańskiej wyszedł jeden ksiądz łacińskiego obrządku, ks. Policki. Szczerą radością witaliśmy zawsze wiadomość, że do Kopyczyniec, do swojej rodziny przyjechał nasz ziomek ks. Jan Policki, jeden z najbardziej pamiętnych ludzi, jakich wydało nasze miasteczko. Życie jego podobne było

do fantastycznej opowieści, barwne, romantyczne, tułacze. Szczycili się mieszczanie Kopyczynieccy swoim ziomkiem i szanowali go wielce. Zdołałem obecnie dowiedzieć się o przebiegu życia tego zacnego Kapłana i podaję to do wiadomości potomnych.

Od dawna osiadła w Kopyczyńcach mieszczańska rodzina Polickich. Skąd pochodziła, pewnem nie jest, prawdopodobnie była to drobna szlachta ze Sandomierszczyzny. Około roku 1800 żył w Kopyczyńcach mieszczanin Jan Policki, ożeniony z Heleną z Ottawów. Miał dom ładny z gankiem przy uliczce pomiędzy synagogą żydowską a domostwem Safianów (czyli od bożnicy na zachód). O zamożności jego niech świadczy to, że miał kilkanaście morgów gruntu podolskiego i garbarnię skór, był więc dostatek w domu, a Policki prowadził rozległy handel skórami po rocznych jarmarkach w okolicznych miastach, od sławnych Właszkowiec począwszy, a na stolicy naszego Podola Tarnopolu skończywszy. Niestety zmarł jednak w r. 1844 w sile wieku. Pozostawił trzech synów, a to Joachima, już żonatego i osiadłego na przedmieściu czortkowskiem (zw. Kątek), gdzie prowadził gospodarstwo rolne, drugiego syna Pawła, służącego podówczas we wojsku na Węgrzech, wreszcie Jana, ur. w r. 1832 (późniejszego księdza), który wtedy miał lat zaledwie dwanaście i ukończył niemiecką szkołę w Kopyczyńcach, bo innej wtedy nie było. Był uczniem bardzo dobrym i na jego ostatniem świadectwie widniały same noty sehr gut a dwie gut. W dwa lata po śmierci ojca powrócił

Paweł z wojska i jako wysłużony wachmistrz zaprowadził wojskowy rygor w rozluźnionem nieco gospodarstwie spadkowem. Najmłodszego brata chciał wciągnąć do pracy praktycznej, oddał go więc do terminu do pracowni szewskiej. Ale termin ten nie przypadł do smaku młodemu Jasiowi, nęcił go świat, zwłaszcza, że tak wiele opowiadał o nim przybyły z wojska ze stron dalekich brat starszy. W rozterce duchowej przy jakimś nieznacznym konflikcie ze swoim pryncypałem, rzucił Jasio Policki stołkiem, na którym kazano mu siedzieć przy profesji szewskiej, zebrał manatki i umknął z Kopyczyniec do sąsiedniego Czortkowa. Tam za poradą znajomego respicjenta straży skarbowej został przyjęty do tejże straży, mając lat około 16, bo było to około roku 1847–48. W tej służbie pozostawał lat kilkanaście, a to w Czortkowie, Husiatynie, Kopyczyńcach, Chorostkowie i Olszanicy koło Złoczowa. Byłby niezawodnie do końca życia w straży skarbowej pozostał, zwłaszcza że awansował na Oberaufsehera, gdyby nie słynny rok 1863, który skierował jego życie na nowe tory. Odezwało się w nadstrażniku skarbowym polskie serce, zapragnął wziąć udział w toczącej się ówczas walce o wolność narodu. Za poradą szlachty i obywateli, z którymi zapoznał się przy kontrolach gorzelń, zgłosił się chorym i poszedł do szpitala garnizonowego we Lwowie. Uczynił to dlatego, by się dostać do Lwowa i tu wejść w kontakt

z przywódcami ruchu powstańczego. Nocami wymykał się w cywilnem przybraniu ze szpitala i brał udział w naradach organizacyjnych, następnie zaś oddawał powstańcom tego rodzaju usługi, że ubierał się w mundur urzędowy, szedł na dworzec kolejowy, niby to w służbie, jako taki miał wszędzie dostęp i w tym charakterze urzędowym ułatwiał ruch osobowy powstańców koleją, względnie wyjazd zagranicę powstańcom śledzonym i poszukiwanym przez policję. Podczas takiej jednej nocnej wyprawy został Policki rozpoznany przez lekarza sztabowego, wskutek czego wydalono go zaraz ze szpitala a nadto doniesiono do Dyrekcji Skarbowej o symulacji choroby i o dziwnem zachowaniu się pod względem politycznym (politisch verdächtig). I znów udał się Policki o poradę do obywateli i stosownie do wskazówek podał się na emeryturę, za poparciem Baworowskich i Gołuchowskich otrzymał też pensję emerytalną 8 zł. 33 ct. wal. austr. miesięcznie, którą pobierał do końca życia. W roku 1890 podwyższono ją do 400 kor. rocznie. Ale policja poczęła pilnie śledzić każdy krok jego i zebrała dowody, że brał udział w organizacji powstańczej. Uciekł więc Policki z kraju do Konstantynopola, dokąd zresztą cała fala powstańców zmierzała.

Przybywszy do obcego miasta znalazł przecież szczęśliwie swego ziomka z Kopyczyniec, krawca Zabłockiego, który cieszył się powodzeniem, mając możnego odbiorcę, szył bowiem odzież dla sułtana. Policki osiadł

przy Zabłockim, a że wlazł między wrony, musiał krakać jak i one, więc zabrał się do nauki krawiectwa i wnet już pomagał Zabłockiemu, a siedząc w Konstantynopolu oczekiwał amnestji dla powstańców i możności powrotu do kraju. Będąc z natury człowiekiem zdolnym, nauczył się po turecku a przez stosunki Zabłockiego zapoznał się z głównym eunuchem sułtańskim, często z nim gawędził, eunuch wielce Polickiego polubił i skłaniał do porzucenia religji chrześcjańskiej a przejścia na mahomedanizm. Roztaczał mu przytem eunuch widoki na piękną przyszłość, gdyż za poparciem eunucha u sułtana otrzymałby niezawodnie wysokie stanowisko. Nie odrzucał Policki tej propozycji, jednak tylko pozornie, bo zależało mu wiele na względach opatrznościowego protektora. Doszło do tego, że eunuch w największej tajemnicy pokazał Polickiemu harem sułtański. W tymto czasie eunuch jechał do Mekki odwiedzić grób Mahomeda, zagadnął więc Polickiego, czyby z nim nie pojechał razem. Eunuch łączył tę podróż z nadzieją przyjęcia przez Polickiego wiary mahomedańskiej. Policki zgodził się na podróż, ale po drodze we formie żartobliwej począł podsuwać eunuchowi pomysł, by eunuch przyjął wiarę Chrystusa, czemu jednak eunuch stanowczo się oparł. Policki wyjawił znów swemu protektorowi plan zwiedzenia grobu Chrystusa a potem miał mu dać stanowczą odpowiedź, czy przyjmie wiarę Mahomeda. W Mekce pożegnali się a eunuch dał nawet nieco pieniędzy

Polickiemu na drogę do Jeruzolimy. Gdy tu przybył, chodził codziennie do grobu Chrystusowego, spędzając czas na modlitwie i tu powstała w duszy Polickiego myśl oddania się służbie bożej i uzyskania godności kapłańskiej. W Jeruzolimie zgłosił się do Konsulatu austrjackiego, jak przepis nakazywał i prosił konsula o jakieś zajęcie, aby mógł żyć. Konsul przyjął go do urzędu, Policki uzyskał wprawdzie niewielkie pobory, ale bądź co bądź miał jakiś punkt oparcia. Tak przetrwał na tem stanowisku trzy lata, aż wybuchła w Jeruzolimie cholera. Konsul z rodziną umknął w odległe strony nienawiedzone zarazą, uciekli także i inni urzędnicy Konsulatu, został w nim jedynie sam Policki, prowadził agendy jak mógł i umiał, porozumiewając się z Konsulem bądź osobiście bądź pisemnie za pośrednictwem kawasów. Gdy okres najcięższej zarazy minął, powrócił do Jeruzolimy Konsul i chcąc się Polickiemu odwdzięczyć, wystarał się, że cesarz w drodze łaski przywrócił Polickiemu jego emeryturę, którą mu we frankach odrazu wypłacono za trzy lata, tak że poczuł się pewniejszym i za uzyskaną gotówkę powrócił do kraju, do Kopyczyniec. Było to w latach 1866/7. Tu sprzedał dom spadkowy za wielką naówczas sumę 3000 zł. austr. (bo jeszcze będąc przy straży skarbowej obu braci spłacił) i miał już wytknięty przed sobą plan udania się do Rzymu, odbycia odpowiednich studjów i uzyskania święceń kapłańskich. O tem postanowieniu

nowieniu opowiedział ks. Józefowi Baworowskiemu i ks. Białkowskiemu, którzy powątpiewali, czy mu się uda aż tak zawrotne cele osiągnąć. Z dobrego serca pranie połowę pieniędzy Policki w Kopyczyńcach pożyczył na wieczne nieoddanie, pomodlił się szczerze w kościele kopyczynieckim i z resztą pieniędzy padził się do Rzymu na Tarnopol, Lwów, Wiedeń.

Dotąd Wiednia nie widział, postanowił więc przyglądnąć się temu pięknemu miastu. Podobała mu się wielce nadobna stolica habsburgskiej monarchji, został tu kilka dni i zwiedzał jej osobliwości. Nadarzyła się sposobność, że zapoznał się z jakimś niemcem, który całe życie pracował nad skonstruowaniem modelu maszyny perpetuum mobile. Wnet się bliżej zespolili, opowiadali o swoich planach życiowych, bo każdy z nich miał przed sobą wymarzoną przyszłość, która mu się uśmiechała, acz trudna była do zdobycia. Bądź co bądź, jeszcze tylko mozolny wysiłek, a każdy z nich miał sięgnąć po duże szczęście. „Połączmy nasze cele — tłumaczył niemiec Polickiemu — a przyspieszymy godzinę naszych tryumfów. Uczynić zaś to jest łatwo. Oto dopomóż mi materjalnie do zrobienia modelu, który już mam w głowie, model opatentuję i sprzedam za krocie, ceną podzielę się z tobą, obaj będziemy ludźmi bogatymi, wtedy będziesz mógł studjować w Rzymie, jak długo zechcesz." Począł Policki rozważać nęcący projekt. Fortes fortuna adjuvat, na-

myślił się rychło, pozostał we Wiedniu, niemca zaopatrzył w pieniądze i wyczekiwał, kiedy motor w modelu tętnić będzie wiecznym ruchem. Tymczasem niemiec nie mógł maszyny tak łatwo i prędko skonstruować, a skarbonka Polickiego w przyspieszonem tempie chudła, żył z niej bowiem w obczem mieście sam i żył z niej wynalazca niemiec. Oglądnął się więc Policki za jakiemś zajęciem i niebawem uzyskał je w pewnym kantorze bankowym. Tak trwało przez cały rok, koszta na model mnożyły się, a modelu nie było. Zniecierpliwiony Policki naciskał niemca do prędszego skończenia swojej pracy, ale niemiec zastaniał się, że wszystko musi robić w wielkiej tajemnicy, każdy szczegół modelu w innej sporządzać fabryce, że to co stworzy, ma niem cały świat zadziwić, że więc to wszystko tak łatwo i tak rychło iść nie może. Fundusz Polickiego kompletnie się wyczerpał, modelu nie było, brakło pieniędzy na popieranie niemca i nie było za co ~~jeść~~ jechać do Rzymu — jednem słowem, krytyczna sytuacja w całej pełni. Niemiec w tem ciężkiem położeniu wpadł na oryginalną myśl, bo od czegoż był wynalazcą! Udał się do cesarza Franciszka Józefa o pomoc. Kłopotali się obaj z Polickim, jakby uzyskać audjencję. Policki jako człowiek obrotny rzucił się tędy i owędy, ostatecznie udało mu się przez możnych ludzi wyrobić dla niemca posłuchanie u monarchy, który ujęty pięknemi planami przyszłego wynalazcy kazał mu wypłacić wcale pokaźną na ówczesne czasy kwotę 200 zł. wal. austr. Ucie-

szony niemiec, zamiast materjały na model, kupił sobie jeszcze tegosamego dnia za otrzymane pieniądze nowe ubranie i złoty zegarek, przyszedł do domu nad wieczorem w złotym humorze, rozsnuwał daleko idące plany, poczem obaj z Polickim poszli spać, a ubranie z zegarkiem zawiesił niemiec na klamce u okna. Usnął snem kamiennym, Policki zaś przygnębiony lekkomyślnością swego towarzysza zasnął także ciężko. Tymczasem w nocy wykroili złodzieje szybę parterowego okna i wyciągnęli przez nie nowe ubranie ze złotym zegarkiem i resztą pieniędzy. Rano znalazł się niemiec goły i bosy, a Policki widząc beznadziejność sytuacji zwinął swój tobołek, pożegnał się z Kantorem i bez funduszów puścił się piechotą z Wiednia do Rzymu. Niemiec także opuścił Wiedeń i udał się do Saksonji, nim jednak zdążył do celu został po drodze wśród nieznanych bliżej okoliczności zamordowany. Szedł więc Policki, gdzie go oczy niosły, jak pielgrzym prawdziwy i wierzył tylko w swoją szczęśliwą gwiazdę, że go nie opuści. Tuż za Wiedniem spotkał jakichś burszów, którzy puścili się na południe za zarobkiem, mieli ze sobą instrumenty muzyczne, grali i śpiewali po drodze, z drobnych zarobków żyli a przy nich żył i Policki. Wśród tej sielanki muzycznej, przepiękną okolicą zaszedł Policki aż do Mariazell, gdzie rozstał się ze swoimi towarzyszami, tu bowiem rozchodziły się ich drogi. Nie wiedział, co ze sobą ma począć, bo fundusze jego liczyły się prawie że na grosze. W tej ciężkiej

niedoli poszedł do kościoła pomodlić się przed znanym w całym świecie katolickim obrazem tamtejszej Matki Bożej. Pomodlił się i stało się istotnie cud. Po kościele przechadzał się hr. Józef Baworowski, właściciel Kopyczyniec, któremu dobrze były znane plany Polickiego. Baworowski zaraz go zauważył i zapytał o powodzenie. Opowiedział mu Policki ~~i oz~~ o wszystkiem, co go we Wiedniu spotkało, na to Baworowski wyjął 50 zł., dał je Polickiemu na drogę, a potem jeszcze do Rzymu kilkakrotnie po 50 zł. posyłał, za co Policki w kilkadziesiąt lat później odwdzięczył się, kupując matce Baworowskiego ruchomy ołtarz za 400 zł. Sprowadził go do Kopyczyniec, ustawił w pałacu i dla rodziny hrabiego często msze odprawiał. Policki zabawił w Mariazell jeszcze kilka dni, aby odpocząć po pieszej wędrówce. Gdy przyszedł pożegnać się z gospodynią hotelu i zapłacić rachunek, ta nie chciała przyjąć pieniędzy, a ujęta jego pobożnością i wytrwałem dążeniem do osiągnięcia godności kapłańskiej ofiarowała mu się nawet z pożyczką, której on jednak nie przyjął. Prosiła go więc tylko, by się za nią modlił. Pożegnał Policki zacną kobietę, piechotą puścił się w drogę i po trzech miesiącach pielgrzymki, stanął w murach wiecznego miasta. Wnet zapoznał się z osobliwościami Rzymu, udał się do Collegium de propaganda fide, uczył się z natężeniem po włosku i po łacinie, żyjąc częściowo z pożyczek z kraju, ale głównie z datków, jakie otrzymywał od Polaków, zwiedzających Rzym, za oprowadzanie ich po godnych widzenia miejscach. Miał zaś osobiste zezwolenie papieża

Piusa IX do oprowadzania turystów po Watykanie. Naukę trwała całych lat sześć a po zdaniu przedwstępnego egzaminu został Policki przyjęty do Seminaryjum duchownego. Po dalszych trzech latach nauk teologicznych dojrzał Policki do święceń kapłańskich. Tu jednak wyłoniła się zasadnicza trudność. Policki był obcym, żaden z biskupów nie chciał go ~~wyś~~ wyświęcić, aby nie sprowadzić na siebie obowiązku zaopatrywania go potem we własnej dyjecezji. Postanowił tedy Policki wstąpić do Zakonu Zmartwychwstańców, ale i tu żądano złożenia jakiegoś funduszu, którego on jednak nie posiadał. Aż zlitował się nad jego losem biskup z Centum Cellarum, wyświęcił go w r. 1876 na księdza za złożeniem jednak deklaracji, że zrzeka się utrzymania i beneficjum, lecz przyjmuje święcenia „suo sumptu". Zostawszy księdzem, miał Policki sytuację ułatwioną. Mógł żyć choćby ze samych missaljów. Udał się z Rzymu do Lourd, bawił tam prawie rok a powróciwszy do Rzymu spotkał tu arcybiskupa lwowskiego Wierzchleyskiego i na jego zachętę wrócił do kraju. We Lwowie poddał się jeszcze małemu egzaminowi w Konsystorzu i na własne życzenie poszedł na wikarego do rodzinnego miasta Kopyczyniec, gdzie natenczas proboszczem był ks. Białkowski. Tu pracował krótko, bo z absolutnym ks. Białkowskim nie mógł się pogodzić. Stąd poszedł na administratora kościoła do Czarnokoniec, gdzie dokończył budowy kościoła i uporządkował sprawy parafialne, ale gdy właściciel Czarnokoniec Wolański

zbyt wiele wtrącał się do spraw kościelnych i stosunek z dworem się pogorszył, przeniósł się Policki do Koszlak koło Podwołoczysk, gdzie również dokończył budowy kościoła, a po półtrzecia roku pracy w Koszlakach został przeniesiony do Lwowa jako pomocniczy wikary przy kościele archikatedralnym. Następnie na polecenie arcybiskupa Morawskiego przyjął ks. Policki w r. 1886 miejsce kapelana w Antoninach w zaborze rosyjskim u hr. Potockiego. Tu jednak był zaledwie rok, bo rząd rosyjski nie chciał mu przydłużyć paszportu, musiał więc wracać do kraju i tu osiadł w Ispasie na Bukowinie przy kościółku, jednak było to miejsce marne, nie można było wyżyć z bardzo nieznacznych dochodów, mało co wyższych ponad 35 zł. wal. austr., płaconych przez właściciela hr. Cigallego. Po kilku latach powrócił do Lwowa i prowadził życie rozerwane, fungował przy katedrze, a zresztą gdzie zachodziła potrzeba jeździł i sprawował służbę bożą (Dublany, Sygniówka, Bernardyni, Jezuici itd.). W r. 1892 objął po śmierci ks. Krechowieckiego miejsce duszpasterza i spowiednika przy kościele św. Ruprechta dla kolonji polskiej we Wiedniu. Bawił tu do r. 1896, a ustąpił wśród następujących okoliczności. Rozwijał podówczas żywą działalność poseł ks. Stojałowski, poróżniony z władzą duchowną i zawieszony we funkcjach duchownych a sacris. Stojałowski zwalczał wszelkimi sposobami ówczesne rządy premjera hr. Badeniego, polaka, i szedł wspólnie z burmistrzem wiedeńskim dr. Luegerem przeciw Badeniemu,

atakując go ostro na zebraniach publicznych. Stojałowski znał od dawna ks. Polickiego, zamieszkał więc u niego we Wiedniu i odprawiał potajemnie na przenośnym ołtarzyku msze. Badeni kazał pilnie śledzić Stojałowskiego we Wiedniu, gdzie mieszka i co czyni, a gdy w ten sposób wyszło na jaw, że ma oparcie o ks. Polickiego, podał to Badeni do wiadomości arcybiskupa wiedeńskiego i ks. Policki za tolerowanie Stojałowskiego u siebie został przez władzę duchowną zawieszony we funkcjach duchownych. Udał się tedy ks. Policki do Rzymu, by się z zarzutów oczyścić, co wprawdzie mu się udało, ale w rezultacie musiał ustąpić z Kościoła św. Ruprechta i zwinąć pomieszkanie we Wiedniu. Nie na tem był jednak koniec niedoli naszego Kopyczynieckiego ziomka. Już to miał do siebie dla niego teren wiedeński, że wychodził zeń wyzyskany i zubożały. Żył wtedy i operował we Wiedniu niejaki Garczyński, redaktor „Polskiej Gazety Wiedeńskiej" a w gruncie rzeczy oszust co się zowie, który ostatecznie dostał sześć lat więzienia za niegodziwe wyzyskiwanie ludzi. Tento Garczyński nadużył dobroci ks. Polickiego i w imię patrjotyzmu podsunął mu weksle do podpisu na kilka tysięcy koron, wskutek czego następnie ks. Polickiemu zlicytowano urządzenie domowe i bibliotekę, tak iż obecnie był małoco więcej bogatym jak wówczas, gdy się rozstał z niedoszłym wynalazcą perpetuum mobile.

I znów ksiądz tułacz był bez dachu nad głową, nie miał już co robić na obcym gruncie, powrócił więc do Lwowa, gdzie nieprzychylny mu biskup sufragan Weber przydzielił go do Kościoła OO. Jezuitów. Tymczasem poszukiwano księdza do Stupnicy pod Samborem i w r. 1898 zdecydował się Ks. Policki tam pójść. Stupnicę kupił aptekarz i nafciarz Nahlik, grunty rozparcelował pomiędzy Mazurów i zobowiązał się wybudować kościół a to 12000 zł. wal. austr. złożyć na ten cel z własnych funduszów a drugą takąsamą kwotę ściągnąć od parcelantów i tym funduszem miał stanąć kościół i plebanja. Gdy przyjechał Ks. Policki zajął się urządzeniem na razie prowizorycznego kościoła z przerobionej na ten cel murowanej stodoły. Gdy Mazurzy dowiedzieli się, że już jest ksiądz na miejscu, gromadnie do dwu lat rozkupili parcelowane grunty. Nahlik doskonały na tem zrobił interes, gdy jednak kościoła nie budował, popadał z nim Ks. Policki w konflikt, skarżył on Ks. Polickiego do biskupa, skarżyli Mazurzy Nahlika o postawienie kościoła, dość że Ks. Policki nie widząc rychłego końca, ustąpił ze Stupnicy, obiecując Mazurom powrócić po skończonym procesie i kościół zbudować.

Tymczasem zaś w r. 1900 objął na prośbę pani Szczepańskiej ur. hr. Rozwadowskiej gotowy już, ale zaniedbany kościół w Bednarowie pod Stanisławowem (filjalny z parafji kałuskiej). Musiał na razie Ks. Policki zamieszkać w chłopskiej chacie a rzucił się o uzyskanie funduszów

z których pobudował plebanję, budynki gospodarcze i studnię, hr. Siemieńską uprosił, iż zbudowała w tym kościele drugi ołtarz (gdyż był tylko jeden główny), trzeci zaś ołtarz na jego prośbę zbudował miejski Strzelczuk, dzierżawca kilku hoteli we Lwowie, a właściciel wielu kamienic. Odnowił więc i upiększył ks. Policki kościół w Bednarowie, postarał się o przyłączenie doń pięciu wsi okolicznych, porobił odpisy metryk parafian z Kałusza i uregulował sprawę obrządku niektórych parafian, którzy coraz zmieniali ten obrządek, aby się uchronić od składek konkurencyjnych, będąc według potrzeby coraz to łacinnikami, to unitami. Staraniem ks. Polickiego utworzoną więc została parafia bednarowska, mając w swoim obrębie wiele szlachty zagonowej Leszczyńskich, Głowackich, Żurakowskich itp. Nie miał jednak duszpasterz bednarowski żadnego uposażenia, przedtem je jednak ks. Policki wśród następujących okoliczności. Był w podziemiach kościoła tamtejszego pochowany hr. Rozwadowski, jakkolwiek nie był jego fundatorem, bo zbudował go ks. Klein, proboszcz kałuski z ofiar i składek. Według przepisów kanonicznych chować można w kościele tylko fundatorów, a hr. Rozwadowski nim nie był. Oznajmił więc córce jego pani Szczepańskiej, że niestety musi zabrać szczątki ojca i pochować na cmentarzu. Zaniepokojona tem Szczepańska, uczyniła za ojca fundację, dając dla probostwa pięć morgów pola, dwa morgi łąki i ogród, czem zapewniła zmarłemu ojcu spoczynek

wieczny w świątyni bednarowskiej.

Potem oddał się ks. Policki pracy nad oświatą parafian. Około r. 1909/10 stanął jego staraniem Dom Narodowy w Bednarowie z czytelnią, salą na przedstawienia i ochronkę dla dzieci. Sprowadził zakonnice i usadowił w Bryni na gruncie zakupionym przez siebie od Banku Parcelacyjnego w Łańcucie, od którego również uzyskał dla probostwa dziesięć morgów. Praca jego w Bednarowie wydała plony stokrotne. Cenił wielce ks. Polickiego światły arcybiskup Bilczewski, sam człowiek wielkiego ducha i niezapomnianych zasług. Raz urządził ks. Policki w Bednarowie wspaniałą misję, a właśnie podówczas zapowiedział także arcybiskup wizytację kanoniczną. Fatum jednak chciało, że właśnie zaniemógł ks. Bilczewski, więc wizytację odbył arcybiskup sufragan ks. Weber, jak wyżej wspomniałem nieprzychylny ks. Polickiemu. Ale też i ks. Policki chciał delikatnie dać to odczuć Weberowi. O oznaczonej godzinie zjechał ks. arcyb. Weber koleją, ks. Policki wyszedł przeciw niemu z procesją, jak rytuał każe, a baldachim polecił nieść czterem żandarmom z miejscowego posterunku. Ruszyła więc procesja, a czterej żandarmi aż do kościoła szli wokół arcybiskupa. Przy objeździe mówił ks. Weber żartobliwie, że jeszcze nigdy nie szedł w tak wielkiem bezpieczeństwie, jak w Bedna-

rowie, bo pomiędzy samymi żandarmami.

Tak przetrwał Ks. Policki na pracy nad parafją bednarowską do wojny światowej z r. 1914. Podczas przemarszu wojsk rosyjskich jechał przez Bednarów głównodowodzący armją rosyjską W. Ks. Mikołaj Mikołajewicz i rozkwaterował się na plebanji. Ks. Policki zaprosił go do kościoła i pokazał cudowny obraz Matki Boskiej Dobrej rady. Książe z generałami oglądał wszystko, wypytywał od kogo są różne wota także zawieszone, a potem kiedy na tace koło kościoła sporządzono dla księcia i świty objad polowy, zaprosił książe Ks. Polickiego do stołu i posadził obok siebie. Ks. Policki, umiejąc z Antonin po rosyjsku, rozmawiał ze wszystkimi, a miał o czem, bo żaden z obecnych tyle świata nie zwiedził, jak on. Pod wieczór ruszył wódz dalej, a na pamiątkę darował Ks. Polickiemu swoje piękne, kosztowne futro ze szopów.

Potem szła linja bojowa przez Bednarów. Kule świstały przez probostwo, jednak Ks. Policki wyszedł cało. Gdy po odparciu Rosjan Bednarów znów przeszedł pod zarząd austrjacki, wybuchła w Bednarowie cholera. Ks. Policki nie wiele sobie z niej robił, mając się za człowieka niezwalczonego. Gdy zjadł kilka jabłek, poczuł się niedobrze. W sobotę 29 sierpnia 1915 po mszy porannej czuł się jeszcze gorzej, położył się do łóżka wśród objawów cholerycznych,

która starca osłabiła. W nocy w niedzielę 30 sierpnia 1915 zasnął na wieki w 84 tym roku życia. Nikogo w domu wtedy nie było, prócz jednej zakonnicy tercjarki. Z powodu epidemji pogrzeb był skromny. Ruszył z parafji, kto mógł, aby odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynku swojego duszpasterza i dobrodzieja. Kondukt prowadził jeden ksiądz ze Stanisławowa i miejscowy ruski proboszcz. Spoczął na wiejskim cmentarzyku, a bratanek jego Aleksander Policki, radca Wydziału krajowego ze Lwowa postawił na jego grobie pomnik z czerwonego kamienia tarnopolskiego z napisem:

Ks. Jan Nepomucen Prawdzic Policki
duszpasterz kościoła łać. w Bednarowie
założyciel kilku parafij łać. w Galicji
ur. 1832 + 1915.
Cześć jego pamięci.

Tak żył i umarł człowiek zacny i w pracy niestrudzony. Działał zawsze dla drugich, dla siebie niczego nie pożądając. Co miał, wkładał w budowę kościołów i parafji. Dziecko Kopyczynieckie, którem na zawsze szczycić się będą jego ziomkowie. Żył jak zakonnik, a dwukrotnie się zdarzyło, że gdy miał na sobie odzież bardzo już steraną, wyjął ks. arcybiskup Bilczewski własną sutannę ze szafy i dał ją ks. Polickiemu. „To na śmierć schowam Excellencjo", rzekł ks. Policki dziękując za dar, za co zacny arcybiskup gniewał się mówiąc: po śmierci mało nam będzie potrzeba, to odzież do czynu i do pracy.

Umiał ks. Policki mówić siedmioma językami, w towarzystwie był lubianym i potrafił wszystkich bawić opowiadaniem ze swoich barwnych przeżyć. Pisał pamiętniki, lecz po jego śmierci wśród zamieruchy wojennej gdzieś one zaginęły. Co za szkoda! Zmarł wśród chaosu wojennego, nie umieszczono jego nekrologów w dziennikach, jakby się spodziewać należało, jedyną wzmiankę o jego zasługach wydrukował krakowski „Głos Narodu" w nr. 70. z dnia 9 lutego 1916.

W latach 1882–1884 przyjeżdżał ks. Policki kilka razy do Kopyczyniec, zamieszkiwał wtedy u swego brata Pawła, a w kościele codziennie msze miewał. Był to mężczyzna średniego wzrostu, brunet, włosy na bok czesane, twarz ściągła, wyraz oblicza o dziwnej dobroci, a bił zeń jakby jakiś smutek z pokorą potęgowany. Był cichy, uprzejmy, spokojny. Na wyścigi rwaliśmy się do służenia do mszy naszemu ziomkowi. Odnosił się do nas z łagodnością i miłością, chętnie z nami rozmawiał, pytał jak się kto nazywa i jakby w myśli odgadywał daną rodzinę. Za służenie do mszy dawał ministrantowi obrazek. Gdy odjechał, bardzo za nim żałowaliśmy, tak jakby nam ubył ktoś z bliskiej rodziny. Jakżeż to był człowiek pod względem jasności duszy całkiem innego pokroju, niż nieprzystępny, mroźno zimny a wyniosły ówczesny proboszcz kopyczyniecki ks. Białkowski.

Z nieprzeciętnych osobistości Kopyczynieckich, żyjących w tem mieście za moich chłopięcych czasów nie podobna pominąć skromnego ale szeroko na Podolu znanego człowieka: Juljana Szpakowskiego. Od małego chłopięcia był miłośnikiem muzyki. Skąd pochodził, niewiadomo, bo nigdy nie chciał niczego o sobie mówić. Bywał na szerokim świecie i za młodych lat grywał w Kapeli papieża Piusa IX. podówczas, kiedy jeszcze istniało państwo papieskie. Po powrocie do kraju ożenił się i był leśniczym. W pierwszych latach małżeństwa opuściła go żona i wyemigrowała do Rosji, poczem o niej słuch zaginął. Szpakowski wtedy porzucił leśnictwo, przeniósł się do Kopyczyniec, zamieszkał komornem w mieszczańskiej chacie niedaleko nowego żydowskiego cmentarza i rozpoczął zawód stroiciela fortepianów. Obchodził całe galicyjskie Podole od dworu do dworu i był żywą kroniką wypadków na Podolu, znał wszystkich właścicieli ziemskich, ich rodziny i ich dzieje. Niezmiernie skromny, cichy, spokojny, uczciwy, szlachetny, wszędzie był mile widzianym i szczerze witany. Czynił wrażenie ascety. Ale nie na tem polegała jego oryginalność. Był to zamiłowany filozof i zapalony zwolennik Darwina. Gdy powrócił z obchodów do domu, siadał nad książkami i ze zaparciem się je studjował. Mieszczanie mieli go za dziwaka, ale cenili w nim nieskazitelność charakteru. Ostatnie lata życia miał zatrute. Oto cały dorobek, polegający na znacznej gotówce pożyczył właścicielowi młynów Wołoszynowi, mieszkającemu w okolicy

Kopyczyniec (zdaje się w Hadynkowcach) i pieniądze te u dłużnika przepadły. Bliżej nie znam całego przebiegu tej sprawy, wynikły stąd procesy cywilne i karne a Szpakowski zawsze gorzko o tem mówił. Dożył lat około 70, umarł około r. 1896. Opowiadała mi moja krewna, że pewnego dnia popołudniu zobaczyła, iż z Kościoła Kopyczynieckiego wyniesiono skromną trumnę, kilka osób za nią podążyło ku cmentarzowi, nucąc smutną pieśń „Bądź pozdrowiona, Panienko Marjo", jęknął dzwonek na dzwonnicy, nie ten duży uroczysty, ale mniejszy, mało donośny i mniej dźwięczny — ubogi pogrzeb zniknął na stoce za parkanem plebańskim. Zapytała przechodnia, kogo to chowają, dowiedziała się wtedy, że to pogrzeb Szpakowskiego. Gdyby go był od zarania młodości inny los spotkał, gdyby był miał możność kształcenia się, kto wie, czy nasz Kopyczyniecki ziomek Szpakowski nie byłby jakim Cieszkowskim lub Trentowskim.

*

Przejdźmy teraz do instytucji, która mię w ostopięcych czasach najbardziej interesowała, tj. do szkoły. Nauczanie publiczne w Kopyczyńcach ma swoją dawną i starą historję. Jestem niemal pewien, że równocześnie z powstaniem parafii Kopyczynieckiej, a więc od połowy XV wieku uczono młodzież w szkółce przy probostwie,

a już całkiem pewnie nauczanie to było regularne po zapisie z r. 1619 dziedzica Ostafiego Kopyczyńskiego, który ufundował przy parafji Kopyczynieckiej bakałarza. Szkółka parafjalna była niezawodnie do ostatnich czasów Polski* przedrozbiorowej, bo ze starych ludzi w Kopyczyńcach ze sfer mieszczańskich, zwłaszcza zamożniejszych, prawie każdy umiał czytać i pisać. Po rozbiorach Polski i po przejściu tej części ziem polskich pod władztwo austrjackie utworzoną została w Kopyczyńcach szkółka elementarna i w latach 1796 – 1798 nauczycielem był Jan Zaremtowski, po nim w latach 1799 – 1802 był Józef Langert, potem od r. 1803 – 1805 Józef Turski. Jak było za czasów chwilowego posiadania ziemi tarnopolskiej w latach 1810 – 1815 przez Rosję, dojść nie mogłem, przypuszczam, że duchowieństwo troszczyło się o nauczanie, zwłaszcza, że proboszczem Kopyczynieckim był człowiek światły i dbały o oświatę Ks. Kanonik Wojnarowski. Dopiero w latach 1819 – 1826 widzimy we wykazach urzędowych nauczyciela Jerzego Lisiewicza. Później byli inni nauczyciele, których nazwisk nie zdołałem odnaleźć, zaś od r. 1857 do 1873 był kierownikiem szkoły Kopyczynieckiej Michał Hałikowski. Gdy ja zacząłem chodzić do tej szkoły w r. 1877, pozostała jeszcze żywa pamięć w Kopyczyńcach o Hałikowskim, starzy ludzie bardzo często wymieniali to nazwisko, niemniej mówiono o jego „gehilfach", tj. pomocnikach, czyli nauczycielach młodszych, którzy

się coraz zmieniali. Za czasów germanizacyjnych austrjackich uczono w szkole kopyczynieckiej po niemiecku, nauczyciel przemawiał do uczniów tylko w tym języku i uczeń musiał po niemiecku odpowiadać. Była to bezmyślność bezowocna i niepotrzebnie męczono tem dzieci, które z forsowanej niemczyzny mało miały korzyść. Ale starzy mieszczanie przywykli byli wskutek tego do druku gotyckiego i takim też drukiem drukowane były na początku XIX wieku polskie książki do modlenia. Halikowski przeszedł w r. 1873 na emeryturę i wyjechał z Kopyczyniec z rodziną, po nim zaś został dyrektorem szkoły Antoni Szarek, który kierował naszą szkołą przez cały czas, jak długo ja do niej uczęszczałem. Pochodził z zachodniej Galicji, liczył wówczas lat około 45, szatyn, wysoki, chudy, twarz cery fioletowej, broda popielata w nieładzie, oczy duże siwe dość wyraźnie się uwypuklały na zewnątrz. Chodził dużymi krokami, chwiejąc się przytem to na jedną, to na drugą stronę, przyczem machał w chodzie rękami. Był to człowiek nieodpowiedni na stanowisko, jakie piastował. Niecierpliwy, skłonny do wybuchów, mało obowiązkowy, niesprawiedliwy, lubiał przesiadywać przy szklaneczce w mieście, natomiast nie lubiał młodzieży szkolnej i nie był jednostką dbałą o oświatę. Gdy coraz częściej przekonywały się władze szkolne, że Szarek nie jest odpowiednim kierownikiem szkoły Kopy-

czynieckiej, przeniesiono go około r. 1895 do mniejszej szkoły w Tłustem, gdzie bawił lat kilka, przeszedł na emeryturę i zmarł w Zaleszczykach.

Prócz dyrektora miała szkoła Kopyczyniecka kilku nauczycieli. Wśród nich odznaczał się wzorową dzielnością Leon Obrubański, pochodzący z Delatyna, pracowity, uczciwy, oddany swemu zawodowi, uczył młodzież rzetelnie i z pożytkiem. Dożył lat długich, przeniósłszy się do Krakowa, gdzie był skarbowym urzędnikiem Magistratu. Drugim nauczycielem był Souper, młody, wysoki, melancholijny, przyjaźnie dla młodzieży usposobiony — umarł wcześnie na chorobę umysłową. Wreszcie nauczycielem trzecim był Słupecki, może mniej od innych wykształcony i nie tęgi pedagog, zato był muzykiem i z młodzieży szkolnej w latach 1880 - 1882 1878
złożył orkiestrę, która grała na instrumentach nawet w kościele podczas nabożeństw. Żył długo, pełniąc potem obowiązki nauczyciela we Wierzbówce w powiecie borszczowskim.

Szkoła kopyczyniecka była czteroklasowa, 12
ale obowiązek szkolny sięgał do lat 14. Klasę czwartą
normalnie kończyło się w 10tym roku życia, jednak
przeciętny mieszczański chłopiec chodził tak długo
12 do szkoły, aż osiągnął lat 14, czyli że aż do ukończo-
12 nych lat 14 chodził ciągle do czwartej (najwyższej) klasy.

Niejednemu z nich już i wąsik się pod nosem zasiał, a jeszcze ciągle chodził do czwartej klasy. Nawet nauczyciel w dyscyplinie był względem takiego młodzieńca powściągliwszy i w razie konieczności tylko na słownej admonicji poprzestawał.

W szkole tej różnie mi się wiodło i skończyłem ją z niejakiemi przeszkodami w lipcu 1884. Począłem do niej chodzić od września 1877, uczył nas w pierwszej klasie nauczyciel Szabo, kawaler, zamieszkały u Leona Warszylewicza naprzeciw dużej szkoły. Gdy odszedł, uczył nas nauczyciel Lewicki. W drugiej klasie zachorowałem na nogę, bo w okolicy kostki noga puchła, tak, iż nie mogłem ubrać bucika. Nacierało się chore miejsce spirytusem kamforowym raz, drugi i trzeci – nic nie pomagało. Przywołano Kozłowskiego (ach, jak ja go się bałem!), oglądnął nogę uważnie, obmacał spuchnięte miejsce, podumał nad niem chwilę, jeszcze oglądnął, jeszcze dumał, aż wreszcie orzekł stanowczo i pewnie: noga zwichnięta, trzeba naciągać. Zrzucił surdut, zawinął rękawy od koszuli, pochwycił moją biedną (a nigdy nie zwichniętą) nogę w swe obie silne, spracowane ręce i zaczął naciągać. Zacisnęłem z bólu zęby, to znów krzyczałem w niebogłosy, kąsałem palce z bólu, a Kozłowski – jak chirurg nieubłagany – robił swoje, ~~ciągnął~~ ciągnął a ciągnął, co mu sił starczyło. Po jakich pięciu minutach, które mi się rokiem wydały, skończył

operację i zakonkludował, że już teraz dobrze będzie. Ubrał surdut, mój niezapomniany dziadunio przyrzekł mu jabłek w jesieni i Kozłowski odszedł. Ale noga ciągle była spuchnięta, przyjechała matka z Boryszkowiec, zabrała mię do domu, tam długo leczyła, aż puchlizna całkiem zeszła. Straciłem jednak wskutek tego całe dwa lata szkolne. Po powrocie do Kopyczyniec ukończyłem II i III klasę powszechną jako pierwszy uczeń, a piszę to dlatego, aby zrozumieć co się stało w klasie IV. Żyłem jak każdy porządny uczeń szkoły Kopyczynieckiej. A więc cały rok służyłem do mszy w kościele, w zimie ślizgałem się na butach po okrawkach lodu lub łapałem ptaszki bądź w samotrzask, bądź na sidełko włosienne. Uczniowie prowadzili ożywiony handel ptaszkami: żółtobrzuszków dwa za centa, bo się bardzo łatwo na sidełko łapały, sikorki po cencie, szczygieł dochodził nawet do ceny pięciu centów. W lecie częsta kąpiel w mętnej Niczławie koło młyna, podglądanie życia ptasząt po krzewach sadu, wycieczki w pola i lasy, wreszcie handel obrazkami świętych, a był ich dostawcą kolega Zarzycki, syn obraźnika. Biegałem często do tego kolegi (mieszkał w uliczce za apteką) kupować obrazki (po niezmiernie zniżonej cenie) a nadto w ukrytym celu, aby z pod oka popatrzyć na jego dziewięcioletnią ładną siostrzyczkę. Każdy student Kopyczyniecki za ostatni grosz kupował i gryzł rożki, tj. duże, południowe, suche, brunatne strągi, lub chrupał „brustzucker", sprzedawany w sklepach w podłużnych sztabkach. Był to cukier słodowy

a każdy święcie wierzył, że cukier ten wzmacnia silne płuca a ze słabych czyni niezawodnie zdrowe i silne. Jadł więc chłopak szkolny ten cukier wszędzie, w domu, po drodze, w szkole, a często gdy nauczyciel go wywołał, nie mógł odpowiadać, bo miał brustcukier na języku. Za trafne podpowiedzenie lub za danie zadania do odpisania można było dostać od kolegi kawałek brustcukru. Był to największy przysmak, a nadto budził wiarę w pomoc do wzrostu sił. A któż z nas nie chciał być silnym!

W tychto czasach jako mały chłopak szkolny czytałem pierwszy raz w życiu powieść. W pudełku na strychu znalazłem powieść Kraszewskiego Jermołę. Czytałem ją z największem zajęciem i przeżywałem w duszy epizody opowiadania, po ukończeniu zaś chodziłem jak oszołomiony, opłakiwałem dolę biednego Radjonka, współczułem głęboko z osieroconym Jermołą, powracałem znów do książki, znów z niej odczytywałem poszczególne ustępy — Jermoła zawładnął całą moją duszą! Z jakimże zapałem byłbym czytał i inne powieści, ale naówczas nikt książki nie szerzył, światło ledwie, ledwie przez szczeliny przechodziło do domów mieszczańskich w Kopyczyńcach.

Wśród tychto warunków i stosunków życiowych przyszła najpierwsze i ostateczna IV klasa. Tu zmienił się nauczyciel, bo naukę objął nie kto inny, jak sam pan dyrektor Szarek we własnej osobie. Nie dziw

wota – najmądrzejsza klasa, musi ją uczyć najmądrzejszy nauczyciel. Ale pożal się Boże tej opinji. Szarek był niedbałym w skrajnej mierze. Przychodził na lekcje z dużem opóźnieniem, zniecierpliwiony, złośliwy, zniechęcony, brał duży wiśniowy pręt do ręki i pytał. Ciągle pytał. Przechadzał się pomiędzy ławkami i w największej pasji prażył kijem w prawo i w lewo, czy było za co, czy nie było, przyczem ślina bryzgała mu wśród krzyku z ust na ucznia, a jego duże wypukłe oczy zdawały się wybiegać z oprawy. Nie zadawał sobie trudu nauczania czegoś, zadawał z książki stąd, dotąd, przychodził na drugi dzień, brał książkę w lewą a kij w prawą rękę, pytał i bił, bił i pytał – i tak było codziennie. Cudem bożym nazwać można, że ten szalony człowiek nie wybił komu oka. Ale przy biciu była przecież pewna remedura. Synowie miejscowych możnych oficjalistów dworskich, dalej synowie radnych w gminie i synowie znaczniejszych kupców – ci wolni byli od plag, bo się Szarek bał skarg. Po innych prawie że deptał. Co do mnie unikałem grubego kija, ucząc się najsumienniej lekcji, bo zresztą i ambicja moja była zaangażowana, przecież szóstego roku byłem pierwszym uczniem. Wspominam zaś o tem jedynie dlatego, aby był zrozumiały rezultat, do którego zdążam. Pamiętam, że w ciągu roku szkolnego przyjechał na lustracyę szkoły inspektor Szefer z Trembowli, człowiek poważny i starszy, pytał nas różnych przedmiotów, na które odpowiadałem bez zarzutu, nawet zwrócił na mnie uwagę i pytał jak się nazywam. Szarek niczego ciekawego nas nie uczył,

np. przyrządy do kilku doświadczeń fizycznych stały zaprószone w jego pomieszkaniu, a nigdy ich nie oglądała szkoła. Raz przecież stał się cud, Szarek przyniósł historyę Polski Chociszewskiego i czytał nam początek. Jak ja tego słuchałem ze zapartym oddechem, i byłbym słuchał w nieskończoność, a gdybym sam mógł mieć taką książeczkę, uważałbym się był za najszczęśliwszego w całych Kopyczyńcach. Ale po tej jednorazowej uczcie, już Szarek nigdy nie czytał nam dziejów ojczystych. Pytał tylko odmian niemieckiego rzeczownika z przymiotnikiem, ciągle tego chłopcy nie umieli, ciągle walił kijem po grzbietach bez pamięci i miary i tak było bez końca.

Wreszcie zbliżał się kres, nadszedł koniec kursu, popis naznaczony był na dzień 15 lipca 1883, jak to zresztą zawsze bywało. Cieszyłem się, że już skończę szkołę Kopyczyniecką i pójdę do gimnazjum w Stanisławowie. Moja zacna matka pisała z Borszczowa, że już przygotowuje mi wyprawkę do obcego miasta, wszyscy byliśmy radzi, że wnet nastąpi tak ważny przełom w mem życiu. Jakże ja już czekałem z upragnieniem końca i ile sobie w mojej wyobraźni roiłem. Naraz zaszło coś nieoczekiwanego! Na kilka dni przed popisem zawołał mię Szarek do siebie i najniespodziewaniej wykrzyczał się na mnie, że ja mu złamałem gałąź czereśni w ogrodzie. Byłoto zupełną nieprawdą, nawet wogóle nie wiedziałem, czy Szarek ma

czereśnie w ogrodzie szkolnym. Nie pomogły zapewnienia niewinności, sprawa osądzona bez instancji, pan dyrektor zadecydował, że ja ułamałem gałąź czereśni, dyskusja na ten temat była absolutnie wykluczona.

Nadszedł popis, po nim zaczął Szarek odczytywać uczniów, którzy IV klasę ukończyli, poczynając od najlepszego ucznia. Czekałem z bijącem sercem, wszak zeszłego roku ja właśnie byłem pierwszym. Szarek odczytał pierwszego Bronisława Przyborowskiego (siostrzeńca marszałka dworskiego Sanszka). Dotknęło mię to niemile, lecz przeleciała mi myśl przez głowę, że napewno ja będę drugi. Ale drugim był znów kto inny, potem szedł trzeci, czwarty, piąty itd. – tylko mnie nie czytał. Sądziłem, że chyba zajść musiała jakaś omyłka. Po długim szeregu tych, którzy klasę przeszli, począł Szarek czytać tych, którzy otrzymali zły stopień, między nimi znalazło się i moje nazwisko. Jakaż mię boleść przejęła, gorzkie łzy pociekły mi po policzkach i ogromnie dotkliwie odczułem tę pierwszą w życiu doznaną niesprawiedliwość. Szalony ten człowiek rzucił niesłuszne podejrzenie, że ma gałąź złamałem i z podeptaniem wszelkich zasad sprawiedliwości ukarał mię złą oceną mojej całorocznej pracy, choć uznał za dobrych takich, którzy pot z czoła ocierali a nie umieli w zdaniu wynaleść podmiotu

i orzeczenia. Ale tacy byli podówczas pedagogowie i tak pojmowali swe obowiązki. Opisałem tę moją klęskę jako epizod charakterystyczny, a dziś tylko rzec mogę: od takich pedagogów zachowaj nas Panie! Na szczęście jednak nie wszyscy byli tacy, jak to zaraz wyjaśnię.

Nie było innej rady, volens nolens musiałem jedyny raz w życiu repetować klasę. Ale tym razem objął naukę w IV klasie nauczyciel Leon Obrubański. Niezmiernie sumienny i obowiązkowy, pracował z całem poświęceniem, uczył niezmordowanie, zaznajamiał nas z różnemi dziedzinami wiedzy, rzec dziś mogę śmiało, że skutki tej jego nauki odczuwałem następnie dobroczynnie przez całe gimnazjum. Co za kontrast do Szareka! Przyszedł koniec roku szkolnego 1884, lecz ja niestety nie byłem obecny na popisie, gdyż chorowałem na szkarlatynę (leczony przez Mesitę). Dowiedziałem się tylko, żem otrzymał piąte miejsce. Pierwsze miejsce osiągnął Albin Warszylewicz, niedaleki mój sąsiad, późniejszy kanonik kapituły lwowskiej i prałat. Z naszej klasy poszło do gimnazjum trzech uczniów: Warszylewicz, Hołubowicz (obaj do Tarnopola) i ja (do Stanisławowa).

Takato była nasza Kopyczyniecka szkoła, taka w niej była dola i niedola i tak w niej nauczano.

Wyszedł z niej długi szereg pożytecznych dla społeczeństwa jednostek, ale nie należą do mojej doby, ja zaś trzymać się chcę lat 1877 – 1884.

Dzisiaj niemal każde znaczniejsze miasteczko ma gimnazjum, a ma ich czasem i kilka, w r. 1884 było ich jednak niewiele w kraju. Od nas z Podola prawie wszyscy po ukończeniu szkoły ludowej typu miejskiego, którzy chcieli dalej się kształcić, szli do Tarnopola, a tylko mała część szła do miast innych, jak do Lwowa, Brzeżan lub Stanisławowa. Tylko ludzie zamożni posyłali swoje dzieci do szkół średnich, bo to była rzecz kosztowna, a jeżeli to czynił człowiek mniej bogaty, uważało się, że drze nos do góry i chce się wynieść ponad swój stan. Ho – ho, patrzcie go ludzie dobrzy, mawiał niejeden w Kopyczyńcach, czego się temu N.N. nie zachciewa, sprzedaje morg pola a pcha swego Władzia do szkół łacińskich! Myśli, że go wysadzi na rejenta albo na jakiego radcę! No, wspomniecie moje słowo, to nie jego nosem! I pole straci i na żebry zejdzie, a Władzio co najwyżej chyba będzie pisał w jakimś sztajrencie. Co – wezmą go do stajranta? – oburzał się drugi interlokutor, któremu aż piana zazdrości na wargi wybiegła! Co mówicie, czyście rozum postradali, znam ja tego Władzia, znam! Chodził razem do jednej klasy z moim Józkiem. Wiem dobrze, co to za ziółko,

cała szkoła go nienawidziła! Jak się nauczyciel co kogo zapytał, nigdy nie chciał drugiemu podpowiedzieć! Czekajcie, jak pójdzie do łacińskich szkół, to go zaraz wyrzucą, tam się wszyscy za ręce trzymają i takich gałganów Władków wypędzają na cztery wiatry. Wiem ja wiem, jakto idzie na świecie, czym się to mało przez życie nasłuchał! A na św. Anny, jak sobie pojadę na jarmark do Tarnopola, to i gruszki dobrze sprzedam i zabawię się wesoło i to i owo się dowiem co się w świecie dzieje. Niech Władek całuje w obie ręce Wolańskiego, aby go wziął do warsztatu do Kopyta – panie dobrodzieju – ale nie do szkół łacińskich! O! jaki mi się wyrwał uczony ...... i obaj zazdrośnicy znikali w otchłani szynku Anszla, kreśląc w czarnych barwach smutną przyszłość biednego Władka i zalewając arakiem swe jadowite oburzenie. A taki Władek szedł tymczasem do szkół, uczył się dobrze, był chlubą swoich rodziców i zostawał świetnym profesorem, czy sędzią, czy proboszczem.

Nie ustrzegłem się i ja od goryczy zazdrości. Lubowałem się w ceremonjach kościelnych, działało to na mój dziecięcy umysł, służyłem do mszy i cieszyło mię to, że i ja jakąś czynną rolę odgrywam w tych uroczystościach. Gdy skończyłem szkołę w Kopyczyńcach, nie tajne było, że chcę się uczyć dalej. W lipcu 1884 nadszedł czas mojego odjazdu z Kopyczyniec na wakacje, toteż gdy poraz ostatni widziałem się w zakrystji z moim katechetą ks. Janem Kubaszkiem, do którego byłem

szczerze przywiązany, przystąpiłem do niego i pożegnałem się. Na to ks. Kubaszek, biorąc asumpt do mego zamiłowania w rzeczach kościelnych, przybrał ironiczny wyraz twarzy i rzekł głośno, aby jego dowcip wszyscy dobrze słyszeli:

Chcesz iść do gimnazjum?

Jak jest – odparłem.

No, no – rzekł wikary wyraziście ze zjadliwym uśmiechem – idź do gimnazjum, ukończ parę klas, a jak powrócisz, będziesz u nas na organach grywał. Poczem odwrócił się odemnie wyniośle i odszedł z podniesioną głową, jakby spełnił jakiś godny ~~godn~~ akt obywatelski. Obecni z zakrystji nieszczerze znacząco popatrzyli po sobie. Oczywiście że to, co powiedział wikary, było wyrazem opinji, panującej naonczas na Kopyczynieckiem probostwie, bo tutaj wtedy nikt nie myślał o popieraniu oświaty. O pomocy jakiejkolwiek, choćby ta pomoc polegała na jednem słowie zachęty, nikt marzyć nie mógł, a całe szczęście, że nie leżało w mocy tych ludzi zaszkodzić. Ale nie wszyscy duchowni byli tegoż samego pokroju, jak to w kilka miesięcy później przekonać się mogłem, stanąwszy na innym gruncie w Stanisławowie. Jak mi to przykro było, że się ze mną w ten sposób pożegnał mój katecheta Kopyczyniecki, którego tak szczerze lubiałem, bo sądziłem, że był

mi życzliwym.

Prócz szkoły męskiej, której uczniem byłem, istniała w Kopyczyńcach także szkoła żeńska, ta jednak miała tylko dwie klasy. Kierowniczką jej była panna Bojarska, córka znanego proboszcza ruskiego z Husiatyna, wychodźcy chełmskiego, człowieka wybitnych zalet, którego Gołuchowscy chcieli w swoim czasie osadzić na krześle metropolity unickiego we Lwowie. Drugą siłą nauczycielską żeńską była starsza kobieta wdowa Buratynowiczowa.

*

Miła to była mieścina, te nasze Kopyczyńce. Żyło się w nich patrjarchalnie, zaciszne, swobodnie, często gwarnie i barwnie, życie toczyło się prawidłowym torem regularnie, jeden dzień do drugiego był całkowicie podobny, nowości nikt nie znosił i nie pragnął, bo i na cóż zmian było potrzeba, przecież wszystkim było jednakowo dobrze.

Kopyczyńce były ruchliwem środowiskiem kupieckiem, jednak całe kupiectwo grupowało się w rękach żydowskich. Jedynym katolickim kupcem był Maśkiewicz, mający handel korzenny przy owej ulicy za „Katabanią".

Stan mieszczański silnie był rozwinięty. Dzielili się jednak mieszczanie wyraźnie na dwie warstwy, arystokratyczną i demokratyczną. Do

pierwszych należeli Jurczaniewicze, Warszalewicze, Krukiewicze, Safianowie, Poleszczukowie a może i kilka innych, do drugich reszta. Strój niedzielny mieszczanina składał się z długiego po kolana sukiennego surduta czarnego lub granatowego (przeważnie), który ~~był~~ przypominał dawniejszą polską czamarę, noszoną powszechnie w poprzednich latach przez mieszczan miejscowych do r. 1840. Kamizelka i spodnie były tegosamego koloru jak surdut. Noszono buty z cholewami na wcale wysokich obcasach. Buciki i spodnie na nie spadające uchodziły za niepożądane nowatorstwo i pańszczenie się. Koszula biała, perkalowa miała miękki kołnierz wykładany, a na nim delikatna chusteczka ciemna, w węzeł związana, jak to się zwykle widzi na portretach Goethego. Kapelusze nosili mieszczanie sukienne, miękkie, wysokie, czarnego, wiśniowego lub granatowego koloru, z dużemi krysami i z szeroką jedwabną wstążką. W zimie na codzień chodzili mieszczanie w kożuchach barankowych biało wyprawianych, niepokrytych z wierzchu suknem. Na niedzielę i święto wdziewali sukienne watowane płaszcze długie, nieco poniżej kolan sięgające a bardzo szerokie, tak, że się na guziki nie zapinało, lecz się obie poły zawijało aż pod pachy, a wierzchnią połę przyciskało przedramieniem. Były to tak zwany „burnus". Gdy silne mrozy pocisnęły, mieszczanin wycho-

dząc z domu brał na plecy i ramiona dużą chustkę we formie pleda. Zawsze całość ubrania robiła poważne wrażenie. To jednak był już nowomieszczański strój, zmodernizowany. Dawniejsi mieszczanie do roku mniej więcej 1840 nosili ubranie inne, z polskich jeszcze czasów pochodzące. Oto wdziewali na siebie czamarę z ciemnozielonego sukna, z dużym wykładanym kołnierzem, po wierzchu zaś, po czamarze brali duży, szeroki pas rzemienny. Na codzień i do pracy przy domu była czamarka z miejscowego sukna z owczej czarnej wełny. Spodnie dość szerokie wpuszczane były w buty. Kapelusz był takim jak nowomieszczański. Ja tylko jeszcze dwóch takich ludzi znałem w Kopyczyńcach, którzy taki dawny strój nosili. Przedostatnim był Władysław Krzyżanowski syn Macieja, zamieszkały przy ul. Czortkowskiej (nieco przed pocztą Fiderera) zmarły około r. 1880, ostatnim zaś był Warszylewicz, starzec o pięknej postawie, niegdyś pierwsza osobistość wśród mieszczaństwa. Mieszkał w uliczce, wiodącej od ogrodu proboszcza ku stawu. Umarł około r. 1886, dożywszy bardzo późnego wieku. Z nim zeszedł bezpowrotnie do grobu ostatni typ dawnych mieszczan kopyczynieckich.

Kobiety chodziły skromnie ubrane w bluzkach i spódnicach z perkalu lub wełny, mając na głowie lekkie chusteczki, w zimie ciężkie chustki.

Mówiono potocznie mniej po polsku, więcej

po rusku i to w ten sposób, że wewnątrz domu mówiono między sobą przeważnie po rusku, tosamo na mieście, w szynku w sklepie, na polu – jednakże w urzędzie, w kościele, przy zetknięciu się z kimś inteligentnym mówiono tylko po polsku. Swoją narodowość polską podkreślał mieszczanin wszędzie i silnie. Nie czytano niczego innego prócz książki do nabożeństwa, bogatsi jednak kupowali kalendarze a powiastki w nim zawarte starczyły na całoroczną lekturę. Gazetę sprowadzał tylko ksiądz kanonik i prezes sądu. Do dworu Baworowskich nadchodziły niemieckie „blaty".

Mieszczanie zajmowali się rolnictwem i rzemiosłem. Najwięcej było szewców, na drugiem miejscu szli garncarze, dalej rzeźnicy, tkacze, cieśle, kowale, murarze – ubocznie zaś kwitło olejnictwo, uprawiane przeważnie przez kobiety. Jeden był tylko krawiec katolik Piątkowski. Kiedyś dawniej był tu krawcem Jan Klimowicz, który następnie przeniósł się do Lwowa a potem do Kijowa, gdzie mając przy Kryszczatyku lokal, rozwinął ze synami Hipolitem i Mieczysławem znakomicie prosperującą pracownię krawiecką. Rzemieślnicy kopyczynieccy ujęci byli w cechy i w nich pielęgnowano dawne tradycje tych zrzeszeń.

Oświaty wśród mieszczan nikt nie szerzył. Księża łaciński Piątkowski i Kubaszek zajęci i pochłonięci byli wyłącznie własnemi osobami, nie pragnęli wcale oświaty ludu a miejscowy kierownik szkoły Szarek wcale do

tej pracy był niezdolny. Przeważało zdanie i wyobrażenie: oświata to rzecz luksusowa, dobra dla wielkich panów, mieszczanin zaś jest na to, aby pilnował kopyta, gnój na pole woził i oświeconym głowom nisko się kłaniał. Jakie szczęście dla Kopyczyniec, że już w jakie 10–15 lat potem inni tu przybyli ludzie, dźwignęli oświatę, uratowali mieszczan od zruszczenia i ~~...~~ zmarnienia. Wszakże mieszczanie kopyczynieccy to pierwszorzędny materjał do oświaty, iluż z nich odznaczało się zdolnościami, intelektem, rozumem i rozwagą. Pociągnijmy paralelę. Kimże był czczony przez naród szewc warszawski Jan Kiliński?[2] Nikim innym, jak tylko małomieszczaninem z Trzemeszna (pod Gnieznem). W tem to Trzemesznie byłem sędzią i naocznie się przekonałem, że tamtejsi małomieszczanie zgoła nie stoją intelektem wyżej od kopyczynieckich, a wydali spośród siebie człowieka niepospolitych zasług i niepomnej sławy. Zresztą już dotąd wydały Kopyczyńce dużo ludzi światłych i byłoby ich jeszcze więcej, gdyby w dobie wolnościowej (1868) na czele tego miasteczka stali inni ludzie. Takim pierwszym, który z rzeszy mieszczańskiej wybił się na świecie na wyższe stanowisko i odznaczał się dużą dozą pracy twórczej był wspomniany już powyżej ks. Policki. Jego przykład pociągnął niezawodnie wielu innych.

Chłopi kopyczynieccy byli prawie wyłącznie ruscy. Polak wśród nich był wyjątkiem. Chłopi żyli z roli i zarobku, tworzyli zaś element mocno rozhukany, skłonny

do wybuchów, ~~..~~ w zetknięciu szorstki i buty. Były wprawdzie wśród ogółu chłopskiego także jednostki poważne, rozsądne, stateczne, ale tylko wśród generacji starszej, życiowo wyrobionej.

Na ogół tak mieszczanie jak i chłopi mieli się materjalnie dobrze, a niektórzy mogli się śmiało nazwać ludźmi zamożnymi.

Żył wreszcie w Kopyczyńcach liczny żywioł żydowski. Starowiercy ci zamieszkiwali w zwartej masie całe śródmieście, zajmując się handlem, rzadziej rzemiosłem. Ogół był ortodoksyjny i chałatowy, rzadko zaś żyd był w stroju innym. Praktyk religijnych i koszernej kuchni przestrzegali pilnie, a w 95% nosili pejsy i chodzili w jarmarkach. Od jak dawna zamieszkali żydzi w Kopyczyńcach, dociec niepodobna. Możemy się tylko powodować prawdopodobieństwem, że także przed zniszczeniem Kopyczyniec (tj przed r. 1660) mogli tu być żydzi, bo byli w sąsiednich miastach Husiatynie, Czortkowie, Podwyszyńcach, nie ma więc racji wątpić, że byli także w Kopyczyńcach. Natomiast po odnowieniu miasta ~~przez~~ w czasie około r. 1670 – 1690, szczególniej zaś po pokoju karłowickim w r. 1699 osiedlili się tu żydzi liczniej, a nie można pominąć milczeniem miejscowej tradycji, że drewnianą bożnicę przeniesiono z Kocinbiniec (właściwie Podwyszyniec) do Kopyczyniec, co wskazywałoby na to, że ci żydzi, którzy dawniej zamieszkiwali w Podwyszyńcach, wskutek zniszczenia i nieodbudowania tego mia-

sta, przenieśli się do sąsiednich Kopyczyniec. Domysł ten znajduje potwierdzenie w założeniu w tym mniej więcej czasie cmentarza żydowskiego w Kopyczyńcach, którego zachowany jeszcze nagrobek nosi datę 1711 roku. Brak zaś cmentarza z czasów przed zburzeniem Kopyczyniec zdaje się świadczyć, że poprzednio było tutaj żydów mało.

Pamiętam żydów Kopyczynieckich z czasów około r. 1880, kiedy jeszcze trzymali się starodawnej formy i najchętniej żyli z handlu. Do najprzedniejszych handlów żydowskich należał handel bławatny Scherzowej, mieszczący się na środku rynku — i handel korzenno papierowy Posamenta, umieszczony na rozgałęzieniu dróg husiatyńskiej i czortkowskiej. Niemal w każdym domu w rynku był szynk i każdy z tych domów był zarazem domem zajezdnym. Takim przednim domem zajezdnym a zarazem hotelem był dom Jukima, pierwszy od Stoki, spadkobierca tradycji dawnej sąsiedniej a wygasłej i zapomnianej austerji. Nawet podobno ów dom zajezdny Jakima został pobudowany po zgorzeniu austerji i z resztek materjałów z pogorzeli pozostałych. Liczne lepsze pojazdy i dorożki fiakierskie stawały przed zajazdem Jukima lub na podsieniu tego domu zajeżdżały. Koło domu Jukima kręcił się nieustannie najpopularniejszy człowiek w Kopyczyńcach, żyd Szije. Nie nosił chałatu, golił brodę a wąsy

strzygł bardzo krótko (wyprzedził więc późniejszą modę o lat 50), był starym kawalerem, ze zawodu zaś faktorem. Ledwie konie obcego wozu czy powozu zwolniły biegu, już Szije zjawiał się koło przyjezdnych i służył im swoją radą na każdym kroku. Jeżeli komu obcemu nie mógł służyć swojem faktorstwem, to brał grzebień, nakładał nań bibułkę i na ustach na tem grał, zarabiając w ten sposób na wsparcie. Dożył lat bardzo długich.

Uruchomiona w r. 1885 kolej ze Stanisławowa do Husiatyna zmniejszyła znacznie frekwencję przejezdnych kołowo przez Kopyczyńce. Placyk przed Jukimem coraz rzadziej zajmowały pojazdy, w zajeździe samym raczej miejscowi gościli ludzie, mniej zaś obcy, Jukim mniej miał dochodów, postarzał się, chodził zgarbiony, długi niegdyś czarny chałat pozieleniał na plecach ze starości, Szije siedział na ławce przed frontem zajazdu przeważnie bezczynny, a paląc w zadumie wyproszonego papierosa narzekał na kiepskie czasy, dawniej bowiem był faktorem, uchodził w mieście za jakąś figurę a po zbudowaniu kolei zmarniał jego stan, zaledwie na dworcu kolejowym znosił gościom walizkę z wagonu do dorożki i to nisko musiał się portjerom kłaniać, by przez palce patrzył na pętanie się Szije po peronie. Ale i takich gości coraz mniej było, wszędzie demokracja, każdy sam sobie toboły dźwigał, z czegoż miał żyć Szije? Toteż gdy się go

zapytał, jak mu się powodzi, mawiał z goryczą: ej Panie, dawniej lepiej żył pies, jak dzisiaj człowiek fachowy! Widziałem go po raz ostatni w r. 1900. Zmarniał bardzo, wyglądał zasuszony, jakby mumja, żył już prawie z darów z łaski, bo uruchomienie drugiej linji kolejowej Kopyczyńce – Tarnopol dobiło ~~się~~ jego fach do reszty. Jakim wobec dotkliwego zastoju zwinął swój głośny zajazd zupełnie a dom wynajął na Urząd podatkowy.

Z rzemieślników żydowskich pamiętam krawca Lubienieckiego. Robił on ubrania całej naszej rodzinie. Biedny żydowin miał liczne dzieci, pracował od poranku do nocy, lecz żył w ogromnej nędzy, zagrabiono mu wszystko za długi, ledwie maszynę do szycia zostawiając. Przypominam sobie, że na łóżkach u niego goła słoma widniała. Gdy jedna z córek podrosła, pojechała do Ameryki, tam zamąż wyszła i zabrała na drugą półkulę całą rodzinę. W Ameryce Lubienieckiemu dobrze się działo, odżył, wzmógł się na duchu i przemienił w nowoczesnego człowieka. Przysłał z Ameryki do Kopyczyniec swoim znajomym fotografię z dziećmi, z której przebijało dokładnie to jego zadowolenie ze siebie.

Żydzi mówili między sobą wyłącznie żargonem żydowskim, polskiej mowy u nich nikt nie słyszał. Sabat obchodzili bardzo ściśle, nikt z nich palcem nie tknął żadnej pracy. Pamiętam jakto w Kopyczyńcach

taki szabat się zaczynał obwoływaniem po mieście w piątek wieczór. Żyd z bożnicy, ustrojony już na szabas z lisiurką na głowie, pejsy miał jeszcze mokre od szabasowego mycia, na sobie miał chałat atłasowy po pięty, na nogach białe pończochy do kolan a czarne pantofelki na spodzie, przebiegał miasto po główniejszych punktach i donośnie wołał na ulicy: Szil aran, co oznaczało, by iść do bożnicy na wspólne modlitwy. Wnet po domach żydowskich jarzyły się świece szabasowe, Żydzi zaś szybko a milczkiem spieszyli do synagogi.

Ogromnem zbiegowiskiem w Kopyczyńcach były śluby żydowskie. Brano je – jak pospólstwo mówiło – na śmieciu, w istocie jednak na rozstajnych drogach. Tysiączny tłum różnorodnej gawiedzi wszystkich miejscowych nacji towarzyszył takiej uroczystości familijnej. Smutne natomiast były pogrzeby żydowskie. Zmarłego brano na nosze zaraz po zaszłej śmierci (jeszcze nie całkiem zastygłego), przykrywano czarnym całunem, wynoszono na cmentarz i chowano w kopanym grobie bez trumny. Dopiero około r. 1882 wyszedł zakaz grzebania bez trumien, zbijano więc odtąd bardzo prymitywne paki jako trumny, aby przepisom administracyjnym zadość uczynić. Nic jednak nie zdołało wykorzenić przesądu żydowskiego, że dla pozagrobowego szczęścia potrzebne jest zmarłemu wejść do ziemi jeszcze z ciepłotą ciała, przed ostygnięciem, stąd porywano ~~chorego~~ zmarłego z domu jak najszybciej i w pośpiechu.

*

Z szczególowych moich wrażeń dziecinnych utkwiły mi w pamięci trwogą przejmujące pożary w Kopyczyńcach. Gdy się palić poczęło, biegł ktokolwiek do dzwonnicy koło kościoła i dzwonił na alarm w jedno. Kryso. Czytając w latach późniejszych Schillera „die Glocke", w szczególności ustęp o pożarach, zdawało mi się, że autor wrażenia swoje zbierał u nas w Kopyczyńcach. Jak mrowisko rozbite, tak wyglądało miasto podczas pożaru. Wszystko co żyło leciało w kierunku łuny pożarnej, ale poto tylko, by patrzeć na cudze nieszczęście, bo nim jedyna sikawka miejska na miejsce przybyła, już słomiany dach budynku doszczętnie spłonął a płatwy i wiązania dachu dogorywały. Śmieli wdzierali się na sąsiednie dachy, by udaremnić rozszerzenie się ognia na pobliskie budynki. Pamiętam taki pożar domu Kostrakiewiczowej, obok kaplicy św. Jana przy jabłonowskiej drodze. Nie spałem w nocy i ze zdziwieniem zobaczyłem na ścianie izby odblysk jasnego, migocącego światła. Robiło się coraz widniej, gdy niebawem ogromna łuna pożogi strzeliła w górę. Nieszczęśliwi mieszkańcy wybiegli z domu, wołając o ratunek, zbiegli się sąsiedzi i poczęli wynosić sprzęty, ktoś uderzył w duży dzwon kościelny na trwogę, zbiegło się mnogo ludzi, lecz ogień tak gwałtownie się szerzył, że część rzeczy spłonęła.

Byłto pożar z podpalenia. Zięć Kostrakiewiczowej Dąbski był woźnym w sądzie i dozorcą aresztów. Ktoś uwięziony czuł się dotkniętym ścisłą służbą Dąbskiego, więc po wyjściu z aresztu ze zemsty dom podpalił. Dąbskiego podówczas w domu nie było, był w służbie na powiecie. Pamiętam, że zrozpaczona żona Dąbskiego wołała z całych sił do ratujących, by zabrali z komody srebrny zegarek męża.

Pewnego dnia około r. 1884, choć się nie paliło, uderzał ktoś w jedno krysko wielkiego dzwonu przy kościele. Otóż mieszczanka Komarnicka miała jakiś proces w sądzie. Byłato histeryczka, z którą nikt by do końca nie mógł dojść. Mąż jej był spokojnym staruszkiem, pielęgnował starannie i ze zamiłowaniem duży sad obok domu. Mieszkali na rogu ulic Jabłonowskiej i Chorostkowskiej, tuż naprzeciw kaplicy św. Jana. Byli bezdzietni. Otóż Komarnicka, nie mogąc niczego osiągnąć swoją głośną wymową w sądzie, a widząc, że szala powodzenia przychyla się na przeciwną stronę, wybiegła zirytowana ze sądu do pobliskiej dzwonnicy kościelnej, a pochwyciwszy sznur od dzwonu, poczęła dzwonić. Powybiegali ludzie z domu sądząc, że się pali. Każdy się rozglądał na wszystkie strony lecz dymu nie było widać. Pobiegli do dzwonnicy i tu dopiero Komarnicka im wytłumaczyła, że dzieje się jej krzywda i że dlatego dzwoni, by sam Bóg zwrócił uwagę na sprawę i nie dał jej krzywdy zrobić.

Jedni się na nią oburzali, że narobiła tyle trwogi w mieście, inni pocieszali ją, że dopiero teraz proces wygra, ale nikt zbytnio się nie dziwował, bo Komarnicka znana była w mieście ze swego dziwactwa.

*

Nie było zresztą w Kopyczyńcach zbyt głucho. Przez miesiące letnie nadciągali katarynkarze i przy nieco lepiej wyglądających domach grali zawzięcie cały szereg melodji. ~~Marsz Og~~ Poloneza Ogińskiego i Krakowiaki grała niemal każda katarynka. Dla młodych chłopaków byłato nielada zabawa. I jeść nie szedł do domu, ale cały dzień chodził za artystycznym przybyszem, by kilkanaście razy usłyszeć tesame melodje. Od czasu do czasu pojawiali się cyganie z niedźwiedziami i dawali widowiska ku uciesze gawiedzi. A już bardzo rzadko zjawiał się teatrzyk wędrowny i na owych ostawionych żydowskich podsieniach dawał przedstawienia polskie lub ruskie, dostępne jednak tylko dla bogatszych.

Częstsze natomiast były tak zwane komedje. Po prostu mówiąc byłyto panoramy. Stawała taka „Komedja" najczęściej na rynku, rozbijała duży namiot płócienny, wejście zastawione było świecidełkami do wygrania, nierzadko papuga na tańcuszku stanowiła atrakcję, a puszczona w ruch katarynka wabiła przechodniów do odwiedzenia wnętrza.

Czasami jakiś marny cyrk zjechał do miasta, znów była atrakcja. Szije był przewodnikiem dla „artystów" a informatorem dla publiczności, codziennie wieczorem było przedstawienie a w niedzielę nawet kilka. Raz gdy taki cyrk rozłożył się na pustej łące niedaleko probostwa, służba kościelna weszła na wieżę sygnaturki kościoła i stamtąd widziano całe przedstawienie cyrkowe za darmo, bo cyrk nie miał ~~[illegible]~~ namiotu, lecz tylko boczne ściany płócienne, arenę więc dobrze było widać z wieży.

*

Śmierć papieża Piusa IX w lutym 1878 pamiętam całkiem dobrze. Uważano go za człowieka wielkiej miary, po śmierci jego rozdawano obrazki z jego podobizną, a nie było w Kopyczyńcach jednego domu mieszczańskiego, by nie posiadał wizerunku wielkiego papieża. Uczczono jego pamięć solennemi nabożeństwami i troskano się co będzie z Łodzią Piotrową po stracie tak znakomitego sternika.

Lepiej pamiętam śmierć arcybiskupa Wierzchleyskiego w r. 1884 i nabożeństwo za jego duszę. Utkwiło mi w pamięci, że przy katafalku w kościele kopyczynieckim duchowieństwo stawało — nie jak zwykle — za, lecz przed katafalkiem, na linji kazalnicy, co dopiero wówczas po raz pierwszy wtedy widziałem. Proboszcz Białkowski odprawiając żałobne ceremonje pogrzebowe, płakał,

291



Pięćdziesięciolecie śmierci Wielkiego Papieża. Dnia 7. lutego 1878 r. zmarł jeden z największych Papieży, Pius IX. (ur. 13 maja 1792 jako hr. Mastai Feretti). Na stolicę Apostolską powołany w r. 1846 zapisał się głęboko w dziejach Kościoła Katolickiego, a także i w sercach Polaków, których był przyjacielem, gorliwie chociaż bezskutecznie — wobec braku władzy świeckiej, broniąc ich przed uciskiem rządów carskich. Panowanie Piusa IX. obfitowało w dramatyczne wydarzenia, zarówno w klęski jak i triumfy. Rewolucja r. 1848 zmusiła go do opuszczenia Rzymu, walki o niepodległość i zjednoczenie Italji pozbawiły go państwa kościelnego, nie ugięły jednak jego niezłomnego ducha. Z drugiej strony, powierzony jego pieczy kościół skonsolidował się wewnątrz za jego rządów, zarówno przez ogłoszenie w r. 1854 dogmatu o Niepokalanem poczęciu, jak i przez uchwały ostatniego Soboru w r. 1870 w Watykanie odbytego, który ogłosił dogmat o nieomylności Papieża. W walce, wydanej pod nazwą „Kulturkampfu" przez Bismarcka kościołowi katolickiemu Pius IX. dzięki niezłomnej obronie praw Kościoła zmusił swego groźnego przeciwnika do ustąpienia, a swoją opieką nad przedstawicielami Kościoła w Poznańskiem, szczególnie nad Kardynałem Ledóchowskim zaskarbił sobie ponownie serca Polaków.

co wydało się niezmiernie podziwu godnem, że człowiek tak twardy i bezwzględny na łzy się zdobył. Widać jednak, że miał podstawę do zachowania względem swego ~~przeciwnika~~ arcypasterza uczucia wdzięczności i żalu.

*

Bunt chłopski w r. 1883 lub 1884 wstrząsnął całem miastem. Ówczesny wikary ruski Siczyński był uosobieniem rewolty, burzył niedojrzałe politycznie elementy, szerzył niezadowolenie, usposabiał je wrogo do władz i do społeczeństwa polskiego. Pewnej letniej niedzieli większa ilość chłopów zgromadziła się na rynku Kopyczynieckim i grupami debatowała. Po rynku przechadzał się żandarm, pełniący tego dnia służbę. Nie wiem z jakiego powodu doszło pomiędzy nim a chłopami do nieporozumienia. Żandarm posłał tajnie małego chłopca na posterunek po pomoc. Wnet nadeszło trzech lub czterech innych żandarmów i aresztowali jednego chłopa. Założono mu łańcuszek na ręce i odprowadzano do aresztów. Za nim ruszył cały tłum chłopów. Pamiętam jak ów chłop, okuty łańcuszkiem potrząsając rękami wołał po rusku do tłumu: popatrzcie, czegom się dosłużył! Jednakże żandarm w zdenerwowaniu, zakładając łańcuszek na ręce, spiął go wprawdzie kłódeczką, ale jej kluczykiem nie zamknął. Chłop więc łatwo uwolnił się od

Tańcuszka i korzystając z natłoku zniknął w tłumie a następnie uciekł drogą ku Jabłonowu. Przed zajazdem Jukima tłum przybrał wrogą względem żandarmów postawę, otaczając ich zewsząd. Daremne były wołania żandarmów do rozejścia się. Żandarmi cofnęli się pod ścianę frontową zajazdu i stąd najpierw dali salwę karabinową w powietrze, a gdy tłum nie cofnął się, strzelili do tłumu. Padły trupy, kilku zaś chłopów odniosło śmiertelne rany. Dopiero wtedy tłum pierzchnął i momentalnie rozleciał się, aż podczas ucieczki ziemia dudniała od dużych butów chłopskich. Pobiegłem popatrzeć na miejsce wypadku. Widziałem jednego młodego chłopa w kożuchu, leżącego trupem na gościńcu tuż przed samotną lipą rosnącą na skraju tłoki, drugi zabity leżał pod parkanem domu Wincentego Warszylewicza. Niebawem nadeszły kobiety z rodziny i zaczęły lamentować. Nazajutrz kilku chłopów umarło z ran a z Czortkowa przybyła kompanja piechoty i zaciągnęła patrol po mieście. Jaki był epilog tej rewolty nie wiem, jednak przebieg tej rewolty utkwił mi w pamięci.

*

W tychto mniejwięcej czasach dotarł do Kopyczyniec epokowy wynalazek wody sodowej. Nikt o niej dawniej nawet nie słyszał. Poczęto ją sprzedawać bądź w syfonach, bądź na szklanki około r. 1883. Kto żył w Kopyczyńcach, pił wodę sodową. Pił ją mieszczanin, żyd, żandarm, chłop, student, fiakier, legier, kobiety każdego wieku i kto tylko miał jednego centa w kieszeni. Chłopki brały

umyślnie dzieci do miasta, aby im kupić wody sodowej. Wielkiej rozkoszy doznawał popijający ją, gdy gaz wypitej wody odbił się potem nosem, aż łzy się w oczach zaiskrzyły. Przekupnie wody sodowej byli oblegani. Kupcy korzenni, chcąc przyciągnąć do swego handlu większą klientelę, poczęli sprzedawać u siebie wodę sodową. Im który większą szklaneczkę dawał za centa, tem większy miał natłok odbiorców. Ja np. piłem ją u naszego handlarza zeszytów i ołówków Posamenta, który za centa niezgorszą dawał szklaneczkę. Ten i ów nawet biadał nad przyszłością szynków i nad zagrożoną konsumpcję spirytusu. Jak się ludziska wzięli do picia wody sodowej — mówiono — że niebawem potrzeba będzie połowę szynków zamknąć! Ale złudne były obawy. Chociaż gaz wody sodowej łechcąco bił w ~~otow~~ otwory nosowe, przecież rychło spowszedniał, a potężna i wieczna moc spirytusu wzmagała się w konsumpcji coraz bardziej i bardziej. Nowe szynki wyrastały w mieście jak grzyby po deszczu i żaden nowy wynalazek nie wyrugował odwiecznej gorzałki i złocistego piwa.

*

Wspaniałem a pamiętnem zjawiskiem na niebie była widziana w Kopyczyńcach na północno-wschodniem niebie w r. 1882 piękna a tajemnicza kometa o dużym, jasnym, miotłowatym ogonie. Widniała na firmamencie w nocy naprzeciw oblicza figury św. Rocha. W pogodne

wieczory ludzie wychodzili gromadnie przed domy i patrzyli na to niezwykłe zjawisko niebieskie. Ile razy spojrzę na genjalny obraz Grottgiera „Kometa", tyle razy przeżywam ponownie moje niezatarte wrażenia z chłopięcych lat. Patrzyli na kometę w Kopyczyńcach starzy i młodzi, uczeni i prostaczkowie, patrzyłem i ja w podziwie i słuchałem, co o niej mówią mądrzejsi odemnie i bardziej doświadczeni. A mówili różnie. Jedni powiadali, że to zjawisko ~~zw~~ zwykłe, będzie czas jakiś, potem zniknie. Ale tych zwano przeuczonymi i niedowierzająco ludziska kiwali głowami mówiąc, że nie jest to rzecz tak zwykła, jak uczeni twierdzą, bo wielkie rzeczy dziać się będą na świecie, kto wie co się jeszcze stanie, może się ziemia zapadnie, albo pomór będzie, albo koniec świata. I każdy po swojemu to tłumaczył a niejeden czuł trwogę. Ksiądz kanonik Białkowski wychodził czasem na dziedziniec kościelny a otuliwszy się w pled z powodu dokuczliwej neuralgji twarzy długo wpatrywał się w błękitną toń nieba, na której jaśniała złocista kometa, pędząca gdzieś w nieskończoną przepaść wszechświata. Dyrektor szkoły Szarek przesiadywał całymi wieczorami z wikarym ks. Kubaszkiem na ganku mieszkania dyrektorskiego obok kolumny św. Rocha i coś obaj dyskutowali, gestykulując rękami. Szije posmutniał i każdego przyjezd-

nego pytał, co tam w świecie o Komecie mówią, a bardziej ciekawi pytali dworaków, co o tem pisze niemiecka gazeta, bo na Kopyczynieckim dworze dominowała gazeta niemiecka — jednem słowem zagmatwanie było powszechne a temat do rozmów i kombinacji bardzo obszerny, barwny i nieuchwytny. Ktoś przyjechał z Tarnopola i mówił, że tam są pewni, iż jeden ze znamienitszych ludzi umrze, bo jak przed kilkudziesięciu laty pokazała się na niebie Kometa, wnet umarł Napoleon. Poczęli ludzie zachodzić w głowę, ktoto ma być tą ofiarą Komety w Kopyczyńcach, tak jakby właśnie tu ktoś był tak bardzo znaczny, jak w swoim czasie był Napoleon i tylko tutaj kometa miała obrać sobie okup ziemski. Rozwiązały się ludziom języki, a gadać i gadać lubieli ludziska w Kopyczyńcach z namiętnością. Hoho – wiem ja kto skrajny, mniemał niejeden, ale ciężko o tem mówić. Gmin sądził, że tą ofiarą będzie sędziwy proboszcz ruski Szankowski, albo staruszka matka hrabiego Emilja Baworowska, lecz że to były osobistości bardzo w mieście szanowane i zacne, dlatego nie mówiono o tem głośno, zaledwie dawano do poznania, iż tylko ktoś z tych dwojga pożegna ten padół. Ale przeczucia te płonne się okazały, oboje szanowni staruszkowie żyli jeszcze po Komecie długie lata.

Na rynku Kopyczynieckim stawały gromadki mieszczan w długich kapotach, radząc zawzięcie o niezwykłej Komecie, która co noc zagrażała spokojowi całego miasta. Najgłośniej dowodził zgonnik Podoba. Był to człek rosły,

barczysty, o twarzy ogorzałej z granatowym od trunku nosem, lat około 50 liczący. Codzień uwijał się w wypłowiałej kapocie po zagrodach i po targach, skupując świnie dla miejscowych rzeźników, bo na tem polegał zawód rzeźnika. Podoba był mieszczaninem o mniejszej estymie, nie śpiewał z bractwem godzinek i na procesjach świecy nie dostawał, wszak zawód rzeźnika do mniej szanownych należał. Ontó oparty na jasnej lasce kulbace, jako bywalec jarmarczny po okolicznych targach i miasteczkach, perorował często a głośno o komecie. Będzie źle – prawił na rynku do narodu – będzie źle, sto razy to mówiłem, nie moja wina, że mię nikt nie słuchał. Zawsze mówiłem – opamiętajcie się ludzie, żyjcie po bożemu a w zgodzie i dajcie żyć drugiemu. Ale ludzie coraz bardziej tonęli w złości i grzechu, aż oto Bóg zesłał kometę, która niczego dobrego nie wróży. Pamiętam jak to nieraz nieboszczyk kanonik Gromnicki, najmędrzejszy człowiek na całem Podolu mawiał na kazaniu: przyjdzie kiedyś koniec świata, gwiazdy z nieba lecieć będą i słońce zagaśnie i będzie płacz i zgrzytanie zębów. I prawdę mówił, jakby z ewangelji czytał, oto macie już początek tego końca, idźcie w nocy przed chatę i popatrzcie na niebo, co się tam dzieje. Ogon komety coraz się do nas przychyla, a jak machnie na ziemię, to kamień na kamieniu nie pozostanie! Ludzie dość nabroili i źle się dzieje na świecie, jak nigdy przedtem. Ludzie stali się zuchwali i podufali, jakby

chcieli wszystko do góry nogami wywrócić. Ot, popatrzcie, co się koło nas dzieje. Dziś chłop prosty na targu tak się do mieszczana stawia, jakby mu był równy! Czy to kiedy przedtem bywało na świecie, wszakże dawniej ~~[illegible]~~ woniejący dziegciem chłop mieszczana w rękę całował, a dziś chce być z nim za panbrat! Ot taki Baran, już nie chce być Baranem, ale przezwał się Barańskim. Chłopi po wsiach już herbatę piją! I to nie ma być kara boża! A wśród mieszczan także jest dużo złego a mało dobrego. Ciągle jedni i ci sami są radnymi i nie przypuszczają innych, choćby mieli lepsze od nich głowy! Kobietom modnych strojów się zachciewa, nie pójdzie już w innej chustce, jak szalinowej! Hej ludzie dobrzy – ludzie dobrzy, opamiętajcie się, bo się zbliża sąd boży. A najgorsza to ta żydowska wiara, już dawno to mówiłem i ciągle to powtarzam. Tumanią ludzi, jak mogą i coraz bardziej naród niszczą. Dawniej, jak się napiłeś wódki a zakąsiłeś bułkę i kiełbasą czosnkowaną, to szedłeś do domu wesoły i ochoczy, jakbyś na skrzydłach leciał, jeszcześ sobie po drodze piosnkę zaśpiewał. A dziś wypijesz trzy lub cztery kieliszki, czujesz ciężkość w nogach a zamęt w głowie i gdy wracasz do domu, to cię jakieś licho coraz z drogi przemocą

ciągnie do rowu, tak, że nim dojdziesz do chaty, trzeba czasami i kilka razy przedrzymać się w rowie i dobrze potem naglądać, aby cię żandarm na sztrof nie zapisał. A to wszystko dlatego, że żydzi wrzucają czary do beczek z wódką, najczęściej zieloną głowę kaczora. Jednem słowem, źle się dzieje, bardzo źle — musi przyjść koniec świata i to w niedługim czasie. Ależ kto dziś pije wódkę — przerwał mu Rostanowski — mieszczanin przedni i choć niepokaźny, lecz wcale wymowny. Wódka dla chłopstwa, teraz za wzorem Amerykanów x mieszczanin pije rum. Tam już nikt kaczego dzióba nie wrzuci, bo rum się trzyma we flaszkach. Pijcie Podoba sam rum, a nic się wam nie wydarzy. I kometa nie będzie tak straszna i nos będzie mniej siny i w rowie leżeć nie potrzeba. Niedowierzał Podoba tym słowom twierdząc, że dopiero potrzeba spraktykować przez dłuższy czas, aby nabrać dobrego wyobrażenia o sile i właściwościach rumu. Wnet też cała gromada mieszczan posunęła do szynku Berisza, niedaleko żydowskiej bożnicy, gdzie był najlepszy rum marki „Kuba". Tam też dokończono kometowej debaty. Niebawem kometa znikła i poszła w niepamięć, a z nią prysły wszelkie złe przeczucia. I toczyło się w Kopyczyńcach życie dalej zwykłym torem, a po komecie pozostało tylko wspomnienie.

*

*

Metamorfoza Kopyczyniec. Od czasu mego wyjazdu z Kopyczyniec minęło lat 47. Zaledwie przelotnie widziałem je potem kilka razy bądź jako student, bądź później jako sędzia. Jakżeż wielce one się zmieniły pod każdym względem. Coraz bardziej traciły cechę zacisznego kresowego miasteczka. W miejsce malowniczych bielonych domków mieszczańskich o słowiańskiej słomianej strzesze, powstawały domy murowane, blachą kryte, lub kamienice piętrowe. W miejsce deptanych ścieżek pokładziono skrajem ruchliwszych ulic chodniki z płyt trembowelskich. W miejsce powolnych bryk, sunących długą karawaną po podolskich gościńcach, mknęły przez żyzne pola kopyczynieckie pociągi kolejowe, ba nawet prywatne gimnazjum w Kopyczyńcach powstało, a po powrotnem przeniesieniu starostwa z Husiatyna, stały się Kopyczyńce siedzibą władz powiatowych i ośrodkiem ruchu całego powiatu.

A ludzie? Ci najbardziej się zmienili! Znikł bezpowrotnie typ rdzennych mieszczan kopyczynieckich, przywiązanych do prastarych zwyczajów, skromnych w duchu, godnych w poczuciu, wyniosłych w tradycjach.

Jakaż szkoda, że typ ten zginął na zawsze a potomkowie mieszczan wytworzyli typ nowoczesny, zdrobniały, swarliwy, podupadły.

Ino pośród tej prastarej osady stoi niezmieniony kościół Kalinowskich, jakby arka przymierza łącząca dawne i nowe pokolenia, w starych konturach zakrzepła w zewnętrznej formie takiej, jaką nadali jej nigdy nie zapomniani Ludwik Kalinowski i ks. Kanonik Szczepankiewicz. Droga pamiątka dawnych czasów przechodzi z rąk jednych pokoleń w drugie i ona sama tylko jest świadkiem przejść i przeżyć tych to pokoleń i łącznikiem ich trwałym po wszystkie czasy.



Kościół Kopyczyniecki według stanu z r. 1906. Widoczny jest jeszcze pierwotny dach gontowy. Probostwo już przerobione, dawny parkan usunięty a dano nowy, niski.

Bo zresztą zmieniło się i zmienia w Kopyczyńcach wszystko i wszyscy. Dawne miasteczko znika, a na jego zwaliskach powstaje nowe miasto, strojniejsze od

dawnego, gwarniejsze, ruchliwsze i wytworniejsze. Ale ludzie mniej są od dawnych szczęśliwi, ciasno im i duszno, ciężko walczą o byt i chleb powszedni, potworzyły się nacje, obozy, partje zjadające się w swarach i ścierające w walkach, które coraz bardziej się zaostrzają, często wśród syku nienawiści i mściwej pożogi.

Dawne, miłe, zaciszne, do duszy lgnące Kozpyczyńce należą do niepowrotnej przeszłości. Uchwytem niektórych momentów starałem się naszkicować to dawne miasteczko w ostatniej jego staroświeckiej fazie, ale wspomnienia te nie mogą być dokładne, bo chwytał je niewprawnem, niemal dziecięcem okiem chłopak szkolny, którego bardziej interesowało gwarne i rozigrane kółko młodych towarzyszy, niż tok spraw społecznych w mieście. Wiele się z tych wrażeń dawnych przez upływ lat i następną wędrówkę po świecie zatarło, wiele spłowiało lub przez mgłę się je widzi, ale przecież to co się przechowało w pamięci, stanowić może mały obrazek minionej doby naszego miasteczka. A była to doba barwna, swojska, romantyczna, godna trwałych wspomnień i wiekowej pamięci.

Stanisławów

Wspomnienia studenta gimnazjalnego.

Stanisławów

Lata 1884 – 1889.

Któż z nas nie czytał barwnego opisu owego pamiętnego wyjazdu Adama Mickiewicza z miasteczka Nowogródka do Wilna na studja, pierwszego jego ruszenia w świat rozległy, celem rzucenia na szerszą arenę swej wartości. Roje myśli krążyły młodemu chłopcu po głowie, serce raźnie biło, tężał duch w piersiach, mięszały się uczucia radości i żalu, odwagi i niepokoju, zapału i niepewności. Tak jak wyjeżdżał Mickiewicz z domku rodzinnego do wielkiego miasta, wyjeżdżało tysiąc innych młodych ludzi do nauk, a choć nikt nie dosięgnął tych wyżyn duchowych, na jakie on wstąpił, to jednak każdy przeżywał w duszy tesame uczucia i obraz tego jedynego wyjazdu w życiu wrył mu się w pamięć

głęboko po wszystkie dnie. Przeżywałem i ja taki wyjazd z domu i mnie on żywo stoi przed oczyma, miałem i ja radość, że idę do dużego miasta, ale miałem i niepokój czy podołam naukom. Krajało się serce z powodu rozłąki z rodzicami, lecz zarazem myśl się rwała do rojnego środowiska ludzkiego na szerokim świecie.

Przy końcu sierpnia 1884 zajechała wiejska furka przed dom folwareczku Antonówki koło Dźwinogrodu nad Dniestrem, gdzie wówczas mieszkaliśmy, wsiedliśmy na nią w trójkę, a to ojciec, brat i ja i przy lekkim deszczyku, wczesnym rankiem ruszyliśmy w drogę. Zrobił ruski chłopek krzyż batogiem nad małymi końkami wiejskimi, ruszyliśmy z miejsca, lekki wóz potoczył się raźnie polną drożyną podolską, a ja siedząc za woźnicą plecyma o niego oparty i patrząc wskutek tego wstecz, długo widziałem matkę, stała przed gankiem domu i tłumiła żal w piersiach z powodu odjazdu dzieci. Na Samuszyn, gdzie promem przeprawiliśmy się przez Dniestr na brzeg bukowiński, zdążyliśmy pod noc do Czerniowiec. Nie było jeszcze wtedy kolei podolskich i najbliższą naszą stacją kolejową były Czerniowce. W nocy wsiedliśmy z bratem na pociąg ku Stanisławowu a ojciec powrócił tąsamą furką do Dźwinogrodu. Jechałem wtedy pierwszy raz w życiu koleją pełen podziwu i zainteresowania, a serce

zabiło mi raźnie, gdy około południa następnego dnia pociąg stanął na dawno oczekiwanem miejscu przeznaczenia tj. na dworcu kolejowym w Stanisławowie.

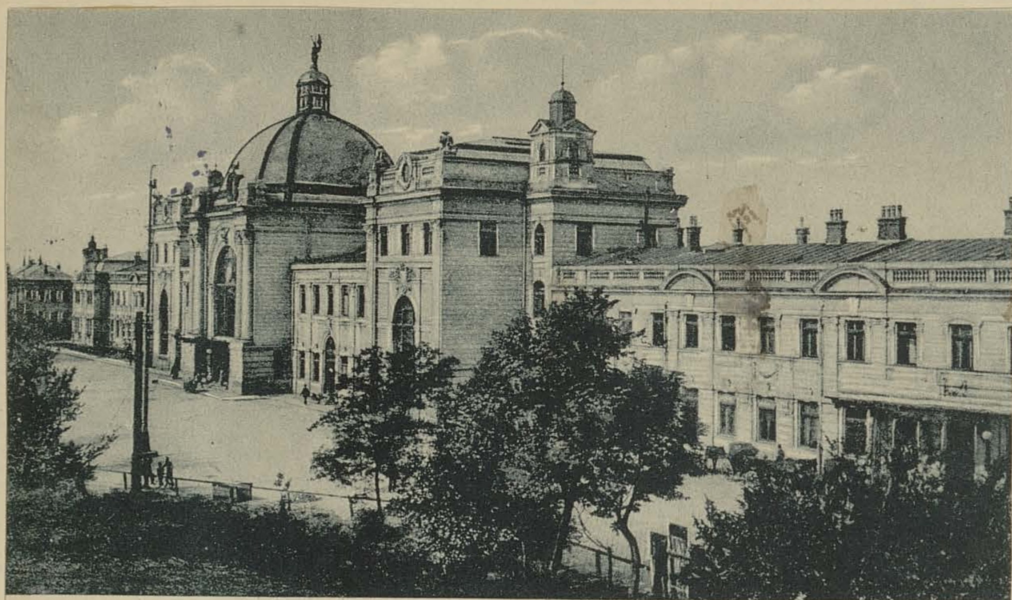
Całe gromady studentów wysypały się z wagonów, witali się, pozdrawiali, żartowali, pomagali jedni drugim znosić tobołki i tłumoki, ruch był ogromny, młode, wesołe oblicza szkolnej rzeszy miłe czyniły wrażenie, wmieszałem się i ja w ten tłum gwarny, ale jeszcze nie znałem nikogo i nie miałem kolegów, patrzyłem tylko na wszystko rozszerzonemi źrenicami:

Dworzec kolejowy stanisławowski leżał w obrębie gminy Knihinina. Obrazek tu umieszczony przedstawia widok z roku około 1885. i jestto jego strona od zajazdu dorożek.



Przecisnęliśmy się z bratem przez tłum podróżnych i wyszliśmy na plac za dworcem, gdzie rojny tabor dorożek różnego typu oczekiwał gości. Zgiełk był nie do opisania, dorożkarze zapraszali do siadania, ten i ów wywoływał nawet cenę, za jaką zawiezie do miasta, inny klepał ręką po poduszce siedzenia, jakby chciał dowieść, że miękko i wygodnie będzie można zajechać do domu – ale dla studentów te powozy były niedostępne. Dla nich i dla mniej zamożnej braci stały nieco na uboczu wózki proste, w jednego konia zaprzężone, marny żydowin czekał cierpliwie na podróżnych i rad był, gdy się zbliżyło grono studentów, pytali o cenę, składali się, tragarz przyniósł kufry i po kilku młodzieży szkolnej jechało do miasta takim to niezbyt wygodnym wehikułem. Pojechaliśmy i my za 25 centów do Bursy im. Kraszewskiego, gdzie miałem zamieszkać i tu ledwie otrzepałem pył podróżny, poszedłem z kilku starszymi bursakami oglądać miasto, bo jeszcze dopóki się rok szkolny nie rozpoczął, nie było niewoli bursackiej i można było bezkarnie pójść do miasta. Przeszliśmy w trójkę z Tadeuszem Kisielewskim i Michałem Podgórskim przez główne ulice, patrzyłem na miasto z wielkiem zaciekawieniem i te pierwsze wrażenia pozostały mi w umyśle na zawsze.

Poszliśmy najpierw na rynek. Był to duży czworobok, naokoło miał jedno i dwupiętrowe kamienice, mnóstwo sklepów było w parterze a na piętrach mieszkania.



STANISŁAWÓW. Dworzec kolejowy. po przeróbce i upiększeniu około r. 1910.

Sklepy w rynku były drugorzędnej jakości, prawie same żydowskie kramy, mocno przegniłemi śledziami i porozlewaną naftą woniejące. Katolicka była jedynie apteka Beila. Jedna kamienica na rogu ku farze była trzypiętrowa i na to mi też starsi studenci z dumą wskazywali.

Na środku rynku stał wcale kształtny ratusz z ładną wieżą. Dniem i nocą krążył na jej szczycie strażak ogniowy, dając świstawką znak po wybiciu każdego kwadransa, że czuwa. W razie pożaru dzwonił na alarm a nadto wskazywał kierunek pożaru w dzień chorągiewką, w nocy latarką. W parterze miał ratusz

szereg sklepów (pomiędzy nimi słynny skład masarski Zajączka) na piętrze urzędował Magistrat. Rządził wtedy miastem burmistrz Kamiński, ze zawodu adwokat. Była to znamienna osobistość. Człowiek rosły, barczysty, lat około 55 liczący, brunet, z dużemi wąsami, postać poważna, cośkolwiek podobny do Sobieskiego na pomniku na wałach we Lwowie, dawny powstaniec z r. 1863., mówca, patrjota, człowiek przedsiębiorczy i rzutki, zdolny, obrotny i ambitny. Mieszkał przy ulicy zwanej Metą Żabłotowską, przezwanej później według jego nazwiska ulicą Kamińskiego. Miał ładny własny dom parterowy, do Magistratu jeździł miejskim faetonikiem, zaprzężonym w jednego konia, kierowanym przez miejskiego strażnika ogniowego. Faetonik posuwał się codziennie najludniejszemi ulicami, a to Sapieżyńską, Karpińskiego, ku rynkowi. Na tylnem siedzeniu widziało się Kamińskiego w przygarbionej nieco pozycji, gdyż * siedząc opierał się obu rękami na grubej zakrzywionej lasce, z którą się nie rozstawał.

Wyglądało na zewnątrz, że Kamiński cieszył się powszechnem poważaniem, zdaje się jednak, że musiał mieć także i antagonistów zwalczających go, bo pamiętam, jak podczas jakichś wyborów, gdzieś około r. 1887 kandydował Kamiński, lecz miał silnego kontrkandydata. Jak zwykle, rozlepiano wtedy mnogo plakatów, zalecających tego lub owego kandydata. Był także plakat nawołujący do głosowania za Kamińskim, lecz w drukarni zrobiono figla nie lada i na

czcionce „K" w dużym napisie wyrazu „Kamiński" wyryto słowo „proces", bo widocznie Kamiński mawiał się wówczas wgmatwać w jakiś proces, który jak kłoda leżał na drodze do dalszych zaszczytów. Wyglądało to tak:

PROCES
KAMIŃSKI

Druk był czarny a wyraz „proces" pozostał biały. Kto przeczytał plakat, uśmiechnął się dwuznacznie i wiedział już o co idzie. Jako student, nie mogłem wiedzieć, jak się te sprawy mają, ale bądźcobądź tym zalecającym Kamińskiego plakatem ktoś mu zrobił prawdziwie niedźwiedzią przysługę. Gdy przy następnej kadencji rady miejskiej nie został nadal wybrany burmistrzem, przeniósł się Kamiński do Śniatyna, pełnił nadal adwokaturę i tam życia dokonał.

Zastępcą burmistrza był adwokat Szydłowski, człowiek bardzo poważny i cieszący się powszechnym szacunkiem. Mieszkał na rogu ulicy Sapieżyńskiej i Zabłotowskiej (później zwanej Trzeciego Maja) w domu parterowym z oszkloną werandą. Dom ten leżał w głębi ogrodu, później jednak spadkobiercy całą tę realność sprzedali i na niej pobudowano szereg kamienic a nawet w tylnej części wybito nową ulicę ku szkole realnej.

Nieopodal ratusza stał kościół ormiański. Proboszczem ormiańskim był Ks. Romaszkan, wygodnie bardzo żyjący, bo przyjął do kościoła OO. Jezuitów, ci często odprawiali nabożeństwa, ludu było w kościele i natłoczno, a Ks. Romaszkan miał wygodę i pracować nie potrzebował. Toteż, gdy czasami miał kazanie, niemal że czytał je z homilji. Jakiś czas był tu wikarym Ks. Teodorowicz, późniejszy arcybiskup ormiański.

Z rynku obok ~~owej~~ owej trzypiętrowej kamienicy wchodziło się na plac, przy którym stał kościół parafialny, gimnazjum i kościół jezuicki, zamieniony na cerkiew. Kościół parafialny stanowił jakby mauzoleum rodziny Potockich. Odnowiony po niedawnym pożarze, miał wewnątrz liczne posągi Potockich, a w podziemiach ich groby. Na parafii łacińskiej zasiadał podówczas proboszcz Ks. Jan Krasowski (ur. w r. 1804. ord. 1828), staruszek, małego wzrostu, człowiek cichy, dobry, Bogu oddany. Za młodych lat był w r. 1829 wikarym w Kopyczyńcach, gdzie go jeszcze starzy ludzie pamiętali. Wikarymi byli Ks. Cewe i Ks. Loga.

Znaczną część jednego boku placu stanowiło gimnazjum, pomieszczone w dawnym budynku jezuickim. Spoglądnąłem na nie z trwogą, bo nie wiedziałem jeszcze, jakie losy złączą mię z tą starą budowlą. Z budynkiem gimnazjalnym złączony był kościół gimnazjalny (jezuicki), w którym komornem mieściła się parafia ruska. Proboszczem grecko-katolickim był Ks. Szankowski, wdowiec, rzeźwy



ruchliwy, wysoki, brunet o śniadej cerze, Polakom nieprzychylny. Kiedy około roku 1884 utworzono w Stanisławowie ruskie biskupstwo, Szankowski został Kanonikiem. Wtedy to przerobiono Kościół jezuicki na ruską Katedrę. Przy restauracji odkryto grobowiec Potockiej, siostry króla Leszczyńskiego, która była dobrodziejką tego Kościoła, bo prowadząc hodowlę kanarków na szeroką skalę, sprzedawała je, a za pieniądze stąd wzyskane ufundowała wspaniały wielki ołtarz w Kościele jezuickim. Kości jej wraz z marmurową trumną przeniesiono wtedy z Kościoła jezuickiego do Kościoła parafialnego do grobów rodziny Potockich.

Rynek nie był ośrodkiem ruchu miejskiego, gdyż

właściwem centrum miasta był plac dawnego rynku (zwany za moich czasów urzędowo pl. Franciszka Józefa), położony przy zbiegu ulic Sapieżyńskiej, Belwederskiej, Kazimierzowskiej i Karpińskiego.

Pryncypalną ulicą była Sapieżyńska. Przy niej były najładniejsze sklepy, pokaźne wystawy, szeroki chodnik, tam przewijały się pierwszorzędne postaci świata stanisławowskiego, pyszniły się strojnisie, kręcili się cywilni i wojskowi, było jakby salon eleganckiego Stanisławowa. Tak było aż do roku 1916/18, następnie bowiem podczas ostrzeliwania miasta w czasach wojny światowej, zniszczono centrum miasta, główna część ulicy Sapieżyńskiej legła w gruzy i na tym odcinku zamarło życie. Za moich czasów lubich studenci z całą rozkoszą kręcić się po wygodnym chodniku ulicy Sapieżyńskiej, choć częstsze spotkanie na tym szlaku ucznia z profesorem, było podstawą niezbyt dobrej opinji o pilności ucznia.

Miłą, wojską, przestronną była ulica Lipowa. Mało miała kamienic, może zaledwie kilka, resztę stanowiły domy i dworki, pamiętające dawne, lepsze czasy.

Najpiękniejszym domem w Stanisławowie była Kasa Oszczędności, postawiona przez miasto na początku ulicy Kazimierzowskiej.

Rozwój Stanisławowa skrępowany był otaczającymi go zewsząd Knihininami. Prawie każda ulica stanisławowska kończyła się jakimś Knihininem, stąd wjazd do tego pięknego miasta nie czynił szczególniejszego wrażenia.

Z dwu stron miasta płynęły bliźniacze rzeki Bystrzyce, a to Sołotwińska i Nadwórniańska, jednakże wbrew tej nazwie geograficznej na miejscu ~~[illegible]~~ zwała się pierwsza Halicką, druga Tyśmieniecką, takżesamo też zwały się dwa mosty drewniane, na tych rzekach postawione. Na Bystrzycach w porze letniej było życie wcale rozbudzone. Mknęły spławy, mnogo ludzi kąpało się w zdrowej, górskiej wodzie, wędkarze łapali ryby, z mostów ludzie przyglądali się ruchowi na rzece, a obszerne łęgi po obu brzegach Bystrzyc, liczne miały ścieżyny i cieniste zakręty, które różnym na różne służyły cele i nieraz spłoszyć tam było można nietylko parki ptaszęt nadbrzeżnych, ale



STANISŁAWÓW. Kościół farny.

i czułą parę kochliwych stanisławowian, zwłaszcza z pod znaku Marsa. Prócz dwu mostów drewnianych miała każda z rzek także potężny most żelazny. W roku 1889, gdy byłem w piątej klasie gimnazjalnej mieliśmy na domowe niemieckie zadanie opisać żelazny most kolejowy na Bystrzycy Sołotwińskiej. Kolega nasz Jan Kałyn, przybyły tego roku z innego gimnazjum, nie znał tego mostu. Poszedł więc pewnego popołudnia, aby most oglądnąć. Począł mu się przyglądać, mierzył krokami jego szerokość a potem długość i wyjąwszy z kieszeni notesik, zapisywał wyniki. Spostrzegł to czujny strażnik kolejowy, ujął Kałyna i jako podejrzanego o szpiegostwo, zaprowadził na stację kolejową, gdzie wezwana żandarmerja sprawą się zajęła. Dopiero gdy zapytany dyrektor gimnazjum potwierdził obronę ucznia, puszczono go na wolność, w szkole zaś zmieniono nam temat na opis ogrodów publicznych w Stanisławowie.

Miasto nie miało wówczas żadnych parków. Były ładnie uporządkowane wały tuż za pałacem Potockich (obecnym szpitalem wojskowym), miały kilkanaście ławek, ale nie były one przystępne dla wytworniejszej publiczności, gdyż synowie Marsa i mamki miejscowe wylęgały gromadą na wały z licznym zastępem dziatwy żydowskiej. Nadto miał Stanisławów dwa małe ogródki przy ul. Sapieżyńskiej, jeden na miejscu dawnego rynku i spalonego ratusza, drugi tuż ~~ob~~ obok (zwany Kraterówką). Oba miały dość ławek, jednak pobyt w ogródkach nie był miły, bo dolatywał kurz uliczny i wyziewy z postoju dorożek.

Osobliwymi zabytkami były dwie stare budowle, a to resztki muru obronnego w okolicy starego gimnazjum niedaleko pierwotnego kościoła jezuickiego, tudzież dawny pałac Potockich, sprofanowany i przemieniony na szpital wojskowy, od którego woń jodoformu i karbolu biła aż na sąsiedni plac Trynitarski. Przy tymże placu były w starych budynkach Sąd obwodowy i powiatowy, oba bardzo nędznie pomieszczone. Naprzeciw w potrynitarskim klasztorze mieściło się więzienie.

W sierpniu 1884 stałem się więc stałym mieszkańcem pięknego miasta Stanisławowa. Sprawy miejskie mało mię wtedy interesowały. W pamięci pozostały mi jedynie stosunki i warunki życia studenckiego, a to tak w gimnazjum jak i w bursie im. Kraszewskiego, gdzie za małą zapłatą dostawało się całe utrzymanie. Zresztą jedynie bogaci ludzie mogli sobie podówczas pozwolić na studja, bo gimnazja były tylko po większych miastach i utrzymanie studenta poza domem przystępne było tylko dla warstwy zamożniejszej. Chcąc także umożebnić naukę młodzieży zdolnej a ubogiej, ludzie dobrej woli i szlachetnego ducha założyli bursę celem przyjścia młodzieży z pomocą. Bursę utrzymywało kilkaset osób, związanych w Towarzystwo. Każdy członek wpłacał najmniej 3 zł. austr. rocznie. Myśl założenia bursy podjął około roku 1880 profesor gimnazjalny Piotr Parylak, a ponieważ wtedy był Kraszewski u szczytu swej sławy, odniósł

się Parylak do niego z zapytaniem, czy zechce zezwolić, by założyć się mające Towarzystwo bursy nosiło jego imię. Kraszewski w uprzejmej odpowiedzi zgodził się na to i odnośny list jego, oprawny w pamiątkową książkę przechowany był w kancelarji bursy. Pierwotnie pomieszczono bursę w najętym domu na przedmieściu belwederskiem, jednak zapobiegliwością ludzi ofiarnych, przy wydatniejszej pomocy Stanisławowskiej Kasy oszczędności, postawiono przy ulicy Krętej nr. 1. kamieniczkę jednopiętrową na pomieszczenie bursy. Nowy dom był jasny, schludny, wygodny. Na dole były kuchnie, komórka, mieszkanie zarządcy bursy złożone z 3 pokoi, kancelarja bursy i sala jadalna. Na piętrze były cztery sale mieszkalne dla uczniów i jeden pokój przeznaczony na szatnię i umywalnię. Obok budynku ciągnął się około ćwierćmorgowy ogród, na nim stał budynek gospodarczy, plac gimnastyczny, kręgielnia, zresztą grzędy warzywne. Około r. 1885 urządzono na podwórzu studnię arteryjską, często się psującą i ta dawała brzydką wodę. W samym budynku w sali jadalnej były trzy długie stoły z białych jodłowych desek, po obu ich stronach długie także ławki bez oparcia. Każdy uczeń miał stałe miejsce. Siedziało się klasami. Przy pierwszym stole siedzieli najstarsi studenci, przy drugim średni, przy trzecim najmłodsi. Żywność rozdzielał jeden ze starszych studentów. Każdy, począwszy od najstarszego zbliżał się do niego z talerzem i z dużego baniaka otrzymywał jedną chochlę rosołu,

potem dawano mięso ze sosem lub chrzanem, pokrajane na porcje i każdy stół dostawał półmisek z taką ilością kawałków, ile studentów należało do danego stołu. Leguminę rozdzielało się równie jak rosół a tworzyły ją bądź pierogi, bądź łazanki ze skwarkami lub serem, bądź kasza hreczana. Kolacja była mleczna.
Na piętrze były sale mieszkalne. Duża narożna sala o trzech oknach służyła za salę do nauki. Tu były cztery długie stoły, obok nich długie ławy bez oparcia, przy tych stołach każdy miał swoje stałe miejsce według klas szkolnych. Nad stołami wisiały dwuramienne lampy naftowe. Każdy bursak miał szafkę na książki na kluczyk zamykaną, w niej jedna lub dwie półteczki. Inne sale na piętrze służyły jako sypialnie. Rano dzwonił stróż o godzinie szóstej do wstawania. O tej godzinie potrzeba było wstać, łóżko zaścielić, buty i ubranie wyczyścić, obmyć się po pas, książki do szkoły złożyć, to i owo powtórzyć, po czem o godzinie siódmej rano odbywała się wspólna modlitwa. Uczniowie rzymskiego obrządku modlili się w dużej naukowej sali, zaś greckiego obrządku w sali mniejszej, bo ich znacznie było mniej. Modlił się kolejno jeden uczeń głośno, inni w duchu modlitwę powtarzali. Po modlitwie schodziło się na dół do sali jadalnej na śniadanie, na które każdy dostawał garnuszek mleka słodkiego i całodzienną porcję chleba. Po śniadaniu ubierano się w płaszcze, zabierano książki, ustawiano

się klasami na dole w korytarzu w pary, na czele szła pierwsza klasa, zaś na końcu najwyższa i tak ruszano do gimnazjum przez ulice: Zabłotowską (Trzeciego Maja), Bielowskiego, rynek, przez przechodnią kamienicę z rynku prosto do gimnazjum. Po powrocie ze szkoły o XI lub XII w południe potrzeba się było uczyć na godziny popołudniowe, poczem o godzinie 1 popołudniu dzwonkiem zwoływano młodzież bursy na objad. Po objedzie jeszcze się naprędce przeglądało to i owo do szkoły i znów ruszało się do gimnazjum na naukę popołudniową. Po powrocie ze szkoły do domu była krótka pauza poczem zasiadało się przez kilka godzin w dużej sali bursy na naukę milczącą (silentium). Potrzeba było zabrać wszystkie książki ze sobą, bo podczas owego długodzinnego milczenia ani się ruszyć nie było można. Dopiero o godzinie siódmej kończyło się to kamienne posiedzenie, schodziliśmy się w pokoju od ogrodu i śpiewaliśmy pieśni polskie i ruskie pod kierownictwem starszego studenta szkoły realnej Michała Starzkiewicza (późniejszego dyrektora poczty w Kołomyi). Kolację dawano o godzinie pół do VIII, po niej wracało się na górę do sali znów na naukę, ale już swobodną i trwała ona do godziny IX wieczór. O tej godzinie wspólna modlitwa i sen. Tylko kto się nie zdołał wszystkiego nauczyć, mógł wyjątkowo pozostać na sali do godziny X. Za moich czasów mieściło się w bursie przeszło 30 uczniów obu obrządków katolickich, uczęszczali przeważnie do gimnazjum, kilku do szkoły realnej, kilku do seminarjum



Obrazek odcinka ulicy Sapieżyńskiej w okolicy Szkoły Realnej z roku około 1890. Po lewej stronie widać gmach niegdyś burmistrza Kamińskiego wtesny, na którym jeszcze były ślady wyrwanych dużych liter „Hotel Kamiński". Po prawej stronie widać sztachetki i drzewa ogrodu wiceburmistrza (potem burmistrza) Szydłowskiego. Dom mieszkalny był dalej po prawej stronie wśród drzew, tu niewidoczny. Z poza wierzchołków drzew wystania się na prawo szczyt gmachu Szkoły Realnej.

nauczycielskiego. Bursę wspomagało całe społeczeństwo miejscowe i okoliczni obywatele. Ci ostatni dawali darmo opał, kupiec Weiss ze Stanisławowa dawał na początku roku szkol-

nego zapas artykułów piśmiennych, na święta piekarz Brydziński dawał darmo strucle a browar Sedelmajera darmo beczkę piwa i tak szlachetnemi darami ludzi ofiarnych, jakich ówczesne społeczeństwo miało bardzo wiele, stała instytucja pożyteczna, podawała pomocną rękę uczniom zdolnym, pracowitym a ubogim i dopomagała im do wykształcenia się na dzielne jednostki.

Na czele Towarzystwa Bursy im. Kraszewskiego stał prezes. Za moich czasów był prezesem marszałek powiatu Stanisław Brykczyński, obywatel ziemski z Pacykowa pod Stanisławowem, potem hr. Wojciech Dzieduszycki z Jezupola (późniejszy profesor filozofii na lwowskim Uniwersytecie, a następnie minister dla Galicji). Kierował zaś losami bursy wydział, na czele którego stał dyrektor. Prezesa rzadko widzieliśmy, natomiast dyrektor co kilka dni do bursy przychodził i zajmował się bieżącemi agendami. Był nim za mnie ks. Eiselt, katecheta szkoły realnej, człowiek niemiły, szorstki, drażliwy, nielubiany przez nikogo i nikogo nie lubiący. W czasie jego dyrektorstwa zaszedł wypadek małego buntu w bursie. Oto przez dłuższy czas rano dawano mleko nieco rozwodnione, lub przynajmniej się zdawało, że rozwodnione. Było z tego powodu niezadowolenie wśród bursaków, lecz gdy się to kilka tygodni powtarzało, zaszumiało w młodzieńczych głowach starszych studentów. Trzeba zrobić bunt a będzie lepiej. Starsi studenci coś się zmawiali między sobą, my młodzi tylko z uszanowaniem spoglądaliśmy, co te mądre głowy

wymyśle, i z trwogą oczekiwaliśmy skutków. Aż pewnego ranka, gdy dzwonkiem wezwano na śniadanie, poszli najpierw starsi, a my nieco później za nimi i zobaczyliśmy, że mleko ze wszystkich garnuszków porozlewano na stoły, które przybrały wygląd jakby na biało lakierowane. Całe strugi mleka spływały powoli na podłogę. Każdy wziął swoją porcję chleba i prędko uchodził do szkoły. Tymczasem wezwano dyrektora bursy, poczęły się dochodzenia, postrach powiał po nas wszystkich, nikt nie chciał powiedzieć kto to uczynił, ks. Eiselt kierował podejrzenie niesłusznie na kilku niewinnych, bo wistocie uczyniło to dwóch papalaniców, jeden z gimnazjum, drugi ze szkoły realnej. Wyczytał nam ks. Eiselt kazanie, sobą się zaśmiadczył, że mleko było doskonałe „jakby śmietanka", padły ostre słowa przestrogi, że „kilku wyleci", ale nie wyleciał nikt, bo ci o których ks. Eiselt sądził, że są sprawcami, nimi nie byli, a o rzeczywistych winnych nikt słowa nie wyrzekł. Czas ukoił wszystko, a ks. Eiselt zniechęcony, ustąpił na drugi rok z dyrektury. Po nim wybrano dyrektorem bursy profesora gimnazjalnego Juljana Koteckiego. Pochodził z Podola, ojciec jego był gorzelnikiem w Niwrze w powiecie borszczowskim. Zdolnościami i własną pracą ukończył studja i został profesorem języka niemieckiego w gimnazjum stanisławowskiem. Był żonaty, bezdzietny. Mieszkał przy ul. Kazimierzowskiej, (nieopodal szpitala), po prawej ręce, idąc ku Łyścowi, w parterowym, najętym domu. Życie prowadził niezmiernie regularne i pracowite. W szkole był surowy, wymagający i nie=

zmiernie ścisły. Jego uczniowie opuszczali szkołę z pełną znajomością niemieckiego. Aby uczniów zaprawić do praktycznego używania tego języka, nie mówił z uczniami w budynku gimnazjum inaczej, jak tylko po niemiecku, tak iż niektórzy sądzili, że on innego języka nie zna, jak tylko niemiecki. Mylili się jednak grubo. Kotecki znał doskonale język ojczysty i był najlepszym polakiem. Gdy mu powierzono godność dyrektora bursy, pełnił ten obowiązek z podziwu godną troskliwością, dobrocią i wyrozumieniem. Niemal codziennie przychodził do bursy we wieczornych godzinach, obchodził wszystkie sale, wszędzie wejrzał, wszystkiem się interesował, potem zwoływał uczniów z tejsamej klasy, pytał co jest na jutro zadane i przerabiał lekcje. Tak postępował to z tą to z ową klasą. Uczniowie bardzo mieli się na baczności, uczyli się już nie tylko dla szkoły, ale i dlatego, by nie zawstydzić się przed Koteckim. A gdy który nie ze wszystkiem odpowiedział, Kotecki nie używał nigdy represji, bo już samo niezadowolenie Koteckiego było dostateczną karą. Wprowadził do bursy wiele rozumnych ulepszeń, zniósł niejedno niewolnicze dawne zarządzenie, wyprowadzał nas na wycieczki na pola i łąki podmiejskie, opowiadał zajmujące spostrzeżenia, przy pogodnem wieczornem niebie uczył nas gwiazdy rozpoznawać i zwracał uwagę na ich właściwości, uczył i zachęcał do uczciwej pracy — jednem słowem — to był ukochany ojciec młodzieży, jej szczery przyjaciel, najskromniejszy ze wszystkich ale najwydatniejszy dobroczyńca, szlachetny w biblijnem tego słowa znaczeniu,

pełen poświęcenia i dobroci. Około r. 1891 zmarł ten zacny człowiek w wieku lat 45 na chorobę umysłową, pochowany na cmentarzu stanisławowskim. Na jego grobie stanął skromny piaskowy pomnik.

Dyrektor bursy był przewodniczącym wydziału i miał nadzór ogólny nad agendami bursy, nie mieszkał jednak w budynku zakładu. Bezpośredni nadzór nad młodzieżą i prowadzenie gospodarstwa miał gospodarz bursy. Ten troszczył się o środki żywności, kierował służbą i miał władzę dyscyplinarną nad młodzieżą. Gospodarz był płatny przez towarzystwo, dostawał nadto wolne pomieszkanie, opał, światło i ogród.

Dawny kościół jezuicki i szkolny, potem odstąpiony przez rząd austrjacki na ruską katedrę.

*



W roku 1884/5 był gospodarzem bursy Antoni Żurakowski, nauczyciel szkoły powszechnej, położonej przy ulicy Lipowej. Był to człowiek dobry, uczciwy, dla młodzieży życzliwy, taktowny i zrównoważony, żona jego była kobietą pracowitą, zapobiegliwą, dbałą, by wszystko było na czas zrobione i dobrze. W roku 1885 został Żurakowski inspektorem szkolnym na okręg Stary Sambor - Turka, wyprowadził się ze Stanisławowa i miejsce gospodarza bursy zawakowało. Na jego miejsce powołano jako gospodarza bursy Władysława Aksentowicza, człowieka młodego, lat około 26 liczącego. Był on synem dyrektora urzędów pomocniczych sądu obwodowego w Stanisławowie (czyli naczelnego sekretarza), ormianin, średniego wzrostu, ze strzyżoną brodą, brunet, na jedną nogę nieco kulejący. Materjalnie miał się dobrze, bo miał bogatych rodziców, nie pozdawał egzaminów prawniczych i przebywał bez celu w domu, a że się nadarzyła sposobność przyjęcia jakiegoś stanowiska, więc je objął, bo mógł wtedy już porzucić nudne prawo a przedzierzgnąć się we wychowawcę młodzieży. Nie była to jednak myśl szczęśliwa. Był on człowiekiem za młodym, jako jedynak zamożnych ormian znał życie tylko z najwygodniejszej strony, łatwo zrażał się do ludzi z błahych przyczyn, był kapryśny i absolutny ale zarazem czuły na ludzką niedolę, dobroczynny, często zdolny do poświęceń, to znów nieraz rozgrymaszony i przykry. On to wprowadził do bursy ducha policyjnego. Niby to miał być ogromny rygor, sprężystość, dyscyplina, ale była ona często bezrozumną

szykaną i uszczypliwością. Odtąd ciągle nam trąbiono do uszu, że jesteśmy utrzymywani cudzą łaską, zabijano ambicję, wystawiano nas niemal na widowisko publiczne — a wszystko to czyniło prawdziwie gorzkim ów kawałek chleba burseckiego. Za lada przewinienie młodego chłopaka karało się go odtąd odjęciem strawy, co tem bardziej było dotkliwe, że i tak porcje były niezbyt sute.

Jako taki znamienny fakt owej szykany Aksentowicza utkwił mi w pamięci następujący wypadek. Nie wolno było bez zezwolenia gospodarza ~~bursy gospodarza~~ wychodzić z bursy. Wolno było tylko pójść z bursy do szkoły i ze szkoły do bursy raz wskazaną i ciągle tąsamą drogą (zaułkami żydowskiemi), zresztą siedziało się w bursie tak jak we więzieniu. Uczeń Juljan Kurowski, idąc ze szkoły do domu zboczył na ulicę Sapieżyńską do sklepu i kupił zeszyt, poczem prawidłowo powrócił do bursy. Gdy się o tem dowiedział Aksentowicz, ukarał go pozbawieniem obiadu, bo to wstąpienie do sklepu bez poprzedniego zezwolenia nazywało się nielegalnem pójściem do miasta. Bogu ducha winny chłopak musiał cierpieć głód z powodu bezrozumnie pojętej karności. Ze zaprowadzenia Aksentowicza musieliśmy zawsze i wszędzie bez wyjątku iść parami długim szeregiem ~~naszego~~ na wzór konwoju więźniów. I tak np. gdyśmy szli na przechadzkę w dzień wolny od nauki z miasta na błonie tyśmienieckie, musieliśmy iść drogą aż do mostu tyśmienieckiego, a więc jakie dwa kilometry

gościńcem parami w kurzawie niesłychanej. Dopiero za mostem kończyła się niedola, rozpraszała się gromadka po błoniach, radość malowała się na młodych obliczach, rozwijały się humory znakomite, a dowcipy sypały się jak z rękawa. Chłopcy żyjący w skrępowanej niewoli przepisów bursackich, straszeni na każdym kroku karą, wygonieniem z bursy lub odjęciem ostatniej kromki chleba, przecież poczuli się raz wolnymi i swobodnymi, tryskała z nich werwa młodzieńcza i każdy oddawał się zabawie według swego usposobienia. Jeden zrzucał buty i gnał jak szalony na bosaka aż ziemia dudniała pod nogami, inny zdjął surdut, powiesił go na wierzbie i zabierał się do gry w kiczkę, inni tworzyli chór na cztery głosy, jeszcze inni usiedli pod drzewem i gwarzyli, znów inny szedł na samotną ścieżynę w łęgi, wyciągał dogmatykę lub historję i na głos czytając uczył się gorliwie partji, którą miał zdawać za kilka dni. Któryś inny bursak kładł się pod olchą, wyjmował z kieszeni papier i ołówek i rozkoszując się aurą i swobodą, komponował brulion zadania polskiego.

Dyrektor Eiselt bardzo nie lubiał Aksentowicza, więc ze jego gospodarstwa coraz się mniej do bursy pokazywał. Aksentowicz postarał się o przyjęcie do bursy tak zwanego cenzora. Pierwszym takim cenzorem był uczeń ósmej klasy gimnazjalnej Hubert Linde (późniejszy pierwszy polski minister poczt, potem skarbu, wreszcie prezes Pocztowej Kasy Oszczędności w Warszawie). Był on

Trzeba nareszcie przeprowadzić surową rewizję w P. K. O.!

Nowe szczegóły skandalicznej gospodarki.

1926. 330 a

Kraków, 15 października.

(n) Niedawno ogólne poruszenie wywołał niesłychany incydent oparcia się przez Pocztową Kasę Oszczędności przeprowadzeniu rewizji z ramienia Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Ta gorliwa obrona swojej „autonomji" przez P. K. O., posunięta aż do chęci zachowania w tajemnicy swojego urzędowania przed powołanemi instancjami, wywołała słusznie ogólne zdziwienie. Już wtedy zwróciliśmy uwagę, że postępowanie takie budzić może podejrzenia, że coś nie bardzo dobrze dzieje się w tej instytucji.

Obecnie, kiedy zgodzono się na przeprowadzenie rewizji w tym duchu, w jakim życzyła sobie „bojaźliwa" P. K. O., zaczynają się ujawniać fakta, które spowodowały tę chęć zachowania tajemnicy. Mianowicie jeden z dzienników warszawskich przytacza zupełnie niebywałe nowe szczegóły metod ze sposobów gospodarki P. K. O. w ostatnich czasach. Podaje on między innemi, że dla **brata p. Huberta Lindego,** prezesa P. K. O., p. Marjana Lindego, który w dniu **16 lipca roku bieżącego nabył od p. Broel Platera majątek ziemski** Petrykozy za sumę 536 tysięcy złotych, **P. K. O. gwarantowała pożyczkę 14 tysięcy funtów szterlingów** (czyli około 400 tysięcy złotych), zaciągniętą w banku angielskim **Johnson i Mattey. Gwarancja ta, wystawiona dnia 14 lipca b. r.** — a więc na dwa dni przedtem, zanim p. Marjan Linde stał się właścicielem majątku Petrykozy — **nie została wciągnięta do dziennika P. K. O.** Przyczyna była bardzo prosta. Taka transakcja **nie mogła być księgowana jawnie, gdyż zkres czynności P. K. O. nie przewiduje wydawania gwarancyj wogóle,** a tembardziej gwarancji dla rodziny prezesa P. K. O. — gdyż w ten sposób każda finansowa instytucja publiczna mogłaby się łatwo przeobrazić w przedsiębiorstwo czysto rodzinne.

Ale na tem nie kończy się familijna gospodarka w P. K. O. Oprócz pożyczki dla brata prezesa na kupno majątku **(dla załatwienia której jeździł specjalnie do Londynu urzędnik P. K. O.),** są tam inne jeszcze objawy pożyczek wewnętrzno-protekcyjnych. Jeżeli pan prezes może korzystać — to i inni urzędnicy, którzy przecież o tem wiedzą, też nie mogą być „od macochy". I oto istotnie **czterech wyższych urzędników P. K. O. otrzymało od niej zaliczkę na sumę 180 tysięcy złotych, spłacalną w ciągu dwunastu lat.** W czasach, gdy poważne przedsiębiorstwa przemysłowe walczą z trudnościami, dając wszelkie gwarancje, przy wyszukaniu pożyczki 10 tysięcy złotych na rok jeden — urzędnicy P. K. O., niewiadomo za jakiemi gwarancjami, otrzymują od niej pożyczki na lat dwanaście. Widocznie gotówka w P. K. O. jest w nadmiarze.

Chcielibyśmy tylko wiedzieć, **czy pomiędzy tymi czterema „wyższymi" urzędnikami P. K. O.,** którzy otrzymali tak wyjątkowo hojny i dogodny kredyt, **nie znajduje się też przypadkiem słynny radca Szczudło, o którym nie tak dawno stosunkowo było głośno z powodu afery z bankiem wileńskim, a który mimo to pozostaje na stanowisku dyrektora departamentu kredytowego w P. K. O.**

Istotnie, najwyższy czas, ażeby Sejm zajął się tą skandaliczną gospodarką i wymógł przeprowadzenie najsurowszej nad nią rewizji przez Najwyższą Izbę Kontroli Państwa, wyciągając na jaw wszystkie fakta. Wszakże trzeba pamiętać, że **w P. K. O. znajdują się pieniądze pochodzące z oszczędności, składanych tam przez szeroki ogół społeczeństwa i że skarb państwa gwarantuje za całość i bezpieczeństwo złożonych tam funduszów.** Wobec tego właściciele wkładek nie są narażeni na niebezpieczeństwo — ale jakże będzie wyglądać gwarancja pań-

w polskiej wsi jeszcze się bratobójcza krew nie lała. Tymczasem ostatni tydzień przyniósł nam taką wiadomość: Oto zamordowany został we wsi Kołodziszcze pod Mińskiem komsomolec **Antoni Berezowski**, agitator komunistyczny i **ciężko ranny robotnik kolejowy niejaki Baranowski.** Czy mamy tu do czynienia z rozmyślną prowokacją, aby wywołać **teror przeciw antykomunistycznie nastrojonym chłopom polskim**, czy też jest to istotnie odruch samoobrony, nie śmiem twierdzić.

Forma, w jakiej objawiła się represja sowiecka z powodu tego morderstwa przeciwko szeregowi gospodarzy polskich — każe przypuszczać, że rolę główną odgrywa tu **planowa prowokacja.** Nie mniej — jedno czy drugie — jest niebezpieczne. Przebieg procesu przeciw aresztowanym polskim chłopom z Kołodziszczy może uchylić rąbka tajemnicy. Uważajmy więc.

Tatar.

...y je i pije...

Była to tragedja swego rodzaju. Albowiem gospodarz wrócił do domu pijany, a koń — kaszlący. Gospodarz, dla przetrzeźwienia i „wskróś przezpieczeństwa kunia", poszedł z nim razem spać do stajni, skąd przez całą noc rozlegały się rozpaczliwe rechotania szkapy.

— Widzisz, widzisz Dydoku! — lamentowała poczciwa Dydokowa w chałupie, zdzieliwszy bowiem małżonka kilka razy w łeb, nie żywiła z tytułu pijaństwa dalszej urazy do niego.

— Widzisz, widzisz Dydoku! — zawodziła głosem pełnym współczucia — ochlałeś się jak świnia, a teraz kaszlesz, jak koń!

Dydok spał jak zabity, a koń nie uważał za stosowne powiedzieć stroskanej gospodyni, że to on kaszle, on, stara szkapa, kupiona na Groblach w Krakowie od cygana, jako 6-letni konik, podczas gdy ma w istocie lat 20 i pełne prawo do kaszlu. Kaszlał więc dalej i nic nie mówił... A może nie chciał martwić pani Dydokowej, wiadomo bowiem, że w gospodarstwie koń znaczy więcej niż człowiek, a prawie tyle co krowa albo dwie świnie.

Nazajutrz rano, gdy Dydok wywlókł się ze stajni i usiadł ciężko na ławie, żona podstawiła mu duży dymiący garnek pod nos.

— A cóż to tak śmierdzi paskudnie? — zadziwił się gospodarz, odsuwając garnek z niechęcią.

Listy z czerwo...

Przybycie czeskiej delegacji robotn... polskiej komunistycznej prasy o p... Polityczne morderst...

(Oryginalna korespondenc...

Mińsk, 10 października.

Wczorajszego dnia Mińsk znowu **miał sposobność świętowania.** Robotnicy zostali zwolnieni z fabryk — oddziami odświętnie wymaszerowali zwartemi szeregami w stronę dworca kolejowego. Pospiesznie kończono dekorowanie miasta w czerwone płachty i zieleń. Specjalnie wybudowana tryumfalna brama dla rozmaitych uroczystości przed budynkiem dworcowym znowu przybrała odświętny charakter. Napisy w językach **rosyjskim, polskim i białoruskim** oraz **żydowskim** „witały" przybyłych **czeskich robotników** komunistów, siejąc równocześnie swojemi hasłami **„śmierć burżujom i kapitalistom całego świata".** — Oczywiście, że nikt jeszcze od tych napisów i bram nie umarł, ale zawsze to tak „oryginalnie" wygląda, ... „inaczej" niż w Europie — „zachowywali

Zamordowanie H. Lindego.

Kraków, 20 kwietnia.

(xy.) W przeddzień wyroku sądu karnego, przed którym jako oskarżony o nadużycie władzy urzędowej na niekorzyść skarbu państwa i współudział w oszustwie, stanął **Hubert Linde**, b. prezes P. K. O., kula skrytobójcza na ulicy położyła kres życiu tego dygnitarza. Sierż. Trzmielewski dokonał aktu dzikiego samosądu, uważając się — za przykładem Muraszki, na którego powołał się, przesłuchiwany przez żandarmerję, za uprawnionego do wymierzania karzącej „sprawiedliwości".

Zbrodnia Trzmielewskiego budzi zgrozę swojem okrucieństwem — i jakkolwiek sam zbrodniarz, i może także niektórzy, zgorszeni obrazem korupcji, gotowi są widzieć w tym morderczym zamachu odruch obrażonej moralności i patrjotycznej żarliwości — zbrodnia pozostaje **zbrodnią** i świadczy o straszliwym zamęcie pojęć i o dezorjentacji, mającej charakter **psychozy społecznej.**

Czyn Trzmielewskiego jest zaprzeczeniem **praworządności**, urąga **prawu i sprawiedliwości.** Żadne państwo, świadome swych zadań, nie może aprobować i tolerować krwawych aktów samosądu. Nie będziemy tu rozważali, czy pobudki Muraszki, zabijającego notorycznych **zbrodniarzy i zdrajców państwa**, którzy, uwolnieni przez rząd, opuszczali granice Rzplitej, odgrażając się, że rychło powrócą z napadem bolszewików — zasługują na inną ocenę, jak pobudki Trzmielewskiego. **Zbrodni nigdy tolerować nie wolno, jednakże nie wolno uzurpować** sobie prawa do ferowania wyroków i wymierzania sprawiedliwości!

Hubert Linde stał przed sądem, oskarżony o ciężkie przewinienia. Już sam fakt, że ten, tak **wysoki dygnitarz**, b. **minister poczty**, a następnie przez niedługi czas także **skarbu**, b. prezes potężnej P. K. O., pociągnięty został przed kratki sądowe i całą swoją karjerę widział złamaną, dowodzi, że względy osobiste, że protekcja i chęć ukrywania zła, nie przeważyły zasady sprawiedliwości. **Państwo** pokazało, że **nie myśli tolerować korupcji;** społeczeństwo mogło być przekonane, że nadużycia w państwie praworządnem doznają potępienia i muszą ponieść karę. H. Linde, jeśli był winien, usłyszałby sądowy wyrok z ust **trybunału karnego**, jedynie powołanego do orzekania o winie i wydawania korzącego osądu. — Wyrok ten — żadną miarą — nie mógł jednak sprowadzić na oskarżonego kary śmierci. Trzmielewski, spełniając funkcje kata, popełnił mord okrutny.

Społeczeństwo ze zgrozą i odrazą odwraca się od wszelkich gwałtów niepoczytalnego samosądu — i w imię praworządności, sprawiedliwości i etyki, zakłada przeciw nim uroczysty protest.

* *

Ś. p. Hubert Linde urodził się w r. 1868 w Warszawie, gimnazjum i politechnikę ukończył w Rydze. Pracował w administracji kolejowej na kolei Wiedeńskiej, później w Bankach Kupieckim i Handlowym. Ze służby w Banku Handlowym przechodzi w r. 1917 do t. zw. Rady Regencyjnej, obejmując stanowisko szefa sekcji poczt i telegrafów. W tym kierunku pierwsze prace organizacyjne.

W styczniu r. 1919 **powierza mu Paderewski stanowisko ministra poczt i telegrafów.** Ś. p. H. Linde przystępuje do wykonania projektu organizacji poczty, opracowanego jeszcze w czasie wojny.

Z końcem roku 1919 wraca na stanowisko prezesa P. K. O., która wkrótce pokrywa siecią cały kraj. — W ciągu kilku lat wznosi wspaniały gmach przy ul. Jasnej i cały szereg domów w Warszawie oraz w innych miastach m. i. w Krakowie. W r. 1923 jest dwa miesiące ministrem skarbu w rządzie pos. Witosa.

* * *

Ś. p. Linde, którego śmierć opłakuje żona Wanda i dwie córki 25-letnia Zofja i 16-letnia Jadwiga, nie pozostawił — jak donosi „Warszawianka" — żadnego majątku. Celem opędzenia kosztów procesu **sprzedawał nietylko garderobę, ale pozbył się całego urządzenia.** W ostatnich czasach musiał z powodu zupełnego braku pieniędzy przestać kształcenia córki.

Rodzina śp. Lindego mieszka w Krakowie przy ul. Kanoniczej, on sam mieszkał w Warszawie jako sublokator pułk. sztabu gen. Chilarskiego przy ul. Brzozowej, gdzie zajmował dwa pokoje.

Kim jest morderca?

Morderca ś. p. Huberta Lindego, st. sierżant zawodowy, Wacław **Trzmielewski** (lat 36), pochodzi z Warszawy. Posiada wykształcenie elementarne. W roku 1915 wstąpił jako ochotnik do armji rosyjskiej. **W Rosji przebył przewrót bolszewicki** i dopiero w 1918 r. przedarł się do okupowanego przez Niemców Kijowa, skąd powrócił do Warszawy, **gdzie pracuje jako stolarz** (posadzkarz).

Po wyzwoleniu Polski **pracuje przy robotach stolarskich w remontowanym na siedzibę Sejmu instytucie maryjskim.** Wstępuje następnie do wojska i służy **w formacjach sanitarnych w Małopolsce.** W styczniu r. b. przeniesiony został z 5-go baonu sanitarnego do szkoły oficerskiej piechoty w Warszawie — gdzie otrzymał **funkcję podoficera sanitarnego w Izbie chorych.**

Po dokonaniu morderstwa sierżant **Trzmielewski przybrał pozę bohatera.**

O czynie swym mówi z uśmiechem na ustach.

Gdy wyprowadzono go do samochodu, by przewieźć do więzienia, usiadł on na głównem siedzeniu automobilu, i dopiero na rozkaz rotmistrza żandarmerji, przesiadł się na boczną ławeczkę.

W chwili, gdy zamykano go w celi, morderca rzekł:

— Niech żadna partja polityczna nie bierze czynu mego na swój rachunek. **Jestem niezależny.**

* * *

KURYER CODZ

Rękopisów nie zwraca się. | Założyciel i Naczelny Redaktor: Marjan Dąbrow

Rok XVII. 330d Kraków, środa 21 Kwietnia 192

Zamordowanie Huberta Lindego.





cenzorem według instrukcji Aksentowicza. Stosowano wszędzie przesadną surowość, tak iż życie w biurze stawało się często bardziej nieznośne niż proste więzienie. Linde dożył w życiu górnych wyżyn a zginął tragicznie. (załączam odcinki gazet, wyjaśniające ostatnie ciężkie przejścia,

Życiorys Lindego. *

Ś. p. H. **Linde** urodził się w r. 1869 w Śniatynie (Małopolska), do gimnazjum uczęszczał w Stanisławowie, studjum uniwersyteckie kończył we Lwowie i Wiedniu. Jako urzędnik pocztowy pracował kolejno w Szczakowej, w Samborze, następnie jako **dyr. poczty w Tarnowie,** gdzie pracuje także w organizacjach narodowych (T. S. L.).

Po rozpadnięciu się Austrji obejmuje w komisji likwidacyjnej referat P. K. O. i w listopadzie 1919 r. udaje się do Wiednia celem zawarcia odpowiedniej umowy z austrjacką P. K. O. Po powrocie z Wiednia zgłasza się do ówczesnego prezesa Rady ministrów, p. Moraczewskiego i przedstawia mu **projekt polskiej P. K. O.** Z początkiem grudnia rozpoczyna

Jeden świadek oświadczył, że na sali sądowej, przysłuchując się rozprawom, Trzmielewski wyraził się do niego w ten sposób, **że on wszystkich trzech oskarżonych** (Lindego, Baua i Hryniewicza) **postawiłby pod słup i rozstrzelał.**

Trzmielewski ożenił się 6 lat temu i ma 5-letniego syna; mieszka wraz z żoną na ul. Pokornej 12, w pokoiku z kuchnią; otrzymuje gaży 175 zł. miesięcznie i z powodu braku pieniędzy często miewał **ostre scysje w domu.** Co tydzień bywał u rodziców; onegdaj — był tam również, lecz **wyszedł wcześniej, mówiąc, że spieszy się do sądu na sprawę Lindego.**

Żona Trzmielewskiego zeznaje, że mąż jej, który zawsze był bardzo akuratny, w ostatnich dniach zaniedbywał się, **przychodził do domu późno, co się nigdy przedtem nie zdarzało.**

330e

Pamiętniki Huberta Lindego.

W „ostatniem słowie" wygłoszonem przy końcu procesu, oświadczył śp. Hubert Linde, co następuje:

— **Gdyby Wysoki Trybunał znał ówczesne stosunki zakulisowe, z pewnością inny miałby pogląd na całą sprawę.**

— **Premier był zacny, ale inni... ech, co tu gadać, inny zupełnie świat.**

Jak opowiadają osoby zbliżone do rodziny zamordowanego, ś. p. **L. oczekiwał na wynik sądowy z wielkim spokojem.** Podobno oświadczył, że **po wyroku ogłosi swe pamiętniki, w których przedstawi swą rolę i stosunki, wśród których musiał pracować.**

Dalsze śledztwo w sprawie morderstwa.

Sekcja zwłok Huberta Lindego.

Pogrzeb odbędzie się w Krakowie.

Warszawa, 19 kwietnia.

W sobotę odbyło się w sądzie wojskowym przy ul. Dzikiej śledztwo z zabójcą Huberta Lindego, sierżantem Wacławem **Trzmielewskim** i świadkami zajścia oraz osobami mogącemi wyświetlić niektóre okoliczności tragicznego wypadku.

Dochodzenia prowadził oficer śledczy I dywizjonu żandarmerji, rotmistrz **Handt** pod ogólnym kierunkiem prokuratora wojskowego, pułkownika **Kaczmarka.** W ciągu dnia wczorajszego przesłuchiwania **odbywały się od rana niemal bez przerwy do godz. 10 wieczór i wskutek spóźnionej pory odłożone zostały do niedzieli.** Wśród przesłuchiwanych były przeważnie osoby cywilne, wśród nich, częściowo świadkowie morderstwa oraz uczestnicy rozpraw sądowych przeciw Hubertowi Lindemu.

Osoby, które widywały Trzmielewskiego na sali rozpraw, opowiadają, że wygłaszał on niejednokrotnie w czasie przerw zdanie, że **„takich jak Linde należałoby ubić".** Zestawianie jednak nazwiska Trzmielewskiego z osobą p. Orszówny, b. urzędniczki P. K. O., nie jest w całości usprawiedliwione. Obecność jego w towarzystwie p. Orszówny na sali rozpraw i sąsiedztwo podczas przesłuchiwania się rozprawom było tylko **dziełem przypadku.** Hipotezę tę usprawiedliwia także okoliczność, że p. O. dzieli z zabójcą różnica kultury i wykształcenia niedopuszczająca u tej osoby na bliższe stosunki z tego rodzaju pólinteligentom, jakim jest Trzmielewski.

Wczoraj odbyło się komisyjne

zdjęcie terenu morderstwa

Trzmielewskiego fotografowano i zrobiono jego zdjęcia daktyloskopijne. Zabójca i akta jego sprawy po-

330



Fotografje nasze przedstawiają zwłoki ś. p. Lindego w kilkanaście minut po zgonie, mordercę ś. p. H. Lindego, sierżanta Trzmielewskiego, oraz władze śledcze w domu, w którym mieszkał ś. p. Linde.

W przededniu przesilenia rządowego.

Kraków, 20 kwietnia.

Koalicja stoi **w przededniu rozbicia.** Prawda to smutna, ale już niewątpliwa. Niedzielne obrady przywódców w gabinecie marszałka **Rataja** wykazały jasno, że **próby kompromisu pomiędzy P. P. S. a ministrem skarbu** i popierającymi jego program grupami były bezowocne. Przywódca socjalistów oświadczył, że partja jego **nie poczyni żadnych ustępstw,** minister skarbu Zdziechowski zapowiedział walkę o swój **program aż do końca;** nadzieja utrzymania koalicji pięciu stronnictw **zgasła.**

* * *

Ucieczka P. P. S. przed odpowiedzialnością.

Gdy przed kilku dniami P. P. S. ogłosiła swój **„program sanacyjny"** oparty na inflacji, społe-

Pod światło.

Rehabilitacja ś. p. Huberta Lindego.

Zeszłotygodniowa rozprawa w warszawskim dzie apelacyjnym zakończyła się definitywną habilitacją ś. p. Huberta Lindego.

Proces ś. p. Lindego zakończony — czy nie as wszcząć proces przeciwko tym, którzy go zaordowali! Nie mówię tu o człowieku, który go bił fizycznie, bo ten stosunkowo mniejszą jeze zbrodnię popełnił, mówię o tych, którzy mieącami zamordowywali moralnie niewinnego, jak dziś w pełni okazało, — człowieka. Nie możey ich postawić przed sąd państwowy, ale wolno m postawić ich przed trybunał sumienia.

Przypomnijmy sobie te długie miesiące od ia zawieszenia w urzędzie ś. p. Huberta Linde-, aż do jego fizycznej śmierci — nie było tygoia, czasem nie było dnia, aby pewien odłam pra- lewicowej nie żył Lindem. Żył na swój spo-: z osoby jego, z jego dobrej sławy robił najspolitszy skandal po dwadzieścia groszy od czynika. Nie było insynuacji, którejby nie zużynie było oszczerstwa, któremby się nie posłuo. Kłamstwo, kalumnja, potwarz sypały się viną. Za brukowymi pismami stolicy cała sfora emek prowincjonalnych roznosiła w masy wieo „złodziejstwach" Lindego, judziła namiętno-, lynczowała go, zabijała jego cześć, do tortur ralnych doprowadzała jego rodzinę. W pełnej owiedzy czynu i przy pełnem zagwarantowa- bezkarności, bo przeciwnik, spętany procesem nym, nie może się bronić! Bez litości, bez ty sumienia.

Nie może tu być uniewinnień, iż prasa lewicopadała ofiarą mylnych informacji, bo w określedztwa od września 1925 r. — i aż do odczyia aktu oskarżenia na wiosnę 1926 r. sądy nie ielały żadnych informacji, udzielać im nie wolno było: informacje wysysano z palca; z wyobraźni wyciągano ten brud, którym usiłowano oblepić postać oskarżonego.

Nie pomogłaby próba przeniesienia zbrodni oszczerstwa na linję patosu: „myliliśmy się, ale występowaliśmy przeciw Lindemu w imię zdrowia moralnego społeczności" — nie pomógłby taki obłudny patos, bo na obronę zdrowia publicznego zawsze byłby czas po wyroku, gdyby ten potwierdził oskarżenie. Tak postępuje uczciwość dziennikarska.

Nawet *ultima ratio* pewnego gatunku prasy: merkantylizm nie wytłumaczy dostatecznie tych bachanalji bestjalizmu, z jakim przystąpiono do zdzierania skóry z honoru Lindego: tyle innych sensacji można znaleźć i te sensacje, jak pompą ssącą przyłożyć legalnie do kieszeni ogłupiałych już dziś czytelników prasy brukowej.

Nie! Tu były inne motywy:

Linde nie należał do lewicy. Nie wchodził może w skład żadnej organizacji prawicowej, ale sympatjami skłaniał się raczej ku ideologji stronnictw narodowych. Aresztowanie Lindego nastąpiło w momencie, kiedy lewica już się zbierała do późniejszego *coup d'état*. Chodziło o to, aby w masach wyrobić bezapelacyjnie przekonanie, że kraj stacza się w przepaść, że na naczelnych stanowiskach państwowych tkwią szubrawcy, złodzieje grosza publicznego, oszuści, aferzyści. Przypomnijmy sobie, jak natychmiast po dniach majowych, w *Robotniku* poseł Moraczewski kogo mu tylko z wybitnych ludzi prawicy pamięć przywodziła, oskarżał o nadużycia, o panamę, o szwindle. Bez podstaw ale i bez skrupułów. To była metoda, to było uzasadnienie krwi przelanej. Na pół roku przed majem Linde pada, jako pierwsza ofiara tej metody i tej przygotowawczej mobilizacji „sanacyjnej" Zniesławić, zanim się powali! Spotwarzyć, aby ze zniewidzonego społeczeństwa nie został nikt czysty w opinji bezkrytycznych mas. Zaczęło się od Lindego. Wywołać nastrój, że skoro taki „zbrodniarz" mógł być wysokim urzędnikiem, to dowód, że Polska już się zapada w otchłań korupcji, że przyszłość ratować należy najbardziej nawet zastraszającymi środkami, że skoro taka jest Polska u góry, to tylko ją zamordować, nie żałować krwi! Oto do czego potrzebne było zniesławianie ś. p. Lindego, ta potworna akcja prasowa, która tylko wtedy uniknie nazwy nikczemności, jeśli była bezdenną bezmyślnością.

Po definitywnym wyroku sądu apelacyjnego cienie pośmiertne Huberta Lindego wynurzają się czyste i jasne z całości tej przejmującej tragedji. Odpadły wszelkie oskarżenia, pozostaną na zawsze jego niepospolite zasługi, jego twórcza energja, jego bogacenie skarbu państwowego, jego rzutka inicjatywa, aby państwo z chaosu inflacji wyszło bogatsze o dziesiątki jeśli nie setki monumentalnych gmachów i domów mieszkalnych, którychby już nie był w możności wystawić dzisiejszy ustabilizowany złoty. Odpadło błoto, którem chciano go obrzucić, pozostanie nieodparta prawda, że w okresie, kiedy skarb państwa na wszystkich i na wszystkiem tracił, on jeden z pośród finansowych gospodarzy kraju bogacił kraj i przekazywał przyszłości trwałą wartość majątkową. Nawet kupno tych akcji, które pierwsza instancja sądowa — jedynie — uznała za lekkomyślność, nawet to kupno okazało się dziś doskonałym interesem dla skarbu.

Ś. p. Hubert Linde był niewinny. Nie ma go wśród nas. Zbrodnicza ręka podbechtanego przez psychozę prasy pospolitego przestępcy położyła kres jego istnieniu. W orgji oszczerstw, których nie mógł nie czytać, kto wie, czy ostatnia sekunda jego życia nie była błyskiem radości, że mu dane jest zejść ze świata, gdzie bezkarnie dziać się mogą takie zbrodnie, jak te, od których przez pół roku stawał się ofiarą. Może błogosławił czyn zbrodniarza.

Od życia cenniejszym jest honor. Ten przy nim został.

Adam Grzymała-Siedlecki.

330 g

330 h

wzmożenia stosunków i wymiany ekonomicznej między Węgrami a Włochami; drugi zaś — uwieńczeniem polityki sympatji i zbliżenia, jaka konsekwentnie od lat dwóch prowadzona jest mię- dzy Budapesztem a Rzymem.

Skoro Włochy stały się w konferencji ambasa- dorów — jak to podkreśla dziś z zadowoleniem prasa włoska — głównym rzecznikiem zniesienia kontroli militarnej na Węgrzech — to traktat przyjaźni uważać należy raczej za wynik, a nie za punkt wyjścia polityki Włoch.

Popieranie żądania węgierskiego — zniesienia kontroli—było już czynem ważkim istotnej przy- jaźni, było aktywnem zdeklarowaniem się Włoch. I to zdeklarowanie się nie było niespodzianką dla każdego, kto od dwóch lat mógł obserwować coraz mocniejsze węzły przyjaźni włosko-węgierskiej.

Wizyta Bethlena w Rzymie nie ma więc ża- dnych punktów niejasnych, ukrytych. Jest ona tylko przypieczętowaniem aktów dokonanych, sympatji realnie wyrażonych. Dziś jedno z pism rzymskich zaznacza z zadowoleniem, że ta wizyta do pewnego stopnia będzie nawiązaniem dawnej tradycji przyjaźni, przerwanej przez wojnę, któ- ra w sposób fatalny, a nie ideowy, zmusiła Wło- chy i Węgry do walki przeciw sobie. Ta opinja wykazuje poprostu tendencję przekreślenia wspo- mnienia wojny i dążenia w przyszłości do takiej polityki, którąby uniemożliwiła obu tym pań- stwom znalezienie się w przyszłości we wrogich obozach.

Prasa włoska podkreśla pacyfistyczność spotka- nia Mussolini — Bethlen i zgóry przestrzega przed daniem posłuchu tendencyjnym wersjom, obliczonym na sianie nieufności i paniki. Kolpor- towanie wiadomości o jakichkolwiek imperjali- styczno-militarnych celach spotkania premjerów jest więc udaremnione zgóry. Do rozpowszechnia- nia tych wersji mógł się przyczynić ostatnio mo- ment zadrażnienia jugosłowiańsko-włoskiego. ale należy pamiętać, że wizyta Bethlena była zapo- wiedziana i zdecydowana znacznie dawniej.

Odłożono ją raz, aby dać możność ukończenia pertraktacji tranzytowych, które toczyły się od

— Mówią, że on jest żydem...

— Nie wiem, nie słyszałem...

— Meksyk zawsze był wierny Watykanowi. Cała ludność, zdawałoby się, powinna była po- wstać przeciwko prześladowaniom?

— Tak, meksykańczycy, będący potomkami hi- szpanów, są bardzo religijni. Ale pan nie wziął pod uwagę tubylców t. zw. „les indigenes", a na- stępnie metystów, mulatów, murzynów i potom- ków indjan... To są ciemne, niekulturalne masy. Są one pod wpływem najskrajniejszej demagogji przeciwreligijnej. Bardzo łatwo jest wyzyskać te masy dla najgorszych i najniższych celów...

— Monsignor przypuszcza, że na tym właśnie żywiole opierają się prześladowcy Kościoła kato- lickiego?

— Stwierdzić nie mogę, lecz to jest zupełnie możliwe.

— Czy to prawda, że wszystkie kościoły są zamknięte, księża sterroryzowani, a najwięcej ak- tywni bojownicy wymordowani, i tylko niektó- rym z nich udało się wyemigrować z Meksyku, uciekając przed prześladowaniem?...

— Wszystko to zupełnie jest zgodne z rzeczy- wistością. Wszyscy księża, którzy byli wygnani z Meksyku, znaleźli przytułek i entuzjastyczne przyjęcie nie tylko w Rzymie, lecz we Francji i Stanach Zjednoczonych, gdzie jest bardzo dużo wierzących katolików. Zakazane są nie tylko na- bożeństwa w kościołach, lecz i w domach prywat- nych... Osoby, które się zebrały w jakiemkolwiek miejscu, żeby się pomodlić, podlegają represjom. Księżom, pod groźbą surowej kary, wzbroniono odprawianie nabożeństw, udzielanie chrztu i słu- chanie spowiedzi.

Był taki fakt: matka pewnego generała, który był zupełnie lojalny wobec rządu Kallesa, życzy- ła sobie przed śmiercią wyspowiadać się i przy- jąć ostatnią Komunję świętą... Odmówiono jej tego. Wówczas jej syn, jenerał, prosił osobiście Kallesa o zezwolenie księdzu odwiedzenia umie- rającej. Kalles pozostał nieprzychylnym. Sta- ruszka zmarła bez spowiedzi i Komunji, a jej

dać, że obecnie uczę się języka serbskiego.

Do tej chwili korespondent rozmawiał z mo
signorem po francusku, potem zaś zaczęli mów
po polsku. Było to, że tak powiem—pisze kor
pondent — „stylowe", poruszyliśmy bowiem sp
wę położenia katolików w Polsce, w Polsce ost
nich czasów.

— I tam zaczynają się prześladowania—rz
ze smutkiem monsignor. — Co prawda, na ra
w małym stopniu, ale i to jest już wskaźnikie
Dotychczas przecież Polska była najbardziej
daną i najbardziej wierną córą Watykanu... R
poczęło się, jak rozpoczyna się wszędzie: od
dań ślubu cywilnego, który nie będzie uświęc
przez Kościół...

— Lecz zdaje się, że wyższe duchowieństwo
tolickie w Polsce już walczy z tym prądem...
przykład arcybiskup warszawski, ks. kardy
Kakowski, oświadczył na wielkiem zebraniu
tolików, w którem brali udział przedstawic
władzy: „Polska będzie albo katolicką, albo
wcale nie będzie".

W odpowiedzi na to monsignor położył pr
korespondentem gazetę i rzekł:

— Tu, w ostatnim numerze *Kurjera Wars*
skiego, przeczyta pan odezwy, podpisane p
wszystkich biskupów polskiego Kościoła kato
kiego, poczynając od kardynała Kakowskie
Pierwsza to wezwanie do wierzących, aby bro
wiary Chrystusowej ze stoicyzmem przeciw
gom tej wiary Chrystusa... Druga — do du
wieństwa meksykańskiego, z gorącemi modł
aby znalazło w sobie otuchę i siłę do niesi
wieńca męczenników...

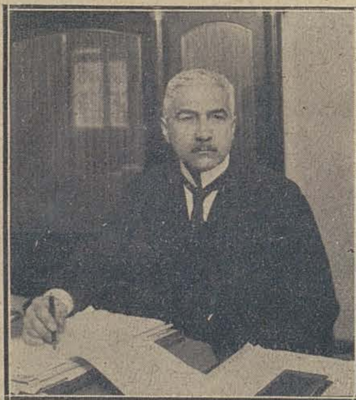
— Monsignor pozwoli mi wziąć ten numer
zety?

— Proszę bardzo: mam ich kilka.

Rozmowa skończona. Ucałowawszy rękę m
signora, opuściłem gabinet-celę, utrzym
w świetlych i uspokajających tonach.

cenzorem według instrukcji Aksentowicza. Stosowano wszędzie przesadną surowość, tak iż życie w bursie stawało się często bardziej nieznośne niż proste więzienie. Linde dożył w życiu górnych wyżyn a zginął tragicznie. (Dołączam odcinki gazet, wyjaśniające ostatnie ciężkie przejścia, jakie ów człowiek miał w życiu).

Aksentowicz był gospodarzem bursy przez dwa lata, poczem w domu parterowym Göttera po lewej stronie na rogu ulicy Gołuchowskiego założył własny konwikt dla majętniejszych studentów, z bursy zabrał kilku ubogich a zdolnych uczniów, dał im bezpłatne ~~pomie~~ utrzymanie, a za to oni mieli uczyć tych bogatszych. Po kilku latach przeniósł ten zakład do Kołomyi, potem do Lwowa (przy ul. Piekarskiej), wcale ładnie zakład ten się rozwijał, coś jednak nagle zaszło, że go bardzo szybko zwinął, był krótko ~~u~~ urzędnikiem w Banku Ormiańskim, następnie porzucił to (czy też jego porzucono), przeniósł się do Kołomyi, tu wydawał „Gazetę Kołomyjską" i dzierżawił drukarnię Miziewicza, którą pięknie rozwinął, umarł nagle na udar mózgu około r. 1912. Do końca życia był bezżenny. Postać dziwna, mieszanina dobroci i złości, rozumu i non=



Ś. p. Hubert Linde, b. minister poczt i b. prezes P. K. O., przed wyrokiem w smutnym procesie, padł z ręki zabójcy.

sensu, więcej w życiu zaznał burzy niż spokoju, miał licznych nieprzyjaciół a mało przyjaciół. Może i na lepszy los zasłużył, niż mu przypadł w udziale, ale zwichnął się za młodu, bo nie pozdawał egzaminów prawniczych, stąd potem zawsze był tylko człowiekiem o niedokończonem wykształceniu i pozostawał w tyle za innymi.

Po nim objął gospodarstwo bursy nauczyciel szkół powszechnych Skliwa, młody, nadęty, zarozumiały, niecierpiany przez wszystkich. Był żonaty, bezdzietny. Gospodarzył niecały rok, poczem odszedł. Umarł wkrótce potem nagle.

Po nim oddano gospodarstwo bursy nauczycielowi gimnazjalnemu Piotrowi Mirtyńskiemu. Pochodził ze zachodniej Galicji z powiatu limanowskiego, był żonaty i miał kilkoro dzieci. Człowiek dobry, stateczny, wyrozumiały. Był gospodarzem do końca mego pobytu w bursie.

Miejscowi lekarze bezinteresownie leczyli młodzież w bursie. I tak przychodzili do nas lekarze: Mroczkowski, dyrektor szpitala, człowiek bardzo zdolny i silnie nerwowy. Właśnie wtedy postawił był sobie nowy dom przy ulicy Sobieskiego, cieszył się w mieście poważaniem, ale w sile wieku umarł. Była chora na tyfus jego dawniejsza służąca w Łysicu, pojechał ją leczyć, nabawił się sam tej choroby, której też uległ. Byłem na jego pogrzebie, przemawiał pięknie na cmentarzu burmistrz Kamiński, po nim zaś mówił jakiś lekarz (izraelita) w tak długiej niemieckiej mowie, że przyprawiał słuchaczy niemal w omdlenie. Prócz Mroczkowskiego leczyli bursaków dr. Czesnak i Konkolniak. Leki dawały

darmo apteki Amirowicza, Beila i Macury.

Bursa dopomogła całym zastępom młodzieży do ukończenia nauk. Zasługi jej kierowników i dobroczyńców są ogromne, a pracę ich i ofiarność można podawać za wzór przyszłym pokoleniom. Ujemną stronę tworzył fakt, że czasem miała niemądrych kierowników i ci czynili z niej przykre więzienie. Toteż nieraz, w długie lata później pytałem byłych bursaków, dlaczego nie są członkami bursy Kraszewskiego, na co otrzymywałem odpowiedź, że należą jako członkowie do innych stowarzyszeń o celach podobnych, stanisławską zaś bursę uważają na pół za klasztor, na pół za więzienie. W swoim czasie — jak widać — był pobyt w bursie zaprawiony pewną goryczą. Dopiero od czasu opieki nad bursą profesora Koteckiego, zmieniło się bardzo wiele w kierunku humanitarnym.

Nas, z jednej klasy było w bursie sześciu, a to Chominiec Dymitr, Korowski Julian, Mroczko Stanisław, Bogucki Mikołaj, Kaczera Alfred i ja. Chominiec był synem włościanina z Oleszy pod Tłumaczem, narodowości ruskiej. Niezmiernie cichy, pracowity, prawy, ogromnie koleżeński, a jeden z najuboższych, jakich bursa miała. Został ruskim księdzem, zachowując celibat. Był wikarym w Buczaczu a następnie osiedlił się w Horoszowie koło Kopyczyniec. Umarł wcześnie na żółtaczkę. Żył jak apostoł, niczego dla siebie nie pragnąc, przed śmiercią rozdał całe swe niewielkie mienie ubogim, spoczął na wieki na tamtejszym cmentarzyku wiejskim.

Juljan Kurowski, sierota po oficjaliście prywatnym z okolic Złoczowa. Zdolny filolog i dobry kolega, choć natura zacięta. Z braku środków majątkowych ciężko walczył z losem nim ukończył gimnazjum i studja prawnicze. Następnie był sędzią, przeniósł się potem do notarjatu, ożenił się, był notarjuszem w Borszczowie potem w Szczercu, a na notarjacie dobrze się dorobił.

Stanisław Mroczko, sierota po obojgu rodzicach, chłopczyk drobnej struktury, o niebieskich oczkach, bardzo staranny w swoich wypracowaniach, kochany kolega, serdeczny, dowcipny, zawsze wesoły, z trudem przeszedł gimnazjum z powodu braku funduszów. Po ukończeniu praw poświęcił się urzędom skarbowym, gdzie piastował wyższe godności najpierw w Żółkwi, potem we Lwowie.

Mikołaj Bogucki, syn mieszczanina z Borszczowa, pierwotnie chodził do gimnazjum OO. Bazyljanów w Buczaczu, a od piątej klasy w Stanisławowie. Był niezmiernie zdolnym, nieco w sobie zamkniętym, po ukończeniu praw był sędzią w Gródku, Zabłotowie i Lwowie. Wcześnie owdowiał, stąd życie jego szło pod znakiem posępnym.

Alfred Kuczera, syn urzędnika podatkowego z Nadwórny, był uweseleniem całej bursy. Żartował ze wszystkich i wszyscy z niego. Zdolności mniej niż średnich, ciężko się borykał z naukami, pomagał sobie jak mógł, lawirując tak, by ostateczny rezultat był dobry. Ale mógł skończyć jedynie czwartą klasę gimnazjalną, piątej żadną miarą przejść nie zdołał. Kolega idealny, zdolny do poświęceń za drugiego, zawsze wesoły, dowcipny, w ciągłej walce z władzami



Mały fragment z odcinka ulicy Lipowej.

bursackiemi z powodu spaźniań, lubiano go jednak i z niego żartowano. Jednego razu w r. 1889 w piątej klasie na lekcji nauki języka łacińskiego profesor Świderski rozpoczynając lekcję wyjął notesik i począł szukać, kogoby miał wywołać na środek klasy do tłumaczenia Liviusa. „Niechże tu przyjdzie... niechże tu przyjdzie" mówił profesor, a tymczasem szukał oczyma po notesie, kogo ma zawołać. Po klasie odezwało się kilka głosów: Kuczera, Kuczera! ~~Ku~~ Profesor zatrzymał się ~~oczyma~~ oczyma na nazwisku Kuczery w notesie i po namyśle zauważył: „przecież byłeś niedawno pytany i nie umiałeś. Tu znów odezwały

się głosy po klasie: on chce sobie poprawić! Poczciwy profesor na to: ano, to chodź tutaj Knozera! Student zmiał ze złości, bo właśnie na ten dzień nie był wcale z łaciny przygotowany. Wyszedł na środek, począł siarczyście czytać tekst łaciński, kiedy jednak przyszło tłumaczyć na polskie, zamarło mu w gardle. Ale Knozera miał swój własny sposób na wybrnięcie z każdego nieszczęścia. Oto posiadał wcale pokaźny ogórkowaty nos, który miał tę właściwość, że po silniejszem pociśnięciu krwawił. Sięgnął więc Knozera po chustkę do kieszeni surdata, przyłożył ją do nosa i zaraz pokazały się na białej chustce duże plamy świeżej krwi. Zaniepokojony profesor, kazał mu zaraz wyjść na korytarz celem umycia się. Knozera raźnie wyszedł z klasy, i tak uniknął pytania i tej rzekomej poprawy, która by go była przypieczętowała. Także i z innych opresji szkolnych nieraz Knozerę ratował jego nos – w rezultacie jednak wymagania klasy piątej były ponad jego siły. Nic mu jednak w życiu dalszy brak szkół nie zaszkodził, owszem wodziło mu się lepiej niż innym. Poszedł do Urzędu podatkowego, osiadł w Nadwórnie, ożenił się z bogatą wdową po swoim przyjacielu, miał się doskonale, wreszcie piastował nawet godność burmistrza w tem mieście.

*

Prócz stosunków w bursie, utkwiły mi jako studentowi w pamięci stosunki gimnazjalne. Gimnazjum nasze, jedyne zresztą w mieście, mieściło się w starym budynku pojezuickim, obok kościoła jezuickiego. Gmach był dwupiętrowy. Na dole były klasy I a. b. c. II b. sala



Budynek Gimnazjum Stanisławowskiego.

Od r. 1740 aż do naszych czasów mieściło się tu ognisko oświaty ziem naszych. Wchodziło się do budynku od placu. Po prawej ręce od wchodu były dwie sale, a to pierwsze dwa okna była klasa IB. (tu zdawałem wstępny egzamin do gimnazjum), dalsze trzy okna tworzyła klasa I.A. Na lewo od wchodu pierwsze dwa okna była klasa IC, do której chodziłem w latach 1884/5., dalej na lewo był gabinet profesora rysunków a dalsze ubikacje aż do kościoła jezuickiego zajęte były przez bibliotekę nauczycielską (przesiadywał tu prof. Makowski).

Na pierwszem piętrze od prawej ręki ku lewej, pierwsze trzy okna (jedno na obrazku otwarte) była klasa IIA (tu chodziłem w r. szk. 1885/6 dalsze dwa okna (jedno otwarte, drugie drzewkiem przysłonięte była to klasa VIII, dalsze okno na lewo (nad bramą) był mały pokoik nauczycieli, dalsze dwa okna, sala konferencyjna, dalsze jedno okno (tuż za nim) był gabinet dyrektora Kerekjarty, w którym też umarł nagle, dalsze dwa okna klasa VB., ostatnie trzy okna gabinet przyrodniczy (prof. Werchratski). Na drugiem piętrze od prawej ku lewej pierwszych 6 okien gabinet fizykalny, dalej na lewo mieszkanie dyrektora.

rysunkowa, gabinet rysunkowy, biblioteka nauczycielska i mieszkanie terciana. Na pierwszem piętrze były klasy idąc kolejno IIa. VIII. IVb. Vb. VII. VI. Va. nadto sala konferencyjna, dyrekcja, gabinet przyrodniczy, biblioteka uczniów, sala dla nauki religii. Na drugiem piętrze były klasy IIIa. IIIb. IVa. gabinet fizykalny i pomieszkanie dyrektora. Klasy były szerokie, sale od ogrodu dość ciemne (zwłaszcza na parterze), jasne zaś od frontu, budynek nie nadawał się pro na nowoczesny zakład naukowy, ale podówczas o nowe budynki szkolne było bardzo trudno.

Za moich czasów był dyrektorem Jan Kerekjarto, obrządku greckiego, dom prowadził polski; był matematykiem i stale tego przedmiotu uczył w klasie VIII. Wysoki, barczysty, brunet, z niedużą czarną, na pół siwiejącą brodą, zawsze o surowym wyrazie twarzy, małomowny, stanowczy, absolutny, bezwzględny. Dla profesorów i młodzieży był autorytetem, przed którym pierwsi byli z dużym respektem, drudzy truchleli. W ocenie postępu uczniów był zupełnie bezwzględny, stąd ilość uczniów topniała znacznie z biegiem roku szkolnego. Dyscyplinę utrzymywał żelazną, niekiedy przesadną. Poprzednio był profesorem matematyki w gimnazjum samborskiem za czasów dyrektury Barewicza i w sprawowaniu dyrektury Kerekjarty znać było wyraźny wpływ i szkołę Barewicza. Nie prowadził otwartego domu, żył tylko z dyrektorem szkoły realnej Czaczkowskim i z nim od czasu do czasu chodził na niedługi spacer po mieście. A nawet na spacerze chód Kerekjarty był stateczny, powolny, odpowiednio godny i dosto-

sowany do urzędu, jaki piastował. Był żonatym, miał dwu synów. Umarł nagle w kancelaryi gimnazjalnej 31. stycznia 1898 r. Tego dnia urzędował, jak zwykle, poczuł jednak że mu się robi niedobrze, a że nikogo wtedy obok siebie nie miał, postąpił do taśmy dzwonkowej, by dzwonkiem zawezwać tercjana, pociągnął wprawdzie za taśmę, lecz równocześnie padł na ziemię martwy. Przybyły tercjan zaalarmował rodzinę, ale wszelki ratunek był już wykluczony.

Pochowano go na cmentarzu w murowanym grobie niedaleko profesora Koteckiego. Po pogrzebie zaszedł niebywały wypadek. Jakaś staruszka ~~od~~ obchodziła cmentarz, dumając nad poszczególnemi grobami, lub może szukając znajomego nazwiska na nagrobku. Gdy weszła w szereg grobów, w których spoczywał Kerekjárto, spostrzegła ją wówczas, biegającą po cmentarzu,

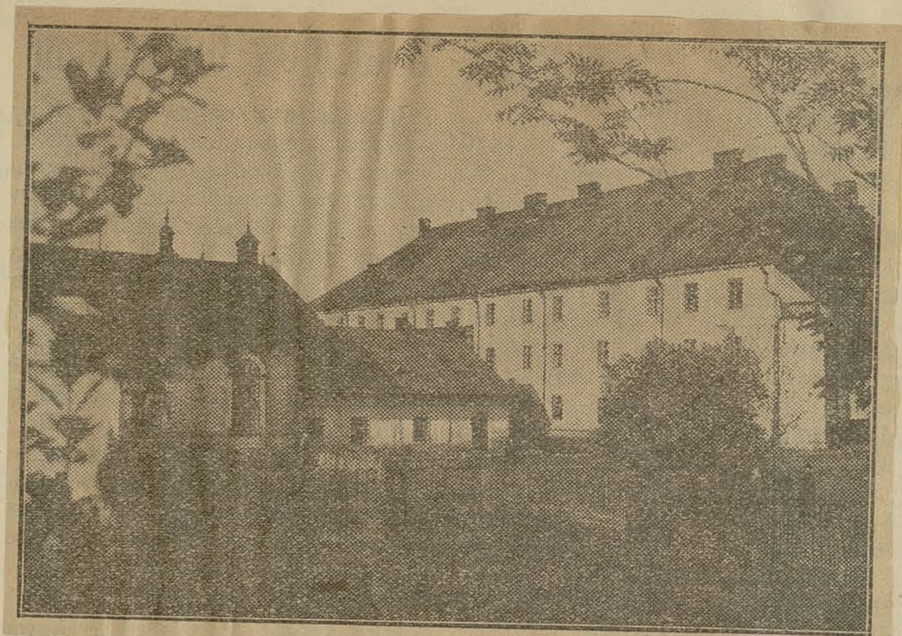


Kurytarz starego gimnazjum w Stanisławowie.–

uskoczył do grobu murowanego na zapas obok grobu Korek-
jarty i gdy staruszka się zbliżyła, począł stękać, jakby z pod
ziemi. Staruszce na myśl przyszło, że pewnie w świeżo muro-
wanym grobowcu Korekjarty zmarły obudził się ze snu letar-
gicznego. Pobiegła do grabarza, ten zaalarmował miasto,
otwarto grobowiec i trumnę, lecz znaleźli ciało dyrektora
uległe już rozkładowi.

Po dyrektorze najznaczniejszym profesorem był
Piotr Parylak, członek korespondent Akademji Umiejęt-
ności w Krakowie, autor kilku prac naukowych, człowiek
wysokiej kultury, zawsze czynny, rozważny, rozumny
i stateczny. Uczył języka polskiego. Onto był inicjatorem
założenia bursy im. J.J. Kraszewskiego i jej pierwszym dy-
rektorem. Ze Stanisławowa przeniósł się do Lwowa, potem
został pierwszym dyrektorem nowo utworzonego gimnazjum
w Cieszynie. Przeżył długie lata umarł w Krakowie na
emeryturze.

Religji uczyli dwaj katecheci, Ks. Dąbrowski
uczniów obrządku rzymsko-katolickiego, zaś Ks. Litwinowicz
uczniów grecko-katolickiego obrządku. Ks. Tomasz Dąbrowski
pochodził z ubogiej rodziny młynarskiej. Ojciec wcześnie go
odumarł, był więc ostoją i podporą pozostałej rodziny, a
było dość rodzeństwa, bo matka była dwa razy zamężna.
Mieszkał we własnym domku przy ul. Kamińskiego,
mając przy sobie matkę, siostrę i przyrodniego brata
auskultanta sądowego Łotockiego, który umarł na gruźlicę
we wczesnym wieku. Do kupna tego domu doszedł w spo-



Stare gimnazjum widziane od ogrodu.

sób następujący. Wydał podręcznik religii na II i III klasę tj. historję biblijną starego i nowego zakonu. Kto wydawał podręcznik do nauki w gimnazjum musiał go własnym kosztem wydrukować i posłać do Rady szkolnej krajowej do aprobaty i zezwolenia na używanie w szkole. Uczynił to także ks. Dąbrowski i wszystkie fundusze, jakie tylko miał, obrócił na druk, zapożyczywszy się jeszcze potrosze. Ileż on przeżył niepokoju, nim przyszła wiadomość, że Rada Szkolna książkę aprobuje. Los jego wisiał na włosku. Ale rezultat był szczęśliwy, ks. Dąbrowski dobrze wyszedł na wydawnictwie, z dochodu ładny dom z ogrodem kupił, ro-

dziny zabrał do siebie i odtąd wcale dostatnio żył. Ks. Dąbrowski był człowiekiem światłym, wykształconym, mówcą doskonałym, pedagogiem wzorowym, szanowano go powszechnie a młodzież go prawdziwie kochała. Jego wykłady słuchało się z największem zainteresowaniem. Gdy dzwonek wydzwonił koniec godziny, żałowało się, że się już nie słyszy tych słów potoczystych, które jak perły płynęły z jego ust. Wykładał całą partję i pytał ją potem naraz, i to najpierw tych którzy sami się zgłaszali na ochotnika, następnie przymusowo jednego za drugim. Gdy czasami jakaś część godziny została jeszcze do dyspozycji, bo bądź partja wykładu się ukończyła, bądź nie było już kogo pytać, wtedy opowiadał Ks. Dąbrowski niezmiernie ciekawe rzeczy z dawnego życia klasztornego, z życia w seminarjum duchownem lub z dziejów. Codziennie o godzinie 7 rano odprawiał mszę w kościele farnym, do mszy służyło dwóch uczniów z czwartej klasy kolejno, a to z tego tytułu, że w tej klasie uczyliśmy się liturgiki. Co niedzielę miał Ks. Dąbrowski dwie egzorty, jedną dla niższych, drugą dla wyższych klas, poczem szliśmy na mszę do kościoła pojezuickiego. W jedną niedzielę była msza łacińska w drugą grecko-katolicka. Na rozpoczęcie roku szkolnego było nabożeństwo łacińskie, na zakończenie ~~[illegible]~~ 15 lipca nabożeństwo według obrządku grecko-katolickiego. Na każdem nabożeństwie śpiewał chór gimnazjalny pod przewodnictwem nauczyciela śpiewu Elektorowicza. Raz miałem kłopotliwy wypadek z powodu Ks. Dąbrowskiego, który się jednak pomyślnie zakończył. Otó gdy byłem w czwartej klasie, raz napisał Ks. Dąbrowski

w szkole przekaz pieniężny celem wysłania pieniędzy za wino do Węgier. Pytał wtedy partyj religii, a ponieważ ją już zdałem, więc dał mnie przekaz i pieniądze, bym zaniósł na pocztę. Część pieniędzy była w banknotach a część w srebrze. Chętnie się podjąłem tej misji, wyszedłem swobodnie z gimnazjum i wcale się nie spiesząc szedłem ku poczcie na ul. Sobieskiego. Po drodze usiadłem sobie na ławce w ogródku naprzeciw koszar straży ogniowej tj. na placu, gdzie później zbudowano pierwszy budynek Dyrekcji Kolejowej, wyjąłem przekaz, przeliczyłem następnie pieniądze, lecz — o zgrozo — nie doliczyłem się tyle, na ile przekaz opiewał. Zdjął mię strach nielada, przecież katecheta wyraźnie liczył i było wszystko, dotąd pieniędzy nie wyjmowałem z kieszeni, nie rozumiałem więc, gdzieby się podziała brakująca reszta. Przeszukałem dokładnie kieszeń, spoglądnąłem na ławkę i pod ławkę, pieniędzy dalszych nie było. Poszedłem jednak na pocztę, by mandat ściśle spełnić, położyłem przed kasjera przekaz i wszystkie pieniądze i czekałem wyroku. Urzędnik pieniądze przeliczył, zgarnął je do szuflady, przekaz wciągnął do wykazu, mnie wystawił recepis — poczem jakby mi kamień spadł z serca, wesoły wróciłem do klasy. Moje liczenie na ławce było mylne, ze strachu nie chciałem drugi raz pieniędzy przeliczyć, stąd niepotrzebnie się martwiłem.

Ruskim katechetą był ks. Litwinowicz, późniejszy kanonik Kapituły. Wdowiec, człowiek poważny, przystępny, dobry, wyrozumiały, bardzo przez młodzież lubiany. Był

już w podeszłych latach i głowę miał szronem przyprószoną. Był kierownikiem bursy ruskiej im. św. Mikołaja. Miał córkę jedynaczkę, zamężną za sędzią Krynickim. Gdy ks. Litwinowicz przeszedł do kapituły, został po nim katechetą ruskim ks. Semenów, młody, dobry, uczynny, spokojny. Pochodził z Oleszy.

Do filologii klasycznej miało gimnazjum czterech profesorów. Najstarszym był ks. Jan Łopuszyński, ruski kapłan nie pełniący jednak duszpasterstwa. Człowiek niezmiernej dobroci, wysokiej kultury, przez młodzież kochany. Był już w dość późnym wieku a po wysłużeniu przepisanych lat przeszedł na emeryturę i za Parylakiem udał się do Cieszyna, gdzie w tamtejszem polskiem gimnazjum prywatnem pełnił obowiązki profesora filologii, zaskarbiając wszędzie swą pracą, wiedzą i szlachetnością duszy uznanie i szacunek. Umarł, niestety, samobójczą śmiercią wskutek rozdrażnienia powstałego na tle śmierci ukochanego syna.

Drugim filologiem był profesor Paweł Świderski. Postać wielce oryginalna. Pochodził ze zachodniej Galicji, Uniwersytet kończył w Krakowie. Był żonatym, miał jedną córkę i trzech synów. Średniego wzrostu, brunet, broda krótko strzyżona, nos wcale pokaźny stanowił przedmiot natrząsań się studentów. Kiedy przed laty przybył ze zachodu do Stanisławowa, zwykł był przy napomnieniach uczniów używać krakowskiego zwrotu „ty pańprze jeden”, któryto wyraz nie był tu używany

i brzmiał dziwnie, stąd młodzież swawolna podchwyciła go i odtąd w jej ustach Świderski nie nazywał się nigdy inaczej, jak „paper". Był to człowiek zdolny, pomysłowy, torujący nowe drogi we wychowaniu fizycznem młodzieży. Jako profesor był nieco dziwak, jednak wyrozumiały i nie należał do tych nauczycieli filologów, którzy wyciskali uczniów jak cytryny, by z nich same aorysty i formy gramatyczne wydusić. Był on inicjatorem założenia w Stanisławowie szkoły przemysłowej, do której uczęszczało na popołudniową naukę wielu uczniów szkół średnich. Za młodszych lat wydał Świderski podręcznik do nauki języka niemieckiego i książkę w tysiącznych egzemplarzach własnym kosztem wydrukował. Rada Szkolna jednak podręcznika tego nie zaleciła do gimnazjum. Gdy chodziłem do piątej klasy gimnazjalnej, kolega Zathey przyniósł do szkoły znaleziony gdzieś egzemplarz tej książki. Przed godziną Świderskiego skupiliśmy się wszyscy umyślnie w jednym punkcie klasy i książkę tę przeglądali. Gdy Świderski wszedł do klasy i zobaczył, że uczniowie tak gorliwie są czemś zajęci, podszedł ku gromadzie i zapytał, co się stało. Uczeń począł książkę chować, co Świderskiego tem mocniej zadziwiło i na naleganie profesora okazał mu jego książkę. Świderski popatrzył na nią, podumał coś trochę, jakby się zastanawiał, co ma na to powiedzieć, wreszcie rzekł: choć mi jej Rada szkolna nie przyjęła, mimo to rozeszła się książka w tysiącach egzemplarzy. Książkę uczniowi oddał, potem szybko kazał czytać zadanego na ten dzień Liviusa.

W życiu prywatnem był Świderski oszczędnym i zapobiegliwym. Miał dwa domy przy ul. Zabłotowskiej i dobry fundusik zaoszczędzony. Po śmierci dyrektora Kerekjartó kierował jakiś czas gimnazjum, potem przeszedł na emeryturę, przeniósł się do Lwowa, dożył późnego wieku, umarł około r. 1912. Nie chorował wcale, wrócił wieczorem z parku z przechadzki; usiadł na fotelu, poczuł zmęczenie, potem zrobiło mu się niedobrze, po kilku godzinach życie zakończył.

Trzecim filologiem był profesor Sofron Niedzielski, ukrainiec, blondyn, wysoki, w kryształowych okularach, o twarzy miłej, świeżej, młodej. Ubierał się w popielatych ubraniach. Pracowity, poważny, sumienny, sprawiedliwy. Był autorem słownika niemiecko ruskiego. Następnie był dyrektorem ruskiego gimnazjum w Kołomyi i na tej posadzie życie zakończył.

Czwartym filologiem był profesor Franciszek Majchrowicz, pochodzący z Łańcuta. To był zwolennik kucia autorów, przesadnie wiele zadawał i przesadnie wiele żądał. Nie trudził się nad nauczaniem ucznia, zadawał stąd dotąd, byleby szybko naprzód, pozostawiał ucznia własnej mozolnej pracy w domu a sam ograniczył się do surowego pytania w szkole. Pamiętam, jak nas pytał Homera w szóstej klasie. Wywoływał odrazu trzech uczniów. Brał od każdego uczniа zeszyt i pytał go z niego słówek greckich. Kto się pomylił, już siadał. Kto przeszedł szczęśliwie przez słówka, ten dopuszczony został do drugiego stopnia pytania tj. do skandowania. Kto się w heksametrze pomylił, już siadał. Kto jednak i to szczęśliwie przeszedł, dopuszczony był do tłumaczenia i dopiero

gdy i temu dał radę, uzyskiwał dostateczną notę. Wszystko to szło niezmiernie szybko. Kto słyszał jak trzech szmtocków odrazu młóci, lub jak trzech kowali odrazu kuje żelazo na kowadle, ten może sobie odtworzyć, jak ci trzej pytani musieli odpowiadać.

Jedną z najruchliwszych arterji Stanisławowa była ul. Karpińskiego. Codziennie gromady młodzieży przewalało się nią do i ze szkoły. Budynki oznaczone X legły w gruzy podczas wojny światowej w latach 1916/17. Po prawej ręce widać wspaniały gmach Dyrekcji Kolejowej, wybudowany już po moim wyjeździe ze Stanisławowa. Za moich czasów był tam pusty plac, a na nim w pobliżu chodnika stał kiosk drewniany z wodą sodową.



Najmniejsze potknięcie już miało za skutek złą notę. Majchrowicz był następnie dyrektorem gimnazjum w Drohobyczu a potem radcą szkolnym i lustratorem we Lwowie.

Z młodszych filologów wymienię Antoniego Liberę. Kawaler, mieszkał w małym pokoiku przy dalszej ulicy Tyśmienieckiej, uczył w niższych klasach łaciny i greki, a uczył tych przedmiotów dobrze i pilnie. Nie miał jednak pełnego egzaminu nauczycielskiego, stąd nie mógł zostać rzeczywistym profesorem. Studenci przezywali go szewcem z powodu jego niewybrednego ubrania i nieznajomości salonowych form. Przeniesiony został do gimnazjum w Tarnopolu, tam długo uczył, uskładał nawet pewien fundusz na „czarną godzinę", podczas wojny światowej jednak wszystko stracił i umarł około r. 1917. Innym młodszym nauczycielem religji był Kocinka, rusin, z księżej rodziny, uczył bardzo dobrze, przeniesiony do innej miejscowości, niebawem zmarł. Młodym lecz zdolnym nauczycielem był Wincenty Szczepański, doktor filozofji. Kerekjarto wielce go cenił. Szczepański zabiegał o rękę córki profesora Świderskiego, lecz ona za niego nie chciała wyjść zamąż zdaje się dlatego, że Szczepański miał twarz nieco ospą pooraną. Panna Świderska wogóle zamąż nie wyszła, Szczepański został starszym profesorem w Samborze, ożenił się tam z córką kupca Burkietyńskiego. Został dyrektorem gimnazjum w Gorlicach, umarł około roku 1920.

Niemieckiego języka uczył profesor Juljan Kotecki, o którym poprzednio wspominałem przy opowiadaniu o burse. Jako nauczyciel był bardzo surowym, ale też wyniki jego

pracy były ogromnie wydatne.

Historyków było dwóch. Alojzy Szarłowski, starszy człowiek, doskonały pedagog, poważny, stateczny, wykładał historję z dużem zajęciem, pytał partjami, tak iż uczeń musiał całość objąć. Napisał historję miasta Stanisławowa. W roku 1899 został przeniesiony do Krakowa, gdzie pozostał do końca życia. Drugim historykiem był Andrzej Makowski. Nie trudził się nauczaniem należycie, kładł książkę przed sobie i opowiadał, co w jest w odnośnym ustępie. Pytał lekcjami. Poza godzinami szkolnemi przesiadywał ciągle w parterze budynku gimnazjalnego (naturalnie w godzinach szkolnych) w bibliotece nauczycielskiej w ubikacjach przytykających do kościoła, gdyż był zawiadowcą biblioteki. Gdy dzwonek zadzwonił wychodził stamtąd i zamaszystemi krokami zdążał do klasy, trzymając w zaciśniętej dłoni spory, gruby klucz żelazny od biblioteki. Makowskiego nie widziało się wewnątrz budynku nigdy bez tego funtowego klucza w garści. Lubiał wódeczkę, a — rzecz dziwna — tak go ona zakonserwowała, że Makowski żył najdłużej ze wszystkich profesorów, swoich rówieśników. Młodszym profesorem historji był Józef Grünberg, bardzo dobra siła, zwłaszcza geografii uczył doskonale. Jako człowiek był idealnie dobry, szczerze młodzieży życzliwy i przez nią kochany. Później był profesorem w szkole realnej we Lwowie i wydawał mapy polskie geograficzne. Umarł jako zasłużony pedagog, pozostawiwszy po sobie najlepszą pamięć.

Matematyki uczył dyrektor Kerekjarto tylko

w VIII klasie przez dwie godziny tygodniowo. Zresztą cały ciężar nauki tego przedmiotu spoczywał na barkach profesora Michała Urysza. Był on małego wzrostu, szatyn o wypukłych oczach, powolny w ruchach, twarz pocięta w brodę strzępiastą, miał wyraz oblicza taki, jak gdyby losy Europy na jego głowie spoczywały. Pochodził ze Zachodniej Galicji, był żonatym, miał dwie córki i jednego syna. Człowiek ten był ciężkiem nieszczęściem dla gimnazjum stanisławowskiego, niemal obłąkany, a wpuszczano go do klasy chyba po to, aby młodzież wyniszczył. Złamał życie setkom uczniów i był przedmiotem nienawiści. Wykładał marnie, żądał przy pytaniu ucznia cudów, lżąc go, zakrzykując, bałamucąc. Ilekroć szedłem kiedyś w latach późniejszych poprzy budynek starego gimnazjum, zdawało mi się, że dolatuje mię jeszcze ciągle wrzaskliwy głos na pół niepoczytalnego Urysza z lat szkolnych. Można było otrzymać notę niedostateczną za to, że przy pytaniu uczeń popatrzył na profesora: „ucho do mnie, oczy na tablicę" wrzeszczał Urysz z całych sił, kto jednak odchylił głowę i popatrzył ku profesorowi, biada mu, mogło go to kosztować utratę roku. Za takie i tem podobne drobiazgi tracili uczniowie lata, tracili szkołę, wychodzili złamani z uczuciem krzywdy doznanej w zaraniu życia. Ceniono powszechnie dyrektora Kerekjártó za jego energię i rygor, ale brano mu to grubo za złe, że cierpiał Urysza tak długie lata, a nawet go popierał. Dla zobrazowania stosunków, jakie się wskutek samowoli Urysza wytworzyły, podam fakt

następujący. Profesor gimnazjum stanisławowskiego Świderski miał w tem gimnazjum dwóch synów: Bronisława i Cyryla, których Urysz uczył matematyki, ale tak niezmiernie się dojadał i tak ich gnębił, że choć uczniowie ci szli dotąd przez niższe klasy bez przeszkód, musiał ich ojciec odebrać i dać do innych gimnazjów, a to Bronisława do Tarnopola, Cyryla do Brzeżan, gdzie też prawidłowo nauki pokończyli. Można sobie przedstawić, z jaką rozpasaną samowolą postępował Urysz względem innych uczniów, kiedy wygryzł ze szkoły synów swego kolegi. Ale trafiła kosa na kamień. W kilka lat później, gdy podrósł mały synek Urysza i wstąpił na naukę do gimnazjum, dostał się pod Świderskiego. Na samym początku roku, gdy Świderski na pierwszej lekcji spisywał uczniów i natknął się na Urysza, udał się do dyrektora i zażądał przeniesienia tego ucznia do innego oddziału, gdzie on nie uczył, aby się uchronić od podejrzenia stronności. Po spensjonowaniu mieszkał profesor Urysz w Kołomyi przy jednej z córek, jednak żaden z jego byłych uczniów nie zbliżył się do niego i nie uścisnął tej dłoni, która przez trzydzieści lat uciskała młodzież. Po ustaniu wojny światowej 1918 jeszcze żył, a ponieważ z pensji emerytalnej nie mógł się utrzymać, zgłosił się do służby, ale władze szkolne mimo braku matematyków, propozycji jego nie przyjęły.

Młodszych nauczycieli matematyki było kilku. Ludwik Macinski, Lwowianin, dobry pedagog, przyjaciel

młodzieży, choć wymagający, jednak sprawiedliwy. Kawaler, rezerwowy oficer artylerji polnej, o twarzy zaczerwienionej z orlim nosem, zawsze starannie ubrany, jako dziecko stolicy we formach był światowcem. W Towarzystwie „Moniuszki" brał czynny udział i śpiewał barytonem, nadto w Kasynie miejskiem był sekretarzem. Przy uroczystych występach ubierał polską czamarę. Mieszkał we frontowym pokoju parterowego domu przy ul. Zabłotowskiej (Trzeciego Maja) naprzeciw gmachu Szkoły żeńskiej. Ze Stanisławowa został przeniesiony do Stryja, tam ożenił się z przystojną nauczycielką Czajkowską, stamtąd został profesorem w Tarnopolu, gdzie też zmarł wskutek zakażenia, po natarciu ręki maścią przeciwreumatyczną.

Drugim młodszym nauczycielem matematyki był Aleksy Nakoneczny, rusin, rubaszny, powolny, wysokiego wzrostu z czarną, nichrowatą brodą, miał pod jednem okiem twarz nieco załamaną, prawdopodobnie od jakiegoś wypadku w latach dziecięcych. Kawaler, człowiek dobrotliwy i przez młodzież lubiany. Ze Stanisławowa odszedł do ~~Przemyśla~~ Tarnopola, stamtąd do Przemyśla i tam życia dokonał.

Trzecim młodszym nauczycielem matematyki był Roman Moskwa. Wysoki, blondyn, całkiem łysy, jako nauczyciel doskonała siła. Później był profesorem we Lwowie i dyrektorem gimnazjum w Mielcu.

Nauk przyrodniczych uczył profesor Jan Werchratski, rusin, kawaler, literat, dość otyły, twarz okrągła golona, z której wąsy spadały zupełnie jak Szewczence. Werchratski był znany jako dziwak nad dziwakami. Mieszkał na poddaszu we frontowym domu profesora

Śniderskiego. Urządzenie domowe miał małoco wytworniejsze od owego filozofa greckiego, zamieszkałego w beczce. Nie wiele się szkołą zajmował, natomiast prócz pisania artykułów ruskich, uprawiał gorliwie wycieczki w okoliczne lasy, celem połowu owadów i motyli, którymi prowadził rozległy handel. Byłyto tak zwane ekskursje przyrodnicze z „Iwanem", bo tak studenci między sobą tego profesora nazywali. Na te ekskursje ubierał się Iwan w stare, obszarpane ubranie, w słomkowy kapelusz z dużemi krysami, liczący z pewnością lat kilkanaście, w rękę chwytał pałkę potężną i z kilkunastu studentami ruszał w drogę. Każdy student niósł co innego. Kilku niosło różne pudła, kilku duże parasole, inni różnorodne kije, jeszcze inni jakieś płachty, latarki etc. Taka grupa w różowych humorach kroczyła co soboty popołudniu ścieżynami polnemi, ponad potoki, urwiska, gaje i lasy, węsząc wszędzie za owadami, motylami, ćmami. Otwarte i do góry rączkę obrócone parasole tudzież płachty kładło się pod krzew, następnie student niosący kij walił nim po gałęziach, a wtedy do zdradzieckiego parasola lub na płachtę spadały nieszczęśliwe owady i muszki, które Iwan zaraz sortował, rozpoznawał, szacował, nazywał po polsku i łacinie i bądź obdarzał wolnością, bądź wrzucał do pudła, aby je uśmiercić, spreparować i w handel puścić. Miłe to były ekskursje, gwarne, wesołe, a komu w planie z nauk przyrodniczych nie bardzo się wiodło, mógł sobie poprawić opinję u Iwana

przez dzielne zachowanie się na owych łowach owadów i motyli. Za karę, że zaniedbał gabinet przyrodniczy został ten profesor przeniesiony do Rzeszowa. Później przeniósł się do ruskiego gimnazjum we Lwowie, ożenił się w późnym wieku i zmarł około r. 1898.

Choć nie był przyrodnikiem, lecz matematykiem, ale uczył nauk przyrodniczych w niższych klasach młodszy nauczyciel Stanisław Zabarski. Z powodu swej ogromnej dobroci i pobłażliwości był wykorzystywany przez młodszych studentów, którzy dokazywali na jego godzinach. Został stałym nauczycielem matematyki w Rzeszowie i przy dzieciach dożył długich lat.

Rysunków wyższego typu uczył profesor Czapelski ze szkoły realnej. Miał on ładny dom obok wydziałowej szkoły żeńskiej przy ul. Zabłotowskiej (przy szkole od strony ku kolei), był sędziwym starcem, człowiekiem poważanym, rusinem starej daty, miłym w obejściu i szczęśliwym w życiu rodzinnem.

Śpiewu uczył organista miejscowy Elektorowicz, muzyk wyższego typu, ożeniony z Marją Blautówną, cenioną powszechnie w mieście nauczycielką. Umarł zbyt wcześnie.

Pamiętną postacią w budynku gimnazjalnym był tercjan Jerzy Lewicki, rusin, brunet, chudy, posępnego usposobienia, żonaty, mieszkał w jednej z izb budynku z oknami na podwórze, mrocznej, stęchłej, niezdrowej. Bał się dyrektora Kerekjártó jak ognia, sam

zaś starał się być dla małych studentów postrachem i przy lada dziecinnym ekscesie, groził skargą do dyrektora. Ale też malcy lubieli drażnić Lewickiego. Nieraz w tłoku młodzieży, wychodzącej z klas, jakiś chłopaczek, widząc tercjana skrępowanego w ciżbie przez przez rzeszę studencką, i z nią razem posuwającego się mozolnie po schodach, gdzieś z za muru krzyknął „Jurko" i umykał, co sił starczyło. Lewickiego doprowadzał ten okrzyk do ostatniej złości, wszakże Jurkiem można nazwać chłopka na wsi, a nie jego, Jerzego Lewickiego, tercjana gimnazjum, chodzącego w urzędowej czapce z żółtym sznurkiem dookoła i z urzędowym baczkiem nad daszkiem. Reagował więc bezzwłocznie urażony w swej godności urzędowej Lewicki i krzyczał: ktoryto, ktoryto — aha już wiem który, czekaj, czekaj, dam ja ci Jurka! Zaraz idę do pana dyrektora, damy ci taką notę z obyczajów, że nie będziesz tu więcej popasał — itd. itd. Śmiała się gawiedź szkolna serdecznie i podniecała jeszcze rozsierdzonego „Jurka" do wymyślań na nieznanego śmiałka. Lewicki miał jednego syna, chciał go koniecznie wyuczyć na księdza, ale nie doszło do tego, bo syn był bardzo słabych zdolności, utknął wnet, poszedł do straży skarbowej, ale nie długo tam zabawił, widziałem go potem w charakterze portjera kolejowego w Stanisławowie, co się z nim dalej stało, nie wiem. Gdyśmy wrócili po wakacjach 1889 roku do gimnazjum, nie było już tercjana Lewickiego, bo zmarł, następcą jego był jakiś niepokaźny człowieczek, lubiący ze starszymi

studentami dysputować, a trzeba nazwał, że tę służbę objął, nazywając ją ciężką niewolą.

Wogóle w gimnazjum panował ogromny rygor. Dyrektor Kerekjarto był niezmiernie surowym tak dla nauczycieli, jak i dla uczniów. Wymagania do uczniów stawiano wielkie, uczniem szkoła się nie zajmowała, pytano surowo, oceniano bezwzględnie, jakby chciano pokazać, że tem lepiej, im mniej młodzieży przejdzie przez gimnazjum. Budynek szkolny nie wiele miał sal i tylko tyle klas być mogło, ile sal było. Redukowano więc tak, aby było tyle młodzieży, ile się w budynku pomieścić mogło. Czasami taki był dobór nauczycieli, że biedna klasa znajdowała się, jakby pomiędzy trybami dwu kół zębatych, z pomiędzy których rzadko kto wyszedł bez pogruchotania. Na prowadzenie się uczniów uważano niezmiernie surowo. Biada uczniowi, któryby niepotrzebnie pokazał się na ulicy. A już o jakichś tańcach, zebraniach tanecznych lub wieczorkach nikt wogóle marzyć nie mógł. Komuby przyszło do głowy uczyć się tańczyć, ten by jednego dnia nie był cierpianym w gimnazjum. Niemniej bezwzględnym był Kerekjarto dla nauczycieli. Tylko bardzo dobrych suplentów kwalifikował na stałe posady, stąd gorzka była dola suplentów, którzy nie zdołali zaskarbić względów Kerekjarty. Było więc sporo suplentów ze siwemi głowami a nie mogli doczekać się awansu ze Stanisławowa, chyba po przeniesieniu się do innego gimnazjum.



Połać starego rynku, zwanego później placem Franciszka Józefa, od strony Łyśca. Obrazek przedstawia stan z czasu około r. 1900. W tej części bardziej na lewo, przy chodniku była znana księgarnia Doboszyńskiego.

Książki kupowało się w księgarni Doboszyńskiego, jedynej w mieście, położonej przy Starym Rynku w części od strony Łyśca. Tam jednakże kupowało się tylko książki nowe, stare zaś kupowało się w antykwarniach bądź u Krisnapolera (w narożnej kamienicy Belwederu i ul. Kazimierzowskiej) bądź i to przeważnie u antykwarki Małki. Miała ona mały sklepik przy ul. Karpińskiego w tej jej części pomiędzy rynkiem a pla-

cem przed Dyrekcją Kolejową (dawną). Nie było krzykliwszej kobiety w całym Stanisławowie, jak Małka. Gdyby był kto spisał jej argumenty, ganiące książki przy zakupnie od studentów przed wakacjami a chwalące pod niebiosa tesame książki przy sprzedaży po wakacjach, byłby stworzył zajmujące studjum. Małka była kobietą starą, lat około 60 liczącą, zbiedowaną, poczerniałą, twarz miała pooraną zmarszczkami, nędzne ubranie zarzucone na niej niedbale, siedziała całymi dniami pośród stosów potarganych książek i zbutwiałych szpargałów, wyczekując przybycia studentów, którzy po godzinnym zaciętym targu kupowali u niej używane książki za marną cenę. O ile ona była niezwykle wymowna, o tyle jej mąż był flegmatykiem, urzęplinym w cenie, prędko załatwiał się ze studentami, o ile naturalnie miał sposobność żonę ~~ją~~ w razie przeszkodzenia zastąpić, ale też za tę zgoła odmienną taktykę kupiecką, otrzymywał nieraz od żony nawet „coram publico" głośne nagany.

Przybory szkolne kupowało się w sklepie Leona Voissa, kupca katolika i polaka, nadto w żydowskich sklepach Schreiera i Sperbera. Pierwszy miał swój handel przy ul. Karpińskiego (mniejwięcej w tem miejscu gdzie na obrazku tej ulicy pod kamienicą w gronie kilku mężczyzn, jeden stoi z parasolem), dwaj inni mieli swe sklepy przy ul. Sapieżyńskiej w jej najprzedniejszej części, i to blisko jeden drugiego i obaj ze sobą silnie rywalizowali. Na początku roku szkolnego wydawali cenniki na artykuły szkolne, prześcigając się w ta-

niości. Można było dostać 5 arkuszy papieru za centa (na dzisiejszą cenę mniejwięcej 6 groszy), albo pięć piór stalowych również za tę cenę. Zeszyty i ołówki (Hardtmutha) były niezmiernie tanie, np. kupowało się odrazu na cały rok szkolny tuzin ołówków Hardtmutha za 10 centów. Atrament wyrobu krajowego zwał się Kampeszowy, i ten kupowali studenci z niższych klas, lepsze zaś atramenty wyrobu Leonharda z Bodenbach w Czechach były bądź alizarynowy, bądź antracenowy.

*

Wśród tych warunków i stosunków przyszło mi zacząć naukę w gimnazjum stanisławowskiem. Wspomnę pokrótce, jakie były moje pierwsze kroki na tamtejszej arenie szkolnej. Zgłosiło się nas do gimnazjum ze szkół ludowych 111. Potrzeba było wpierw złożyć egzamin wstępny, nim się uzyskało przyjęcie do I klasy gimnazjalnej. Podzielono nas na trzy partje i z każdą osobna komisja przeprowadzała egzamin najpierw pisemny, potem ustny. Pisemne zadania wydały mi się bardzo łatwe. Następnie przyszedł egzamin ustny. Czekałem z bijącem sercem, nim na mnie kolej przyjdzie, wołano uczniów jednego po drugim, szeregiem zasiadali w pierwszej ławce i odpowiadali. Słuchałem uważnie i ważyłem w umyśle, czy i ja bym na te pytania odpowiedział, coraz nabierałem otuchy, lecz ciągle mnie nie pytano. Trzeciego dnia przyszedł dyrektor i odczytał, którzy nie zdali. Przepuszczono mię bez pytania, widocznie pisemna praca wypadła

pomyślnie.

Niezależnie od tego, gdzie kto zdawał, podzielono pierwszą klasę na trzy oddziały, A, B, C. Ja zostałem przydzielony do I C. W kilka dni później przyszedł do naszej klasy dyrektor Kerekjarto w niepamiętnej mi sprawie. Wstał wtedy z ławki mały, pulchniutki uczeń Mieczysław Wojkowski, zakręciły mu się łzy w oczach i nieśmiało rzekł do dyrektora: proszę mię dać do innego oddziału, bo mama mówi, że w oddziale C są najgorsi uczniowie. Roześmiał się wtedy dyrektor, a pierwszy i ostatni raz w życiu to u niego widziałem i zapytał Wojkowskiego, w którym oddziale są najlepsi. W oddziale A, brzmiała odpowiedź malca. Uspokoił go dyrektor podnosząc, aby się dobrze uczył to i w oddziale C będzie najlepszym uczniem i na tem się ta oryginalna suplika wkończyła. Dodam, że ów malec, kiedyś po latach sam był dyrektorem gimnazjum w Skalacie.

Były jeszcze wtedy lokacje w gimnazjum. Najlepszy uczeń miał pierwszą – i tak szło liczbowo do ostatniego. Ja w pierwszej i drugiej klasie miałem lokację szóstą, potem je zniesiono. Zresztą nauka szła mi dobrze, zwłaszcza matematyka, nauki przyrodnicze i historja. W filologji nigdy nie miałem zbytniego powodzenia.

Życia towarzyskiego wśród młodzieży gimnazjalnej nie było żadnego. Każdy czuł na sobie brzemię szkoły i był szczęśliwy, jeżeli podołał obowiązkom. Z domu do szkoły, ze szkoły do domu, w szkole rygor żelazny, w domu nauka do późnej nocy i to tem cięższa im się było ze wyż-

szej klasie – tak monotonnie płynęło życie studentów w gimnazjum stanisławowskiem a na pociechę nam mawiano:

Ukochaj chłopcze szkolne mozoły,
Bo to dopiero wstęp do życia szkoły.

Były te mozoły ciężkie, bezbarwne, trudno je było ukochać, ale się je znosiło, licząc z upragnieniem etapami czas, ile jeszcze miesięcy do świąt, ile do końca kursu, ile do wakacji – i tak żmudnie upływał rok za rokiem.

Tylko w sobotę popołudniu wysypywali się uczniowie za miasto na „Dąbrowę" i ulubionym sportem były gry (starszych uczniów) w palestrę, lub (młodszych uczniów) w kiczkę. W zimie zaś szło się na zamarzłe stawisko, położone nieopodal gościńca ku Łyścowi, na prawo, tuż obok jakiegoś młyna czy garbarni, i tam się studenci ślizgali na łyżwach.

Życie narodowe pielęgnował dom rodzinny, nie szkoła. W szkole dyrektor był rusin, jako urzędnik kultywował ducha austrjackiego, młodzież się traktowało sucho: stąd dotąd zadane, jutro profesor wyjmował notes, robił marsową minę, pytał bezwzględnie, pisał skąpą notę, znów zadawał, znów pytał i tak się szło ciągle naprzód. Na idee narodowe nie było w owych czasach w szkole miejsca. Ale duch narodowy żył w młodzieży polskiej głęboko. Już nawet student gimnazjum z I i II klasy kupował dzieła Mickiewicza, studjował je jak umiał, karmił niemi duszę i przepajał serce, czytał literaturę polską (Kubioskowskiego) jak ewangelję

i gromadził sobie biblioteczkę. Niesłychane zasługi poniosła znana podówczas w kraju „Biblioteka Mrówki", wydawana przez Księgarnię Polską we Lwowie. Ona to skarby literatury spopularyzowała i udostępniła dla ogółu. Pamiętam jak ją w latach 1885–1888 za ostatni grosz, jaki miałem, kupowałem pojedyncze dziełka Syrokomli, Słowackiego, Kochanowskiego a wreszcie z nieopisaną rozkoszą w II klasie wykładałem półtora guldena i kupiłem u Doboszyńskiego dzieła Mickiewicza oprawne w płótno. Tosamo czynili i inni studenci, a właściwie młodsi naśladowali w tem starszych. Pod wpływem lektury o filomatach i filaretach, przy rozbudzonej młodzieńczej wyobraźni, założyliśmy tajne stowarzyszenie narodowe, mające za cel szerzenie ducha narodowego i wiedzy. Ale całe stowarzyszenie tworzyło nas zaledwie czterech: dwaj bracia Ignacy i Stanisław Lindnerowie, Eugenjusz Kocowski i ja. Schodziliśmy się w domu Lindnerów przy ul. Gołuchowskiego, czytaliśmy literaturę lub zdawali sprawozdanie z lektury, omawiali historję polską, wreszcie redagowaliśmy w jednym oczywiście egzemplarzu pismo „Lumen juventutis", które bracia Lindnerowie starannie za obrazem trzymali w ukryciu. W tem piśmie umieszczaliśmy nasze prace. Wiem, że ja umieściłem wiersz pochwalny Podola, to znów pisałem jakąś powieść o dziwaku w rodzaju Machnickiego, zresztą pisałem rozprawki matematyczne. Koledzy pisali artykuły z historji i literatury. Bojąc się wykrycia naszego związku, nie wciągaliśmy doń nikogo innego. Oczywiście były to chłopięce porywy, ale miały tło

szlachetne i płynęły z miłości do przeszłości dziejowej. Kocowski gdzieś mi potem zniknął w życiu z oczu, Ignacy Lindner dochował mi przyjaźni przez całe życie, był urzędnikiem pocztowym, w życiu domowem nieszczęśliwy, zmarł w Czortkowie około r. 1920. Stanisław Lindner był znakomitym sędzią, długoletnim naczelnikiem Sądu w Trembowli, potem wiceprezesem Sądu okręgowego w Tarnopolu.

W dzień Wszystkich Świętych objawiało się (żywiej) poczucie narodowe w młodzieży polskiej i wyładowało w tradycyjnych obchodach. Uczniowie Szkoły realnej rysowali dwa obrazy kredkowe, najczęściej reprodukując Grottgera, oświetlano te obrazy i zawieszano na grobach patrjotów polskich na cmentarzu stanisławowskim, a to na grobach poety Gosławskiego, studenta Hoszowskiego (padłego w Stanisławie podczas rewolucji) i członka Rządu Narodowego Agatona Gillera. Młodzież szkolna z gimnazjum, szkoły realnej i seminarjum nauczycielskiego, podczas powszechnej iluminacji cmentarza śpiewała pieśni patrjotyczne, dobierano jednak tylko dobrych śpiewaków i tworzono potężny chór na cztery głosy. Przedmiotem ambicji studentów z najwyższych klas było dyrygowanie takim chórem. Brałem i ja udział w tych śpiewach, a pamiętam, że zbieraliśmy się poprzednio na ćwiczenia i próby w domu zacnego wiceburmistrza Szydłowskiego.

Na wiosnę 1887 umarł Kraszewski w Szwajcarji. We farze stanisławowskiej odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne. Podniosłe kazanie miał nasz katecheta ksiądz Dąbrowski. My, wychowankowie bursy im. Kraszewskiego

staliśmy ze świecami przez cały czas nabożeństwa w około katafalku z alegoryczną trumną, ugrupowani w dwu szeregach, w pierwszym starsi studenci, ci mieli na sobie czarne szarfy z krepy, w drugim my młodsi, choć ze świecami, ale bez krep. Student stojący przede mną, po-stąpił zanadto w tył i od mojej świecy zapaliła się na nim krepa, czego on nie wiedział, aż ją tłumiąc pło-mień ręką uderzyłem go kilka razy po plecach, on zaś nie rozumiejąc o co chodzi, silnie się na mnie oburzył. Była wtedy kwesta po kościele na bursę. Najstarszy student z bursy Hubert Linde zbierał i ledwie udźwignął do zakrystji ciężką tacę z mnogą monetą.

*

Ze studenckiego życia w Stanisławowie utkwiło mi w pamięci jeszcze to i owo. Pomiędzy studentami usta-lił się przesąd, że gdy się przyjdzie do szkoły w nowem, jeszcze nie noszonem ubraniu, spotka tam ustrojonego niezawodnie jakieś niepowodzenie. Liczni koledzy i znajomi studenci zapewniali, że stokrotnie to sprawdzono, stąd unikaliśmy ubierania się w nową odzież, tylko dla obejścia nieszczęścia, brało się je na niedzielę lub święto, bo wtedy nie było żadnych obowiązków szkolnych, nic złego więc nie groziło. Na drugi dzień już się nazywało, że ubranie jest przenoszone i nieszczęście już się ucznia nie czepiało.

Wśród studentów istniał za moich czasów dość rozpowszechniony handel zegarkami. Było to na przełomie,

kiedy znikały zegarki nakręcane kluczykami a wchodziły w handel ulepszone, z karbowaną główką do nakręcania. Toteż każdy starszy student starał się swój strośnicki zegar z kluczykiem pozbyć za cobądź jakiemuś młodszemu, dokładał kilka guldenów i kupował zegar nowej, podziwianej konstrukcji. Zakręciło się nam w głowie, gdy około roku 1886 pojawiły się niklowe zegarki marki Rosskopf, z odciskiem lokomotywy na tylnej kopercie. Były to silne, grube zegary o punktualnym chodzie, rozpowszechnione szczególnie pomiędzy służbą kolejową, niejako gwarantujące punktualność tych ludzi, których służba winna być do jednej minuty najdokładniejsza. Niebawem wyszły naśladownictwa zegarów Rosskopfa, także grube i silne, ale nieco zmodernizowane. Te wśród studentów najbardziej były rozpowszechnione. Student, chcąc uchodzić za nieomylnego znawcę, brał zegar do ucha i słuchał. Jeżeli mechanizm w chodzie walił jakby młotem po kowadle, wyrokował znawca, że zegar doskonały. Zegar, któryby miał chód cichy, uchodził za słaby, nie budzący ufności w dłuższy żywot i nie nadający się do kupna. Oddawałem się i ja temu frymarczeniu zegarkami, co roku miałem inny, wystawałem przed wystawami sklepowemi zegarmistrzów i gdy jakiś upatrzyłem, dążyłem usilnie, aby dotychczasowy gdzieś sprzedać, a nowy kupić.

*

W roku 1885 powstała między młodzieżą gimnazjalną moda noszenia jednakowych czapek. Forma ich była zbliżona do dzisiejszych maciejówek, a każda klasa miała mieć inną barwę. Szła ta moda od najwyższej klasy do najniższej i doszła już do klasy trzeciej. Gdy się młodzież wysypała ze starego gmachu gimnazjalnego, migotały kolory: zielony, czerwony, niebieski, żółty itp. Pamiętam tyle, że piąta klasa miała jasnoczerwone, siódma żółte. Po jakich jednak dwu tygodniach ogłosił dyrektor Kerekjarto zakaz, wszystkie miłe, barwne czapeczki ku powszechnemu żalowi młodzieży znikły i tylko jeszcze na wakacje ten i ów ją donaszał. Uczniom gimnazjum zgoła niczego nie było wolno, tylko pilnować Homera, logarytmów, atlasów itp., zresztą zakazanem było myśleć o czemkolwiek innem, jak tylko o tem, czego jutro będą w szkole pytać. Uczeń, któryby pomyślał choćby o barwnej czapeczce, według ówczesnych wyobrażeń nie nadawał się do szkoły.

W Stanisławowie musiałem być studentem według tych to wymagań szkoły, poza szkołą i poza bursą nie istniał dla mnie świat, toteż moje wspomnienia ze Stanisławowa dotyczą niemal w zupełności jedynie stosunków szkolnych. Kto chce poznać życie społeczne w Stanisławowie z owej doby, niech czyta „Kurjera Stanisławowskiego”, tygodnik ten wydawany był w duchu narodowym i oddawał wiernie ówczesne wydarzenia. To tylko tu podniosę, że było to zaledwie dwadzieścia lat po styczniowem powstaniu, nastrój polski

był w mieście silny i wszechwładny, uczucie narodowe głębokie, Polacy bez zastrzeżeń rządzili miastem i oni tylko o wszystkiem decydowali. Obchody narodowe były wspaniałe i godne stolicy. Szczególnie coroczne wieczorki Mickiewiczowskie były podniosłe i brały w nich czynny udział najlepsze siły miejscowe. Słowo wstępne głosił zwykle powszechnie szanowany dyrektor Seminarjum nauczycielskiego, literat Turczyński.

Perspektywa głównej arterji w Stanisławowie tj. ulicy Sapieżyńskiej. Po lewej stronie widać krańce dwóch małych ogródków, zwanych Kreterówką. Obrazek pochodzi z czasu około r. 1910.



Najbardziej podniosłą uroczystością za ~~[illegible]~~ moich czasów studenckich w Stanisławowie było utworzenie unickiego biskupstwa. Pamiętam jak w r. 1885 (lub może 1886) wjechał uroczyście do Stanisławowa ks. Juljan Pelesz, pierwszy mianowany biskup. Domy w mieście były przystrojone chorągwiami a wspaniała brama zrobiona z masztów, zieleni i chorągwi ustawiona była przy ul. Sapieżyńskiej nieopodal domu viceburmistrza Szydłowskiego. Tam witano pierwszego biskupa, tam wygłoszono kilka mów i stamtąd poprowadzono go do pałacu przy ul. Lipowej. Pałac ten był odkupioną od szewca Chuderskiego kamienicą, stosownie zrestaurowaną i odnowioną. Na owym pałacu w tym dniu pamiętnym powiewały chorągwie biało-żółte, oznaczające kolor papieski. Wieczorem balkon pałacu był ozdobnie oświetlony lampkami gazowemi, a całe miasto iluminowane. Było to dla nas bursaków dzień pamiętny długo, długo! Oto celem obejrzenia iluminacji wolno nam było być w mieście do godziny ósmej wieczór i nie chodzić parami. Niewola bursacka zniesiona na jeden wieczór. Fakt godny zapisania we wspomnieniach studenckich. Sale bursy opustoszały zupełnie. Jak z więzienia ruszyliśmy na miasto, przypatrując się wspaniałej uroczystości i podziwiając ludzi wolnych, którzy co wieczora po pracy mogą się swobodnie przechadzać. Sam biskup był człowiekiem miłym, o wysokiej kulturze, był synem nauczyciela wiejskiego starego typu, który jako staruszek zamieszkiwał wraz z synem w pałacu i chodził zawsze do ruskiej katedry na uroczyste nabożeństwa. Nie

szczęście chciało, że raz przychyliwszy się nad studnią, wpadł do niej starzec i utonął. Biskup po kilku latach przeniósł się ze Stanisławowa do Przemyśla, tam jednak popadł w nałóg alkoholu, który rychło przeciął nić jego życia.

*

Natenczas nie miał Stanisławów stałego teatru ani nawet budynku teatralnego nie było. Zjeżdżały co roku teatry wędrowne, częściej polskie, rzadziej ruskie a czasami żargonowe żydowskie. Przedstawienia były zwykle bardzo odwiedzane. Stara, choć pakowna, ale nieestetyczna sala teatralna przy pl. Potockich (nieopodal Straży ogniowej) ledwie mogła publikę pomieścić. Studenterja ze wszystkich szkół zalegała parter stojący po 20 ct. Kto tylko mógł, wyrywał pieniądze, byleby pójść na przedstawienie a Matka miała wtedy dobry zarobek, bo niejeden student lekkomyślnie i za bezcen mniej potrzebną książkę sprzedawał, byleby wieczorem być w teatrze. Szczególnie pamiętam zespół wędrowny Baczyńskiego i Piaseckiego.

Doskonałe jednak były także przedstawienia amatorskie. Znakomitym artystą amatorem był urzędnik pocztowy Mianowski, dorównywał mu kandydat notarjalny Warmski. „Łobzowianów" wystawiono z takim wdziękiem i starannością przez miejscowe siły amatorskie z inteligencji iż wiele razy to powtarzano przy szczelnie wypełnionej sali. Panna młoda, jej drużki i towarzyszki, to było prześliczne kwiecie młodych Stanisławowianek. Jak dziś mam te barwne, tęczowe

obrazy przed oczyma, a krakowiaki z tej sztuki śpiewał wtedy cały Stanisławów.

Ale, gdy mówię o teatrze, muszę napisać jeszcze o jednym typie teatru, bo i ten silnie mi się wrył w pamięć. Było to teatr bursacki, odznaczający się i oryginalnością i pomysłową koncepcją. Pomiędzy małym pokojem od podwórza na piętrze a pomiędzy większym pokojem od frontu, w drzwiach przedzielających te dwie ubikacje wieszało się ~~zwykle~~ zwykle kurtynę, a był nią zwykle mój kocyk. Pokój mniejszy był sceną, pokój większy widownią. Studenci bursy odgrywali sztukę, ucharakteryzowawszy się prymitywnie. Grało się bez specjalnej nauki roli, ~~lecz~~ lecz odtwarzało się albo jakąś powiastkę czytaną, albo sztukę z życia wiejskiego, na prędce skomponowaną. Wtedy przesuwali się przez scenę wójt, radni, pisarz gminny, chłopi, szynkarz, egzekutor podatkowy, policjant gminny, żandarm, djak itp. Omawiało się na próbie treść sztuki, dzieliło na akty i grało się z fantazji, zaś bractwo bursackie w drugim większym pokoju podziwiało pomysłowość i dowcip aktorów. Takim niezrównanym pisarzem gminnym na bursackiej scenie był uczeń Walerjan Bąkowski, późniejszy proboszcz ormiański w Brzeżanach. Grali nadto pomysłowo Ksieżomiański Tadeusz, Dropiowski Tadeusz, Przestalski Pankracy, Mroczko Stanisław, Kurowski Juljan, Pilecki Oktawian, Hauser Teodor, ten ostatni był malutkim drobnym studentem i grywał role chłopczyków, wreszcie



Najwytworniejsza część ul. Sapieżyńskiej, duma Stanisławowian. Była ona tem, czem w Warszawie jest Nowy Świat a w Poznaniu Plac Wolności. (Stan z przed wojny światowej 1914.)

grywałem i ja i inni, których imion już nie pamiętam. Miła to była zabawa we wieczory, gdy w następny dzień nie było nauki szkolnej, a kwitła w czasie, kiedy już nie było w bursie Aksentowicza i więziennego nastroju.

*

W Stanisławowie, do którego byłem ogromnie przywiązany, ukończyłem klasy gimnazyum od pierwszej do piątej, a zacząłem w jesieni 1889 klasę szóstą. Stosunki w tej

klasie ułożyły się bardzo niepomyślnie. Urysz był nie-pohamowany w samowoli, Majchrowicz przypierał nas całą siłą do muru. Jeden dzień ciężko było przeżyć, szkoła stała się terenem niedoli i udręki. Życie w tej atmosferze było nie do zniesienia. Dla przykładu podam następujący żywy fakt. Zawsze i wszędzie nauka matematyki odbywała się w ten sposób, że jednej lekcji była algebra, drugiej geometrja. Tak się uczniowie do tej części matematyki przygotowali na odpowiednią lekcję i tak profesor pytał. Pewnego dnia na początku ~~paź~~ października 1889 wypadła geometrja. Urysz tego dnia przybyszy na godzinę począł pytać arytmetykę i to tą lekcję, którą dopiero poprzednio wykładał ostatniego dnia, tak iż jeszcze nikt nie miał możności z tego się przygotować. Wywołał 14 uczniów jednego po drugim, każdy oznajmił, że się przygotował z przypadającej na dziś geometrji, Urysz wszystkim bez pytania zapisał notę niedostateczną. Zdarzało się, że profesor postradał zmysły a wszyscy na tę samowolę byli bezradni.

Wytworzył się jednakże zbieg okoliczności, który mię wyrwał z piekła stanisławowskiego. Otrzymałem z Jarosława list od mojego kolegi Juljana Kurowskiego, który poprzedniego roku chodził ze mną razem do jednej klasy w gimnazjum stanisławowskiem i razem mieszkaliśmy w bursie. Po wakacjach nie powrócił już Kurowski do Stanisławowa, ale przeniósł się do szóstej klasy do gimnazjum w Jarosławiu. Napisał mi, że tam są stosunki idealne, dyrektor tamtejszy bardzo zacny człowiek, nauczyciele są

przyjaciółmi młodzieży, skłaniał mię więc w końcu do opuszczenia Stanisławowa, a przeniesienia się do Jarosławia. Napisałem do ojca, dostałem trochę pieniędzy, zgłosiłem u dyrektora Kerekjártó wystąpienie, na co się on bez słowa zapytania o przyczynę zgodził.

Nazajutrz otrzymałem świadectwo odejścia. Uśmiechałem się z radości sam do siebie, poczułem się wolnym, roztoczyły się przedemną widoki chodzenia do innej szkoły, gdzie się nie słyszy wrzasków i szykan i nie potrzeba będzie rano budzić się w trwodze, czy dziś cały mój los się w szkole nie załamie. Nie wiedziałem, co mam uczynić, by na zewnątrz to moje zadowolenie okazać! Pakowałem się gorączkowo, nakupiłem na drogę wiktuałów, przyszła

Podczas bitwy pod Stanisławowem w r. 1916/17, została najpiękniejsze część Stanisławowa, przedstawiona na obrazku na poprzedniej karcie, rozbita i legła w gruzy. Na jej miejscu sklecono w latach 1926/27 jakieś szatro, jak to odtwarza umieszczona poniżej rycina.–



mi nawet fantazją zapalić papierosa, jednakże to bardzo mi nie smakowało. Pożegnałem się ze znajomymi i odprowadzony na kolej przez kolegów Chomińca i Lindnera, ruszyłem w drogę. Swobodnie odetchnąłem gdy pociąg ruszył, ale przecież od czasu do czasu trwoga myśl mię przejmowała: wszak porzuciłem dach nad głową, jadę tam, gdzie właściwie nie mam żadnego oparcia, że zasiedziałego na miejscu studenta idę na dobrowolną tułaczkę w obce strony i do obcych ludzi, jakąż zresztą mam gwarancję, ~~że~~ że mię w Jarosławiu dyrektor do gimnazjum przyjmie? To wszystko cisnęło mi się do głowy jak natrętna mucha. Bo i cóżbym począł w razie odmowy? Ależ znów tak źle nie będzie, tłumaczyłem sobie, przecież Kurowski pisał, że dyrektor zacny człowiek i że tam szkoła przygarnia a nie ~~ro~~ rozgania młodzież.

Pociąg niósł mię coraz dalej i dalej od Stanisławowa, nad ranem byłem już we Lwowie, który po raz pierwszy w życiu wtedy zobaczyłem. Odwiedziłem tam mego wuja Klimowicza, zamieszkałego w rynku nr. 3, który mi oprowadzał mię po mieście, które mię olśniło, przemawiało do mnie swoją ~~sta~~ wiekową przepiękną historją a przygarniało kulturą. Ale we Lwowie byłem krótko, wieczorem wsiadłem znów na pociąg i ten około północy 30 października 1889 zawiózł mię do Jarosławia.

Jarosław

Wspomnienia wędrownego studenta.

Jarosław.

Rok 1890.

Cały mój ośmiomiesięczny pobyt w śpiewnym, wesołym, uroczym Jarosławiu był jakby wycieczką z festynem, bo jakże inaczej mógłbym nazwać ten przyjemny epizod z mojego życia, który mi dał możność odetchnąć wolno, ukończyć szóstą klasę, zabawić się i wynieść z tego miasta jak najmilsze wspomnienia. Opiszę je jednak tylko pokrótce, bo zbyt były osobiste te dzieje wędrownego studenta, aby mogły kogokolwiek zainteresować. Nawet wahałem się, czy pisać cokolwiek o pobycie w Jarosławiu, bo wiadomości moje o tem mieście nie mają żadnej wartości, możeby lepiej było ten rozdział opuścić – ale po namyśle spisałem w skróceniu

moje ówczesne przeżycia, uważając to za konieczne dla ciągłości opowiadania.

O samem mieście mało umiem powiedzieć, nie interesowałem się tem, co się naonczas w niem działo, jakie prądy się ścierały, jakim teorjom hołdowano, kto w niem chciał być pierwszym, a kto był ostatnim, ale to, co zapamiętałem z tych czasów, co mi jako studentowi pozostało w pamięci z tego kilkumiesięcznego pobytu, będę się starał w tym rozdziale odtworzyć. W gruncie rzeczy będą to wiadomości bardzo skąpe, ale też niepodobna, by były dokładniejsze, skoro jako student nie miałem możności wglądnąć głębiej w życie społeczne, a wspomnienia spisałem dopiero w 36 lat po wyjeździe z tego miasta.

*

Ze Lwowa do Krakowa prowadziła kolej im. Karola Ludwika, doskonale utrzymana, bieg miała szybki, wagony pierwszorzędne, porządek wzorowy, toteż kiedy wsiadłem do pociągu tej kolei we Lwowie, poczułem zadowolenie, że jestem w dużym świecie i jadę wybornie, nie tak, jak się jedzie tam, na kolei kopyczynieckiej, rozwlekle, powoli, natłoczno, dusznie. Pociąg mknął przez Gródek, Mościska, Przemyśl, Radymno — aż stanął u celu mojej podróży w Jarosławiu. Serce mi zabiło z niepokoju, Bóg jeden wie, co mię tu czeka — pomyślałem — wysiadłem prędko, wydostałem się poza dworzec ku miastu, wszedłem na ulicę, ale była to północ i nie wiedziałem co ze sobą począć. Do hotelu iść nie chciałem, bojąc się, że jest



Dworzec kolejowy w Jarosławiu.

za drogi. Postanowiłem się do rana błąkać się po mieście. Noc była ciemna, miasto nieznane, chłód jesienny dokuczał, droga dość mię wyczerpała, szedłem gdzie mię oczy niosły, prawie na oślep. Tak zeszedłem na drogę wiodącą ku Muninie. Wydostałem się z miasta na czyste pole, a zauważywszy drogę boczną, weszedłem na nią sądząc, iż znajdę tam jakieś zacisze, w którem mógłbym przeczekać do rana. Ale byłato dróżyna ślepa, wnet się skończyła, musiałem wracać, zaszedłem na jakieś gliniska i z wysokości jakich trzech metrów spadłem w dół, wyżłobiony wybraniem gliny. Cudem bożym nie doznałem połamania nóg. Przerażony i zlękany, wydostałem się znów na gościniec, trzymałem się go odtąd niewolniczo i z jaki kilometr za miastem, usiadłszy pod dużem przydrożnem drzewem, zasnąłem snem prawdziwie kamiennym. Wszak to jest sypialnia ludzi bezdomnych, a takim właśnie wtedy ja byłem. Obudziłem się, gdy świtać zaczęło, począłem szukać, czy

się we śnie nie okradziono, na szczęście obawy moje były bezpodstawne, powstałem więc, oczyściłem się ze śladów gliniska i zdążyłem powoli z powrotem ku miastu.

Jarosław malowniczo miał położenie i wcale uroczo się przedstawiał. Dla jadącego ze wschodu na zachód byłoto pierwsze miasto całkowicie polskie. Rynek ze słynną kamienicą w mauretańskim stylu, (w której Królowa Jadwiga przebywała w czasie podróży) z innymi starymi domami i z ładnym ratuszem, harmonijne czynił wrażenie. Krakowska ulica schludna, jasna, szeroka grupowała ruch główny a duży kościół Farny, piękny Dominikański, skromny Reformatów, maleńki ewangielicki, malowniczo położona cerkiew unicka, wszystko to podobało się nowoprzybyłemu, wszystko więc oglądałem ze zaciekawieniem i dużem zainteresowaniem. Jarosław czynił zgoła inne wrażenie niż Stanisławów, był wprawdzie mniejszy od Stanisławowa, ale coś w nim było więcej średniowiecznego, mury miasta wskazywały na jakąś dawniejszą świetność, na lepszą ~~~~~ przeszłość, na tradycje lepszych minionych czasów.

Podówczas był Jarosław jakby dużym warownym obozem. Samej piechoty były trzy pułki (jarosławski 90., gródecki 89, i stryjski 9.), nadto był pułk obrony krajowej, kilka pułków artylerji i pułk konnicy, stąd było mnóstwo koszar i rój wojskowych wszystkich stopni. I ta właśnie mnogość wojska była główną cechą samego miasta. Prawie tyle było wojska, ile cywilnej ludności i z wojska niemal całe miasto żyło. Co niedziela popołudniu, gdy żołnierzom dozwolone było wyjście

na miasto, stawał się Jarosław mrowiskiem różnorodnych mundurów, a niętylko chodniki były natłoczone, ale cała fala ludzka posuwała się także jezdnią. Generałem dowodzącym był Milde, lecz jakby na przekorę właśnie był niezwykle surowym, ale też i twardej potrzeba było ręki, by wielotysięczną rzeszę wojska utrzymać w ryzach. Coraz przyjeżdżał jakiś arcyksiążę lub wysoki dygnitarz z Wiednia dla lustracji poszczególnych formacji wojskowych i wtedy widziało się podniecenie wśród najwyższych dostojników wojskowych, paradne mundury, złociste czaka, pióropusze, honorowe warty, koncerty wy-



Dom w rynku, zwany kamienicą Królowej Jadwigi.

twornych muzyk wojskowych [illegible] przed kraterą itd. Mieliśmy tych widowisk wcale dużo, początkowo bardzo mię interesowały, ale z biegiem czasu i to spowszedniało. Z powodu takiej mnogości wojska i wielkiej ilości młodych ludzi, panny jarosławskie i dziewczęta miejskie rychło wychodziły zamąż, a nawet miały obfity wybór.

*

Na kilka lat przed mojem przybyciem do Jarosławia, w mieście tem nie było gimnazjum, lecz szkoła realna. Właśnie za moich czasów przekształcano tę szkołę w gimnazjum, tylko jeszcze siódma i najwyższa klasa była realna, inne zaś klasy, od pierwszej do szóstej były już gimnazjalne. Miałem się więc właściwie stać uczniem tej szóstej klasy gimnazjalnej. Chcąc się zetknąć z Kurowskim, stanąłem przed godziną ósmą rano nieopodal furtki gimnazjalnej i czekałem na niego. Gromady uczniów przesuwały się przedemną, a od czasu do czasu przechodził profesor, o którym myślałem, że może za kilka dni los mój będzie w jego rękach. Wreszcie nadszedł Kurowski i umówiliśmy się spotkać w południe. O oznaczonej godzinie zaznajomił mię z kolegą Janem Klatką, za kilka godzin byłem już na stancji u Bodyńskiego mieszczanina, tuż pod górą koszar, pomieszczonych w dawnem Kolegium jezuickiem. Nazajutrz z bijącem sercem poszedłem do dyrektora, prosząc o przyjęcie. Ujął mię ten człowiek odrazu niezmiernie. Dyrektor Andrzej Maj był dobrotliwym, przezacnym staruszkiem i prawdziwym przyjacielem młodzieży-

Odbijało to niezmiernie miło od stanisławowskiego Kerek-jarty. Aż do czasu wyjazdu ze Stanisławowa wyobrażałem sobie, że dyrektor gimnazjum jest kimś, kto światem trzęsie, wzrokiem powala człowieka, jednem skinieniem palca łamie los ludzki, jakże się jednak mile rozczarowałem, gdym wszedł w kontakt ze zacnym dyrektorem Majem. Przyjął mię bez wahania i przeznaczył do VI B klasy. Odetchnąłem głęboko, stałem się znowu uczniem. Następnego dnia z książkami pod pachą szedłem wesoło do gimnazjum. Koledzy byli serdeczni i dobrzy, wzajemnie do siebie bardzo przywiązani. Najlepszym uczniem w klasie był Jan Zamorski, późniejszy profesor gimnazjum i znany poseł. W klasie znacznie przeważała narodowość polska, było kilku rusinów, żyd zaś, o ile pamiętam, był tylko jeden Wasserman, którego ojciec był właścicielem wspomnianej historycznej kamienicy w rynku.

Dyrektor Maj był matematykiem, dosługiwał już tylko swoich lat i był to wówczas już ostatni rok jego urzędowania. Otaczał go powszechny szacunek i był prawdziwym patrjarchą w tym zakładzie naukowym. Wysokiego wzrostu, twarzy golonej, chudej, wąsy duże siwe, wyraz oblicza miły, uśmiechnięty, w obejściu uprzejmy, w życiu cichy, skromny, wyrozumiały. Był ojcem młodzieży i szczerym jej opiekunem. Uczył nas matematyki, wykład jego był jasny i zrozumiały, toteż wszyscy uczyli się dobrze tego przedmiotu. Miał dwie córki i jednego syna, z którego był dumny. Nieszczęście jednak chciało, że syn

ten zginął tragicznie. Oto gdy jako inżynier wojskowy czynił pomiary w Alpach w Tyrolu, zesunął się ze zboczy górskiej, runął w przepaść i zginął na miejscu. Od czasu utraty syna czuł się Maj złamanym na duchu. W rocznicę śmierci sprawiał nabożeństwo żałobne corocznie w kościele OO. Reformatów. Kościół wtedy zapełniał się oficerami wszystkich stopni. Po spensjonowaniu zamieszkał w Krakowie i tam życia dokonał.

Religii uczył ks. Wojnar. Była to postać znamienna w całem mieście. Średniego wzrostu, twarz śniada, ciemny brunet, „mina jak z Romina", głowa w górę podniesiona, należał do ludzi dobrych, lecz dziwacznych. Gdy wszedł do klasy, wybiegało naprzeciw niego z ławek kilku uczniów, jeden odbierał z rąk księdza laskę, drugi zdejmował z niego płaszcz, trzeci odebranym od księdza kluczykiem otwierał szufladę katedry, podając dziennik i pióro — ci wszyscy byli ulubieńcami katechety i mieli z religii bardzo dobrą notę. Po nich następował szary tłum, ci wszyscy mieli z religii na świadectwie dobrze. Wreszcie w każdej klasie było kilku „capite deminuti", o których na konferencji ktoś wspomniał, że w karty grają, lub że ich ktoś widział w oberży za miastem na piwie, lub inne studenckie grzechy mieli na sumieniu, ci mieli z religii notę dostateczną. Innych not nie było. Ks. Wojnar sądził, że wszyscy uczniowie bardzo pilnie uczą się religii. Było jednak wręcz odwrotnie. Kto był pytany, brał przed siebie książkę i czytał z niej odpowiedzi, katecheta zaś z podniesioną — jak zwykle — głową chodził po klasie

i potakiwał uczniom. W całej zresztą klasie były tylko trzy egzemplarze podręcznika religii. Jeden dawano katechecie, dwa inne były deską ratunku przy pytaniu. Zdarzyło się raz, że jeden właściciel podręcznika z powodu choroby nie przybył do klasy, drugi właściciel swoją książkę zapomniał w domu, trzecią książkę dano katechecie. Katecheta otworzył katalog i zaczął pytać. Postrach poszedł po klasie, jakże można odpowiadać, kiedy wśród uczniów nie ma ani jednego podręcznika. Wywołany uczeń nie umiał zgoła niczego, odpowiedzi dawał jak ostatni głupiec, zresztą usprawiedliwiał się, że był wczoraj chory i nie mógł się nauczyć. Zirytowany katecheta kazał mu siadać. Wywołał ucznia drugiego, ale i ten nie umiał, zwłaszcza że to była dogmatyka, nauka trudna. Irytacja katechety tembardziej się wzmogła. Wywołał trzeciego, ale i ten bałamutne zaczął dawać odpowiedzi. Oburzony do najwyższego stopnia Ks. Wojnar począł głośno wołać: „więc już u młodzieży poczyna upadać duch religijny? zatem aż do tego doszło, że nawet religii nie chcecie się uczyć? Ho-ho, poczekajcie, inaczej ja teraz z wami będę gadać!".
Lecz oto trzeci nieszczęśliwiec pytany znalazł się w kropce. Pokornie odrzekł, że wszyscy chętnie uczą się religii, jednak dzisiejsza lekcja jest specjalnie tak trudna, że nikt jej nie rozumie i nikt nie mógł się jej nauczyć. Rzucił deskę ratunku. Cała klasa, jak jeden mąż potwierdziła, że tak ciężkiej lekcji jeszcze tego roku nie było, nikt jej ani zrozumieć ani nauczyć się nie mógł. Po=

6.

twierdzili to nawet ulubieńcy księdza, on coś począł rozmyśl=
wać, szerokiemi krokami chodził po klasie, głos podniósł
jeszcze wyżej niż zwykle, widocznie uznał rację ogólnego gło=
su uczniów, bo i jakżeż miał sobie wytłumaczyć dzisiejszy
fatalny stan odpowiedzi, skoro dotąd odpowiadali uczniowie
bardzo dobrze, niemal dosłownie z książki. Począł więc starą
lekcję ponownie wykładać. Klasa odetchnęła. Na następny
raz były już na nauce religii wszystkie trzy egzemplarze
dogmatyki na ławach szkolnych, uczniowie zupełnie dobrze
odpowiadali, katecheta był zadowolony, bo doszedł do prze=
świadczenia, że duch religijny wśród młodzieży nie upada,
pisał więc do notesu chętnie dobre cenzury.

Łaciny, greki i niemieckiego uczył profesor
dr. Tadeusz Mandybur, rusin o polskiej kulturze, człowiek
światły, autor kilku prac z historji literatury polskiej.
Był on synem znanego w swoim czasie w kraju inspektora
szkół ludowych Mandybura. Profesor Mandybur był czło=
wiekiem dobrym, dla uczniów wyrozumiałym, traktował
szkołę i naukę po obywatelsku. Miał wzrok bardzo
krótki, posługiwał się grubemi okularami, ale i te
niewiele mu pomagały. Toteż tej słabej siły wzroku nad=
używali studenci, czytając z tłumaczeń drukowanych lekcje
łaciny i greki. Przeradzało się to niekiedy w samowolę.
Pewnego razu wywołał Mandybur ucznia J. na godzinie gre=
ki, by czytał Ksenofonta. Ten odczytał tekst grecki, ale
że do tłumaczenia nie wiele się przygotował, ktoś mu wetknął
polskie tłumaczenie drukowane, w którem nowa lekcja



Kształtny ratusz jarosławski był stylem zharmonizowany z budownictwem starego zabytku średniowiecznej „Kamienicy Jadwigi."

zakreślona była barwnym ołówkiem. Wreszcie J. postawił je na książkę i w zamiarze przetłumaczenia tekstu greckiego, zaczął czytać pierwsze zdanie z polskiego tłumaczenia. Profesor za głowę się chwycił i zawołał: „J. czyś ty oszalał, co tobie – co tobie się stało!" I J.. istotnie chyba oszalał, bo dostał tłumaczenie Cicerona i czytał je zamiast Ksenofonta. Powstała niemiła konsternacja. Znalazł się jednak jakiś dowcipny wybawca i upewnił profesora, że J. spodziewając się być dziś pytanym i z greki i z łaciny, uczył się całą noc i tak mu się w głowie pomieszało, że już zatracił wątek rzeczy. W istocie

jednak tak nie było. Profesor nie widząc racji tego niezwykłego zjawiska, uwierzył w to i począł wołać: no to sobie włóż głowę pod wodociąg, bo istotnie chyba zwarjowałeś. Tego dnia go już wcale nie pytał, a to śmiałość uczniа cudownym sposobem uszła mu bezkarnie. Mandybur był później profesorem ruskiego gimnazjum we Lwowie, następnie dyrektorem seminarjum nauczycielskiego w Zaleszczykach, w końcu dyrektorem seminarjum nauczycielskiego żeńskiego we Lwowie. Umarł dość wcześnie, pozostawiając po sobie pamięć najlepszą.

Polskiego języka uczył Romuald Bobin, stary kawaler, wymagał ściśle według podręcznika, skąpy w ocenie, przeciwnik studjów klasycznych, człowiek rozumny i statecz-ny.

Historji uczył profesor Rychlik. Bardzo pięknie wykładał, był bowiem doskonałym mówcą, dobrze uczył, wymagał ściśle i jako pedagog był pierwszorzędną siłą. Później był dyrektorem tegosamego gimnazjum i posłem do Rady Państwa.

Nauk przyrodniczych uczył nas profesor Jaworski. Bardzo dzielny pedagog, wykładał wzorowo, pytał surowo, ale kto ściśle się uczył, wynagradzał go najlepszą notą. Potem przeniósł się do Krakowa, gdzie jednak niebawem ~~potem~~ umarł na gruźlicę gardła. Brunet o dużych, czarnych, zwisających wąsach, kawaler, poważny, surowy, lecz nieskazitelnie sprawiedliwy.

Także i w Jarosławiu była bursa gimnazjalna, położona przy ul. wiodącej ku Maninie. Nie dorównywała jed-

nak bursie stanisławowskiej. Zresztą studenci rozsiani byli po licznych stancjach, które na ogół biorąc, były tanie a liche. Młodzież rekrutująca się przeważnie z żywiołu małomiasteczkowego sąsiednich miasteczek, nie była wymagająca i żyła wśród warunków skrajnie skromnych. Studenci byli ze sobą silnie zespoleni, odwiedzali jedni drugich po stancjach, zabawiając się najchętniej śpiewem. Właśnie nasza klasa VI B. miała dwóch dyrygentów chórowych, ba nawet kompozytorów, a to polaka Lisiewicza Kajetana, doskonałego barytonistę i rusina Hornickiego. Obaj byli wielce muzykalni i rywalizowali ze sobą w zbiórkach chórów, nie szczędząc jeden drugiemu uwag. We ważnych jednak chwilach ustawała niezgoda, rozsądniejszy Lesiewicz ustępował miejsca więcej porywczemu Hornickiemu i chór wypadał wspaniale. Pięknym lirycznym tenorem śpiewał kolega nasz Karol Drozdowicz. Jego solo przy organach wypadało niezmiernie subtelnie. Drozdowicz pochodził ze samego Jarosławia, był synem mieszczanina zamieszkałego w domkach przed kościołem dominikańskim. Później Hornicki został proboszczem unickim na wiejskiej parafii, Lesiewicz był urzędnikiem Wydziału Krajowego we Lwowie a Drozdowicz sędzią, ale spóźnił się grubo z egzaminami, bo śpiewał i śpiewał więcej z nut niż z kodeksu.
Śpiewne było nasze gimnazjum jeszcze i z innego powodu. Otóż profesor gimnazjum Zwierzchowski był duszą życia śpiewackiego w całem mieście, a nawet kompozytorem.

Jego msza na cztery męskie głosy była naprawdę bardzo melodyjna i za serce ujmująca. On to w niej śliczne solo tenorowe włożył w usta Drozdowicza, sam zaś subtelnie na organach akompanjował. Gdy Drozdowicz podczas nabożeństwa studenckiego (zwykle o 9 rano) w niedzielę i święta w kościele farnym jak słowiczek wywodził „Padamy, przed Tobą na twarze, o Panie, o Panie – Panie nasz...“ przestawali ludzie modlitwy z książek czytać i wsłuchiwali się w jego śpiew. Niemniej pięknie śpiewał barytonem Lisiewicz, aż okna w kościele zdawały się brzęczeć. Cały zaś chór gimnazjalny pod kierownictwem profesora Zbierzchowskiego tworzył silny, dobrany zespół.

*

Miłe to było miasto Jarosław, bardzo miłe, a my studenci czuliśmy na każdym kroku, że jesteśmy wśród wiosny życia. W gimnazjum nas nie gnębiono, owszem wiele było wyrozumiałości, w mieście wszędzie wesoło, trzy muzyki wojskowe pierwszorzędnej jakości grały to tu, to ówdzie. Koleżeńskie życie rozbudzone, humory kolegów złote, myśl swobodna, życie bez trosk, pogoda ducha niezachwiana, tak iż mój czwarty rok pobytu w Jarosławiu, to naprawdę był mi tym snem bajkowym. Szczególnie pięknym był Jarosław w miesiącu maju. Tonął w kwieciu i zieleni jak w świeżej jaskrawej szacie. Czy to w mieście, czy poza murami miasta, wszędzie można się było rozkoszować ożywczem tchnieniem wonnej, świeżej, przecudnej wiosny. Po lek-

cjach szkolnych i po nauce na dzień następny szliśmy grupkami poza miasto, jedni zbaczali przed kościołem dominikańskim i szli ścieżynami polnemi ku Pastosiom, przechodząc po drodze popod obszerne dwunawowe sklepienie nasypu kolejowego. Tu brać studencka śpiewała a echo sklepienia wspaniale potęgowało siłę głosu. Inni szli na pełkińskie przedmieście,

Część rynku jarosławskiego od strony hal targowych. Tu zachowały się cechy XVII. wieku. W rogu rynku widoczna jest ulica ku dawnemu Kolegium jezuickiemu (koszarom 90 pułku piech.). Nią codziennie przechodziłem do szkoły. Za moich czasów nie było na rynku plantacji. Obrazek pochodzi z r. 1914.

do B.J. wpłynęło bez ilustracji dn. 6.X.51

rynek

inni drogą w okolicę mostu drewnianego na Sanie, wijącym się malowniczo pod murami starego klasztoru żeńskiego, stąd sławnego, że jakiś czas przebywał w nim ~~[crossed out]~~ Kalinka. A wszędzie swobodnie nam było, lekko na duchu i gwarnie. Przez maj były we wszystkich kościołach nabożeństwa majowe. Chodziliśmy to tu, to ówdzie, a najchętniej do Dominikanów, choć wielu kolegów wolało iść do klasztoru żeńskiego nad Sanem. Jak ja niezmiernie głęboko czułem tę swoją swobodę po niewoli stanisławowskiej. Zdawało mi się, żem się odrodził i że dopiero teraz umiałem odczuć prawdziwą wolność. Za nic w świecie nie powróciłbym był do Stanisławowa.

Ale też moja wiosna jarosławska była tylko jedna w życiu, minęła rychło, a po wyjeździe z Jarosławia poczęło się potem więcej szare życie, jak to wykaże mo dalsze opowiadanie.

*

W owych czasach sprawami miejskiemi w Jarosławiu zarządzał burmistrz i rada miejska, jednak podczas mojego pobytu w tem mieście rada była rozwiązana a funkcję burmistrza sprawował komisarz rządowy Pawlikowski. Rządził dobrze i rozumnie, w mieście był porządek i spokój, ulice wyglądały schludnie, wały ciągnące się niedaleko rynku wtedy właśnie uporządkowano, zamieniono na skwer i trawą obsiano, wogóle wszędzie widać było staranną rękę gospo-

darza. Domagano się jednak gorliwie nowych wyborów do rady miejskiej i te właśnie odbyły się w roku 1890, a pamiętam to stąd, że na nasze przedmieście (na dolnej części za kościołem farnym) zajechał wóz, na nim była beczka piwa, a rozwożący wołali ludzi, by szli brać, kto chce, biegli więc ludziska ze szklankami, karafkami, garczkami, pili i brali do domu a szafarz piwa wołał, że to fundyi pan X w podzięce za to, że na niego głosowano i że został radnym. Teraz dopiero będzie w Jarosławiu dobrze – wołał – będzie co jeść, będzie co pić i cieszyć się będą wszyscy tak jak obecnie przy piwie! Śmiali się ludzie i żartowali a piwo złocistą strugą płynęło do flaszek i dzbanków. Pobiegł też i nasz gospodarz Bodyński z dzbankiem i wnet powrócił przynosząc piwo, wszyscy domownicy, nie wyłączając nas studentów dostali po szklaneczce, a co reszta zostało w dzbanku, to już gospodarz ze żoną na pomyślność przyszłej rady miejskiej aż do dna wycedził.

Jakie były stosunki w innych władzach publicznych i jacy w nich ludzie zasiadali, tego nie wiem, to tylko pamiętam, że proboszczem łacińskim był niezapamiętnego mi nazwiska ksiądz, starszy człowiek, zawsze skromnie ubrany, mieszkał zdala od kościoła, nigdzie się nie udzielał, przyjeżdżał na mszę do fary wózkiem, zresztą agendami parafialnemi zajmowali się wikarzy, zamieszkali na wikarówce, tuż koło kościoła parafialnego (pojezuickiego). W niedzielę

była msza dla inteligencji o 9. rano, kościół wtedy był szczelnie napełniony, zwłaszcza, że także młodzież szkolna na to nabożeństwo przychodziła.

Kościoła (unickiego) proboszczem był ks. Chotyniecki, cieszący się poważaniem powszechnem, jako człowiek dużej kultury, skromny i poważny.

Naczelnikiem stacji kolejowej był Wolski, a choć go nie znałem, to jednak nazwisko jego dlatego utkwiło mi w pamięci, że miał dwie bardzo ładne córeczki.

Tak krótko byłem w Jarosławiu, że nawet nie pamiętam nazwisk moich kolegów szkolnych – kilku zaledwie z nich utkwiło mi w pamięci, reszta zatarła się, zwłaszcza że drogi naszego życia rozeszły się na zawsze. O jedynym jednak ówczesnym moim koledze opowiem obszerniej. Był nim Eustachy Śliwiński, z którym nieraz w życiu później się spotkałem, a który długie lata ze mną utrzymywał korespondencję. Znaną był osobistością niemal w całej wschodniej Galicji. Jako student miał rumianą jak jabłuszko twarz, czuper jasny starannie do góry wyczesany, rudy wąsik zdobił jego liczko, był wolnomyślny, niezależny, często lekkomyślny a kolega idealny, który dałby ~~sobie~~ drugiemu ze siebie ostatnią koszulę. Barwne miał życie i urozmaicone. Pochodził z Delatyna, ojciec odumarł go wcześnie, matka zajęła się wychowaniem syna, który po ojcu ochrzczony był



Do kościoła parafialnego (pojezuickiego) wchodziło się po schodkach dość długich. Wewnątrz był kościół przestronny i pogodny, a co niedzielę i święta gromadził w swych murach całe rzesze ludności miejskiej i podmiejskiej. Obok kościoła na lewo w dół, szło się na obszerne przedmieście (na którem dużo studentów mieszkało, między nimi i ja). Na placu przed kościołem była studnia, koło niej zawsze widać było sługi miejskie, silnie rozgadane. Po prawej ręce za drzewami widać część skrzydła dawnego potężnego Kolegium jezuickiego, zamienionego na koszary piechoty.

według obrządku greckiego, ponieważ ona jednak była polką, i według obrządku łacińskiego wiarę wyznawała,

małego syna przepisała na swój obrządek. Śliwiński uczył się dobrze, zwłaszcza miał zdolności do języków, matematyka jednak była jego piętą Achillesową. Do gimnazjum chodził w Samborze, jednak nie mógł wytrzymać rygoru znanego dyrektora Barewicza, przeniósł się więc do Jarosławia. Utrzymywał się z lekcji, a właśnie w Jarosławiu otrzymał dobre miejsce, bo uczył synów komisarza rządowego Pawlikowskiego, zastępującego burmistrza. Wśród kolegów był bardzo lubiany, bo zawsze był wesoły, dowcipny, uczynny, solidarny.
Podczas mego krótkiego pobytu w Jarosławiu był mi Śliwiński serdecznym i niezawodnym przyjacielem, towarzyszem spacerów i wycieczek, spólnikiem myśli i planów. Po moim odjeździe z Jarosławia pisywaliśmy do siebie często. Nieszczęście chciało, że Śliwiński, kulejąc zawsze na matematykę, matury nie zdał, a właściwie dał się przy niej unieść temperamentowi i przy jakiemś nieporozumieniu wstał od stołu, oznajmiając wyniośle, że odstępuje. Był to nieopatrzny krok, wywołany młodzieńczym porywem. Gdy bawiłem we Lwowie na prawach, sprowadził się także do Lwowa Śliwiński i zamieszkał w małym pokoiku w parterze przy ul. Zimorowicza, chcąc zdawać maturę jako eksternista.
Choć dochody z lekcji nie były zbyt wielkie i skąpo było z utrzymaniem, Śliwiński nigdy fantazji nie tracił, rój jego kolegów z prowincji odwiedzał go ciągle w jego ciasnym pokoiku, samowar dyszał nieustannie i żywił tak gospodarza jak i gości a nocowali w ten sposób — jak sam Śliwiński opowiadał — że tylko głowy były w pokoiku, a nogi gości aż na ku-

rytarzu spoczywały. Nie szło mu z maturą pomyślnie, po kilku latach tułaczki i zmagania się z losem, wstąpił Śliwiński do Seminarjum duchownego łacińskiego we Lwowie i jako teolog uczęszczał na Uniwersytet. Ale Śliwiński żył zawsze z błogą wolnością, swobodzie, wśród gwarnego świata, zaciążył mu więc rygor Seminarjum, nie mógł go żadną miarą znieść. Poszedł więc do Arcybiskupa Webera, ówczesnego rektora Seminarjum i oświadczył, że „czuje pociąg do życia rodzinnego", dlatego nie będzie księdzem i prosił o zwolnienie. Weber tego wysłuchał i zgodził się na opuszczenie Seminarjum, dał więc pewną kwotę Śliwińskiemu, by sobie kupił świeckie ubranie, a duchowne oddał. W celu zakupienia ubrania wyszedł Śliwiński z budynku Seminarjum do miasta, lecz już wieczór zapadał, a nie wracał. Zaniepokoił się tem Arcybiskup wielce, rozesłał więc ludzi po całym Lwowie, by go szukali, nie wypadało bowiem, by kleryk w porze nocnej chodził po mieście. Mimo poszukiwań, ~~[illegible]~~ nie odszukano Śliwińskiego nigdzie, Weber był tem mocno zmartwiony. Dopiero w kilka dni później nadeszła do Seminarjum pocztą paczka z Przemyśla, Śliwiński bowiem tam do rodziny pojechał i stamtąd strój duchowny odesłał. Po pewnej przerwie postanowił dalej studjować teologję, ale jako alumn unicki. Poszedł do Metropolity unickiego Sembratowicza we Lwowie, powołał się na swój dawniejszy obrządek, oświadczył że chce być księdzem unickim, Sembratowicz go przyjął i w ten sposób Śliwiński został księdzem greckiego obrządku. Ożenił się w okolicy Jarosławia z polką

Symówną, był najpierw administratorem a potem proboszczem w Ostrej koło Niżniowa, potem przez dwa lata był duszpasterzem w Ameryce, wreszcie po powrocie do kraju dostał bardzo dobre probostwo w Peremiłowie pod Chorostkowem w powiecie Kopyczynieckim. O swoich przejściach życiowych lubiał bardzo opowiadać.

Żyłem także w bliższej przyjaźni z kolegą Michałem Dyhdalewiczem. Matka jego była wdową po lekarzu, ciężko się zmagała z losem, bo majątku nie posiadała, żyła więc z trzymania na stancji uczennic szkolnych i ze stołowania studentów. Do tych ostatnich i ja należałem. Zżyłem się z tą rodziną na długie lata. Michał był jedynakiem, a po zdaniu matury poszedł na ruską teologię do Lwowa, potem ożenił się z Marią Pawlikiewiczówną, córką weterynarza z Jarosławia i był wikarym ruskim w Jarosławiu. W tym właśnie czasie zajaśniało wdowie szczęście, jak z bajki. Oto miała brata, który przez długie lata był naczelnikiem stacji kolejowej w Przemyślu, a że był bezżennym i oszczędnym, uskładał ładny majątek. Po przejściu na emeryturę żył spokojnie w Krakowie, lecz pewnego dnia, bawiąc na dworcu kolejowym krakowskim, uległ wypadkowi, zmarł natychmiast, a jedyna siostra jego Dyhdalewiczowa uzyskała w spadku duży majątek. Odtąd rozwinęło się szerokie szczęście przed księdzem Michałem. Żył jak magnat, podróżował z żoną wiele, wszędzie zajeżdżał do pierwszorzędnych hoteli, dom prowadził na szeroką skalę, aż wyczerpał się do dna

mieszek spadkowy wujaszka, wtedy osiadł Ks. Dyndalewicz na probostwie w Korczowie (gdzie pomarły mu żona, potem matka), następnie przeniósł się do Sieniawy, wreszcie do Rozbórza pod Pruchnikiem w dyecezji przemyskiej, gdzie dotąd pozostaje i żyje wspomnieniami.

Za miastem, na pięknem miejscu stał kościół dominikański pod wezwaniem N. P. Marji. Obok były obszerne zabudowania klasztorne, przeważnie zajmowane na szpital wojskowy, mniejszą część zajmowali OO. Dominikanie, których wtedy było dwóch. Nabożeństwa majowe były tu okazale odprawiane.


Jarosław. Kościół N. P. Maryi — Marienkirche.

Było mi w Jarosławiu bardzo miło, czerpałem swobodę całą młodzieńczą piersią, każdy dzień miał swój urok, każdy człowiek wydawał mi się być przyjacielem, wprost żałowało się, że dzień za dniem tak rychło uchodzi. Ale przecież wśród tego barwnego i swobodnego życia wytworzyły się stosunki, które skłoniły mię do opuszczenia Jarosławia. Było w tem nieco przyrodzonej chęci wędrówki i poznawania dalszego świata, ale też było dużo trzeźwiejszych refleksji. Bo ~~cało~~ w mej duszy zaszły zmiany i targnęło w nią nieznane mi dotąd uczucie, które skrępowało moje wszystkie myśli i poczynania życiowe. Oto kiedy jeszcze wdowa Dyhdalewiczowa ze synem zajmowała nieduże dwa pokoje w parterowym domku niedaleko wikarówki łacińskiej i pracowała znojnie, aby podołać obowiązkom rodzinnym, a ja jako student u niej się stołowałem, mieszkały w tymsamym domu po drugiej stronie trzy siostry panny Czarnekówny, córki leśniczego z dóbr ks. Czartoryskiego. Dwie starsze zajmowały się krawiectwem, najmłodsza zaś ich przyrodnia siostra Ludmiła, licząca lat około 15 uczęszczała do siódmej klasy szkoły wydziałowej. Była śliczną dzieweczką, najpiękniejszą w całem mieście, o niezrównanym wdzięku i słodyczy, a zarazem niezmiernie skromną, dobrą, nieśmiałą. Oczy wszystkich starszych studentów zwracały się ku niej, kochali się w niej na zabój jedni jawnie, drudzy tajnie, rysowali mniej lub więcej udatne jej obrazki, starali się wykorzystać każdą sposobność, aby przynajmniej zobaczyć ją na ulicy, gdy będzie wracać ze szkoły lub kościoła,

jednem słowem, Milcia Czarnekówna była przedmiotem powszechnego zachwytu. Znałem i ja ją, a że nie byłem gorszym od moich rówieśników, zamajaczyło się i mnie w głowie.

Rok szkolny 1890 zbliżał się do końca, nauka szła mi dobrze, obowiązki swoje spełniałem bez zarzutu, ale już nie władałem sam sobą, wszystkie moje myśli były przy owem wymarzonem dziewczęciu, coraz mniej mię wabiło grono wesołych kolegów, nie nęciła mię wiosenna świeżość niw podmiejskich, ni pieśń wspólna wśród przyjaciół, ni gwar obozowiska miejskiego, nadobna dzieweczka zapełniła mój umysł i całą moją istotę. Chodziłem jak błędny, bo dusza moja gdzieindziej była. Znalazłem się w jakimś nieznanym porywie ducha, sam nie wiedziałem, co począć, gdzie sobie miejsce znaleść, czem ukoić serce i umysł. Ale i wśród tej rozterki przechodziły przecież przez głowę przebłyski potrzeb realnego życia. Do czego to wszystko doprowadzi, pytałem siebie i zdawać sobie począłem sprawę, że gdy tak dalej pójdzie, ręce mi opadną, przestanę pracować i nie będę mógł ogarnąć umysłem moich obowiązków. Wszakże czekała mię w najbliższych latach usilna praca nad dokończeniem gimnazjum, jakże jednak w tym stanie ducha można było oddać się tej pracy? Przerwać ten stan marzeń, dyktowała twarda konieczność, potrzeba ujarzmić myśli własne i przykuć je do książki i ławy szkolnej,

gdyż inaczej zachodziła obawa, że utonę jak ów młodzian w Mickiewiczowskiej 'Świtezi. Ale co innego znać teorję a co innego w czyn ją wprowadzić. Łamałem się sam ze sobą, duch się rwał w jakieś nieznane przestworza i roił przyszłość w pomieszaniu losów z obecnem uczuciem, to znów upadał i ścielił się po płaskiej dolinie szarej rzeczywistości, popadłem w stan jakichś targań duszy, nie miałem się komu z moich uczuć wyspowiadać, bo i ktożby chciał tego wszystkiego słuchać i kogoby to wszystko obchodziło. Aż oto zgoła nieprzewidziany ~~[illegible]~~ przypadek zrządził, że fala uczuć i myśli znalazła drogę wyjścia.

W czerwcu 1890 przybył do Jarosławia student z Bochni, zwał się Janiszewski, (lub może Staniszewski) i zamieszkał z nami razem na stancji u Bodyńskiego. Opowiadał, jak są miłe stosunki w bocheńskiem gimnazjum, jak ludność tamtejsza serdeczna, miasto górnicze miłe, wspaniała okolica, puszcza niepołomicka w pobliżu, czarowny zamek wiśnicki niedaleko, pobliże Krakowa, wszędzie nastrój szczerze polski, serdeczny, koledzy najidealniejsi — Bochnia to wymarzone miasto, w którem tylko żyć i być! Nasunął mi ponętny plan, przenieść się do Bochni, zapomnieć o wszystkiem co było w Jarosławiu i w nowem miejscu poświęcić się w całości swoim obowiązkom. Chwyciłem się oburącz tej myśli. Ten prawie nieznany obcy student wskazał mi drogę wyjścia. Koniec czerwca a więc i koniec roku szkolnego zbliżał się szybko, potrzeba się było decydować na krok stanowczy. Niebawem

Abi dla Boga… Co gadasz? My spokojni…
Bodajś przepadł. Tai Tylawski od ~~[illegible]~~
rana do zmroku śpiewa i wrzeszczy na
całe gardło czasem i późno w nocy –
a Matkun chwili nie posiedzi aby
nie gadać z czego za boki się trzymamy
aż dom chodzi. My tego pragniemy
aby jak najprędzej zmałżeństwimy się
zarem to było było w sam raz
trafił swój na swego.
Nie drwij się nas Atusiej Maryanku
a wój i kwiat ~~[illegible]~~ , bierzmy jak naj-
prędzej razem żenić się
Miserere nie gadaj więcej.
a wół co chcesz do nas
przychodź i umówim się
i ugodzim etc etc etc

402 b

Wielmożnemu
Maryan Ostrowski

[illegible]
a zdaje się przecież nie tracę głowy. Jeszcze wspo-
minek - no i list. gdzie mi wypada? Prawda
że nie? Popatrz na mnie: Bystrem jak dyabli
[illegible] na karku - twarz jak złoto
umizga się (- bodaj się żdziry umizgały
ścisłych -) a ja [illegible] lubię.

Oto prospekt piękny - ale przeprowadzenie
natrafi wiele przeszkód ze strony stu-
dentów - (do których zresztą i ja należę).
Fotografowaliśmy się pewnie w IV klas.
i obiecali się w VIII po raz drugi
przed maturą.

I takie bzdury..

Zresztą wszystko podaję.

[signature]

402 c

[illegible]

per vi

Maryannie

Ostrowskiej

diam

ătiam

402 d

zastygło) śmiał głosić za prawdę? – Kto?
Kto mi kłamstwo zarzucić śmiał? –

Scripsi, albowiem, jako ja nie mam obrazka – ba! ale to nie wyklucza, przynajmniej się obrazek istnieć nie miał. Owszem ale po katastrofie uszkodzony znacznie przeszedł na własność Ja nie (pardon Nie) trzeba.
Malowałem onegdaj zaś dość wiele, ludzie mówili nawet że i udatnie. Porzuciłem pędzel dla pióra i wiersze klecitam teraz i to spaty ponto – a ja ani chwilki czasu nie mam.
Ancisowana (z Herodota słówko)
Śmiałem się z listu.

Jerzy Demborög, Stan. Różyński brat Dominika (matczyna)

402 a

402 d

ätiam
dirrem

Marquam
Ostrowskaj

per

jawnie morderstwo (oby mu w ustach było zastygło) świat głosić za prawdę? – Kto? Kto mi kłamstwo zarzucić śmiał? –

Scripsi, albowiem, jako ja nie mam obrazka – ba! ale to nie wyklucza, przynajmniej by obrazek istnieć nie miał. Owszem ale po katastrofie pinko: dniowy znacznie przeszedł na własność Ja nie (pardon Nie) trzeby.
Malowałem onych prawie wiele, ludzie mówili nawet że i udatnie. Porzuciłem pędzel dla pióra i wiersze kleciłem teraz i to ipaty prosto – a ja ani chwilki czasu nie mam.
Amicissima (z Herodota słówko)
Świątem się z listu.

Jerzy, Demboróg, Stan Różyński brat Dominika
(ksieżna)

402 e

402 f





Sany
nigm

387a

Pieczętuję sobie epistołę aż urząd pocztowy u Lisiewicza doniesi mi w pakiecie skrutnych listów. Czytam i mało mię affectus nie zaołtawi tak sobie myślę. Otóż à propos stancyej (po staropolsku) trzeba wiedzieć iż na drugiej stronie mieszkamy za sienią. Co się tyczy miejsca jest jedna izba pozostała po nas i owszem ja będę z wilgoci, tylko lich nie czytam nie chciałby z Panni Kulawiec tercenus (III) mieszkać, co nie bardzo mi na rękę. Dzisiaj więc pomówimy seryo ze Starym a zdaje się iż na naszem się stanie. Z ogromnym affektem przyjmiemy Ciebie, Mroczku z respektem jako niemajomnego.

z Sławskim się mnóstwo lubimy.

Dziś pogadamy!....

402 g

387b

6 ✓

Monsieur
Monsieur
Ostrowski
[illegible]

Pardon że
[illegible]

402h

Jak świat światem, tak było i zawsze będzie, że podczas lekcji szkolnych, mimo czujnego oka profesora kursuje po klasie „poczta pod ławkami". Z jarosławskich czasów (luty 1890) dochowałem kilka takich karteк, podawanych w szkole z rąk do rąk. Pisał je wszystkie kolega z VI klasy Jan Zamorski. Tematem pism było moje zamierzone przeniesienie się na stancję do śpiewnej grupy studentów, w której byli koledzy Mateusz i Jan Zamorscy.

*

rok szkolny dobiegł kresu, we farze jarosławskiej zaintonował ks. Wojnar uroczyste „Te Deum laudamus", w szkole rozdano nam świadectwa, uzyskałem przejście do klasy siódmej, koledzy pakowali kufry i rozjeżdżali się na ferje, skupiłem jeszcze raz myśli, co mam zrobić ze sobą, z jednej strony krajało mi się serce i dusza więdła na myśl rozstania z Jarosławiem, z drugiej strony rozsądek dyktował: czas ostatni postąpić mężnie! Zdobyłem się na krok stanowczy, tłumiąc w sobie żal poszedłem do dyrektora Maja i wziąłem tak zwane świadectwo odejścia tj. zgłosiłem opuszczenie gimnazjum jarosławskiego. Pochodziłem sobie po mieście, podumałem nad tem wszystkiem dobrem, którego tu zaznałem, pożegnałem znajomych, kolegów i przyjaciół, pożegnałem zacną i dobrą, jak anioł panią Dyhdalewiczową, i jej nadobną sąsiadkę, zabrałem na kolej moje podróżne tobołki i odjechałem z powrotem na wschód. Im pociąg dalej odjeżdżał od Jarosławia, tem ciężej bolała mię dusza, wszak młodym byłem wtenczas, miałem lat 19 i na świat patrzyłem przez tęczę kwiecistej wiosny życia. Jakże dziwnie składały mi się okoliczności: ze Stanisławowa poszedłem, bo mi było źle, z Jarosławia odchodziłem, bo mi w nim było za dobrze. Nie do uwierzenia, ale przecież tak było istotnie.

W Stanisławowie przerwałem podróż na jeden dzień. Nie mogłem odmówić sobie tej rozkoszy, bym pokazał się moim niedawnym kolegom i zajrzał do

bursy. Rok szkolny kończył się w Stanisławowie dopiero w dwa tygodnie później, zastałem więc kolegów mocno wsiąkniętych w książki. Zaiskrzyły się im oczy z ciekawości, gdym wyjął z kieszeni wcale dobre świadectwo ukończonej szóstej klasy. Niestety, nie żył już zacny profesor Kotecki, nie mogłem się z nim podzielić moim zadowoleniem ze szczęśliwego przejścia do klasy wyższej.

*

Tak mi minął czas krótkiego pobytu w starodawnem mieście Jarosławiu. Nie długo w niem byłem, ale urozmaicenie miałem wszechstronne. Z rozmarzonego studenta przeobraziłem się w realnego człowieka, a po miłym Jarosławiu pozostało mi niezatarte nigdy wspomnienie młodzieńczych marzeń wiośnianych. Tak idealnie szczęśliwych dni nie miałem już nigdy w życiu. Nigdy!

Bochnia.

Wspomnienia maturzysty bocheńskiego.

Bochnia

Lata 1891 i 1892.

Już się w życiu nie dozna po raz wtóry tej niezrównanej rozkoszy, jaką odczuwa się w młodym wieku, gdy studentem będąc wraca się do domu rodzinnego na wakacje z pomyślnem świadectwem szkolnem w zanadrzu. Z bujnym polotem w głowie, bez trosk i w swobodzie, z uśmiechem na ustach a z radością w sercu przekracza się w tryumfie próg domostwa rodzinnego. Witają go krewni i znajomi serdecznie, ściskają go z uciechą, życząc dalszego szczęśliwego biegu spraw szkolnych, wszystko w domu wydaje mu się rozradowanem, wszystko dzieli z nim jego szczęście i zadowolenie a każdy stara się podnieść jeszcze skalę jego radości i wakacje jak najbardziej mu uprzyjemnić.

Jechałem tak i ja z Jarosławia na nasze przestronne Podole z radością w piersiach z powodu ukończenia szóstej klasy i zwycięskiego przełamania wszystkich trudności. Jako żniwiarz po żniwach wracałem z dorobkiem a nadto

z pięknem wspomnieniem przeżytych wrażeń i przeżyć w tym pamiętnym dla mnie na całe życie wędrownym roku szkolnym 1889/90.

Wakacje spędziłem u rodziców w Załuczu nad Zbruczem (koło Skały). Ucieszyli się szczerze, że ukończyłem szóstą klasę, kiedy jednak zacząłem delikatnie rozwijać mój plan przeniesienia się do Bochni, spotkałem się z ich opozycją. Zwłaszcza ojciec zatroszczył się, dlaczego nie chcę dalej chodzić do szkoły w Jarosławiu, gdzie mi warunki kształcenia się nader sprzyjały. Wszystkich przyczyn nie mogłem rodzicom wyjaśnić, podawałem więc inne błahe powody, co tembardziej rodziców niepokoiło. Ale ja nie ustępowałem od silnie powziętego zamiaru, rodzice więc, choć niechętnie, jednak o tyle się zgodzili, że nie oponowali zbyt silnie. Pod koniec sierpnia 1890, wypakowałem mój kufereczek, pojechałem z matką kołową drogą do Kopyczyniec, a stamtąd koleją do Lwowa.

We Lwowie, przystąpiwszy do kasy na dworcu kolejowym, miałem przed sobą szereg podróżnych, którzy kolejno kupowali bilety. Jeszcze w ostatniej chwili gruntownie się zastanawiałem, dokąd kupić bilet: do Jarosławia, czy do Bochni. Przemknął mi błyskawicznie przed oczyma powabny Jarosław i to wszystko do czego rwała się moja dusza i lgnęło serce. Czy dobrze robię, targając więzy z tem miastem – pytałem sam siebie! Dlaczego właściwie stamtąd odchodzę i czego mam szukać w Bochni. Męczyła mię ciągle niepewność, jakie miasto wymienić przy okienku. Przecież jeden krok nieopatrzny może

413

zwichnąć całe moje życie. Tymczasem szereg kupujących poprzedników coraz się zmniejszał. Byłem już czwarty z kolei, a jeszcze pewnie nie wiedziałem, co wymienić. Już byłem trzeci, już drugi, jeszcze kilka sekund czasu przed kupnem biletu, błysła mi przed oczyma śliczna twarzyczka młodziutkiej istoty, czułem jakby mi serce w piersiach stopniało, przecież nie ~~oszał~~ oszalałem, by się oddalać od osób serdecznie kochanych i to bez żadnej widocznej przyczyny. Zdecydowałem się powiedzieć Jarosław! Radość rozpierała mi piersi, że już rano będę się witał ze wszystkiemi osobami, z któremi zespoliłem się swoją duszą. Tak, tak, powiem Jarosław i będę nadal szczęśliwy i zadowolony, jak poprzednio.

Został ostatni kupujący przedemną, jeszcze kilka sekund się zatrzymał, bo przeliczał resztę wydaną przez kasjera, wnet ustąpił, zbliżyłem się do okienka, jeszcze błyskawiczne wahanie: Jarosław czy Bochnia, już na pół bezwiednie na pół jakby z przymusu wypowiedziałem — Bochnia! Uderzyło mi serce jak młotem, ścisnąłem bilet w dłoni i odszedłem. Z kart dalszego mego życia w ostatniej chwili skreśliłem Jarosław na zawsze. Ogarnął mię bolesny smutek, postradałem odrazu wszystko to, co mi wypełniało duszę, zdawało mi się, żem popełnił ogromną niedorzeczność, że bliskie mi osoby z wyrzutem ganią to moje dobrowolne, niezrozumiałe wygnanie i z obrzeniem odwracają się odemnie. Tak, straciłem ich bezpowrotnie, a z ich stratą świat mi zbladł odrazu, stał mi się szarym i bezbarwnym. Ale czasu do rozmyślań wiele nie było, powiedziałem więc sobie:

padły kości, czym zrobił mądrze, czy głupio, przepadło, niema teraz odwrotu, jadę do Bochni, będę się starał wytężyć wszystkie siły, aby opanować sytuację, a zresztą niech się dzieje wola boża!

Pierwszy raz w życiu przejechałem wtedy całą niemal Galicję wzdłuż, wszędzie mknęły po drodze większe lub mniejsze miasta, znane dotąd tylko z nauki geografii. Była noc, ruch podróżnych niewielki, wagony dość przerzedzone, więcej niż połowa podróżnych drzemała, ja jednak choć drogą zmęczony nie mogłem usnąć, bo jeszcze nie mogłem ochłonąć po mojej decyzji. Gdyśmy minęli Radymno i niebawem mieli przybyć do Jarosławia, jeszcze się we mnie obudziła chęć nawrócenia z drogi. Przecież można wysiąść w Jarosławiu i przeboleć stratę kilku guldenów za nadpłacony bilet. Ale refleksja dokładniejsza otrzeźwiła mnie. Nie mogło ulegać kwestji, że jeszcze w Jarosławiu przed ferjami rzecz dobrze rozważyłem, podczas ferji utwierdziłem się w decyzji i sam siebie w duchu strofowałem, żem w tej sprawie wciąż chwiejny jak trzcina. Tymczasem wjechaliśmy na stację jarosławską. Pociąg stał kilka minut. Dobrze mi znany długi peron słabo był oświetlony, kilku ludzi z tobołkami przesunęło się i znikło, służba kolejowa ospale przechodziła tędy i owędy, oczywiście nie było nikogo znajomego, bo gdyby był, a silne słowo powiedział, kto wie, czy nie uległbym pokusie i nie zawrócił z drogi. Odezwała się trąbka kierownika pociągu, zasyczała lokomotywa — pociąg ruszył dalej na zachód. Jarosław stał się dla mnie tylko wspomnieniem przeszłości.

Po męczącej nocy zajaśniał miły poranek, dzień sierpniowy był piękny i pogodny, słońce sporo już w górę podeszło, gdy pociąg nasz stanął w Bochni. Spojrzałem w okno wagonu i zobaczyłem niewielki dworzec, wysiadłem pospiesznie, a wstępując na tę nieznaną dla mnie ziemię, westchnąłem do Boga o pomoc w tej wędrówce. I znów przejęła mię obawa: wiem jak i z czem przyjeżdżam, ale nie wiem z jakim dorobkiem stąd wyjadę. Zostawiwszy rzeczy w przechowaniu u sługi kolejowego, puściłem się do miasta szukać stancji. Ów student Janiszewski, o którym pisałem we wspomnieniach jarosławskich poinformował mię, że wielu studentów trzyma na stancji niemka Trägerowa, zamieszkała przy ulicy Orackiej, w pobliżu gimnazjum obok rodzinnego domu znanego naonczas w Polsce malarza Stasiaka. Dopytałem się do niej, mieszkała w domku starym, zawilgoconym, ciemnym, lecz, o dziwo, nie chciała mię przyjąć wymawiając się, że już innym studentom miejsce u siebie zapewniła. W istocie mieszkali u niej, choć jeszcze z ferji nie powrócili, trzej moi koledzy: Gnoiński, Słoktosa i Piekarczyk. Prosiłem więc ją, by mi przynajmniej wskazała jakiego kolegę z tejsamej klasy. Spojrzała w okno, na szczęście przechodził właśnie obok jej domu ścieżką ku gimnazjum jakiś młodzieniec w jasnem ubraniu. Przywołała go do siebie, był to dobrze jej znany student Józef Golonka, mój przyszły przyjaciel i kolega. Studenci zapoznają się bardzo szybko, toteż niebawem, ~~to~~ nietylko że się bliżej zapoznaliśmy, ale po pół godzinie znał już każdy z nas życiorys drugiego.

Stałem mu się odrazu bliskim, bo Golonce nie obcym był Jarosław, gdzie miał wuja profesora gimnazjum Nowaka. Gdyśmy wyszli z pomieszkania niemki, zgarnął ją Golonka, szczerze się mną zajął, wynalazł bardzo przystępną stancję u górnika Jana Zalasiewicza o jakie dwa lub trzy domy przed szybem Campi, kupił mi zgrabne łóżko jodłowe i inne przedmioty gospodarstwa studenckiego, za kilka godzin byłem już zupełnie urządzony, a Golonka stał się moim przyjacielem na długie lata, gdyż był kolegą bardzo serdecznym i dobrym.

Mój gospodarz Zalasiewicz był starszym górnikiem w salinach, miał liczną dziatwę, a dom jego był wzorem spokojnej, pobożnej, pracowitej rodziny. Lubiał opowiadać dawne dzieje. Jako chłopak pamiętał ohydną rzeź mazurską z r. 1846. Bochnia była niemal ośrodkiem tej potwornej zbrodni. Rząd austrjacki wyznaczył nagrodę większą za zabitego, mniejszą za poranionego szlachcica. Zalasiewicz pamiętał i opowiadał, jak te nieszczęśliwe ofiary zwożono do starostwa w Bochni po kainową nagrodę. Raz kiedy zajechały furki mazurskie przed starostwo ze zwłokami, zbiegło się — jak zwykle — więcej ludzi. On, jako chłopak mały, stanął na koło wozu i zaglądnął ponad drabiny do środka. Rozwydrzony mazur pochwycił go i wrzucił z psoty na wóz na okrwawionego trupa. Chłopak z przerażeniem zeskoczył z wozu i pognał co sił do domu. Ale fakt ten zapamiętał do końca życia. Mówił mi, że na cmentarzu bocheńskim jest osobna część, gdzie te nieszczęśliwe ofiary rzezi chowano, nienawiść zaś była tak wielka, że rozjuszone chłopstwo



BOCHNIA. Starostwo

Fot. Gargulowa

jeszcze i nagrobki uszkadzało. Na cmentarzu sprawdziłem prawdziwość opowieści Zalasiewicza, bo istotnie ładne nagrobki nosiły ślady jakby rąbania siekierą lub bicia młotem po kamiennych obeliskach.

Bochnia była skromnem miastem, prawie że miasteczkiem, czyniła jednak miłe wrażenie, odznaczała się swojskim pejzażem, tchnęła familijną atmosferą, była jakby zaciszną przystanią. Gdzieś w prastarych czasach Bochnia zwała się folwarkiem św. Wincentego. Za czasów Bolesława Krzywoustego sprowadzono górników ze Salzburga do racjonalnej eksploatacji soli, byli to niemcy i kopalnię nazwali Bergwerk. Później spolszczono nazwę na Berchnia, wreszcie na Bochnia.

Ludność Bochni żyła ze salin, wszyscy niemal mieszczanie to byli górnicy z dziada pradziada. Poziom ich inteligencji był znacznie wyższy niż mieszczan ze wschodniej Galicji, z reguły byli to ludzie serdeczni, dobrzy, uczynni.

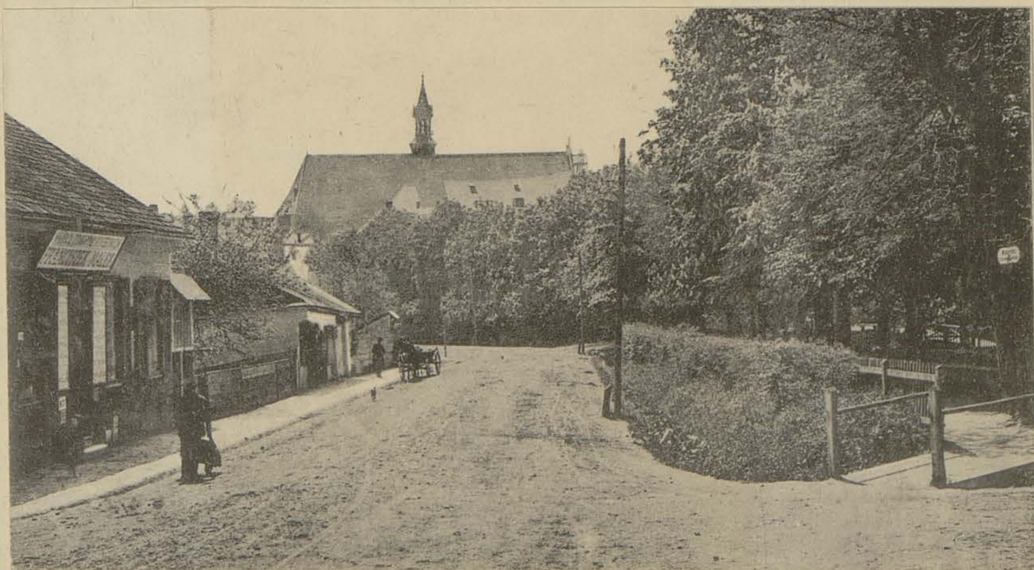
W rynku byli sami katolicy kupcy, prócz jednego szynkarza Brodera, który był żydem. Na środku rynku stał pomnik Kazimierza Wielkiego z czerwonego piaskowca. Z dumą i chlubą to podnoszono, że Bochnia jedna postawiła pomnik ostatniemu królowi z Piastów, budowniczemu miast polskich, najszanowniejszemu monarsze w ówczesnym świecie. Duży piękny Kościół pod wezwaniem św. Mikołaja, wywodził początek swój właśnie od Kazimierza Wielkiego.

W czasie mego dwuletniego pobytu w Bochni czynne były dwa szyby solne, a to „Sutoris", największy i centralny w środku miasta położony i drugi „Campi", leżący od strony wsi św. Trójcy. Nieczynne były szyby „Regis", najstarszy, ze schodami do wnętrza kopalni i „Floris", pod górką, zupełnie zamknięty. Salin bocheńskich nie zwiedzali turyści, tak jak wielickich, bo bocheńskie nie miały urządzenia ku temu. Ale raz do roku wolno je było zwiedzać, a to w dniu wigilijnym 24 grudnia. Mój gospodarz Zalasiewicz wziął mię w r. 1890 na ten obrzęd. Pamiętam dobrze, jak poszliśmy bardzo rano do szybu Sutoris i pospół z innymi górnikami wsiedli do szali okratowanej. Krótki sygnał, szala poczęła zjeżdżać w ciemny szyb, a z piersi górników popłynął piękny hymn: „Kto się w opiekę podda Panu swemu." Zjechaliśmy na pierwsze piętro, potem ulicami i uliczkami przybyliśmy do Kaplicy,

mogącej zmieścić około 200–250 ludzi. Miała ołtarz wcale duży, na nim słupy solne, kilka figur świętych ze soli wykutych, na ołtarzu zwykłe, duże kościelne lichtarze i jarzące świece. Górnicy byli szczerze przywiązani do tego ołtarza, modlili się z przejęciem, bo w tem podziemnem przestworzu życie ich było zawsze na włosku. Niebawem przybyli główni urzędnicy z ks. proboszczem Lipińskim, który odprawił mszę, a muzyka salinarna grała. Było to obrzęd rzewny. Po mszy rozpierzchliśmy się po szybach, ja zeszedłem ze Zalasiewiczem na dolne czwarte piętro, gdzie wskutek gorąca ludzie pracowali nago. Oglądałem wszystko z zajęciem, na każdy szczegół zwracałem baczną uwagę. Ulice w kopalni poznaczone były nazwami i tworzyły jakby całe miasto podziemne. Była nawet stajnia na konia. Widziałem kolejkę konną. Piękny, rosły, gniady koń, formalnie pieszczony przez górników, ciągnął za sobą cały mały pociąg. Nieszczęśliwiec ten nigdy już nie miał zobaczyć światła dziennego. Aby nie odbiegać od tematu, zakończę na tem rzecz o salinach i z podziemi wracam do górnego świata bocheńskiego

Obok szybu Regis ciągnęły się planty starsze, ładnie urządzone, w rogu plant był stawek, na którym w zimie była ślizgawka. Na środku plant stała duża altana, w której raz w tygodniu muzyka salinarna pod kierownictwem kapelmistrza Langera dawała koncert publiczny. Wtedy roiło się na plantach od świata eleganckiego całego miasta. Ale biada studentom gimnazjalnemu, którzy by w takiem corso brał udział. Na drugi dzień pytanoby go ze wszystkich przedmiotów i gorzkoby odpłacił wczorajsze balansowanie przy dźwiękach trąb salinarnych. Wogóle

planty stanowiły miejsce wytchnienia dla bochnian, a w letnich godzinach popołudniowych roiło się tam podobnie jak na plantach krakowskich. Ramię plant nowych wzdłuż ulicy Orackiej aż po ulicę gimnazjalną było wtedy właśnie świeżo założone, drzewa dziś potężne, stanowiły wówczas zaledwie młode pręty niedawno w ziemię zasadzone.



Widok części plant od strony stawku.

Gimnazjum bocheńskie mieściło się w ładnym dwupiętrowym budynku, nowozbudowanym i było widoczne ze znacznej nawet oddali. Obok niego stał budynek poklasztorny. To było stare

gimnazjum, opuszczone i niezamieszkałe podówczas przez nikogo. Założenie gimnazjum bocheńskiego sięga roku 1817, jest więc ono przeszło stuletniem ogniskiem oświaty w tych stronach. Gimnazjum to urządziło dnia 26. kwietnia 1925 poświęcenie sztandaru szkolnego, a zapraszając dawnych uczniów i przyjaciół zakładu na uroczystość, pisali jej inicjatorowie z uzasadnioną dumą o starej szkole bocheńskiej:

„Każde narodowe powstanie, każda wojna, z którą naród nasz wiązał nadzieję wyzwolenia, obijała się głośnem echem o mury naszej szkoły i pomimo ostrzeżeń, gróźb i relegacyj, mniejsze i większe gromadki opuszczały ławy szkolne, aby wejść w szeregi tych, którzy za Polskę walczyli i ginęli — aż wreszcie w czasie wojny światowej i śmiertelnego boju pod Warszawą wyższe klasy gimnazjum wprost wyludniły się z uczniów, którzy — wierni tradycji — swoje siły młode i serca gorące i swoją krew ofiarną w ofierze Ojczyźnie ponieśli. Ich wszystkich pamięć ma naszej młodzieży przyszły nasz sztandar przypominać.

Przywiązaliśmy się tedy do tej szkoły naszych pradziadów nietylko jako do żywicielki ducha, ale zarazem jako do jakiejś świątyni, w której znicz uczuć i myśli polskich czasem jawnie, czasem w ukryciu, ale bez przerwy płonął — aż z nami razem wszedł do ziemi obiecanej, aby w wolnej i szczęśliwej Ojczyźnie, Bogu i Jej na chwałę, a coraz dalszym pokoleniom uczniów na pożytek płonął nadal i coraz jaśniejsze blaski w okrąg rzucał".

Pierwszy dzień pobytu w Bochni zeszedł mi na oglądaniu miasta, nowe oryginalne obrazy jakoś przygłuszyły tęsknotę ~~za gimnazjum~~ za Jarosławiem, poczułem nawet pewne zadowolenie, żem Bochnię obrał za moją nową siedzibę. Następnego dnia udałem się nie bez obaw do gimnazjum do zapisu. W sali

konferencyjnej u rogu dużego stołu zobaczyłem mężczyznę około 48 lat liczącego, łysego, o dużej okrągłej twarzy, zarośniętej szaro-rudą brodą, w okularach o złotej oprawie, surowego, niemal mroźnego człowieka – był to dyrektor gimnazjum Michał Żułkiewicz. Wśród natłoku uczniów i rodziców posuwałem się zwolna naprzód, aż i na mnie przyszła kolej. Przedłożyłem moje dokumenty i poprosiłem o przyjęcie do klasy siódmej. „Z kimże przybyłeś – zapytał dyrektor – gdzież ojciec?" Odpowiedziałem, że ojciec daleko mieszka, bo aż w powiecie borszczowskim, nie mógł pracy porzucić, dlatego ja sam przyjechałem. „Więc ty od Borszczowa począwszy nie masz innego gimnazjum, aż Bochnię" zagadnął zdziwiony dyrektor. Począłem pleść ni w pięć ni w dziesięć, coś o drożyźnie, o lekcjach, o małych środkach utrzymania itp., dyrektor zdawał się jednem uchem to słuchać a drugiem wypuszczać, oglądnął skrupulatnie moje papiery, pomyślał chwilę i rzekł: „no, klasę masz dobrą, obyczaje dobre, świadectwo odejścia bez uwag, nie mam powodu cię nie przyjąć." Wziął pióro i na arkuszu oznaczonym cyfrą VII wypisał moje imię i nazwisko. Zapłaciłem taksę 3 guld. 10 ct. i stałem się uczniem



bocheńskiego gimnazjum. Zadowolony poszedłem do domu i zaraz zdałem relację rodzicom o pomyślnym przebiegu.

Na stancji u Zalasiewicza byli także moi koledzy Józef Nowak i Karol Hebda, serdeczne, zacne dusze. Zaraz mię poradzili wyuczyć się czterech okresów zdań warunkowych z gramatyki greckiej, bo dyrektor Żułkiewicz skoro tylko pojawi się w klasie na pierwszej lekcji, zaraz tego będzie pytał. Znajomość tej części gramatyki greckiej była u dyrektora pobierzem, co uczeń umie. Z książką grecką poszedłem w pole, znalazłem tam stary cmentarz choleryczny z r. 1870, usiadłem na krawędzi wykopu i pakowałem co sił do głowy reguły o zdaniach warunkowych. W istocie zaraz na pierwszej lekcji greki pytał dyrektor wszystkich nowych uczniów zdań warunkowych, z czego jakotako się wywiązałem.

W gimnazjum bocheńskiem był rygor bardzo ścisły. Uczyć się potrzeba było wiele i gruntownie, a z dnia na dzień musiało się przesiadywać w domu do późna w nocy, aby się na jutro przygotować. Już po miesiącu czułem się przemęczony. I wtedy wzbudził się we mnie znów żal za Jarosławiem, gdzie wymagania szkolne były znacznie mniejsze. Toteż tęsknotę swoją za Jarosławiem i za tymi, których tam zostawiłem przelewałem w listy, które słałem do kolegów Śliwińskiego i Szydelewicza. Nadeszłe odpowiedzi czytałem z ogromnem zainteresowaniem co najmniej po dziesięć razy.

Dyrektorem gimnazjum — jak wyżej wspomniałem był Michał Żułkiewicz. Twierdzono, że Żułkiewicz był rusinem i że czytywał ruski dziennik „Diło", nie wiem jednak, czy to było

prawdą. Pochodził ze wschodniej Galicji i poprzednio był profesorem gimnazjum w Drohobyczu i Przemyślu. Bliższych danych jego życia nie znam, choć bowiem o nie dwukrotnie się odnosiłem do jego syna Czesława, starosty w Tarnowie, to jednak nie chciał mi on udzielić żadnych wyjaśnień. Chciałem zaś poznać pochodzenie Żutkiewicza, gdyż sprawa ta łączyła się z następującem zdarzeniem. Gdy byłem w VIII klasie, przyszedł pewnego wieczora na naszą stancję tercjan gimnazjum Franciszek i wezwał mię do dyrektora. Takie nadzwyczajne wezwania nie były miłe, zaniepokoiło więc mię to wszystko i stosownie do wezwania zaraz poszedłem do budynku gimnazjalnego. Tu ~~zastałem~~ zastałem dyrektora Żutkiewicza siedzącego przy biurku, a żonę jego stojącą przy piecu. Dyrektor zapytał mię, czy nie wiem jak się nazywali poprzedni proboszczowie łacińscy w Kopyczyńcach. Odetchnąłem z ulgą, że tylko o to chodzi, i powiedziałem, co o tej sprawie wiedziałem. Skądże jednak dyrektor mógł wiedzieć, że moja rodzina pochodzi z Kopyczyniec, nigdy mu bowiem tego nie mówiłem. Domyślam się więc, że bądź dyrektor Żutkiewicz, bądź jego żona mogli pochodzić z naszych stron. Żutkiewicz czynił wrażenie człowieka surowego, niemal mroźnego, w istocie jednak tak nie było. Był zapobiegliwym, starannym i uczynnym dyrektorem, chciał aby młodzież sprawowała się wzorowo i skrupulatnie wypełniała swoje obowiązki. Dbał o młodzież i troszczył się o nią, jakby to chodziło o jego własną rodzinę. Pewnych ferji wakacyjnych (zdaje się w r. 1889) wsiadł Żutkiewicz na wózek, objeżdżał całą okolicę od dworu do dworu, od proboszcza do probo-

szcza i kwestując utworzył fundusz na zakupno instrumentów muzycznych. W ten sposób stworzył kapelę gimnazjalną, nad którą objął kierownictwo kapelmistrz salinarny Langer i doprowadził ją do rozkwitu. Na dowód zapobiegliwości dyrektora Żułkiewicza podam nadto fakt inny, choć drobny, jednak znamienny. Gdy byłem w klasie ósmej, potrzebowałem podręcznika Terlikowskiego: O życiu Rzymian i Greków. Był jeden egzemplarz tej książki w bibliotece uczniów, ale ten już ktoś z kolegów pożyczył, wiedziałem zaś, że drugi egzemplarz był w bibliotece nauczycielskiej. Poszedłem do Żułkiewicza i prosiłem o ten drugi egzemplarz, na co mi odpowiedział, że mi go pożyczyć nie może, bo go sam potrzebuje, ale się będzie starał jakoś mi dopomódz. W kilka dni potem, w jakiś dzień świąteczny poszedłem na kolej. Nadjechał pociąg od strony Krakowa. Z przedziału wysiadł dyrektor Żułkiewicz, mając pod pachą książkę w niebieskiej oprawie. Zgubiłem się bezzwłocznie, by mię nie widział, bo bardzo nie lubiał widzieć włóczących się uczniów. Na drugi dzień przyniósł ową książkę do klasy i pożyczył mi ją do nauki. Był to podręcznik Terlikowskiego, widocznie przy najbliższej bytności w Krakowie kupił go w antykwarni, aby mi przyjść z pomocą. O ile Żułkiewicz jako dyrektor był idealnym, o tyle jako profesor był przykrym. Uczył nas greki; a że należał niemal do fanatyków filologicznych, stawiał wymagania przesadne. Przy powtarzaniu lekcji nie można było jednego słowa innego użyć, jak tylko takie, jakiem się dyrektor w poprzedniej lekcji

postużył. Nauka greki męczyła więc ogromnie, potrzeba było kilka lekcji wstecz powtarzać dosłowne tłumaczenie i liczyć się z każdem słowem, byleby sprostać zbyt skrupulatnym wymaganiom dyrektora. Żutkiewicz umarł przedwcześnie około roku 1899. Oto zachorował na grypę, po kilku dniach czuł polepszenie i sądził, że chorobę już zwalczył, poszedł więc do szkoły i oddał się zwykłej pracy. Ale zawcześnie wyszedł, choroba się wznowiła, popadł w zapalenie płuc, które przecięło pasmo jego pracowitego życia. Pozostawił żonę i kilkoro dzieci. Rodzina po jego śmierci kupiła dom obok gimnazjum przy ulicy Gołębiej. W kilka lat po nim umarła żona, a potem jedna z córek. Wszyscy troje spoczywają na cmentarzu bocheńskim obok siebie. Żutkiewicz był człowiekiem zacnym, pracowitym, uczciwym wzorowo obowiązkowym, toteż w sercach uczniów pozostała po nim pamięć trwała a wdzięczna.

Łaciny uczył nas profesor Stanisław Matwij, barczysty, wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, szatyn, o twarzy dużej, krzaczystym wąsie i bujnym poroście włosów na głowie. Na nosie zawsze tkwiły binokle, od nich biegł złoty łańcuszek, przypięty do klapy surduta. Odznaczał się trwałą pogodą ducha, wyrozumiałością i dobrocią. Umiał pogodzić swoje obowiązki nauczycielskie z obowiązkami uczniów i nigdy ich nie przeciążał, był bowiem dla młodzieży zawsze przyjacielsko usposobiony. Będąc uczniem gimnazjum tarnowskiego, gdy wybuchło powstanie polskie w r. 1863, zebrał grupę uczniów umknął z nimi w lasy i chciał przemknąć się do

Kongresówki, aby się oddać pod komendę powstańczą i walczyć przeciw Rosji. Matwij miał jednak wtedy zaledwie lat 13, inni ochotnicy byli jego rówieśnikami, błąkali się kilka dni po lasach, namarzli się i wygłodzili, o przejściu kordonu mowy być nie mogło, chcąc nie chcąc musieli powracać do Tarnowa, były to bowiem prawie dzieci, które



za słabe miały siły fizyczne, aby swój chwalebny zapał walki o wolność mogły w czyn obrócić. Matwij był wielce jowialnym, lubiał żartować, a żart jego zawsze był jędrny a subtelny. Gdy był jeszcze młodszym nauczycielem gimnazjum w Tarnowie, wezwał go raz dyrektor Trzaskowski do siebie i rzekł: słyszałem, że pan podczas nauki w klasie żartuje, czy to jest prawdą? Na to Matwij odpowiedział: tak żartuję i często żartem więcej nauczę niż suchą regułą. Trzaskowskiego odpowiedź ta nieco zdziwiła, więc w kilka dni później przyszedł do Matwija na lekcję greki do czwartej klasy. Pytał uczniów dyrektor sam, tu i ówdzie kazał Matwijowi pytać, lekcja szła całkiem dobrze. Podczas lekcji natknięto na grecki wyraz φθόνος (fthonos), uczeń nie mógł sobie przypomnieć znaczenia tego wyrazu. Na to Trzaskowski odezwał się do Matwija: niechże mu pan powie, co znaczy φθόνος. Stosownie do polecenia dyrektora pouczył Matwij ucznia: wyraz ten znaczy zazdrość, widzisz zazdrość brzydka rzecz, nigdy nie pchaj „w to nos”, Grecy jakby zgadli i nazwali zazdrość fthonos. Roześmiał się Trzaskowski i rzekł: no,

teraz chyba do końca życia każdy z nich będzie pamiętał, co znaczy po grecku zazdrość. Po lekcji znów Trzaskowski wezwał Matzija i powiedział: przekonałem się, że uczniowie grekę umieją, a pańskie żarty w nauce chyba im na dobre wychodzą. Wielka wyrozumiałość Matzija tłumaczyła się oryginalnem przejściem z jego życia. Na uniwersytecie krakowskim był jednym z najlepszych studentów filologii klasycznej, toteż do egzaminu nauczycielskiego czuł się bardzo dobrze przygotowanym. Przy egzaminie z łaciny jako pierwsze pytanie zadał mu profesor Iskrzycki pytanie, by wyliczył łacińskie pluraliatanta. Matzij wyliczył kilka, czy kilkanaście, nie mógł jednak przewidzieć, by mogło być pytanie żądające wyliczania jakich sto rzadkich wyrazów łacińskich. Gdy profesor się żachnął, Matzij wstał od stołu egzaminacyjnego i odszedł. Po powrocie do domu napisał relację do Ministerstwa oświaty, żądając innego egzaminatora. Niebawem przyszła odpowiedź, że wolno mu się ponownie zgłosić, co też Matzij uczynił, profesor jednak nie dawał mu już fantastycznych pytań. Dlatego Matzij nigdy w życiu potem nie dopuszczał do przesady w żądaniu od uczniów. Był nauczycielem w Tarnowie i Drohobyczu, wreszcie w Bochni. Dwa razy żonaty, miał dwoje dzieci, które jednak ku jego smutkowi pomarły. Ze starszych profesorów bocheńskich przeżył Matzij całą swoją generację. Po przejściu na emeryturę był urzędnikiem w Magistracie bocheńskim, a nawet kandydował na posła do Sejmu. W chwili kiedy to piszę, żyje Matzij, starzec 80 letni, mieszka we własnym domu w Bochni przy ul. Gołębiej. Starość jednak ma ciężką, bo rząd polski bardzo małą mu wyznaczył eme-

428a

Wielmożny Panie Prezesie!

Z prawdziwem wzruszeniem odczytałem list W-go
Pana tak serdecznie do mnie napisany. Przypomnie-
nie chwil szkolnych, a szczególniej pamięć ukocha-
nych uczniów o starym pedagogu, to najszczęśliwsze chwi-
le w smutnem życiu starca, którego Bóg pozbawił
wszystkich dzieci i zrobił go na podeszłe lata sierotą.
Pisze mi W-y Pan Prezes o swej starości, której
w żaden sposób uwierzyć nie mogę; bo kto tyle
zachował serca i uczucia z lat młodych, kto tak ser-
decznie umie pamiętać o całej swej szczęśliwej prze-
szłości, ten starym być nie może pod żadnym względem.

428b

To też list W[go] P. Prezesa jest dla mnie dowodem jasnym Jego młodości i siły serdecznej. Niechże Wam Bóg pozwoli aż do śmierci zachować tę m... dość serca i to gorące umiłowanie naszej przeszłości. Mam przy tej sposobności prośbę do Pana Prezesa aby mi przy zdobyciu jakiej wolnej chwili raczył napisać coś o własnej Rodzinie, której już teraz załączam serdeczne pozdrowienie. Miło to to dowiedzieć się coś więcej o ukochanych, aby mieć chociaż pociechę z obcych, kiedy swoi już w grobie. – Dziękuję serdecznie W[mu] Panu Prezesowi za łaskawą pamięć i pełen uczucia list

zostaję z wdzięcznością

powolny sługa

H. Matwij

428c

Jaśnie Wielmożny Panie Prezesie!

Z prawdziwą radością wyczytałem w „Głosie Narodu" wiadomość o nominacji JWgo Pana do Warszawy. Ucieszyłem się ogromnie z dwóch powodów. Najpierw że się skutecznie wypełniły życzenia JWgo Państwa, a po drugie że do Warszawy za Łaską Boską dostaje się coraz więcej ludzi zacnych i szlachetnych, którzy, da Bóg, postawią Polskę na tym stopniu wysokości i chwały, na którym już dawno stanąć powinna. Racz przyjąć JWy Panie moje najserdeczniejsze życzenia na tem nowem zaszczytnem stanowisku. Niech JWmu Państwu Bóg błogosławi i obdarzy Was zdrowiem i szczęściem

428 d

niech Wam pozwoli się cieszyć długiem życiem, abyście mogli być świadkami jak kiedyś Wasz ukochany Jedynak stanie się filarem naszej ojczyzny i jej chlubą. Może Bóg dobry wysłucha modłów starca za Waszą pomyślność i pobłogosławi Was na długie lata. W imieniu całej mojej rodziny składam te serdeczne życzenia i proszę je przyjąć z taką samą szczerością z jaką je ofiarować się ośmieliłem.

JWej Pani Dobrodziejki całuję rączki, a Synowi przesyłam pozdrowienie i życzenia jak najszczersze.

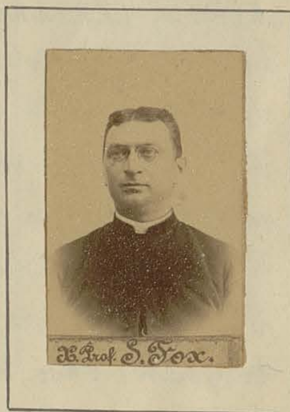
Wdzięczny za dotychczasową pamięć

S. Matwij

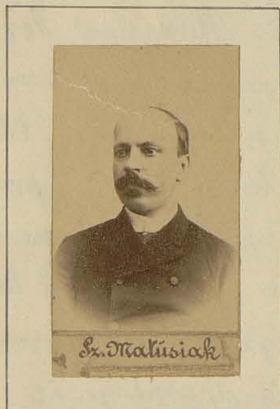
15/6 1927

rytury a nadto starość go obaliła od jesieni 1928 na łoże boleści, z którego dotąd nie może się wydostać. Długie lata pozostawałem z tym kochanym profesorem w korespondencji, bo był on dla mnie serdecznie życzliwym a prócz tego stanowił żywy pomnik dawnych, młodych stokroć lepszych czasów.

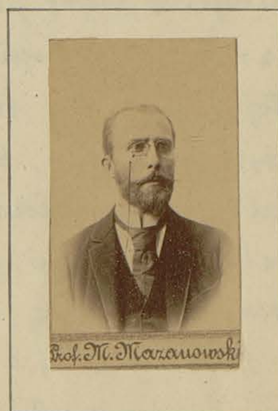
Katechetą gimnazjum był ks. Stanisław Fox. Młody, przystojny, pretensjonalny, często próżny, choć był niezłym człowiekiem, jednak w nim nie miałem przyjaciela. Chodził zawsze starannie wystrojony, lubiał oczkiem strzelić w prawo i lewo, nie do duchownego zdaje się nadawał się stanu. Od czasu do czasu miewał dziwne pomysły. I tak w r. 1892 podczas lekcji religii począł pytać treści niedzielnej egzorty. Taki wykład był niezmiernie ciężki, poruszał zagadnienia dogmatyczne skomplikowane, nadające się do rozmyślań dla teologów. Stąd pytanie treści owych kazań było dla nas dokuczliwe i groziło ciągle złą notą z religii. Po kilku miesiącach udręki dla ka~~te~~chety i dla nas zaprzestał wreszcie tem męczyć. W klasie jednych uczniów lubiał, innych ledwie cierpiał. Skończył nasz przystojny katecheta smutno. Począł coraz więcej używać alkoholu, który w rezultacie doprowadził się do jakichś ekscesów natury niemoralnej. W obawie przed odpowiedzialnością karną truł się, a odratowany usunął się z Bochni. Co się z nim stało, dokładnie niewiadomo, jedni mówili, że umarł, inni, że pojechał do Ameryki i tam był czy jest duszpasterzem pod przybranem nazwiskiem.


X. Prof. S. Fox.

Polskiego języka uczył profesor Szymon Matusiak, człowieczek małego wzrostu, brunet, łysy, nakrywający starannie łysinę nabok zaczesanemi długiemi włosami. Cięty, zdolny, przez młodzież lubiany, literat i publicysta. Wykład jego był jasny, zwięzły, zajmujący, duchem narodowym owiany. Zapalał młodzież do nauki literatury polskiej i mistrznie wykazywał jej piękno. Z profesora gimnazjalnego przeszedł w r. 1891 na inspektora szkół powszechnych bocheńskiego powiatu. Później był dyrektorem seminarjum nauczycielskiego. Po wysłużeniu lat przepisanych przeszedł na emeryturę, poczem zmarł nagle około r. 1823 na dworcu kolejowym w Tarnobrzegu, wysiadając z pociągu.


Sz. Matusiak

Po nim objął naukę języka polskiego profesor Mikołaj Mazanowski, literat i krytyk. Przybył do nas ze Lwowa. W szkole był ścisłym urzędnikiem. Jego podniosłą cechą była wysoka erudycja, ujemną stroną słabe czucie o wartości ucznia. Mieszkał razem z młodym nauczycielem Passendorferem przy ul. Białej tuż pod gimnazjum, a że obaj byli bezżenni, zawsze razem się trzymali. Choć był nie tęgiego zdrowia, to jednak przeżył długie lata. Z Bochni przeszedł do Krakowa, gdzie był profesorem a potem dyrektorem gimnazjum.


Prof. M. Mazanowski

Postacią bardzo znamienną i na zawsze pamiętną był profesor języka niemieckiego Stefan Grudziński. Mimo polskiego nazwiska, był niemcem. Pochodził z Bukowiny z polskiej, zniemczałej rodziny. Pierwotnie był nauczycielem języka niemieckiego we Wiedniu; gdy jednak w Galicji młodzież nie chciała się poświęcać nauce germanistyki i zabrakło nauczycieli tego języka po gimnazjach, kazano nauczycielom z niemieckich prowincji przenosić się do Galicji, celem obejmowania opustoszałych stanowisk. Wtedy to Grudziński z racji zdaje się swego polskiego nazwiska musiał ruszyć na wschód. Najpierw był suplentem w Jarosławiu a stamtąd został profesorem w gimnazjum bocheńskiem. Dość niskiego wzrostu, delikatnej struktury, śniady brunet o czarnej brodzie, na której często były okruszki z bułki ze śniadania, miał czuprynę trwale rozwianą, jakby za chwilę miał wystąpić na scenę i grać rolę jednego ze zbójców Szylera. Odzież jego była poplamiona częściowo rosołem, częściowo czerwonym atramentem. Wiecznie podniecony, egzaltowany, przesadny, uczył swego przedmiotu zamęczając siebie i uczniów. Popularnie zwano go „Gibich" od jednego z bohaterów Nibelungów. Sam się uczył gorliwie języka polskiego i poczynił znaczne postępy. Studjował nawet literaturę polską i twierdził, że Krasicki jako bajkopisarz jest jednym z najpotężniejszych postaci w literaturze światowej. Mieszkał w uliczkach za szybem


Prof. S. Grudziński.

„Sutoris" (w stronie ku kolei), był żonatym, miał kilkoro dzieci, z których szczególnie kochał najstarszą córeczkę, będącą w początkowych klasach szkoły powszechnej. Kolega nasz Stanisław Nowak chodził do Grudzińskiego do domu i uczył jego dzieci po polsku. Grudziński był na pół egzaltowanym entuzjastą na pół furjatem, raz był burzą, drugi raz błogim spokojem, raz tyranem, drugi raz łagodnym i miękkim, jednego dnia zapalczywym, napastliwym i uszczypliwym, drugiego dobrym, łagodnym, wylanym – a wogóle dziwakiem jakiego gimnazjum bocheńskie dotąd nie miało. Nigdy niewiadomem było kiedy i z jakiego powodu raz będzie deptał po młodzieży, drugi raz przyciskał ją do piersi. Pewnego razu na konferencji nauczycielskiej zaperzony i podniecony Grudziński podał do wiadomości grona nauczycielskiego, że do znanej ogromnej karczmy na przedmieściu bocheńskiem od strony Wiśnicza zachodzą starsi studenci i piją piwo. Nauczyciele nie chcieli mu dać wiary i żądali od niego dowodów. „Gibich" utrzymywał uporczywie, że on napewno wie i to co mówi jest bez wątpienia prawdziwe. Nic nie mówiąc Grudzińskiemu, zebrali nauczyciele składkową kwotę i pewnego popołudnia dali ją tercjanowi gimnazjum z poleceniem, by udał się do karczmy, kazał tam podać sobie poczęstunek i przesiedział jakiś czas bacząc, czy nie przyjdzie jaki student na piwo. Tercjan zrobił, jak mu kazano. Nazajutrz zgłosił się do profesorów z tajemniczą miną. Zapytany o wynik odrzekł, że nie widział żadnego studenta, ale widział coś jeszcze gorszego, począł się jednak wahać, czy ma to mówić, czy nie. Zaciekawieni profesorowie, zaniepokojeni

zagadkowem zachowaniem się tercjana, poczęli na niego nastawać, by powiedział szczerą prawdę, wszakże chodzi o rzecz ważną, bo o dobro szkoły. Wtedy rzekł tercjan w prostocie ducha: „studentów nie widziałem, ale widziałem pana profesora Grudzińskiego, przyszedł do karczmy i pił." Nauczyciele parsknęli śmiechem i w lot pojęli wartość podejrzeń Grudzińskiego. W kilka lat po mojem odejściu z Bochni przeniósł się Grudziński do Krakowa i był tam czynny przy którem gimnazjum. Ale natura ciągnęła wilka do lasu. Tęsknił ciągle za niemcami, przeniósł się do Königgraetz, pełnił tam obowiązki nauczycielskie i tam też życia dokonał.

Historji uczył nas profesor Henryk Machnicki. Czarny jak gałka, wydawał się być typem zbliżonym do Batorego. Ciężko schorzały na serce z wysiłkiem i trudem spełniał swoje obowiązki. Szczery polak, nie cierpiał niemców i uważał ich za największych fałszerzy historji. Nieraz zirytowany Machnicki walił pięścią w nasz podręcznik historji Gindelego i wołał: nie wierzcie – nie wierzcie temu, co tu na podnietę niemców się śpiewa, ta książka napisana za pruskie pieniądze.... ponieśli lekką porażkę, pisze podręcznik, to nieprawda, pobici niemcy na głowę uciekali wszystkiemi drogami.. itp. Zdrowie Machnickiego już w r. 1891 coraz bardziej się psuło, choroba serca powaliła go na łoże boleści, z którego już nie powstał. Umarł około r. 1894. Zawsze silnie podkreślał swoją polską narodowość i właśnie wskutek narażenia się rusinom ~~[illegible]~~ został przeniesiony z Kołomyi, gdzie pierwotnie był profesorem w polskiem gimnazjum, do Bochni. Młodzież bardzo go lubiała,

gdyż był jej przyjacielem i opiekunem. Znaną było rzeczą, że pożyczał pieniądze studentom w potrzebie, czyli – jak studenci zapewniali – „na chleb." A rzecz dziwna, że właśnie gdy kiedy przybył wędrowny teatr do Bochni, wtedy najwięcej studentów zgłaszało się do Machnickiego z prośbą o pożyczkę „na chleb", w gruncie rzeczy jednak na bilet do teatru. Po latach wielu znalazłem na cmentarzu bocheńskim grób Machnickiego i wtedy stanął mi przed oczyma jak żywy Machnicki bladawy na twarzy, o czarnym, kruczym zaroście i o szlachetnym wyrazie oblicza.

Po nim uczył historji profesor Wawrzyniec Waśkowski. Blondyn o twarzy okrągłej, rumianej, o jasnej rzadkiej brodzie, średniego wzrostu, zawsze w złotych okularach. Flegmatyczny, powolny, spokojny, wyrozumiały i dobry człowiek. ~~Ot~~ Przyszedł do Bochni z Krakowa, mieszkał w Bochni samotnie, rodzina zaś jego pozostała w Krakowie. Każdy wolny od nauki dzień spędzał w Krakowie. Po wysłużeniu przepisanych lat przeniósł się do Krakowa i tam swój żywot poczciwy zakończył. Syn jego Antoni, poeta, chodził do gimnazjum w Bochni i na uroczystość poświęcenia sztandaru gimnazjalnego napisał w kwietniu 1925 dołączony tu wiersz:



Oktawy zamiast gwoździa

do sztandaru młodzieży gimn. bocheńskiego.

W niedzielę odbędzie się poświęcenie sztandaru gimnazjalnego w Bochni. Z tego powodu poeta, jako b. wychowanek bocheńskiego gimnazjum, przesyła tą drogą profesorom swym i młodzieży wiersz następujący:

O Bochnio! widzę cię tak, jak w młodości,
gdym pierwszy pisał wiersz pod ławą w klasie—
a choć z tych byłem, co skromni i prości,
o laurach śniłem już i o Parnasie,
byle mnie która z muz przyjęła w gości...
więc dzisiaj (jeśli to na co ci zda się,
żem w życiu twego nie zapomniał czaru)
miast gwoździa wbijam ten wiersz do sztandaru,

I na pochwałę twą uderzam w struny!
a jeśli winien kto, że rymem piszę,
że mi się palą w źrenicach widuny,
jak Homerowy rapsod lub Derwisze
ubrane w dęby, wicher i pioruny,
i mącą spokój codzienny i ciszę:
to ty-ś jest winną! bo ty-ś mi — pamiętasz? —
dała poezji pierwszy elementarz!!...

ANTONI WAŚKOWSKI.

Profesor Ignacy Serwin uczył matematyki i fizyki i po odejściu Matusiaka do służby administracyjnej był naszym gospodarzem klasy aż do matury. Pochodził zdaje mi się z okolic Bochni, był synem murarza i dla swego ojca żywił zawsze wdzięczność i miłość. Uczył starannie, ale w ocenie między uczniami był wielce wstrzemięźliwy i ponad stopień dobry trudno się było u niego wybić. Zacna to była dusza a dla młodzieży ubogiej miał wiele wyrozumienia, zwłaszcza dla tych uczniów, którzy lekcjami musieli zarabiać na swoje utrzymanie. W gimnazjum prawie zawsze przesiadywał w gabinecie fizycznym (na pierwszem piętrze w rogu od miasta), gdyż był zawiadowcą gabinetu. Zawsze tam miał coś do dłubania koło przyrządów fizykalnych lub poprawiał zadania. Miał najładniejsze pismo ze wszystkich profesorów, dlatego w niższych klasach uczył kaligrafii. Umarł około r. 1898 niemal tragicznie. Było to w zimie, po jakiejś zabawie powracał do domu, upadł po drodze na bruk, leżał dłuższy czas na mrozie, potem odszukany i przywieziony do domu zachorował na ostre zapalenie opon mózgowych, które było przyczyną jego śmierci w sile wieku.



Młody nauczyciel Artur Passendorfer uczył nas logiki i psychologii. Człowiek o szerszym horyzoncie umysłowym, światły i zdolny, wybijał się już wówczas na znakomitszą siłę. Przy końcu swej służby był dyrektorem gimnazjum matematycznego we Lwowie.


Prof. A. Passendorfer.

Z innych profesorów, którzy nas w VII i VIII klasie nie uczyli wymieniam przyrodnika Michała Szklarza (później zmienił nazwisko na Szlarzewicz). Był to najstarszy po dyrektorze profesor, miał dom przy ul. Orackiej, był dwa razy żonaty i miał liczną dziatwę. Młodzież bardzo go lubiała, był najpopularniejszym profesorem w naszem gimnazjum i prawdziwym przyjacielem rzesz studenckich. Napisał podręcznik do nauki mineralogii, był bowiem biegłym znawcą przyrody. Dożył lat późnych i spoczął wraz z rodziną w cichym zakątku cmentarza bocheńskiego we wspólnym murowanym grobie.

Do młodszej generacji nauczycielskiej należeli profesor Tota, właściciel domu przy bocznej ulicy w okolicy szybu Sutoris i profesor Bryl (obaj filologowie), ożeniony a następnie separowany z artystką dramatyczną, ciągle ciążył do Krakowa, dokąd wyjeżdżał na każdy wolny od nauki dzień. Pomiędzy suplentami wyróżniał się Szymon Dozorców uczący filologii w niższych klasach, rusin z powiatu borszczowskiego. Słabą miał głowę i gdy go kiedy jaki ojciec ucznia


Prof. M. Szklarz.

zaprosił na poczęstunek, którym Dozorców nie gardził, zachodziły mu mgłą oczy, co zaraz po nim było poznać. Toteż śpiewali sobie o nim mali studenci:

Szymku, Szymku, gdzieś ty był
Na Proszówkach wódkę pił,
Wypił jedną, wypił dwie,
Zakręciło się we łbie!

A Proszówki to była wioska, stanowiąca niemal przedmieście bocheńskie, gdzie przy moście na Rabie było kilka oberży z szynkami. Z tym to Dozorcem spotkałem się jeszcze w życiu podczas kiedy byłem sędzią w Sołotwinie, w ciągu tych wspomnień w rozdziale IX opisane są dalsze koleje życia tegoto dawniejszego nauczyciela bocheńskiego.

Ważną osobą w gimnazjum był tercjan Franciszek. Liczył lat około 50, średniego wzrostu, brunet, nieco za chudej struktury, twarzy posiniałej, z której przebijał się smutek. Był on już tercjanem za poprzedniego dyrektora Bitonsa i przeszedł następnie pod zwierzchnictwo Żułkiewicza. Gdy się rozgadał, narzekał na Żułkiewicza, że zbyt surowo go traktuje, a żałował za jego poprzednikiem. Bitons bowiem był kawalerem a Franciszek rządził się w jego pomieszkaniu i w całym budynku, jak chciał. Żałował także, że gimnazjum nie pozostało w starym budynku poklasztornym (powyż nowego), bo miał w nim mniej pracy z utrzymaniem czystości, gdyż stary budynek był o wiele mniejszy. Z opowiadania Franciszka wiem, jak przyszło do rychłej budowy nowego (obecnego) gmachu gimnazjum. Oto od dawna była rysa na murze starego budynku, jakby od pęknięcia. Ci, którzy nie chcieli prowadzić szkoły w sta-



Budynek poklasztorny, w którym mieściło się gimnazjum bocheńskie do roku 1890. Po przeprowadzeniu się szkoły do nowego, obok zbudowanego gmachu, stał budynek poklasztorny pustką, potem umieszczono tam biednych miejskich, obecnie zaś (rok 1929) mieści się w tym budynku seminarjum nauczycielskie żeńskie.

rym gmachu mówili, że rysa ma coraz większy rozstęp i staje się coraz groźniejsza. Celem sprawdzenia, czy rysa się powiększa przylepił dyrektor Bilous lakiem skrawek papieru na poprzek szczeliny. Rozigrani chłopcy wychodząc popołudniu ze szkoły uderzali palcem w papierek, aż pękł. Nazajutrz dyrektor z przerażeniem spostrzegł, że widocznie rozstęp się powiększa, bo kon-

trolny papierek pękł. Robił w następnych dniach jeszcze kilka prób, ~~ze~~ wszystkie z wynikiem niepokojącym. Uderzono w alarm, że gimnazjum się wali, że młodzież narażona na pogrzebanie w gruzach, miasto na gwałt przystąpiło do budowy nowego gmachu ku zgryzocie Franciszka. I miał on rację o tyle, że gmach stary jak stał, tak stoi dotąd i niezawodnie jeszcze kilkaset lat będzie ludziom służył. Bo zeszedł już do grobu Franciszek i czterej dyrektorowie od Bilousa począwszy, a gmach starego klasztoru stoi silnie na wyżynie i rysa na murze wcale

Nowy budynek gimnazjum bocheńskiego góruje nad całem miastem i okolicą. Dyrektor mieszkał w parterze po prawej stronie, po lewej zaś była sala konferencyjna i kancelarja dyrektora (ta ostatnia dwa pierwsze okna od bramy wchodowej na lewo). Oba piętra zajmowały klasy.



BOCHNIA. Gimnazjum męskie — Fot. Gargulowa

się nie powiększa. Ale swawolnym dowcipem rozigranych dzieciaków stanął piękny, nowy, obszerny budynek gimnazjalny, w którym ja już do szkoły chodziłem. Nasza klasa była ostatnia w prawem skrzydle na drugiem piętrze (od strony miasta) z malowniczym widokiem na Uście solne i pobrzeże Wisły.

*

O życiu ówczesnego bocheńskiego społeczeństwa nie umiem niczego powiedzieć. Byłem przybyszem, prócz kolegów z jednej klasy nikogo nie znałem, pochłonięty byłem szkołą i książką a pozatem sprawy miejskie mnie nie obchodziły.

Pamiętam, że do r. 1891. był starostą bocheńskim Kleeberg, kolega dyrektora Żułkiewicza, stąd obaj razem często chodzili na spacer bądź po plantach, bądź w okolicy plant. Kleeberg został przeniesiony na wyższe stanowisko do Lwowa a potem do Wiednia, po nim zaś był starostą Kiereńjarto, rodzony brat stanisławowskiego dyrektora gimnazjum, człowiek cichy, nie wysuwający się, pracowity. Na naczelnych miejscach stali: w sądzie Matusiński, na poczcie Schindler, na kolei Bauman, w urzędzie podatkowym Gutorski.

Burmistrzem Bochni był wtedy adwokat Serafiński. Objął on ten urząd po adwokacie Trybulcu, który zrezygnował z godności burmistrza, bo jakiś malkontent napadł na niego z nożem na plantach. Serafiński był człowiekiem o gołębiej duszy, niezmiernie pobożny, nieskazitelnie uczciwy i godny. Silny brunet o rysach saracena.

Jego dalekim krewnym był słynny podówczas malarz Matejko. Widziałem raz, jak zajechała dorożka przed kościół farny w Bochni i wysiadł z niej Matejko, człowieczek niepokaźny, małego wzrostu, chuderlawy, a za nim Serafiński i weszli obaj do kościoła, który miał być na nowo pomalowany, chodziło więc o fachowe zdanie mistrza Matejki. Był to jedyny raz w mojem życiu, kiedy widziałem Matejkę.

Proboszczem był wówczas ks. Lipiński, człowiek rzadkiej zacności, niezmiernie lubiany przez swoich parafian. Poprzednio był proboszczem w Uściu solnem i zjednał sobie tam taką miłość, że po jego przeniesieniu do Bochni, dawni parafianie gromadnie odwiedzali go na nowej parafii, garnąc się do niego jak do ojca, doradcy i przyjaciela, który każdego wysłuchał, pocieszył i dobrem słowem obdarzył. Pamiętam, jak w lecie 1891 przyjechał biskup tarnowski ks. Łobos na wizytację kanoniczną, właśnie umarła na probostwie matka ks. Lipińskiego. Dziś spoczywa ks. Lipiński snem wiecznym na cmentarzu bocheńskim obok swojej matki.

Obok ogrodu salinarnego mieszkał lekarz salin dr. Górski, zięć miejscowego kupca Michnika. Lekarz ten zdolny i staranny był dobrodziejem ubogich a studentów leczył za darmo. I do mnie, jako studenta <u>VIII</u> klasy, gdy zachorowałem wskutek zaziębienia przyszedł dr. Górski, zbadał, poradził i nie brał żadnego wynagrodzenia. Toteż w trzydzieści lat potem, gdym na cmentarzu w Bochni grób jego zobaczył, wspomniałem wdzięcznie imię tego zacnego człowieka.

*

Słynną i historyczną była w Bochni księgarnia Pisza, mieszcząca się tuż za ratuszem w stronę ku Wiśniczowi. Któż w kraju nie znał księgarni Pisza w Bochni! Nie było jednego domu polskiego, gdzieby nie było książki do nabożeństwa Pisza z Bochni. Drukarnia Pisza drukowała je i wydawała tysiącami, a modlitewniki bocheńskie były tak znakomitej marki, jak np. w swoim czasie pasy słuckie lub pierniki toruńskie. Ale za moich czasów żył już ostatni Pisz księgarz-wydawca. Druga, że tak powiem secundogenitura Piszów żyła i działała w Nowym Sączu.

*

Bochnia w półkole otoczona była lasami. Tuż za rzeką Rabą ciągnęła się puszcza niepołomicka. Olbrzymia knieja, w niej stare drzewa częściowo liściaste, częściowo szpilkowe szumiały ponuro, jakby śpiewając dzieje tych borów czarownych, pamiętnych z łowczych łowów królewskich. Mchy puszyste jak rozkoszne kobierce, roślinność bujna, ptactwa leśnego gromady, sarny prawie ułaskawione – wszystko to przypominało żywo opis puszcz litewskich w Panu Tadeuszu. Ile razy zaszedłem do puszczy niepołomickiej, byłem nią zachwycony jak baśnią i szedłem a szedłem wciąż do jej głębi, aż dopiero lęk zbłądzenia zawracał mię z drogi.

Od strony Wiśnicza i Łapczycy ciągnął się las Kolanowski, nie tak ponętny jak puszcza, ale ogromny i uroczy. Ucząc się raz w tym lesie do matury złapałem rękami młodego puhacza, siedzącego na gałęzi krzewu. Przyniosłem

do domu, darowałem go chłopcom sąsiadki, ci jednak pięknego ptaka barbarzyńsko zamęczyli.



Stary wspaniały kościół parafialny w Bochni, wiodący swój początek od Kazimierza Wielkiego. Na obrazku widoczne boczne wejście gotyckie, przez które co niedzielę szliśmy parami na nabożeństwo.

Niedługo po przybyciu do Bochni wybrałem się na wycieczkę do Wiśnicza, bo opowiadano mi wiele o zamku wiśnickim. Wiśnicz, niewielkie miasteczko, przytulone do góry zamkowej, miało dawny stary ratusz, w którym mieścił się sąd. Zamek Kmitów wspaniały, godny królewskiej siedziby,

Zamek wiśnicki zagrożony ruiną.



(I.) Sławny zamek w Wiśniczu, jeden z niewielu już pomników naszej średniowiecznej sztuki wojennej, zagrożony jest ruiną. Z początkiem marca b. r. jedna z głównych ścian zamku usunęła się na całej wysokości dwóch pięter, pociągając za sobą część dachu. Przy tej okazji uszkodzoną została jedna z najpiękniejszych sal zamkowych, historyczna sala rycerska, długa na całą szerokość gmachu, zdobna w piękne, późno-renesansowe odrzwia i obramowania okien. Sala ta pamiętna jest głośnem swego czasu zajściem między królem Władysławem IV a senatorami na tle planów królewskich podjęcia wojny tureckiej. Król Władysław IV, wbrew sprzeciwowi zebranym wówczas w tej sali senatorów, podnosił konieczność wojny z Turkami, a spotkawszy się z wyraźnym oporem magnatów, opuścił salę i zatrzasnął się w sąsiednim pokoju, gdzie przebywał zamknięty przez trzy dni, nikogo do siebie nie dopuszczając. — Szkic nasz przedstawia piękny zamek wiśnicki z zawaloną ścianą. Powinien on być poddany starannej pieczy naszych konserwatorów.

był prawie ruiną, bez dachu, bez okien, zasypany gruzami. Tylko piękne schody świadczyły o dawnym przepychu, tu i ówdzie jeszcze był urywek malowidła na ścianie, ślady kaplicy rozpoznać było mo-

żna po kształtach ~~[illegible]~~ murów i krużgankach. Dziedziniec wewnętrzny zachował doskonale cechy dawnej świetności. Mury te robiły na mnie silne wrażenie i przed oczyma przesuwały się postacie Kmitów, Lubomirskich, Zygmunta Augusta, Barbary, Władysława IV i roju magnatów o bujnym temperamencie, nie korzących się nawet przed majestatem królewskim.

*

Takto chcąc niechcąc stałem się uczniem gimnazjum bocheńskiego. Czułem zadowolenie, że jestem w szczerze polskim kraju, wśród polskiego ludu, polskiej atmosfery, że chodzę po ziemi, która do mnie swoją przeszłością przemawiała i choć w obcych stronach, miałem wrażenie i przeświadczenie, że jestem pomiędzy bardzo dla mnie bliskimi ludźmi.

Młodzież gimnazjalna prawie w połowie pochodziła ze wsi. Były to otwarte dusze, szczere, serdeczne, uczynne, jako koledzy idealni. Zżyłem się z nimi szybko, w szkole acz mozolnie, szło mi jednak pomyślnie i wnet Jarosław począł mi się zacierać w pamięci. Studenci bocheńscy prawie niczem innem się nie zajmowali, jak nauką. Tu i ówdzie któryś grał na jakimś instrumencie, a pieśń się słyszało wcale rzadko. Młodzież żyła grupkami po stancjach,



Widoczek Bochni z wyżyny Rozborni z r. 1890.

trzymając się razem po dwóch lub trzech. Rzadko kiedy wpadał jakiś student ze sąsiedniej stancji po bliższą wiadomość co do jutrzejszej lekcji, lub po jakąś inną pomoc. Wycieczek grupami nie robiliśmy, gdy się wypraszałem do Wiśnicza lub puszczy niepołomickiej, nie mogłem znaleźć towarzysza. Kontakt koleżeński rozwijał się przeważnie w szkole, a nie w domu i właśnie szkoła nas wszystkich silnie zespalała. Stosunki koleżeńskie były jak najlepsze a przychylność wzajemna prawdziwie braterska.

Rozpoznawszy się jakotako w Bochni, pragnąłem poznać Kraków, którego dotąd nie widziałem w życiu. Myślałem o tem często, jakby go zwiedzić, ale nie było na to ani czasu, ani pieniędzy. Kraków od dawna pociągał moją wyobraźnię potęgą swej przeszłości i pamiątkami narodowemi. Pragnąłem więc bardzo zwiedzić Kraków szczegółowo, następnie jednak pragnienie to przeoblekło się w zamiar przeniesienia się z Bochni do gimnazjum w Krakowie. Nabiłem sobie tem głowę i znów począłem ~~na~~ snuć plany dalszej włóczęgi. Miałem w Krakowie kolegę z gimnazjum stanisławowskiego Eustachego Starzyńskiego. Powziąwszy myśl przeniesienia się do Krakowa, zniosłem się z nim piesemnie. Stosownie do porozumienia się z nim, w tajemnicy przed wszystkimi, po pierwszym kursie VII klasy, zabrałem świadectwo szkolne do kieszeni i pojechałem do Krakowa. Było to w pierwszych dniach lutego 1891. Zgodnie z umową uprzednią spotkaliśmy się ze Starzyńskim w kościele dominikańskim. Pod jego przewodem ruszyłem po gimnazjach, z prośbą o przyjęcie. Poszliśmy do naj-

nie było ilustracji
w chwili wypożyczenia do B.J.
6.X.57 [illegible]

bliższego gimnazjum św. Jacka, pomieszczonego w murach klasztoru dominikańskiego. W kancelarji dyrektora gimnazjum zastałem człowieka w średnich latach, niewielkiego wzrostu, zaokrąglonej tuszy, mówiącego prędko a z naciskiem. Z bijącem sercem wyjąłem świadectwo i prosiłem o przyjęcie. Odpowiedź była krótka: nie. Mimo odmowy ponowiłem jeszcze raz moją pokorną prośbę, powiadam, że wprawdzie nie wziąłem świadectwa odejścia, ale dyrektor widzi, że mam dobre noty. On jednak był stanowczy i nieustępliwy. „Dobrze zrobiłeś — rzekł dyrektor — żeś nie wziął świadectwa odejścia, wracaj do domu i siedź dalej w Bochni." Nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak ukłonić się i odejść.

Na Kurytarzu zacny Starzyński już czekał i z ciekawością pytał o wynik. Z smutkiem mu odpowiedziałem o niepowodzeniu. No to chodźmy do gimnazjum Sobieskiego – rzekł Starzyński – spróbujemy jeszcze tam szczęścia. Tu dyrektor, szatyn, wysoki, o melancholijnym wyrazie twarzy, na moją prośbę o przyjęcie, nawet nic ze mną nie chciał mówić. Nie ma miejsca – odrzekł sucho – i odwrócił się do swojej dalszej roboty. Czy jeszcze chodziłem do trzeciego, podówczas istniejącego Krakowskiego gimnazjum św. Anny – nie pamiętam, zdaje mi się, że zrażony niepowodzeniem, tam już nie poszedłem. Zasmuciła mnie ta nieudała wyprawa, tembardziej że obraz Krakowa, spowitego w śnieżną zimową szatę niezmiernie mi się podobał i pragnąłem całą duszą stać się mieszkańcem dawnej naszej stolicy. Z piętyzmem wstępowałem do Kościołów, znanych mi dotąd jedynie z obrazków a z całem rozrzewnieniem wszedłem na Wawel, aby „podumać, potęsknić nad pomnikiem sławy." I dumałem, dumałem długo nad każdym szczegółem, wsłuchując każde wyjaśnienie Starzyńskiego. Śniłem od dawna o tem, by te skarby narodowe zobaczyć i oto właśnie tego dożyłem. Były to dla mnie chwile naprawdę podniosłe i na całe życie pamiętne. Po pożegnaniu Starzyńskiego chodziłem jeszcze po rynku i sukiennicach, ze zakupionych w kramach sukienniczych pączków spożyłem na dworcu kolejowym studencką kolację i z ciężkiem sercem powróciłem do Bochni, do Gibicha i do nieskończenie monotonnych dalszych szkolnych mozołów. Nie mając odwrotu z Bochni, zabrałem się do moich obowiązków ze zdwojoną siłą. Dziś zaś mogę powiedzieć, że Bóg czuwał nademną, bo któż mógł zaręczyć, czy w Krakowie nie byłaby mi się powinęła noga.

Wnet znów nadarzyła się sposobność, że pojechałem do Krakowa, ale już nie jako petent i kandydat na mieszkańca tego miasta, lecz jako uczestnik wspaniałego obchodu narodowego. Podczas gdy byłem uczniem VII klasy gimnazjum przypadła setna rocznica wiekopomnej Konstytucji Trzeciego Maja 1791, obchodzona solennie przez cały naród polski. Postanowiłem dzień ten spędzić w Krakowie. Ponieważ dzień 3. maja 1891 przypadł na niedzielę, wpierw więc poszedłem do Katechety ks. Foxa, aby mię uwolnił od egzorty. Katecheta jednak żadną miarą nie chciał tego uczynić. Dopiero na bardzo natarczywą moją prośbę ostatecznie niechętnie na to się zgodził. Pojechałem więc do Krakowa rano dnia 3 maja 1891 i z radością wszedłem z dworca kolejowego w mury miasta. Cały Kraków tonął we flagach biało czerwonych. Radość znać było na każdem obliczu. Zjazd obcych był znaczny. Chodziłem wszędzie i byłem prawdziwie wszystkiem zachwycony. Wtedy to byłem w grobach Królewskich i w Krypcie Mickiewicza. Drzewo zasadzone na plantach przez Kościuszkę równo sto lat temu, było starannie i bogato udekorowane. Wieczorem czarowała przecudna iluminacja Sukiennic i Marjackiej wieży. Właśnie gdy reflektorem rzucano światło na tę wieżę, spostrzegłem w tłumie ludzi, nieopodal siebie emerytowanego dyrektora Maja z Jarosławia, który na starsze lata w Krakowie osiadł. Chciałem się ku niemu przez tłum przedrzeć, ale tymczasem on w natłoku zginął się. W chwilę potem chór akademicki na krużganku Sukiennic (od strony linii A–B) odśpiewał pięknie kilka pieśni. Jakże ja wtedy pra=

gnąłem, aby mię losy zespoliły z tem miastem ukochanem! Ale te losy w inne mię skierowały strony. Wieczorem powróciłem do Bochni do zwykłej szarej pracy po tym pamiętnym a górnie przeżytym dniu.

Opowiedzieli mi koledzy, że w gimnazjum bocheńskiem była tego dnia zwykła egzorta i pospolite nabożeństwo dla młodzieży. Ale uczniowie VII klasy Jenczyn i Góra przynieśli z domu kokardki w barwach narodowych, porozdawali innym kolegom, wszyscy się w nie ustroili i tak weszli do kościoła, chcąc tem zaznaczyć swój udział w polskiem święcie narodowem. Dyrektor Żułkiewicz był ogromnym przeciwnikiem wszelkich, choćby najskromniejszych objawów patrjotyzmu na zewnątrz. Nieraz nam mówił: będziesz lepszym patrjotą, jeżeli z uwagą przeczytasz dwie kartki z historji polskiej, niżbyś miał hałasem objawiać swój patrjotyzm przez krótko dni z rzędu. Toteż niechętnie patrzył na to udekorowanie się uczniów z najwyższej klasy i na drugi dzień na grece miał do nas dłuższą perorę, ganiącą demonstrację zewnętrzne.

*

Wśród tychto stosunków skończyłem VII klasę, z radością wróciłem na wakacje do rodziców do Załucza nad Zbruczem, a rodzice szczerze się cieszyli, że syn się już zbliża do ukończenia nauki w gimnazjum. Po wakacjach zapisałem się do VIII klasy w Bochni i za poradą Golonki zmieniłem stancję przeniósłszy się do nowego domu Tomasza Gondka przy ul.

(Podaj dalej!) 450a

KK! Prawdopodobnie po świętach wielkanocnych będziemy się fotografowali – zatem kto sobie życzy zamówić kilka swoich fotografii – i jedną wspólną – niechaj poniżej umieści swoje nazwisko, żeby później nie było jakich nieporozumień.

[illegible]
Kostis
Kalinowski
Antoni Neusser
[illegible]
Piekarczyk
Stolarczyk
Wawronki
Brzeski
Jarlina

Bajorek
St. Nowak. tylko wspólną
M. Gorczyński
[illegible]
Sporinsky
Łopata
ost. oraz tylko fotografii wspólnej
Olm
Bystrzycki
Tatar
Chodacki
Rompiński

[redacted]

Bardzo cenną pamiątkę stanowi dołączona odezwa napisana w kwietniu 1892 (zdaje się przez Ant. Neussera) do kolegów VIII klasy w sprawie wspólnej fotografii. Odezwa ta krążyła po klasie i podpisali ją wszyscy koledzy.

450b

Burys.

Brujesz

Gmal

Łotuchowski

A. Szczodlec (wspólna)

Brodacz

Liebermann

Nowak Józef

Hebda (wspol.)

Golawska

Świętokrzyskiej. Mieliśmy tam dwa pokoje, w jednym mieszkałem ja, kolega Golonka i bracie Łopatowscy (ze Zarytego), w drugim uczniowie klas niższych Duljan, Góral i jeszcze jakiś mały chłopak. Gimnazjum nasze dopiero się tworzyło i dopełniało, myśmy stanowili klasę ósmą i najwyższą, i po raz pierwszy miała się odbyć matura w Bochni. Zachęcając nas do pracy profesorowie ciągle wskazywali nam na widmo matury. Szczególnie Grudziński zaperzony, z ogniem w oczach, z rozczochraną czarną czupryną, z Schillerem w garści przedstawiał nam donośnym głosem a ze grozą, co to będzie „beim grünen Tisch", ~~malując~~ malując maturę jako dies irae et calamitatis! Gruntownie nastraszeni uczyliśmy się silnie, siedząc po nocach nad książką. Tak na monotonnej pracy, na wysiłkach opanowania materjału z wszystkich klas i na przygotowaniach do matury zeszedł rok szkolny 1891/92 i zbliżył się wreszcie tak długo zapowiadany czas matury.

Matura zaczynała się od pisemnych wypracowań, czyli od klauzurowego wykonania zadań pisemnych. Trwała ona od 9. do 13. maja 1892. Każdy chciał zadanie zrobić dobrze, ale byli specjaliści jedni biegli w konceptach do polskich zadań, inni w matematyce, inni w filologii, chodziło o to, aby sobie wzajemnie pomagać a ujść przy tem baczenia nadzorującego profesora. Otóż w tajemnicy zebraliśmy się wszyscy na naradę w sobotę 7. maja 1892 popołudniu za miastem obok kaplicy zwanej „Murawianka" i tam w skrytości naradzaliśmy się w jaki sposób przeprowadzić tę wzajemną pomoc. Narada trwała około godzinę, poczem nieznacznie, po kilku wróciliśmy do miasta. Praca pisemna zaczynała się od poniedziałku. W niedzielę dnia

dnia 8. maja 1892, po zwykłem szkolnem nabożeństwie zebraliśmy się wszyscy maturzyści razem i gromadnie poszliśmy do rynku do sklepu papierowego, gdzie każdy kupił arkusz bibuły i podkładkę linjowaną, poczem zwinąwszy te przybory maturyczne w rulon, niósł je do domu, a imponowało nam to i pochlebiało, że młodsza brać gimnazjalna patrzyła na nas z podziwem jako na tych, którzy niebawem mają opuścić mury gimnazjalne, czego zapowiedzią były owe pokaźne rulony. Własnego papieru na zadanie maturalne nie wolno było przynosić, bo dostawało się w klasie papier szkolny z pieczęcią gimnazjalną i tylko na takim papierze napisane zadanie miało znaczenie legalne.

W poniedziałek zgromadziliśmy się w dużej sali na rogu drugiego piętra i tu podzielono nas na dwa oddziały według alfabetu, a to na to, aby rzadziej nas w ławkach rozsadzić i w ten sposób zapobiedz odpisywaniu. Mimo wszystkie przezorne a czujne zarządzenia, przecież tu i ówdzie przemykała się jakaś karteczka ratownicza. Codziennie było inne zadanie. Na ogół tematy były wcale łatwe. Żadnych książek nie wolno było przynosić, jedynie do greckiego zadania wolno było wziąć słownik a do matematycznego logarytmy. Ale choć nas nauka do matury wychudziła, to jednak szliśmy do pisemnej matury w dość zgrubionej postaci, jakby każdemu połeć słoniny przez noc urósł, bo pod kamizelką tkwił bądź słownik, bądź arytmetyka, bądź historja, umawiali się zaś sąsiedzi, kto co ma zabrać, by się wzajemnie ratować. Polski temat brzmiał: Wpływ starożytnej Grecji na dzieje cywi-

Przypominam się — by Panowie byli łaskawi zaopatrzyć się w kwotę 10 ct. gdyż jutro gremialnie idziemy kupować po egzorcie bibułę i le-minszek. i kartkę

Kto przeczytał proszę się podpisać.

[illegible]

Oryginalna kartka napisana dnia 7. maja 1892 i puszczona w VIII kla-sie „pocztą pod ławkami" z wezwa-niem do wspólnego zakupu przybo-rów pisarskich do matury.

452b



lizacji europejskiej. Temat zadania niemieckiego opiewał: Welche Erfindungen und Entdeckungen waren für die Menschheit am wohlthätigsten. Z matematyki było zrównanie:

$$x^4 - 4x^3 - 3x^2 - 4x + 1 = 0$$

dalsze zadanie matematyczne było z % składanego, trzecie obliczenie powierzchni i objętości ostrostupa. Z łaciny na polskie tłumaczenie Liviusa XXVI. 7, z łaciny na polskie jeden ustęp z historji starożytnej Zakrzewskiego, z greki na polskie Platona Gorgias.

Pisemna matura przeszła wcale gładko, następnie zaś znów chodziliśmy do szkoły regularnie i uczyli się niezmordowanie, bo to już były ostatnie tygodnie przed walną rozprawą. W naszym pokoju mieszkalnym całą noc paliło się światło. Ja pracowałem zwykle do godziny pierwszej w nocy, potem budziłem moich kolegów Golonkę i Łopatowskiego, którzy wcześnie się pokładli, by sił nabrać i oni od pierwszej uczyli się do rana, a ~~za~~ natomiast ja spałem snem twardym. Wszystko to było wielce męczące, wysilaliśmy się bardzo i z umęczenia ledwie po świecie łazili.

Celem uwiecznienia naszego zespołu szkolnego postanowiliśmy fotografować się, było to zresztą powszechnym zwyczajem, że maturzyści z profesorami się fotografowali. Nim do fotografji doszło naradzaliśmy się jak, kiedy i w jakiej formie to uczynić. Były zdania różnorodne i kilka tygodni minęło, zanim do zgody doszło. Mieliśmy się fotografować u fotografa Wyspiańskiego przy ulicy Świętokrzyskiej, a ponieważ zakład fotograficzny był tuż obok mojego pomieszkania,

dlatego vox populi w klasie poruczył mi przeprowadzenie tego dzieła i zbieranie składek. Każdy uczestnik fotografował się z osobna, fotografie poszczególne nalepiało się na karton i z tego odfotografowano fotografię wspólną. Prosiliśmy także profesorów, którzy nas uczyli, aby się udali do Wyspiańskiego, celem zdjęcia. Dawniejszy nasz profesor Szymon Matusiak już w r. 1892 był inspektorem szkolnym, nie wchodził w skład grona nauczycielskiego w gimnazjum, ale młodzież gimnazjalna była doń przywiązana, więc za inicjatywą Kolegi Bystrzyckiego, i Matusiaka do wspólnej fotografii poproszono. (Obok dołączam kartkę Kolegi Bystrzyckiego, tym tę sprawę w klasie poruszył. Pochodzi ona z maja 1892.) I mnie i fotografa Wyspiańskiego do zgryzoty doprowadzało szukanie Kolegów i profesorów. Niejednego Kolegę wprost na ulicy chwytałem, ubierałem w swój czarny surdut i w moją świąteczną krawatkę i prowadziłem do Wyspiańskiego, oryginała pierwszej klasy, mieniącego się artystą i szczycącego się jakoby przyjaźnią pierwszorzędnych fotografów krakowskich. Dość, że Kolega siadał na stołku, Wyspiański zachęcał go do zrobienia łagodnej miny i swoim

Drogi Kolego!
[illegible] z największą ochotą
pragnąłby p. Matusiak się
z nami fotografował, lecz
tej sprawy wobec klasy nie
mogę i nie chcę podnosić
bo by się znaleźli tacy, którzy
by najprzemądrzalsze [illegible]
interesu w tem widzieli [illegible]
[illegible] co posądzali. Niech Kolega
albo Jachna spyta się całej klasy
a jeżeli im chodzi o to, bo
to ja go sam zaproszę. [illegible]

przedpotopowym aparatem chwytał jego oblicze. Żalił się Wy-
spiański, że profesor Serwin nie skorzystał z jego rady wy-
pogodnienia oblicza, i dlatego choć był człowiekiem najłagod-
niejszym w świecie, na fotografii wypadł surowo (zob. str.)
Każdy student płacił naprzód pewną kwotę do rąk moich, pro-
wadziłem ścisły rachunek, ale byli tacy, którzy pieniądze
dali, a potem je odbierali, bo nie mogli wyżyć do końca
miesiąca. (Oto kartka kolegi Gurgula, z żądaniem zwrotu).
Przy ugrupowaniu pojedynczych fotografii na kartonie, miej-
sce centralne zajęli profesorowie, studenckie zaś fotografie
rozsiane były wkoło. Wyspiański ugrupowanie to uczynił
wedle moich wskazówek, przyczem trzymałem się zasady, by
studentów mieszkających wspólnie, lub ze sobą zaprzyjaźnio-
nych umieścić na kartonie obok siebie. Ani przez myśl
mi przejść nie mogło, bym tem ściągnął * na siebie [illegible]
kilku kolegów. Był bowiem przesąd, że im bliżej środka kartonu

Kolego!
Sądzę, iż możesz mi jeszcze teraz zwrócić gul-
dena na jakiś czas, bom niespodziewanie
zaskoczony a nie mam skąd wziąć.
Prosiłbym Cię – bądź tak grzeczny!
F. Marcelin

tem jest zaszczytniej, im bliżej brzegu, tem miejsce po-
śledniejsze. Wszystkim dogodzić było niepodobieństwem, mia-
tem liczne nieprzyjemności i przykrości i żałowałem, żem się podjął całego trudu. Oto obok kartka do mnie napisana przez jednego z Kolegów w tonie zirytowanym z ultimatum: albo – albo! Gdy sprawę jego załatwiłem w duchu dla niego pomyślnym, siłą konieczności wysunięty został na kraj kartonu kolega Łopatowski, który ze mną mieszkał razem i żyliśmy w przyjaźni.

Jeżeli chcesz abyau się
fotografować to ja życzę
sobie abyau być przy Gargulu
Szczudre albo przy sobie ikopacie
jeżeli nie to się nie fotografu
ję jeżeli jedni mogę jak chcę
to tyżę że i mnie będzie wolno
zresztą mnie wiele na tem nie zależy
~~ony ke~~ abyau się fotografować Na
czegoż jedni obierali sobie miejsca
a drugich wrucaliście gdzie bądź
bardzo mi było przykro gdy mi sporze
dzieci w domu że i tam jeszcze
jakieś zrady Kitam islucję
Całuję cię
Twój Karol

Łopatowski wrócił raz od fotografa mocno podniecony, a że to była pora objadowa usiedliśmy do stołu. Wtedy kolega ten wybuchł gwałtownie, czyniąc mi ostre wyrzuty, że go przeznaczyłem na kraju kartonu ugrupować. Walił przytem tak silnie pięścią o stół, że wszystkie talerze z brzękiem do góry podlatywały. Nie pomogła moja perswazja – pogniewaliśmy się o to gruntownie – a obok dołączona kartka wyjaśnia ostatnie stadjum tego gniewu. Rozeszliśmy się niepojednani. Na kartonie wypadła fotografia

[illegible]

Nie mogę sobie tego wcale wytłómaczyć, o co Wam na [illegible] z pewnego powodu nie chcecie mówić? Nic przecież wyjątkowego ani obrażającego też dla [illegible] żeby się aż gniewać, to nie powiedziałem. — Gniewać się nie chcę, bo wcale mi to przyjemności nie sprawia; tembardziej, że wcale nie wiem o co. — Chciałem mówić i obejmowałem się, ale, skoro zobaczył, że macie zamiar się gniewać, więc nie mówię i to z tego jedynie powodu, bo innego wcale nie widzę. Jeżeli zaś w czem [illegible] się obrażonym, to Was przepraszam. — [illegible]

Łopatowskiego doskonale, nie miał o co się gniewać i to na kolegę, który tyle trudu poniósł, aby dzieło wspólnej fotografii doprowadzić do skutku.

*

Ogłoszono nareszcie od tak dawna oczekiwany termin ustnej matury. Zaczynała się dnia 2 czerwca 1892. Wieść o rychłym terminie przeszła po nas wszystkich jak iskra elektryczna. Na tydzień przed ustną maturą zwolniono nas z nauki szkolnej. Byłyto więc ostatnie dnie przed walną rozprawą. Rzuciliśmy się do domów i z całych sił przylgnęli do książki. Ucichł miły rozgwar po stancjach, ani śpiewek nikt nie słyszał, ani na spacerze czy wycieczce nie można było dojrzeć żadnego ósmaka. Siedzieli wszyscy po domach i uczyli się gorliwie dniami i nocami. Jno w ciepłe wieczory student VII klasy Wojciech Woźniczka, zamieszkały na stancji u Jana Zalasiewicza (obok szybu Campi) siadał na wzgórku domostwa i rzewnie grywał na trąbce (Fliegelhorn) a miłe tony rozlegały się po całem naszem przedmieściu. We dnie chodziłem się uczyć w okolicę mostu kolejowego na Razbie. Raz usiadłem na podmurowaniu mostu i włożywszy nogi do wody uczyłem się literatury niemieckiej. Wtem na most wjechał pociąg ciężarowy, żelazna konstrukcja mostu poczęła trzeszczeć, jakby mi wszystko miało runąć na głowę, zwłaszcza, że filar kamienny począł drżeć, czego się tak przeląkłem, żem już więcej tam nigdy nie siadał.

Na dzień przed ustnym egzaminem wywieszono na czarnej tablicy za kratkami porządek zasiadania do

egzaminu na kilka dni następnych. Pytano codziennie po sześciu uczniów, trzech przed, trzech popołudniu. Konferencja odbywała się wieczorem i wtedy ogłaszano całodzienny wynik. Na ten wynik czekało na kurytarzu kilkudziesięciu uczniów, a to niemal wszyscy koledzy i uczniowie z wyższych klas. Przewodniczył maturze inspektor szkolny Samolewicz, znany autor gramatyki łacińskiej i podręczników do nauki łaciny. Przy maturze niemal codziennie był któryś ze zdających kozłem ofiarnym. W pierwszym dniu padł kolega Broder. W drugim dniu siadał do matury mieszkający razem ze mną kolega Golonka. Dostał poprawkę z łaciny, to znaczy musiał po ferjach poddać się ponownemu egzaminowi z łaciny przy utworzonych na ten cel komisjach we Lwowie lub Krakowie. Biedny Golonka bardzo się tem zmartwił i czuł się dotkniętym, bo twierdził, że nieźle łacinę odpowiadał. Nazajutrz poszedł do profesora Matwija, który go właśnie przy maturze z łaciny pytał, aby się z nim podzielić swoim smutkiem i prosić o radę, czego ma się dalej uczyć. Poszedł zmartwiony a powrócił z jasnem obliczem. Profesor uspokoił go zupełnie i pożyczył mu kilka podręczników na wakacje. Przyznał mu profesor rację, że łacinę jakotako odpowiadał, ale z całości egzaminu wynikało, że jest uczniem słabszym od innych, więc nie można go było na równi postawić z uczniami dobrymi, dlatego przeznaczono go do poprawki. Dlaczegoż właśnie z łaciny – zagadnął Golonka! „Dziękuj Bogu – odparł profesor – że masz poprawkę z łaciny, bo z nią przy poprawce dasz sobie radę, źleby było dla ciebie, gdybyś dostał poprawkę z przedmiotu, któregobyś nie mógł nad=

robić. Golonka już nazajutrz po maturze zaczął się znów uczyć i siedzieć nocami. Pamiętam, że najpierw studjował Cicerona.

Wreszcie nadszedł 8^my^ czerwiec 1892, dzień mojej matury. Była to druga część matury, przerwana Zielonemi Świętami. Na tę drugą część wypisał dyrektor osobne ogłoszenie z porządkiem terminów. Po maturze zabrałem owo ogłoszenie na pamiątkę, gdy je tercjan Franciszek z za kratek wyjmował. Zabiło mi raźnie serce, gdym naocznie zobaczył oznaczenie dnia i godziny mojej ostatecznej rozprawy na terenie szkolnym. Poprzedniego wieczora mało już się mogłem uczyć, przeglądałem tylko to i owo, koledzy mię uspakajali, a ja zważając wynik moich poprzedników, tuszyłem że zdam. Ułatwiało mi zaś maturę uwolnienie od zdawania historji. Kto miał w klasie od V do VIII z historji przynajmniej połowę not dobrych a połowę bardzo dobrych, nie zdawał historji przy maturze. Historję więc tylko przekartkowałem, by w razie polskiego lub niemieckiego zadania na temat historyczny, nie zagrzebać się. Dnia 8 czerwca 1892, zgodnie z przyjętym zwyczajem ubrałem się odświętnie w czarne ubranie i o godzinie 8 rano stawiłem się wraz z pięciu innymi kolegami do egzaminu. Odszedłem jednak zaraz do domu, bo przeznaczono mię (po alfabecie) do trójki popołudniowej. Zszedłem co rychlej ścieżyną na ul. Oracką ku domowi i tu kombinując, coby mię mogli pytać przeglądałem to i owo, utrwalając się w szczegółach.

I oto nadeszła decydująca chwila. Poszedłem znów do gimnazjum a po drodze zdawało mi się, że w tym chaosie przedmiotów niczego już nie umiem. Odbywała się matura w naszej VIII klasie (drugie piętro, kurytarz od miasta). Salę uprzątnięto z ławek,

Ustnemu egzaminowi dojrzałości poddadzą się

dnia 8. czerwca 1892: 1. Nowak Józef
2. Nowak Stanisław
3. Olszowy Józef
4. Ostrowski Maryan
5. Osuchowski Ludwik
6. Piekarczyk Franciszek

dnia 9. czerwca " 1. Stokłosa Stanisław
2. Szczudło Stanisław
3. Tenczyn Emil
4. Wawrowski Józef
5. Wilkowicz Józef
6. Jaworski Kamil
6. Gembarzewski Stefan

dnia 10. czerwca " 1. Łomnicki Sawa
2. Baumann Stanisław.

Jeżeli się abituryent nie zgłosi do Komisyi egzaminacyjnej w terminie oznaczonym, utraci prawo do zdawania egzaminu dojrzałości.

Z Dyrekcyi c. k. gimnazyum
W Bochni dnia 6. czerwca 1892

Żukiewicz

na środku stał stół długi, nakryty zielonem suknem, zgodnie z tem, co Grudziński tyle lat naprzód zapowiadał, na stole dużo książek i papierów, pod ścianami było kilka mniejszych stoliczków z autorami klasyków i dwie tablice szkolne do matematyki. Na zawezwanie weszliśmy do sali w trójkę: ja, Osuchowski i Piekarczyk. Zaczęto się pytanie od łaciny. Dodam, że filologii nie lubiłem i nie cieszyłem się w niej wielkimi sukcesami, natomiast oddawałem się ze zamiłowaniem nauce historji, a całkiem pewnym czułem się w matematyce i fizyce. Otóż z łaciny dostałem do tłumaczenia dość łatwego autora Salustjusza. Tłumaczenie szło jakotako, aż natknąłem na pospolity zresztą wyraz „avaritia". Przetłumaczyłem go: skąpstwo, jednak inspektor zareagował, że nietrafnie. Poczułem się skonsternowanym, bo wydawało mi się, że nie jest inaczej. Stojący pod oknem za plecami inspektora profesor Tota począł mi ruchem ust dawać do poznania, jak mam to przetłumaczyć, ale nie mogłem wyrozumieć, co on mnie chce powiedzieć. Wreszcie sam inspektor sprostował, że ma być: chciwość. Po ukończeniu tłumaczenia pytał mię dość długo inspektor z literatury rzymskiej, a z każdego jego odezwania się odczuwałem życzliwość. Następnie przyszła greka, moja najsłabsza strona. Dyrektor Żukiewicz dał mi również łatwego autora do przekładu, bo Ksenofonta. Tłumaczenie szło ciężko, jak po grudzie, na szczęście inspektor nie mieszał się do niczego przez uprzejmość względem osoby dyrektora, pozo-

stawiając mu swobodę w pytaniu i ocenie. Jak było, tak było, jednak odetchnąłem po tych dwóch przedmiotach, stanowiących dla mnie piętę Achillesa. Gdy to przeszło, nabrałem pewności siebie, bo poza filologią innych przedmiotów się nie obawiałem. Ale niestety, nie na tem był koniec moich ciężkich przejść. Nastąpiła matematyka, którą odpowiedziałem bez zarzutu, owszem nawet z dużem powodzeniem. Potem fizyka, w której czułem się całkiem pewny, los jednak jest zwodniczy. Dostałem pierwsze pytanie i to wypadło dobrze, drugie pytanie z optyki także odpowiedziałem pomyślnie aż natknąłem na pytanie, jaka jest chyżość światła. Nie pamiętałem zupełnie dokładnie tej liczby, podałem inną która mi się wydała odpowiednią, a była nieco niższą od prawidłowej. Profesor Serwin zaprzeczył – nastała cisza. Przykra to bardzo cisza, bo nie wypadało sypać domyślanemi cyframi, milczenie zaś moje oznaczało, że nie umiem. Dopiero po jakiejś chwili profesor wymienił liczbę. Na świadectwie otrzymałem z fizyki stopień dostateczny, choć w duszy spodziewałem się zgoła czego innego. Dalszym przedmiotem było polskie. Byłem przeświadczony, że wogóle z polskiego będę uwolniony, jednak zawezwano mię do stołu, usiadłem więc ze zupełnym spokojem. Pierwsze pytanie poszło dobrze, drugie opierało o znaczeniu wiersza „Reduta Ordona". Wiedziałem o nim tyle, ile wie każdy uczeń, tj. treść i genezę, ale do dnia dzisiejszego nie wiem, by on miał jakieś szczególniejsze znaczenie w literaturze. Pytanie więc to ponad moje spodziewanie wypadło niekorzystnie. Dalsze i ostatnie pytanie odpowiedziałem już z kwaśną miną. Przez całe gim=

nazjum miałem z polskiego jak najlepsze klasy, czułem się dobrze obznajomionym z literaturą polską w zakresie nauki gimnazjalnej i z zamiłowaniem traktowałem ten przedmiot, niestety na świadectwie maturycznem otrzymałem z polskiego notę dostateczną, a więc takąsamą, jak uczeń, który pot kroplisty ocierał z czoła, zanim jedno zdanie napisał, i takąsamą jak uczeń, który bardzo ciężko mózgiem robił, zanim odróżnił trzech ludzi z literatury polskiej o nazwiskach zbliżonych a to: Krasickiego, Krasińskiego i Kraszewskiego. Poszliśmy teraz pod jeden strychulec.

Ostatnim moim przedmiotem było niemieckie. Miałem silny respekt przed tym trudnym działem nauki, a choć moje przygotowania z tego przedmiotu wydawały mi się dokładne, jednak potknąć się tu bardzo było łatwo. Zasiedliśmy więc z Grudzińskim „beim grünen Tisch." Profesor zadał mi pytanie z Lessinga z Laokoona i z Winkelmana o plastyce i o pojęciu Reiz in Bewegung. Odpowiedź moja wypadła bez zarzutu, jedno tylko strzeliłem głupstwo, a to opisując czyny jakiegoś starożytnego bohatera, powiedziałem „mit Säbel in der Hand" zamiast „mit dem Schwerte," co profesor sprostował. Prócz tego jednego pytania nie dostałem już innego, a na świadectwie otrzymałem notę dobrą, * a więc lepszą niż z polskiego, co podnoszę tu jako ironię losu. Po ukończeniu niemieckiego, jako mojego ostatniego przedmiotu, czułem że wielki ciężar spadł mi z duszy, cośpieszniej więc wyszedłem na korytarz, pełny kolegów i znajomych studentów. Posypały się setne pytania

na temat przebiegu egzaminu i na rodzaj pytań. Rozgadałem się swobodnie, miałem bowiem dużo czasu, bo Osuchowski i Piekarczyk zdawali niemieckie a potem mieli zdawać historję, od zdawania której ja byłem wolny. Po jakimś kwadransie wyszedł ze sali egzaminacyjnej profesor Serwin na korytarz i donośnym głosem zawołał: Ostrowski do historji. Mróz mi przeszedł od stóp do głów i zdawało mi się, że mi włosy na głowie dębem stanęły. Sądziłem w pierwszej chwili, że mylnie mię poinformowano, jakobym był z historji uwolniony, jakkolwiek profesor mię o tem wyraźnie zapewnił. Ano, widocznie jest inaczej, potrzeba będzie zdawać prawie bez przygotowania. Wszedłem więc do sali i usiadłem na swojem krześle, polecając duszę moją Bogu, bo w wielkiej była trwodze. Wtem profesor Waśkowski, siedzący przy rogu stołu powstał i zwróciwszy się do przewodniczącego oznajmił cedzącym go przyciszonym, powolnym głosem: Ostrowski jest z historji zwolniony, więc może odejść. Potwierdził to dyrektor, inspektor skinął głową, mnie błogo się w piersiach zrobiło, wyszedłem znowu na korytarz, ochłaniając powoli z przerażenia. Za jakie 20–30 minut po mnie wyszli także obaj wyegzaminowani już z historji koledzy, za nimi wyszli profesorowie nie należący do komisji — w sali zaczęła się narada nad naszym losem, a dla nas męczące oczekiwanie. Przyszły mi na myśl wszystkie moje słabe punkty matury, obawiałem się jakiegoś niepowodzenia z greki, ale mię profesor Szklarz uspokajał, że wszystko będzie dobrze, bym nie niepokoił niepotrzebnie. Ale niepokój

nurtował we mnie ciągle. Wreszcie po jakiej dobrej pół godzinie wezwał nas gospodarz klasy Sorwin do sali. Stanęło nas rzędem sześciu do wysłuszenia wyroku za ośmioletnie mozoły. Inspektor wstał z poza stołu, począł szukać jakiejś kartki pomiędzy licznemi papierami, a gdy ją znalazł odezwał się: Piekarczyk przeznaczony do egzaminu poprawczego z matematyki, wszystkich innych uznała Komisja za dojrzałych. Pokłoniliśmy się po studencku, przekroczyłem próg mojej klasy jako człowiek wolny jak ptak, szczęśliwy nad wyraz, z tryumfem w duszy. Na kurytarzu gratulacje, powinszowania, uściski i ucałowania. Była to środa, około godziny ósmej wieczór, deszcz lał olbrzymi a błyskawice raz poraz jaśniały na niebie. Przeczekaliśmy nieco na dole we westybulu, a gdy się uspokoiło poszedłem do miasta z kilku znajomymi kupić papier listowy a potem ulicą Białą ruszyliśmy do domu na ul. Świętokrzyską. Tu znów z Gondkami podzieliłem swoją radość i usnąłem spokojny i szczęśliwy po tylu trudach, mozołach i znojnych latach. A był to najbardziej kojący sen, jakiego zaznałem w całem życiu.

Nazajutrz był dzień piękny, jasny, ciepły. Bochnia tonęła w zieleni niemal wiosennej. Udałem się przedewszystkiem na pocztę i zatelegrafowałem rodzicom pożądaną wiadomość, poczem napisałem kilka listów do krewnych i przyjaciół. Obudziła się nawet we mnie pewna próżność młodzieńcza, bo zaraz dałem sobie wydrukować bilety wizytowe z napisem „słuchacz praw," z których jeden dotąd się zachował. Nie mogłem wprost opanować mojej

radości, zdawało mi się, że wszyscy i wszystko tę radość podziela, poczułem się wolnym, niezależnym od nikogo, bez żadnych trosk i obaw. Abym to dokładniej określił, to wspomnę, że właściwie jedyną moją ówczesną zgryzotą życiową była nieprawidłowość w druku nowych biletów, bo w słowie słuchacz literę Z wydrukowano grubszą od innych czcionek. Z kolegami, którzy przeszli szczęśliwie maturę spotykałem się odtąd na plantach. Musiałem w Bochni zostać do końca miesiąca, bo miałem z końcem czerwca 1892 stawać w Krakowie do poboru wojskowego. Miałem więc dość czasu rozkoszować się swobodą w Bochni. Były to najszczęśliwsze dnie mojego życia. Zdawało mi się, że odtąd szczęście będzie moim trwałym udziałem. Gdy przesiadując w wesołym rozgwarze z kolegami na plantach widziałem innych uczniów, wracających ze szkoły do domu ze stosem książek pod pachą a z troską na czole, porównywałem moją wolność z ich niewolą i wtedy szczęście moje pomnażało się w duszy stokrotnie.

Maryan Ostrowski
słuchacz praw.

Po ukończonej maturze odbyła się dnia 11. czerwca 1892 w gimnazjum uroczystość wręczenia świadectw. Rano byliśmy na wspólnej mszy w kościele farnym. Profesorowie, goście i abiturjenci

zasiedli w stallach koło wielkiego ołtarza. Ja siedziałem obok burmistrza Serafińskiego (we wyższym rzędzie, na drugiem miejscu po stronie epistoły). Po mszy zapytał mię Serafiński przyciszonym głosem, czy Bauman (syn bocheńskiego cukiernika) zdał. Odpowiedziałem, że nie, na co Serafiński jęknął z ubolewaniem. Po mszy uroczyste Te deum, poczem powróciliśmy do głównej sali w gimnazjum (na drugiem piętrze, narożnej od strony miasta). Tu przemówił inspektor Samolewicz, potem odpowiedział kolega nasz Jachna (jako zawsze chłop śmiały i wygadany) wreszcie dyrektor, potem muzyka gimnazjalna pod kierownictwem kapelmistrza Langera huknęła hymn państwowy „Boże wspieraj, Boże ochroń!" Chciał jeszcze przemawiać burmistrz Serafiński, ale dyrektor Żułkiewicz zakonkludował, że po hymnie cesarskim już przemawiać nie można. Gospodarz klasy Serwin wywoływał nas jednego po drugim, dyrektor zaś dawał każdemu z nas na pamiątkę książeczkę o naśladowaniu życia Chrystusa z dedykacją „tolle, lege. Od przyjaciół młodzieży," zarazem wręczał świadectwo maturyczne.

Po tej uroczystości rozeszliśmy się do domów, aby się już na tym padole nigdy razem w tym zespole nie zebrać. Odtąd także rozeszły się drogi naszego życia na zawsze. Miną wieki i świat minie, a w dawnem gronie niestety nigdy się już nie zejdziemy. Chyba w zaświatach.

*

Przy poborze zwolniono mię od służby wojskowej, poczem wyjechałem na ferje do Jana Krzysiaka, studenta o jedną klasę niższego, z którym żyłem w przyjaźni. Udaliśmy się do jego ro-

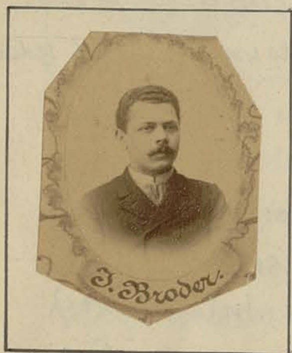
dziny do Cichego koło Czarnego Dunajca. Ojciec studenta Wojciech Krzysiak miał niemal folwark, był znacznym i zamożnym góralem, kandydował nawet na posła do sejmu, ale hr. Raczyński go przemógł. Chodziliśmy z Jasiem Krzysiakiem często do Czarnego Dunajca, miłego miasteczka, zresztą czas nam płynął na błogim spoczynku, łowieniu ryb, wycieczkach itp. Jeździliśmy raz do Nowego Targu na jarmark, potem na przeciąg jakich dwu tygodni pojechaliśmy do doliny Kościeliskiej na sianokosy, bo miał Krzysiak nieopodal „bramy Kantaka" piękną łąkę i szałas. Mieszkaliśmy w tym szałasie, myliśmy się co rana w zimnym potoku, gotowali strawę przy watrze, robili wycieczki po całej dolinie Kościeliskiej i sąsiednich górach aż do Czerwonych Wierchów, jeździliśmy do Zakopanego, jednem słowem czas mi mijał wśród pięknego urozmaicenia jakby wśród miłego festynu na upamiętnienie pozbycia się mozołów szkolnych.

Wreszcie odjechałem na wschód do moich stron rodzinnych. Po drodze wstąpiłem do Bursztyna do mego wuja Czarneckiego, dyrektora szkoły powszechnej, potem udałem się do Załucza nad Zbruczem do rodziców, abyśmy się wspólnie ~~się~~ cieszyli tym pożądanym i od ośmiu lat oczekiwanym sukcesem. Matka wyjechała po mnie na kolej do Kozpyczyniec, a gdy wieczorem wysiadłem i przechodziłem z podróżnymi mimo, nie poznała mię, tak byłem maturą i wycieczkami tatrzańskiemi wymizerowany. Ale też to mię uratowało od austrjackiej służby wojskowej, uciążliwej, mozolnej i często bardzo przykrej.

Na zakończenie moich wspomnień o bocheńskich czasach szkolnych wymienię moich kolegów szkolnych z ósmej klasy i podam, co wiem o ich losach po koniec roku 1928 tj. jakie były ich koleje życia w ciągu dalszych 36 lat po maturze.

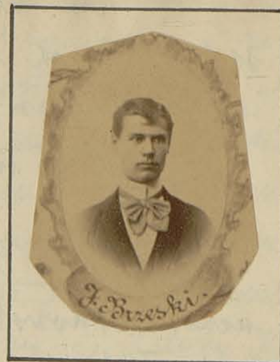


1. Bajorek Józef, dawniej uczeń tarnowski, o poważnem niemal melancholijnem obliczu i o płowej głowie, skromny, nadzwyczaj cichy, pilny, uprzejmy i uczynny kolega. Był sędzią we wschodniej Małopolsce a to w Nadwórnie, Stryju i Lwowie. Chcąc niechcąc stał się historycznym człowiekiem w Bochni, gdyż od początku istnienia tego miasta, on pierwszy w niem złożył egzamin dojrzałości, gdyż myśmy byli w. 1892 wogóle pierwszymi maturzystami gimnazjum bocheńskiego.

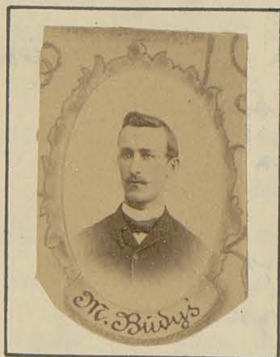


2. Broder Izydor, syn szynkarza z Bochni, zaokrąglonych rysów, brunet, powolnie a wyraźnie i z naciskiem mówiący, przepadł niestety u nas przy maturze, po późniejszem zaś prawidłowem ukończeniu studjów był urzędnikiem skarbowym. Mieszkał w rynku niemal naprzeciw frontu pomnika Kazimierza Wielkiego.

3. Brzeski Jan, syn adwokata i właściciela ziemskiego z Mielca, smukły a wysoki jakby świerk tatrzański, zdolny i bystry umysł, skłonny do fantazji wybujałej, czasem ryzykownej. Był lekarzem wojskowym, potem jednak opuścił służbę wojskową i wykonywał wolną praktykę lekarsko-dentystyczną najpierw we Lwowie, potem na Pomorzu (prawdopodobnie w Bydgoszczy).



4. Budyś Michał z Kolanowa, później zmienił swoje rodowe nazwisko na Bodyński. Był uczniem cichym, punktualnym, zapracowanym i starannym. Stanowił niemal ideał ucznia według wymagań dyrektora Żułkiewicza. Codziennie chodził piechotą do Kolanowa tam i napowrót ze szkoły, co zwłaszcza w zimie było wielce uciążliwe. Po ukończeniu praw wstąpił do sądownictwa, był sędzią i wiceprezesem sądu okręgowego w Tarnowie.

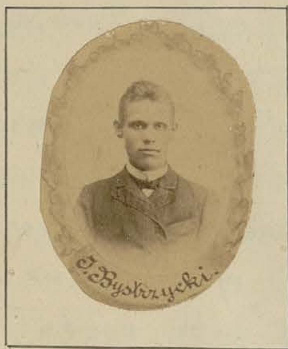


5. Bujak Józef, syn nauczyciela ze Starego Wiśnicza. Umysł zdolny, praktyczny, przyjacielski. Jako student był zawsze wesoły i swobodny, a miał dowcip figlarny i subtelny. Początkowo chodził na wydział prawniczy we Lwowie i wtedy często razem się spotykaliśmy, później jednak przeszedł na teologię, zmieniwszy nazwisko



na Bodarski. Chociaż następnie był księdzem we wschodniej Galicji, gdzie także i ja przebywałem, nie spotkałem go nigdy. Raz tylko przed około dwudziestu laty czytałem, że ks. Bodarski był wikarym w Kochaninie.

6. Bystrzycki Jan, rodowity bochnianin. Dom jego rodziców był na wzgórzu nad miastem, niedaleko szybu Floris (od strony ku kolei, patrząc od szybu). Jako uczeń był zdolnym, gorliwym, ambitnym i poważnym. Studjował ze zamiłowaniem literaturę polską i był najlepszym polonistą w całem naszem gimnazjum. To jego przejęcie się pięknem literatury ojczystej zbliżyło go do naszego profesora języka polskiego Matusiaka, tak iż z czasem także poza szkołą zżyli się obaj i zaprzyjaźnili. Po ukończeniu wydziału filozoficznego w Uniwersytecie Krakowskim został profesorem języka i literatury polskiej i uczył go w Wyższej Szkole Przemysłowej w Krakowie, a za swoją owocną pracę zjednał sobie uznanie społeczeństwa. Stale mieszkał w Krakowie (ul. Karmelicka 1.), na wakacje zaś corocznie wyjeżdżał do swojej własnej willi w Lubniu (pod Myślenicami), zbudowanej w uroczej podkarpackiej okolicy. W roku ~~19~~ 1928 bawiłem w Kra=

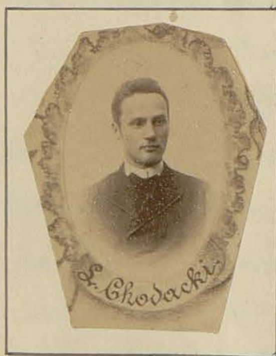


kowie prawie cały październik, lustrując z ramienia Ministerstwa sprawiedliwości wszystkie sądy krakowskie. Wtedy odszukałem tego kochanego i subtelnego kolegę. Po 36cio letniem niewidzeniu się serdecznie się uścisnęliśmy i patrzyli na siebie zdumieni, jakbyśmy się



Willa profesora Jana Bystrzyckiego w Lubniu koło Myślenic.

na drugim świecie spotkali, bo oczywiście każdy z nas miał w duszy obraz drugiego w tej postaci, jak go widział na ławie szkolnej. A tymczasem rylec czasu wiele nas przez 36 lat zmienił. Mieliśmy dużo tematu do opowiadania a Bystrzycki szczerze i po bratersku mię u siebie ugościł.



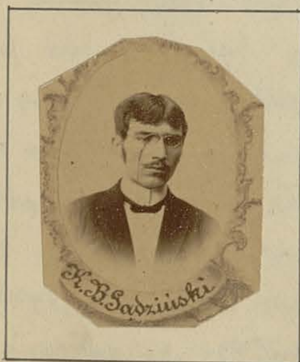
7. Chodacki Ludwik pochodził z pod słomianej strzechy z nieznanej mi miejscowości, ale sądzę że z okolic Bochni. Brunet, barczysty i silny „wsiowo" jowialny. Mieszkał tu obok gimnazjum w pierwszym narożnym domu od strony miasta. Dom ten miał nad werandą pokoik na poddaszu

(później skasowany), który był stancją studencką. W nim jak w ulu roiło się od braci studenckiej, nad którą królował Chodacki, jako najstarszy klasą i najsilniejszy w muskułach. Zdolności średnich, nie zdołał przygotować się do matury i do niej nie zasiadał. Wyemigrował do Ameryki, tam został księdzem i powodziło mu się znakomicie. Co kilka lat, obładowany dolarami wracał na krótki wywczas do ojczystego sioła, podziwiany przez ziomków, pożądany przez familjantów. Ci ostatni rzetelnie powtarzali starodawne przysłowie: kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie zaszkodzi.



Widoczek wzgórza, na którem pobudowano gimnazjum. Stąd było ono widoczne na całą okolicę i nie zakrywały go drzewa, jak to jest obecnie. Na prawo od budynku gimnazjalnego widać dom parterowy z nadbudówką na poddaszu, gdzie mieszkał nasz kolega Ludwik Chodacki. Widoczek pochodzi z r. 1890.

8. <u>Gądziński Karol</u> poprzednio student tarnowski, pochodził z powiatu mościckiego. Młodość biła zeń zapałem, pieśnią i fantazją. Umysł samodzielny, niezależny, czasem hardy. Lubiał przeciwstawić się zdaniu ogólnemu i mieć pogląd odrębny. Po ukończeniu praw wstąpił do służby policyjnej i prawie cały czas urzędowania spędził we Lwowie w tamtejszej Dyrekcji Policji. Obecnie,



po przekształceniu i przeorganizowaniu dawnej Dyrekcji Policji na Starostwo Grodowe, przeniósł się do Województwa lwowskiego, gdzie zajmuje poważne stanowisko. (Obok dołączona zachowana z czasów szkolnych karteczka Gądzińskiego z maja 1892, potwierdzająca jego wolnomyślne usposobienie).

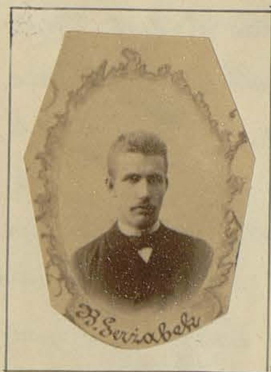
[Klasa] składa się na powinszowanie Katechecie – więc proszono mię bym Cię prosił do współudziału trzydziestu centami. Resztę sam wiesz.

Mariankowski

Mogę ~~dajesz~~ Dać ja umie Wolno mi z mojej sposobem myślenia to się nie zgadza

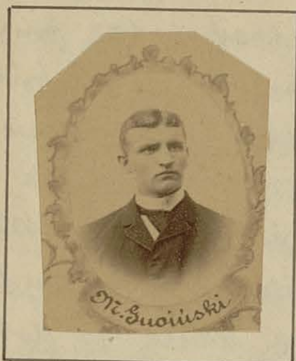
9. Gembarzewski Stefan, prywatysta, prawie go nie znałem, przy maturze dostał poprawkę, którą w Krakowie zdał. O dalszych kolejach jego życia nie umiem niczego powiedzieć.

10. Gerzabek Bolesław, syn zacnej rodziny w Bochni osiadłej. Matka była wdową, brat inżynierem, siostra nauczycielką. Bywałem czasami w ich gościnnym domu. Mieszkał niedaleko kościoła przy ul. Kazimierza Wielkiego.



Kolega Bolesław doskonale zbudowany, nieco ospą po twarzy poznaczony był ogromnie pilnym i obowiązkowym i serdecznym towarzyszem. Poświęcił się zawodowi lekarskiemu, w szczególności zaś chirurgii. Był dyrektorem szpitala powiatowego w Husiatynie, następnie wyuczył się języka angielskiego i przeniósł się do Ameryki, gdzie – jak nas słuchy doszły – doznał znakomitego powodzenia.

11. Gnoiński Michał z Wiśnicza nowego, nasz najlepszy i pierwszy uczeń. Siedział w klasie przedemną w poprzedniej ławce. Zdolny i pilny, sumienny i pracowity, wesołego usposobienia, szczerze koleżański, o szlachetnej duszy. Maturę zdał z odznaczeniem, poświęcił się zawodowi lekarskiemu. Była uzasadniona nadzieja, że Gnoiński poświęci się dalszej pracy naukowej i kiedyś zasiądzie na katedrze uniwersyteckiej, ale przypadek zrządził, że oddał się praktyce lekarskiej. Oto podczas ferji zastępował lekarza w Limanowej, a gdy to zastępstwo się przedłużyło i opróżniło miejsce, Gnoiński nie miał już ochoty wracać do Krakowa lecz zachęcony przez tamtejsze społeczeństwo osiadł w Limanowej i jak w szkole był najlepszym uczniem, tak w praktycznym zawodzie był doskonałym lekarzem i dobrodziejem ludności. Gdy po latach trzydziestu od czasu matury odniosłem się do niego pisemnie i otrzymałem list z odpowiedzią, porwadziła mię ona do łez, bo pochodziła ze szczerego serca kochanego przyjaciela i najlepszego kolegi.



12. Golonka Józef, syn młynarza z limanowskiego powiatu. O losach tego człowieka możnaby libry papieru napisać, tak one były dziwne i niemal fantastyczne. Od dziecinnych lat wcale nie mówił, co było zgryzotą jego



matki, obarczonej po śmierci męża zarządem młyna i wychowaniem dzieci. Mozolnie się starała przynajmniej kilka słów go nauczyć mówić, wszystkie usiłowania jednak były daremne, chłopak rozumiał, co się do niego mówiło, jednak żadną miarą nie mógł przemówić słowa. Oczywiście pacierza nie mówił, umiał tylko się przeżegnać, bez słów. Pewnego wieczora poszedł spać i mimo wezwania matki nie przeżegnał się. Matka ostro nakazała chłopcu przeżegnać się, on jednak nie tylko nie chciał tego uczynić, lecz jeszcze w złości dziecięcej uderzył matkę ręką. Wtedy matka rozgniewana zbiła go dotkliwie, chłopiec popadł w lament i w iście cudowny sposób właśnie odtąd począł mówić. Miał wówczas lat pięć. Dalszy jego rozwój był już normalny. Brat matki Jan Nowak był profesorem gimnazjalnym, na jego zachętę oddano chłopca do szkoły. Był zdolności średnich, ale namagał ogromną pilnością, dochodzącą do granic zaparcia się siebie samego. Gdyśmy byli ~~pewnego~~ w VIII klasie, wyszedłem pewnego razu w nocy na podwórze i z dalekiego ogrodu usłyszałem wśród ciszy deklamację: „Kiedy zaraza na Litwę uderzyć, jej przyjście wieszcza odgadnie źrenica..." itd. – To Golonka zerwał się w nocy z łóżka, poszedł na ogród i chodząc po ścieżkach pomiędzy grządkami powtarzał deklamację na jutrzejszą lekcję. Niezliczoną ilość nocy ten kolega przesiedział nad książką i nikt z nas nie przewyższył go w pilności i pracy. Jak ~~z~~ cudownie odzyskał mowę, tak znów cudownie ~~odzyskał mowę~~ uszedł śmierci przy następującem zdarzeniu. Gdy był w V klasie i mieszkał przy

ulicy Oraczkiej (tuż u wylotu ul. Świętokrzyskiej) u Śliwińskich, zakochał się na zabój w córce swego gospodarza, choć ona była o jakie sześć lat od niego starszą. Golonka ginął z tęsknoty za nią i ból mu targał duszę na myśl, że może nie zjednać jej wzajemności. Kiedy do tej rozterki duchowej przyłączyło się jakieś nieporozumienie szkolne, Golonka postanowił zginąć śmiercią samobójczą. Długo myślał nad tem, w jakiby sposób przeciąć to pasmo gorzkiego życia,



Józef Golonka we wieku lat 28 (r. 1899).

wreszcie uczynił to tak. Kupił za centa dwie igły, złamał je we dwoje i tępymi końcami kierując ku krtani, połknął je. Było to podczas małych feryj na początku lutego 1889. Gdy to zrobił, oblał go zimny pot na myśl, co uczynił! Zataił przed wszystkimi swój szalony postępek i czekał na śmierć męczeńską. Po pewnym czasie uczuł ból w żołądku, który bądź ustawał, bądź się wzmagał. Na szczęście nie było nauki szkolnej, przetrwał w piekielnym strachu kilka dni, jednak śmierć nie nadchodziła, bole wciąż się powtarzały, lecz wnet ustawały. Po wznowieniu nowego kursu Golonka poszedł do szkoły

i sam nie wiedział jak się stało, że go igły nie zabiły. Przy większem jednak oforsowaniu się odczuwał ból w kilku miejscach jamy brzusznej. Był studentem ubogim i ciężko pracował lekcjami na utrzymanie. Przez rok 1891/92 mieszkaliśmy razem. Był nieco oryginalnym jeszcze z innego względu. Czasami, może raz na rok, gdy przy jakiejś niezwykłej okoliczności musiał wypić kieliszek wódki, przeprawiało go to potem niemal o postradanie zmysłów. Rozbierał się, warjował, prosił aby go bić, siadał na ziemię itp. Po przespaniu się nazajutrz nie pamiętał zgoła niczego i ze zaciekawieniem słuchał opowiadania o swem wczorajszem zachowaniu się, martwiąc się, czy go nie widział w tem niezwykłem usposobieniu jaki młodszy student. Był młodzieńcem o okrągłej rumianej twarzy, płowej, nabok uczesanej czuprynie, o dużych, błękitnych, rozmarzonych oczach, podobał się kobietom, zwłaszcza że z całego jego zachowania się biła melancholja i czułość. Był dla mnie najlepszym kolegą i wypróbowanym przyjacielem. Przy maturze, jak już pisałem, dostał poprawkę z greki, którą w Krakowie zdał. Najpierw obrał zawód pocztowy i był urzędnikiem w Kałuszu i we Lwowie. Ukończył jednak przytem prawa, przeniósł się do skarbowości i był radcą skarbowym w Samborze, potem w Cieszynie. We Lwowie mieszkaliśmy razem przy ul. Cichej 5 u Nowakowskich, z których córką Lucją Golonka się ożenił i miał kilkoro dzieci. Praca zawodowa, poniewierka wojenna i zmartwienia rodzinne podkopały jego zdrowie znacznie, tak iż w r. 1928 przeszedł na emeryturę i osiadł z rodziną w Krakowie.

479



13. Góra Karol syn dyrektora Kasy oszczędności w Bochni. Zdolny, cięty, stanowczy i gorliwy w obowiązkach. Mówił z naciskiem i przekonaniem. Jako kolega serdeczny, solidarny i ofiarny. Po maturze niejeden dzień przesiedziałem z nim, z Tenczynem i Neusserem na plantach bocheńskich. Ogromną pracowitością, wybitnemi zdolnościami i nieskazitelnym charakterem wnet się wybił na czoło wśród pracowników Skarbowości Państwowej, której poświęcił się po ukończeniu praw. Około r. 1921 został prezesem Białostockiej Izby Skarbowej. Po przesunięciach ministerjalnych został w r. 1927 Podsekretarzem Stanu w Ministerstwie Skarbu (wiceministrem) – a następnie prezesem warszawskiej Izby Skarbowej. Zawsze i wszędzie ceniono jego niezmierną dobroć, uczynność, wyrozumiałość i ludzkie serce.



Nowy podsekretarz stanu w min. skarbu.

W dn. 26 b. m. rozpoczął urzędowanie nowomianowany podsekretarz stanu w ministerstwie skarbu, p. Góra, Małopolanin z pochodzenia, Krakowianin ze studjów i pierwszej praktyki skarbowej.



14. Gurgul Marceljan, nieznanego mi pochodzenia, niskiego wzrostu, przysadkowaty, twarz miał ospą pooraną, czynił wrażenie połamanego przez naturę. Ale to było tylko wrażenie, bo to był młodzieniec pochopny do miłości gorącej. Mieszkał u jakiejś wdowy mieszczanki, a opowiadano sobie powszechnie, że łączyła ich głębsza miłość. Został księdzem, ale umarł wcześnie na gruźlicę.



15. Hebda Karol, typ średniowiecznego zakonnika, pochodził z okolic Dobczyc, smukłej postaci, dziecinnej naiwności, pilny przykładnie, ogromnie pobożny, bojący się wszystkiego i wszystkich, dlategoteż do matury nie miał odwagi zasiąść, jakkolwiek pewnie byłby ją zdał. Został księdzem i jako wikary w Dobczycach życie zakończył.



16 Jachna Jan, poprzednio uczeń tarnowski, w towarzystwie nieoceniony, delikatny w obejściu, stateczny w pracy, był mówcą klasowym we wszystkich okolicznościach. Oddał się zawodowi sędziowskiemu i był radcą sądowym w Tarnowie.



17. Jaworski Kamil, przystojny młodzieniec, cichy i pracowity, chory na serce, zmarł młodo jako sędzia z okręgu apelacji krakowskiej.

18. Kalinowski Władysław, syn poborcy podatkowego z Brzeska, urodziwy brunet, zawsze starannie ubrany, żył w ścisłej przyjaźni z Górą, Jeneczynem i Nensserem. Jako kolega miły we współżyciu, o subtelnym rysach charakteru i szlachetnem sercu. Po studiach był urzędnikiem Krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń (tzw. Florjanki). Przez kilka lat przed wojną pozostawałem z nim w korespondencji, a zawsze z jego listów przebijała się czuła, dobra, zacna dusza. Wojna światowa przecięła pasmo jego życia. Podczas nawały rosyjskiej na Galicję w jesieni 1914, gdy kraj był z wojsk niemal ogołocony i nieliczne oddziały słabo stawiały opór zbliżającym się już do Krakowa rzeszom wojsk rosyjskich, Kalinowski na czele swej roty piechoty stawiał czoło przeważającym siłom, lecz został właśnie pod rodzinnem Brzeskiem ciężko rannym, leczył się następnie w Krakowie, ale już nie mógł odzyskać dawnego zdrowia, ostatecznie uległ chorobie i zmarł około r. 1918, pozostawiając żonę i córkę. Dołączam (na drugiej stronie) jego kartkę z fotografią pisaną do mnie do Czortkowa około roku 1912.





Kochany Maryanie!
Wybacz opóźnienie w odpowiedzi.
Chciałem Ci bowiem przesłać mój
konterfekt z ostatnich czasów, —
lecz tak jestem zajęty, że nie mam
kiedy iść do fotografa. Na razie
więc przesyłam Ci fotografię z przed
pięciu lat. Bardzo Ci wdzięczny
jestem za pamięć i tak miłą
niespodziankę. Trochę mi żal
Twoich podkręconych wąsów, którymi
/.

Fotografia Władysława Kalinowskiego z r. około 1910.

<u>19. Kotfis Błażej,</u> nieznanego mi pochodzenia, jako student uczył się zapalczywie każdej lekcji. Był czegoś ciągle zakłopotany, w bliższy kontakt z Kolegami nie wchodził, gdy mówił, zdawało się, jakby się odgryzał od napaści. Ciągle gdzieś szedł pospiesznie a z oblicza zdawało się wynikać, że ma jakieś liczne zgryzoty, których w istocie nie miał. Podczas lekcji szkolnych patrzył przed siebie



kamiennym wzrokiem. Nieraz dyrektor Żułkiewicz wołał do niego: Kotfis, Kotfis, nie zamyślaj się głupio! I Żułkiewicz chyba nie przypuszczał, że kiedyś tento Kotfis, jedyny z nas wszystkich będzie takimsamym dyrektorem, jakim za naszych czasów był Żułkiewicz. Kotfis poszedł na teologię, był katechetą gimnazjum w Dębicy a po wojnie światowej został dyrektorem tego zakładu. Chorował bardzo ciężko na jakąś wewnętrzną chorobę, poddawał się operacji i życie jego wisiało na włosku.

20. Łomnicki Sawa, prywatysta, rusin, najstarszy z nas wiekiem, exbazyljański kleryk, śpiewny, żartobliwy, pomysłowy, niezależny. Wśród studentów zwano go „Oj misiaciu”, bo najlepiej lubiał śpiewać ruską piosnkę:

Oj misiaciu, misiaczeńku,
Ne świty wikonnu,
Ino momu mylenkomu,
Jak ide do domu.

Będąc prywatystą przyjął za poradą naszego profesora Matusiaka posadę nauczyciela ludowego w Kłaju pod Bochnią. Był wielce oryginalnym i nieraz serdecznie się ubawiliśmy, gdy nam opowiadał przejścia ze swego życia. Przy maturze prosił inspektora, by mu pozwolił deklamować Demostenesa mowę z modulacją głosu i gestami. Był potem ruskim proboszczem w Sadkach niedaleko Czortkowa. Jako prokurator w Czortkowie załatwiałem sprawę, że jakiś łotr ze zemsty strzelił wieczór przez okno do pomieszkania ks. Łomnickiego i omal nie zabił dziecka ułożonego w kolebce.



21. Łopatowski Andrzej, syn gospodarza wiejskiego ze Zarytego koło Rabki. Piękny ~~uczeń p~~ chłopiec, staranny uczeń, mieszkał razem ze mną i Gołonką u Gondków na Świętokrzyskiej. Po maturze poszedł na teologię do Tarnowa, lecz – niestety – jako teolog umarł przedwcześnie, możliwie na gruźlicę.

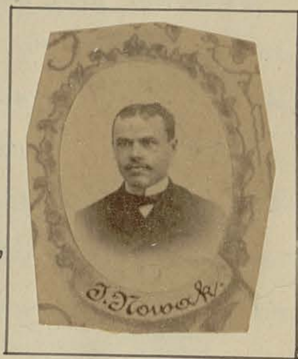
22. Nebenzahl Chaim, mojżeszowego wyznania, od ruchu po stancjach stał zdala ale solidaryzował się z klasą we wszystkich poczynaniach. Obrał zawód kupiecki, mieszkał stale w Krakowie i dobrze mu się powodziło.



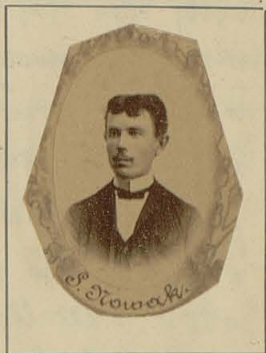
23. Neusser Antoni, syn dzierżawcy z pod Bochni. Pilny, punktualny, serdeczny kolega. Po prawach obrał zawód sędziowski a po odnowieniu Polski był prokuratorem wojskowym w Grudziądzu, zaś od r. 1922 szefem sądu okręgowego wojskowego w Poznaniu. Tam go zobaczyłem po 30 latach niewidzenia. Stosunkowo mało się zmienił i wprost młodzieńczo wyglądał. Miał własny dom w Poznaniu i tam osiadł na emeryturze.



<u>24. Nowak Józef</u>, syn włościański ze Skrzydlnej pod Limanową. Bardzo dobry uczeń i pamiętna postać w klasie. Mieszkał ze mną razem przez rok szkolny 1890/91 u Zalasiewicza przy ul. Orackiej. Wysoki, w ciało obfity, o małym wąsiku, mówiący powoli, jakby każde słowo ważył, miał tę oryginalną właściwość, że lubiał odsapnąć czy to po trudzie, czy po skończonej rozmowie, a już zawsze po skończonem pytaniu go w szkole. Koledzy żartobliwie nazywali go „Marchołtem" – od znanego tytułu dzieła Mikołaja Reja: Marchołt gruby a sprośny. Siedział tuż przedemną w poprzedniej ławce i nieraz w kłopotach pomagał mi w filologii, gdyż sam w tym dziale był bardzo biegłym. Dyrektor Żukiewicz lubiał go i często wołał po imieniu: Tłumaczże dalej Józefie. Jako kolega był serdeczny i dobry, dla kompanji byłby sobie rękę dał uciąć: Żył z lekcji, przy skromnej pomocy z domu. Nie wszystkich kolegów lubił jednakowo, miał bowiem tylko pewne koło, w którem czuł się swobodny, wesoły, umiarkowanie żartobliwy. Najchętniej lubiał śpiewać piosnkę: Czemuż ty dziewczyno, pod jaworem stoisz." Zakochał się w córce naszego gospodarza Zalasiewicza, niepokaźnej dziewczynce około 16 lat liczącej. Jakie były losy tej studenckiej miłości, nie wiem, bo tylko w VII klasie razem mieszkaliśmy, ale opowiadał mi student z tej stancji Krzysiak, że po maturze, gdy sobie Zalasiewicz z Nowakiem obaj dobrze pociągnęli kilka szklanek herbaty ze sporą dozą rumu (a Nowak to lubiał), rozczulił się Józek Nowak i wyjawił Zalasiewiczowi miłość do córki. Stu-



denci podsłuchali tylko końcowy efekt tej rozmowy, iż Zalasiewicz wciąż powtarzał: panie Józefie, miej pan litość nademną. Jak tylko Nowak na nowo zaczął mówić o miłości do córki, znów go Zalasiewicz prosił o litość, i tak było wielokrotnie. Zdaje się, że gdy rum wyszumiał z młodzieńczej głowy, wyszumiały także oświadczyny. Nowak poszedł do Tarnowa na teologię i był proboszczem wiejskim w Gnojniku pod Brzeskiem. Umarł Ks. Nowak w styczniu 1927 nagle, bawiąc w sąsiedztwie w Jasieniu na odpuście. Siedział z innymi przy kartach. Rozdano karty, Nowak je sobie ułożył i trzymał w ręce – gdy na niego przyszła kolej, by w grze wychodził, siedział nieruchomo. Sąsiad odezwał się do niego, by wychodził i spojrzał na Ks. Nowaka, któremu z ręki poczęły pojedyncze karty wypadać na podłogę. Ks. Nowak właśnie ukończył życie. Dochowałem z czasów studenckich jedną z kartek z Łacińskiego zadania, które uczynny i przyjacielski Józef Nowak kolegom pomagał.



__25. Nowak Stanisław__, zwany żartobliwie „Grüssdichgott", niewiem skąd pochodził, mieszkał na innem niż ja przedmieściu, mało więc umiem o nim powiedzieć. W szkole był dobrym kolegą, lekko figlarnym, wielce dbałym o naukę i obowiązkowym. On to właśnie uczył dzieci profesora Grudzińskiego po polsku. Poszedł na teologię i był proboszczem w Zwierniku od Pilzna. Z chłopczyka szczupłego i niewielkiego wzrósł się jako proboszcz ogromnie i tuszą należał do najokazalszych proboszczów dyecezji tarnowskiej.

3.

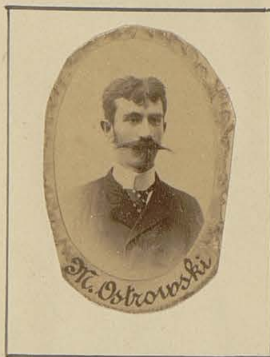
Eodem tempore, ubi in me-
ridianis Alpibus versatus est
etiam semel Galli omnes
arma rapuerunt aucto-
re & principe Arverno-
rum, Vercingetorige. Sed
periculum, quod tam im-
minens principio fuit
avertit Caesar celeriter
et cum studio. Ab eo
tempore dedebant
se Galli cum facilitate
summa culturae itaque
quiete se conservabant
ut Caesar e Gallia
sine impedimento posset
haurire opes ad bellum
civile.

Karteczka infor-
macyjna z łaciń-
skiego zadania pi-
sana przez kolegę
Józefa Nowaka
dnia 13. maja 1892.
Pomięta, bo krążyła
po klasie z rąk do
rąk.

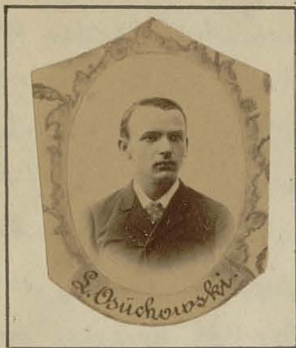
26. Olszowy Józef, pochodził z Lizmanowej. Był skromnym, cichym i obowiązkowym uczniem. Głosu nie zabierał nigdy, ale rozdrażniony przez któregoś z kolegów do żywego, stawał się gwałtownym, czerwieniał na twarzy i był niebezpiecznym. Miał tę właściwość, że się jąkał. Profesor historji Machnicki często go wywoływał: hekajto! Poszedł na teologię, został księdzem, lecz zmarł jeszcze przed wojną światową tj. przed rokiem 1914. Siedział w ławce obok mnie i dzielił ze mną dolę i niedolę szkolną.



27. Ostrowski Marjan, autor tych wspomnień, podolanin, pochodził z Wszyłkowiec w powiecie husiatyńskim. Po ukończeniu gimnazjum w Bochni poświęcił się zawodowi sędziowskiemu. Był auskultantem (tj. kandydatem sędziowskim) przy sądach we Lwowie i Samborze, sędzią w Sołotwinie i Haliczu, zastępcą prokuratora w Kołomyi, prokuratorem państwa w Czortkowie, sędzią Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, prezesem Sądu Okręgowego w Grudziądzu, wreszcie od r. 1927 sędzią Sądu Najwyższego w Warszawie.

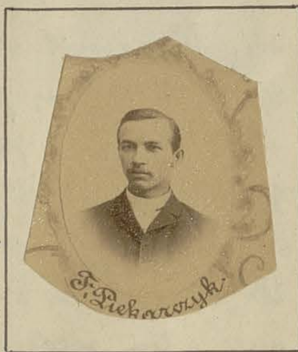


28. Osuchowski Ludwik, pochodził ze Starego Wiśnicza był uczniem pilnym, niezmiernie cichym, skromnym, biblijnie prawym i przez wszystkich kolegów lubianym. Po ukończeniu praw



w Krakowie wstąpił do skarbowości, z której przeszedł do administracji politycznej, był przed wojną czynnym w Wiedniu, Czortkowie, Złoczowie i w Namiestnictwie we Lwowie, zaś po odrestaurowaniu Polski był wyższym urzędnikiem województwa lwowskiego. Był żonatym i miał dwie córki. I w późniejszym wieku nie stracił niczego ze subtelności charakteru i pogody ducha.

29. Piekarczyk Franciszek był uczniem bardzo ubogim i ciężko się zmagał z losem. Doskonały filolog ze zapałem się oddawał studyum klasyków łacińskich i greckich. Żył z lekcyi, mieszkał skromnie u niemki Trägerowej (przy ul. Orackiej (tuż obok gimnazyum, na dole). Nieraz w nocy wyciągaliśmy go z łóżka, by tłumaczył jakieś ciężkie miejsce z Tacyta lub Horacego. Ale Franek był zawsze uczynnym, szczerze życzliwym kolegą o złotem sercu. A o ile był doskonałym filologiem, o tyle nie miał zdolności do matematyki. Kłopotał się z tem biedny Piekarczyk wiele i to go ciągle gnębiło. Raz mi mówił: wiesz, jak zdam maturę, to zaraz w budynku gimnazjalnym walnę łbem o ścianę, by mi ta cała przeklęta matematyka odrazu wyleciała z głowy! Ale fatum chciało, że nie mógł po maturze łbem uderzyć, jak to było jego gorącem pragnieniem, bo



właśnie z matematyki dostał przy maturze poprawkę i musiał dopiero po ferjach w Krakowie egzamin uzupełniać. Miał bardzo krótki wzrok. W orkiestrze gimnazjalnej grał na klarnecie. Po maturze poszedł na teologję do Tarnowa, lecz z powodu krótkiego wzroku nie mógł się tam ostać, poszedł więc do Krakowa na Uniwersytet (zdaje mi się na prawo), ale z powodu ubóstwa, braku znajomości i rzutkości popadł w kłopoty materjalne i ciężką sytuację, przyczem zdrowie szwankować poczęło. Dla zdobycia środków do życia musiał pojechać na guwernerkę do jakiegoś dworu na wieś. Tam rozchorował się (zapewno gruźlica go dobijała) i popadł w silną gorączkę. We dworze bano się, by nie umarł, wypakowano go na wóz i odesłano do Krakowa. Ale Piekarczyk już

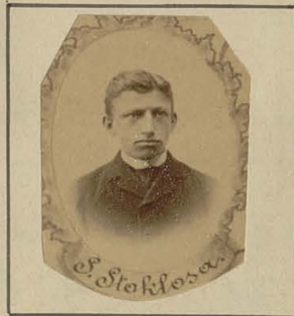
Franciszek Piekarczyk
uczeń ósmej kl. gimn.

Krakowa nie ujrzał, gdy wóz dojechał do najbliższej stacji kolejowej, Piekarczyk właśnie dogorywał i na stacji umarł. Tak marnie zginął kochany przez wszystkich kolega, serdeczna, zacna i szlachetna dusza, prawdziwa ozdoba naszej klasy. Gdym się z nim żegnał po maturze (niestety na wieki) dał mi swój bilecik ze słowami: Bóg wie, kiedy się zobaczymy, a pamiętaj tam Marjanku o mnie! Bilet ten zachowałem i tu go dołączam. Pożółkł on i zapleśniał, ale pamięć o tym serdecznym koledze została w głębi duszy zawsze świeża.

30. Romański Leon, młody chłopak, okrągłej tuszy, wyczesywał zawsze starannie czarną czuprynę nabok. Skąd pochodził, nie wiem, uczył się ze średnią pilnością, dziwnym zaś zbiegiem okoliczności, nie dopuszczono go do matury. Czasami był dziecinnie lekkomyślny i rzecz dziwna, że zaniedbał się w nauce religii i polskiego i z tych dwóch przedmiotów otrzymał w VIII klasie zły stopień, dlatego nie mógł zasiąść do matury, lecz zmuszony był klasę powtarzać. W rok później maturę zdał, poszedł na teologię, był księdzem, umarł jednak przedwcześnie licząc lat 50.



31. Stokłosa Stanisław, poprzednio uczeń gimnazjum św. Jacka w Krakowie, niewielkiego wzrostu, dowcipny i bystry w obserwacji, mówił krótkiemi, urywanemi zdaniami, uczył się dobrze i silnie książki pilnował. Po maturze ukończył prawa na uniwersytecie krakowskim i poświęcił się zawodowi sędziowskiemu. Po odzyskaniu Polski przeniósł się w Poznańskie, gdzie był naczelnikiem sądu i burmistrzem w Międzychodzie. Po wydaniu jedynej córki zamąż, zatęsknił za Małopolską, przeniósł się do Krakowa, tu wybudował sobie kamienicę i był sędzią sądu okręgowego przy ulicy Grodzkiej. Jako student mieszkał razem z Gnoińskim i Piekarczykiem.



492

32. Szczudło Stanisław, student bardzo delikatnej struktury fizycznej, blondynek, minę miał zwykle jakby wystraszoną, w nauce lubiał kombinować, a przy maturze dostał poprawkę z niemieckiego, którą następnie zdał. Umarł młodo jako teolog.



33. Tatara Ludwik, syn rzemieślnika z Bochni przy ul. Kazimierza Wielkiego. Rosły, szeroki w barkach, ospą po twarzy poznaczony, z charakterystycznym spiczastym nosem, zdolności średnich, gorliwie siadywał nad książką. Na żarty kolegów nie umiał się odcinać, lecz przyjmował je z dobrotliwym uśmiechem. Zwykle wołało się na niego Panta-tara. Był kolegą dobrym, i rzodliwym a każdą wyświadczoną mu przysługę z wdzięcznością pamiętał. Do matury nie zasiadał, nie czując się należycie przygotowanym, ale niedobrze zrobił, bo byłby przeszedł, chociażby z poprawką. Poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu i był kierownikiem szkoły powszechnej w Nieprześni pod Bochnią. Będąc oszczędnym i dzieci nieźle zaopatrzył ~~ź~~ i zakupił sobie intratną realność.



34. Tenczyn Emil, syn aptekarza z Tarnowa. Jego owdowiała matka mieszkała w Bochni obok szynku Floris we własnym, ładnym domu. Po Gnoińskim był Tenczyn najlepszym

uczniem naszej klasy. Szczególnie celował w matematyce. Mały, drobny, przystojny, wesoły, żył ze mną w szczerej przyjaźni i towarzystwo jego bardzo ~~szczerze~~ lubiałem. Właśnie w owym czasie, gdyśmy byli w VIII. klasie począł się golić, ale obawiał się iść do fryzjera, by się nie nabawił choroby z nieczystej brzytwy. Przychodził więc na naszą stancję, ufając mojej zręczności i nieskalanej czystości mojej brzytwy studenckiej, gdzie mu operację jego młodzieńczej brody często przeprowadzałem, przyczem bawiliśmy się doskonale. Był dla kolegów szczerze przyjacielskim i pełen poświęcenia. Katecheta ks. Fox najbardziej go lubiał ze wszystkich uczniów naszej klasy. Jenczyn oddał się zawodowi nauczycielskiemu i jest profesorem jednego z gimnazjów lwowskich. Dochowały się dwie kartki z szkolnej „poczty pod ławkami”, które do mnie pisał Jenczyn (z r. 1892.)



Najukochańszy mój Maryanie!

[illegible] mi, że zwracam się do ciebie z taką prośbą — [illegible] pytaniem! Czy nie mógłbyś mi zrobić tej łaski i [illegible] mnie [illegible] dzisiaj na gębie, bom zarośnięty jak Orang-Utang, a do golarza ~~[illegible]~~ nie chcę iść [illegible], obawiając się zarażenia i jakiej choroby skórnej. — Proszę nie gniewaj się, [illegible]. Twój oddany Emil

W nieobecności [illegible] się do [illegible] Kochanego Maryana. Z szczerym pozdrowieniem E. Jen[illegible]

35. Wawrowski Józef, mały, brunet, figlarny i dowcipny. Rysował udatnie karykatury profesorów i kolegów, ale niestety nie zachowałem z nich ani jednej. Przy maturze dostał poprawkę z historji, której po ferjach nie zdał. Był następnie urzędnikiem podatkowym w Zbarażu. Co się z nim dalej stało, ani ja ani żaden inny z kolegów nie wie, nikt już potem z nim się nie zetknął ani on z nikim nie utrzymywał stosunków. Często znachodził się w niefortunnem położeniu materjalnem, ale był zwyczaj koleżański podzielić się z drugim choćby ostatnim groszem. Oto jedna taka żartobliwa karteczka o braterską pożyczkę, przechodząca podczas lekcji szkolnych z rąk do rąk studentów, aż dotarła do rąk adresata. Taką samą pocztą szły następnie pieniądze do rąk zachwianego finansowo kolegi.

J. Wawrowski.

Kochany Kolego!

Gnieciony ciężkimi czasy udaję się do Kolegi z wielką pokorą, prosząc, by Kolega był łaskaw pożyczyć 50 ct, które jak będę się starał na dniu 20 b.m. oddać. Polecając się łaskawej pamięci, pozostaję z głębokim szacunkiem J. Wawrowski

36. Wilkowicz Józef, szatyn, szczupły, mówił cicho i mało, uśmiech miał podobny do słynnej Giocondy Leonarda da Vinci. Pochodził z Trójcy pod Bochnią, uczył się bardzo pilnie, należąc do uczniów średnich. Po ma-

J. Wilkowicz.

turze poszedł na teologię, był proboszczem w Tylmanowej pod Nowym Targiem lecz umarł przedwcześnie na gruźlicę.

*

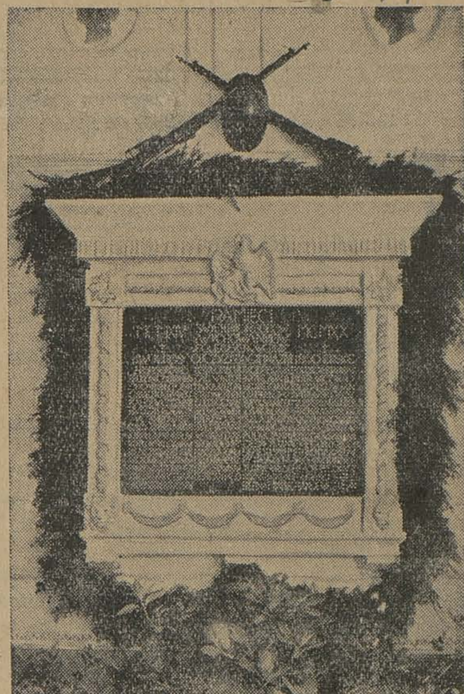
Wśród tychto kolegów serdecznych, szczerych, zdolnych do poświęceń, godnych zachowania w pamięci po koniec życia, przepędziłem dwa lata i do dziś pozostało mi po nich rzewne, niezatarte, najlepsze wspomnienie.

*

* *

Tablica pamiątkowa w Bochni ku czci poległych.

zr. 1927



(l.) W tych dniach odbyła się w Bochni podniosła uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci poległych w wojnie światowej profesorów i wychowanków gimnazjum bocheńskiego. W chwili odsłonięcia tablicy dyrektor gimnazjum, p. Franciszek *Słuszkiewicz*, odczytał długą listę poległych w wojnie profesorów i uczniów gimnazjum bocheńskiego. Następnie przemawiał ks. infułat *Wilczkiewicz* i burmistrz m. Bochni, K. *Szymanowicz*. — Fotografja nasza przedstawia wmurowaną w gimnazjum pamiątkową tablicę.

*

Minęły długie, długie lata, a nie byłem nigdy w Bochni. Wstąpiłem do sadownictwa we wschodniej Galicji, rozluźniła się więc zupełnie moja łączność tak z kolegami, jak i z Bochnią, bo prawie wszyscy koledzy pozostali na zachodzie. Czasami tylko gdzieś przypadkowo, przeważnie w podróży natknąłem się na któregoś z kolegów, lub w gazecie coś się o Bochni przeczytało. Dopiero po 31 latach, bo w lecie 1923 podczas ferji umyślnie pojechałem z Grudziądza do Bochni, aby zobaczyć to miasto, tyle wspomnień dla mnie budzące. Zabawiłem tam dwa dni. W skwarny dzień lipcowy wysiadłem z pociągu, a będąc dość obarczony walizką, płaszczem i laską, puściłem się piechotą do miasta, bo nie było dorożki. Znam przecież Bochnię dobrze i wiem, że naprzeciw starostwa w rynku jest katolicki hotel Baumana z cukiernią i restauracją, tam więc pewnym krokiem zdążałem. Po drodze jednak, już koło plant przyszło mi na myśl, iż możliwie kto inny obecnie posiada to przedsiębiorstwo. W ulicy koło plant zobaczyłem sklep katolicki, na którego progu stał jeden z pracowników handlu i z nudy patrzył na planty. Przystąpiłem do niego i zapytałem, czy Bauman ma jeszcze hotel w rynku. Ten zdziwiony odpowiedział, że nie było i nima Baumana. Na moje jednak twierdzenie, że z pewnością był, zagadnięty odniósł się do kogoś starszego ze zapytaniem i dopiero ten mi odpowiedział, że kiedyś przed kilkudziesięciu laty był Bauman, mało już kto o nim wie, bo

hotelu wcale tam nie ma, w tem miejscu jest bank, a wogóle hotelu w Bochni teraz nie ma żadnego, tylko naprzeciw dworca kolejowego jest żydowski zajazd. Musiałem więc znów wracać ku dworcowi do owego zajazdu. Odetchnąwszy nieco w izbie zajezdnej, poszedłem ponownie do miasta. Odniosłem wrażenie, jakbym się z tamtego świata na ten padół ziemski powrócił. Znalazłem wiele zmian, wiele przebudowań, na wszystko patrzyłem rozszerzonemi źrenicami, każdy niemal domek budził we mnie wspomnienia, stawali mi przed oczyma dawni ludzie, z których śladu nie było, poszedłem na planty, usiadłem na tem samem miejscu na ławce, gdzie przed 31 latami zbierało się nas tylu młodych po maturze na pogawędkę – ale, choć patrzyłem długo po niebie i po ziemi, obraz był kompletnie inny, niż dawniejszy, świat wydał mi się szary, ludzie obojętni i obcy, nie rozumiejący mnie, ani ja ich, niebo spłowiałe, drzewa na plantach stały się grube, ociężałe, altana muzyczna pusta i zamarła. Poszedłem ku górze do gimnazjum. Tu ludzie sami obcy. Budynek wiele ucierpiał wskutek kwaterunków wojskowych podczas wojny światowej 1914–1919 i czynił wrażenie jakiegoś opuszczonego szpitala. Dyrektor Głuszkiewicz pozwolił mi go oglądnąć, poszedłem do naszej klasy, usiadłem na swojem miejscu, podumałem jakąś chwilę, w oczach miałem wszystkich moich kolegów, na katedrze w wyobraźni przesunął mi się szereg profesorów, spojrzałem przez okno ku brzegom Wisły pod Uściem solnem, ku którym po stokroć i więcej razy jako student spoglądałem podczas długich lekcyj szkolnych – bez pustka mię mroczyła, było koło mnie głucho, nie biły serca uwochanych kolegów, ni nikt z katedry mnie nie zapytał co umiem i z czem przyszedłem do szkoły. Wszystko na świecie marne i

i przejściowe, jak chwilowy i niepowrotny jest błysk naszego młodego życia. Udałem się potem do domu Zalesiewicza przy ulicy Orackiej, niedaleko szybu Campi. Spodziewałem się zastać staruszków Zalesiewiczów, ale zawiodłem się, bo oboje byli * już w grobie, a dzieci dom sprzedały obcym ludziom. Poszedłem na drugą moją stancję do Gondków, przy ul. Świętokrzyskiej. Cały dom był pusty, chodziła po nim tylko zgrzybiała, pochylona staruszka, na zapytanie potwierdziła, że jest Gondkową, a obok niej biegała dziecinka maleńka, to był jej około trzyletni wnuczek, którego kochała nad życie i nie chciała oddać synowi, by nie być zupełnie osamotnioną. Powiedziałem jej, że jako student mieszkałem u niej w najdawniejszych latach, ale ona mię nie poznała, poczęła wyliczać swoich najstarszych lokatorów, wymieniła także i mnie, podając w kilku słowach wcale trafną charakterystykę każdego. Po dłuższem wyliczaniu prosiła mię o odkrycie swego incognito, a gdy wymieniłem, kim jestem, bardzo się ucieszyła i w pamięci mię odgrzebała.

Żył jeszcze jeden profesor na emeryturze, Matwij, nasz nauczyciel łaciny. Poszedłem do niego do domu. Znalazłem starca o wyniosłej, acz przez wiek pochyłej już nieco postaci, nie poznał mię, ani nawet nie pamiętał, że miał ucznia o takiem nazwisku. Każdy z nas opowiadał drugiemu swoje dzieje i wspomnienia, wreszcie pożegnaliśmy się, ucałowali i rozeszli.

Chodziłem długo po Bochni, po ulicach i uliczkach, a wszędzie rój wspomnień gonił za mną. Wkoło siebie widziałem innych ludzi, inne twarze a co główniej mię uderzało na każdym niemal kroku, to ogromne wzmożenie się liczebne żywiołu żydowskiego. Moją, współczesną ze mną Bochnię znalazłem dopiero na cmentarzu.

Tu byli wszyscy ci, których naprożno szukałem w mieście. W grobach i grobowcach spoczywali na wieki profesorowie, adwokaci, lekarze, duchowni, kupcy. Prawie przed każdym nagrobkiem stawałem i odtwarzałem w myśli żyjącego za moich czasów człowieka. Jakże mi wtedy żywo stanął przed oczyma niezrównany Janko Cmentarnik, tak misternie a nawet tak genjalnie ujęty przez niezrównanego lirnika litewskiego Syrokomlę. Trzeba także chwilę przeżyć na cmentarzu, by poetę jego zrozumieć.

I znów puściłem się na włóczęgę po mieście, ale to było miasto inne, nie to wśród którego żył maturzysta przed przeszło 30 laty. Zdawało mi się, jakby wszystko się dziwiło, czego tu szukam, wszakże moje dnie bocheńskie minęły bezpowrotnie i przebrzmiały raz na zawsze. Tak, w istocie, był czas, gdyśmy jako młodzi studenci tworzyli kwiat ludności bocheńskiej, kto żył wtedy w Bochni, otaczał nas życzliwością, darzył sercem i dobrocią. Prawie wszyscy świadkowie naszej wiosny życia poszli w zaświaty, a z kimże miałem mówić o tej wiośnie szczęśliwej! Dwoje starców, jakich jeszcze zastałem przy życiu, byli tylko szanowną relikwią dawnych czasów, lecz obraz tych lat dawnych pod wpływem własnych zboleń duszy zatarł się im zupełnie.

Mogłem rozmawiać tylko sam ze sobą. Bochnia nowa była dla mnie obca, a ze starej pozostały tylko nieme pomniki i te przemawiały do mnie niedosłyszaną przez nikogo mową, ale ja ją zrozumiałem całą duszą i żywą wyobraźnią. One mi powiedziały, że wiosna życia jest tylko jedna i darmo jej szukać po zgliszczach dawnych czasów.



Starożytna, drewniana dzwonnica bocheńska.

*

W trzydzieści pięć lat po maturze przeżyłem jeszcze odblask lat dawnych na zjeździe koleżeńskim w Bochni w niedzielę 26 czerwca 1927. W tymto dniu odbyła się jedna godzina szkolna z nami i z naszymi profesorami w naszem gimnazjum i w naszej dawnej VIII klasie. Ale jakże wśród niezmiernie odmiennych stosunków w porównaniu z naszym pamiętnym maturycznym rokiem 1892. Przedewszystkiem zmieniliśmy się my sami wielce. Z kwitnących niegdyś młodzieńców staliśmy się starymi ludźmi, przygasł dawny polot młodzieńczej myśli a natomiast brzemię życia przygniotło nasze barki. Gwarne niegdyś mrowisko studenckie zmieniło się w niewielką, przez śmierć silnie przerzedzoną gromadkę ludzi, kończących swoje

ziemskie rachunki. Prócz dwóch z kolegów, wszystkich innych nie widziałem lat 35 i gdym się wśród nich na zjeździe znalazł, nie mogłem ich rozpoznać.

Jak dołączone do tych wspomnień dwie odezwy świadczą, koledzy Jachna, Stokłosa i Tenczyn zaproponowali zjazd. Mieszkałem podówczas w Grudziądzu na Pomorzu, byłem najdalej od Bochni oddalony, a mając właśnie w tym czasie wiele przeszkód, wątpiłem, czy wogóle na zjeździe będę. Ale ostatecznie wszystko pomyślnie się ułożyło i rannym pociągiem pospiesznym od strony Krakowa przybyłem do pamiętnego w mojem życiu miasta Bochni. W hoteliku obok dworca strzepałem pył podróżny i tam złożywszy swoje tobołki, udałem się do śródmieścia. Jako nowość spostrzegłem, że dość obszerny budynek szybu Regis obok Kościoła znikł, nad samym szybem postawiono tylko mały budyneczek ochronny, a grunt oddano przeważnie na rozszerzenie ulicy. Ponieważ zbliżał się już właśnie czas, wyznaczony na zebranie koleżeńskie, poszedłem ulicą od Kościoła w górę ku gimnazjum. Niebawem zobaczyłem na deptaku przed budynkiem naszej szkoły grupkę osób, o ile jednak mogłem z oddali dojrzeć, byli to ludzie z wyglądu nieznani. Zawahałem się, czy mam iść ku nim, czy do budynku gimnazjalnego, gdy wtem usłyszałem, że jeden z nich wymawia moje nazwisko. Oczywiście więc byli to koledzy. Przystąpiłem ku nim i prosiłem o chwilkę cierpliwości, nim ich rozpoznam. Poznałem jedynie Stokłosę, żadnego innego nie mogłem odgadnąć. Wysunął się jeden z kolegów naprzód i uśmiechając się dobrotliwie zapytał: Marjanie — i mnie nie poznajesz? Przykro mi kochany Kolego — odrzekłem — ale nie poznaję. Wtedy Kolega wymie-

502a

Data stempla pocztowego .
(tj. 19. 4. 1927.)

K o c h a n y   K o l e g o !

W czerwcu br. upłynie lat 35 od chwili, kiedy po otrzymaniu świadectw maturycznych opuściliśmy ławę szkolną i mury gimnazjum bocheńskiego.- Rozeszliśmy się w różne strony i różnie nami los pokierował . Była to długa wędrówka życia naszego i przeżyliśmy wiele. Na każdym z nas cięż-kie obowiązki zawodu pozostawiły swoje ślady, ale nas nie zmogły. Zato inne troski życia codziennego , nieszczęścia rodzinne i familijne , przejścia minionej i potwornej zawieruchy wojennej , podkopały u niejed nego zdrowie . Dochodzimy prawie do kresu naszej wędrówki i każdej chwi li mamy być gotowi , że zawezwie nas przed siebie Ten, który nas tu po-słał. Czyż w tym stanie rzeczy - nie ciąży na naś miły obowiązek przy-jaźni koleżańskiej , abyśmy przynajmniej raz jeszcze zetknęli się ra-zem na tej samej ławie szkolnej , którą przed 35 laty opuściliśmy ? Doświadczenie nas uczy i każdy z nas o tem wie , że prawdziwa przyjaźń zrodzona w młodych sercach kolegów, jest niejednokrotnie trwalszą i sil

niejszą nad węzły familijne . Ta myśl właśnie pociąga nas ku sobie i 502 c
przenosi w owe chwile młodości pełnej życia i otuchy w przyszłość .-
Będzie to bezsprzecznie najprzyjemniejszą chwilą w naszem życiu , kiedy znów uściśniemy naszą dłoń , - ale tak - od serca , bez uprzedzeń , - po koleżeńsku , jak to ongiś było, i przypomnimy sobie chwile minione i zwierzymy się wzajemnie z dotychczasowych naszych przeżyć .-

Tą myślą powodowani odzywamy się do Ciebie Kochany i zacny Kolego i zapraszamy do wzięcia udziału w zjeździe koleżeńskim maturzystów z roku 1892 , który się odbędzie w Bochni w dniu 25 czerwca 1927.

Pamiętajmy o tem , że opuściliśmy ławę szkolną będąc w niewoli , a spotkamy się teraz jako wolni obywatele w naszej ukochanej odrodzonej Ojczyźnie . Niechaj nikogo nie braknie !

C z e ś ć !

Z a k o m i t e t :

Jan Jachna - Emil Tenczyn - Stanisław Stokłosa .

P.S. Każdy z Kolegów raczy swój udział zgłosić na czas na ręce Kolegi Stanisława Stokłosy sędziego apelacyjnego w Krakowie Grodzka 52 poczem program zjazdu komitet wyśle.-

Kochani Koledzy !

Po porozumieniu się z odnośnymi czynnikami na miejscu w Bochni, ustaliliśmy ostatecznie i nieodwołalnie datę naszego koleżeńskiego Zjazdu na dzień <u>26. czerwca</u> /: niedziela :/ 1927 r. - Uczyniliśmy to z tego powodu, że w dniu 25. czerwca br. , na który pierwotnie proponowaliśmy nasz Zjazd, przypada wielka uroczystość w Krakowie sprowadzenia zwłok Słowackiego , - w której to uroczystości weźmie udział prawie cała Polska , a więc i młodzież i grono profesorskie w Bochni . Niezawodnie, że nasi Koledzy zechcą skorzystać z tej sposobności i oni także będą w Krakowie.- Rozsyłając nasze pierwotne zaproszenia do Kolegów , nie przewidzieliśmy uroczystości Krakowskiej , bo dzienniki jeszcze jej terminu nie ogłosiły .-

Obecnie więc zapraszamy Was Koledzy na <u>26.czerwca</u> br. do Bochni.

Noclegi będą zapewnione , a zgłaszać się w tym celu należy osobiście po przybyciu na miejsce albo do P. Dyrektora Gimnazjum, albo w aptece w rynku p. Szymonowicza , burmistrza m. Bochni.-

Z uwagi , że na miejscu w Bochni nie ma żadnego z naszych Kolegów na stałem stanowisku , któryby się tam zajął potrzebnymi przygotowaniami , lecz członkowie Komitetu muszą osobiście już teraz tam dojeżdżać i poczynić wszystko , by Was godnie przyjąć , dlatego zwracamy się do Was z gorącym apelem , byście raczyli natychmiast nadesłać nam Swoje zgłoszenia na ręce Kolegi Stanisława Stokłosy sędziego apelacyjnego w Krakowie ul. Grodzka 52 / Gmach Sądu Okręgowego / .- Prosimy

również o nadesłanie zaliczki na pokrycie kosztów, które w przybliżeniu wyniosą około 20 zł. od osoby. Znajdujemy się bowiem w tem kłopotliwem położeniu , że żądają od nas zaliczki na poczynić się mające wydatki połączone z przygotowaniem obiadu.-
Nie znamy dotąd adresu Kolegi Antoniego Nausserai, Kolegi Jana Brzeskiego, więc gdyby który z Was miał ich adresy, to prosimy o zawiadomienie ich wprost od siebie o naszym Zjeździe, by jeszcze na czas mogli się o tem dowiedzieć.

W dniu 26/6 1927 Zbiórka przed budynkiem Gimnazjum o godzinie 8.15 rano , skąd udamy się do Kościoła parafjalnego , poczem zebranie na dziedzińcu Gimnazjum, gdzie nastąpi okolicznościowe przemówienie do młodzieży. Następnie uczestnicy Zjazdu Kol. zgromadzą się w jednej z klas wraz ze swoimi byłymi profesorami , gdzie po odczytaniu katalogu streści każdy z nas przebieg swojego życia i spiszemy protokół ku pamięci potomnych. Potem wspólna fotografja , a następnie wspólny posiłek w Kasynie.-

Pamiętajcie Koledzy , że to może ostatnia chwila naszego zetknięcia się, w której jak na ekranie kinowym przesuną się obrazy naszej młodości, uwydatnione w żywem słowie wzajemnego wynurzenia się z ubiegłych lat przeszłości !

Przyjedźcie wszyscy , bo Was tu oczekujemy z otwartem sercem i czekamy na Waszą dłoń , którą uścisnąć pragniemy tak - od serca !

Cześć !

Jan Jachna Stanisław Stokłosa Emil Temczyn

nił swoje nazwisko: Gnoiński. Tak, nawet tak bliskiego kolegi i przyjaciela jak Gnoiński po 35 latach nie byłem w stanie poznać. Później wyjawili swoje nazwiska także inni koledzy i do naszej grupy przyłączyli się niebawem ówczesny dyrektor gimnazjum Słuszkiewicz, katecheta ks. kanonik Nalepa i jeden z profesorów, niepamiętnego mi nazwiska, którzy wielce się na miejscu zasłużyli koło ułożenia i wypełnienia programu zjazdu.

Tymczasem młodzież szkolna zebrana już była i ustawiona na dziedzińcu gimnazjum, gotowa do wymarszu na nabożeństwo do kościoła parafialnego. Na czele szeregów młodzieży szkolnej niesiono bardzo piękny sztandar, za chorążymi szła muzyka gimnazjalna, za nią studenci gimnazjalni parami i my również w parach, jakbyśmy także jeszcze byli studentami. Ja szedłem w parze z przybyłym na zjazd naszym profesorem Mazanowskim. W kościele zasiedliśmy w ławkach obok wielkiego ołtarza po stronie ewangelji, mszę cichą w zielonym ornacie odprawił kolega ks. Kotfis, przy bocznym zaś ołtarzu odprawił mszę kolega ks. Stanisław Nowak. Po mszy ruszyliśmy znów ku gimnazjum, zabrawszy ze sobą staruszka profesora Matwija, który był w nawie głównej pośród rzeszy wiernych. Młodzież szkolna po powrocie ze mszy ustawiła się ponownie w szeregi na dziedzińcu gimnazjalnym, zagrzmiała orkiestra na dętych instrumentach, stanęliśmy twarzą w twarz naprzeciw naszych młodziutkich spadkobierców doli i niedoli szkolnej, zeszli się profesorowie ówcześni i liczna publiczność, rozwinięto nowiutki sztandar gimnazjalny, a gdy się uciszyło, wystąpił

naprzód ładny jak kwiat chłopaczek, uczeń VII klasy, Biernat, syn miejscowego dyrektora szkoły powszechnej i witał nas imieniem ówczesnej młodzieży w przemówieniu pięknem, rzewnem, wypowiedzianem z uczuciem. Przypominał nam, że i myśmy się kiedyś w tychsamych izbach szkolnych kształcili, tesame przeżywali górne chwile i mozoły, na tymsamym dziedzińcu szkolnym, pośród tychsamych drzew używali wytchnienia podczas pauz, a wyszli z tej szkoły wyszli do chlubnej pracy i zajęli w społeczeństwie ważne stanowiska, jesteśmy dla młodszego pokolenia bodźcem do



Student VII klasy gimnaz. w Bochni
Biernat
imieniem młodzieży gimnazjalnej
witał pierwszych maturzystów bocheńskich
z r. 1892, przybyłych na 35cio letni
zjazd koleżeński do Bochni dnia
27. czerwca 1927.
*

usilnej pracy i do wstąpienia w ślady starszych poprzedników. Ta tylko jest różnica pomiędzy starszem a nowem pokoleniem, że podczas kiedy pierwsi maturzyści bocheńscy kształcili się w cięższych warunkach, bo w czasach zaborczej niewoli, to obecne, młode pokolenie oddecha swobodnie wolnością narodową, w odrodzonej i zespolonej Polsce. Gdy Biernat skończył, wyrwał się z naszych szeregów kolega Jan Jachna i w odpo-

wiedzi na powitanie Biernata przemówił do młodzieży. Była-to jednak mowa nie w moim guście. Na serdeczne przemówienie miłego młodzieńca nie powiało z ust Jachny równie serdeczne uczucie, którym było wyrazem umiłowania tego młodego pokolenia, jakie zasiadło na ławach szkolnych na naszych miejscach. Prawie że ograniczyło się na admonicji młodzieży, by słuchała księdza katechety i profesorów, a zresztą co kilka zdań przeplatane były okolicznościowe wiersze. Gdy Jachna ukończył swoją długą w średniowiecznym stylu brzmiącą mowę, zagrzmiała znów muzyka, i młodzież szkolna dziarsko przedefilowała. Na tem ukończyła się uroczystość zewnątrz murów szkolnych.

W chwilę potem odezwał się stary, dobrze nam znany dzwonek wewnątrz budynku, wzywając na lekcję. Ale nie zadzwonił nam popularny nasz tercjan Franciszek, bo już dawno spoczął na cmentarnej górce. Udaliśmy się wszyscy do naszej dawnej VIII klasy na drugiem piętrze, ostatniej w skrzydle od miasta i usiedliśmy w ławkach mniejwięcej tak, jak siedzieliśmy ongiś jako uczniowie. Nie żył już nasz przewodnik naukowy Żutkiewicz, więc wstąpił na katedrę tegoczesny dyrektor Słuszkiewicz i jako gospodarz tego budynku powitał nas imieniem zakładu, a następnie oddał przewodnictwo jednemu z obecnych w klasie dwóch naszych profesorów Mazanowskiemu, bo Matwij, choć starszy, jednak naskutek przygnieciony już był wiekiem. Jachna odmówił pacierz szkolny a Mazanowski przemówił do nas z katedry, przywołując na pamięć dawne czasy, jak to on, będąc młodym nauczycielem przybył do Bochni i objął naukę języka polskiego w gimnazjum, ~~będą~~ (a nie bardzo wiele był wtedy od nas starszym)

jakie miał koleje życia, jakich w nich doznał przeciwności i jak człowiek nie powinien poddawać się przygnębieniu w cięż- kich chwilach, bo nie od nas ~~zależy~~ zależy możność odwrócenia cierni życiowych. Następnie odczytał z katalogu wszystkich uczniów naszej klasy ósmej. Przybyli na zjazd następujący koledzy:

Bodyński (Budyś) Michał	ks. Nowak Stanisław,
Dr Gnoiński Michał	Ostrowski Marjan
Golonka Józef	Osuchowski Ludwik
Jachna Jan	Stokłosa Stanisław
ks. Kotfis Błażej	Tatara Ludwik
Nebenzahl Chaim	Tenczyn Emil

i dawniejszy nasz kolega ks. Wójtowicz.

Zmarli w międzyczasie Gurgul Marcin, ks. Hebda Karol, Jaworski Kamil, Kalinowski Władysław, Łopatowski Andrzej, ks. Nowak Józef, ks. Olszowy Józef, Piekarczyk Franciszek, ks. Romański Leon, Szczudło Stanisław i ks. Wilkowicz Józef. Uczczono pamięć zmarłych przez powstanie. Następnie każdy z kolegów opowiadał o kolejach swego losu, a gdyśmy tę opowieść skończyli, zamknął profesor Mazanowski lekcję, Jachna znów się pomodlił, odezwał się dzwonek szkolny i opuściliśmy budynek gimnazjum niezawodnie po raz ostatni w życiu.

Poszliśmy potem na śniadanie do kasyna obok kościoła, stamtąd do fotografa w rynku, potem wróciliśmy znów do kasyna na objad. Przy objedzie potoczyła się serdeczna rozmowa koleżeńska, odgrzebywano dawne wspomnienia i opowiadano wiele i w serdecznym tonie o swych przeżyciach. Jednego tylko było za wiele, czego serdecznie nie lubię, to banalnych toastów,



Fotografia uczestników zjazdu koleżeńskiego w Bochni dnia 26 czerwca 1927.

Rząd górny: Osuchowski profesor organizator zjazdu, Ks. St. Nowak, Ostrowski, Tatara, ks. Wójtowicz, Golonka, Nebenzahl, Jenczyn

Rząd dolny: Ks. Kotfis, Gnoiński, Jachna, prof. Mazanowski, prof. Matwij, dyr. Śluszkiewicz, Bodyński, Stokłosa.

wygłaszanych ciągle przez dwóch tychsamych kolegów, poczem powtarzała się wrzaskliwa pieśń wiwatowa: Niech żyje nam; niech żyje nam .... co na zewnątrz czyniło wrażenie, jakobyśmy przyjechali do Bochni na hirbantkę. Prócz nas byli na objeździe dawni profesorowie Matwij i Mazanowski, a z obecnych członków grona nauczycielskiego dyrektor Śluszkiewicz, katecheta ks. Nalepa i młody profesor niepamiętnego mi nazwiska (organizator zjazdu). Matwij był już starcem złamanym na ciele i na duchu, do niedawna wprawdzie trzymał się wcale dobrze, ale podcięły go dwa wypadki tj. śmierć jedynego syna i śmierć kolegi emeryta profesora Jaworskiego, mieszkającego w sąsiedztwie, z którym codziennie się widywał i żył, jak z bratem.

O godzinie 4. popołudniu poczęliśmy się rozchodzić. Początek zrobili ks. Nalepa i profesor Mazanowski, poczem pożegnawszy się serdecznie z profesorami i kolegami odszedłem i ja z Gnoińskim i Nebenzahlem. Udaliśmy się na dworzec kolejowy, a dojechawszy do Krakowa, rozjechaliśmy się ku domom. Przez Skierniewice, Kutno, Toruń powróciłem do Grudziądza.

W dniu 26 czerwca 1927 przeżyłem na miejscu w Bochni rzewne wspomnienie dawnych, młodych, szczęśliwych lat szkolnych, radując się z żyjącymi kolegami, a bolejąc nad zgonem tych, którzy odeszli na wieki w podróż, z której się nigdy nie wraca.

i ilustracje
Listy mieszczące się

w rękopisie B.J. 77/51 t. I

Marian Ostrowski :Na przełomie wieków t.I.

przy s. 29 :Ruiny kośc.w Okopach

" 30 : Brama wjazdowa do Okopów Trójcy św.

" 39 : Kapliczka św.Jana Nep. w Kopyczyńcach /fo,

" 41 : brak

" 46 : plan Kopyczyniec 1884

" 51 : Kopyczyńce 1908

" 59 : list ks.Józefa Rączki prob.w Bestwinie 28.9.1925

" 59 " ks Siedlika prob. w Pogwizdowie 30.8.1925

" 59 : " Ks.N. Skoniecznego prob. w Baszkowie

" 59: kościół w Bestwinie koło Oświęcimia /fot./

" 79 list ks.St.Fajansa prob. w Siennicy 26.IV.1928

" 79 list do " " " "od Wandy Dłażewskiej 24.4.1928

" 85 " ks.Józefa Sadowskiego prob,w Sidorowie 27.5.1927

" 95 Pałac Baworowskich w Kopyczyńcach.

" 97 Szkice map katastralnych gruntów koło zamku obronnego w Kopyczyńcach 1824, i 1926-

" 99 Ślad zamku w Kopyczyńcach 1931 fot.

" 106 Figura M.B. w Kopyczyńcach 1931 fot.

przy s. 309	Stanisławów Dworzec.1885 koło
s. 311	" " k. 1910
s. 315	" Ratusz
s. 317	" Kośc.farny
s. 323	" ul. Sapieżyńska
s. 327	" kośc.jeuicki-katedra ruska
s. 335	" ul.Lipowa
s. 337	" gimnazjum
s. 339	" "
s. 341	" "
s.347	" ul Karpińskiego
s.357	" stary rynek
s.367	" ul.Sapieżyńska 1910
s.371	" u. Sapieżyńska przed 1914
s.372	" -
s.379	Jarosław Dworzec
s.381	" Stary zamek /dom kr.Jad.
s.387	" Ratusz
s.391	Brak /rynku w Jarosławiu/
s.395	Jarosław Kośc.paraf.
s.399	" Kośc.PM.
s.387	4 liściki szkolne Jana Zamorskiego do Ostrowskiego II.1890

s.417 Bochnia Starostwo

s.420 " Planty

s.422 " dyr.gimn.Michała Zulkiewicz fot.

s.427 " prof.S.Matwij fot. 1892

s.429 "2 listy " " z 15.6.1927

s.429 ks.Stan.Fox fot. 1892

s.430 prof.Szymon Matusiak " "
prof. Mikołaj Mazanowski " "

s.431 prof. Stef.Grudziński " "

s.434 " Wawrzyniec Waśkowski " "

s.435 " J.Sewin Ignacy " "
s.436 " Artur Passendorfer " "
" Michał Szklarz " "
s.438 Bochnia Budynek poklasztorny
s.439 " -" gimnazjum
s.443 " kośc.paraf.
s.444 Wiśnicz Zamek
s.445 Bochnia -Widok z 1890
s.447 Brak
s.450 Podpisy maturzystów w Bochni 1892
s.453 " " " "

s.454 Liścik szkolny Jana Bystrzyckiego 1892
ana
s.455 Liścik szkolny Marcina Gurgula 1892

s.456 i 457 "i " e 2 Karola Łopatowskiego "

s.460 Spis maturzystów ręką dyr.Żułkiewicza

s.466 Bilet wizytowy Mariana Ostrowskigo.

XX s.469 Fotografie maturyczne Józ.Bajorka
i Izydora Brodera.

c.d. Listy i ilustracje do rkp B.J.77/51

t.I-szy Marian Ostrowski : Na przełomie wieków.

verte —

przy s. 480 Fotografie :Gurgul Marceli,Hebda Karol
i Jachna Jan 1892.Bochnia
i

" s.481 " matur.Bochnia 1892 Jaworski Kamil
i Kalinowski Władysław.

" s.482 " " Bochnia 1892 Kotfis Błażej oraz
koło.1910 Wład.Kalinowski- karce do Ostrowskiego.

" s.484 " mat.: Łopatowski Andrzej,Nenezahl Chaim, Neusser Antoni.

" s.485 " Nowak Józef

" s.486 Nowak Stanisław fot.mat. z 1892

" s.487 Tłumaczenie ustępu Historii starożytnej

Zakrzewskiego na łacinę-fragment zadania maturycznego w Bochni ręką Józefa Nowaka -"ściągaczka".z dn.13.V.1892.

" s.488 Fotografie Olszowy Józef ,Ostrowski Marian /1892 /

" s.489 Fotografie z 1892 Osuchowski Ludwik i Piekarczyk Franciszek.

" s.490 Bilet wizytowy Fr.Piekarczyka.

" s.491 Fotografie z 1892 Romański Leon,Stokłosa Stanisław.

" s.492 Fotografie z 1892 Szczudło Stanisław i Tatara Ludwik.

" s.493 Fotografia z 1892 Tenczyn Emil oraz dwa liściki szkolne Tenczyna

przy s.494 Fotografie Wawrowskiego Józefa i Wilkowicza Józefa /1892/ oraz liścik szkolny J.Wawrowskiego.

" s.495 Tablica uczniów gimn.w Bochni poległych /z r.1927/

" 501 Dzwonnica w Bochni

" 502 Powielane zaproszenie na zjazd koleżeński -35 lecie, w Bochni 25.VI 1927. -i drugie ze zmienionym terminem na 26.VI.

" 504 Biernat ucz.kl.7 gimn.w Bochni w 1927.

" 507 Fotografia uczestników zjazdu koleżeńskiego w Bochni 26.VI.1927 : profesorowie z ~~XX~~ przed 35 lat : Mazanowski M.,Matwij; uczniowie z" " " :Osuchowski Lud.,Nowak St.,Ostrowski,Tatara,Wójtowicz,Golonka,Nebebzahl,Tenczyn,Kotfis,Gnoiński,Jachna,/Bodyś/-Bodyński, i Stokłosa-- ówczesny dyr.gimn.Słuszkiewicz i prof. X.

---

przy s.470 Fotografie z 1892 Jan Brzeski,Michał Budyś - Bodyński.

" 471 " " Józef Bujak i Bystrzycki Jan.

" 472 " willi prof.Bystrzyckiego w Lubniu1928 i Chodacki Ludwik 1892.

" 473 Fotografia wzgórza z gimnazjum w Bochni z 189U i Karola Gądzińskiego 1892

" 474 ~~473~~ Liścik szkolny:Karol Gądziński odmawia składki na powinszowanie katechecie-wolnomyśliciel klasowy. 1891 lub 2.,obok fot. Bolesława Gerzabka.

" 475 Fotogr.z 1892 Michał Gnoiński i Józ,Golonka.

" 477 Fotografia z 1899 Józef Golonka.

" 479 " " " Karol Góra i podobizna jego z gazety 1927.

